HENRYK GALLE

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ IV

WRAZ Z ĆWICZENIAMI I ROZBIORAMI STYLISTYCZNEMI

WYDANIE NOWE
UŁOŻONE ZGODNIE Z PROGRAMEM M. W. R. i O. P.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — LWÓW — RÓWNE — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO

HENRYK GALLE.

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ IV.

WRAZ Z ĆWICZENIAMI I ROZBIORAMI STYLISTYCZNEMI

WYDANIE NOWE

UŁOŻONE ZGODNIE Z PROGRAMEM M. W. R. I O. P.

1922

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

POZNAŃ — LWÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO.

DRUKARNIA "GŁOSU NARODU" W KRAKOWIE.

PRZEDMOWA.

Książka niniejsza w niczem nie jest podobna do poprzednio wydanych przeze mnie „Wzorów prozy i poezji na klasę IV“. Jest to rzecz zupełnie nowa, wywołana nowemi potrzebami metodycznemi zgodnie ze świeżo ogłoszonym przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego „Programem wyższego gimnazjum państwowego“ (Warszawa, 1921). Zmiany w programie języka polskiego, wprowadzone przez Ministerstwo, są zasadnicze i dlatego też wypisy na klasę IV muszą być teraz zupełnie inne.

Dawniej w klasie IV przechodziło się systematyczny kurs stylistyki i teorji literatury, ilustrując go odpowiednio dobranemi przykładami. Dziś stylistyka, jako osobna nauka, nie ma być wykładana, lecz zamiast tego prowadzone są we wszystkich klasach metodyczne ćwiczenia stylistyczne. Podobnie rzecz się ma z teorją literatury. Wyżej wspomniany „Program“ zaznacza, że uczniowie w klasie IV mają tylko nauczyć się rozróżniać prozę i poezję, oraz najgłówniejsze ich działy: opowiadanie, opis i rozumowanie, oraz epos i lirykę, i wyraźnie zastrzega się przeciw „wyszczególnianiu“ gatunków wszystkich tych działów, wobec czego „nie będą temu programowi odpowiadały wypisy, grupujące materjał według rodzajów i gatunków literackich“.

Ażeby więc „odpowiedzieć programowi“, trzeba było ułożyć zupełnie nową książkę, biorąc za podstawę wskazówki metodyczne, zawarte w onym programie, a więc wyróżnianie w utworach literackich takich składników, jak postacie ludzkie, uczucia, myśli, działania, różnice charakterów i sposobów mówienia, sytuacje, stosunki, tło, krajobraz i t. d.

By zaś ułatwić nauczycielom, zwłaszcza początkującym, to zadanie, umieściłem, podobnie jak i w „Wypisach“ na klasy niższe, pytania i ćwiczenia stylistyczne. I podobnie jak i w tamtych „Wypisach“, nie mogą one wyczerpać i nie wyczerpują przedmiotu, dają tylko wzór nauczycielom, jak należy te rozbiory prowadzić; zresztą nowe pytania wysnują się żywiołowo z rozmowy nauczyciela z uczniami, a i uczniowie sami będą też zapytywali nauczyciela i wprowadzą dyskusję na nowe tory.

Liczba urywków, w porównaniu z dawnemi „Wypisami“ na klasę IV, jest znacznie ograniczona: jest ich wszystkiego 120. Pochodzi to stąd, że „Program“ przewiduje na klasę IV, prócz czytania drobniejszych utworów z wypisów, jako lekturę podstawową, zapoznanie się gruntowne z dłuższemi dziełami literatury polskiej i obcej, jako to: „Ogniem i mieczem“ i „Grażyna“ w całości, oraz „Iljada“ w skróceniu. Te więc książki będą musieli uczniowie nabyć osobno. Ponieważ jednak brak wydań tych utworów, odpowiednio do celów szkolnych przygotowanych, i do nich również zastosowałem metodycznie ułożone pytania i ćwiczenia stylistyczne. Pominąłem natomiast utwory, podane w „Programie“, jako lektura uzupełniająca, ponieważ za dużo ich jest, by je można było rozbierać wszystkie, a wybór z pomiędzy nich w ilości, nie przeciążającej uczniów nadmiernym materjałem, pozostawiony jest każdemu nauczycielowi.

Tak oto ta nowa książka niech będzie jeszcze jednym etapem w mojej długiej, dobiegającej już drugiego dziesiątka lat pracy nad układaniem podręczników dla umiłowanej przeze mnie nauki języka i literatury ojczystej.

Warszawa, 28 września 1921 r.

Autor.

1. Początki jesieni.

Jesień szła coraz głębsza.

Blade dnie wlokły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bladsze — niby te święte hostje w dogasających brzaskach gromnic.

A co świtanie — dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś z nad zórz, leciały nisko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za niemi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom, pochylonym nad drogami — że spływały cicho, niby łzy — krwawe łzy — umarłego lata i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie — wsie budziły się później: leniwiej bydło szło na paszę, ciszej skrzypiały wierzeje [1]), i ciszej brzmiały głosy, przytłumione martwotą i pustką pól, i ciszej, trwożniej tętniło życie samo — a niekiedy, przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i te rogate, potężne łby podnosiły się od traw pożółkłych i, przeżuwając zwolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żałosny ryk tłukł się po pustych polach.

A co świtanie — mroczniej było i zimniej, i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach [2]), to wieszały się na nagich drzewach lub krążyły nad ziemią, kracząc głucho — jakoby pieśń zimy śpiewając żałosną.

Południa były słoneczne, ale tak martwe i nieme, że poszumy lasów dochodziły głuchym szmerem i bełkot rzeki roz-

---

[1]) wrota; [2]) kalenica — szczyt dachu.

legał się, jak łkanie bolesne, a szczątki babiego lata rwały się niewiadomo skąd i przepadały w ostrych, zimnych cieniach chałup.

A smętek konania był w tych południach cichych, na pustych drogach leżało milczenie, a w odartych z liści sadach czaiła się głęboka melancholja żałości i trwogi zarazem.

I często, coraz częściej niebo powlekało się buremi chmurami, że już o letnim podwieczorku [1]) musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat...

Doorywano podorówki [2]), że niektóry kładł skibę ostatnią już o gęstym mroku, a wracając do dom, obzierał się [3]) jeszcze za się na rolę i żegnał ją westchnieniem do wiosny.

A na przedwieczerzę [4]) często spadały deszcze, krótkie były jeszcze, ale zimne i coraz częściej przeciągały się do zmroku — do długiego jesiennego zmroku, w którym, jak kwiaty złote, płonęły okna chat i szkliły się kałużami puste drogi — a mokra zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach.

Nawet ten bociek z przetrąconem skrzydłem, co się był ostał, i którego widywano samotnie brodzącym po łąkach, przychodzić jął pod bróg, abo i zasię na samo podwórze.

A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś; i te zwyczajne, proszalne [5]), co to z torbą głęboką i pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem piesków — a były i drugie, insze, takie, co od miejsc świętych ciągnęły — i znały Ostrą Bramę, Częstochowę i Kalwarję, a rade opowiadały długiemi wieczorami, co się gdzie we świecie dzieje i jakie cuda się gdzie stały, a trafiał się niekiedy i taki, któren po cichu powiadał się aż z Ziemi Świętej i takie cudeńka prawił, takie kraje znał, przez takie wielgachne [6]) morza jechał, tyla przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających pobożnie, a niejednemu i uwierzyć było trudno w to wszystko. Ale chciwie słuchał, jako że każden rad się czegoś nowego dowiedział, a i wieczory były długie i do świtu wyspać się jeszcze można choćby i na oba boki.

Hej! jesień to była, późna jesień!

I ani przyśpiewków, ni pokrzyków wesołych, ni tego ptaszków piukania, ni nawoływań nie słychać było we wsi — nic, jeno ten wiatr, pojękujący w strzechach, jeno te dżdże, sypiące jakoby szkliwem po szybach, i to głuche, wzmagające się co dnia bicie cepów po stodołach.

---

[1]) po podwieczorku; [2]) płytkiej orki jesiennej; [3]) oglądał; [4]) przed wieczorem; [5]) chodzący po prośbie; [6]) ogromne.

Lipce [1]) martwiały równo jako te pola okólne, co wyczerpane, szare, odarte — w odpocznieniu leżały i cichości tężenia, jako te drzewiny nagie, poskręcane, żałobne — drętwiejące zwolna na długą, długą zimę.

Jesień to była, rodzona matka zimy.

Ino się tem pokrzepiano, że niema jeszcze pluchy, że drogi nie bardzo rozmiękły i może wytrzyma pogoda do jarmarku, na któren całe Lipce się wybierały, jakby na odpust jaki.

Bo jarmark miał być na świętą Kordulę [2]), walny i ostatni już przed Godami [3]), więc się nań wszyscy szykowali należycie.

Już na parę dni przedtem deliberowano [4]) po wsi, coby się sprzedać dało, czy z inwentarza, czy z ziarna albo też z drobnego przychówku. A że na zimę szło, to i kupować trza było niemało i z przyodziewku i ze sprzętów i z różnych różności gospodarskich, z czego i różne turbacje [5]) poszły i swary i kłótnie po chałupach, boć wiadomo przeciech [6]), że u nikogój [7]) się nie przelewa, a o grosz gotowy coraz to trudniej.

A tu i rychtyk [8]) w ten czas i płacić przychodziło podatki, to gminne składki i spłaty różne między sobą, a często i przednówkowe pożyczki, a jak niejeden, to i zasługi służbie — tyla tego razem, że niektóren, choćby i z półwłókowych, ciężko wzdychał i kalkulował [9]), a nic nie wychodziło bez wyprowadzenia na jarmark konia abo i krowy, a już o biedniejszych to i niema co rzec.

Więc też i jaki taki wyprowadzał krowinę przed oborę, wycierał jej ognojone boki wiechetkiem i na noc przyrzucał koniczyny, to gotowanego jęczmienia z kartoflami, byle jeno wypęczniała ździebko [10]); któren znów przysposabiał stare, poślepłe całkiem wywłoki, żeby chyla tyla [11]) do koni były podobne na ten przykład.

Insze znowu młóciły zawzięcie dnie całe, żeby zdążyć na jarmark. *Władysław Stanisław Reymont.*

2. Jesienią.

1. Z nad pastuszego wstające ogniska
Błękitne dymy w powietrzu się wloką
Daleko, szeroko
Na czarne role, na połowe ścierniska.

---

[1]) nazwa wsi; [2]) 22 października; [3]) Bożem Narodzeniem; [4]) rozmyślano; [5]) kłopoty; [6]) przecie; [7]) nikogo; [8]) właśnie; [9]) obliczał; [10]) nieco; [11]) choć trochę.

We mgle majaczą białe grzbiety wołów,
I pługi, rzędem ciągnące na roli,
Leniwie, powoli,
Pod niebem szarem i ciężkiem, jak ołów.

Wron stada kraczą nad zoraną smugą,
A za wołami krzyczą poganiacze
Żałośnie i długo,
A wiatr w pożółkłych drzewach cicho płacze.

Lucjan Rydel.

3. Złota jesień.

Dwudziestego października, około dziewiątej rano, Michał Rajecki, w ubraniu podróżnem i z kuferkami, jechał bryczką od stacji kolei. Niezwykłe okoliczności sprowadzały go o tej porze do Jużynt: z powodu cholery zawieszono wykłady na uniwersytecie dorpackim, z czego wynikły niespodziewane wakacje dla Michała, który przed dwoma miesiącami stąd był wyjechał. Ten okres zupełnie innych przeżyć koleżeńskiego życia uśpił w nim trochę wspomnienia z lata. Jednak i dzisiaj witał z rozrzewnieniem powietrze rodzinne, lecz czuł w niem zimniejsze niby przyjęcie z powodu posuniętej już jesieni, którą rzadko tu widywał. Na polach ruń ozima, na łąkach przywiędła trawa, pełno złotego liścia na drzewach i wody jezior, karbowane zimną falą, spienione u brzegów — kraj zadumał się trochę, postarzał.

Droga nie pyliła już pachnącym letnim kurzem, koła lgnęły do ziemi wilgotnej, chlapały po kałużach, pomimo że dzień był jasny, przesłonięty białawą oponą. Musiały przechodzić niedawno uparte deszcze. Smak powietrza był rzeźwy i cierpki, zaprawny fermentami późnej pory roku. Ale ta woń raduje nozdrza myśliwego.

Pomykał zając wyrośnięty i sprężysty po zielonej runi; nad podorywkami[1]) przeciągały nisko wielkie stada siewek, szare na szarem, jak poziome tumany oderwane od roli; w zaroślach zaś i w lasach czuł myśliwy przywarowanie i ostrożne wędrówki zwierzyny. Przepędzićby ten kawał lasu na nowinę — puścićby gończe w te zarośla, a stanąć w wąwozie między pagórkami. — — — Zając poszedłby po zboczu, a lis na pewno dołkiem.

---

[1]) podorywka — pole, zorane płytko przed zimą.

A właśnie bryczka skakała po wybojach drogi ni to leśnej, ni łąkowej, odcinającej szmat zagaju od przestrzeni, zadrzewionych wyniosłą jedliną, to znowu otwierających się długiemi polanami w głąb, w kraj falisty, narysowany według fantazji przyrody, bez śladu ludzkiego planu. Złoto żółte, rude i krwawe znaczyło domieszkę drzew liściastych: brzozy, osiny i dębu; olchom przymrozki zabrudziły tylko zieleń. Podcienia leśne już były usłane płowemi kobiercami jesieni.

Józef Weyssenhoff.

4. Deszcz jesienny.

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Wieczornych snów mary powiewne, dziewicze
Napróżno czekały na słońca oblicze...
W dal poszły przez chmurną pustynię piaszczystą,
W dal ciemną, bezkresną, w dal szarą i mglistą...
Odziane w łachmany szat czarnej żałoby,
Szukają ustronia na ciche swe groby,
A smutek cień kładzie na licu ich młodem...
Powolnym i długim wśród dżdżu korowodem
W dal idą na smutek i życie tułacze,
A z oczu im lecą łzy... Rozpacz tak płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Kto dziś mnie opuścił w ten chmurny dzień słotny...
Kto? Nie wiem... Ktoś odszedł i jestem samotny...
Ktoś umarł... Kto? Próżno w pamięci swej grzebię...
Ktoś drogi... wszak byłem na jakimś pogrzebie...
Tak... Szczęście przyjść chciało, lecz mroków się zlękło.
Ktoś chciał mnie ukochać, lecz serce mu pękło,
Gdy poznał, że we mnie skrę roztlić chce próżno...
Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jałmużną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... Jak ludzie wkrąg płaczą...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Przez ogród mój szatan szedł, smutny śmiertelnie...
I zmienił go w straszną, okropną pustelnię...
Z ponurem, na piersi zwieszonem szedł czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem,
Trawniki zarzucił bryłami kamienia
I posiał szał trwogi i śmierć przerażenia...
Aż strwożon swem dziełem, brzemieniem ołowiu
Położył się na tem kamiennem pustkowiu,
By w piersi łkające przytłumić rozpacze
I smutków potwornych płomienne łzy płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgle mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny.

Leopold Staff.

5. Deszcze jesienne.

Deszcze się rozpadały na dobre.

Już od samego jarmarku świat zwolna zatapiał się w szarych, mętnych szkliwach deszczów, że tylko obrysy borów i wsi majaczyły blade, niby z przemiękłej przędzy utkane.

Szły nieskończone, zimne, przenikające szarugi jesienne.

Siwe, lodowate bicze deszczów siekły bezustannie ziemię i przemiękały do głębi, aż drzewo każde, źdźbło każde dygotało w bezmiernym bólu. A z pod ciężkich chmur, skłębionych nad ziemią, z pod zielonawych szarug wychylały się chwilami szmaty pól poczerniałych, przemiękłych, rozpłaszczonych — to wybłyskiwały strugi spienionej wody, płynącej brózdami, albo czerniały drzewa samotne na miedzach — jak przygięte, nabrzmiałe wilgocią, trzęsły ostatniemi łachmanami liści i szamotały się rozpacznie, niby psy na uwięzi. Drogi opustoszałe rozlały się w błotniste gnijące kałuże. Krótkie, smutne, bezsłoneczne dnie wlekły się ciężko przegniłemi smugami światła, a noce zapadały

czarne, głuche, rozpaczliwe bezustannym, monotonnym chlupotem...

Przerażająca cichość ogarnęła ziemię.

Umilkły pola, przycichły wsie, ogłuchły bory. Wsie poczerniały i jakby silniej przywarły do ziemi, do płotów, do tych sadów nagich, poskręcanych i jęczących zcicha.

Szara kurzawa deszczów przysłoniła świat, wypiła barwy, zgasiła światła i zatopiła w mrokach ziemię, że wszystko wydało się jakby sennem majaczeniem, a smutek wstawał z pól przegniłych, z borów zdrętwiałych, z pustek obumarłych i wlókł się ciężkim tumanem; przystawał na głuchych rozstajach, pod krzyżami, co wyciągały rozpacznie ramiona, na pustych drogach, gdzie nagie drzewa trzęsły się z zimna i łkały w męce — do opuszczonych gniazd zaglądał pustemi oczami, do rozwalonych chałup — na umarłych cmentarzach tłukł się wśród mogił zapomnianych i krzyży pogniłych i płynął światem całym — przez nagie, odarte, splugawione pola, przez wsie zapadłe i zaglądał do chat, do obór, do sadów — aż bydło ryczało z trwogi, drzewa się przeginały z głuchym jękiem, a ludzie wzdychali żałośnie w strasznej tęsknocie — w nieutulonej tęsknocie za słońcem.

Władysław Stanisław Reymont.

6. Bór zimą.

Bór był stary, ogromny, wyniosły; sosna stała przy sośnie nieprzeliczoną ciżbą, gęstwą nieprzebraną a tak śmigłą, prostą i mocarną, że widziały się, kiej te wielgachne słupy z opleśniałej miedzi, majaczące w mroku szaro-zielonych sklepień nieprzejrzanemi rzędami — posępne, lodowe brzaski biły z dołu od śniegów, zaś w górze, przez strzępiaste konary, niby wskróś zdziurawionych strzech, świtało niebo białawe i mętne. Wichura przewalała się górą, że czasami cichość się czyniła jakby w kościele, kiedy to znagła organy zmilkną i śpiewy ustaną — a jeno szemrzą wzdychy ostatnie, tupoty, pogasłe brzmienia pacierzów i te przytajone, konające nuty — bór stawał wtedy nieruchomy, oniemiały, jakby wsłuchany w grzmotliwą wrzawę, w ten dziki krzyk pól tratowanych, co rwał się gdziesik ze świata i niósł wysoko, daleko, że tylko jękliwym świegotem drgał po lesie.

Wnet jednak wicher uderzał w bór całą mocą, wszystkiemi kłami trzaskał o pnie, wżerał się w lute głębią, porykiwał

w mrokach, targał olbrzymami, ale na darmo, nie przemógł, bo wyzbyty z sił, opadał, głuchnął i marł ze skowytem w gęstych, przyziemnych krzach — a las ani drgnął, ni jedna gałąź nie trzasnęła, ni jeden pień się zakołysał, cichość była jeszcze głębsza i bardziej przerażająca, że tylko ptak jaki niekiedy załopotał wskróś mroków.

A czasami znowu wichura spadała tak nagle, niespodziewanie i potężnie, jak ten jastrząb spada zgłodniały, tak łomotała skrzydłami, rwała wierzchoły, gniotła i rozwalała wszystko ze wściekłym rykiem — aż bór drgał jakby przebudzony, otrząsał się z martwoty, chwiał z końca w koniec, drzewa kolebały się od drzew, pomruk leciał groźny, przyduszony i znagła bór się prostował, podnosił, szedł, jakby, przyginał ciężko, i uderzał ze strasznym krzykiem, a bił już jak ten mocarz oślepły gniewem i pomstą, że wrzask się zrywał, bój napełniał las, strach padał na wszelkie stworzenia, przyczajone w podszyciach, a oszalałe z trwogi ptactwo tłukło się wśród śniegów, lejących się wzburzonemi strugami i wśród podruzgotanych gałęzi i wierzchołów. A potem nastawały długie, zgoła martwe cisze, w których słychać było wyraźnie jakieś dalekie, ciężkie łomoty.

— Las rąbią przy Wilczych dołach, gęsto się wali — szepnął stary, nasłuchując nad ziemią głuchych drgań.

— Nie marudźcie, do nocy siedzieć nie będziemy.

Zaszyli się w wysoki, młody zagajnik, w taki gąszcz splątanych i zwartych ze sobą gałęzi, że ledwie się mogli przeciskać do środka, cisza ich otoczyła grobowa, żaden głos się już tam nie przedzierał, nawet światło jeno z trudem sączyło się przez grubą pokrywę śniegów, wiszącą na czubach niby dach Ziemista, spopielała szarość zapełniała głębię, śniegu prawie nie było na ziemi, a tylko opadły zdawna, zwietrzały susz zaścielał miejscami po kolana, kajś niekajś [1]) zieleniły się pólka mchów, to jakby przetajone przed zimą zżółkłe jagodziny albo muchar zaschnięty.

Hanka obłamywała kulką [2]) co grubsze gałęzie, przycinała je do jednego wymiaru, układając w rozpostartą płachtę, a robiła tak zapalczywie, aż chustkę zrzuciła z gorąca i może w jaką godzinę narychtowała [3]) takie brzemiono drewek, iż ledwie mogła je sobie zadać, stary też narządził pęk niezgorszy, obwiązał sznurem i wlókł go, rozglądając się za pniem, by z niego łacniej wziąć

---

[1]) gdzie niegdzie; [2]) długi kij z zakrzywieniem u góry; [3]) uszykowała.

na plecy. Hukali na kobiety, ale w dużym lesie znowu się srożyła wichura, to się i nie skrzyknęli.

— Hanuś, do topolowej nam się przebrać, lepiej będzie, niźli przez pola.

— To chodźmy, pilnujcie się mnie i daleko nie ostajcie.

Wzięli się zaraz z miejsca na lewo, przez kawał starej dębiny, ale ciężko było, śnieg leżał po kolana, to gurbił się miejscami w zagony, bo drzewa stały rzadko i bez liści, tyle, gdzie niegdzie wśród rozłożystych potężnych konarów trzęsły się siwe brody, tu i owdzie jaki młody dąbek, pokryty zrudziałemi kudłami, przyginał się do ziemi ze świstem. Wiatr dął z całej mocy i tak kurzył śniegami, że iść było niepodobna, stary się wnet zmęczył i ustał, a i Hance sił brakowało, to jeno wspierała się brzemieniem o drzewa, wystrachanemi oczami szukając lepszej drogi.

— Nie przejdziemy tędy, a za dębiną mokradła, nawróćmy do pól.

Jakoż nawrócili w duży i zwarty las sosnowy, gdzie ciszej było nieco i śniegi nie zalegały tak wysoko, a pokrótce wyszli na pola — ale tam szły takie zakurki [1]), że świata nie rozpoznał nawet na to śmignięcie kamieniem, nic, jeno biała, rozkłębiona, przewalająca się ćma. Wicher zaś wciąż parł ku borowi, odbijał się, kiej od ściany, przewalał wznak na pola, ale wstawał niezmożony, zgarniał całe góry śniegów i niby tą białą chmurą prał w drzewa, aż jęk leciał po lesie, a tak mącił, zakręcał i bił, że, ledwie weszli na zagony, starego ciepnął [2]) o ziem, aż dźwigać go musiała, sama ledwie mogąc się utrzymać na nogach.

Wrócili do boru i przykucnąwszy za pniami, medytowali, którędy pójść, bo całkiem już nie wiada [3]) było, w jaką stronę się obrócić.

— Tą dróżką na lewo, a wyjdziemy niechybnie do topolowej, przy krzyżu.

— Kiej [4]) całkiem nie baczę tej dróżki.

Tłumaczył długo, bo się bała puścić na niepewne.

— A miarkujecie aby, w jaką stronę się wziąć?

— Od lewej ręki widzi mi się.

Powlekli się wzdłuż lasu, pobrzeżem, skrywając się nieco od naporu wichury.

---

[1]) zadymka śnieżna; [2]) przewrócił z rozmachem; [3]) niewiadomo; [4]) kiedy. [5]) lecę, biegnę; [6]) pewno; [7]) lekko.

— Chodźcie prędzej, nocy tylko co patrzeć.

— Jeno tego powietrza złapię i letę, Hanuś, letę... [5])

Juści [6]), nie letko [7]) się im było przebierać, dróżkę całkiem zasypało, a do tego z boku, od pól, wciąż grzmocił wicher i ciepiał śnieżycą, próżno się chronili za drzewa, to przywierali, jak te zajączki pod jałowcami, wszędzie przewiewało do kości, zaś głębią straszno było iść, drzewa szumiały dziko, cały las się kolebał i prawie ziemię zamiatał konarami, gałęzie siekły po twarzach, to czasami z takim trzaskiem padały chojary, iż się wydawało, jako cały bór runie zdruzgotany. Biegli też, co ino sił i tchu starczyło, aby rychlej dopaść drogi i zdążyć przed nocą, która mogła spaść leda chwila, bo już szarzało nieco na polach, i wskróś skołtunionych śniegów przewijały się ślepe smugi, kieby te dymy jeszcze nikłe.

Dorwali się wreszcie drogi i padli pod krzyżem, ledwie żywi z utrudzenia.

Krzyż stał na kraju lasu, tuż przy drodze, broniły go od boru cztery ogromne brzozy w białych gzłach, z obwisłemi niby warkocze gałęziami, na czarnem drzewie był rozkrzyżowany Chrystus z blachy, pomalowanej w takie kolory, że jak żywy się widział, snać wiatr oderwał go, bo wisiał tylko na jednej ręce, trzaskał sobą o drzewo i skrzypiał zardzewiałym głosem, jakby litości prosił i poratunku. Brzozy, targane wichurą, okrywały go cięgiem [1]) sobą, trzęsły się, przyginały, a śniegowe tumany zasypywały kurzawą, że stał cały w mgłach, przez które migotało Jezusowe sine ciało i jego blada okrwawiona twarz, wychylała się raz po raz z bielizn, aż się luto [2]) robiło na sercu.

Władysław Stanisław Reymont.

7. Las w noc zimową.

Las ciemny, srogi oświetlony blaskiem księżyca. Ogromne śniegi na nim leżą, na czarnym lesie. Dzwonią janczary [3]) i echo ich odbija się w kniei, jak zuchwałe wzywanie do boju. Księżyc w zimnem przestworzu króluje. Źrenice nie mogą oderwać się od jego tarczy i przedziwne szepty, półsłowa, wreszcie jakieś wyrazy płyną do niego z piersi. To bezlitosne światło woła ku

---

[1]) ciągle, wciąż; [2]) straszno; [3]) dzwonki u sanek;

sobie, wciąga na wysokość ku słodkiej harmonji, ku rozkosznym, jako ta leśna, melodjom.

Ojciec lubił tamtędy jeździć, drogą „na las“, mało znaną. W tych ostępach włóczyły się stada wilków. To też, gdy wyjeżdżano w posępne gąszcze drzew zwartych, podsypywano prochu na panewki [1]) dwu flint i dobywało się z za pasa podwójne pistolety. Słychać jeszcze szept modlitw matki. Dreszcz zimny do szpiku przejmuje i, niby czyjeś skostniałe palce, podnosi włosy na głowie. Janczary rzegoczą coraz głośniej, im dalej w knieje; wreszcie zda się, że biją, jak dzwony. Cztery konie mkną drogą, której nie przetarła sanica [2]). Od uderzeń kopyt rozpryskują się zadmy [3]) śniegu, jak góry pytlowej mąki. Kiedy niekiedy coś pod saniami trzaska. W lesie słychać niepojęte głosy... Cały bór wre i huczy od echa janczarów.

Aż oto w pewnem miejscu zasłona świerków na krótko się rozchyla: z wąskiej leśnej polanki widać górę, a na niej poszczerbione ruiny. Księżyc oświetla śnieg i lód, który na gzymsach zburzonych ścian, na krawędziach wybitych okien leży. To ruiny arjańskiego [4]) kościoła.

Stefan Żeromski.

8. Noc zimowa.

Nie wiało już na polach, jeno czasami wiater przegarniał miękkim powiewem i, kieby [5]) temi pieszczącemi szeptami, przechładzał rozpalone twarze. Nie było gwiazd jarzących ni księżyca, niebo wisiało nisko, skłębione brudnemi i poszarpanemi runami chmur, kieby to stado wołów burych, zaległo puste i nagie ugory, a dale majaczyły, jakoby przez szare, rozwleczone dymy, że świat cały zdał się utkany z mgieł, drgającej wszędy ciemności i wzburzonego mętu.

Głęboki, niepokojący a ledwie odczuty szmer drgał w powietrzu, płynął jakby od borów, zatopionych w nocy, albo od chmur, z tych dzikich rozpadlin, z których raz po raz wyfruwały stada białych obłoków, uciekających chyżo, kieby klucze wiosennego ptactwa, gonione przez jastrzębie.

Noc była ciemna i boleśnie wzburzona, głucha a pełna dziwnego ruchu, pełna lęku, niepochwytnych drgań, trwożnych szmerów, przyczajonych zjaw i nagłych stawań rzeczy niewy-

---

[1]) miejsce w dawnej broni palnej, gdzie zapalał się proch. [2]) płoza u sań [3]) zaspy; [4]) arjanie—sekta religijna w XVI w.; [5]) jakby.

tłumaczonych a przerażających; czasami, znagła, z pod zwałów ciemnicy wybłyskiwały widmowe bladości śniegów, to jakieś lodowe, wilgotnawe, ropiące brzaski pełzały w wężowych skrętach wskróś cieniów, to znowu noc jakby zawierała powieki, mroki spadały czarną, nieprzeniknioną ulewą, i świat cały przepadał, że oczy, nie mogąc się uchwycić niczego, zsuwały się bezsilnie w samą głąb przerażenia, i dusza drętwiała, przywalona głuchą martwotą grobu, a chwilami rozdzierały się przysłony cieniów, pękały, jakby gromem rozprute, i przez straszliwe rozpadliny chmur widać było w głębokościach granatowe pola ugwieżdżonego, cichego nieba.

To znowu z pól czy od chałup, z nieba czy z zatopionych dali, nie wiada zgoła skąd, drgały rozprysłe, pełzające jakby głosy, jakby blaski, jakby echa jakieś zgubione, widma dźwięków i rzeczy dawno pomarłych, a błądzących po świecie, płynęły żałosnym korowodem i ginęły niewiadomo gdzie, jak te pomarłe światłości gwiezdne.

Władysław Stanisław Reymont.

9. Zamieć nocna.

Obijały się o ich uszy zdala lecące poświsty i przyziemny huk, gdy wicher głuchemi polami gnał w międzyleśne szyje, na zamarznięte smugi [1]) i przydęte [2]) pastwiska w doliny wśródgórskie. Głęboka do nich mówiła samoistna moc i groźny urok obejmował dusze. Obadwaj byli zasypani śniegiem, zgrzani i wzburzeni. Nim się spostrzegli, już ich poczęło zadymać, a sąsiek śniegowy rósł stale dokoła nóg końskich i przed saniami.

Drzewo powiewało gałęźmi. Od chwili do chwili, po krótkich przerwach ciszy, dział się w niem jak gdyby taniec przedziwny, pełen pohutnego [3]) kłapania. Hub wbijał oczy w ciemność, z przestrachem i zdumieniem spostrzegając, jak wielkie łapy jodłowe, obleczone w grube, białe rękawice ze śniegu, klaszczą raz wraz jedna w drugą — „kosia — kosia — kosiana...“ Zdało mu się widzieć zawodzenie czubem pijanego, głupio ślepego — „da-dyna...“

Dalsze spławy [4]) drzewne, szerokie i obwisłe, zamieć podgarniała wysoko, jakoby podół olbrzymiej spódnicy, i wiewała

---

[1]) strumyki; [2]) zawiane śniegiem; [3]) wesołego; [4]) coś spływającego, tu: gąszcz gałęzi;

niemi dookoła konia. Wewnątrz włochatych gałęzi pień głucho i ponuro stękał.

Aczkolwiek jodła osłaniała od wiatru, zimno się wzmagało. Stojących bez ruchu wicher przejmował w ramionach i plecach do szpiku kości. Nogi od wielkich palców poczynało kłuć szpilkami. Śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, sypki i zaciekły.

Pan Rafał okrył plecy chłopca kilimem [1]), obiedwie jego nogi obrócił w jedną stronę z końskiego boku, sam przytulił się do tego boku i grzał dziecko sobą. Stopy swe w śniegu otulił drugim kilimem i tak, objąwszy się, grzejąc konia i nawzajem przezeń ogrzewany, pod zasłoną drzewa przetrwać postanowił burzę.

Tymczasem zadymka wciąż potężniała, a wiatr się do istotnego szału rozpętał. Ojciec raz wraz upominał synka, żeby zaś nie drzemał. Ale malcowi, właśnie jakby naprzekór, śnić się poczynały różności, głowa, jak kowadło, ciężyła, a oczy zlepiały się, niby pod nawałą lotnych płatków śniegu. Wielka jodła śmiała się z niego niemiłym chichotem, magał się w mroku potworny jej kadłub, jakoby obraz grubego i sprośnego chama, gdy spity do zbydlęcenia w czarnem karczmisku tańcuje sam ze sobą w próżni i szaleństwie. Chwilami ów taniec przeistaczał się w groźne zawodzenie. Objęcia gałęzi schylały się nisko, coraz niżej. Długie pazury, wysunięte z kosmatych, białych osłon, sięgały po głowę.

Pan Rafał w półdrzemaniu czuwał wciąż nad jednem wspomnieniem. Miał w wyobraźni stada wilcze. Zaniedbał był wziąć broni ze sobą, a wilki w tej leśnej stronie nie były rzadkością. Zimową porą stada ich zaglądały na podwórza folwarków. Teraz żywiej, niż kiedy indziej, miał w pamięci zdarzenie, gdy w noc księżycową, na skutek zajadłego szczekania kundysów pod dworem, wyjrzawszy oknem, zobaczył ogromnego wilka tuż pod gankiem. Przypomniały mu się najżywiej wszystkie afekty [2]), gdy, naciągnąwszy buty na bose nogi i narzuciwszy na ramiona tylko lisiurkę, wyszedł na ganek i strzelił do napastnika. Pamiętał, jak pojedynek uskoczył za bramę i jak to on sam jeden — z ostatnim nabojem w lufie dwururki — pędził za nim wygrodzoną drogą aż poza stodoły. Przeszedł wspomnieniem kolejno

---

1) dywan ludowego wyrobu, zszywany z różnobarwnych kawałków; 2) uczucia, wrażenia.

każde wrażenie, gdy tak naprzeciwko siebie stali w jaskrawem świetle księżyca: wilk w polu, o kilkanaście kroków oddalony, i on sam pod wysokim parkanem za folwarcznemi stodołami. Oto śni się, że, jak wtedy, zmierzył do zwierza i trzyma kolbę przy policzku... Oto wilk nagłym piorunowym susem skoczył ku niemu i runął mu u nóg, gryząc krwawym pyskiem zmarznięte zagony, gdy go nieomylnym strzałem powalił.

Mrowie tamtego wspomnienia nie chciało z ramion odejść. Tkwiły wciąż w nieświadomej pamięci nieznośne obrazy bezrozumnej walki z potworem za dawnych dni młodych... Postanowił czekać choćby do rana i nie oddalać się od drzewa, ostatniej obrony w razie napadu wilczej czeredy. Nie było to zaiste rozumowanie, lecz gorzkie czucie, napół jasnowidzenie czegoś groźnego, co w pobliżu czyha, pod zasłoną tej ciemnej nocy.

Hub coś sennie gwarzył. Głowinę oparł na ojcowskiem ramieniu. Wszyscy troje, nie wyłączając Łyski, cierpliwie nasłuchiwali, raz wraz podnosząc głowy i nastawiając uszy. Gdy wiatr się znagła wzmagał na obraz szaleństwa tego całego obszaru, a noc huczała, pan Rafał otulał szczelniej derą dziecko, sam się doń przyciskał i czekał z bijącem sercem.

I oto znagła, jak gdyby wyczarowane z nicości przez niepojęte uczucie, kędyś w nocy, daleko, daleko błysły i pogasły dwa światełka. Wnet znowu błysły — i przygasły.

— Wilcze ślepia... Czy sen? — zmagał się w sobie Olbromski.

Wlepił w próżną noc oczy... Oto znowu: zabłysło — przygasło!... Porwał dziecko w ramiona, przekonany, że to nie złuda, i nie mówiąc ani słowa, otulił je w derę i chwilę jeszcze czekał, nim się rzucić i drapać po gałęziach na szczyt jodły. Głucha wewnętrzna modlitwa snuła mu się po wargach.

Dwa światełka znowu zaświeciły i zgasły. Lecz razem w podmuchu wiatru dopadł ucha tęskny, błogi dźwięk.

— Tatuś! Dzwonek!... — porwał się mały.

— Tak jakby prawda... Dzwonek... — wyszeptał ojciec.

Wpatrzyli się w przestrzeń Wsłuchali w wicher. Dojrzeli przeciągle błyszczące dwa światła. Ujrzeli wyraźnie ich kołysanie miarowe. Usłyszeli daleki, daleki pogłos... Serca uderzyły z radości. Zaszeptali do siebie bez sensu i związku. Połysk i głos zbliżały się bardzo powoli. Czekali cierpliwie w milczeniu. Nareszcie, gdy w ciągu kilku chwil obaj widzieli wyraźnie migotanie i słyszeli daleki klangor jednotonnej melodji dzwonka, rzucili się do sanek i pojechali co tchu na spotkanie światła.

Łyska, skostniała z zimna, w cwał pobiegła.

— Kto też to tędy może jechać ze światłem i dzwonkiem? — głośno rozmyślał Olbromski.

— Może to nas Michcik szuka?

— Ale gdzie! W najgorszym razie przypuściłby, że nocujemy w motkowskim dworze.

Coraz wyraźniej widzieli dwa kręgi światła latarni i odróżniali każde uderzenie podróżnego dzwonka. Wreszcie pan Rafał okrzyknął zdala zbliżający się pojazd. Światła w miejscu stanęły. Podjechał blisko — i spostrzegł w światłach, padających od latarni, zady dymiące, nogi i uprząż pary koni.

Stefan Żeromski.

10. Ranek wiosenny.

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł, jako ten parob, któren [1]) legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna [2]), zrywać się ano [3]) musi nadedniem, by wnetki [4]) imać się pługa i do orki się brać.

Poczynało dnieć.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew pośpionych w mącie nieprzejrzanym. Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiała, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły, niby mleko, wzburzone przy udoju, zalewały łęgi i pola nizinne. Kokoty [5]) zaczęły piać na wyprzódki gdziesik [6]) po wsiach jeszcze nie widnych.

Ostatnie gwiazdy gasły, kiej oczy, śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie, rozlewające z pod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały [7]) znagła, wzdęły i, ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola, albo zasie, kieby dymy kadzielne, wionęły sinem przędziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał [8]) z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

---

1) który; 2) dostatecznie; 3) jednak; 4) zaraz; 5) koguty; 6) gdzieś; 7) zachwiały; 8) wzmagał.

Niebo się rozlewało zwolna światłościami, zniżając się coraz barzej nad światem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnię czuby drzew, oprzędzone mgłami, a gdzie znów, na wyżach, jakieś pola szare, przesiąkłe rosą, wyleniały się z nocy; to stawy zamigotały poślepłemi lustrami, albo strumienie, kiej długachne, orosiałe przędze, wlekły się wskroś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć, jakoby krwawe łuny pożarów, jeszcze niedojrzanych, i tak się galanto [1]) rozwidniało, iż ano bory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzie niegdzie pod zorze, kieby te czarne kamienie z pod wody spienionej, i poniektóre już drzewa, co bliższe, srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że leda pacierz wyłupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał [2]) ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się żdziebko, przecykał zwolna, ale jeszczech [3]) się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku [4]), bo cichość padła barzej [5]) w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytaiła, jeno wiater, jako to dychanie dzieciątka, cichuśki, powiał od lasów, aż rosy potrzęsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej [6]) ma wnieść na Podniesienie Hostję Przenajświętszą — wystrzelił znagła głos skowronkowy...

Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czystego srebra sygnaturka [7]), jako ten wonny pęd wiośniany, tlił się w bladem niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć, śpiewać zawzięcie a poranek głosić wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

---

1) pięknie; 2) otwierał; 3) jeszcze; 4) ostatni sen; 5) bardziej; 6) ksiądz proboszcz; 7) mały dzwon kościelny.

Słońce zaś było ino, ino... [1])

A i ono pokazało się z za lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Boże, niewidzialne ręce nad sennemi ziemicami i, żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby znagła padło w proch przed majestatem i zamilkło, przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły, kiej wonne dymy, biły z łąk ku rozzłoconemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczynień.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej i wielkie, gorejące, ciepłe, kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego, brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

Władysław Stanisław Reymont.

11. O świcie wiosną.

Bardzo rano doktór Judym wybrał się na rewizję swoich zdechlaków we wsiach okolicznych. Miało to miejsce w pierwszych dniach kwietnia. Jeszcze łąki były mokre, role ciemne, na gościńcach kisły głębokie bajora. Powiększał je drobny, nieustanny deszczyk, siejący mgłę ruchomą, lecącą z głębi płynnych, wolnych westchnień wietrzyka. Można było, skacząc tu i owdzie przez rowy, czepiając się pleciaków, [2]) iść bez zamoczenia choćby i kilka wiorst drogi.

Doktór miał na sobie ciepłą kurtę, a na nogach grube buty z cholewami. Szedł, tonąc w srogich myślach i wygwizdując pewną znaną arję z takiem fałszowaniem głównego motywu, jakie Europejczykowi mogło ujść na sucho tylko w okolicach Cisów i to w szczerem polu.

Droga ciągnęła się brzegiem lasu, po gruncie pagórkowatym i urwistym. To zapadała w wąwóz, to pięła się na wzgórza, to znowu, jak prosty szew, odcinała pole rozesłane na placu, wykarczowanym w lesie. W nizinach, o gruncie bardzo, wilgotnym, leżały już jasne murawy, budzące wspomnienie prze-

---

[1]) tylko, tylko co; [2]) pleciak — płot, pleciony z gałęzi.

cudownego rumieńca życia na obliczu człowieka, który był w ciężkiej chorobie śmierci bliski. W działkach włościańskich stała jeszcze mokra martwota. Doktór pośpieszał, żeby wejść na punkt wyższy, panujący nad okolicą, a to w celu zobaczenia tarczy słonecznej, która jeszcze nie wychyliła się z za przeciwległej góry, choć już płynęła nad ziemią.

W lesie, którego brzegiem postępował, chwiała się wilgoć wiosenna. Mchy, wiszące na sękach świerków, jak siwe, obmarzłe futra zimowe, były mokre, i co chwila kapały z nich ciemne krople. Tylko one sprawiały ruch między uśpionemi drzewami. Zdawało się, że to z nich wydziela się ostry, wilgotny, leśny zapach. Tu i owdzie na pniach wisiały obdarte płaty kory, które wiosna, niby brzydkie łachmany, syciła wodą i wolno ściągała ku ziemi. Głębie przetrzebionego lasu zalegała jeszcze mokra ciemność, w której miętosił się opar leśny. Pnie osiczyny były jakieś żółtawe. Graby od deszczu lśniły się i czerniały, jak stal. Na jasnej, podszczytowej korze sosen tworzyły się zacieki, niby rysunki dziwnego kształtu, kontury jakichś rzeczy, sylwetki szczególnych twarzy... Między obmokłemi pniami i gęstwiną gałęzi, zwisających pod ciężarem dżdżu, przywabiała oczy, niby senna mara, nie dająca się żadnym sposobem odegnać, to brzózka schylona, to młoda osika, mnóstwem świeżych pąków obrzucona, jakby rozżarzonemi węglami. W człowieku coś się cieszyło na widok tych drzewek i coś je pozdrawiało z głęboką czułością.

Stefan Żeromski.

12. O witajże nam, wiosenko!

O witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O witajże nam, wiosenko
Gorąca!
Ty białą roztaczasz ręką
Kobierce z ziela,
Ty białą zapalasz ręką
Blask słońca.
Jasne, jak kryształ, potoki
Zsyłasz na ziemię,
Jasne, jak kryształ, potoki
Świat poją:
Przebudź z zadumy głębokiej
I ludzkie plemię,
Przebudź z zadumy głębokiej
Brać moją.
Grudzień rozsypał swe szrony
Na senne skronie,
Grudzień rozsypał swe szrony
Na serce.
I duch, tym lodem zmrożony,
Siłą nie płonie,
I duch, tym lodem zmrożony,
W rozterce.
Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Złotych promieni,
Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Błękitu,
Lecz zgniótł nas żywot skazańców
I my znużeni.

Ach! zgniótł nas żywot skazań-
Bez bytu! [ców
Nie wiń nas, wiosno, że lice
W walce nam bledną,
Nie wiń, że marszczą się lice
W tej nędzy,
Lecz spuść rzeźwiącą krynicę
Na duszę biedną —
O! spuść rzeźwiącą krynicę
Co prędzej!
O witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O witajże nam, wiosenko
Gorąca,
I białą roztaczaj ręką
Kobierce z ziela,
I białą zapalaj ręką
Blask słońca!

Jan Kasprowicz.

13. Wieczór wiosenny.

Wieczór był ciemny, ale cichy i ciepły; gwiazdy jeno zrzadka przebłyskiwały w płowych głębokościach; na moczarach leżały białe, grube kożuchy oparów, żaby zaczynały rehotać, a niekiedy zabłąkało się jękliwe kwilenie czajek.

Ziemię zaś otulały mroki, że jeno kajś wynosiły się na jaśnię nieba drzewa pospane, sady szarzały, jakby wapnem skropione, a bijące zapachami, niby z trybularzów rozżarzonych; wiśniowy kwiat pachniał, i bzy, ledwie roztlałe, pachniały zboża, wody i te ziemie przewilgocone, a każden [1]) kwiat czuć było zosobna, i wszystkie razem wionęły upajającym, słodkim zapachem, jaże w głowie się kręciło.

Wieś jeszcze nie spała, ciche pogwary trzęsły się od progów i przyżb, tonących w ciemnościach, zaś drogi, przysłonione cieniami drzew, a jeno gdzie niegdzie porznięte świetlistemi pręgami, z okien bijącemi, mrowiły się od ludzi. A wieczór cichy, wiośniany, pachnący, nabrzmiały radością powitań, przejęty świętą cichością szczęścia, płynął niepowstrzymanie. Gdziesik w nocy, w rozpachnionych sadach czy na polu, fujarka zaświergoliła tęskną nutą, jakby do wtóru tym szeptom i radościom.

Zaś na moczarach żaby zarehotały wielkim chórem, niekiedy jeno przerywanym, a drugie, we stawie, przymglonym, kiej [2]) oko zasypiające, odpowiadały im przeciągłem, sennem, coraz cichszem hukaniem... aż dzieci, baraszkujące po drogach, jęły się z niemi przemagać i krzyczeć, przekomarzając:

Reh! reh! reh!
Bocian zdechł!
Ja rada, ty rada, obie my rade!
Rade! rade! rade!...

Władysław Stanisław Reymont.

---

[1]) każdy; [2]) jak.

14. Noc wiosenna.

Mamy noc ze wschodzącym księżycem. Mroki panują dokoła. Rzeczka pluszcze, obmywa cząstki ziemi, nieznacznie tworzy zatoki, nurtuje dno, zlizuje kamyczki i zabiera wam, ludzie, tę ziemię, którą tak miłujecie i swoją być mienicie. Po obu stronach obsiadły strugę olchy, kąpią w niej swoje korzenie, mgłami jej zraszają swe liście. Białe ćmy przelatują nad powierzchnią wody, z której rybka się czasem wynurzy, podskoczy, chwyci bezbronnego owada, pluśnie i uchodzi że zdobyczą, ścigana przez współplemienną zgraję.

Mamy noc ciepłą, letnią; woń młodej wikliny oraz topoli balsamicznie rozlewa się w powietrzu. Derkacze i przepiórki niezmordowanie głoszą o zajęciu w swoje posiadanie łąk, jako też łanów zbożowych. Świerszcze trylowy koncert sprawiają sobie po ogrodach. Z oddali, gdzieś w sadzie, tęskliwie nawołuje sowa. Górą, jakby duchy ciemności, rysują się nietoperze, walczące podczas nocy o życiowe zadania. Czasem, niby z procy wyrzucony kamień, przeleci lelek [1]), ledwie go okiem uchwycić zdołasz, a już znika w ćmach nocnych. Rozkukują się w łąkach po kałużach żaby, a inne gwarzą nieustannie na wyścigi ze sobą, choć jedna drugiej przekrzyczeć nie zdoła.

Na wieśniaczej stodole stoi bocian, kiwa się we śnie, przysiada; czasem maleńkim jego pisklętom coś się przyśni: zbudzone, prowadzą krótką rozmowę z matką, popiszczą i znowu zasną. Może je rozbudziło poszczekiwanie psa z sąsiedniego sioła, co się od czasu do czasu odzywa niedbale, jakby zaspany. A stary ojciec bocian po łąkach późno w noc za żerem ugania. Nieraz przyleci do gniazda o północy, rozbudzi rodzinę i przy księżycu krótką z nią wszczyna rozmowę. I kur się wtedy zatrzepoce na grzędzie, pieje, a za nim kolejno, przeróżnemi głosy, rozlega się po chatach i innych kurów pianie. Zwierzęta podają sobie nocą hasło pozdrowienia, czy czuwania. Oto i gęsi podniosły wrzawę, łącząc ją z głosami innych stworzeń.

Adolf Dygasiński.

---

1) ptak nocny drapieżny.

15. Nocna cisza.

Ach oszukałaś ty mnie, nocna ciszo!
Ach! oszukałaś mnie, ciszo kojąca,
W której się róże uśpione kołyszą,
W blaskach miesiąca!
Wierzyłam tobie, słuchając milczenia
Lasów, co do snu bez szumu się kładły:
I wód, co swemi srebrnemi zwierciadły
Odbiły gwiazdy bez drżenia.
Wierzyłam tobie, patrząc w błękit cichy,
I w sennych kwiatów zamknięte kielichy,
I na tę łąkę od mgieł lekkich jasną...

Wierzyłam tobie. Ach, i nadaremnie!
Bo oto burza zerwała się we mnie...
O ciszy nocna! kiedyż duchy zasną?

Marja Konopnicka.

16. Zmierzch.

Między grube pnie kilku świerków, co sterczą samotnie na skraju poręby, plamiącej mnóstwem czarnych pniaków zgniłozielony upłaz [1]) wzgórza, zsuwało się słońce, pławiąc się w miedzianym blasku, podobnym do przejrzystego kurzu, nieruchomą warstwą nawisłego nad daleką widownią. Odblaski jego lśniły jeszcze na krawędziach chmur, wyzłacając je i zabarwiając szkarłatem, wrzynały się między fałdy szarych kłębów i szkliły na wodach.

W bróździach ściernisk i podorywek [2]) jesiennych, na sapowatych niwkach i świeżych karczowiskach, gdzie stały smugi wody po niedawnej nawałnicy, mieniły się rude plamy, jak kawałki szyb przepalonych. Na szare, przyklepane skiby padał uciążliwy dla oczu, zwodniczy cień fioletowy, piaszczyste wydmy żółkły, zielska na przykopach, krzaki na miedzach miały jakieś nieswoje, chwilowe barwy.

W głębokiej kotlinie, otoczonej ze wschodu, północy i południa podkową wzgórz, obdartych z lasu, płynęła struga, rozlewając się w zatoki, bagna, płanie [3]) i szyje, powstająca tam właśnie ze źródlisk zaskórnych. Dokoła wody, na torfiastym kożuchu

---

[1]) stok; [2]) pól, zoranych płytko jesienią; [3]) rozlewiska.

rosły gąszcze trzcin, wysmukłe sity, tataraki i kępy niskiej rokiciny. Nieruchoma, czerwona woda świeciła się teraz z pod wielkich liści grzybienia i szorstkich wodorostów w postaci bezkształtnych plam blado-zielonych.

Nadleciały stadkiem cyranki, krążyły kilkakroć z wyciągniętemi szyjami, przerywając ciszę melodyjnym, dzwoniącym świstem skrzydeł, zataczały w powietrzu elipsy coraz mniejsze, wreszcie zapadły w trzciny, z łoskotem rozbijając wodę piersiami. Ucichł dudniący lot bekasów, głuche wołanie kurki wodnej, ustało dowcipne pogwizdywanie kulików, poznikały nawet szklarze i modre świtezianki, wiecznie trzepoczące siateczkowatemi skrzydłami dokoła badylów sitowia. Błądziły tylko jeszcze po świetlanej powierzchni głębin niestrudzone muchy wodne na swoich szczudlastych nogach, cienkich jak włosy, a zaopatrzonych w kolosalne i nasycone tłuszczem stopy — i pracowało dwoje ludzi.

Stefan Żeromski.

17. O zmierzchu.

W ogromnej, świętej ciszy krąg słońca umiera,
Różowiąc nieboskłony zorzą bladozłotą.
Przejmującą tkliwością zmierzch marzący wzbiera
Jakąś nieutuloną, bezdenną tęsknotą.

Ciepła, najczulsza słodycz miękkiego powiewu
Muska, jak pocałunek ust, liście z szelestem.
Ziemia pośród pieszczoty upojnej zalewu
W ramionach mroku leży, śniąc, a ja sam jestem...

Pełne, rozkoszne szczęście oszołomnych woni
Stapia się z senną rosą, skrzącą w traw kobiercu...
Ciężko skroń rozpaloną opieram na dłoni
I niemo tonę, tonę w swojem własnem sercu.

Leopold Staff.

18. Wieczór letni.

Właśnie i wieczór się był robił, słońce zapadło za bory, i całe niebo stanęło w zorzach, aż czuby zbóż i sadów jakby się pławiły w czerwieni a złocie. Zawiewał wilgotny, pieściwy wiater, żaby jęły rehotać, odzywały się przepiórki, a granie

koników roztrząsało się po polach, kiej[1]) ten nieustający chrzęst dojrzałych kłosów, rozjeżdżali się już z odpustu, że jeno wozy turkotały, a kajś niekaj[2]) ktosik[3]), dobrze napity, wyśpiewywał rozgłośnie.

Przycichły Lipce, pusto się zrobiło przed kościołem, ale jeszcze pod chałupami siedzieli gęsto ludzie, zażywając chłodu i wczasów. Cichy zmierzch stawał się na świecie, mroczniały pola, dale stapiały się już z niebem, wszystko się spokoiło, śpik zwolna morzył ziemię i obtulał ją ciepłą rosą, zaś ze sadów tryskały kiej niekiej ptasie głosy, jakoby tym wieczornym pacierzem.

Bydło wracało z pastwisk, raz po raz buchały długie, tęskliwe ryki, a rogate łby pokazywały się nad stawem rozgorzałym ogniami zachodu, jakoby krwawem zarzewiem. Kajś[4]) pod młynem baraszkowały z wrzaskiem kąpiące się chłopaki, zaś po obejściach[5]) trzęsły się dzieuszyne[6]) piesneczki, to beki owiec, to gęsie gęgoty.

Władysław Stanisław Reymont.

19. Wieczory lipcowe.

Lubiłem na wsi złote lipcowe wieczory,
Kiedy krwawą pożogą gmach niebieski płonie,
A słońce na ognistym konające tronie!
Depce chmur cielska, jako czerwone potwory.

I zgliszcza dogasają i bledną kolory
I ziemia zwolna w mroku szafirowym tonie,
A z łąk wilgotnych siana zalatują wonie
I chórów żabich głośne płyną rozhowory.

Księżyc poprzez topole świta złotorogi.
Echa zmieszanych głosów lecą gdzieś od drogi:
Pobrzękują uprzęże i gwarzą parobcy...

A potem cisza była. I gwiazd mleczne rzeki
Myśl moją tęskną niosły w świat jakiś daleki,
W świat szeroki, ogromny i dziwny i obcy.

Lucjan Rydel.

---

1) jak, jakby. — 2) gdzie niegdzie. — 3) ktoś. — 4) gdzieś. — 5) zagrodach
6) dziewczynine, dziewczęce.

20. Burza letnia.

Był początek lipca, kiedy po sianokosach dochodzi zboże, a ludzie gotują się do żniwa... Lato tegoroczne odznaczyło się wielkiemi upałami; pszczoły roiły się, zboża żółkły, wody Białki toczyły się płyciej, niż zwykle, a przy kolejowym nasypie trzech kopaczów zmarło skutkiem porażenia słonecznego. Doświadczeni gospodarze lękali się albo długich deszczów na żniwa, albo gradowej burzy lada dzień, w kilku bowiem dalszych miejscowościach spadły grady.

Istotnie przyszła burza.

Ranek tego dnia był gorący i duszny; ptaki niewiele śpiewały, świnie nie chciały żreć i zmęczone kryły się między budynkami, szukając cienia. Wiatr zrywał się, to słabnął; raz był suchy i gorący, to znowu chłodny i wilgotny; często zmieniał kierunek, spędzając z różnych stron gęste obłoki, które w wyższych warstwach zdawały się płynąć ku zachodowi, w niższych ku północy. Około dziesiątej znaczna część nieba, na północ od kolejowego nasypu, zasnuła się ciężkiemi chmurami, które szybko zmieniając barwę, z popielatego przeszły w kolor żelazny, gdzie niegdzie zupełnie czarny. Zdawało się, że w górze palą się sadze, które w olbrzymich kłębach rozlały się nad ziemią i szukają miejsca, gdzieby opaść. Chwilami masa chmur rozdzierała się na pojedyńcze kłęby, a wtedy z pomiędzy szczelin padały na zamroczone pola jakieś smutne, jesienne blaski. Chwilami chmura zniżała się do ziemi, a wówczas tonęły w niej wierzchołki drzew oddalonego lasu. Wnet jednak podpływał pod nią ciepły wiatr, i z taką gwałtownością wyrzucał do góry, że z uciekających obłoków darły się strzępy i, jak poszarpany łachman, zwieszały nad polami.

Nagle za wsią kościelną ukazał się rudy obłok, szybko lecąc wzdłuż kolejowego nasypu. Wiatr zachodni dmuchnął silniej, jednocześnie uderzył go z boku wiatr południowy; z nasypu, z gościńców i ścieżek zerwały się gęste tumany kurzawy, a rozwalające się po niebie chmury zaczęły głucho warczeć.

Na ten odgłos kopacze i taczkarze, pracujący przy kolejowym nasypie, porzucili narzędzia i, uszykowani we dwie duże gromady, poszli — jedni ku dworowi, drudzy ku stojącym na polu barakom. Zajęci przy budowie koloniści i chłopi, wysypawszy piasek z wozów, pędzili cwałem do domu. Z pola zgo-

niono bydło, kobiety cofnęły się z ogrodów pod strzechy; świat opustoszał.

Grzmot za grzmotem zwiastował coraz nowe zastępy chmur, które, tłocząc się już na większej części nieba, stopniowo zaćmiewały słońce. Zdawało się, że wobec czarnych kłębów, obładowanych piorunami, ziemia przysiadła i z trwogą śledzi burzę, jak kuropatwa ważącego się nad polem jastrzębia. Krzaki tarniny i jałowca cicho poświstywały, nawołując do baczności, zaniepokojony kurz zrywał się z gościńca i krył między zbożem. Młode kłosy, szemrząc, tuliły się do siebie, woda w rzece zmętniała. Daleki las huczał.

Tymczasem w górze, z przesyconych elektrycznością tumanów, wykluł się jakiś ciemny zarodek siły twórczej, która, rozejrzawszy się po ziemi, ufna w swoją potęgę, zapragnęła naśladować Ojca Przedwiecznego i z wiotkich chmur stwarzać, jak On, ruchliwe i ożywione kształty. Oto już ulepiła wyspę; lecz nim miała czas mruknąć: „Dobrze jest!...“ — przyleciał wiatr i wyspę rozwiał. Oto wznosi olbrzymią górę; lecz nim dosięgła szczytu, znowu przyleciał wiatr i zdmuchnął podstawę. Teraz bierze się na inny sposób i w jednem miejscu usiłuje stworzyć lwa, a w drugiem ptaka; wnet z ptaka zostało tylko podarte skrzydło, a lew rozpłynął się w bezkształtną ćmę.

Wtedy, widząc, że góry i wyspy, wzniesione ręką Pana, trwają wieki, a jej ledwie sekundę, że ulepione przez nią postacie nie mają ani duszy, ani sensu, ani nawet siły oparcia się nędznym podmuchom, że cała jej praca na nic, a cała jej potęga jest tylko marą, wtedy, widząc, że już nic nie stworzy, ciemna noc zawrzała gniewem i zapragnęła zniszczyć wszystko, co jest na ziemi.

Między chmurami, kołującemi, jak czarne wron stado, rozległy się złowrogie huki. To władczyni wydaje im rozkazy: „Widzicie rzekę, w której odbija się nasza hańba?...“ W tej chwili coś rozdarło się od nieba do ziemi, i w rzekę uderzył piorun. — „Słyszycie zgiełk lasu? On nam urąga!...“ Połowę nieba przeleciała błyskawica i drugi piorun uderzył w las. — „Zbijcie te pola gradem!... Zmyjcie te góry deszczem!...“ I posłuszne tumany rzucają się na góry i na pola: — Ho... ho!.. ha-ho!..“ Padła na ziemię jedna wielka kropla, za nią druga... setna... tysiączna... — „Ha... ho!... ha-ho!...“ Jedno ziarno lodu, drugie.. setne... To przednia straż. Wichry dmą pobudkę, deszcz bębni, chmury, jak psy, puszczone ze smyczy, wyją, tłoczą się,

depczą; jedna kropla popędza drugą, ścigają się, wyprzedzają, nareszcie — łączą się w strumienie, płynące od nieba do ziemi. Słońce zgasło, a deszcz i grad zlały się w zbitą masę, której cel i kierunek pokazują migotliwe błyskawice. — „Tu niszcz! tu bij!...“

Po godzinnej ulewie zziajana burza spoczęła, a wówczas było słychać szum Białki, która już wystąpiła z koryta. Całą szerokością gościńców płynęły brudne wody, strumienie szeleściły po bokach wzgórz, łąki były zalane, z drugiej strony nasypu utworzyło się jezioro.

Po chwili znowu wzmogła się ciemność; z rozmaitych punktów horyzontu trysnęły błyskawice, ulewa spotęgowała się, piorun uderzył w gościniec. Piorunowe potoki deszczu wiatr pchał wukos, kłębił je i szarpał; świat zatonął w mglistej kurzawie.

Bolesław Prus.

21. Burza letnia.

Burza rozsrożyła się już na dobre, niebo posiniało, kiej[1]) wątroba, kurz zakotłował wielgachnemi[2]) kłębami, topole z jakiemś szlochaniem i krzykiem przyginały się do ziemi, zawyły wiatry i jęły coraz zapamiętalej walić się na zboża, pierzchające we wszystkie strony, i rycząc, kiej byki zjuszone, rypnęły[3]) w lasy zwarte, rozchybotane i w niebogłosy szumiące.

Grzmoty już szły za grzmotami, przewalając się z hurkotem wskroś całego świata, jaże[4]) ziemia dygotała i chałupy się trzęsły.

Zwite kołtuny miedziano-granatowych chmur zwiesiły nisko spęczniałe, opuchłe kałduny[5]) i coraz to któraś się rozpękła, trzaskał pierun[6]) i buchały potoki oślepiającej jasności.

Niekiedy sypał rzadki grad, trzeszcząc po liściach i gałęziach.

A w sinej ćmie dnia, kurzawy i gradów targały się rozpaczliwie drzewa, krzaki i zboża, jakby rwąc się do ucieczki, ale bite wichurą ze wszystkich stron, ślepione piorunami, obłąkane hukiem, kręciły się jeno[7]) i szarpały z dzikim poświstem, a kajś[8]) z wysoka, przez chmury, ciemnicę i rozwieję[9]), przelatywały modre łyskawice, leciały, niby stado wężów ognistych, leciały wyrwane skądściś i niewiadomo kaj[10]) ciskane, leciały

---

1) jak. — 2) wielkiemi. 3) uderzyły. — 4) aż. — 5) brzuchy. — 6) piorun. — 7) tylko. — 8) gdzieś. — 9) rozfalowane powietrze. 10) gdzie.

migotliwe a zagubione, oślepiające wszystek świat, a ślepe i nieme, kiej dola człowiekowa.

I trwało tak z przerwami do samego wieczora, dopiero na samym zmierzchu całkiem się uspokoiło i przyszła noc cicha, ciemna i chłodnawa.

Władysław Stanisław Reymont.

22. Podczas burzy.

Wciągam wicher, jak rumak, gdy na step wybieży.
Wicher, od Tatr wiejący, bystry, ostry, świeży — —
Zda mi się, że potargam wszystkie ziemskie sidła,
Że mi u ramion rosną długie orle skrzydła.
I poniosą mię w przestwór... Słońce się zachmurza,
Śmignął z chmur wąż płomienny, zahuczała burza,

Wodospadem deszcz lunął. W tym olbrzymim szturmie
Wichru, deszczu, piorunów: duszy mej muzyka
Budzi się — głos w niej zagrzmiał, jak w wojennej surmie,
Melodja ją napełnia szalona i dzika,
A skrzydła orle, co mi u ramion wyrosły,
W niszczących potęg chaos[1]) duszę mą poniosły.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

23. Burza na morzu.[2])

A już i niebo spuściło się nisko,
Ciężkie chmurami, i męt po niem chodził,
Rwąc na paździerze[3]) to szare płachcisko,
Którem się od nas dzień biały przegrodził.
Chwyciłem masztu, bo stać było ślisko,
A wtem mnie bałwan jeden tak ugodził,
Jak chłop, gdyć nogi podbije kłonicą,[4])
I uciekł, cały siny błyskawicą.

Jakże nie rykną wichry! Jak po niebie
Nie zaczną trzaskać z okrutnym grzechotem!
Jak się nie porwą, nie wpadną na siebie,
Jak się nie cisną o morze pokotem![5])
To koń takiego dołu nie wygrzebie,
Kiedy go jezdnik uwiąże pod płotem,
Jak one wodę skopały kopytem,
W błyski kowanem, a w gromy podbitem.

---

[1]) odmęt. [2]) opowiadanie włożyła autorka w usta kowala wiejskiego, pana Balcera; — [3]) włókna; — [4]) drążek u wozu, umocowany u osi, do podtrzymywania drabin albo skrzyń wozu; — [5]) jeden tuż za drugim.

Nie tak się w sobie rozszumi, rozchwieje
Bór, gdy się sośnie zamiotą od burzy,
I nie tak rola zorana czernieje,
I nie tak żyto pokwiatem[1]) się kurzy,
Jako więc morze pod oną zawieję.
Wał na wał pędzi, dogania go, nurzy,
Zatapia, ryczy, jako byk do stada,
Zrywa się, leci i w otchłań przepada.

Huknęły teraz niebieskie harmaty,
Które sam Michał Archanioł nabija.
Mrok upadł gęsty, i tylko się szaty
Jego czerwoność skroń chmury przewija.
Pękły nad światem ogniste granaty,
Świszczą, żądłami kręcą, jako żmija...
Lecą do morza pobite czerepy,
A strugi deszczu tak walą, jak cepy.

Znam ci ja burze tęgie, bom od dziecka
Po leśniczówkach, jak wilczę, schowany.
Wiem, jak Kampinos[2]) grzmi, jak Myszyniecka[3]),
Jak i Zielona[4]), aż het, za Prużany[5]),
Onać to sławna puszcza Białowiecka,
Gdzie się zataił żubr, potopem gnany,
W gąszcz taki, że sam Bóg drogi nie wiedział,
Poniechać musiał, a zwierz się osiedział[6]).

Jest ci tam wojna, gdy wicher uderzy
W krętych róg sosen, lub puści ze smyczy
Ogary wietrzne po pustej trzebieży[7]),
A tur się ciągnie w chrap[8]) mokry i ryczy;
Lecz przecie się to do morza nie mierzy!
Tu strach osobny jest, co kości liczy
Tak, że ci każda do szpiku dygota...
Strach większy, niźli przed końcem żywota.

Jeszczeć to chłopu mniejsza. Chłop dostoi,
Choć się w nim duszne ruszą fundamenty,
A drugi taki, im cięźej się boi,
Tem twardszy bywa w śmiertelne momenty
I za trzech zuchów tchórz nieraz nabroi;
Lecz baby srogie czyniły lamenty,
Od których że już prawie uszy puchły,
Kapitan kija podniósł, i tak zgłuchły.

---

[1]) pyłem kwiatowym; — [2]) puszcza Kampinoska w wojew. warszawskiem; — [3]) pod Ostrołęką w Płockiem; — [4]) nad Narwią; — [5]) miasto powiatowe w Grodzieńskiem; — [6]) pozostał, zachował; — [7]) miejsce po wytrzebionym lesie; — [8]) bagno.

Dopieroż okręt lżej zaczął sterować,
Bo już nad wszystko wrzask babi nie płuży [1]).
Gdy kto się bierze po morzu żaglować,
Rzecz to jest mocna i pomiar jej duży;
Już się tam nie lża po tynfie [2]) targować
Z śmiercią, gdy nawa pod wodę się nurzy:
Co masz, to dawaj, czy miedzią, czy złotem.
Wypłyniesz? Będziesz rachował się potem.

Do samej nocy goniły nas sine
Oczy błyskawic i grzmot łajał z warkiem,
Aż my, się w wichrów wcisnąwszy szczelinę,
Przebili z tuczy [3]). Tak skrzydłem ptak szparkiem
Pruje naukos powietrzną głębinę
I przed nawałnic uchodzi poswarkiem,
Lecz piorun jeden dognał nas, wypalił
I sążeń drzazgi od masztu odwalił.

Zaraz też, jakby na to tylko czekał,
Jął się wichr ciszyć i składać po sobie
Zjeżone grzywy. A grzmot tak uciekał,
Jak gończy z troka [4]), gdy w kniei przeskrobie.
Raz, drugi, trzeci skróś mroków zaszczekał,
Zacichł, znów drogę oszczeknął na globie,
Aż ciszej, dalej, z ostatnim skowytem
Schował się w niebie, chmurami nakrytem.

Marja Konopnicka.

24. Burza w pustyni.

W wigilję Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnem, okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nade mną i, zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego Cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni.

---

1) Nie przynosi pożytku. 2) o drobny zysk; tynf – drobna moneta w dawnej Polsce, wartości około jednego złotego (dawnego. — 3) chmury. — 4) rzemień.

Anheli[1]) myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą; przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny deszczyk zasmucał powietrze.

Ale nie tu był koniec przestrachów; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowem niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą, i srebrnemi pletwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku, unieśliśmy zapomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które, jako ślady naszych zerwanych domów, zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na triumf tej biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto i przy gościnnem posadzono ognisku[2]). A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którem stałem; a wszystko to trzeba było własnemi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli.

Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższem rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. *Juljusz Słowacki.*

25. Wśród wody.

Gdy Nida minie Wiślicę, zdążając do Wisły, rzuca się skwapliwie w bujne łąki, bieży po zielonych błoniach i tworzy tu liczne zatoki, rozlewa się w jeziorka, bagna, mokradła. Wiślane wody swoją drogą także zrosiły bogato tę okolicę niską i nadały jej charakter wodny.

Jest to bardzo zaciszny zakątek ziemi, pełen właściwego sobie uroku. Życie tu schodzi człowiekowi i jego współmieszkańcom we mgle, dyszy się powietrzem sytem wodnego pyłu, a rosa nigdy prawie nie schnie.

1) Imię bohatera poematu Słowackiego pod tym tytułem, tu: sam poeta.

2) Bo był pod kwarantanną.

Blaski słoneczne i księżycowe światło dają nieraz jasność bardzo dziwną: niepewną, migocącą, żółtą, niby światło łomowej lampy. Te bagna, trzęsawiska, błota czasami połyskują dokoła, jak ołów, czasami znowu iskrzą się odbitemi promieniami niebieskich świateł.

Zimą nakrywa je płachta lodu. Zawsze jednak przez większą część roku cała owa okolica sprawia takie wrażenie, jak gdyby na nią dopiero co spadły obfite deszcze; jest tam mokro, ślisko, chłodno, mglisto i dosyć posępnie. Siedziba to stworzeń, którym woda smakuje.

Drzew tutaj jest mało, jak w pustyni; zaledwie na płaszczyźnie spostrzegasz kilka wierzb białych i olszyn, złotowierzb a wiklina niewyżej wzrastają od bujnych sitów dokoła jeziorzysk, bagien, rowów. Zato pełno wszędy rogoży, tataraku, trzciny i skrzypów. Ponad wodami rosną niezapominajki, błotne kosaćce, krwawnice, białe sagitarje[1]). Powierzchnia wód tych znowu okryła się kożuchem gęstej rzęsy, a z rzęsy wystrzeliły piękne, jak z alabastru rzeźbione, białe grzybienie[2]) i inne, wspaniale rozrosłe, niby centyfolje[3]) lub kamelje, grzybienie złote.

Kiedy wiatr rozbrykany wpada w ajery[4]), wyprawia muzykę w tym gąszczu ziela. I chwieją się, jak w tańcu, ciemne kity oraz czerwonawo-brunatne pałki trzcin wodnych. Wtedy to tysiączne legjony lazurowych i szmaragdowych świtezianek[5]) czepiają sie łodyg a liści tych grających roślin i, połyskując, jakby ich kwiaty, w milczeniu wysłuchują muzyki, z którą przyleciał na Powiśle i Ponidzie wiatr, ów bard[6]) z dalekiego kraju... Smutna jest pieśń, co z burzą przychodzi! Ale i tej ktoś wysłuchać musi.

Ale w dni jasnej pogody bujają świtezianki ponad falami, ułożonemi w zwierciadło, oddają się zajęciom życia znikomego: składają w wodę jajka przyszłości. Bo woda, równie jak ziemia, piastuje w sobie kolebki i mogiły życia.

W pląsającym polocie pojawiają się i złotawe ważki z olbrzymiemi oczami, i jętki jednodniowe, i wątlutkie chróściki; wszystko to walczy, kocha, za dobrą sprawę umiera...

Czasem z tajemniczych głębin, niby krety wodne, pod wierzch wypływają czarne kałużnice lub pływaki, a zadziwione widokiem

---

[1]) roślina strzałka. — [2]) lilje wodne — [3]) róże ogrodowe. — [4]) tataraki. [5]) ważek wodnych. — [6]) śpiewak.

świata, czem prędzej trwożnie na dno uchodzą... Niekiedy wygodnie jest zakopać się w błocie.

Jakieś długie, trupio wyblakłe pająki, o ruchach niezdarnych nadstawiły sieci między liljami wodnemi i strach i mordy krwawe sieją. Płaski pluskolec łazi na swoich szczudłach, a taki nieruchawy, że zdaje się krwi nie mieć.

Powyłaziły rogate ślimaki, wytrzeszczyły dziwne oczy na słońce i zaśliniły czystość zieleni u trzcin wysmukłych. Ustawiły się po brzegach szeregami żaby, bystro zerkają, czy jaki bocian na nie gdzie nie czatuje. One w razie niebezpieczeństwa umieją dobrze skakać i nurkować. Ta bowiem akrobatyka popłaca w wodzie, równie jak i na lądzie.

Tuż pod powierzchnią jeziora pokazał się i król tych wód, zielonawo-bury szczupak, stanął w wodzie, jak martwy, patrzy straszliwie, bo bez wyrazu... Milczący tyran, morderca, obłudną maską powagi pokrywający swą dzikość; tylko ruch wody wstrząsa jego pletwami zlekka.

I otyły, grubo-karczysty karp wyłazi ze swej pieczary; przewalił się ciężko po wodzie, jak wielki bogacz-magnat, błysnął złotą łuską, zakłócił spokój wodnej przeźroczy.

Lin poruszył się z mułu, wyciąga ku górze swą czarną, aksamitną głowę, otworzył okrągłą paszczę, żądnie pochwycił jakąś zdobycz i zniknął w topieli.

A rybia młodzież, liczny zarybek, hula tu gromadami; szczęście życia, swawola wiodą ten drobiazg na zgubę. Pluśnie czasem ponad wodą srebrzysta płotka, da susa kiełbik, zmykający przed zawziętą pogonią żarłocznego okonia. I rak, lichota w biegu[1]), pokazuje się niekiedy na tem pospolitem ruszeniu wszechwodnej rzeszy.

Za państwem owadów szybko ściga jaskółka-brzegówka, wydając niekiedy krótki odgłos jakiegoś radosnego triumfu lub kąpiąc ciało w przelocie. Nadbrzeżne pliszki fertycznie[2]) się zwijają, podzwaniając jeden takt piosenki; przyczajone w gęstwinie długonogie i długodziobe bekasy oraz chróściele krociami tępią rody muszek, komarów, glist i chrabąszczów.

Lecz oto nad brzegiem, na jakimś wpół przegniłym pniaku usiadł grubogłowy a cienkodzioby zimorodek, piękny, blaskiem przepychu mieniący się samotnik: poważnie i cicho wpatruje

1) nie umiejący dobrze biegać. — 2) zręcznie.

się w wodę, niby to badacz, a jak kot czuwający, aby złowić nieostrożną rybę.

I czapla z esowato wygiętą szyją, o czarnym czubie, stoi posępna, jakby los świata opłakiwała; po faryzejsku[1]) się ona zamyśla, bo celem jej życia jest tępić, gubić, pożerać, aby istnieć. Łyska czasem się mignie w wodnych zaroślach, a niedorzecznością jest mniemać, że to jej włóczenie się po zielu jest jakąś bezcelową wędrówką.

Dziwne głosy kurek wodnych można podsłuchać wśród owej pozornej ciszy.

Serce ci bije prawie z obawy, czy to nie są jakie nadprzyrodzone dźwięki, czy one nie pochodzą z zaczarowanych pod wodą pałaców. Lecz czyś filozof, czy poeta, szukaj prawdy powabniejszej nad wszelkie zamyślenie: to bąki rżą, jak gdyby pod ziemią tętniło; ryby mlaskają i klaszczą w norach; zbłąkana ptaszęca matka dzieci do łona swego wabi; kurka wodna, z jaj spłoszona, wydaje głos trwogi, może jej kto pomoc przyniesie w nieszczęściu.

Zresztą, gdzież niema tajemnic?... I tutaj są ich miljony. Kto wie dobrze, co na dnie jeziora porabia szczeżuja[2]), zamknięta w muszlach? Jakie są bóle i uciechy marnej żaby? Kto wie, czyją krew chłepcą pijawki? Albożnam znane są macierzyńskie poświęcenia cyranek? Albożpo dnie wód naszych dniem i nocą nie łażą, jak widma, straszne potwory równie krwiożercze, jak wilki, tygrysy, hieny. Czyż w ciała wodnych stworzeń nie wpijają się inne wodne istoty? Wszakże mały pływak skrada się nieraz pocichu do olbrzyma szczupaka i straszną ranę wierci mu aż do trzewiów lub serca... Wśród rozległych bagien nad jeziorami, nad rzekami — człowiek się przeraża, a jednocześnie religijnie szanuje ciszę tych miejscowości, jakby je uznawał za przybytek wyższych od siebie istot.

Na naszym wodnistym kliniku ziemi, blisko wierzchołka kąta ostrego, który utworzyla Wisła z Nidą, jest świat, nie dający się poznać z żadnej książki. Trzeba tam iść i zamieszkać, aby zrozumieć ten rodzaj życia. Trzeba się oswoić z tajemnicami owej świątyni w jasny dzień i o szarym zmroku, w nocy, o wschodzie, o zachodzie słońca. Trzebą tu być na wiosnę, w lecie, jesienią i zimą.

Adolf Dygasiński.

---

[1]) obłudnie; — [2]) mięczak.

26. O Wiśle i jej dopływach.

Wśród rzek naszych Wisła zajmuje pierwsze miejsce, bo jest największa i najważniejsza. Rozciągnięta od granicznych gór polskiej niziny do granicznego morza, źródła mająca w Karpatach, a ujście w nurtach Bałtyku, rozgałęzieniami swego dorzecza obejmuje ona przeważną część obszaru ziem czysto polskich. Nad brzegami jej wznoszą się obie nasze stolice: Kraków i Warszawa, z nią związały się nasze dzieje, wspomnienia zarówno minionej sławy, jak klęsk i nieszczęść doznanych. Nic więc dziwnego, że żadna z naszych rzek nie jest tak droga sercu polskiemu, jak ona, że żadna nie jest takiem uosobieniem Polski.

Źródła Wisły leżą na Śląsku, w najbardziej zachodniej części Karpat, w tak zwanych górach Jabłonkowskich; ujście — w zatoce Gdańskiej, prawie na tym samym południku, co i źródła, w odległości od nich zaledwie 70 mil (około 500 kilometrów). Taka więc tylko byłaby długość Wisły, gdyby płynęła ona wprost ku północy. Zmienia jednak dwukrotnie kierunek, spotykając po drodze dwa pasy wyżyn, i wskutek tego bieg jej przybiera kształt litery S, a długość jest dwa razy większa i wynosi przeszło 1.000 kilometrów, czyli 140 mil.

W biegu swym przepływa ona wszystkie trzy zabory [1]), przyczem na przestrzeni przeszło 175 kilometrów od wsi Morgi do Zawichostu stanowi granicę między Galicją a Królestwem. Poza tem na samą Galicję przypada przeszło 200 kilometrów górnego biegu Wisły, na Królestwo do 400, czyli cały prawie środkowy, na Prusy przeszło 200, to jest koniec środkowego i cały dolny.

Do Wisły wlewa się przeszło 120 dopływów, a dorzeczem swojem, wynoszącem koło 3.600 mil kwadratowych, oplata ona prawie całe Królestwo, dobrą połowę Galicji, oraz część dzielnic nad Bałtykiem. Wypływa Wisła z góry Baraniej, w Karpatach Zachodnich, jako dwa górskie strumienie, zwane Czarną i Białą Wisełką.

Z połączenia się ich powstaje nieduża rzeczka o wartkim biegu i górskim charakterze, dążąca początkowo na północ. Spotyka ona wkrótce na swej drodze wyżynę południowo-polską, i powstrzymana przez nią w biegu, skręca na wschód.

---

1) Opis ten był napisany przed połączeniem się Polski. Teraz cały bieg Wisły leży w granicach Rzeczypospolitej Polskiej.

Omywając południowe stoki wyżyny, płynie wzdłuż jej krawędzi dalej w tym kierunku, aż do ujścia Sanu. Tam zasiliwszy się i wzmocniwszy wodami tego dopływu, skręca znów, ale tym razem w lewo i toruje sobie drogę przez wyżynę wprost na północ. Tu przy ujściu Sanu i tym zakręcie kończy się górny bieg Wisły; tu także opuszcza ona Galicję i wkracza w całości do Królestwa. Od chwili wypłynięcia ze Śląska na całej tej przestrzeni do ujścia Sanu Wisła ma po prawej stronie wyniosłą krawędź wyżyny Małopolskiej, po lewej nizinę Krakowsko-Sandomierską, oddzielającą przedgórze Karpackie od wyżyny południowo-polskiej. To też lewy jej brzeg jest prawie wszędzie wysoki i malowniczy, szczególnie piękny pod Krakowem. Prawy natomiast — niski i równy, porosły przeważnie lasami sosnowemi, w niektórych miejscach nagi, piaszczysty lub bagnisty. Wisła płynie tu już wolniej, niż powyżej Krakowa, dość jednak szybko, a zato powiększa się coraz bardziej, staje się szersza i obfitsza w wodę, dzięki licznym dopływom górskim, zasilającym ją sowicie. To też, gdy powyżej jest ona dostępna jedynie dla galarów, od Królewca zaczynają chodzić po niej mniejsze statki, a od Sandomierza i większe.

Najważniejsze są prawe dopływy Wisły, płynące wszystkie z gór Karpackich. Największym z nich jest San, a najobfitszym w wodę Dunajec. Rzeki te zaopatrują Wisłę suto w wodę, ale że, jako górskie, mają wysokie spadki i wartki bieg, wzbierają więc gwałtownie na wiosnę w czasie tajania śniegów i w lecie, podczas ulewnych deszczów w górach; wlewają wówczas taką ilość wody do Wisły, że nie może ona pomieścić się w jej łożysku, występuje z brzegów i rozlewa się szeroko, wywołując mniej lub więcej straszną powódź! O ilości wód, wlewanych do Wisły w czasie powodzi przez rzeki górskie, daje najlepsze pojęcie następujące wyliczenie: podczas największej powodzi dolną Wisłą przelewają się masy wody, wynoszące 10.000 metrów sześciennych na sekundę. Otóż dwa tylko górskie dopływy, Dunajec i San, mogą dostarczyć Wiśle przeszło trzy czwarte tej ilości wody. Dunajec bowiem w czasie powodzi wlewa do niej na sekundę do 4.000 metrów sześciennych, San zaś 3.700. Zatem już tylko te dwa dopływy mogą wywołać niezgorszą powódź: a przecież oprócz nich jest wiele innych mniejszych, których połączone działanie może okazać się równie straszne i zgubne w skutkach. To też nic dziwnego, że zbyt obfite śniegi

w górach, jak również ulewne deszcze, odbijają się później wylewami na nizinach.

Oprócz wody, rzeki karpackie niosą obficie piaski, a w części i muł, powstały z rozkruszenia skał w górach. Przynoszą też Wiśle mnóstwo piasku, wpływając tem nieraz na tworzenie się mielizn. Lewe dopływy Wisły w tej części jej biegu spływają wszystkie z wyżyny Małopolskiej, mają więc również charakter górski i bystry bieg. Są jednak znacznie mniejsze od karpackich i dlatego nie mogą wywierać takiego wpływu na stan wody w Wiśle. Największym z nich jest Nida, najbardziej malowniczym — Prądnik, płynący przez przepiękną dolinę Ojcowską.

Wkroczywszy do Królestwa pod Zawichostem, Wisła należy do niego całym prawie swym środkowym biegiem, bo chociaż koniec jego, przypadający u ujścia Brdy i wyłomu przez Pojezierze, leży już w zaborze pruskim, nie o wiele jednak poniżej Torunia i niedaleko od granicy.

Wisła w tej części swego biegu ma najpierw kierunek północny, przerzyna się wyłomem między wyżyną Małopolską a Lubelską i spływa w krainę Wielkich Dolin aż ku południowej krawędzi Pojezierza. Zetknąwszy się z nią, skręca, podobnie jak przy zetknięciu z wyżyną południowo-polską, ale w kierunku wręcz przeciwnym, nie na wschód, lecz na zachód. Dzieje się to pod wpływem wlewającego się tu do niej pod Modlinem od wschodu najpotężniejszego i największego z dopływów, dwuramiennej rzeki, powstałej z połączenia Narwi i Bugu. Zasilona ich wodami, Wisła skręca na zachód, a potem na północny zachód i płynie w tym kierunku aż do wyłomu przez Pojezierze, gdzie zmienia go najpierw na północno-wschodni, a później na czysto północny.

W początku biegu środkowego Wisła ma oba brzegi wysokie, przebija się tam bowiem przez wyżynę, ale krawędź jej nie wszędzie przytyka do rzeki, miejscami oddzielają ją od niej mniejszej lub większej szerokości pasy nizinne i w takich miejscach górują nad sobą kolejno to prawy brzeg, to lewy. Takie wyniosłe brzegi, wznoszące się stromą ścianą tuż prawie nad poziomem wody, są niezmiernie malownicze, zwłaszcza gdy przerzynają je wąwozy rzeczek, spływających z wyżyny ku Wiśle.

W takie malownicze widoki obfituje szczególnie brzeg prawy, krawędź wyżyny Lubelskiej, a do najsłynniejszych z piękności należą okolice Kazimierza. Ten wyłom Wisły kończy się pod Pu-

ławami. Stąd, a jeszcze wyraźniej od ujścia Wieprza, Wisła wkracza w krainę Wielkich Dolin, płynie wolniej, rozlewa się szerzej, a brzegi ma przeważnie niskie, złożone z piasku i gliny. Zanosi też je nieraz i zamula, albo też rozrywa i rozdziela na części, tworząc sobie nowe łożyska, zwane łachami; okrążają one oderwane części lądu, noszące nazwę kęp lub ostrowów. Takie kępy i ostrowy znajdujemy już i w południowych częściach środkowego biegu Wisły w miejscach, posiadających niskie brzegi, najobficiej jednak występują one na obszarach Wielkich Dolin między Modlinem a Toruniem. Na przestrzeni tej Wisła ma prawy brzeg wysoki, płynie tu bowiem wzdłuż południowej krawędzi Pojezierza, lewy zaś niski i ten właśnie ulega zalewom i rozmywaniu.

Liczne kępy i ostrowy w tej części Wisły ułatwiają przeprawę przez nią, jak naprzykład pod Płockiem, gdzie przy budowie mostu skorzystano z takiej wyspy.

Szeroko i majestatycznie wygląda Wisła w Krainie Wielkich Dolin. Nie jest to już ów wartki i hałaśliwy potok górski, jaki widzimy na Śląsku, ani wesoła, młoda rzeka, srebrną wstęgą omywająca stopy Wawelu i Bielan pod Krakowem, lecz okazała i poważna władczyni tych licznych wód, zbiegających się tu zewsząd do niej, gdy ona sama płynie środkiem cicha i spokojna napozór, ale pełna grozy, siły i majestatu.

Szerokość Wisły pod Krakowem wynosi zaledwie koło 80 metrów, pod Warszawą zaś dochodzi prawie 450 metrów, a bieg jej tam jest około trzech razy wolniejszy. Ale zato głębsza i obfitsza w wodę, nadaje się ona znacznie lepiej do żeglugi: pod Krakowem chodzą po niej jedynie małe statki, od Sandomierza na całym środkowym brzegu kursują większe parowce, zbierając i wioząc ludzi i płody z najbliższych okolic Wisły i z jej dopływów, jak również z kolei żelaznych i traktów, schodzących ku niej pod Zawichostem, Kazimierzem, Dęblinem, Warszawą i w innych miejscach.

Ściąga Wisła ku sobie te płody ze znacznego obszaru Polski i wiezie je w kierunku z południa na północ, stanowiąc bardzo ważną arterję komunikacyjną, tem ważniejszą, że jest tańsza od innych — dróg żelaznych i konnych.

Ale będąc ważnym łącznikiem między południowemi a północnemi częściami Polski, Wisła stanowi zarazem przeszkodę i tamę dla ruchu ze wschodu na zachód i odwrotnie; wszelkie bowiem drogi, prowadzące w tym kierunku, dochodzą do niej

i muszą ją przecinać. Wywołało to potrzebę urządzenia przepraw czasowych lub stałych. Dawniej zadowalano się brodami lub przewożeniem się przez rzekę. Zczasem powstały na Wiśle mosty trwałe lub rozbierane na zimę.

Nie posiada ich ona zresztą dużo na przestrzeni swego biegu przez Królestwo. Gdy pod Krakowem jest ich trzy, obecnie zaś zaczęto budować i czwarty, to na linji granicznej do Zawichosta niema ani jednego i przeprawa z Galicji do Królestwa może się odbywać jedynie na łodziach, w obrębie zaś samego Królestwa, gdzie Wisła właśnie przecina wszystkie drogi, idące ze wschodu na zachód, znajduje się ich zaledwie sześć, z tego trzy pod Warszawą, jeden (kolejowy) pod Dęblinem i po jednym tak zwanym łyżwowym, rozbieranym na zimę — pod Płockiem i Włocławkiem. I tu więc przeprawa przez Wisłę musi się odbywać przeważnie łodziami lub promem.

Przyczyna tej małej ilości mostów leży między innemi w tem, iż będąc przeszkodą dla ruchu handlowego w kierunku z zachodu na wschód, Wisła stanowi zarazem zaporę dla wojsk, poruszających się w tymże kierunku, brak więc mostów ułatwia powstrzymywanie pochodu wojsk nieprzyjacielskich. Szczególnie świadczą o tem liczne i zacięte bitwy o obronę lub zdobycie przepraw przez Wisłę, toczone w czasie wojen napoleońskich, oraz walki w r. 1831.

Obronne znaczenie linji Wisły skłoniło rząd rosyjski do założenia silnych twierdz nad jej brzegami: w Modlinie przy ujściu Bugu i Narwi, oraz w Dęblinie przy ujściu Wieprza.

Nie jest więc zbytnio skuta mostami królowa rzek naszych, a że spadek ma tu wszędzie nieznaczny, płynie więc przez równiny Mazowsza powoli i leniwie, chłonąc w siebie z prawej i lewej strony liczne dopływy, również powolne i spokojne, jak ona.

Z wyjątkiem niewielu rzeczek, spływających z wyżyny Małopolskiej, ogół dopływów tej części Wisły należy do rzek równinnych i nie ma rwącego biegu.

Z lewych dopływów największym i najważniejszym jest Pilica, która ma wprawdzie źródło aż na zachodnim krańcu wyżyny Małopolskiej, ale znaczną częścią biegu należy już do nizin i ma też taki sam spokojny charakter, jak ogół dopływów Wisły w Królestwie, wypływających częstokroć już nie z wzgórz, lecz z błot i bagnisk.

Wśród tych przeważnie niepozornych, leniwych i spokojnych dopływów równinnych znajduje się jednak taka wielka i okazała rzeka, jak dwuramienna Narew z Bugiem, największy z dopływów Wisły, znoszący jej wody z dwu oddalonych dzielnic ziem polskich: z puszczy Białowieskiej, gdzie znajdują się źródła Narwi, i z wyżyny Podolskiej, gdzie bierze początek Bug. Zasila też ona obficie Wisłę wodą, a oprócz tego podnosi ogromnie jej znaczenie tem, że rozgałęzieniami swych dopływów zbliża ją do Niemna, z którym Narew połączona jest kanałem Augustowskim, oraz do Prypeci, do której prowadzi kanał Dnieprowo-Buski, czyli Muchawiecki.

Dopełnienie tych dwu kanałów z drugiej strony Wisły na zachodzie stanowi kanał Bydgoski, leżący już w państwie Niemieckiem, a łączący lewy jej dopływ Brdę z Notecią, prawym dopływem Warty.

Dzięki tym rozgałęzieniom i kanałom Wisła wchodzi w skład wielkiego traktu wodnego z zachodu na wschód i zyskuje ogromnie na znaczeniu, służy bowiem jednocześnie do komunikacji w dwu przecinających się kierunkach, a dwuramienna Narew z Bugiem stanowi najważniejszy jej dopływ pod każdym względem. Tu przy ujściu Bugu-Narwi, w miejscowości, gdzie schodzą się i inne najważniejsze dopływy środkowego biegu Wisły, powstała, rozwinęła i wzniosła się do stanowiska stolicy kraju, Warszawa, która właśnie temu położeniu w krzyżownicy najważniejszych dróg zawdzięcza swój rozwój i znaczenie.

Od ujścia Brdy zaczyna się dolny bieg Wisły, gdzie jest ona największa i najokazalsza. Zasilają ją tutaj z obu stron liczne dopływy z Pojezierza Bałtyckiego. Wszystkie one są dość krótkie, nie mają bowiem dalekiej drogi od źródeł do Wisły, ale że wszystkie prawie wypływają z tak obfitych tu jezior, posiadają więc zawsze bogaty zapas wody i dzięki temu podtrzymują stale wysoki jej poziom w Wiśle.

Nie obniża się on tutaj tak, jak w biegu środkowym, i nie tworzą się tu mielizny, utrudniające ogromnie letnią żeglugę w Królestwie. Tutaj dopiero naprawdę jest Wisła spławna bez zastrzeżeń, bo tu kres żegludze może położyć dopiero mróz, gdy powyżej trzeba ją przerywać nie tylko w zimie, ale nieraz i w lecie w czasie większych posuch. W dolną część Wisły mogą wchodzić nawet okręty morskie.

Tutaj także Wisła rozlewa się najokazalej, dochodząc miejscami 1.500 metrów szerokości. Ale mimo tak znaczną szerokość tu najwięcej przerzucono przez nią mostów: na długości prawie dwa razy mniejszej, niż jej bieg w Królestwie, jest ich tu koło 10, gdy tam znajduje się ich zaledwie 6 i z tego 3 w jednem miejscu pod Warszawą. Ale też kraj tu stoi wyżej pod względem oświaty i ruchu handlowego, więc tu miast kolei żelaznych i innych dróg, więc i stałych przepraw przez Wisłę urządzono więcej. Większe mosty, czy to kolejowe, czy też dla ruchu pieszego i konnego, znajdują się tu pod Toruniem, Grudziądzem, Gniewem, Tczewem, Fordoniem, ten ostatni najdłuższy, bo ma 1.325 metrów, czyli przeszło kilometr i ćwierć. Z dopływów tej części Wisły, oprócz wspomnianej już Brdy, zasługuje jeszcze na uwagę Ossa, w której, według podania, Bolesław Chrobry miał wbijać słupy żelazne na znak, iż tak daleko sięgało jego państwo.

Przy końcu biegu, o 8 mil od ujścia, pod miastem Gniewem, Wisła dzieli się na dwie odnogi: prawą, zwaną Nogatem, i lewą, czyli Starą Wisłą albo Leniwką. Obie one tworzą dalej mnóstwo rozgałęzień i wpadają do morza licznemi ujściami: Nogat do zatoki Świeżej pod miastem Elblągiem, Leniwka do Gdańskiej pod Gdańskiem. Pomiędzy licznemi ramionami Wisły leży nizinna, ale nadzwyczaj żyzna kraina, zwana Żuławami: powstała ona z mułu, naniesionego przez Wisłę, i temu właśnie mułowi zawdzięcza urodzajność.

Ogromny obszar Polski składał się na wytworzenie Żuław: skąd bowiem nie pochodzą cząstki tego żyznego namułu! Pokruszone odłamki skał, drobny piasek, roztarty muł gliniasty, składają Wiśle w dani wraz z wodą wartkie potoki z gór i wyżyn, spokojne i leniwe rzeczki z błot i bagien, obfite w wodę dopływy jeziorne, a ona wszystkie te dary porywa i niesie dalej ku Bałtykowi: w jego toń wlewa wodę, a namuł zostawia u ujścia.

Składała go tam przez wieki i wieki, aż wreszcie utworzyła i dalej tworzy Żuławy.

Bohdan Dyakowski.

27. Wisła.

Poczęcie Wisły dokonywa się wśród świstu-poświstu wiatrów południa i wiatrów zachodu, przypadających na jasne mgły w kwiecistych tatrzańskich dolinach i na wilgotne obłoki, ledwie powstałe z pomiędzy koron sosnowych w szerokiej puszczy Beskidu.

W łonie chmury czarującej, której kształt nieprzerwanie nowy już się nigdy nie powtórzy, a piękność jedyna już nigdy drugi raz nie przepłynie w niebiosach, staje się Wisły istnienie. Nadranna rosa wiosny, ciepły letni deszcz, różany szron jesieni i sadź [1]), okrywająca martwemi kolcami bezlistne drzewa, długotrwałe zimowe ulewy, ślepa zawieja i grad, wszystko wyniszczający, wciąż odnawiają nieprzeliczone jej źródła.

Ze śniegowic [2]), klinem wciosanych w szczeliny skalne między trzonami szczytów podniebnych, na których roztrzaskuje się wściekły huragan, wyją furje burzy, ciężarne w zaspy śniegu i kamienie gradowe, sączą się w żleby [3]), zawalone mokremi piargami [4]), wysokie wody do stawów.

Ze skalnych jezior, zawieszonych, jakoby lutnie, zawsze nowe pieśni samogrające, z kotlin, wysiedzianych u podnóża krzesanic [5]) przez cielska lodowców, które odeszły były przed szesnastoma tysiącami lat w północne strony, uciekają strumienie wieczyście żwawe wyłomami w morenach [6]), przez miljon lat uzgarnianych.

Z pieczar, drążonych przez kamienne pokłady wskutek wzdrygnienia bezdennej granitowej skaliny [7]), gdzie czarne powierzchnie jezior podziemnych trwają nieruchomo w mroku, przenigdy nie rozdartem spojrzeniem oczu istoty żyjącej, skradają się wody czarne chodnikami, wykapanemi w granicie, lub wyżartemi w wapieniu do przepaści głębokiej, którą biały ich wodospad napełnia powabem niewysłowionym.

Z łanów leśnych, sianych wytrwale przez zamierzchłość stuleci po garbach nieprzebytych wzgórz Śląska, z trzęsawisk torfowych, ponad któremi najobfitszy mży deszcz, z pośród gnatów korzennych wieloramiennego buka i dębu-niepołoma [8]), z pościeli

---

[1]) szron. — [2]) płatów śniegu. — [3]) szczeliny górskie. — [4]) okruchami skał. — [5]) skał. — [6]) zwały okruchów skał, naniesionych przez lodowce. — [7]) pokład skalny. — [8]) t. j. którego nic nie złamie.

mchów, otulających stopy jodeł i świerków, z zagaja młodej olszyny, paproci i podbiałów, ściekowiskiem wykapu ze smereku [1]) wylewa się Czarna Wisła.

Głębokiemi wąwozy, po wielkich złomach kamieni i kłodach zwalonych drzew, na dnie pełnem grubego żwiru, w cieniu gałęzi i bujnych traw, z hukiem i gwałtem pieni się Biała Wisła.

Czarne i białe ramię, dwa potoki, spadają z wyniosłości, aby, złączywszy się, toczyć zakolem — zakolem, w głębokich parowach, wśród gór i lasów wspólne wiślańskie fale.

Niezliczone dzikie strumienie, jak włókna i nici, oplotły i przepoiły rozległy Śląska kraj, ażeby jego wodne zasoby Wiśle darować.

Sidła i wężowiska ich sięgają do źródeł Olzy i Ostrawicy, w Odrze tonących, podobnie jak szlak graniczny naszej mowy, chwiejąc się i zaplątając od przemocy, tonie w obcym zalewie.

Szumne, przezroczyste, zielone i fioletowe strumienie południa wielkich Tatr, które nałęczą cudną opasał i wchłania w siebie Poprad pienisty, obfitowody, wierny szlak Spiża, w Wiśle ujście znajdują.

Leśny San darowuje północy to, coby Dniestr na południe wyniósł.

Błękitny, unicki Bug, bystra podlaska Narew podbierają skarb wodny górnej Prypeci.

Ssące włókna Wisły sięgają do wód Odry, do wód Dniestru, do wód Dniepru i do wód Niemna.

Jedne z nich, jako całkowite rzeki, wytryskują z wapieniów Pienin, ze wzgórz krakowskich, inne sączą się ze żwirowisk i wywierzysk [2]), rozmywających zbocza płaskowzgórz i pagórków, albo przeczystemi baniami nieprzerwanie pulsują kędyś w równinie barwistej łąki, ażeby później toczyć się przez nią niedostrzegalnym ponikiem [3]) w nakryciu liści wiklów i kaliny, w łożysku, wysłanem niezapominajkami.

Z nizinnych błot, z rudawic [4]), płytkich jezior i stawisk ciągną ze wszech stron ku Wiśle wody ociężałe, osnute rzęsą porostów, w miękkości jedwabistych moczarów, wśród tataraku i trzciny, w cieniu wierzb i olch pochyłych.

Bujają nad niemi błękitne ważki, wielobarwne motyle i słupy komarów; najżywszą melodję życia wydzwania chyże skrzydło

---

[1]) świerku. [2]) strumień, wytryskający z otworu skalnego. [3]) strumykiem. [4]) bagna obfitujące w rudę.

dzikiej kaczki; w wysokości obłoków zanosi się dudnienie lotu bekasa; przerzyna jasne powietrze pokrzyk czajki, a po chwiejnych trzcinach unoszą się z miejsca na miejsce stada szpaków gwarliwych.

Wszystkie wody wiślańskie, prząśne i słodkie, zaprawne wyssaną z głębi ziemi solą lub siarką, żelazem lub przeróżnemi szczaw [1]) odmianami, spływają od wielkich gór, co zostały za niemi w oddali, jak gdyby obłoki znieruchomiałe, błękitne i liljowe, z różanego powietrza utworzone o poranku, a o zachodzie szkarłatne, po jednoskłonie północnym w zamglone polskie równiny.

Wyszedłszy z lasów i z pomiędzy gór, skręca się Wisła na wschód wielkim łukiem, wije wśród pagórków, uroczych skał z wapienia i pól krakowskich, dążąc w swój żłób pozadunajcowy trzy razy szerszy, niżby wymagała obfitość jej wodnego zasobu, leżący w piaszczystych wybrzeżach, między pszennemi glinami sandomierskiej i lubelskiej ziemi.

Wymija przedtem skałę Wawelu, którego początek nieznany jest i tajemniczy, jako tej rzeki początek, gniazdo mocy i sławy, gruz władzy, przed wiekami wygasłej, ślad wielkości, niby piszczele szkieletu, świadczące o życiu, które niegdyś je odziewało.

Opuściwszy prawiślisko lubelskie, po rozdarciu przed laty nieprzejrzanemi kredowego kazimierskiego progu, płynie ku mazowszańskim polom, między wzgórzami Janowca i Puław.

Wznoszą się nad jej wartem wzorzyste dąbrowy, zaścielające płaskowzgórza i zbocza, wygrzane w słońcu, koralowe od berberysu, pachnące jałowcem i macierzanką.

Tarniny i dzikie róże zwieszają się tam nad ścianami białych wąwozów, w których głębi dwukolejowe, wąskie drożyny chyłkiem zdążają do widnych białych mieszkań wspaniałego ludu.

Sady, rumiane od jabłek i rdzawe od śliwek, splatają jakoby wieniec nieskończony wzdłuż siół.

Stoją tam nad wiślaną wstęgą olbrzymie czartoryskie topole i wielkie Puław [2]) drzewa, które miały to szczęście, iż pod ich cieniem wszystka się Ojczyzna chroniła w złe swe godziny.

Szeroko rozwala się Wisła, wyminąwszy trupie mury tyrańskiej twierdzy Dęblina [3]), wpoprzek wielomilowych piaszczystych

---

[1]) szczawa – woda mineralna o smaku kwaskowatym; — [2]) Puławy własność niegdyś książąt Czartoryskich; — [3]) za moskiewskich czasów.

przestworów, w których jednostajnej, mglistej głuszy śpią zagrzebane pod działkami ziemniaków i owsa, lichego żyta i tatarki maciejowickie i wawerskie, raszyńskie i grochowskie pola [1]).

Rozciągają się nad jej połyskliwą falą wilgotne łęgi, bogatym rok rocznie utłuszczane namułem i same się białą koniczyną zasiewające, a wielkie białodrzewy i grube pnie wierzbowe, zielonemi koronami prętów wciąż na nowo młodocianych zawsze ozdobne, ciągną szeregiem lub kępami, wzdłuż jej strumieni i pętlic [2]), gdy stare porzucając szlaki, szuka sobie przejść nowych między łachami piasków, stokroć przesypanych z miejsca na miejsce.

Pieni się gościniec główny wielkiej rzeki w wiązadłach mostów z kamienia i żelaza u stóp miasta Warszawy, cytadeli ziemskiego okręgu, stolicy wolności świata, gdzie przez stulecie tkwiło kowadło, wbite w ziemię głęboko młotami kowali wprawnych w sztuce ciemięstwa, na którem nieubłagana, a niewidzialna zemsta losu kuła zarazem kajdany dla ludów uciemiężonych i idej, zakutych w dyby, mrowisko prac zawsze spiskowych, gdzie się ukrywał, wił i prężył olbrzymi zamysł wysiłku wielkiego plemienia, sztuką, w chwili nieszczęśliwej w żelazne potrzaski schwytany.

Długiemi smugami, wolnemi zakręty i z liczną odnóg siecią, wśród bezpłodnych haków, kęp okrytych chróstem i ostrowów, zdawna zarosłych dębem i topolą, a w głębokiem rozsianych korycie, odchodzi w dal połyskliwe zwierciadło wodne, ażeby opłynąć Modlin, trzecią pieczęć niewoli, przemocą tyrańską wyciśniętą na ziemi polskiej.

Przeglądają się w głębinie Wisły stare miasta o sławie zagasłej i Toruń wieczyście sławny, gdyż w jego murach stała kolebka genjalnego dziecięcia Polski, odkrywcy, co powziął najprzenikliwszą, najsubtelniejszą i najśmielszą myśl o wszechświecie i ciał niebieskich obrocie [3]).

Dalej, ujęta w tamy, przy brzegach wklęsłych zaopatrzona w ochronne nasypy, przy wypukłych w groble poprzeczne, wtłoczona w łożysko rok rocznie prostowane i pogłębiane, żywi Wisła posłusznie siedem portów handlowych i płynie równo a cicho.

Między Gniewem a Tczewem jednolita jej masa rozdziela się na trzy ramiona.

---

1) wsławione w dziejach walk o wolność. — 2) odnoga wodna w kształcie pętli. — 3) Mikołaja Kopernika.

Jedno z nich, Nogat, niegdyś samoistna w Żuławach struga, a od szesnastego stulecia pierwszorzędne wielkiej rzeki ramię, odchodzi w złowrogi cień Malborga i w dalekie, zimne morze. Dwa inne rzną nawskróś urodzajne namuły, z polskich wydarte i uniesione gleb.

Wisła Śmiała, przedarłszy w połowie dziewiętnastego stulecia podczas wielkiego zatoru wydmy piaszczyste, wlewa się mnóstwem ujść w najgłębszą zatokę Baltyku, mieszając słodkie polskie wody ze słonym nurtem, głębią morza idącym z oceanu. Złote wiślane smugi niosą się daleko w zielonawy przestwór morza, w błękitnawy jego widnokrąg, co z niebiosami nieskończonemi się spaja.

W niebiosa znowu, tam, skąd przyszła, odchodzi Wisła.

A nim zaginie w niedocieczonej morza tajemnicy, wykreśla kierunek westchnieniu polskiemu, tęsknej źrenicy pokazuje cel, wspomina szlak zaginiony, zapomniany, wzgardzony, jakoby ślad brózdy, pośród morskiego odmętu wyoranej przez szkutę Jana z Kolna, najdzielniejszego żeglarza Baltyku i najśmielszego syna Polski, co w piętnastem stuleciu na ubogim statku waregskim [1]) pierwszy z ludzi europejskich na gruncie Ameryki stopę postawił, opłynął wybrzeża Labradoru i odkrył cieśninę Anjanu.

Stefan Żeromski.

28. Dopływy Wisły.

Nazajutrz w świtu różowej godzinie
Wisła we srebrny uderzyła dzwonek,
Ażeby zwołać pod szklany przysłonek
Swoje lennicze bogi i boginie.
   Wielki szum powstał w górach i w dolinie:
   Dążą lennicze bogi i boginie.
Najpierwszy z bożków radosnej młodzieży,
Pusty swawolnik, w swej białej czamarze,
Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,
Prądnik, jak rześki krakowiaczek, hasa.
   Młodziuchna Nida, podobna kwiaciarce,
   Biegnie przez łąki i do swych wybrzeży,
   Jak do koszyka, zsypuje wiązanki
   Ze złotej ruty, bzu i macierzanki.

---

1) t. j. norweskim.

Biegną Dunajce, dwaj bracia-górale,
Z okiem myśliwskiem i zwinnością gończą;
Jeden z nich w Białe okręca się fale,
Drugi się Czarną owinął opończą...
    Za niemi lekko idzie modrooka,
    Brzeg płaszcza Wisły niosąca, Wisłoka.
A teraz, patrzcie! idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą
Druzgocze lasy i przebija skały;
Po jego falach echa Karpat idą.
    Tanew, ukryta pod cień borów kruczy,
    W głębi puszcz szumnych, jak wyrocznia, huczy.
Dalej w dolinie wijąca się kręto,
Od tataraków swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni, żali się Kamionna,
Zda się, że słyszysz królewnę zaklętą.
    Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem
    Tancerka, ledwie tykająca ziemi,
    Bystrzyca pląsa stopami bystremi;
    Za nią — poważna szafirowolica,
    Idzie, jak cicha kapłanka, Pilica.
A teraz — z drogi! Oto z wielkim szumem
Nadchodzi Narew, cała upowita
W płaszcz, tkany złotem, ciemnoszmaragdowy;
Narew tak dumna, że, gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.
    Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?
    A wszak to brat jej, wesoły ów żeniec,
    Bug kłosonośny! codziennie on w wieniec
    Statków ładownych pszenicą się stroi,
    Wiecznie na wodach wyprawia okrężne!
Tam Bzura dźwiga szaty, obciążone
Kiściami pereł; nosi krucze włosy,
Perłami śpięte, i z pereł koronę.
Tam wre i szumi wartkolotna Drwęca,
Która w winnice i róże i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca.
    Brda, jak wąż srebrny, uśpiony na niwie,
    Pod siecią gajów cicho się pierścieni.
    Ossa pod słońcem zapala błyskliwe
    Fale podobne do białych płomieni.
Zajrzyjmy dalej: kto stopy przysunie
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną Mołtawę
I radującą się wiecznie Radunię,
Co, jak odźwierne, w progu Wisły strzegą
Bram bursztynowych morza Bałtyckiego.
    I one dzisiaj tu idą i niosą
    Klucze, błyszczącą wysadzane rosą.

Te wodne bóstwa, jasne i złowieszcze,
Ku Wiśle dążą, z niemi inne jeszcze
I jeszcze inne, lecz któż je wyliczy?
Księgęby spisał, kto wiernemi farby
Chciałby malować cały dwór lenniczy,
Niosący Wiśle swoje wierne skarby.

Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).

29. Gopło.

Pomiędzy Brześciem Kujawskim, Kołem i Gnieznem leży kraj równy i miejscami bardzo podmokły; tutaj rozlewa się wiele jezior po głębszych kotlinach i wądołach kraju, a największe z nich jest Piastowe Gopło, które zarazem środek trzyma między dorzeczem Odry a dorzeczem Wisły.

Zwierciadło jego, od południa ku północy, na przestrzeni trzech mil przeszło długości, a więcej niż pół mili szerokości roztoczone, zamykają dokoła spadziste brzegi i kończą się miejscami piaszczystym odmiałem [1]), urwistą wklęsłością lub zielono obrosłemi przyspami [2]). Gdzie indziej znowu traci spadzistość brzegów, a podmokłe łęgi [3]) lub gniłe smugi [4]) łączą powierzchnię wód samych z okolicznym krajem.

Pośrodku Gopła wznosi się mała wyspa, a na niej z odwiecznych podań ludu i dziejów znana Mysza Wieża.

W południowym końcu pięknego jeziora ma rzeka Noteć swe źródło i, po Gople rozlana, wyrzyna się znowu na północnem jego zakończeniu, dokąd też i wody dzisiejszego Gopła stok mają [5]).

W starożytnej Polsce, kiedy liczne żagle to zwierciadło ożywiały, zwano je Morzem Polskiem, ale wówczas był inny wygląd owej okolicy i inaczej a szerzej i dalej sięgały w kraj zatopy [6]) tego jeziora.

Gopło było naówczas matką wód wielkopolskich, pierwiastkowym pieleszem [7]) żeglugi, prac, przemysłu i pomyślności kraju; dziś, opadłe w swej kotlinie, zmalałe, zda się mówić, że nas nawet wody nasze odbiegły... Na pociechę wszakże powiada przysłowie ludu kujawskiego: „Gdzie woda była, woda będzie“.

A że w Gople była woda, temu poświadcza stary Długosz [8]).

---

1) ławica naniesionego piasku — 2) kępami. — 3) łąki. — 4) smug — wąski, a długi pas łąk, pola, lasu. — 5) ściekają, spływają. — 6) wody rozlane. — 7) łożyskiem, początkiem, pierwszą próbą. — 8) kronikarz polski XV w.

W opisie ziemi ojczystej naznacza on długość Gopła na mil pięć, granicę południową około wsi Noteci, gdzie źródła rzeki Noteci, północną zaś około zamku Szarleje, wedle którego Noteć, przeszedłszy jezioro, znowu się wyrzyna.

Ku południowi, między Gopłem a Wartą, dwa tylko umieszcza jeziora, z Gopłem połączone, w pierwszym rzędzie Lubstowskie, w drugim Ślesińskie. Ślesińskiemu naznacza długość sześć mil i wyprowadza z niego do wsi Gapy rzekę Goplenicę. która, ku południowi zmierzając, wpada pod Morzysławiem do Warty.

Dziś tak dalece zmienił się stan rzeczy, iż podług tego opisu zaledwo można poznać okolicę Gopła. Na północy kończyło się dawniej Gopło pod zamkiem Szarleje, dziś kończy się pod Kobylnikami za Kruszwicą, a jezioro Szarleje, o którem Długosz wzmianki nie czyni, rozlewa się na pół mili ku północy dalej aż do Łojowa i jest od dzisiejszego Gopła oderwane Bahorskiemi błotami na przestrzeni 1000 sążni.

W południowej stronie Gopła oznacza Długosz tylko dwa jeziora, w pierwszym rzędzie Lubstowskie, w drugim Ślesińskie, i wywodzi z niego Goplenicę.

Dziś leży w pierwszym rzędzie naprzód jezioro Lubstowskie, a obok niego ku wschodowi od koryta Bzury i Wisły jeziora: Lechińskie, Brodowskie i Izbickie, które się z niem łączą nieznanemi strugami; w drugim zaś rzędzie, gdzie Długosz naznacza miejsce tylko jezioru Ślesińskiemu, leży naprzód ku południowi od Gopła dolina, rozłożona na przestrzeni 1.108 sążni długości, następnie rozlewa się jezioro Melno, potem ciągnie się dalej ku południowi dolina na 1.400 sążni długa, poniżej następuje dopiero dawniejsze jezioro Ślesińskie, po niem znowu dolina na przestrzeni 300 sążni, a wkońcu jezioro Gosławickie, łoże[1]) zaś Goplenicy znikło zupełnie.

Nadto łączą się jeszcze z jeziorem Ślesińskiem i Gosławickiem strugi kilku na zachód od nich leżących jezior, z których Kleczewskie i Biniszewskie są najznaczniejsze.

Wszystkie te jeziora z pobocznemi błotami mają dziś główny swój stok na kotlinę Gopła i łoże Noteci, a są z sobą połączone strugami, szyjami[2]), lub podmokłemi smugami[3]), poświadczając temu, że się niegdyś szeroko rozlanem zwierciadłem wody z sobą łączyły i szły pod jeden strych[4]) z powierzchnią wód Gopła.

---

1) łożysko. — 2) rowami. — 3) pasmami łąki. — 4) miały jednakowy poziom.

Jedne strugi płyną dotąd jeszcze, drugie na większej tylko wodzie, innych zalały [1]) koryta i sparte rozkisają [2]) w szerokich bagniskach; jeszcze inne nakoniec ważą się w obojętnych spadkach na dwie strony: raz na Gopło i Wartę, to znowu na Gopło, Bzurę i Wisłę.

Cała zaś miejscowość błot większych, smug i oszyjków [3]) wodnych poświadcza, że okolica ta, wodą zalana, mogła niegdyś ułatwiać żeglugę z Gopła na wszystkie strony, kiedy wody samego Gopła wznosiły się jeszcze do tej wysokości, jaką miały w XV wieku, kiedy Długosz opisywał to jezioro, to jest co najmniej o 15 stóp wyżej, niż dzisiaj.

Z tego wszystkiego okazuje się, jak dalece wody Gopła opadły od owego czasu, kiedy łoże Goplenicy zupełnie znikło, a woda tylko po głębszych kotlinach pozostała i oddzielne potworzyła jeziora. Okazuje się także, że dzisiejsze Gosławickie jezioro jest częścią dawniejszego Ślesińskiego jeziora; jezioro zaś Melno i Szarlejskie częścią dawniejszego Gopła. Dzisiejsze Gopło mogłoby być połączone z Wartą, z Wisłą i z Bzurą tylko przekopami i stosownemi upustami dla przywrócenia żeglugi powtórnej na jego kotlinę. Przyczyny tak znacznego upadku wód Gopła potrzeba szukać w samemże łożu Noteci.

O tem, co nam podania miejscowe lub wzmianki historyczne o żegludze z Gopła na Wartę i ku Wiśle powiadają, potrzeba to rozumieć, co o całej polskiej żegludze, to jest: że dwa lub trzy razy do roku była pora, w której na wielkiej wodzie chodziły spławy [4]) lub statki od Warty na Gopło ku Wiśle i Bzurze.

Wyobraźmy sobie okolicę nadgoplańską, jaką w owym wieku była, zapadłą, odwiecznemi puszczami porosłą, prądy rzek nieustalone, koryta zamulone [5]), w czasie wylewów zawalone leśnemi łomami, które się w czasie powodzi piętrzyły, tworząc razem z obrosłemi ostrowami [6]) na rzekach zawady, a pojmiemy, jak się, w spadkach swoich wsparte [7]), wody jezior wznosiły i jak się mogły łączyć z sobą szerokiemi szyjami w czasie puszczania lodów, lub pod dżdżystą porę po puszczach, bagnach i jeziorach, i pojmujemy, że szeroko rozlana podówczas powódź mogła ponieść wody Gopła do tej wysokości, iż się na wszystkie strony z niego ulewały wody, a po nich i statki krążyły.

Wincenty Pol.

---

1) rozlały, wylały się. — 2) rozmiękają. — 3) rowków. — 4) tratwy. — 5) naniesione mułem. — 6) kępami, wysepkami. — 7) wstrzymane.

30. Nad Gopłem.

Ziemia kujawska to trójkąt obwodu paru mil kwadratowych pomiędzy Inowrocławiem, Gniewkowem a pramatką, kolebką ojców naszych — Kruszwicą.

Cały ten trójkąt, którego podstawę stanowi Inowrocław i Gniewkowo, a wierzchołek Kruszwica, przerznięty jest Gopłem, morzem polskiem, jak je kiedyś nazywano. Lasy wycięto. Gopło opada coraz więcej i tworzy na milę długie i szerokie bachorze[1]), porosłe wysokiem zielskiem, w którem grzęźnie i plącze się noga, gdy się chce przez nie przedrzeć, krzewy ostu i pokrzyw ranią ręce, a nawet sięgają po szyję, a na miękkiej, bagnistej ziemi idzie się, jak po niezmiernie bogatym, a głębokim kobiercu wschodnim. Czasem tam człowiek zapadnie, czasem koń po kark ugrzęźnie, że go i dziesięciu chłopów wydostać nie może — ale to nic.

Pełno tu stawów i bagien, w ciemnych nocach przelatują tu duchy potępione, błędne ogniki prowadzą chłopów, wracających z odpustu lub karczmy, na najgłębsze zatory bagien — ale to nic.

Po rowach i kanałach niema mostów, zaledwo jakaś krucha, zmurszała belka służy za przejście dla ludu, raz po raz ktoś się zwali, skąpie się lub utonie w głębokim kanale; jedzie się bryczką, trzeba daleko objeżdżać i przy ujściu kanału przez Gopło broczyć, po nocach włóczyć się po ścieżkach wzdłuż głębokich kanałów, z których fort wykopano, lada chwila na łeb na szyję zaprzepaścić się można w otchłannej ich głębi — ale i to nic.

Bo to, co autochtona[2]), syna tej ziemi, przedewszystkiem charakteryzuje, to niesłychany fatalizm[3]) życiowy, dziwna a smutna rezygnacja, co ręce roztwiera i na piersiach je krzyżuje.

Tak Pan Jezus chciał!

Tuż pod Szarlejem, gdzie mistyczny książę Szarlejko miał swój warowny gród, gdzie Władysław Biały, książę gniewkowski, dłuższy czas przebywał, przerzyna się przez odłogi, bachorze i morze zielska Noteć, by wpłynąć w małe Gopło, które również z roku na rok opada, tworząc wysokie brzegi, na których rosną niebotyczne, srebrzyste topole. Tu już rozpoczyna się urodzajna

---

1) niziny bagniste. — 2) zrodzonego na tej ziemi, tubylca. — 3) wiara w przeznaczenie.

ziemia, a kiedy na św. Piotra i Pawła z okolicznych wsi lud jedzie na odpust do Kruszwicy, raduje się złocistem żniwem jędrnej[1]), pszenicznej ziemi.

Lasem tataraku, trzciny i sitowia kończy się małe Gopło, potem kanał dawno zamulony, poprzez niego prowadzi mostek, który dziwnym cudem się jeszcze utrzymał. Potem ścieżka wzdłuż długiego, urodzajnego pola, żytem obsianego, tuż przy rozległych torfowiskach, potem rozstajna droga, gdzie się powiesił torfiarz Piernik, co na wszystkich weselach drużbował i padł ofiarą swego zawodu, bo się doszczętnie rozpił, ta wielka, biedna, rozstajna droga, na której przy zmurszałej wierzbie siedzi święta, a biedna, przykucnięta dola Kujawiaka, no i droga poprzez dziadowskie morze, poprzez morze piasków, na których chyba łubin jeszcze tylko się rodzi, przy drodze jeden dom z wiecznie zamkniętemi okiennicami — ponoć tam czarownica mieszkała — jeszcze kilka porozrzucanych chat Sikorowa, które kiedyś Fryderyk Wielki zakolonizował, a teraz wyciągniętą struną długa droga, obsadzona przeróżnem domostwem: to Szymborze.

I w okół roztacza się ogromna przestrzeń, pierwotna, bez konturów, zlewająca się na krańcach czarnym szlakiem ugorów z błękitnem niebem.

Jak daleko oko sięga, gładka, jak stół, cicha, a bezbrzeżna melancholja, co duszę na miękki ton nastraja i kołysze ją w głęboką zadumę.

Coś nieskończenie cichego, smutnego, jakiś ton beznadziejnej tęsknoty legł nad tą ziemią. Jest coś zamkniętego w sobie, niema nic, coby skupioną uwagę rozerwać mogło, coś, co tylko cichym szeptem wypowiedzieć można, bo to wszystko takie ciche, i dobre, i smutne.

Wprawdzie rozkwitły pola rzepiku delikatnem, woniejącem kwieciem, zieleni się rozkosznym kobiercem ozimina, rozkwieciły się łąki żółtym jaskrem, tulą się do trawy skromne anemony, słychać świergot ptaków w powietrzu i turkot wozów wzdłuż dróg, obsadzonych staremi wierzbami, a to wszystko wesela nie daje.

Jakaś parna, przeczuciem i troską ciężarna dola przykucnęła na rozstajnych drogach i tłumi śmiech i rozgwar.

Stanie się na górkach tuż poza Szymborzem, a oko obejmuje dziwny widnokrąg. Tam Montwy, gdzie krew szwedzka

---

1) urodzajnej.

z polską się zmieszała i Noteć krwawą czerwienią zabarwiła, trochę dalej Tupadły, gdzie Szwedzi padli, z drugiej strony Łojewo, gdzie Szwedów łojono, tam znowu Ostrowo, siedziba słynnego masona[1]), którego często widziano w postaci czarnego psa, jeszcze dalej Markowice z słynnym na Kujawy klasztorem i przyległemi dobrami: Kruszą wielką, małą i duchowną, srebrzy się pas Gopła, a nad nim wznoszą się szańce szwedzkie, z których Szwedzi Kruszwicę ostrzeliwali, poprzez Gopło czernią się zwęglone pale dawnego mostu; ponad tem wszystkiem góruje Mysza Wieża.

Wprawdzie wieża ta to baszta ogromnego zamku krzyżackiego, ale tak się myśl, uczucie i serce związały z tą wieżą, że niktby nie zdołał zniszczyć tej tradycji sercowej, iż tu Popiela myszy zagryzły; dziwne a tajemnicze, grozą i strachem przejmujące uczucie przeraża Kujawiaka na myśl, że mógłby zstąpić w te podziemia, co wąskim krużgankiem prowadzą pod Gopłem do katedry, na drugiej stronie Gopła położonej.

Z drugiej strony, na małem wzgórzu, Inowrocław ze zgliszczami niezmiernie pięknego kościoła Panny Marji, a wdali, skąd dzwony płyną i płyną tą rozpłakaną godziną, widnieje i świeci się biały kościół na górze: to słynna góra, a w tym kościele cudowny obraz św. Walentego.

Och, móc wyczerpać wszystkie uroki, czary i cuda tej ziemi!

Kiedy w ciemnych nocach straszą srebrne topole po drogach, gdyby widma, w białe płachty przyodziane!

Kiedy z nad Gopła powstają wodne opary i srebrną mgłą rozścielą się na łąkach, a z chałup torfiarzy płynie poprzez te morza mgieł biedne, chore światło!

Kiedy mgła się wznosi i roztapia się w mżącym dżdżu — o! to już za wiele, to tylko powolne rozpływanie się czegoś, co było zgęszczonem, to tajanie jakiejś zadumy, a w duszy uwalnia się coś i skrapla się w długie, perliste łzy i spada na dno duszy jedna perła za drugą, coraz smutniej, coraz boleśniej, o Boże!

A cały świat staje się jedną, jedną straszną, bolesną tęsknotą i w każdej łzie się odbija i z nią razem w jakieś przepastne ciemnie spływać się zdaje.

---

[1]) masoni, czyli wolnomularze—nazwa tajnego towarzystwa w wieku XVIII i w początkach XIX wieku; ludzie nieoświeceni masonów uważali za niedowiarków i czarowników.

To płacz bez jęku; płacze się, a żaden muskuł twarzy nie zdradza, że się płacze. Płacze się długiemi sznurami szklistych pereł w swoje własne serce.

A gdy nadejdą jesienne noce księżycowe, kiedy nagie rżyska świecą się, gdyby olbrzymia podeszwa, gęstym srebrnym gwoździem nabita, kiedy zalega tak straszna cisza, iż zdaje się, że świat cały na chwilę przestał kołować w swych błędnych kręgach, kiedy świat cały zdaje się być zatopionym w jakiejś strasznej a rozpacznej zadumie, wtedy wszystko naokół staje się dziwnie strasznem, i groźnem, i przeraźliwem.

Głos zamiera, jakby go coś ogłuszało, czuje się coś ponad sobą, co krzyczy za wyzwoleniem, a wyzwolić się nie może, coś, co czatuje, co gotowe jest do skoku, a poza sobą jakieś ciche, powłóczyste kroki, tuż — tuż za plecami, już chwyta, już obejmuje kleszczami pierś i strach — strach!

Ale to przerażający strach pogłębienia — tonie się we wszechświecie, spada się z jednej gwiazdy do drugiej — to strach straszliwej rezygnacji, w której człowiek czuje się bezsilnym i bezopornym.

Teraz się dopiero pojmuje, co jest wieczność, co nieskończoność, i to, co jest najstraszliwsze, czem jest śmierć.

Stanisław Przybyszewski.

31. Morze Bałtyckie.

Zachodnie brzegi Europy oblewa potężny ocean Atlantycki. W dwóch miejscach ten ocean wdarł się głęboko w ląd i utworzył dwa morza śród ziem, czyli otoczone dookoła ziemiami.

Tak powstało na południu morze Śródziemne, a na zachodzie Europy morze Bałtyckie.

Morze to znane było starożytnym Rzymianom pod różnemi nazwami, jak np. morze sarmackie, morze wendyjskie, morze wandalskie, morze wschodnie, morze białe.

Ta ostatnia nazwa najbardziej widać się przyjęła i zmieniła się: w morze Bałtyckie, co pochodzi podobno od litewskiego wyrazu „bałtas“ — biały.

Leżący w kotlinie Bałtyk złączony jest z oceanem zapomocą paru cieśnin koło Danji i dlatego zwanych cieśninami duńskiemi. Jest to więc morze wewnętrzne, ledwo wąskim pasem złączone z oceanem.

Natomiast do tej kotliny zdąża cały szereg rzek i rzeczułek, obfitujących w wodę, bo płyną albo z gór, albo z jezior. Wysyłają tu swoje wody wysokie grzbiety Karpat i Sudetów, skąd ciągną Wisła i Odra. Toczy tu swe wody z bagnistych puszcz litewskich ciągnący Niemen. Bardziej ku północy zdąża ku niemu z wyżyn rosyjskich Dźwina Zachodnia, a prócz tego wpada do Bałtyku wielka ilość rzek z jezior, które wieńcem otaczają to morze.

Dokoła Bałtyku ciągnie się wyniosła grobla, usiana na wierzchu jeziorami. Od tych wielu jezior nosi ten obszar nazwę Pojezierza Bałtyckiego. W niektórych miejscach tych jezior jest tak wiele, że np. Finlandję nazywają „krajem tysiąca jezior".

Po drugiej, zachodniej stronie Bałtyku staczają się ku niemu liczne, wielowodne, bystre wody szwedzkie, spadające z bardzo wysokich Skandynawskich gór.

Ogółem przeszło 200 rzek toczy swe wody do Bałtyku.

Z tego też powodu woda morza Bałtyckiego ma nieduży procent soli, bo skutkiem chłodnego klimatu mało wody paruje, mały też jest związek z oceanem, a dużo dopływu wody rzecznej.

To też, gdy w oceanie Atlantyckim i np. w morzu Śródziemnem jesł duży procent soli, to w Bałtyku jest on znacznie mniejszy.

Jest wadą ta mała słoność, bo w morzach bardzo słonych okręty zanurzają się mniej, a w mało słonych więcej.

Drugą wadą Bałtyku jest płytkość, a zwłaszcza u wybrzeży. Są one przeważnie piaszczyste, a brzegi piaszczyste są zawsze płytkie. To też duże okręty nie mogą podpływać blisko do brzegu, muszą zatrzymywać się daleko na morzu, a towary trzeba przeładowywać na mniejsze statki, co podnosi koszty transportu.

Jedynie tylko rzeki, wpadając do Bałtyku, przetorowały sobie głębsze przejścia i dlatego wszystkie porty nadbałtyckie stoją w ujściach rzek.

Tak np. u ujścia Odry stoi Szczecin, u ujścia Wisły Gdańsk, u ujścia Dźwiny Ryga, nie licząc Królewca, Windawy, Kołobrzegu i innych, które stoją u wylotu rzek pomniejszych.

Natomiast tam, gdzie nie wpadają rzeki, ciągną się długie wały nadmorskich piasków, które fala za falą podbijają pod brzeg, a potem wiatr je osusza i rozwiewa, tworząc na lądzie wydmy.

Czasem wydma nie leży u brzegu, lecz na morzu i wtedy nazywa się mierzeją. Są takie mierzeje koło ujścia Wisły i koło

Niemna. Są to bardzo długie a wąskie pasy piasku, pokrytego skąpą trawą lub karłowatą sośniną. Ciągną się one po kilkanaście, lub nawet kilkadziesiąt kilometrów, a szerokość ich jest różna.

Mierzeja Hel pod Puckiem, na północ od Gdańska, ma 36 klm. długości, a miejscami tylko kilkadziesiąt kroków szerokości. Mierzeja Fryska jest dłuższa, Kurońska jeszcze dłuższa.

Od strony Szwecji i Finlandji, gdzie brzegi Bałtyku są skaliste, z najtwardszych skał granitowych złożone, morze uderzeniami swych fal odrywa głazy i zatapia je.

Z biegiem czasu powstają zawały skalne, które grożą rozbiciem okrętu, a przez marynarzy są zwane „szkerami", czyli jakby nożycami, które rozpruwają kadłuby okrętów.

Głębokość Bałtyku jest niezbyt wielka: najgłębsze miejsce nie dochodzi nawet pół wiorsty (427 metrów), przeciętnie są miejsca po 50 metrów, ale nie brak i takich, że dno jest już na głębokości 7—8 metrów, więc gdyby w morzu zatonęła chata w tych miejscach, to kalenica [1]) i komin wystawałyby z wody.

Z tego wszystkiego widać, że Bałtyk nie należy wcale do mórz zbyt dogodnych dla żeglugi:

1) Bałtyk jest płytki,
2) posiada wybrzeża płaskie, piaszczyste,
3) żeglugę utrudniają mielizny i podwodne skały,
4) woda jest mało słona,
5) dostęp do morza tylko przez wąskie cieśniny duńskie.

Aleksander Janowski.

32. A capella. [2])

Noc nad morzem nie bywa spokojną nocą. Niby śpisz, niby czuwasz, a przez mózg przelewają ci się szerokie fale szumów i kolorów, a pod powiekami masz pełno drgającego światła, a w uszach organ i symfonje [3]) jęku.

Powietrze, którem oddychasz, jest rozkołysane, jakby posłanie twoje — jakby falujące. Nie możesz się odjąć wrażeniom ruchu, unoszącego się i porywającego z sobą. Niema tu tego ukojenia, jakie przynoszą z sobą ciche noce na głębokim lądzie; niema tego poufałego, ufnego oddania się spoczynkowi. Na głębokim lądzie, na rozległych, polnych przestrzeniach czujesz, że

---

1) szczyt dachu chaty. — 2) chór bez akompanjamentu. — 3) symfonja rodzaj utworu muzycznego.

noc nietylko tobie sen i zapomnienie przynosi. Czujesz, że wypoczywa wszystko dokoła ciebie, że świat objęły, utuliły, jakieś miłosierne skrzydła. Życie pracuje tam tak cicho przy warsztacie swoim, iż masz wrażenie, że warsztat ten zatrzymany został, że koła jego i tryby stanęły, i że do dnia brzasku nic się nie dzieje, nie staje.

I właśnie to wrażenie przerwy w męce i pracy stawania się, życia, tak w sobie, jak i dokoła siebie, jest najgłębszą istotą wypoczynku duszy.

Ale noc nad morzem takiego wrażenia nie daje. Przedewszystkiem nie przerywa ruchu, nie zawściąga [1]) pozornie nawet wielkiej pracy życia. I nie tylko nie przestaje się dokoła ciebie coś dziać, coś stawać, ale owszem, akty tego stawania się nabierają tu dziwnej intensywności [2]) i mocy. Są poprostu gwałtowne i niepokojące. To życie, które pracuje po nocy i bez wytchnienia, jest jak galernik, przykuty do jakiejś okropnej taczki, toczącej się w ciemnościach z głuchym łoskotem łańcucha. Coś się przewala w otchłaniach, coś kłębi. Coś się dzieje poomacku, na ślepo. Coś potwornego, coś niesłychanego, coś, co nie śmiało powstać dniem, powstaje nocą. Jakiś gwałt rozpiera pierś morza. Pędzi je, zawraca, smaga, kołysze niem ode dna, goni na wysokościach jego i o brzegi ciska. Męka bez odpoczynku, praca bez wytchnienia...

A potem, taka noc ma całkiem osobny i sobie tylko właściwy patos [3]). Jakieś głębokie westchnienia, jakieś szmery i szelesty, jakieś tragiczne szepty, jakieś bezprzytomne zanoszenia się od głosów łkających i nieukojonych.

Wszystko to bije w ciebie, otacza cię, napiera. Zrazu chcesz je zagłuszyć w sobie i zepchnąć z siebie. Czujesz, że są czemś obcem i zewnątrz ciebie stojącem. Przeciwstawiasz im istotę swoją, jej spokój, jej uciszenie. Ale wkrótce ogromny patos morza ogarnia cię, obezwładnia i nawskróś przenika. Podnoszą się, powstają z dawnych i świeżych mogił życia wszystkie smutki twoje, wszystkie żałoby i, podając głosem tej nocy jakiś przeciągły, nieskończony odzew, idą ku morzu, wprost przez serce twoje długim korowodem...

Aż wstąpią na szum i huk bezsennej fali, i zakrywają oblicza swoje, i przestawszy być sobą, zespolą się, zleją, zjednoczą z prastarym bólem świata. A wtedy tętna twoje uderzą w takt

---

1) powstrzymuje. — 2) siły, bujności. — 3) ton uroczysty, wzniosłość.

potężnie narzucającego ci się rytmu morza, pierś poruszać się zacznie pod miarę szerokich oddechów otchłani, a dusza twoja wejdzie do wielkiego chóru wszechjęku. Chórowi temu nie przygrywa wtórem ni niebo, ni piekło. Cisza leży na gwiazdach, cisza światami przewiewa, a mroczne głębiny przepaści zalega odwieczne milczenie.

To jest chór „a capella“, bezsenny chór duchów.

Oto uderzył w powietrze jękiem i ustał, jakoby nasłuchując głosów użalenia. Ale odpowiedziała mu cichość...

I znów buchnął skargą pomieszanych głosów i znów ustał i czekał. I znów odpowiedziała mu cichość...

Wtedy rozegrał się sam w sobie i rozśpiewał, jak wicher i jak burza.

Oto przeciągają wiekami głosy miljonowe, a jęk ludami idzie. Oto podają go czasy czasom, narody narodom, jako gorejącą pochodnię; od źródeł Eufratu, od prastarych przepaści bólu podają sobie jęk, jako wielki naczelny ton życia. Nikt głosów nie zestraja, nie łączy. Jedne pałają gwałtownie, inne wznoszą się błagające, inne ugasają i mdleją w najcichszych westchnieniach. Chór łączy się i rozdziela, nie wiedząc o sobie. Każdy duch śpiewa ból swój, a nie wie, iż sam jest pieśnią. Czasem zerwie się głos lotny, głos prorocki i, jak wielki ptak obłąkany, ślepo uderzy się o milczące gwiazdy — i spada. A za nim porywa się chór jęków, jako klucz żórawi, i nie doleciawszy pierwszych straży nocy — też spada.

Czasem krzyk, krzyk przenikliwy, ostry, jakby nie z piersi, lecz z rany śmiertelnej wyrzucony. Czasem szept pełen nieszczęścia i winy. Czasem szmer sypiącego się próchna po starowiecznych, mogilnych podziemiach. Czasem płacz, płacz rodzących się Duchów na znój, na bój, na ból...

Z przepaści do przepaści biją głosy nieukojone, łkające.

Wstaje fala, podnosi się z odmętów wieczystych w niewypowiedzianym wysiłku i w męce. Wstaje fala, pędzi, wzlata, rzuca się ku niebu, i z nabraną, pełną gorzkich pian piersią mdleje i spada, śpiewając pieśń własnej zatraty.

I szumi morze i huczy, i śpiewa wielki Chór Duchów, któremu nie wtórzy ni niebo, ni piekło.

...Do prawdy chcemy!

...Do sprawiedliwości chcemy!

...Do żywych źródeł chcemy!

...Do życia! Do życia!... do życia!...

Wielki chór jęku „a capella“ śpiewa.

Lecą głosy przestrzennym eterem [1]), trąciły się o Lirę [2]) gwiezdną, targnęły siedmiostrun wszechdźwięku, wszechskargi, i siedemkroć siedem otchłani starego bólu i starej rozpaczy świata zbudziły do ech długich, wyjących, przewlekłych... I popłynęły wielką Drogą Mleczną, i uczyniły ją gorzką, i zatrutą. I przewiały pióra Łabędzia [3]) na północnem niebie, i łunę krwi rzuciły na białość puchów jego.

Wielki chór „a capella“ śpiewa.

Każdy duch zdeptany mówi swoje słowo, i każdy duch w polocie mówi swoje słowo, a Łazarz, który milczy, jest wysokim i najwyższym tonem.

I śpiewa chór „a capella...“

Lecą głosy poszarpane niewiast, i dzieci, i mężów, głosy pełne przeciwieństw, pełne dysonansów [4]), które zestraja ból...

Objęły glob, opasały ziemię dźwięczącym, jak łańcuch, pierścieniem. Stały się chórem globowym.

Wzbierają jedne, opadają drugie, wibrując przez całą skalę wszechjęku, od namiętnego krzyku do ledwie słyszalnego ostatniego tchnienia.

Jestże to modlitwa?

Jestże to klątwa?

Jestże to pieśń życia, czy pieśń śmierci?

Nikt nie słyszał jej początku i nikt nie usłyszy jej końca.

Gdy umilknie, nie będzie nieba i nie będzie ziemi.

Będzie tylko — śmierć.

Marja Konopnicka.

33. Morskie Oko.

Morskie Oko otoczone jest wokoło przez skały granitów, na kilka tysięcy stóp wyżej jeszcze sterczące. Trzy granitowe ściany: od północy, od wschodu i od południa, są całe, gładkie, prostopadłe; żadnych w sobie nie ukazują poburzeń, ani rozpadlin. W górze tylko, i to w ostatnich cyplach, spostrzegać [5]) przerwy i rozłupy. Czwarta zaś ściana, która kiedyś od zachodu tę całą przepaść i w niej wody Oka Morskiego zamykała, była dawniej może równo z innemi bocznemi skał karpami wysoka.

---

[1]) przypuszczalna materja nieważka, wypełniająca przestrzenie międzyplanetarne. — [2]) nazwa gwiazdozbioru. — [3]) nazwa gwiazdozbioru. — [4]) dysonans — fałszywy akord. — [5]) t. j. dają się spostrzegać.

To okazują pozostałych skalisk węgły, zwalonej ściany dotąd stojące jeszcze reszty i ogromne z tejże samej ściany na zachód rozwaliska, które zasypały większą część Rybiego Jeziora i dotąd na kilkaset stóp wysoko okrywają strasznemi granitów rumami tę resztę stojącej ściany.

O tem Oku Morskiem, że jest niezgruntowane, że wody jego mają podziemne swoje połączenia z morzem, że wody jego w pewnych czasach do góry się podnoszą i w pewnych czasach na dół opadają, znalazłem między góralami liczne gminne wieści. To tylko zdaje się być rzeczywistością, że wody tego jeziora wznosiły się w początkach do wielkiej wysokości. A tego dowodem jest ogromne rozwalisko czwartej ściany, którędy te wody opadły i dotąd spadają. Zdaje się być rzeczą także niewątpliwą, że głębizna tej jary, w której wody Oka Morskiego leżą, musiała być w pierwotnych początkach naszej ziemi niezmiernie przepaślistą. O tem przekonywają uwagi nad okolnemi skałami. Te, będąc wszystkie granitem jednostałym, pierworodnym, powstały tu więc z pierwszym początkiem tego świata, z pierwszem zsadzaniem się i kształtowaniem gór najstarszych, pierworodnych, granitowych. Musiały więc przez tyle wieków równo, jak skały inne, łupać się i rozpadać. To w najwyższych ich ostrzach ukazują dotąd liczne rozpadliny i urwiska. Musiały przez tyleż wieków zwalać naokoło swe kamienie, zrzucać swoje rumy w ten dół Oka Morskiego i w miarę tak długiego czasu powinny były to małe jezioro albo zupełnie zawalić, albo przynajmniej wysoko brzegi jego zwaliskiem granitów obsypać. Tu przeciwnie, wody Oka Morskiego nawet w czasach największej ich niskości przypierają naokoło do samych prostopadłych ścian granitów.

Niema żadnego po brzegach kamieni zwaliska; chociaż są naokoło w górnych cyplach rozwalone skały. Niema żadnego sposobu obejścia tego jeziora dookoła. Wszędzie widać aż pod same gładkie z granitu ściany, przepaść i czarną wód głębię.

Stanisław Staszic.

34. Ranek nad Morskiem Okiem.

Ranek. Jasne, nikłe, prawie bezbarwne niebo rozpina się nad szczytami. Wszystko jest blade, w rozproszonem świetle poranka znikły wszystkie cienie. Szaromleczne turnie [1]) wznoszą

[1]) turnia — szczyt skalny.

się dokoła gładkiego jeziora, tak gładkiego, że odbicie w wodzie nie różni się niczem od rzeczywistych barw i kształtów — niewiadomo, czy świat piętrzy się w górę, czy zapada w bezdnię. Woda nie ma żadnej swojej barwy, niknie — jest tylko najczystszem zwierciadłem bez skazy, w którem się przeglądają szczyty, które w swojej jasności, wyraźności każdego żlebu [1]), turniczki [2]) rysu, brzeżka zdają się zbliżać, skupiać się zewsząd ku wodzie.

Na kamieniach, na deskach dachu i promu, na liściach traw, wrzosów, paproci, na kępach mchów bieli się szron gęsty; lekki opar przesłania ciemne krzaki kosówek [3]), pnie limb i smreków [4]). Wszystko zdaje się dążyć do unicestwienia się, do roztopienia się w bladem niebie, — świat wygląda, jak gdyby bladł, mdlał, konał, jakby jeszcze coś niecoś widział oczyma, które przesłania mgła śmierci.

Nagle, na szczycie najwyższym zapala się krwawy ognik, jeden, drugi — dziesiąty, pożar rośnie, ogarnia wirch cały, który przez chwilę zdaje się żarzyć, jak piramida tlejących węgli.

Łuna rozlewa się coraz szerzej i stopniowo traci odblask czerwony — staje się pomarańczową, żółknie — bieleje. Jednocześnie dno doliny ciemnieje, lasy nabierają barwy granatowej, cienie żlebów, strome ściany turń i szkarp [5]) skalnych błękitnieją; po jasnej, zwierciadlanej powierzchni jeziora przebiega jakieś drżenie i cień zielonawy przesłania jego wody. W miarę jak wstające szybko słońce coraz jaśniejszem, czystem białem światłem oblewa górne kończyny ścian skalnych, Morskie Oko coraz ciemnieje, granatowieje, a po brzegach świeci się smugą jaskrawego seledynu [6]).

Słońce z za wschodniej krawędzi Żabiego wirchu pędzi szybko do góry. Zasłona cieniów opada coraz niżej z Mięguszowskich turni. To, co w pomroce wieczornej zdawało się równą ścianą, teraz, oświetlone skośnemi promieniami słońca, wygląda, jak bok gotyckiego kościoła, najeżony szkarpami, gzemsami, wieżyczkami. Cień osuwa się jeszcze niżej, już światło sięga wielkich usypisk gruzów granitowych, które od brzegu jeziora wznoszą się do ścian turni wielkiemi piramidami, bielejącemi się u góry wieczystym śniegiem, o który właśnie drasnęły ostre promienie słońca.

---

[1]) szczelina skalna. — [2]) skałki. [3]) kosówka, kosodrzewina — rodzaj krzaków iglastych, rosnących na wyżynach Tatr. — [4]) świerków. — [5]) szkarpa — podpora kamienna w dawnych gmachach. — [6]) drogi kamień barwy zielonkawej.

W tejże chwili olbrzymi snop światła wytrysnął z za ciemnych skał i upadł na brzeg jeziora w stronie Rysów. Wszystko dokoła ściemniało, woda jeziora zamroczyła się, jak gdyby w niej zatopiła się noc bezksiężycowa; lasy sczerniały i tylko tam, u przeciwnego brzegu, wysunięty skrawek ziemi błyszczał, na tle ciemnego aksamitu, jak srebro, mienił się tęczowemi blaskami, jak brylant, świecił, jak elektryczne ognisko. To słońce stopiło kryształy szronu i drgało w ciężkiej rosie, zalewającej mchy, trawy i kiście borówek i korony limb, które, jak białe płomienie, zapalały się, gdy ich dotknęła pożoga słonecznych blasków.

Jeżeli kiedy Morskie Oko naprawdę jest podobne do oka, to w tej chwili. Otoczone jasnemi gruzami granitów, niby białkiem, ze źrenicą czarną w środku, rozchodzącą się do brzegów przeźroczystemi tonami seledynu[1]), z tym połyskiem słonecznym zdaje się patrzeć w niebo z pod szarej skał powieki.

Poprzez smugi świetlane, drżące w lekkim oparze, wznoszą się wysoko równe ściany Rysów, mgliste, powietrzne; słońce upada w kotlinę Czarnego stawu i świeci się tam, jak gdyby poza skalnym ciemnym progiem żarzyła się lampa elektryczna, promieniejąca gwałtownie na skały, których każdy załom i występ rysuje się ostro i wyraźnie.

Jezioro leży ciche, gładkie, chłonąc wszelkie blaski, cienie i barwy ciemnych skał granitowych, srebrzystych śniegów, szarych usypisk piargów[2]) i czarno-zielonych kosodrzewin. U brzegu, z pod seledynowego przezrocza, przezierają jasne kamienie na głębi, od czasu do czasu, pluskają pstrągi, rozcinając srebrnemi kółkami granatowy atłas wody.

Stanisław Witkiewicz.

35. Morskie Oko.

Tu myśl twórcza straszliwą pięknością wykwita. —
Pięknością niezmierzonej potęgi i siły,
Co, gromami na skałach rozdartych wyryta,
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej bryły.

Dziki zamęt! — głazami zasłane koryta
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły
Północne groźne bogi i krew ofiar piły
Z czary, która w jezioro upadła — rozbita.

---

[1]) Seledyn — barwa blado-zielona; [2]) piargi — okruchy skał.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina.
Poszarpane gór grzbiety, wody się czernieją,
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją
Sny człowieka, co staje, jak mała dziecina,
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!

Adam Asnyk.

36. Morskie Oko.

W tych miejscach, gdzie takie góry a skały, były dawniej żyzne łany, lasy i łąki. Na samej od Polski granicy mieszkał pan polski możny, a zwał się Morski. A tuż od węgierskich kopców panował młody i urodny książę, i byli z sobą sąsiedzi o miedzę tylko. Pan Morski miał cudnej urody córkę, książę ją ujrzał i zaraz się w niej srodze rozmiłował. Prosił ojca o jej rękę, ale ten poprzysiągł, że wyda ją, ale tylko za swojaka, nie cudzego rodu.

Stary Morski był to wojak, poszedł z królem na wyprawę daleko, a córkę zamknął w klasztorze i powiedział, że ją przeklnie, jeśli pójdzie za Węgrzyna, bo ją woli oddać djabłu, jak[1]) obcego rodu.

Za długo bawił na wyprawie: młoda dziewka nudziła się srodze, a tymczasem urodny książę dalej do niej w zalecanki, Posyłał jej to cudne korale, to wstążki, to klejnoty. Nasyłał jej stare wróżki, co jej z węgierska wróżyły, że będzie wielką panią, że będzie miała srebrne pałace i złociste komnaty. Oczarowały roztęsknioną dziewczynę, i ta przyrzekła uciec z klasztoru. Wieczorem młody książę podszedł pod mury, przebrany za mnicha, żegnał się i o jałmużnę prosił. Zakonnice wpuściły go za kratę. Czarownice rzuciły zioła i zamówiły, a wszystkie psy posnęły. Książę uciekł z dziewczyną; kazał jej wystawić pałac cały koralowy, od złota i kamieni drogich lśniący.

Teraz księżna rada, cały dzień po łąkach kwiecistych tańcowała, albo dzieci swe pieściła, a wieczorem wróżki ją kołysały i śpiewały, żeby miłe a piękne sny miewała. Wszystko tam szło, jak wianki wił, ani gradu, ani powodzi, ani zarazy na bydło. Siedmioro dziatek mieli, wszystkie ślicznie się chowały. Stary Morski jak nie wracał, tak nie wracał; ludzie gadali, że od Tatarów zabity, już nie żyje. Córka wdziała czarną żałobę, zabrała dobytek

1) prowincjonalizm, zamiast niż.

po ojcu i śmiała się z przekleństwa. Aż tu powraca niedługo potem pan Morski, pyta o córkę — pokazują mu koralowy pałac. Córka, dowiedziawszy się o ojcu, przybrana w klejnoty, poszła go pozdrowić. Stary przeżegnał się, plunął, tupnął nogą, aż się pałac koralowy w proch rozsypał, i tak zawołał:

„Bogdajby twój cudzoziemiec i całe jego mienie w kamień się obróciło!“ A gdy księżna wywiodła dziatki swoje i z płaczem padła mu do nóg, jeszcze więcej rozgniewany wykrzyknął: „Rozpłyń się we łzach twoich, a przeklęte dzieci twoje niech się w nich potopią, bo aniś ty córka, ani oni Morskiego wnuki“.

I przekleństwo ojca spełniło się zaraz: pola, łąki, lasy, pałace, trzody i wszystko w jeden zamieniło się kamień. Przestraszony książę przebrał się za mnicha i uciekać począł. Ale i on zamienił się w skałę, co dotąd Mnichem się zowie. Księżna płakała, przywołała wróżki, ale te nic nie mogły przeciw ojcowemu przekleństwu. Każda tylko porwała dziecię i uciekała. A tu kamienie rosnąć z pod ziemi poczęły tak nagle, że dalej biec nie mogły. Każda zmęczona usiadła i widziała śmierć przed sobą. Dzieci płakały, nawoływały matki; matka przybiegła, płakała a płakała, że z łez jej stawy się robiły, i siedem się takich stawów zrobiło, a w każdym stawie jedno dziecię leży. Księżna oczy wypłakała. Jedno oko z wyższej stoczyło się skały i od panieńskiego jej nazwiska Morskiem Okiem nazwano. Klejnoty wszystkie utopiła księżna w tym stawie, które później wyłowiono.

Kiedy już nic nie było, tylko stawy a puste skały, sama księżna się w jednym stawie roztopiła, a że czarno była ubrana, woda się od tego zabarwiła i dotąd jest czarną.

Mówią ludzie, że tam nieraz jeszcze słychać płacz i narzekanie, bo jej dusza jęczy, o ratunek prosi. Ale jak kto usłyszy to i zlituje się, to go zaraz śnieg ze skał zasypie.

Podanie ludowe.

37. W puszczy Białowieskiej.

Na zachodzie, daleko za przestrzeniami lasu, których wzrok orli nawet przemierzyćby nie mógł, z za miedzianych lub krwistych, purpur zorzy wieczornej, rozpływa się po błękitach morze bladego ognia i do lasu wlewać się poczyna, jak miód bladozłoty do szmaragdowej czary. W poświacie[1]) tej, z rozpylonych niby

1) światłości.

pierścieni ślubnych powstałej, pęka i kruszy się ściskający przedmioty cement[1]) leśnych zmroków, a od dna do podniebnej wyżyny wszystko rozstępuje się, wyodrębnia, otwiera naoścież głębie tajemnicze i dale niezmierne, w których, jak w czarnoksięskim pałacu zaklęta królewna, życie oddycha na łożu, usłanem z zadumy i ciszy.

Zadumy, cisze, zmroki wieczorne, ciemności nocne ścielą tu całuny uśpienia i smutku; mgły snują żałobne przędziwa, mróz ze szronu i lodu wykuwa szklane trumny i ze zgrozą gromów, z wirem wichrów przetaczają się burze zimowe i letnie, a zaklęta królewna żyje — i nie przerywa się nigdy, choć niekiedy przycicha lub słabnie bicie jej nieśmiertelnego serca. Nie znikają też nigdy ze stropu jej pałacu, choć niekiedy za chmury się kryją, słońce i gwiazdy, a gdy w rumieńcach jutrzni, albo w ogniach zorzy wschodzą nad światem pogodne wieczory i ranki, wzbija się od niej tysiąc głosów, tysiąc woni, tysiąc ech i po tajemniczych głębiach, po niezmierzonych dalach jej komnat tysiącem strumieni rozpływa się czar piękności.

Za gęstwinami i drogami, za polanami i łąkami, za strumieniami i rzekami stoi Bór-Lada, klejnot puszczy najdrogocenniejszy, odwieczne dziedzictwo olbrzymek. Ze wszystkiego wokół najstarożytniejsze, żyją tu same jedne sosny, potężnie broniąc państwa swego od najścia plemion innych. Jak przystoi olbrzymkom, nie zbiegają się w tłumy, lecz, znacznemi odległościami rozłączone, korony rozłożyste wznoszą w podchmurne wyżyny na pniach prostych i gładkich, jakby je w kształty kolumn utoczyły dłóta mistrzów-architektów.

W siwych koronkach porostów, lub rdzawo-czerwone od przejmujących miąższ ich żywicy, kolumny te, występując jedne z za drugich, zdaje się, jakby w nieśmiertelnej gonitwie dążyły w nieskończoność bezprzestanną; budują i krzyżują labirynty, z dachami, rzeźbionemi we wzory iglaste, z podłożami, wysłanemi puchem mchów i wrzosów. Czasem, na podłożach, rojem iskier rozsypują się korony drobnych kwiatów, lecz słabe to życie na wodzy trzymają olbrzymki, wielkiemi hausty wypijając soki z ulubionej swej gleby piaszczystej, w ciszach głębokich i w woniach octowych, które u ich podnóży biją z łańcuchów gór mrówczych[2]).

---

[1]) tu: gąszcz; [2]) mrowisk.

Cicho i czysto... Po śliskiej powierzchni opadłego igliwia mrówcze ludy same jedne chodzą drogami, przez plemię ich ubijanemi od wieków, i gdzie niegdzie, u stóp kolumn, wznoszących pod niebo hymn wzrostu i siły, dawno pomarłe bajraki[1]) rozciągają strugi krwistego próchna. Cicho... Ptaki nie mają tu jagód, pszczoły wody, a motyle kwiatów. Nic nie lata, nie śpiewa, nie świegoce. Dzięcioł tylko miarowo kędyś stuka, pisklę krogulcze ostrym poświstem ozywa się na wierzchach, i w dali zadźwięczały krótkie, urywane dzwonki. Co zadzwoniło? To jelenie zaszczekały. Biegną z głuchym tętentem, przewijają się rudą smugą ciał potężnych a lekkich, które zalotnie kołyszącym się krokiem omijają kolumny, królewskiemi rogami na tych luźnych przestrzeniach zaledwie potrącając opuszczające się z gałęzi włochate brody mchów drzewnych.

Nagle górą poleciały, w gałęziach zaszumiały wielkie skrzydła ptasie. Orzeł to był czy jastrząb, albo krogulec? Jelenie stanęły, w długi sznur wyciągnięte, podniosły głowy, rogi pokładły na grzbietach i wszystkiemi parami oczu wpatrzyły się w ażur wysokiego dachu. W oczach tych bojaźń jest i z nieskończoną słodyczą niema prośba. Tak nieruchomością posągową tknięte, w błękitne plamy nieba zapatrzone, we wzroku i słuchu całe, stoją pod spływającym na nie miedzianym[2]) blaskiem zorzy; potem zrywają się znowu i z szybkością myśli, czy strzały, mkną dalej, dalej, tam, kędy czyni się ciemniej, gęściej, kędy z ziem chłodnych i tłustych, truflami i torfem pachnących, nadchodzi ku państwu olbrzymek silny, młody, wojnę z zagładą niosący — Jełosmycz.

Jełosmycz to czysty, żadną przymieszką obcą nie skalany ród świerków. Świerki idą.. Tłum postaci wyniosłych i zgrabnych idzie na podbój ziemi i jej żywiących soków. Z ostremi iglicami gotyckich[3]) wież na głowach, w płaszczach rycerskich, z których naokół padają długie cienie, śpieszą w bój z rodem prastarym, który ziemię tę zwłokami swemi utuczył i na dalekie morza rozsyłał heroldów[4]) jej sławy w postaci niezłomnych masztów. Dwa rody spotykają się z sobą, zwierają się, walczą. Widać, jak na kolumny sosen opadają ze stron wszystkich gęsto tkane płaszcze świerkowe, do stóp ich ścieląc cienie, dyszące wilgotną zgubą. Liściaste podszycia, natarczywie tłocząc się, wojskiem ciurów wspomagają szeregi zaborcze; coraz też częściej i gęściej

---

[1]) bajrak — sosna karłowata; [2]) czerwonym; [3]) t. j. strzelistych; [4]) głosicieli.

iglice gotyckie strzelają ku niebu, a dokoła olbrzymek staje się coraz ciaśniej, ciemniej; grzyby pachną, dymna woń torfu napełnia szczeliny, przenika pory gęstwin, czuć jakiś triumf, tuż obok konanie, aż u zwężonych granic starożytnego państwa zwycięski Jełosmycz rozpościerać poczyna ściśliwą, ciemną, iglastemi wieżycami zjeżoną, liściastemi firankami zawieszoną — Smugę Czarną.

Czarna Smuga to uroczysko, pełne postrachów i dziwów. Są tam u góry mosty napowietrzne, które wichry budują z ciał rycerzy [1]) złamanych i konające czoła opuszczających na łona towarzyszy; są pod świerkowemi płaszczami nawy niskie, bezkreśne, milczące i mroczne, jak potajemne kościoły; są wśród wywrotów [2]), które z ziemi wydarte korzenie wyciągają w powietrze nakształt nóg przeolbrzymich pająków, trupy prastare, których nagie żebra bieleją, jak szkielety przedpotopowych potworów; są nory dziwne, ciemności pełne, pomiędzy łapami świerków, które na rozstawionych, zda się, nogach wielkoludów tułowia drzew wysoko nad ziemią podnoszą.

W czarnych ciemnościach nor tych szeleszczą gniazda robacze i ostrożnie wyglądają z nich żółte głowy kun i łasic, gdy wyżej w gęstwinach igliwia pomykają we dnie wiewiórki rude, a nocami świecą zielone oczy i do łupieżczych poskoków zwijają się kocie ciała rysiów. Wichry, goniące się po przestworzach, i burze, gromami huczące, dna Smugi Czarnej nie sięgają. Ulewa, kędyś wysoko hełmy gotyckie siekąca, po rycerskich płaszczach spływa rzadką rosą i, w ziemię wsiąkając, dobywa z niej zapach pleśni. Tu czasem orzeł-imperator zajrzy w ciemne rozdoły, załopoce potężnemi skrzydły i, strąciwszy z drzew trochę gałęzi, z dumnym szumem odpłynie w górę. Tu czasem w głębokościach najciemniejszych toczą się niestałe, grobowe mruczenia żubrów, wzbierając i milknąc, chrapiąc i rwąc się do grzmotu, któryby gamy swej we wnętrznościach ziemi próbował, podobne.

Podziemne [3]) to jest, ponure i roztaczające szerokie kręgi grozy [4]). Nie wiedzieć, w jakiej twierdzy, obwarowanej ścianami rumowisk, zjeżonej nagiemi żebrami szkieletów, kłótnia wybuchła i wszczęły się łoskoty, łomoty, stuki, które echa przewlekłe po lesie roznoszą. Słychać stękanie drzew, potrącanych przez ciała

---

1) do rycerzy autorka przyrównywa tu i dalej wielkie drzewa; 2) wywrócone pnie drzewne; 3) jakby wychodzące z podziemia (mruczenia żubrów); 4) siejące dokoła postrach.

ogromne, trzeszczenie walących się łomów, suchy łoskot zwierających się rogów, tętenty racic, które w walce zaciekłej wyrzucają z pod siebie bryły ziemi. Postrach idzie lasem. Cokolwiek wokół żyje, przypada do trawy, do liścia, do gniazda, do legowiska, do nory; pełza, kurczy się, zwija kręgi albo pierścienie, pożąda ukrycia się, zniknięcia. Aż nagle milknie wszystko.

Wśród ciszy zaklętej, którą powszechna trwoga las napełniła, stary żubr zwyciężony rogatą głowę wychyla z gęstwiny i ciężki tułów przesuwa po przezroczystych kolumnadach Boru-Ladyi. Od gęstej grzywy, która falą wełnistą wzdyma się mu na grzbiecie, i długiej brody, opuszczającej ku ziemi kądziel starganą, powiało ckliwym zapachem piżma. Zwyciężony, zadumany, ponury, opuścił rodzinne stado, aby odtąd pustelniczą swą starość melancholijnie[1]) i groźnie obnosić pośród świateł i cieni, gróz i piękności, dzikich postrachów i słodkich pieszczot tej puszczy. Chodzić on będzie po szmaragdowych drogach, które wśród ścian niebosiężnych w dalekich dalach otwierają się na błękity lub na chmury niebios, i po ścieżkach swawolnych, które tysiącem skrętów biegną ku srebrnym biegom strumieni. Pójdzie on tam, kędy na olchach łąk wilgotnych wieszają się białe opary i trwożnemi błyski migocą ogniska pastusze; kędy gibkie graby tysiącem ramion owijają wyniosłe wiązy, kędy z podnóżami, zatopionemi w szkliwie wód, czarnych, jak smoła, dęby pod samo niebo ciskają odwieczne swe wzrosty. Na zawsze uciszony, słuchać on będzie w klonowych gajach, jak drzewa drżeniem liści, a ptaki śpiewnym chorałem witają rodośnie poranki i, na zawsze samotny, ścigać wzrokiem z za grubej kolumny chyże sarny, stadami mknące ku wieczornym leżom. Spoczynek znajdzie tam, kędy z wiecznie zielonych wąwozów, jak z czar malachitowych[2]), ogromna i gorzka wybucha woń trawy, noszącej imię jego, albo tam, kędy błotne Nikary[3]) na przestrzeniach, dla oka niezmierzonych, rozstawiają wojska trzcin w kołpakach aksamitnych.

Na ogromnem mokradle Wielkiego Nikaru, w nurtach brodów, posiadały łosie i głowy tylko, konchowatemi[4]) rogami oskrzydlone, nad mętne powierzchnie podnosząc, nakształt samotnych bożków, gryzą rozmarynem pachnące bahony[5]). Wiatry na tych gładkich przestrzeniach, jak bieguny na stepach, hasają

---

[1]) smutnie; [2]) malachit — kamień barwy zielonej; [3]) nazwa mokradła; [4]) w szktałcie muszli; [5]) bahon, bahun — roślina błotna, zwana bagnem.

po niwach ajerów[1]), irysów, grzybieni, przeciągle gwiżdżąc w oczerety[2]), czajki krzyczą, bąk buczy, czapla przelatuje, i dokoła głów łosich zorza łuny różane ściele po stojących wodach.

Eliza Orzeszkowa.

38. Las podbiegunowy.

Dziwny widok przedstawia las podbiegunowy.

Cmentarz to raczej, gdyż zaprawdę więcej tu leży pni zwalonych, niż żywych drzew korony wznosi ku niebu. A i te ostatnie stoją niskie, cherlawe, napół uschłe, skrzypiąc żałośnie w pałąk zgiętemi, rzadkim liściem odzianemi szkieletami za najmniejszym wiatru podmuchem i zdając się żebrać o zgon rychły. Na ziemi leżą kłody tu stare, zmurszałe, zgnilizną tchnące i jednolitą warstwą mchów i liszai pokryte, ówdzie świeże jeszcze, żywicę z ran sączące; leżą, rozpostarłszy szeroko gałęzie, potraciwszy w upadku kruche wierzchołki, pojedyńczo lub kupami gwałtownie z ziemi wyrwane ze szmatami torfu i darni. Korzenie ich sterczą do góry, niby konwulsyjnem konaniem wykręcone stopy nieboszczyków. Tak, to pobojowisko! Tu się toczy walka zajadła, nieubłagana między wichrami, jałowością gleby a lasem. Poległo już wielu bojowników, ale bój nie skończył się jeszcze, o czem świadczą wymownie owe młode latorośle, świeżo wyrastające między chróstami, chciwe słońca i powietrza, a pewne praw swoich. Przyjdzie czas, że i one gwałtowną zginą śmiercią, ale nie zginą napróżno.

W oprawie nędznych, głuchych borów tem majestatyczniej wyglądają olbrzymie, srebrne, gwarne jeziora. Jest ich tu moc niezmierna, różnej wielkości i kształtu i na różnym leżących poziomie, ziemia ta bowiem stosunkowo niedawno wyłoniła się z głębi morza, cała jeszcze perli się i, jak wodnica, wychodząca ze zdroju, ocieka wodą. Dawno już jednak utraciły one swój rodzimy charakter; wiosenne ulewy wypłókały z nich sól i gorycz, a brzegi, dawniej płaskie i nagie, wzniosły się i obrósłszy lasem, zmieniły ich falę morską, ciężką i potoczystą, na krótką, pluskającą i figlarną falę wód słodkich. Im dalej uciekał od nich ocean, im wyżej rósł bór okoliczny, tem one stawały się cichsze, leniwsze i spokojniejsze. Dziś lekki wietrzyk zaledwie marszczy

---

[1]) tataraków; [2]) trzciny.

ich oblicza senne, gładkie, w niebo zapatrzone i otoczone rąbkiem traw i krzewów. Tylko, gdy daleko, w ojczystem ich morzu, zaszumi burza, niosąc w szalonych podskokach olbrzymie, rozpasane, ryczące bałwany, wówczas i one poczynają dyszeć namiętniej, podnoszą do góry spienione łby, jakby raz jeszcze ujrzeć chciały utracony na wieki świat, a zawiedzione, biegną w gniewnych pląsach na niskie brzegi i, uderzając o nie gwałtownie, rozsypują się i nikną bez śladu, pozostawiając po sobie tylko długi i przenikliwy jęk. Każde jezioro ma odmienny łoskot fal i każdy podmuch wiatru inne wydobywa z nich tony. Te dźwięki, zmieszane z szumem drzew i wiatru poświstem, tworzą dziką, jednostajną, a dziwnie rzewną i smętną melodję, pełną jakby żalu i płaczu po utraconej swobodzie.

Słuchając jej, smutnieje wesoły Tunguz, zabłąkany tu w pogoni za zwierzyną, uczuwa jakieś tajemnicze drgania swej prostej duszy i modli się; Jakut, praktyczny rybak, zatrzymany niepogodą w wędrówce po jeziorach na wątłem czółnie, leży na wilgotnym brzegu u tlejącego ogniska, a ogarnięty silniejszem, niż kiedykolwiek, poczuciem swej zależności od nieznanych potęg, wtóruje piosnką echom burzy i marzy o lepszej przyszłości.

Wacław Sieroszewski.

39. Las podzwrotnikowy.

Ziemia tu była wilgotna i miękka, zarośnięta ciemno-zielonawą trawą mchami i paprocią.

Gdzie niegdzie leżały stare spróchniałe pnie, pokryte, jakby kobiercem, prześlicznemi storczykami o pstrych, podobnych do motyli kwiatach, z również pstrym dzbankiem w środku korony. Gdzie dochodziło słońce, tam ziemia złociła się od innych dziwnych storczyków, drobnych i żółtych, w których dwa płatki kwiatu, wznosząc się po bokach płatka trzeciego czyniły podobieństwo do głowy zwierzątka o dużych, ostro zakończonych uszach. W niektórych miejscach las podszyty był krzakami dzikiego jaśminu, upiętemi w girlandy z cienkich pnączów, kwitnących różowo. Płytkie parowy i wgłębienia porastały paprocie, zbite w jeden nieprzenikniony gąszcz, to niskie i rozłożyste, to wysokie, z pniami poobwijanemi, jakby kądzielą, sięgające aż do pierwszych konarów drzew i rozpostarte pod niemi w delikatną zieloną koronkę.

W głębi nie było jednolitych drzew: daktylowce, rafje, palmy wachlarzowe, sykomory, chlebowce, euforbje, olbrzymie odmiany senecjonów, akacyj, drzewa o uliścieniu ciemnem i lśniącem i jasnem lub czerwonem, jak krew, rosły obok siebie, pień przy pniu, splątane gałęziami, z których strzelały kwiaty żółte i purpurowe, podobne do świeczników.

W niektórych odstępach nie było wcale widać drzew, gdyż od ziemi aż do wierzchołków pokrywały je pnącze, przerzucając się z pnia na pień, tworząc jakby wielkie litery: W i M, zwieszając się nakształt festonów, firanek i całych kotar. Liany kauczukowe dusiły wprost w tysiącznych wężowych skrętach drzewa i zmieniały je w piramidy, zasypane białem kwieciem, jak śniegiem. Naokół większych lianów obwijały się mniejsze gmatwanina stawała się tak niesłychana, że przetwarzała się niemal w ścianę, przez którą człowiek, ani zwierz nie zdołałby się przedrzeć. Miejscami tylko, gdzie przedzierały się słonie, których sile nic nie potrafi się oprzeć, było powybijane w gąszczu jakby głębokie i kręte korytarze.

Śpiewu ptaków, który tak umila lasy europejskie, nie było wcale słychać, natomiast wśród wierzchołków drzew rozlegały się najdziwaczniejsze wołania, podobne to do odgłosu, jaki wydaje piła, to do bicia w kotły, to do klekotania bocianów, to do skrzypienia starych drzew, to do klaskania w ręce, do miauczenia kotów, lub nawet do głośnej, podnieconej rozmowy ludzkiej. Kiedy niekiedy wzbijało się ponad drzewa stadko papug szarych, zielonych, białych lub gromadka jaskrawo upierzonych tukanów, w cichym, falistym locie.

Na śnieżnem tle kauczukowych pnączy migały niekiedy, jak leśne duchy, małe małpki żałobniczki, czarne zupełnie, z wyjątkiem białego ogona, białych pasów po bokach i takichże faworytów, otaczających twarz barwy węgla.

Henryk Sienkiewicz.

40. W lesie.

1. Wolno i sennie chodzą
Po jasnem tle błękitu
Złocisto-białe chmurki
Z połyskiem aksamitu.

5. Niekiedy się zasrebrzy
Pod słońca blask zukosa
Jaskółka śmigła, czarna,
Sunąca przez niebiosa.

9. Po łące cichej, jasnej,
W srebrne objęte ramy
Przez opalowy [1]) strumień,
Złote się kładą plamy.

13. Szmaragdem słońce błyska
Na ciemnej drzew zieleni,
Lub przez konary rzuca
Ognistych pęk promieni.

17. Po niebie i po lesie
Po łąk zielonym łanie,
Przejrzyste, zwiewne idzie
Błękitne zadumanie.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

41. W porębie.

Wawrzon patrzał ponuro na stosy drzew, poobdzieranych z kory, niby na trupy nagie, zaściełające pobojowisko, na kupy żółknących już gałęzi, na tysiące pieńków, co, niby trzony kolumn zwalonych, bieliły się tysiącami po obu stronach drogi, na głębokie doły, pełne wody i rdzawych igieł sosnowych, na ścieżynki, widoczne teraz, wijące się we wszystkich kierunkach, pozawalane drzewami.

Znał on to wszystko dobrze, znał, jak znał każdy rów, każdą suszkę[2]), każde prawie grubsze drzewo, każdy ducht[3]), co niby ulice przecinały las w kilku kierunkach. Dwadzieścia lat był gajowym w tym lesie. Tutaj pasał bydło zamłodu, tutaj tylko żył, zrósł się niejako z temi drzewami, czuł nieświadomie jakieś powinowactwo z tymi olbrzymami, co teraz leżały martwe, bez koron, bez gałęzi, bez życia, niby smutne kadłuby, po których deptano. Nie zmogły lasu burze, nie zmogły pioruny, które nieraz biły w niego, nie zmogły mrozy, od których nieraz drzewa pękały. Siekiera przyszła — i las padł trupem. Co on miał tutaj robić? U Żydów za parobka do pilnowania sągów służyć nie chciał, woli iść w świat, szukać służby, niżli patrzeć. Ogarniał rozpalonym wzrokiem cały obszar poręby, po której kręciły się gromadki ludzi z piłami i siekierami, toczyły się wozy, już naładowane klocami, i leciał niewyraźny, tonący w oddaleniu i mgle gwar głosów, turkot wozów, huk siekier i rżenie koni.

Człapał wolno po błocie, czasem wóz wspierał ramieniem na wybojach, czasem nogą odgarnął psa, gdy się przysunął za blisko, i szedł coraz chmurniejszy. W piersiach tak go coś paliło, jakby się zachłysnął spirytusem. Ten trzask łupanych kloców i głuchy huk siekier, jaki go dochodził, bił jakby w niego i odrą-

[1]) barwy mleczno-białej, mieniącej się tęczowo; [2]) uschłe drzewo; [3]) droga w lesie.

bywał mu po kawale duszy. Zacinał coraz silniej zęby, bo chciało mu się rzucić na ziemię i krzyczeć ze wszystkich sił, z tej żałości bezmiernej, jaka go przenikała, ale szedł ciągle.

Deszcz padał coraz gęstszy i jakby zimniejszy, marne, ostatnie brzozy, niedocięte i jeszcze nad rowem, zrzucały żółte, ostatnie liście, które leciały z wiatrem, niby łzy, i, niby łzy ciężkie, padały na drogę błotnistą, na pieńki, na gałęzie, na niskie krzaki jeżyn, na nędzne leszczyny, na karłowate sosenki, które trzęsły się, jakby z zimna, i szemrały smutnie. Na kilku nagich, uschniętych świerkach trzepotało się całe stado wron i krakało żałosną pieśń, że niema już gdzie słać gniazd, że niema się już gdzie schronić.

Rudawe, podeptane trawy i paprocie walały się w błocie i w żółtych trocinach, które rozlewały się wielkiemi plamami, niby strugi krwi, wytoczonej z lasu. Stado krów szczypało na polance nędzną trawę i co chwila porykiwało głucho, a kilkoro dzieci siedziało przy ognisku, przez deszcz zalewanem; wydobywał się z niego brudny czarny dym i rozwłóczył postrzępionemi pasmami umarłych.

Smutek i wielka melancholja, pełna jęków drzew umierających, przepełniała zamglony świat i przenikała wawrzonową duszę coraz głębszą żałością i takim gniewem, że byłby gryzł te kamienie, o które się potykał; zaciskał pięści, zgrzytał zębami, przymykał oczy, aby nic nie widzieć, i szedł coraz prędzej.

— Raz kozie śmierć! — powtarzał twardo i ze złością kopał to pieńki, to gałęzie, to zeschłe muchary, które, jak kapelusze, przekrzywiały się nad rowem przydrożnym.

Pod dębem wielkim i rozłożystym, rosnącym na skraju lasu, który sam jeden ocalał, bo miał na sobie obrazek Matki Boskiej, ukryty pod firankami z muślinu, Wawrzon usiadł, aby nieco odpocząć. Dąb był kilkusetletni, pokręcony, podarty przez pioruny, pusty wewnątrz, wyciągał dziwacznie pokręcone gałęzie, pełne guzów i sęków, niby potężne pięście, ku niebu i szumiał suchemi liściami. Był to punkt, do którego Wawrzon za czasów swojej służby dochodził tylko, bo zaraz zaczynały się orne pola, i stąd zawracał z powrotem, a teraz... teraz przestępował te święte lasu progi i nie powróci więcej — idzie na tułaczkę...

— Ażebyście!... ażebyście!... — i taki straszny ból skręcił mu wnętrzności, że aż się ujął za brzuch i jęczał.

— Wawrzon! a chodź-że prędzej, Rafał nie będą czekali, i noc się robi.

— Pudziesz ty, suko, bo cię zakatrupię — mruknął wściekły.

— Hale! schlała się swynia gorzałczyskiem i będzie tu po drogach brewerje robić!

— Mówię ci, kobito, odyńdź, bo pożałujesz.

— A juści, ostawie cie tu, a doma będę graty znosić do chałupy.

— No chodź, Wawrzon — dodała czulej, pochylając nad nim czerwoną, zapłakaną twarz, i zaczęła go ciągnąć za rękaw.

— Mówię ci, psiaścirwo, idź, to idź, bo spiorę, kiej bydlaka.

Jagna szarpnęła go silniej, Wawrzon się zerwał z ziemi, jakąś gałęzią uderzył ją przez głowę, rzucił o ziemię, kopnął parę razy, złapał postronek od świni, która się podczas tego szamotania wyrwała Jagnie z ręki, i poszedł naprzód wielkiemi krokami. Wawrzonowa z lamentem głośnym zwlekła się z ziemi i poszła za nim. Wkrótce zginęli w mgle i zmroku zapadającym. Tylko wrony wielkiem stadem krążyły nad dębem i krzyczały żałośnie, a na drodze z poręby ukazywały się krowy, brzęcząc dzwonkami, i jakiś głos krzykliwy śpiewał.

Bydło przeszło i zniknęło w mgle i zmroku, z oddali śpiew coraz słabiej dochodził.

Ostatnie dźwięki utonęły w przestrzeni i spływały z pluskiem deszczu. Pociemniało nagle, świat zalał szary, wilgotny ton nocy listopadowej, że wszystko się zlało w jedną brudną masę ociemniałą i oślepłą. Stary dąb tylko szemrał sennie, strącał liście na pola i od poręby, od suchych świerków, od brzóz, od gałęzi, płynął jakiś głęboki jęk, jakiś śpiew rozpaczliwy brzmiał ponuremi rytmami: Umarł las! umarł! umarł!

Władysław Stanisław Reymont.

42. Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie.

1. Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!
Ku twoim pieśniom, które wiew wiosenny
W bezmierny przestwór na swych puchach niesie,
Ulata duch mój, sam w melodje plenny.

5. Syt jestem ziemi, tej kaźni codziennej,
Trosk jej i cierpień, o szumiący lesie,
W akordy hymnów pierwotnych brzemienny,
Jak więzień z kajdan, tak ma dusza rwie się.

Jest zapomnienie w twej pieśni; jest lube,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
W fali twych tonów rozpłynięcie bytu;

Jest w nich tajemne przeczucie, że zgubę
Tego, co duszy wybawieniem zwie się,
Chowają w sobie dziedziny błękitu...

II.

Struny twej harfy, o szumiący lesie,
Dech ów porusza, co był w onej porze,
Gdy pod budowę wszechświata przyciesie [1])
Pramistrz w niezmiernym układał przestworze —

Gdy kształty bytów święte słowo Boże
Przybierać jęło. O szumiący lesie,
Rozlewne dźwięków przedwiekowych morze!
W on czas, gdy żywioł za żywiołem rwie się.

Kiedy Tworzyciel blask swój i swe cienie
I cichość swoją i swój rozgwar niesie
W pustą bez słońca i bez nocy głuszę —

To samo w on czas spłodziło nasienie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Dwie siostry bliźnie: twą i moją duszę.

III.

Dlatego dzisiaj, o szumiący lesie!
Ma dusza wnika w twą duszę, rozumie,
Chociaż ludzkiego ciała ogniem zwie się,
Choć ludzkim śpiewa językiem, w twym szumie

Akord najcichszy... A gdy w drzew twych tłumie,
O rozśpiewany, o szumiący lesie,
Wichr się rozgości w swej szalonej dumie
I burzycielskim swoim tchem rozniesie

Twe liście świeże, przerywając ciszę
Trzaskiem konarów, i ma dusza gnie się
I swą koronę wraz z twemi kołysze —

I razem z tobą, o jęczący lesie,
Jęczy i jęk swój razem z twoim splata
W echo tych cierpień, co ranią pierś świata...

---

[1]) bale drzewa, na których wznosi się ściana drewniana.

IV.

O rozśpiewany, o szumiący lesie!
Wiem-ci ja dobrze, że ten wichr, choć zrywa
Twe i me łono, choć ból z sobą niesie,
Że snać go dusza nie wytrzyma żywa,

Nie jak wróg, na nas z dzikim świstem spływa,
Ale najszczerszym przyjacielem zwie się,
Bo najszumniejsze molodje dobywa
Z mej i twej lutni, o rozgrany lesie!

A jednak dzisiaj — niech wierzchołki twoje
Ten tajemniczy, cichy wiew porusza
W pieśń, co ma w sobie zapomnienia zdroje,

Co rozpłynięciem jest bytu. Niech rwie się
Świat ten! Spokoju spragniona ma dusza,
O słodką ciszę szeleszczący lesie!

Jan Kasprowicz.

43. Sosna.

A ujrzawszy Pan żółtą nagość i pierś wyschłą, żarem spaloną, a spragnione za wodą usta piaszczystej ziemi, ulitował się nad nią i na pokrycie zesłał jej sosnę. I oto rośnie po całym kraju naszym i w innych, daleko na Północ, to pospolite, mniej od wielu piękne, a jednak tak pożyteczne, jak chleb powszedni, drzewo, za które, kto znaczenie jego dobrze ocenia, dzięki czyni Bogu, tak, jak za żyto i ziemniaki, za len i łubin.

Sosna jest drzewem piasków, chociaż napotykamy ją i na lepszych ziemiach. Ale dziko, samorzutnie występuje głównie w gruncie jałowym, do spółki z siostrą brzozą, najczęściej zaś sama tylko, tworząc jedną wielką rodzinę. Bo drzewo to jest towarzyskie i rośnie gromadami, napełniając od brzegu do brzegu lasy i wielkie nawet puszcze.

Pojedyńczo też nie jest pozbawiona malowniczości. Póki młode chojaki — póty też są stożkowe i aż do podnóża gałęziami okryte. Zczasem, w gęstwinie, dolne gałęzie zanikają, czemu i człowiek chętnie dopomaga, łamiąc je na opał, a pozostaje tylko czub zielony, na prostej osadzony strzale. Przygryzane i niszczone w młodości przez bydło, nigdy już potem sosny na piękne drzewa nie wyrastają. Żyją wprawdzie i tak długo, ale okaleczone, karłowate, nędzne.

Piękną nazwać sosnę trudno: zbyt jest na to bezkształtna, zbyt szorstka i zbyt jednostajna. Ale niema dla nas drzewa bardziej sympatycznego i poszanowania godnego, dla jej wielkich zalet. Gdy dąb — to pan możny, lipa — wielka pani, topola — wysmukła dziewica, brzoza — zalotna wiejska dziewoja, a klon — dostatni mieszczanin, jest sosna podobna siostrom miłosierdzia, które, o swej powierzchowności i przyozdobieniu zapomniawszy, całe oddają się na posługi cierpiących. Rośnie, gdzie inne drzewa nie chcą; okrywa i utrwala piaski, zczasem czyni je nawet żyźniejszemi. Pod nią znajdują schronienie inne krzewy i zioła, a sama dostarcza człowiekowi nieocenionego materjału na budowle, sprzęty i opał.

By na szczerym, suchym i jałowym piasku utrzymać się, a co większa, w wielkie drzewo wyrosnąć, do tego trzeba być odpowiednio uzbrojonym i przygotowanym. Jakież to zasoby, jakie przyrządy posiada w tym celu sosna?

Oto przedewszystkiem zadowala się małemi dawkami najważniejszych pokarmów roslinnych. Jeżeli znajdzie ich zasoby — tem lepiej, wyrośnie wtedy wspanialsza; jeżeli nie — będzie przyrastała powoli, ale jednak zczasem wespnie się w górę i porządne drzewo utworzy.

A narządem głównym, do tej pracy służącym, jest korzeń sosny. Już z samego nasienia wychodzi korzonek niezmiernie długi, włóknisty a delikatny, który wpina się w ziemię coraz dalej, poszukując wilgoci i trochy pożywienia, a jednocześnie przytwierdzając przyszłe drzewo tak mocno, by go wiatry potem wywrócić nie mogły. Ten kierunek zachowają korzenie i nadal, a często bardzo uda im się przebić jałową warstwę gleby i dostać do żyznego podgruntu. Wtedy raźno do pracy. Zaczną one pompować wodę i mineralne pokarmy posyłać do je dalszej przeróbki igłom.

Jeżeli jednak piasek jest zbyt głęboki, ale pokrywa go cieniutka warstwa urodzajniejszej próchnicy, to i w niej się rozrosną sękate, powikłane i poplątane z sobą korzenie, po których tak boleśnie skacze bryczka, gdy nią przez sosnowy bór jedziemy.

Swoją drogą od tych korzeni poziomych odchodzi cała misterna a gęsta sieć korzonków pionowych, mocnych tak, że na plecenie koszałek i biczów służą, a tak licznych, jak tylko u wierzb nad wodami widzieć można.

Temi to narządami zdobywa sosna pokarm z ziemi. Ale nie wystarczyłoby jej wilgoci, gdyby, zdobywszy ją z trudem, wyparowywała tak łatwo, jak to czynią drzewa liściaste, nawet dęby i buki. Jak wielbłąd przechowuje długo wodę w żołądku zapasowym, tak sosna zatrzymuje ją w swych gęstych sokach żywicznych. Doprowadziwszy zaś ją do liści, w których surowe pokarmy ulegają przerobieniu na rozliczne wytwory, pewne jest, że z nich mało drogocennego materjału w powietrze uleci. Igły te twarde okryte są grubym naskórkiem, ubogim w szparki, które nadto bardzo są maleńkie i łatwo się zamykają, a tak woda, raz zdobyta, długo w ustroju drzewa pozostaje.

Przytem igły opadają dopiero na wiosnę, gdy się już nowy przyrost skończył. Gdy zatem u drzew innych liście dawno już w jesieni opadły, lub na wiosnę się jeszcze nie utworzyły, sosnowe istnieją ciągle i przy lada odwilży pracują, choć wolniej, ale dłużej. To również wychodzi na korzyść sosny. Dodajmy, że i rany łatwiej się tu goją, niż u drzew innych. Tak n. p. trzonki, pozostałe po złamanych gałęziach, któreby dla kasztana, lipy i topoli były powodem próchnienia, tu zalane zostają żywicą, która je konserwuje i od psucia chroni tak, jak się przez wieki całe przechowały mumje, iż były zabalsamowane. Takie sęki, razem z otaczającemi je włóknami drewna, stanowią owe drzazgi, łuczywo, którem świecili sobie wieczorami praojcowie nasi, dopóki innego oświetlenia nie znali.

Wielce korzystną dla ludu właściwością sosny jest to, że się sama wysiewa. Kwiatki, niby drobne rdzawe szyszeczki, ukazują się w czerwcu. Ronią one tyle pyłku złotawego, że go czasami ulewny deszcz spłókuje całemi masami, co dało powód do opowieści o „deszczach siarczystych“. Potem zawiązuje się zrazu zielona, w następstwie rdzawa szyszka, z zamkniętemi łuskami, która wisi na drzewie, ciągle rosnąc, póki ciepło, aż do wiosny. Z nastaniem ciepłych dni majowych klej, którym pozlepiane są łuski, roztapia się, one same odstają i wysypują się małe uskrzydlone nasiona sosny.

W wielu lasach zadowalają się poprostu zostawianiem kilkunastu starych sosen, t. zw. „nasienników“, by się z nich las wycięty odbudował. W prawidłowem jednak gospodarstwie sieje się sosnę (w wilgotniejszej) lub sadzi (w suchszej ziemi), rzędami gęstemi co 1 metr, do czego najlepszą porą jest kwiecień. Tylko gęsto rosną, popędzają się sosny nawzajem i ochraniają, a zagłębiając się korzeniami i umacniając w ziemi, jednocześnie też

biją w górę, tworząc las śmigły i prosty. Potem się gąszcz kilka razy przetrzebi i otrzyma się piękne pnie. Z nich to cieśla pobuduje domy i okręty, stolarz porznie deski na rozliczne użytki, gałęzie pójdą na opał, lub węgiel drzewny, a z kory wypędzi się smołę i terpentynę.

Na użytek służą zwykle lasy 60-letnie, ale może sosna twać i drugie tyle. Wtedy drewno jej, przepojone żywicą, staje się nieprzystępnem dla wilgoci i owadów. Z takich to sosen, jak z modrzewiów, stawiano dawniej nawet kościoły, które po 500 i więcej lat stoją.

Mamy więc w tem drzewie skarb cenny, ale niedość z niego korzystamy. Przejdźmy kraju kawał, a ileż zobaczymy w nim piaszczystych nieużytkow, ile wydm i jarów! Czekają one ręki ludzkiej, by je na użyteczne lasy zamieniła. Czekają oddawna, ale pora ich bliska. Ze wstydem widzimy nieskończone sosen szeregi w Marchji Brandenburskiej i za Wiedniem, ku Alpom. Ubiegli nas inni, ale czas nam się zakrzątnąć pilniej około swego ziemi kawałka. Więc gdy go zechcemy przyozdobić i spożytkować, pamiętajmy, że w sośnie znajdziemy jeden z najpodatniejszych do tego materjałów. Sztywna, niezgrabna i pospolita, ale zgodna z klimatem, co do ziemi niewybredna i bardzo pożyteczna, prawdziwa swojaczka nasza.

Edmund Jarkowski.

44. Zabić trudno.

Pastwiły się nad przydrożną wierzbą rozmaite złe wole i moce. Piorun rozłupał jej pień, obsiadły ją pasorzytne grzyby, robactwo stoczyło do rdzenia, źli i chciwi ludzie zrąbali koronę i obdarli z kory, z której pozostał tylko wąski płat. Skarżyła się przechodniom swem obnażonem, siwem i zbutwiałem drzewem, skarżyła się kalectwem i próchnem — daremnie. Zdawało się, że wygnane zewsząd w niej życie nie ma już gdzie schronić się nawet na chwilę. Tymczasem co roku z owego płata kory wystrzelał pęczek młodych, wątłych pędów. I tak dotąd przedłuża ona swe istnienie resztką soków, opiera się śmierci resztką sił.

Zabić trudno.

Co wiosnę szkodnicy nacinali pień brzozy dla wytoczenia z rany słodkiego soku, który z początku płynął strumieniem, a później już tylko kapał kroplami. Za każdym razem wycień-

czona, długo nie mogła rozwinąć swych pączków, a gdy inne drzewa pokrywały się zielenią, ona stała martwa, bezlistna. Mniemałeś, że nie zwycięży wyczerpania. Aż oto pewnego dnia. napełniwszy swe puste arterje sokami ziemi, ożyła, pączki jej nabrzmiały, a z nich wywinęły się złotawe liście. I znowu żyje i znowu na wiosnę podda się upustowi krwi i znowu odzyska zdrowie.

Zabić trudno.

Białodrzew [1]) daleko rozpostarł swe bujne korzenie. Więc odkopano je wokoło i odrąbano niedaleko pnia, ażeby innym drzewom nie odbierał pożywienia, i oddzielono go od nich murem piwnicy, głęboko w ziemię wpuszczonym. Pokaleczony olbrzym osłabł, nie mógł bowiem skróconemi korzeniami wyssać tyle pokarmu, ile potrzebował dla swego ogromnego ciała. Długo chwiał się szalony, nagle obwisłe jego liście podniosły się i zaszumiały radośnie. Okazało się, że wypuścił z obciętych nowe korzenie, przebił niemi mur i posunął je dalej.

Zabić trudno.

Przeleciał dziki wicher i połamał konary polnej gruszy. Opadły one ku ziemi, zawieszone tylko na cienkich paskach nie odłupanego drzewa i kory, przez które pień zaczął je karmić skąpemi przypływami soków. Żyły, ale ginęły. Nikt ich nie podniósł, nie opatrzył, nie podwiązał. A zima w ich rozszczepienia nabiła śniegu, mrozu, wilgoci, drzazgi w nich sczerniały i nadgniły. Na wiosnę jednak wszystkie gałęzie trysły gęstem kwieciem i owocem, jak nigdy przedtem. Grusza tą wysiloną płodnością chciała uratować już nie siebie, ale ród swój.

Zabić trudno.

Mróz nie przyszedł nagle, ale przyszedł z wielką siłą i niewzruszoną srogością. Przysłał przed sobą złe i ślepe noce, wyjące i kąsające wichry, deszcze z lodowemi rózgami, cały zastęp ciemnych okrutników, które przerażoną ziemię pogryzły i wychłostały. Nareszcie przybył sam, milczący i groźny. Daremnie biedne rośliny, drżąc, błagały go o litość. Rzekł jedno słowo, a od tego słowa trawy pożółkły, kwiaty opuściły główki, drzewa w dreszczu zrzuciły liście. Wtedy on na skamieniałej ze strachu ziemi rozesłał swój śnieżny płaszcz, legł na nim i szklistemi źrenicami patrzył na kostniejące twory, które pod jego spojrzeniem tężały i marły. W olśniewających blaskach jego oczu nie było ani

[1]) rodzaj topoli.

jednego ciepłego promienia, była tylko jasność, przyświecająca zimno widokowi śmierci. Stoją gromady czarnych szkieletów z ramionami, wyciągniętemi w przestrzeń głuchą i chłodną. Krew ich nie rusza się, ścięta w kryształy przedzgonną trwogą, pączki zamknięte w pochewkach. A jeżeli to nie trupy, gdzież w nich się skryły iskierki życia? Czy podobna, ażeby jakakolwiek moc zdołała je wskrzesić, ażeby one znowu pokryły się liśćmi i kwieciem?

Niechno na te cmentarze i kostnice tchnie wiosna...

Zabić trudno.

Aleksander Świętochowski.

45. Rozdarta sosna.

Ciągnęły obok nich [1]) furmanki z rudą galmanu, przeróżne bryki, powozy... Szło dużo ludzi... Nie widzieli tego wszystkiego. Gościniec zaprowadził ich do lasu. Tam usiedli pod drzewem.

Joasia uczuła, że ramię Judyma wsparło się o jej ramię. Widziała jego głowę, zwieszoną na piersi. Nie była w stanie poruszyć ręką. Siedziała, jakby w twardy sen pogrążona, kiedy wypijamy morza boleści, nie mając siły wydać jednego westchnienia.

W pewnej chwili Judym usłyszał jej płacz samotny, jedyny płacz przed obliczem Boga. Nie dźwignął głowy. O jakiejś godzinie usłyszał jej głos cichy, z głębi łez:

— Szczęść ci, Boże.

Nie mógł odpowiedzieć sam za siebie, ale jakiś głos obcy, tak jakby Dajmonion [2]), o którem pisał przed śmiercią Korzecki [3]), wymówił z głębi jego serca:

— Daj, Panie Boże.

Joasia wstała. Przez chwilę widział z pod bezwładnych, ciężkich, obwisłych powiek jej twarz bolesną. Była, jak maska pośmiertna z gipsu. Za chwilę stracił ją z oczu. Odeszła szosą w stronę miasta, w stronę dworca kolei...

Siedział tam długo.

---

[1]) Nauczycielka Joanna i doktor Judym, dziecię ludu warszawskiego, którzy rozstają się, mimo wzajemnej miłości, gdyż doktór uważa, że nie wolno mu szukać osobistego szczęścia, gdy tyle ludu pracującego cierpi nędzę i ucisk.

[2]) głos wewnętrzny, sumienie (według nauki filozofa greckiego Sokratesa).

[3]) inżynier, przyjaciel Judyma.

Kiedy znowu rzucił oczyma na drogę, nie było już widać nikogo. Wiatr tylko porywał z niej kurz wapienny, miotał go w górę, jak plewy. Kurz wapienny, naśmiewający się...

Judym uciekł. Szedł brzegiem lasu, później środkiem pastwisk błotnistych. Gdzieś błądził. Nad wieczorem ujrzał przed sobą, w polu szkielet zabudowań kopalni. Straszna nienawiść do tego widoku i wyniosła wzgarda, jak pysk, w kły uzbrojony, otwarła się w jego piersiach. Szedł dalej. Stanął nad brzegiem szerokiej wody, płytko rozlanej.

W niskich, nędznych, zżółkłych trawach kisł ten czarny zalew śmierci, który nad otchłanią kopalni chwieje się lichemi falami. Ciemna woda zdawała się marzyć, zdawała się czekać, kiedy runie w głębinę wydrążoną, kiedy napełni puste lochy, kuszące próżnie, które ją ciągną, ssą, wzywają. Judym ją poznał. To ona! Widział ją w nocy. Tej nocy... Szukał na falach świetlistego znaku, długiej ruchomej skazówki, która przeszywa, jak doborowa stal damasceńska[1]). I uczuł w sobie ostrze. Daleko, daleko za lasami łkał świst pociągu, niby słowo tajemnicze, zawierające sens życia.

Tuż obok stóp Judyma było szerokie, suche zawalisko, otwór w postaci leja, zwróconego wierzchołkiem na dół. W głębi ziemi, pod nim były niegdyś galerje kopalni. Warstwy skał piaskowca i łupku gliniastego, wskutek „wyrabowania“[2]) budynku, podtrzymującego piętro, zarwały się od własnego ciężaru i, spadając, odłamami swemi napełniły puste przestrzenie pokładów węgla. Gleba zewnętrzna zsunęła się w przepaść wraz z murawą, krzewami i utworzyła dół głębokości dwudziestu metrów.

W miejscu rozdarcia widać było pręgi piachu siwe i jasnożółte. Naokół stały karłowate, nędzne sosny. Jedna z nich rosła na samym brzegu zawaliska. Oberwana ziemia sciągnęła w głębinę prawy jej korzeń, a lewy został na twardym gruncie. Tak ją dzieje kopalni rozdarły na dwoje. Pień jej stał jedną połową swoją w górze, a drugą szedł wraz z waliskiem, niby istota ludzka, którą na pal wbito. Tamten, z bryłami ziemi w dół ściągnięty, prężył się, jak członki na torturach. Wszczepione w glebę pazury górne trzymały się z całej siły.

Judym zsunął się w zawalisko, żeby go nikt nie widział. Rzucił się na wznak. Pod sobą, w głębi ziemi słyszał od czasu do czasu huk wystrzałów dynamitu i prochu. W górze

[1]) z miasta Damaszku, gdzie wyrabiano słynne szable sztylety i t. p.; [2]) wyjęcia.

widział obłoki, sunące po niebie lazurowem. — Obłoki, jasne, święte, zaczerwienione obłoki... Tuż nad jego głową stała sosna rozdarta. Widział z głębi swojego dołu jej pień rozszarpany, który ociekał krwawemi kroplami żywicy. Patrzał w to rozdarcie długo, bez przerwy. Widział każde włókno, każde ścięgno kory rozerwane i cierpiące. Słyszał dokoła siebie płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga. Nie wiedział tylko, kto płacze...

Czy Joasia? — Czy grobowe lochy kopalni płaczą?

Czy sosna rozdarta?

Stefan Żeromski.

46. Limba [1]).

Samotna limba szumi
Na zboczu stromem,
U stóp jej czarna przepaść,
Zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
Zimny, ponury,
Ponad nią wicher ciemne
Przegania chmury.

Wkrąg otoczona taką
Pustką okrutną,
Samotna limba szumi
Bezdennie smutno.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

47. Wilczek Buta.

Jakkolwiek Buta był młodszy wiekiem od psów, jednak zęby i wogóle siły jego fizyczne, jako też inteligencja zwierzęca, organizowały się [2]) u niego widocznie wcześniej, aniżeli u kolegów i towarzyszów zabawy. Gdy się rozigrał, wpadał jakby w dziki szał i nielitościwie rozbijał wtedy psiaki.

Kiedy miał już mniej więcej trzy miesiące wieku, wspólne zabawy stały się niepodobieństwem; wówczas psy same unikały igraszek, a jeśli sobie pozwoliły czasem swawolić z wilkiem, to niebawem zmuszone były uchodzić, skomląc i unosząc na skórze ślady jego zębów. Te zaś okoliczności wbijały im się w pamięć tak silnie, że w późniejszym czasie na widok Buty zmykały po kątach, tuląc pod siebie ogony.

Nie lepsze uznanie zyskał sobie wilk i u innych psów, dojrzalszych w latach. I tak, ulubieniec mój, duży buldog duński. Jork, tolerował [3]) Butę jedynie przez wzgląd na jego poufałe

---

[1]) rodzaj drzewa iglastego, rosnącego na stokach Tatr, najwyżej ze wszystkich rodzajów drzew. [2]) powstawały, tworzyły się; [3]) znosił spokojnie.

ze mną stosunki. Inny znów wielki, biały pies węgierski, z rasy owczarskiej, nazwiskiem Milord, nie przeszedł nigdy około wilka bez pomrukiwania, warczenia, wyszczerzania zębów, rzucania piorunujących spojrzeń i tym podobnych oznak niezadowolenia, gniewu, oraz pogardy. Niepodobieństwem też było, aby w ważnej chwili spożywania darów Bożych psy znajdowały się razem z wilkiem, zmuszony byłem unikać tego przezornie. Bo, gdy się psy między sobą o kość pogryzą, to zawsze tylko swój swego pokaleczy, a potem się pogodzą; ale na wilka byłyby się one wszystkie jednozgodnie rzuciły i śmierć mu przedwczesną zgotowały.

Wycieczki w pole i do lasu odbywały się specjalnie pod moim nadzorem i kierunkiem; w takich razach wilk szedł przywiązany na łańcuszku, psy używały wolności. Jeżeli zaś chciałem dać swobodę wilkowi, musiałem psy w domu uwięzić.

Trudne to jest położenie kierownika i wychowawcy w takim stanie rzeczy!

Skoro już Buta liczył jakie trzy kwartały wieku, wziąłem go był jednego dnia na przechadzkę razem z węgrzynem Milordem. Nałóg i wspólna dola istot coś jednak znaczą na tej naszej planecie. Do pewnego stopnia można się zżyć nawet z wrogiem. Na łące dałem wilkowi swobodę, co widząc, Milord przyskoczył skwapliwie, a pomerdując poważnie swoim bogatym ogonem, starannie na wszystkie strony obwąchał Butę, ten ostatni parę razy jakby uśmiechnął się fałszywie, podnosząc do góry czarne wargi, przykrywające mu zęby; poczem puścili się oba w zawody na harce po polu. Gonitwa trwała długo; wilk pędził za psem, przesadzając śmiało rowy; obaj się zziajali, obaj wywiesili języki. Jeżeli Milord wietrzył co na ziemi, Buta przypadał do niego i także węszył.

Chociaż nie mogłem zbliska obserwować, jak się to wszystko odbywało, wnoszę jednak, iż przy takiej to właśnie czynności tropienia i wietrzenia zaszło jakieś nieporozumienie między zwierzętami owemi. Nieporozumienie było grube. Usłyszałem tylko z jednej strony błagalny głos wilka, wołający o pomoc, kto w Boga wierzy, z drugiej gniewny imponujący krzyk Milorda. Pędzę, ile sił starczy, przynosząc dla miłości zgody interwencję[1]) osoby, szpicrózgi ciętej, oraz łańcuszka. Ujrzałem w trawie powalonego wznak Butę, pies zaś łapami przyciskał

[1]) pośrednictwo.

go potężnie do ziemi, zadając od czasu do czasu szarpiące razy. Wobec walki zachowałem się bardzo groźnie i piorunującym głosem wrzasnąłem na cywilizowanego triumfatora: — Milord, do nogi! Pies, usłyszawszy nieubłagany głos kodeksu[1]) prawodawczego, natychmiast zdjął silne łapy z piersi przeciwnika i, cały zapieniony, począł się cofać. Ale zaledwie popuścił ofiarę, gdy ta porwała się wściekle, a dopadłszy kudłatego karku wroga, zatopiła w nim wściekłe zęby. Zkolei pies upadł na ziemię wskutek natarczywej napaści, a zupełnego ze swej strony nieprzygotowania. Nie było się co namyślać; wprowadziłem w ruch bat, ten czynnik pokoju, i zadałem wilkowi kilka razów dotkliwych; lecz wnet się przekonałem, że są na świecie skóry wytrzymałe, na których kije się łamią. Zbliżam się tedy, chwytam Butę obiema rękami za uszy i na bok odciągam. Zaledwie rozjąłem dwóch zapaśników i, chcąc rozjuszonego wilka przykuć na łańcuchu, popuściłem jedną ręką, gdy oto Buta zajadle sięgnął paszczą do mego ramienia i zadał mi dotkliwą ranę. Prawdopodobnie był to odwet za ciosy, wymierzone szpicrózgą.

Moich usiłowań w interesie zgody wilk nie pojął tak, jak pies, i potraktował mnie, niby wroga, przyczem uporczywie oponował[2]) przeciw zakuciu swojej szyi w łańcuch. Milord ciekawie, ale i niecierpliwie przyglądał się całej operacji poskramiania wilka; zdawał się on oczekiwać skinienia mego, aby po żandarmsku wziąć za kołnierz dzikiego towarzysza. Sądziłem, iż nie wypada szczuć poczciwym psem także poczciwego, choć zuchwałego wilka. Sądziłem, że każde zwierzę, mające za szeląg[3]) rozumu, musi ostatecznie zrozumieć taką szczerą politykę i odpłacić za nią tą miarą przywiązania, na jaką zwierzę dane w danych warukach zdobyć się jest zdolne.

Zupełnie innego zdania trzymał się strzelec Szymon, który nie tylko, że był zwolennikiem absoluti dominii[4]), ale doradzał mi nawet dopuszczenia się haniebnego czynu:

„Niech pan tę bestję wypuści w pole i zaszczuje psami, nim dorośnie, bo z tego nigdy nie będzie pociechy“.

„Mój Szymonie — mówiłem mu — cóż wilk temu winien, że się wilkiem urodził i nie na naszą pociechę?“

Myśliwy wstrząsnął ramionami, kiwnął głową, przyczem uśmiechnął się dosyć zarozumiale i lekceważąco.

---

[1]) zbiór praw pisany; [2]) sprzeciwiał się; [3]) drobna moneta w dawnej Polsce; [4]) władzy nieograniczonej (łac.).

Nietylko psy i Szymon uczuwali wstręt do Buty. Nie lubili go także wszyscy służący we dworze i wszyscy chłopi w całej wsi. Kiedym przechodził w towarzystwie wilka, słyszałem mniej lub więcej głośno wypowiadane zdania:

„Widzicie go, jak ta psia wiara teraz spokojna! A do lasu ha!“

Czułem za mojego wilka upokorzenie, wstydziłem stę także za ludzi, znosiłem cierpliwie te i inne jeszcze obelgi. Ale cóż robić? Nie można przeinaczyć wilka, psów, ludzi i wszystkich stworzeń, one się same przemieniają w ciągu czasu.

Największą nieprzyjaciółką Buty była kobieta, stara panna, nazwiskiem Trukawska, ochmistrzyni dworskiego drobiu, oraz jej pomocniczka, rodzaj kurnikowego sekretarza, dziewka Jagna. Pokazuje się, że wszelka nawpół cywilizacja jest jeszcze równie dzika, co i stanowcze barbarzyństwo. Tem się chyba tłumaczą nieokiełznane fanatyzmy, kłamstwo, pycha, zarozumiałość małych ludzi w wieku naszym[1]), tak chełpliwym z dzieł swoich. Cnota ludzka widocznie musi przejść przez te przywary, zanim się istotną cnotą stanie. Nie można tego odnosić do jednostek, ale do dziejów całych pokoleń. Przyczem godne jest uwagi, iż wspomniane przymioty nie tylko od woli człowieka zależą, ale go unieszczęśliwiają, podobnie jak głupota. Jednostka przewrotna jest przez całe życie prześladowana i chłostana, często przez ludzi gorszych nawet od siebie.

Nasz wilk, potomek obu wilkołaków nad Narwią, nie był ani kłamcą, ani zarozumialcem, ani fanatykiem, był jednak popychany i poniewierany przez wszystkich. Dlaczego? Trudno jest rozwiązywać doraźnie tak ważną kwestję. Buta, jak każde inne żywe stworzenie, urodził się pod pogodnem okiem słońca. Znam jego ojczyznę nad piękną rzeką i wśród pysznych krajobrazów. Mimo to wszystko, sądzone mu było na ziemi przekleństwo, jako szkodliwemu!... Nie wymienię tu stworzeń najszkodliwszych, bo przekleństwo może od nich zależeć.

Adolf Dygasiński.

48. Wróbel.

Wierzch głowy błękitno-popielaty, boki krwawo-kasztanowate koloru krwi zastygłej, gardziel czarniawa, szarem przyprószona, spód brudno-szary; pióra płaszcza czarne, z odłamkami kasztanowatemi; skrzydła mają przepaskę brudno-białą; ogon

---

[1]) t. j. XIX wieku.

podobny do lotek. Samica szara, na płaszczu pióra z obwódką rdzawo-żółtą, ciemno na grzbiecie upstrzona. Młode zupełnie do samca podobne.

Zupełnie wykształconego ptaka długość wynosi 6 cali, szerokość ze skrzydłami 10 cali; młode są mniejsze. Skrzydła krótkie, ledwie część ogona przykrywają; ogon długości 2 cale i 6 linij, ruchliwy, bo wolny, dziób prosty, mocny, stożkowaty; nogi krótkie, silne, z obuwiem, tarczami okrytem. Podsiadły, z wypiętym brzuszkiem, bardzo niezgrabny, krótkie nogi skakanie utrudniają; krótkość lotek nie pozwalą szybkiego lotu bez wysilenia; używa też lotu z potrzeby, nigdy nie lata dla rozrywki, jak inni mieszkańcy powietrzni. Wróbel, wyrachowany, zna zawartość czasu, co mu pożytku nie przynosi bezpośredniego, za tem nie goni. Zdawałoby się, że jest ciężki i nieporadny w swych ruchach, a przecież w niebezpieczeństwie szyje powietrze z dziwną szybkością. Możecie fizyczność [1]) krytykować, lecz podziwiajcie zmysł przenikliwość, pamięć i ostrożność wróbla; on bezpożytecznie nie połączył się z człowiekiem, skorzystał wiele i doświadczenie na swą korzyść obraca. Znajomość niebezpieczeństw, wyszukanie żeru, bezczelność i odwaga tam, gdzie bojaźni niema, uregulowanie życia, wierność zwyczajom przyjętym, towarzyskość w każdej porze inna. Uosobienie używania rozkoszy, wścibski i natrętny, a płochliwy i ostrożny podług okoliczności, pełen konceptów, umie się stosować do miejsca, umie z wszystkiego korzystać. Ani czuły, ani melancholijny: wróblice przecież za nim przepadają. Smakosz nieporównany! — to Lukullus [2]) ptasiego rodu — jak on sobie zieleniny wcześnie wynajduje, później jagody i owoce; jak umie trafić do składów, magazynów, śpichrzy i śpiżarń; jak wie dokładnie, gdzie owady znoszą jajka, gdzie pełno gąsienic. Umie łowić owady, jak rzeczywisty myśliwiec, potyka się odważnie z wielkiemi żukami, stacza z niemi walkę, rozszarpuje i z wroga wyżera wnętrzności, zostawiając łuski, te zbroje żuków.

Dobrze odziany na zimę, wytrzymuje mrozy bez narzekania; wszakże nad wszystko ceni ciepłe i miękkie łóżeczko; w porze nie-lęgowej nawet nocuje w gnieździe wysłanem i o to miejsce krwawe boje staczać będzie z równym sobie, nawet z wróblicami; delikatnością się brzydzi. Zna wartość wygód życia, pojął i umie ocenić komfort [3]), ma wolę i spryt i na korzyść ją obraca.

---

[1]) t. j. przymioty cielesne; [2]) nazwisko Rzymianina starożytnego, słynnego ze smakoszostwa; [3]) komfort — zbytek.

Rodzina nie krępuje go na drodze żywota; przenosi się z miejsca na miejsce, szukając nawet polepszenia bytu; nie zna ojczyzny, nie czuje przywiązania. Towarzyski z potrzeby i dla rozrywki, pragnie ssać ze wszystkiego korzyści dla siebie, nie udzielając nic drugim.

Żarłok i smakosz, bez zgryzot i wyrzutów sumienia żyje szczęśliwie, a po śmierci nie zostawia po sobie innego śladu, jak trochę drobniuchnych kosteczek na ziemi.

Kazimierz Wodzicki.

49. Stróżak.

— A co tam za hałas?

— To stróżak wrzeszczy!

— Cóż mu się stało?

— A nic. Tak, z rozpusty!

— A kto tę szybę wybił?

— To stróżak kamieniem cisnął.

— A kot czego tak miauczy?

— Stróżak go poturbował!

— Cóż to za urwis z pod ciemnej gwiazdy! A to bić, a kija nie zdejmować z niego!...

Tak się ten chłopak wszystkim dał we znaki!

Raz konewkę praczce chwycił, w kąt schował. Praczka chodzi, lamentuje, wymyśla, a stróżak — patrzy i śmieje się jej w żywe oczy.

— Franek — mówi praczka — ty pewno wiesz, gdzie moja konewka!

— Ja? Skądbym wiedział!

— Boś ją schował!

— Widzieliście, jakem ja schował?

I tak się nastawił, jakby mówił najprawdziwszą prawdę.

Praczka do izby, a Franek po konewkę i na drodze ją stawia. Praczka wychodzi, patrzy, jest konewka.

— W Imię Ojca i Syna! A takem naglądała i nie było! Czy tuman [1]) jaki, czy co?

A Franek aż się za boki bierze od śmiechu.

---

[1]) obłęd chwilowy.

Innym razem patrzy, wyleguje się pudel panny Gertrudy na oknie od podwórza na dole. A taki tłusty! Muchy mu chodzą po nosie, a on nawet łapą nie ruszy.

Ogromny pieszczoch z tego pudla, na samych łakotkach chowany. Frankowi już psota przyszła do głowy: próbuje ręką dostać i w ogon go uszczypnąć, ale za wysoko. Wtem nawija się kot maglarki. Ten kot także jest faworytem i także prawie tak samo tłusty, jak pudel panny Gertrudy. Spostrzegłszy kota, stróżak chwyta go za przednie łapy, buja przez chwilę dla lepszego rozmachu, poczem bęc kotem o pudla.

Naraz powstał wrzask i pisk, że opowiedzieć trudno! Kot był pewien, że to pudel go napadł, bronił się tedy zębami i pazurami. Pudel zrozumiał, że to kocia sprawka, a nie mogąc napastnikowi dać rady, wrzeszczał w niebogłosy. Wkrótce ukazały się w oknach właścicielki bijących ulubieńców. Panna Gertruda chwyciła kota za kark i przyłożyła mu parę klapsów.

— A masz! A masz!

— Proszę nie bić mego kota! — woła maglarka. — Proszę go zaraz puścić!

— A to pani kot?...

— Dobrze, że wiem! Pieska mego w mieszkaniu napadł! Może jest wściekły.

— Co?... mój kot wściekły? To chyba ten szkaradny pudel pani jest wściekły!

— Mój pudel szkaradny? Jak pani może tak się o moim Filonku wyrażać?

I zaczynały się wymówki, a Franek aż się tarza ze śmiechu. Tak był ten chłopak złośliwy i psotny!

Na wołowej skórze nie spisałby wszystkich jego sprawek.

Ojciec, jako ojciec, mało w domu siedział: to wodę nosił, to ulicę zamiatał, to śnieg wygarniał, niewiele mógł wdawać się w te rzeczy. Ale co ta matka przeszła z tym chłopakiem, to strach! Kochał ją, bo kochał; ale cóż; kiedy jednej chwili nie usiedział spokojnie! Dnia nie było, żeby piekła jakiego nie zrobił. A jak ubrania darł! Nastarczyć mu nie można było! Ledwo mu matczysko uszyło koszulinę albo i kurteczkę, już z niej w tydzień szmaty.

— A czy się też pali na tobie, chłopcze! — woła matka, załamując ręce. — A cóż z ciebie za łachmaniarz, że tak drzesz ten przyodziewek? Czy ty myślisz, że ojcu, matce z nieba kapie?

To ty nie wiesz, że ciężko, że każdy grosz trudny, że dobrze się trza napracować, nim się co kupi? Gdzieżeś to tak rozdarł ten rękaw?

— Mamusiu złocista, ja sam nie wiem! tak się oto rozdarło...

— Nie wiesz? Ty nie wiesz?... A kto po drzewach łazi, jak nie ty? Patrzcie ludzie! Koszula taka jeszcze dobra, a co z rękawami porobił! Aj, chłopaku, chłopaku! Gdzie ty sumienie masz?... A toć ty nas ze wszystkiem zmarnujesz.

— Mamuchno złota, ja się już poprawię!

— Z pieca na łeb! Już ja znam twoją poprawę. Codzień obiecujesz, a zawsze to samo!

I prawda, co się ten chłopak nie nacałował matki, co się nie naobiecywał, że już będzie lepszy — wszystko na nic! Ledwo przez próg przejdzie, już mu w głowie nowa psota, nowa awantura. Ojciec możeby temu i dał rady, bo miał porządny pasek rzemienny, co nim opasywał kożuch. Ale matczysko nie skarżyło się nigdy. Jeden tylko był, więc jak mogła, tak zabiegała. Połata, wypierze, wybaczy, no i tak szło, a poprawy żadnej nie było. Ale i jej było coraz trudniej, i tylko ręce załamywała, myśląc, co z tego chłopaka będzie?

Kuma i sąsiadka, Pawłowa, nieraz z nią o tem radziła.

— Moja kumo złota! — mawiała stróżka — co z tego urwisa wyrośnie, to ja nie wiem!

A kuma na pociechę:

— Co ma być? szubienicznik i tyle!

Aż raz umarła w tej kamienicy uboga wyrobnica, wdowa — i zostawiła sierotkę, małego Karolka, co jeszcze roku nie miał. Złożyli się ludzie na trumnę, na pogrzeb, bo tam grosza u tej wdowy, ze świecąby nie znalazł, pochowali, ale kiedy przyszło o sierocie radzić, co z nim począć, każdy westchnął tylko.

— Ja sama czworo mam! — mówiła jedna z kobiet.

— U nas też bieda aż piszczy! — mówiła druga.

— Żeby tak większy, tobym wzięła — mówiła trzecia — zakołysałby mego Jaśka. Ale cóż! toż to i piastować jeszcze trzeba!

Więc kiedy tak stoją i radzą, Franek w rękę matkę całuje i prosi:

— Mamuchno złota! Weźmy tego Karolka!

— Co ci w głowie?... Ja na ciebie, urwisie, nastarczyć nie mogę, a będę jeszcze obce brała?

— Mamuchno złota! Mamuchno jedyna, on taki biedny! Taki mały! Tam tak piszczy, jak ten wróbelek.

Matka broniła się, jak mogła.

— Daj mi ty spokój z twoim Karolkiem. Dość ja z tobą jednym mam biedy!

Franek się wyprostował, zabłysły mu oczy.

— Mamo — zawołał, bijąc się kułakiem w podartą kamizelczynę — słowo honoru mamie daję, że, jak mama Karolka weźmie, to ja się poprawię. No, już ja mamie powiadam! Ma mama moje słowo! Jak się nie poprawię — tom kiep!

Jeszcze się w piersi bił, kiedy wszedł ojciec i, postawiwszy w kącie miotłę, rzekł:

— A wiesz matka, że jabym tego tam bąka, tę sierotę ze suteryny wziął...

A Franek buch ojcu do nóg.

— Tatuńciu złocisty! Tatuńciu serdeczny, jedyny!...

— A tobie co, chłopaku? — pyta ojciec.

Ale Franka już w stancji nie było. Jak iskra, prysnął do suteryn, dzieciaka na ręce porwał i przyniósł.

Od tego czasu trudno było poznać, co się ze stróżakiem stało. Jeszcze szaro, on już się zrywa patrzeć, czy Karolek okryty, a jeżeli śpi, to czy mu nie zimno. Da matka śniadanie albo obiad, to go nie tknie sam, dopóki nie nakarmi Karolka. To myje chłopczynę, to go czesze, to go piastuje, huśta, piosneczki mu śpiewa, to go chodzić uczy, to siądzie z nim sobie pod słońce na progu i opowiada mu Bóg wie co, to mu latawca z deszczułek i papieru klei...

Matka aż w głowę zachodzi.

— Moja kumo! — mówi do sąsiadki — ten chłopak to jakby mi go kto przemienił, taki teraz spokojny, taki dobry.

A kuma:

— Ej nie dowierzać! Nie dowierzać! Niedługo to tego będzie!

A nieprawda! Czas mijał, a stróżak jakby nie ten, jakby go miodem smarował, taki posłuszny, taki uległy, taki cichy.

Dziwią się wszyscy w domu, aż głowami kręcą.

Nikt już szyb po sieniach nie wybija, nikt nie dudni piętami po schodach, konewkę gdzie postawią, tam stoi, kot z pudlem nawet już się nie biją. Aż miło! A matka tylko ręce składa, a Bogu dziękuje.

Nawet koszule Franek przestał już drzeć, a kiedy mu matka nową sprawić chciała:

— I... nie, mamuchno — mówi — jeszcze mi te stare wyłatajcie! A te nowe, to niechby już na Karolka szły, z mojej jednej dwieby miał.

Sam się też czesał, mył, matczyne stare trzewiki, co mu je dała, porządnie sobie na nogach wiązał, złego słowa nikt od niego nie słyszał.

— A czyż cię też Pan Jezus natchnął z tym sierotą! — mówiła stróżka do męża. — Ten nasz chłopak, to się tak ze wszystkiem odmienił, taki się akuratny zrobił, że to daleko szukać takiego!

— Dusza, nie chłopak! — mówiły o nim kobiety z podwórka.

Już nikt go „stróżakiem“ nie nazywał. Wszyscy mu grzecznie mówili: Franuś, Franeczek! Tak było ciągle.

Aż raz w pół roku może, siedzi ojciec przed kominem i fajkę pali, a Franek puc go w rękę!

— Cóż tam nowego. — pyta stróż?

— Jabym tatuńcia prosił, żeby mnie na książce uczyć kazał, tobym potem, jak będę mądry, Karolka też uczyć mógł!

Zabłysły na to ojcu łzy w oku i matka prędko twarz fartuchem otarła, a nazajutrz Franek, uśpiwszy swego wychowańca, zasiadł nad elementarzem.

Ciekawa rzecz, jak mu też pójdzie?...

Marja Konopnicka.

50. Swawolny Dyzio.

Nowo przybywająca miała spory nos, usta ściągnięte i oczy zmrużone. Konduktor i jeszcze jakiś funkcjonarjusz wagonowy wrzucali za nią do przedziału kupy węzełków, skrzynek, wózków, drewnianych koni wielkości źrebięcia, parę walizek i pudełek kartonowych. Dama zostawiła to wszystko razem i każdą rzecz zosobna losowi naturalnemu. Zepchnęła tylko niektóre meble, krępujące swobodę jej ruchów na nogi sąsiadom... Ukończywszy to zajęcie, padła na sofę i wzięła się do oglądania towarzyszów drogi.

Mały Dyzio stał pośród sprawunków i, gwiżdżąc, również przyglądał się obecnym. W ręce trzymał brudny patyk ze sznur-

kiem, uwiązanym do niego w kształcie bata. Włosy chłopięcia były szare, a rosły jakoś naprzód, w kierunku widza. Cała postać, a szczególniej oczy, włosy i ręce, przypominały rysia, czy żbika.

Ubranie było wytarte niepospolicie i świadczyło o jakich piekielnych walkach z ziemią, wodą i smarowidłami. Pończochy, wypchnięte na kolanach i przedziurawione, odsłaniały nogi, okryte krwią i mnóstwem siniaków.

— Dyziu, usiądź... — rzekła matka głosem omdlewającym.

Mówiąc to, nie patrzyła na swego potomka, lecz na Judyma, jakby do niego mianowicie zwracała się z tą serdeczną i troskliwą radą. Dyzio zachował się tak, jakby słowo matki rzeczywiście skierowane było do kogo innego. Z żywą ciekawością pochylił się ku oficerowi, siedzącemu w kącie przedziału, i zaczął szczegółowo oglądać guziki munduru, biorąc każdy z nich w palce, zwalane rozmaitemi substancjami. Wojskowy zgodził się bez protestu na tę badawczość młodocianej imaginacji i z niejakim uśmiechem czekał końca oględzin. Tymczasem Dyzio dostrzegł pałasz, wiszący w kącie na haku, i sięgnął śmiałą ręką po tę broń między głowy dwu pań. Wówczas oficer usunął go od siebie i towarzyszek delikatnie, z uprzejmością i w milczeniu.

— Dyziu, zachowaj się, jak należy... — rzekła matka — bo pan oficer wyjmie pałasz i utnie ci głowę.

Żywy chłopczyk znowu nie wysłuchał słów matki z należytą uwagą. Zamierzył był właśnie dostać się do okna i ruszył w tym kierunku po nogach osób siedzących. Rozległ się krzyk dam i pana w mundurze, oskarżający Dyzia, że włazi na odciski. Dyzio z miną triumfatora, obojętnego na wszystko, przedarł się, dokąd zamierzył. Rozkraczywszy nogi, stanął na dwu siedzeniach i wychylił się za szybę ruchem tak lekceważącym wszelkie niebezpieczeństwo, że obecni w przedziale zobaczyli raptem odwrotną część jego ubrania, zdartą, kto wie, czy nie bardziej niż pończochy.

Jedna z pań zwróciła się do stroskanej matki i rzekła:

— Proszę pani, synek może wylecieć za okno..

— Dyziu, na miłość Boską, nie przechylaj się tak bardzo, bo ta pani mówi, że możesz wylecieć za okno!

Znowu żadnego skutku! Przez pewien czas wszyscy byli zaambarasowani tak wypiętą pozą chłopczyny, ale krzyk trwogi buchnął z piersi wszystkich, kiedy malec nachylił się jeszcze bardziej, widocznie chcąc dostać rękoma tabliczki, przymocowanej pod oknem. Dla zachowania równowagi stanął wtedy na jednej

nodze, a druga, w miarę ruchów tułowia, wierzgała po przestworze około głów pań siedzących. Oficer zerwał się z miejsca, ujął kawalera za pasek i wciągnął do wagonu. Wtedy Dyzio sprezentował, co umie. Przedewszystkiem wydarł się z rąk i rzucił znowu do okna. Gdy mu to po raz drugi zostało wzbronione, zaczął szarpać się, kopać nogami na wszystkie strony, bez względu na to, czy razy jego obcasów trafiały w kuferki czy w stopy z odciskami.

— Proszę pani — krzyknął oficer — co to jest! A to ślicznie wychowany chłopak! Może pani będzie łaskawa!...

— Dyziu, zaklinam cię na wszystkie świętości! — wołała zmęczona matka.

Ten nie uznawał się za zwyciężonego: oficera łokciami odepchnął, a w kierunku matki wywiesił język tak długi, że można go było za pieniądze pokazywać. Nie było rady. Zostawiono Dyzia w spokoju, ale i on się jakoś umitygował[1]). Patrzał tylko ze szczególną niechęcią na oficera i spluwał przed siebie. Po pewnym czasie usiadł między matką i Judymem. Nogi wyciągnął aż na przeciwległą ławkę, ręce wpakował w kieszenie kurtki i wlepiał w każdą osobę zkolei swe sowie oczy. Była to cisza pozorna, wkrótce bowiem zaczął atakować Judyma. Zaglądał mu w oczy, wpierał się w niego ramieniem, łokciem, kolanem, wreszcie wywlókł z pod ławy swój bat, koniec biczyska wtłoczył w nogę doktora Tomasza i zaczął niem oburącz świdrować. Doktór odjął patyk i usunął rękę chłopca.

Nie na wiele się to przydało, gdyż wkrótce zaczęła się ta sama historja. Matka Dyzia przyglądała się tej procedurze[2]) z kwaśną miną, a wreszcie wyseplenila:

— Proszę cię, nie rób tego... Poco to? czy grzeczny chłopczyk bawi się w ten sposób, czy to ładnie? Już tyle razy mama cię prosiła, żebyś nie zaczepiał panów w wagonie. Robisz tem mamie ogromną przykrość... Chyba chcesz, żeby nas i z tego coupé[3]) pan konduktor wyrzucił, jak z tamtego. Co? powiedz otwarcie...

Dyzio skierował na rodzicielkę przelotne spojrzenie i wziął się do nowej czynności. Na ławce leżał kapelusz Judyma. Chłopczyk chwycił go w ręce sposobem cyrkowym, zaczął kręcić wyrzucać w górę i łapać na patyk.

— Ach, Dyziu, Dyziu... — jęczała dama. — Nie rób tego, bo ręczę ci, że ten pan rozgniewa się i znowu zwymyśla mamę

[1]) uspokoił; [2]) czynności; [3]) przedziału (czyt. kupe).

tak samo, jak pan pułkownik. Chyba chcesz, żeby ten pan zwymyślał mamę. Powiedz otwarcie... chyba chcesz...

— No, chcę, żeby mamę zwymyślał... — mruknął syn nielitościwy.

Nic tedy nie skutkowało. Dopiero znużenie wzięło górę nad żywością usposobienia. Usiadł na wolnem miejscu, ku powszechnemu zadowoleniu ziewnął raz i drugi... Wreszcie usnął. Judym z całą pieczołowitością umieścił jego kończyny na sofie, a sam wyniósł się z przedziału. Nie wrócił tam, aż w Iwangrodzie [1]), kiedy trzeba było zabrać walizkę dla przeniesienia jej do innego wagonu. Ze szczerą satysfakcją myślał o tem, że się z Dyziem rozstaje.

Stefan Żeromski.

51. Ksiądz Antoni Wyrwicz.

Ksiądz Antoni upatrzył sobie domek ogrodnika w parku, oddalony od pałacu, a zbliżony do publicznego traktu, i zaproponował administracji dóbr, że ten domek wynajmie na mieszkanie. Przyjęto ofertę [2]) skwapliwie, nie żądano nawet komornego, byle pozyskać pierwszego lokatora w parku, i to świątobliwego męża, który położy kres przesądom, odstraszającym od starego dworu, a w potrzebie i licho, jeżeli jakie tam jest, odżegna. Ale ksiądz Wyrwicz nie chciał być na łasce, zawarł urzędowy kontrakt na lat dwanaście o dzierżawę płatną, z prawem przedłużenia tejże i przerobienia domku na swój użytek. Zgodzono się łatwo.

Niewielkim kosztem przekształcił ksiądz Antoni cztery izby murowanego dworku w idealne mieszkanie kulturalnego pustelnika. Książki, ściśle ustawione na prostych półkach, ubrały salonik w przyjazną powagę; sypialnia w lecie pełna była zapachu krzewów, zaglądających w okno, a w zimie — ziół suchych i jeszcze książek. W dwóch innych izbach gospodarzył stary służący, Piotr Lejtan, brat słynnego strzelca Jurka.

Cały park, rozszalały zielenią, jako de facto [3]) rzecz niczyja, był własnością księdza Antoniego. Ta otchłań zieloności składała się z trzech pięter porostów. Od tłustej ziemi pędziły ogromne trawy i zielska, baldaszkowate miodowniki wzrostu człowieka

---

[1]) Dęblinie (rosyjsk.); [2]) propozycję; [3]) wistocie.

i dzikie, uparte kwiaty, pozostałe z dawnych kwietników. To piętro dochodziło aż prawie do koron rzadkich drzew owocowych, rodzących już dziczki lub niepłodnych, mieszających konary swe suchotnicze z gmatwaniną bzów, jaśminów i czeremchy, z umajonemi tyrsami[1]) leszczyny. A nad tem wszystkiem — korony lip układały się jeszcze na górnem piętrze w aleje, w rondele[2]) i w altany. Ptak szybujący miał pod niemi jeszcze swe przeloty według starego planu.

Siedząc tu już szósty rok, ksiądz Antoni z Piotrem odnowił parę ścieżek, usunął zator rzeczki, rozlewającej się w bagnistą sadzawkę, wprowadził odrobinę praktycznego ładu, ale nie ograniczył dzikiej swobody nimfy[3]) poniksztyńskiej, która mieszkała tu naga, nieprzymuszona, krewna driad[4]) z puszczy. Około domku tylko w niewielkim promieniu żółty piasek znaczył szczupłe granice właściwej dzierżawy księdza Antoniego.

Miał tu ksiądz wielką wygodę dla potrzeb duszy i ciała: mógł codzień chodzić do kościoła, odprawiać mszę i znów powracać do swego zacisza, gdzie go nikt nie odwiedzał, i do parku, gdzie nikt się nie przechadzał, oprócz duchów. Utrzymywał jednak stosunki z ludźmi przez poczucie obowiązku, nie przyznając sobie prawa całkowitego zatopienia się w rozkoszy swej samotności. Więc w czasach świątecznych pomagał dziekanowi i wikaremu przy spowiadaniu ludu i kiedy indziej wyręczał swoich kolegów w uciążliwych często obowiązkach duszpasterstwa. Ale że spełniał to zawsze bez wynagrodzenia, proszono go dość rzadko o pomoc. Dziekan, ksiądz Łukaszewicz, dobry kapłan i obywatel, nie miałby nic przeciw temu, ale wikary i księża okoliczni jawnie krytykowali bezinteresowność księdza Antoniego, pochodzącą, ich zdaniem, z chęci odznaczenia się. Pomawiano go nawet cichaczem o skłonność do mankietnictwa[5]) i do sekty. Ale ksiądz Wyrwicz imponował znowu czem innem: świątobliwością obyczajów, wielką erudycją[6]) chrześcijańską, której zaczerpnął nawet w Rzymie. Będąc uprzednio nauczycielem domowym u Sołomereckich, poznał i u nich w Taborowie, i w podróżach z nimi szeroki świat, a już księgi nie opuszczały go nigdy.

---

[1]) tyrs — kij, przybrany liśćmi, godło Dionizosa, czyli Bachusa, bożka wina i wesołości; [2]) drzewa, wysadzone i przystrzyżone w koło; [3]) boginka grecka, uosobienie sił przyrody; [4]) Driada — nimfa leśna u Greków; [5]) sekta, inaczej zwana marjawityzmem; [6]) oczytaniem, wykształceniem.

Słynął też z wymowy i z dobrego stylu, gdyż czasem drukował artykuły po pismach, nawet świeckie. Ale do kazań w kościele poniksztyńskim nie dopuszczano go prawie nigdy; na tę funkcję[1]) kapłańską było zawsze dosyć innych amatorów, zwłaszcza księży Litwinów, nacjonalistów[2]).

Ostatecznie, mimo swej niezaprzeczonej cnoty i zalety, ksiądz Wyrwicz uchodził za spiskowca między duchowieństwem okolicznem. Nie należał ani do hierarchji, ani do klubu księży miejscowych. Był dla nich to „rzymskim prałatem“, to znów „dumnym szlachcicem“, to nawet podejrzanym o niebezpieczne zamysły nowatorem. Krążyły wieści, że został księdzem bez powołania, tylko z powodu zawiedzionej miłości do jakiejś pani; że pisze w wielkiej tajemnicy dzieło nieprawomyślne, które wydać chce pod cudzem nazwiskiem; że gardzi drobnemi dochodami, bo ma stałą subwencję od jakiegoś stowarzyszenia, Bóg wie jakiego?... Nie słyszał o tem ksiądz Antoni, ale, czując niechęć księży do siebie, jak najmniej z nimi obcował, nie kradł im też owieczek, tylko te, które się do niego garnęły przypadkiem, wspomagał słowem i czynem, według swoich zasad i możności. Ale takich było mało, gdyż parafja, złożona z rozmaitych ludzi, jednak naogół wybitnie konserwatywna[3]), boczyła się ostrożnie od tego obcego księdza, który zamieszkał w opustoszałym parku, i nie mogła dojść do stanowczego sądu, kim jest ten człowiek o postawie wyniosłej i prostej, pod szronem lat już widocznym, zniewalający mądrym promieniem spojrzenia, z ręką otwartą dla ubogich, budzący uszanowanie, ale zarazem pewien żal, że nie jest taki, jak „nasi księża“. Zapewne na pokucie tu siedzi? — było to zdanie o nim najpowszechniejsze.

Ale ksiądz Antoni nie tylko nie miał swego nowego życia w Ponikszcie za pokutę, lecz czynił sobie wyrzuty, że opływa w sybarytyczne[4]) rozkosze. Kilkaset rubli dochodu z kapitału, pomnożone jeszcze przez honorarja autorskie, wystarczały mu w zupełności na jego skromne potrzeby, nawet jałmużny. Spokój mieszkania, przepych parku, lekkie obowiązki kapłana bez parafji pozostawiały mu czas i swobodę do pracy pisarskiej; siły i zdrowie dopisywały jeszcze w początku szóstego dziesięciolecia wędrówki ziemskiej.

---

1) czynność; 2) zaciekłych i przesadnych narodowców; 3) zachowawcza, nie lubiąca nowości; 4) sybarytyzm — zamiłowanie do rozkoszy i wygód życiowych.

Jedyną zgryzotą był mu brak doraźnych wyników jego pracy dla bliźnich. Niegdyś wychowywał młode dusze ze szczerym zapałem; wydawało mu się, że coś tworzył dla dobrej przyszłości, ale i w tem miał obok pociech rozczarowania. Rozwinięciu szerszej działalności wychowawczej według jego pragnień stanęły wpoprzek liczne zapory rządowe, ideowe, wreszcie jego własne zniechęcenie. Rzucił się obecnie do nauczania słowem pisanem, do dzieła, które miało być czynem, przebudzeniem ludzkości, choćby tylko młodego pokolenia... Ale czy takie dzieło przebić się może przez natłok i zamęt drukowanego słowa? Czy ten zamiar gorący, a sposób wykonania tak przyjemny nie są tylko utajoną pokusą szatana, przynętą ku pysze kaznodziejskiej? Czy nie są lenistwem, zamiast podboju w służbie Bożej? Pisał jednak z całych sił, modląc się pisaniem do Chrystusa, jakim Go znał, widział i kochał. *Józef Weyssenhoff.*

52. Ksiądz Maciej Zielenkowski.

Szczupłość dochodów nie odbierała humoru księdzu Maciejowi Zielenkowskiemu, który, już lat kilkanaście w parafji tej mieszkając, przestawał zawsze na tem, co mu Bóg dał, utrzymywał, jak mógł, w porządku kościół i dzielił się jeszcze z biednym, jeżeli który stanął przed jego progiem i widokiem prawdziwej nędzy do serca jego przemówił.

Był to bowiem człowiek w gruncie dobry i uczciwy, a choć czasem gderał, choć nieraz moralizował tych, którym się chciało płakać, zawsze jednak wkońcu zmiękczył się, widząc wielką jaką boleść, i albo pomógł, oddając ostatni grosz, jaki miał, albo niósł pociechę religijną, umacniając duszę cierpiącą w wierze i ufności w miłosierdzie Tego, który, jeżeli dziś zasmuca, to jutro niespodziewaną przygotowuje ulgę i pocieszenie.

To też nikt się nie zrażał jego zmarszczonem czołem, nasuniętemi brwiami i gburowatym głosem, z jakim z początku przyjmował tych, co do niego przychodzili. Owszem, wszyscy znali jego serce, a morały i ofuknienie nawet, bez którego się czasem nie obeszło, przyjmowali z cierpliwością i pokorą.

To jego usposobienie poszło stąd, że ksiądz Zielenkowski znał doskonale swoich parafjan, wchodził w ich życie, w ich położenie, widział ich wady i nałogi, wiedział dobrze o sąsiedzkich ich nienawiściach, o sprawach, jakie ich dwoiły, o namiętnościach, jakie zagnieżdżały się w ich sercach, a stąd przewi-

dywał klęski, jakie im zagrażać mogą. Nim się tedy co złego stało, wzywał ich do siebie, moralizował i surowo upominał, gdy kto tłumaczył się nieprawdą, lub rady jego i przestrogi przyjmował z dąsaniem lub lekceważeniem; a gdy przyszła bieda, klęska przepowiedziana ziściła się i nieszczęśliwy stawał przed proboszczem, prosząc o pomoc, albo radę, wtedy zawsze zaczynał od tego, iż go sfukał, iż się okrutnie zmarszczył i nie chciał niby słuchać, mówiąc:

„Sameś sobie winien, mówiłem ci, ostrzegałem, ale co to wam gadać. Ja swoje, a ty swoje. Teraz masz. Dobrze ci tak. Jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg. Idź sobie po radę i pociechę gdzie indziej. Nie słuchałeś wtedy, teraz już po niewczasie".

Zawsze się jednak na tem kończyło, że serce wyszło na wierzch, i że nieraz płakał razem z tymi, których widział przed sobą zbolałych i płaczących.

Wszakże rad swoich lubił udzielać nie tylko tym, od których sądził się wyższym nauką i doświadczeniem życia, ale i takim, którzy się mieli za oświeconych, za znających świat i ludzi, prawił nieraz, *verba veritatis* [1]) równie co do ich życia, ich stosunków familijnych, wychowania dzieci, a nawet co do ich interesów majątkowych. Niektórzy z takich przyjmowali uwagi księdza z należytą względnością; widzieli bowiem, iż w gruncie ma na celu ich własne dobro i interes zrozumiany; ale inni, zarozumialsi lub czujący się rzeczywiście do wad i win, które im wytykał, nazywali go wścibskim i unikali jego morałów, tem bardziej, im bardziej czuli, że ma rację i że to, co przepowiada, w rzeczy samej stać się może.

Przy tem wszystkiem był on spokojnego, a nawet wesołego usposobienia, i gdy czasem kto wieczorem do niego przyszedł, a zwłaszcza latem pod lipy, lubił pogawędzić o tem, co się działo w miasteczku i w okolicy, a niekiedy pośmiać się z możniejszych, którzy nie słuchają jego przestróg, nazywają go wścibskim, gdyż o tem doskonale wiedział, a tymczasem, jak głupie owce, lecą w ogień, gdzie kudły swe osmalą. Nie był on wcale uczonym, chociaż miał kilkanaście dobrych książek i przeczytywał je po raz drugi i trzeci, gdy był wolny od zajęć w parafji i zabiegów gospodarskich, którym oddawał się chętnie i z wielką pilnością.

Ale ksiądz Zielenkowski był trochę poetą, a wierszyki okolicznościowe składał często i z łatwością. Ulotnych tych rymów,

---

[1]) słowa prawdy (łac.).

któremi winszował imienin, nowego roku i wesołego Alleluja; przez które wzywał czasem sąsiadów, z którymi bliżej żył, na obiadek, na podwieczorek, lub zimą na marjasza lub warcaby; przez które wstawiał się do burmistrza, to za nauczycielem swej szkoły, aby mu regularniej wypłacano pensję, to za innym jakim uciśnionym, który wzywał jego pośrednictwa lub protekcji; przez które w nagłym jakim razie prosił którego z możniejszych swych parafjan o furkę siana dla swych krówek, lub o jaki korczyk owsa dla swych koników, zebrała się już była w owym czasie, o którym mówimy, tak znaczna liczba, że, gdyby się był znalazł jaki wydawca, mielibyśmy zupełnie takie dwa tomiki, jakie już w poezjach Molskiego [1]), z wielkim pożytkiem dla literatury posiadamy.

Ksiądz Maciej Zielenkowski miał już z pięćdziesiąt lat; był słusznego wzrostu, chudy, wypukłych pleców, ręce miał żylaste i czerwone, któremi chętnie gestykulował, a stopy duże, które prosto przed sobą niezgrabnie wyciągał. Włosy już siwe i nisko przystrzyżone pokrywały jego dużą głowę, czoło miał niskie i marszczące się, brwi wielkie, spadające na oczy, co dawało twarzy jego śniadej i niezbyt ujmujących rysów wyraz surowy, który na pierwszy rzut oka odstręczał i tem mniej pochlebne dawał wyobrażenie o łagodności jego charakteru, że i w głosie nie było słodyczy, ale owszem, jakaś twardość i niby gburowatość.

Wszystko to jednak nikło przy bliższem jego poznaniu. Gdy się rozrzewnił, łagodniały jego rysy, czoło się wygładzało i podnosiło, brwi rozsuwały się i pozwalały widzieć głębokie uczucie w jego oczach, często łzą zroszonych. Gdy się znowu rozgadał i rozweselił, cała twarz jego pięknieała niejako, a uśmiech czasem filuterny [2]), czasem dobroduszny pociągał każdego do ufności i zniewalał do przyjacielskiego wylania się.

Ksiądz Maciej latem i zimą chodził zawsze w czapce wysokiej, rogatej z siwym barankiem, w długim surducie z grubego sukna, a w święto w zwykłej księżej sutannie z pelerynką; trzcinę miał zawsze w ręku, a choć nie dbał o elegancję w zwierzchniem swem odzieniu i obuwiu, widać jednak, że do czystości wielką przywiązywał wartość, gdyż ta obwódka płócienna, która okrążała jego halstuch [3]) pod brodą, była zawsze czysta i, jak śnieg, biała. Równie starannie utrzymana i składana była wszelka bielizna kościelna. Nie wziął nigdy na siebie zbrudzonej i zmiętej

---

[1]) nieudolny poeta końca XVIII i początku XIX w.; [2]) swawolny, figlarny; [3]) rodzaj krawata wiązanego.

alby [1]), a komże, w których występował czy na ambonę, czy przy chrzcinach, czy za trumną choćby najbiedniejszego ze swych parafjan, świadczyły, że na nie nieżałowano mydła i że pod pilnem i umiejętnem były żelazkiem. *Józef Korzeniowski.*

53. Młody zagończyk [2]).

Młody pan Nowowiejski zmienił się wielce przez ostatnich lat kilka, bo naprzód wierzchnia jego warga już zacieniła się mocno wąsem krótkim, białych, wilczych zębów nie przysłaniającym, ale pięknym i kręconym. Powtóre, zawsze chłop był duży, ale teraz rozrósł sie prawie w olbrzyma. Zdawało się, że tak gęsta i zwichrzona czupryna tylko na tak ogromnej głowie rosnąć może, a tak ogromna głowa tylko w tak bajecznych barkach należytą znajduje podporę. Twarz miał zawsze czarną, wichrami opaloną, oczy jarzące, jak węgle; zawadjactwo jakby wypisane na twarzy. Gdy chwycił spore jabłko, ukrywał je tak łatwo w swojej potężnej dłoni, że mógł się w „zgaduj zgadula“ bawić, a gdy garść orzechów położył sobie na udzie i ręką przycisnął, to potem tabakę wydobywał.

Wszystko poszło w nim w siłę, bo zresztą chudy był i brzuch miał wpadnięty, jeno piersi nad nim, jak kaplice. Podkowy łamał z łatwością, niebardzo się natężając; toż pręty żelazne żołnierzom na szyi zawiązywał, a wydawał się jeszcze większy, niż był wistocie; gdy stąpił, trzeszczały pod nim deski, a gdy przypadkiem o ławę zawadził, to szczapę z ławy odłupywał.

Słowem, był to chłop setny, w którym życie, zdrowie, odwaga i siła kipiały, jak kipi war w saganie, nie mogąc się w tak nawet ogromnem ciele pomieścić. Zdawało się, że płomień ma w piersi i w głowie, i mimowoli patrzyłeś, czy mu się już z czupryny nie dymi. Jakoż dymiło się często, bo i do wypitki był dobry. Do bitwy szedł ze śmiechem, przypominającym rżenie końskie, i walił tak, że żołnierze po każdem spotkaniu wszystkie trupy jego oglądali, aby nadzwyczajne cięcia podziwiać.

Zresztą od dziecka do stepu, stróżowania i wojny nawykły, mimo całej zapalczywości, czujny był i przezorny: znał wszystkie tatarskie fortele [3]), a po panu Wołodyjowskim i Ruszczycu uchodził za najlepszego zagończyka. *Henryk Sienkiewicz.*

---

[1]) alba — długa, biała suknia księży katolickich, wdziewana pod ornat; [2]) żołnierz, zaprawiony do podchodzenia nieprzyjaciela, t. j. nagłego napadania i szybkiego ukrywania się; [3]) podstępy.

54. Młody watażka[1]).

I rzeczywiście, dobrze było znane to nazwisko. Z pośród imion różnych pułkowników i atamanów kozackich wypłynęło ono na wierzch i było na wszystkich ustach, po obu stronach Dniepru. Ślepcy śpiewali o Bohunie pieśni po jarmarkach i karczmach, na wieczornicach opowiadano dziwy o młodym watażce. Kto on był, skąd się wziął, nikt nie wiedział. To pewna, że kolebką były mu stepy, Dniepr, porohy[2]) i Czertomelik[3]) ze swoim labiryntem cieśnin, zatok, kołbani[4]), wysp, skał, jarów i oczeretów[5]). Od wyrostka zżył się i zespolił z tym dzikim światem.

Czasu pokoju chodził z innymi „za rybą i zwierzem“, tłukł się po zakrętach dnieprowych, brodził po bagniskach i oczeretach z gromadą półnagich towarzyszów, to znów całe miesiące spędzał w głębinach leśnych. Szkołą były mu wycieczki na Dzikie Pola[6]) po trzody i tabuny tatarskie, zasadzki, bitwy, wyprawy przeciw brzegowym ułusom[7]), do Białogrodu, na Wołoszczyznę, lub czajkami[8]) na czarne morze. Innych dni nie znał, jak na koniu, innych nocy, jak przy ognisku na stepie.

Wcześnie stał się ulubieńcem całego Niżu[9]), wcześnie sam zaczął wodzić innych; i wkrótce odwagą wszystkich przewyższył. Gotów był w sto koni iść choćby do Bakczysaraju[10]) i samemu chanowi zaświecić w oczy pożogą; palił ułusy i miasteczka, wycinał w pień mieszkańców, schwytanych murzów[11]) rozdzierał końmi, spadał, jak burza, przechodził, jak śmierć. Na morzu rzucał się, jak wściekły, na galery tureckie. Zapuszczał się w środek Budziaku[12]), właził, jak mówiono, w paszczękę lwa. Niektóre jego wyprawy były wprost szalone. Mniej odważni, mniej ryzykowni, konali na palach w Stambule, lub gnili przy wiosłach na tureckich galerach, on zawsze wychodził zdrowo i z łupem obfitym.

Mowiono, że zebrał skarby ogromne i że trzyma je ukryte po dnieprowych kamyszach[13]), ale też nieraz go widziano, jak

---

[1]) wódz kozacki; [2]) skały w Dnieprze; [3]) wyspy na Dnieprze, zamieszkałe przez kozaków siczowych; [4]) kołbań – małe grząskie jeziorka lub bagna; [5]) trzcin; [6]) stepy na południowych kresach Rzeczypospolitej; [7]) ułus — wioska tatarska; [8]) czajka — mała łódka kozacka; [9]) Niż — dolny bieg i ujście Dniepru; [10]) stolica chana na Krymie; [11]) murza, mirza — książę tatarski; [12]) Budziak — równina między Dniestrem a morzem Czarnem, od Akermanu do Kilji; [13]) zaroślach trzcinowych.

deptał zabłoconemi nogami po złotogłowiach i lamach[1]), koniom słał kobierce pod kopyta, albo jak, ubrany w adamaszki[2]), kąpał się w dziegciu, umyślnie kozacką pogardę dla onych wspaniałych tkanin i ubiorów okazując.

Miejsca długo nigdzie nie zagrzał. Czynami jego powodowała fantazja. Czasem, przybywszy do Czehryna, Czerkas lub Perejasławia, hulał na śmierć z innymi Zaporożcami, czasem żył, jak mnich, do ludzi nie gadał, w stepy uciekał. To znów otaczał się ślepcami, których grania i pieśni po całych dniach słuchał, a samych złotem obrzucał. Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między kozakami najdzikszym kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełznana i rozszalała. Dlaczego na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu służył, sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazji. Ta właśnie fantazja wyróżniała go od innych watażków grubjanów i od całej rzeszy rozbójniczej, która tylko grabież miała na celu, i której za jedno było grabić Tatarów, czy swoich. Bohun brał łup, ale wolał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla własnego ich uroku; złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztę nie dbał.

Ze wszystkich watażków on jeden najlepiej uosabiał kozaka-rycerza, dlatego też pieśń wybrała go sobie na kochanka, a imię jego rozsławiło się na całej Ukrainie. *Henryk Sienkiewicz.*

55. Kupiec gdański w XVII wieku.

Przy stole, w dużem poręczowem krześle siedział mistrz Johann Schultz. Miał na sobie kurtę z kasztanowatego felendyszu[3]), o małym karbowanym kołnierzu i bufiastych rękawach, szare pludry, zielone pończochy i trzewiki z pęczkami wstążek. Na długawych, szpakowatych włosach nosił mały czarny birecik, bo wtedy i w domu nakrywano głowę.

Siedział pochylony do światła i pulchnemi rękami urabiał maleńkiego Amorka z bursztynu. A nie tylko ręce, ale i twarz miał pulchną, i cała jego osoba jaśniała okazałą tuszą.

---

1) rodzaj materji jedwabnej, przetykanej złotem lub srebrem; 2) gruba wzorzysta tkanina jedwabna; 3) rodzaj prostego sukna.

Ale ta grubość była przejrzysta, wykwintna. Rysy nawet musiały być niegdyś bardzo ładne, dopóki długie lata siedzącego życia i długa zażyłość z kuflem nie zaokrągliły ich zbytecznie.

Podczas gdy Kaźmierz czynił w duchu takie uwagi, mistrz Johann oddawał pięknem za nadobne. Spostrzegłszy świetny wygląd wojskowego, pomyślał sobie:

— Oho! Może jakowy utracjusz? Będzie zeń dojny kundman.

Przyczem, wstawszy powolutku, skłonił się z powagą i patrzył na gościa w postawie wyczekującej, bo wielcy kupcy owych czasów byli tacy, jakimi są jeszcze dziś na Wschodzie, uprzejmi, ale małomówni i nie narzucający się z towarem. Wszelką sztukę „reklamy“, wszelkie przechwałki z bębnami pozostawiali krzykaczom jarmarcznym, a sami twierdzili, że, czego kto naprawdę potrzebuje, to sobie zawsze znajdzie. Nie wiedzieli, prostoduszni! że można ludzi kusić i na to, czego im nie trzeba.

To też i w ich składach nic nie stało na pokaz, nic się nie uśmiechało z poza szyb kryształowych. I tutaj oto któż byłby mógł odgadnąć, co ta surowa komnata ukrywa w swoich szczelnie pozamykanych tajnikach?

Kaźmierz pierwszy zaczął:

— Jutro wyjeżdżam, chcę zawieźć doma gościniec, z tej racji przyszedłem do waści, panie kupiec.

— Toś Wasza Miłość richtig[1]) trafił. U nas grasuje[2]) przysłowie:

Zawiózł panek do Gdańska pół-szkutek[3]) pszenicy,
Za to przywiózł bernsztejnu[4]) aż pół rękawicy.

— A! Paradnieś to waść przycytował — rzekł gość, któremu bardzo się podobała krotochwilność gospodarza. — Obaczmyż, co ja mam nasypować do onej rękawicy, chociaby do jednego palca w gantelecie?[5])

Kupiec tedy zaczął jedną po drugiej otwierać owe zaczarowane szafy. Tam, na głębokich policach, stały rzędami bursztynowe posążki, czarki, kropielniczki, solniczki, ampułki! Były i przedmioty niby innego porządku, jako to: srebrne puhary i talerze, kryształowe szklenice i nalewki, ale wszystko nasadzane maskaronami[6]) albo figurkami z bursztynu; były i krucyfiksy hebanowe ze słonecznym Panem Jezusem, i świątyńki z kości słoniowej, gdzie bawiły się różne żółciuchne osóbki.

---

[1]) dobrze; [2]) krąży; [3]) szkuta — rodzaj statku rzecznego; [4]) bursztynu; [5]) gantelet — rękawiczka; [6]) ozdobami w kształcie twarzy ludzkich.

Potem kupiec wyciągnął płaskie szuflady, gdzie leżały rzeczy drobniejsze, ale niemniej kosztowne, bo z najbielszego bursztynu wycinane i złotemi oprawami niewidzialnie podszyte. Spoczywały tam na czarnych aksamitach naszyjniki, krzyżyki, zausznice, alszbanty [1]) i wszelkie inne figle białogłowskie, wyrobione tak cieniuchno, jakby z wosku. Gdzie indziej znów guzy do żupanów, spinki do kitek i kołnierzy, kule i różne wisiory do rzędów końskich, kameryzowane [2]) gdzie niegdzie upstrzeniami z pereł i drogich kamyczków. Tu już pan Kaźmierz zaczął tracić głowę. Mieszek jego — co prawda — piszczał srodze na haniebne ceny, jakie mistrz Johann obojętnie wymieniał, ale Kazimierz nie okazywał żadnego zmieszania, ani się owym cenom dziwował; a czynił tak dla dwóch powodów: najprzód chciał koniecznie przedłużyć rozmowę, powtóre, chciał się nasycić jeżeli nie posiadaniem, to przynajmniej oglądaniem tylu przecudności, bo nasza młodzież wojenna zawsze kochała się w „splendorze“ [3]). Więc wszystko pokolei brał do ręki, najdroższe rzeczy targował a jeśli nie sypał złotem, to sypał hojnie i szczerze pochwałami, czem niezmiernie sobie ujął gospodarza, bo majster Johann był jeszcze więcej kunsztmistrzem, niż kupcem.

Widząc, że młodzieniec najpilniej ogląda figurki niewieście, odezwał się z uśmiecham:

— He he! Mąm ja tu coś, echt [4]) dla pana officyjera, jeno tam jeszcze grubszy koszt, bo to mój meister-stück [5]).

Tu wysunął na środek pokoju swoje wielkie krzesło, z dębu rzeźbione, jak wszystkie inne sprzęty, a wybite skórą z Korduby [6]), o tle dereniowem [7]) i złotych wyciskach. Potem z kieszeni wyjął kluczyk, a wtedy Kaźmierz spostrzegł nie bez podziwu, że pod siedzeniem jest ukryta szuflada z misternym zameczkiem.

— Przebóg! Czego też te Niemcy nie wymyślą? — zawołał. — A to, bez urazy, możnaby o waści powiedzieć, że: „siedzi na swoich skarbiech“.

— Ja, ja [8]). Siedzi. Czego niema siedzieć, kiedy skarby są? — odparł bez urazy gospodarz i, wyciągnąwszy szufladę, zaczął przeglądać jej różne przegrody. W jednych, nakształt kiełbasek, wiły się długie sakiewki, przez których dzierganke przeglądały rulony holenderskich dukatów. Gdzie indziej były drobne łańcuszki i paciorki.

---

[1]) naszyjniki; [2]) wykładane; [3]) wspaniałości; [4]) doskonałe; [5]) okazowy wyrób; [6]) Korduba — miasto w Hiszpanji; [7]) czerwonem; [8]) tak, tak (niem.).

— To — mówił — różne andenkieny [1]) po mojej nieboszczce.

— Waść wdowiec?

— A wdowiec. Już dwie lecie [2]) zgórą minęło, jak my ją pogrzebli.

Nakoniec, z najgłębszej skrytki, wyjął długie puzderko, gdzie na szafirowym atłasie ukazał się sztuciec bursztynowy. Trzonki u wszystkich trzech narzędzi były wyrobione w kształcie mitologicznych posążków, a przytem obmyślone z podwójnym dowcipem; i tak, po jednej stronie bożek Mars, gorejącej barwy, trzymał nad ramieniem wzniesiony mieczyk złoty, który zarazem tworzył i klingę noża. Po drugiej stronie Neptun, trochę szarawy, trzymał trójząb, którego złote szpikulczyki tworzyły widelec. Najwięcej panu Kaźmierzowi podobała się łyżka; była to stubarwna, okrągło-wklęsła muszla, z której wychodziła bogini Wenus; a bursztyn, użyty na tę postać, przeświecał taką mleczną białawością, że wydawała się naprawdę istotą z piany morskiej.

Kiedy kupiec zamykał napowrót szufladę, Kaźmierz mówił z niekłamanem zachwyceniem:

— Wielki z Waści magister w tem rzemiośle. Wie to cała Hanza [3]) i cała Korona. Mnie nawet gadano, co Król Jegomość nieboszczyk do waści pisywał. Czy to może być?

— A może być, kiedy było. Ho! Nasz Pan Miłościwy to nie tylko był mądry König [4]), ale i mądry Kunstmeister [5]). Inne królowie, kiedy się sfatygują, to wyprawiają sobie turniery [6]), szlichtady i różne lusztyki [7]). A król Zygmunt [8]) nie, jeno siadał wonczas do warsztatu i dłubał sobie we złocie, albo srybrze to kubeczki, to łańcuchy, to monstrancje, i to nie dla żartu, ale rzeczy fein [9]), coby się ich i prawy majster nie powstydał. Owóż jednego dnia przyszła mu takowa chęć, aby sobie zrobić trinkbecher [10]) z czystego bernsteinu, jeno nie wiedział, skąd wziąć tej substancji, ani jak się to robi. Kazał tedy pisać do mnie, abym ja mu przysłał kawały, jakie mam najlepsze, i takoż w piśmie zapytował o nasze niektóre majsterskie sekreta. Jam tedy posłał i z sekretów onych się spuścił, jako wierny sługa i poddany.

— I cóż, król zrobił ten kielich?

— Gadali mi panowie, co płynęli ode Warszawy, że zrobił i że tam wygrawował swój osobisty konterfekt [11]). Mówili przytem, że i moim sekretom był rad.

---

[1]) wspominki; [2]) dwa lata (dawna liczba podwójna); [3]) Hanza — związek miast niemieckich; [4]) król (niem.); [5]) kunsztmistrz (niem.); [6]) turnieje; [7]) rozrywki; [8]) Zygmunt III Waza; [9]) doskonałe; [10]) puharek; [11]) wizerunek.

— Fiu! Fiu! To wasze, panie konzul[1]), w korespondencjach z królami! Felicytuję[2]).

I pan Kaźmierz spojrzał na niego innemi oczyma i odtąd zaczął go tytułować już nie „panem kupcem“, ani „majstrem“, ale „panem konzulem“! *Deotyma (Jadwiga Łuszczewska).*

56. Patrycjusz warszawski za Jagiellonów.

I.

Warszawski rajca, Malcher Gąska,
Kwiat *urbis*, [3]) wzrosły najwspa-
[nialej,
Sławetny ród swój wiódł ze Śląska,
Kędy się Gąski Ganse zwali.

Jak insze Niemce, Szoty, Fryzy,
Dla Polski afekt [4]) czując szczery,
Stanęły Gąski między Gizy,
Burbachy, Korby i Fokiery.

Na wzór i splendor [5]) temu światu
W dostojnych czynach dnie im
[biegą:
Gwiazdy senatu, skabinatu [6])
Szły z rodu Gąsków przezacnego.

Z dobrej kokoszy dobre jajco,
Znać ojce z synów animuszu: [7])
Jest Malcher Gąska przednim rajcą
I mądrze gada na ratuszu...

II.

Szczyci się Gąska zacną sławą,
Pisać w kronikach jego dzieje;
Wskroś majdeburskie przeznał
[prawo [8])
I patrycjatu przywileje.

Wysoko ważą pany Rada
Wymowę Gąski szczerozłotą:
O starym Rzymie Malcher gada,
Napawa serca rzymską cnotą.

Bo w chwile dumań troska bodzie
Gąskową duszę, pełną bólu!
„*O, patria mea!* [9]) O, narodzie!
O, królu! królu! gnuśny królu!

Rozpusty żądłem duch toczony
Zali podtrzyma ojców dzieła?!“
Regnavit [10]) zasie w dobie onej
Król Zygmunt August z krwi
[Jagiełła...

III.

Sławetny Gąska, *lumen* [11]) czyste
Na gród i grodu okolice,
Ma córkę Zofkę, żonę Krystę
I w rynku zacną kamienicę.

Jakby złocona błyszczy klatka,
Komnata każda i alkowa:
Tam rządy Krysta sprawia gładka,
Wielkiego *cordis* [12]) białogłowa.

A ona córa najmilejsza.
Dziewka w szesnastej życia wiośnie,
Codzień jaśniejsza i piękniejsza,
By cudny kwiatek, ojcom rośnie.

Jedwabiem dzierga haft bogaty,
Do wtóru lutniej śpiewa mile
I pielęgnuje wdzięczne kwiaty:
Tuliby [13]), róże i grandile...

IV.

Na całym rynku blask się czyni,
Od pstrych materyj bolą oczy,
Kiedy z rodziną do świątyni
Pan Malcher Gąska dumnie kroczy.

---

[1]) rajca miejski; [2]) winszuję; [3]) miasta (łac.); [4]) miłość; [5]) blask; [6]) sądu ławniczego; [7]) dzielności; [8]) kodeks prawa magdeburskiego, miejskiego; [9]) o, ojczyzno moja (łac.); [10] panował (łac.); [11]) gwiazda (łac.); [12]) serca (łac.); [13]) tulipany.

Przy złotym pasie kord podzwania
W pochwiech od srebra i szarłatu
(Karabel łyczkom prawo wzbrania,
Ale *excepto magistratu* [1]).

Gęba czerwona, wąs sumiasty,
Szata barwista i srebrzysta!
A cóż dopiero one niewiasty!
A ona Zofka! Ona Krysta!

Jakie bandele [2]), brokatele! [3])
Na białych łonach i ramionach!
A owe kolce! [4]) a manele! [5])
W balasach! [6]) — w perłach —
[w parangonach! [7])

V.

Jak właśnie *flores* [8]) na tej niwie,
Którą blask słońca grzeje złoty,
Tak ona Zofka błogo żywie
W trwałych splendorach cichej
[cnoty.
Ze złota kosy, z róż ma lice,
Chabrowe oczy z kruczą brewką,
Tedy się pysznią one rodzice
Oną zbyt cudną swoją dziewką!

Ba! Zofka słonko! Zofka ksieni!
I dla piastuny, Krzychy starej;
(Tę czarownicą *plebs* [9]) być mieni,
K'czemu zaś trudno skłonić wiary!)

Bywało, dziewka tęskni, wzdycha,
W łzach fjołki źrenic skrzą nie-
[bieściej —
O pięknych księciach stara Krzycha
Gwarzy jej cudne opowieści...

VI.

W godzinę zmierzchu uroczystą,
Radnego *mentis* foldze k'woli [10]),
Gada pan Malcher z Zofką, z Krystą
O Hanzeatów [11]) złotej doli.

W kominie drewka płoną krwawie,
Żywicznych szczapek syczą wiązki,
Na adamaszkiem krytej ławie
Sedet familia [12]) Malchra Gąski.

Sute ognisko blasków siatką
Patrycjuszowe złoci sprzęty,
Nadobna para (Zofka z matką)
W muzyckie brząka instrumenty.

Schnie z rozekerem [13]) bania
[szklanna,
Którą po dziadach Malcher chowa...
Niechże ich strzeże Święta Panna
I łaska Pana Jezusowa...

Or-Ot (Artur Oppman).

57. Rybak normandzki.

Dom rybaka to dalszy ciąg morza. Przez ścianę szum, w powietrzu sól, za oknem bezmiar wody modry. Zdaje się, że dość jest drzwi otworzyć, aby przez nie weszło morze i mieszkało z nami.

W sieniach pęki lin, sznurów, podrywek [14]), koszyków; w izbie u sufitów okręciki wiszą, nad kominem muszle i gwia-

---

[1]) z wyjątkiem magistratu (łac.); [2]) bandela — przepaska, wstęga. [3]) brokatela — materja jedwabna w wypukłe wzory; [4]) pierścienie; [5]) bransolety; [6]) balas — rodzaj rubinu; [7]) parangon — rodzaj diamentu; [8]) kwiaty (łac.); [9]) lud (łac.); [10]) dla odpoczynku myśli. [11]) t. j. mieszkańców miast, należących do związku Hanzy; [12]) siedzi rodzina (łac.); [13]) rodzaj wina; [14]) rodzaj sieci.

żdzice[1]), w podwórku wywrócone do góry dnem czółno, połamane kotwice, więcierze, zapasowe wiosła...

Wchodzisz i myślisz — dom na ziemi stoi...

A nieprawda!

I on, i byt pokoleń całych, od pradziadów, co wznieśli te zręby[2]), aż do gospodarzy naszych, wszystko to stoi morzem i na morzu. Życie ludzkie zarzuciło tu kotwicę tak samo, jak ją nieco dalej zarzucają barki i łodzie, i, tak jak one, kołysze się z falą i na fali. Jego radości i nadzieje, jego klęski i żałoby kołyszą się z niem razem. Coś z płynności żywiołu weszło tu w dusze ludzkie. Każdy przypływ wypełnia je otuchą i wzmaga; każdy odpływ zabiera coś z nich i unosi ze sobą. Oczy tak samo osychają z łez, jak nadbrzeżne piaski, a żagiel, wzdęty świeżym tchem morza, pędzi nie tylko barkę, ale i krew w żyłach. Palce starej Normandki, która w rogu podwórka sieć wiąże, plączą się i mdleją, kiedy piaski nadbrzeżne zażółcą się w słońcu; lecz kiedy biegnąca grzbietem morza fala zahuczy, zasyczy, u brzegu, wielka iglica sieciarki błyskawicznie miga, a węzły sieci aż warczą, z taką je mocą dociskają stare, stare palce.

Przypływ i odpływ reguluje tu i urządza wszelakie sprawy żywota.

W izbie, na głównej ścianie, wisi kalendarz księżycowy, pokazujący na rok cały godziny i minuty przypływu. Innego tu i nie trzeba nawet.

Kiedy zalśnią, zabieleją żagle, ku przystani wzdęte, a cała flota barek rybackich z połowu powraca, każdy wie, że to niedziela i że to jest święto. Zaraz więc zaczynają dzwony bić rozgłośnie, jasno, wesoło, a mały — duży do kościoła idzie.

Idzie albo do nowego kościoła, albo do starego. Nowy stoi na wzgórzu i nazywa się kościołem „Zwycięstwa“, a to najniepotrzebniej w świecie. Zbudowany został na pamiątkę wyzwolenia z okrutnego strachu, jaki opanował osadę na wieść, że Niemcy idą[3]).

Jakoż Niemcy istotnie szli, następujący na karki Francuzów ciężką i twardą, bo zwycięską, nogą. Już przenoszono na spód barek dobytek — co cenniejszy, w węzełkach i skrzynkach, już pan Mer[4]) opasował się trójkolorową wstęgą, by godnie kapitulować, a pani Merowa, przybrana w jedwabną suknię, już trzy-

---

[1]) gwiazdy morskie; [2]) ściany; [3]) podczas wojny 1870—1871 r.; [4]) tytuł samorządnego naczelnika miasta we Francji.

mała chusteczkę u oczu, które według programu zapłakanemi być miały, kiedy nagle Niemcy w Honfleur stanęli i nie poszli dalej tym traktem, zaskoczeni w swych triumfach zawieszeniem broni. Odjęła tedy pani Merowa chusteczkę od oczu, suknia jedwabna poszła na kołek, a pan Mer, jak stał, opasany wstęgą, tak w pełni swej urzędowości uczynił votum, że nad osadą, na najwidoczniejszem miejscu, stanie kościół pod wezwaniem „Matki Boskiej Zwycięskiej". I stanął. Wszakże starzy rybacy i stare rybaczki tłumniej i ochotniej się cisną do dawnego, drewnianego kościoła, w którego absydzie[1]), w sztywnej, złoconej szacie i staromodnym normandzkim kornecie[2]) na głowie, stoi od wieków z litościwą, poczerniałą twarzą obraz Panny Marji.

Panna Marja zna wszystkie dolegliwości, wszystkie niepokoje i smutki swojej rybaczej osady. Wie, gdzie w domostwie choroba, gdzie grzech, gdzie waśń, gdzie bieda. Wie, które ręce nadmiar już zmęczone, które oczy wypłakane, zgasłe. Wie, ile dzieci pod dachem się chowa i jakiem na nie wołają imieniem. Wie, kiedy wróci młody marynarz, ochotnik, za którym patrzy ku Szkocji dziewczyna.

Panna Marja wie i to nawet, gdzie na dnie morza leży jedyny syn wdowy...

Ona zna wszystkich tych, za których „Dzwon utopionych" co wieczór głucho bije, i tych, których imiona kołyszą się za wiatrem, wypisane na skrzypiących deskach, za cmentarnym murem, gdzie „krzyż zaginionych" stoi.

Więc kiedy się tak w tym dawnym ubogim kościółku lud dokoła Niej ściśnie, każdy ma Ją o coś prosić, pytać, każdy ma Jej coś do powiedzenia. A Ona z pod swego staroświeckiego kornetu patrzy, trochę smutna, trochę surowa, i słucha, słucha...

Więc jedni mówią do Niej półgłosem, żarliwym szeptem, a inni spojrzeniem szeroko otwartych, osłupiałych źrenic.

Ale raz, po mszy, stary jeden rybak wyszedł z tłumu, przeżegnał się i zaczął włazić na ołtarz.

Chwyci go zakrystjan za kubrak:

— Gdzie? Poco?

A ów:

— Nic, Nic! Ja tylko chcę coś powiedzieć Pannie Marji.

Tak zakrystjan z pasją:

— Schodź mi zaraz, stary głupcze! Nie wolno!

---

[1]) absyda — półokrągła nisza w tylnej ścianie kościoła; [2]) kornet — ubranie głowy u kobiet.

A rybak:

— Co to nie wolno! Ja mam Jej coś ważnego powiedzieć, coś pilnego! Ja muszę Jej coś powiedzieć!

A tuż w tłumie biorący stronę rybaka pomruk: „Oo!... Ooo!...“

Oparło się o księdza. Wyszedł ksiądz:

— Bój się Boga, człowieku, co wyrabiasz? Przecież ci na ołtarz włazić nie dam!

A ów:

— Kiedy ja zaraz, Ojcze wielebny, zlezę! Tylko coś powiem Najświętszej i zlezę!

Więc znów ksiądz:

— Zwarjowałeś, czy co? Zastanówże się, człowieku, że to jest wyobrażenie tylko, figura, która, choćbyś nie wiem co gadał, to cię nie usłyszy!

Tak rybak z oburzeniem:

— Co? Najświętsza mnie nie usłyszy?... Mnie?... Najświętsza?... Mój Jegomość!...

I machnął wymownie ręką.

A w tłumie całkiem już groźne:

— Ooo!... Ooo!...

Widzi ksiądz, że nie z tej beczki trzeba, tak rzecze:

— No, więc dobrze! Mnie powiedz, dobry człowieku, co masz do powiedzenia, a ja Jej powtórzę.

A rybak:

— A nie! Nie mogę! To jest rzecz ważna! To ja Jej muszę sam...

Co było robić?

Ksiądz kazał przystawić do ołtarza drabinkę, rybak się na nią wygramolił, przyłożył zwiędłe usta do ucha Najświętszej Panny i długą chwilę szeptał, trzęsąc głową siwą.

Zaczem westchnął z głębia, ucałował brzeg sztywnej pozłocistej szaty, grzmotnął się w piersi, przeżegnał się i zlazł z drabinki, z rozjaśnioną błogiem światłem twarzą.

Marja Konopnicka.

58. Stary roznosiciel florencki.

O szarym przedświcie majowego dnia ojciec Berto, przycupnąwszy na ławie kamiennej w sieni Palazzo Vecchio[1]) od strony placu Signoria[2]), drzemał w oczekiwaniu na nadejście

[1]) czyt. Palacco Vekkio; [2]) czyt. Sinjorja.

godziny zaczęcia roznosicielskiej swej pracy. Deszcz zmoczył był w nocy miasto, a o tej porze łagodna, błękitnawa mgła wypełniła ulice i place. W wąskich zaułkach, w szczelinach międzygmachowych, jak ów za portykiem łuczników, leżała jeszcze ciemna noc, lecz na kopułach i wieżach bielał już blask słońca, rozbłyskującego kędyś za etruskiemi górami.

Berto pogrążony był w półsen-półmarzenie, we właściwe jego duszy rozważania bez udziału woli, wciąż przerywane przez modlitwę i jak gdyby w niej tonące.

Życie starego roznosiciela stało się do cna smutne, obarczone nadmiernym ciężarem trosk, tak dalece pełne poczucia niedoli, tak zupełnie złem przesiąknięte, iż, zaiste, tylko zło samo zawierało dlań w sobie. Często, niemal bez przerwy, powtarzane modlitwy z żarliwością, która przeistaczała się w zaciekły wewnętrzny szloch, w namiętny krzyk, niweczyły ów straszliwy obraz życia, jako siedliska złego, gniazda mocy szatana. Głębokość wiary bez granic rozsiewała smugi pociechy niepojętej, jakoby promienie poranne w tem morzu ciemności. Okrutne myśli, jeśli nie ulegały przemianie, to obumierały od modlitw, a przytłoczone uczucia unosiły się ku czemuś czującemu i czuwającemu wiekuiście, które wszystko wie i pamięta — mocne jest ukarać najohydniejsze formy złego, jako błędy myśli i złudzenia głupoty człowieczej.

Nic to nie znaczyło, że złe dnia powszedniego — gdzie na biedaka wszędy kapie, przynosiło przed oczy jednakie wciąż zaprzeczenie, uderzające w samo serce, z wydarciem zbójeckiem, bez miłosierdzia, ostatniej złudnej nadziei.

Była to dola, zrośnięta z ciałem, jak nędzna odzież. Lecz Bóg mocen był i z doli tej uczynić kwiat radości i zapach szczęścia, jeśli w Nim położyć wszystką ufność i wszystką nadzieję, na jaką stać błędnego ducha.

Berto w półśnie, którego nie mógł pozbawić się, ażeby nie stracić siły, niezbędnej do pracy, rozważał, przywołując niejako Boga na świadka i sędziego, mocą modlitwy sprowadzając Go tak blisko siebie, iż czuł niewysłowioną łaskę i bezgraniczną ulgę Jego opieki — wszystkie troski swego żywota. Rozpatrywał wszelkie więzy i pętle, postronki i naszelniki[1]), które dzień dnia trzymały go pod nieszczędnym[2]) batem. Ukazywał miłościwej Wszechmocy, jak dalece nie jest w stanie iść naprzód, ani wtył,

[1]) część uprzęży końskiej, idąca od chomąta do dyszla, [2]) t. j. nie szczędzącym, bolesnym, okrutnym.

w bok, ani naprzełaj, jak nie może sam się odprząc, wyrwać z chomąta, ani odejść, ani nawet upaść. Wiedział i czuł, że należałoby zerwać się i ucieczką ratować resztę życia od niemiłosiernej zagłady. Wiedział, iż przybliża się niejasne, dawniej nieznane wcale wyobraźni, straszliwem zimnem przejmujące zakończenie wyczerpujących się sił, że trzeba działać stokroć szybciej, niż dawniej, chcąc nasycić się dobrem życia. Lecz wiedział również, że takiego zamachu wykonać nie zdoła, gdyż miał świadomość o utajonych w jestestwie, choć w danej chwili bezczynnych i pozornie wygasłych, wszechpotężnych uczuciach. Trzymały go sznury i węzły tysiąckroć mocniejsze, niż pokusy i żądze, bo miłość do dzieci. O, jakże straszliwą była jej moc niepojęta! Jakże niezgładzone, nieznane cierpienie było w jej głębi i jaka zarazem rozkosz naga i prosta! Dzieci, każda z istot oznaczonych imionami — Cesare [1]), Isolina, Inez, Yole [2]) — były to części jego fizycznej natury i odszczepy jego duszy — wewnętrzne boleści i choroby, a zarazem coś jak gdyby wyrzeźbiona muzyka szeregu śpiewających wyrostków Łukasza della Robbia [3]), na którą raz przypadkiem zdarzyło mu się patrzeć, a patrzeć w zadumaniu nienasyconem.

Berto czuł w gardzieli, w tem miejscu, z którego wydobywał swój powszedni, wrzaskliwy okrzyk, stały, a wciąż wzmagający się ból, jakby tam formował się guz i narastał wrzód. Wiedział, iż ów bolesny trzpień [4]), nieubłagany, cichy wróg, począł się i rośnie z krzyku w ulicach, że tym krzykiem żywi się i od niego rozrasta. I wiedział również, że za jakąś godzinę trzeba będzie rozpocząć na nowo tenże krzyk, trwający cały dzień, wrzask-zarobek, tem donioślejszy, im bardziej trzeba pokonywać głosy współzawodników i rywalów. Patrzał w konieczność swego losu, w szatańską śmieszność przeciwności swego zawodu, przypatrywał się nieustraszoną źrenicą tragicznym głupstwom, figlikom i podrygom szatana. Rozumiał, że musi skazywać się na ból, rosnący w gardzieli, codzień głębiej i ostrzej dotkliwy, dla miłości Cesarego, Isoliny, Inez i Yoli. Taki był los! Lecz — o wszechmogący Boże! — nie wołać już w ulicach Florencji! Zamilknąć! Zamilknąć, jak inni, szczęśliwi ludzie! Gdy myślał o takiem szczęściu, wszystek zamieniał się w westchnienie, w jęk modlitewny i, jako proch, leżał u stopy Boga.

---

[1]) czyt. Czezare; [2]) czyt. Jole; [3]) malarz włoski XVII w.; [4]) zbiorowisko materji we wrzodzie.

Gdyby Cesare był inny!... — marzył Berto. — Gdyby cokolwiek rozumiał! Gdyby miał w sobie choć okruch serca Isoliny! Gdyby przynosił do domu jakikolwiek zarobek i choć trochę dawał na życie! Ale gdzież! Trzeba było drzeć się całemi dniami, żeby jego odziewać i karmić, zachowywać grosz gotowy na wykupywanie go z kryminałów, na łapówki i kaucje, trzeba było ugłaskać go podarunkami, zaliczkami, sprawianiem ubrań i bielizny, żeby raczył choć trochę statkować i nie niszczyć bytu rodziny. Gniew nieposkromiony, istny niszczący ogień w podmuchach mściwości, buchał w duszy ojca i rozszarpywał jego istotę. Ręka drżała, miotając się wściekle do bicia, do katowania na śmierć tego łotra, który nic nie czuł i o niczem nie chciał wiedzieć. Długie mijały chwile, nim uciszyła się wewnętrzna furja i nastał pozorny spokój. Serce pędziło, jak kamień, zepchnięty z wysokiej góry. Lecz oto dawał się słyszeć głos trąbki Cezarego, dający znać, że pierwsze tramwaje nadchodzą. Ze swej kryjówki Berto dostrzegał wistocie, jak lśniące wozy jeden po drugim wytaczają się z ciemnej ulicy Calzaioli[1]) na plac, tu na krótko przystają, a potem szybko nikną w małym zakręcie na Tornambuoni. Chrapliwy w ciszy głos owej trąbki spływał na serce ojca, niewysłowiona pociecha.

Jednakże jest przy pracy — myślał roznosiciel o synu — myślał z niewypowiedzianą pociechą i wśród dziękczynień dla miłosierdzia, które tę ulgę zesłało. Nagła fala cudnego zapachu miłości wlewała się do jego czarnej duszy. To nagłe uczucie dla pierworodnego, dla dziwnej drugiej postaci samego siebie, dla skarbu nad skarby — było skryte i niejasne, zależne nie od woli, nie podlegającej sile perswazji rozumu, ani nawet ślepej namiętności cielesnego gniewu. Była to cienka wewnętrzna nić związku z Bogiem, a raczej nić, rzucona przez Boga, za Jego pośrednictwem. Możnaby powiedzieć, że nie była to miłość, lecz jakowaś sprawiedliwość, erupcja[2]) wyrzutów sumienia, tak współczująca przewinieniom, iż ani rozum, ani honor za przewinienia ich nie uznawał. Było to zniżenie się do błota grzechów, popełnianych przez tamtego, i uznanie ich za właściwości swojej własnej w żyłach krwi. Było to podejmowanie tamtej istoty i wszystkich jej praw w całości, ogromie i potędze. Były to troski i zachwycenia się innemi pasjami[3]) i innemi myślami, niż wszystkie, które były w nim samym, przeżytym człowieku, byłym mężczyźnie.

---

[1]) czyt. Kalcajoli; [2]) wybuch; [3]) namiętnościami.

Stamtąd padało owo spojrzenie z wysoka, z jakiegoś krzesła zrozumienia. Była w tem niedosięgła rozkosz poznania tego, co się zdrowemi myślami poznać nie daje.

— Cóż ja? — mówił do siebie stary Berto. — Alboż ja jestem? Byłem. Mnie już niema. Byłem, a tego, co jest, już nie chciałbym nigdy widzieć we wspomnieniu. Ale po prawdzie, czemże ja byłem? Czem jestem?

Wspomnienie wbrew woli, niepotrzebne i samo dla siebie, wciskające się między myśli, ni to dziecko lekkomyślne między rozumnych dorosłych, poniosło go w lata minione. Ukazała się jak gdyby opowieść, gadka o kimś niegdyś znajomym, o młodym chłopcu, który był. Łańcuchy wzgórz, obnażone z lasów, biegną wdal, zniżają się w rozdół i schodzą aż do błot Vady. Pieni się u stóp stromych skał fiołkowe, gorące, pełne iskier Liworneńskie morze. Śnią w jego dalach, w bezbrzeżnych smugach, połyskujących płaszczyznach i matowych polach, jakoby obłoki siwe, wiecznie w tych samych miejscach znieruchomiałe i na zawsze w tychże okręgach morza utopione — Gorgona, Korsyka, Kapraja, Elba. Dymią się w gorącem słońcu, poprzez szerokość niziny, rozpostarte błota maremmy. [1]) Wyziew ich nie dosięga tej urodzajnej wyżyny, gdzie z suchym szelestem kołysze się dorodny, wielkoziarnisty jęczmień, szarzeją stare oliwy i wygrzewa w upale grubopienna, wieloletnia winnica. Z rykiem idą w stronę domu wielkie gospodarskie krowy, popędzane przez małego pastuszka, przybłędę Berto. Leniwie, oślinionemi żuchwami mamlą strawę, przymykając swe przecudne, ogromne oczy. Kędyś w górze, między zaroślami, skrzypi niewidzialna, ciężka biga [2]) i słychąć głos poganiacza z Rosignano [3]), z tego gniazda na skale, co wiecznie jednako lśni i wiecznie ciągnie ku sobie rozciekawione spojrzenie małego pastucha. Długa gliniasta droga, powydzierana przez wody, biegnie w dolinę, w jałową fałdę między dwiema nagiemi górami, gdzie każdy krzew grubości męskiej ręki wycina chłopska siekiera. Cichy strumień sączy się w tę samą dolinę. Słychać w głębi głowy przytajony syk, niemowny głos tego strumienia, jakoby wołanie sekretne, pozew, ziemią idący. Ona-ci jedna widziała, — tamta dolinka, — o czem sam ze sobą bredził, chodząc za bębnem, pastuszek włóczęga, ona jedna była pilną powiernicą tych wszystkich wielkich głupstw, które mu wtedy przez pustą przepływały głowę, jak obłoki przez niebo. Podaje teraz

---

[1]) błotniste, niezdrowe niziny we Włoszech; [2]) dwukolny wózek [3]) czyt. Rozinjano.

oto z głębi swego ciemnego łona jakowyś tajemny znak, przypomina dawne dziecięce banialuki. Płacz niestrzymany drga w głębi duszy. Skarga długa zanosi się przez ów głos zagasły w duszy. Z chaosu uczuć nierozsądnych wyłania się i przybliża barwa gliniastej, tłustej, jednostajnej ziemi tamtej doliny. Podsuwa się do oczu, do ust, do gardła. Ciężko się kładzie grubemi warstwami na piersiach. Serce ich nie może udźwignąć. Dech ustaje. Z odrazą niewypowiedzianą i z ciekawością pierwiastkową, jak u dziecka, zatapiają się struchlałe źrenice w tę nieprzebraną, nigdy nieprzekopaną ziemię. Głębina jej cuchnąca, która w żadną stronę nie popuszcza, rozwiera się i pochłania, zamyka i nawala z wierzchu. Przestrach cichy, jednostajny, nieodmienny, wieczny, przenika serce. Już to nie ta sama ziemia, którą ongi stopą, lekką, jak obłok, chyżą, jak wiatr, potrącało się w biegu! To przyczajona lichwiarka, nadchodząca zdaleka, żeby się pomścić ze śmiechem straszliwym, za każde lekkomyślne po niej stąpnięcie. Ukazuje się teraz w strasznej nagości, której ślepe oczy nie widziały były, pcha się w usta, w żyły, w kości i wsysa w siebie żywą krew.

Bezmyślne z bólu oczy błąkają się po nagich ścianach wielkiego przedsionka starego pałacu. Precz, zabójcza glino! Tam i sam, wmurowane w nagi, sczerniały mur bieleją tablice z marmuru, zawierające wersety [1]) Dantego. Przy blasku wkraczającego dnia oczy prostaka chwytają do kupy litery...

Och, uciec! Uciec z tego zbiorowiska wiecznych przeciwieństw, gdzie, unikając jednej klęski, popada się w drugą, stokroć gorszą! Raz jeszcze westchnąć w tamtej dolince, posłuchać, co szemrze młodzieńczy strumień, raz jeszcze odnaleźć samego siebie! Być przez jeden jedyny dzień sobą samym! Dolino, dolino... — marzył stary człowiek, ująwszy głowę w dłonie i kołysząc ją w prawo i w lewo. Wiedział, iż tu marzenie nie może się uiścić, że nie można wyjść z zaprzęgu swego, że uczuć swoich nie można rozwiązać wbrew sobie i zdjąć ich ze swego ducha. Sam tylko Bóg mógłby je rozwiązać i uniecestwić zaprząg życia. Ażeby to uczynić samemu, trzebaby być katem względem własnych dzieci, opuścić je w szalonym wirze tego miasta, podnieść rękę z siekierą na coś świętszego, niż życie, na swoje własne, tajne uczucia. Nie miał na tyle siły.

---

1) zdania, cytaty.

Lecz modlitwa jego stała się głęboka i żarliwa, wysoka i strzelista. Podniósł oczy z prochu ziemi i szukał Boga. On jeden mógł rzucić światło w tę jego noc nieprzerwaną. On jeden mógł go uwolnić od pańszczyzny krzyku w ulicach i uleczyć wrzód w gardle. On jeden mógł podać rękę i poprowadzić go do cichej doliny w rodzonych górach. Jeżeli zechce... On jeden, który umie sprowadzić błogosławioną łaskę twardego snu na ciało, drgające w mękach po barłogu w pośród wieczności bezsennej nocy, — On, co rzuca lub odwraca straszliwe tajemnice chorób w ciała umiłowanych dzieci, lub je odmienia w kwitnące zdrowie, On jeden, widzący jasno wewnątrz ociemniałych czynów człowieka, — On, przezierca myśli warjata, uśmierzyciel straszliwości gniewu ojca na syna i ogromu żalu syna względem niesprawiedliwości ojca, — który kierować jest w stanie wściekłością chuci[1]) ludzi zezwierzęconych, — złe na dobre wykręcać w nieświadomych niczego pasjach młodej dziewczyny i w pożądaniach miłosnych młodego chłopca. *Stefan Żeromski.*

59. Pan Geldhab.

PAN GELDHAB, KOMISANT[2]), KRAWIEC, TAPICER, KUPCZYKI, KAMERDYNERY, LOKAJE.

Geldhab w szlafroku, papiery w ręku, zdaje się byc bardzo zatrudnionym. Tapicer przybija firanki. Kupczyki w głębi stoją z różnemi sprzętami.

GELDHAB *do tapicera.*

A, na mój honor, dobrze, kształtnie i gustownie;
Z firanek kontent jestem, kontent niewymownie;
Haftów, frendzli, muślinu suto i bogato,
Tak u mnie być powinno, Geldhaba stać na to.

po krótkiem milczeniu

Przysięgam na mą duszę i majątek stawię,
Że ledwie jest podobnych dwie w całej Warszawie.

Wkrótce tapicer odchodzi.

KOMISANT *z papierami w ręku.*

Panie...

GELDHAB *do krawca.*

Cóż, liberyja dla dworu gotowa?

---

1) chuć — namiętność; 2) prowadzący interesy w zastępstwie czyjemś, pełnomocnik.

KRAWIEC.

Oto jest frak na próbę...

GELDHAB.

A nasza umowa?
Waszeć widzęś zapomniał, jaka była zgoda?

KRAWIEC.

I owszem, wszak zrobiłem, jak najnowsza moda.

GELDHAB.

Moda z jednym galonem? szalony! szalony!
Cóż dwór pański oznacza, jeśli nie galony?

KRAWIEC.

Jednak to gust najlepszy.

GELDHAB *śmiejąc się.*

Takie dobre gusta
Pewnie tacy stanowią, których kieszeń pusta;
Gdzież złotem kto przesadzi? do twarzy mu wszędzie;
Więc galon w mojej barwie niechaj w troje będzie.

KRAWIEC.

Dobrze.

GELDHAB.

By sutą była, jak tylko być może.
Czemuż być niema, powiedz, kiedy na to łożę?

Krawiec odchodzi. Geldhab spogląda na papiery, potem wokoło.

KOMISANT.

Wielmożny...

GELDHAB.

Ale zaraz, jakżeś uprzykrzony.

Do kamerdynera.

Dowiedz się, czy w gazecie będę umieszczony?
Chciałbym tam mieć wyraźnie artykuł ten cały:

Dając kartkę, czyta.

„Jaśnie wielmożny Geldhab, dziedzic Samochwały,
Przybyszowic, Grypsowa. Łówki et cetera“ [1]),
Et cetera, pamiętać! który równie wspiera

Z przyciskiem

„Licznych swoich poddanych, jak wszystkich dokoła,
„Których tylko w niedoli wynajdywać zdoła,
„Raczył dać na spalone Bamberga [2]) przedmieście,
„Z zwykłą hojnością, złotych polskich tysiąc dwieście.“

---

1) I tam dalej. — 2) miasta niemieckie.

KOMISANT.

Gdy dobroć twoja, panie, tak dla obcych skora.
Siostra, co w niedostatku, od pół roku chora,
Bez wątpienia próśb swoich skutkiem się ucieszy,
Gdy pan procent przyśpieszyć...

GELDHAB.

Nic pan nie przyśpieszy.

KOMISANT.

Ten list przekona, w jakiem strapieniu zostaje.

GELDHAB *z niecierpliwością.*

Cóż to, nie wiesz, że córkę za księcia wydaję?
Gdy mnie fraszkami nudzić ułożyłeś sobie,
Myśleć o nich nie będę w tej tak wielkiej dobie,
Mając innych, ważniejszych zatrudnień tysiące;
I termin też wypłaty aż za dwa miesiące.
Napisz waćpan, że bardzo żałuję niebogi,
Ale pomóc nie zdołam... bywaj zdrów... czas drogi.

Odwraca się.

KOMISANT.

Wszak to siostra!

GELDHAB.

Wiem o tem.

KOMISANT.

Chora.

GELDHAB.

To źle.

KOMISANT.

W nędzy.

GELDHAB.

Ależ, mój panie, nudzisz; że nie dam pieniędzy,
Wszak ci już powiedziałem i powtarzam jeszcze.
Kłaniam... *Obróciwszy się, do siebie...*
Gdzież tę kanapę, te krzesła umieszczę?

Pokazuje kupczykom, gdzie mają w drugim pokoju postawić. Kupczyki stawiają i odchodzą, tymczasem komisant mówi

KOMISANT.

Za powinny uczynek nie byłby w gazecie,
I na cóż być uczciwym, jeżeli w sekrecie?
Nie dojdzie, niech kto jak chce złoci się i puszy,
Prawdziwego szlachectwa bez szlachetnej duszy.

Komisant odchodzi.

GELDHAB *dając klucze kamerdynerowi.*
Idź, wynieś na stół wszystkie srebra i ozdoby.

KAMERDYNER.
Wszystkie? wszakże mam nakryć na cztery osoby?

GELDHAB.
Cóż z tego?

KAMERDYNER.
Że nie zmieszczę i w największym tłoku.

GELDHAB.
Co na stole nie zmieścisz, to stanie na boku.
Czegóż się patrzysz?... Jakże, czym na to kupował,
Aby nikt ich nie widział? będę srebra chował!
Szalony! hm! nie stawiać! chować! to mnie bawi.
Kogo nie stać na srebra, niechże ten postawi!
Lux [1]), lux u mnie być musi, zbytek, przepych wszelki...
Do odchodzącego kamerdynera.
A resztki wina scedzić do jednej butelki.

LOKAJ *wchodząc.*
Książę Rodosław.

GELDHAB.
Książę? niech wnijdzie łaskawie.
Za chwilkę się ubiorę.
Na stoliku, stojącym na przodzie, rozkłada książkę i wraca kilka razy, przypatrując się i poprawiając; kładzie złotą tabakierę i chustkę.
Tak... i to zostawię. *Odchodzi.*

Aleksander Fredro.

60. Jadwiga.

W roku 1384 pojawiła się Jadwiga na tronie polskim, a z nią jakiś powiew nowy zachodniej cywilizacji, szlachetnych pragnień i dążeń wchodzi do Polski, budzi się nowe życie, opromienione dzielnością, cnotą i poezją tej wyjątkowej postaci...

Nie było jej równej naówczas istoty z królewskiego rodu na całym świecie — powiada średniowieczna kalendarzowa zapiska krakowska...

Niezwykle piękna i wykształcona, łączyła z temi przymiotami piękną duszę, pełną szlachetności. Po mieczu [2]) otrzymała

---

[1]) zbytek; [2]) po ojcu, królu węgierskim i polskim, Ludwiku.

w spadku bogatą kulturę[1]) Andegaweńczyków[2]). Najrozgłośniejsze imiona świata umysłowego wplotły się w życie jej przodków, z wyżyn Parnasu[3]) rzucono pęki kwiatów na ich postacie, tak że Jadwiga ukazuje nam się wśród promieni zarania duchów, które nazwano Odrodzeniem. Jej pradziad, Karol, przemawiał do Dantego w ósmej księdze Raju[4]), jej dziad, Karol Robert, zwanym bywa w listach papieskich najmędrszym z monarchów; nad zamordowaniem jej stryja, Andrzeja, żalił się Petrarka[5]), wreszcie trybun, Cola Rienzi[6]), szukał schronienia u ojca jej, Ludwika.

Po kądzieli z babki Elżbiety miała Jadwiga przedsiębiorczość, jaką na tronie polskim odznaczał się ostatni z Piastów, brat Elżbiety, Kazimierz[7]).

To zespolenie zachodniego i rodzinnego żywiołu wróżyło świetnie o przyszłości królewny.

Serce, głowa i ręka, pełna hojności, miały zlać obfite błogosławieństwa na kraj, którego tron przypadł jej w udziale.

Są w jej dobroci kobiece strony: miękkość i pobłażliwość. Do łaski rajców krakowskich często się ona zwraca, ujmując się za skazańcem; papież Bonifacy IX pisał też raz do niej, że czasem wbrew przekonaniu popiera i poleca ludzi, bo nie umie łaski swej odmówić.

Ale dobroci tej starczyło też na czyny mądre, które imię jej zapisały na wieczne czasy w historji. U kolebki uniwersytetu krakowskiego stoi ta niewiasta, pełna dzielności i powagi, przekazując mu w spadku pamięć swą świętą, woń swego uroku i serca...

Życie codzienne Jadwigi upływało szaro i bezbarwnie; proste jest ono, pełne umartwień i postów... Silniejsze uczucie łączyć nie mogło jej z mężem, bo różnica poziomu umysłowego, skłonności, wyobrażeń wytwarzała tu odstęp zbyt przepaścisty. Jagiełło nadaje swemu dworowi wschodni nastrój i charakter; do łowów ma około siebie litewskich łowczych i pomocników, dla muzyki — ruskich lutnistów i cymbalistów, do malowania kościołów i swojej sypialni — ruskich używa malarzy. W swoich jakach, jopach, kabatach[8]) prostackich uwija się król po dworze... Uczty są nie tyle wystawne, co obfite...

---

[1]) rozwój umysłowy; [2]) Andegawja (Anjou) — hrabstwo we Francji, stąd wywodził się ród króla Ludwika; [3]) góra w Grecji, siedlisko Muz, stąd Parnas — poezja; [4]) w „Boskiej komedji"; [5]) poeta włoski XVI w.; [6]) czyt. Kola Rienci, słynny przywódca ludu rzymskiego; [7]) t. j. Kazimierz Wielki; [8]) rodzaje kaftanów.

Królowa przeważnie żyje w rozłące i oddzielnie od męża. W jej otoczeniu, prócz licznych panien, znajdujemy Węgrów... Chętnie zaprasza ona do swego stołu gości z kraju i zagranicy, których raczy śpiewem scholarów [1]), zawezwanych do dworu, a czaruje urokiem postaci swojej i ducha...

Nad życiem jej unoszą się wielkie idee [2]), opromieniają szarość i nieszczęście niedobranego związku. Szerokie widnokręgi i dalekonośne dążenia równoważyły jej to, że w życiu codziennem doznawała często duszności i niejednego zacieśnienia. Robiąc ofiarę z osobistych swych pragnień i uczuć, podniosła ona tę ofiarę do wysokości okupu na wielkie cele ojczyzny i kościoła: poślubiła Jagiełłę wbrew woli, ale ukochała całem sercem to wszystko, co związek ten symbolicznie [3]) niejako przedstawiał, a praktycznie ułatwiał wciągnięcie Wschodu do rodziny chrześcijaństwa i cywilizacji zachodniej.

Kazimierz Morawski.

61. Jadwiga.

Jadwiga weszła przez drzwi od zakrystji. Ujrzawszy ją, rycerze bliżsi stallów [4]), jakkolwiek msza się jeszcze nie zaczęła, poklękali natychmiast, mimowoli oddając jej cześć, jak świętej. Zbyszko [5]) uczynił to samo, albowiem w całem tem zgromadzeniu nikt nie wątpił, że ma naprawdę przed sobą świętą, której obrazy będą zdobiły zczasem ołtarze kościelne. Szczególniej od kilku lat surowe, pokutnicze życie Jadwigi sprawiło, że obok czci winnej królowej, oddawano jej cześć niemal religijną. Z ust do ust między panami i ludem chodziły głosy o cudach, spełnianych przez królowę. Mówiono, iż dotknięcie jej dłoni leczyło chorych: ludzie, pozbawieni władzy w rękach i nogach, odzyskiwali ją po włożeniu starych szat królowej. Wiarogodni świadkowie zapewniali, iż słyszeli na własne uszy, jak raz Chrystus przemówił do niej z ołtarza. Czcili ją na klęczkach monarchowie zagraniczni, czcił i obawiał się ją obrazić nawet hardy zakon krzyżacki, Papież Bonifacy IX nazywał ją świątobliwą i wybraną córką Kościoła. Świat patrzał na jej postępki i pamiętał, że to dziecię domu Andegaweńskiego i polskich Piastów, że ta córka potężnego

---

[1]) uczniów szkół zakonnych; [2]) myśli, dążenia; [3]) alegorycznie; [4]) stalle — fotele przy ołtarzu głównym dla kanoników i innych osób dostojnych; [5]) młody rycerz, bohater powieści „Krzyżacy“.

Ludwika, wychowanka najświetniejszego dworu, a wreszcie najpiękniejsza z dziewic na ziemi, zrzekła się szczęścia, zrzekła się pierwszej dziewiczej miłości i poślubiła, jako królowa, „dzikiego“ księcia Litwy, aby wraz z nim skłonić do stóp Krzyża ostatni pogański naród w Europie. Czego nie dokazały siły wszystkich Niemców, potęga zakonu, wyprawy krzyżowe, morze przelanej krwi — tego dokazało jedno jej słowo. Nigdy chwała apostolstwa nie opromieniła młodszego i cudniejszego czoła — nigdy apostolstwo nie połączyło się z takiem poświęceniem — nigdy niewieścia piękność nie zaświeciła taką anielską dobrocią i takim cichym smutkiem.

Opiewali ją też minstrele [1]) na wszystkich dworach Europy; zjeżdżali się do Krakowa rycerze z najodleglejszych ziem, by widzieć tę „polską królową“, kochał ją, jak źrenicę oka, jej własny naród, któremu przez związek z Jagiełłą przymnożyła potęgi i sławy. Jedna tylko wielka troska zaciążyła nad nią i nad narodem — oto tej wybrance swojej Bóg odmawiał przez długie lata potomstwa.

Lecz gdy nareszcie i ta niedola minęła, rodosna wieść o uproszonem błogosławieństwie rozbiegła się, jak błyskawica, od Bałtyku po morze Czarne, po Karpaty i napełniła weselem wszystkie ludy olbrzymiego państwa. Z wyjątkiem stolicy krzyżackiej, przyjęto ją radośnie nawet po dworach zagranicznych. W Rzymie śpiewano „Te Deum“ [2]). W ziemiach polskich utrwaliło się ostatecznie mniemanie, że o co „święta pani“ Boga poprosi, to stanie się nieodmiennie.

Przychodzili więc do niej ludzie błagać, by uprosiła im zdrowie, przychodzili wysłańcy od ziem i powiatów, by w miarę potrzeby modliła się to o deszcz, to o pomyślne miodobranie, to o obfitość ryby w jeziorach, to o zwierza w lasach. Groźni rycerze z nadgranicznych zamków i gródków, którzy, przyjętym od Niemców zwyczajem, trudnili się zbójnictwem lub wojną między sobą, na jedno jej napomnienie wkładali miecze do pochew, puszczali jeńców bez okupu, zwracali zagarnięte stada i podawali sobie dłonie do zgody. Wszelka niedola, wszelkie ubóstwo cisnęło się do bram krakowskiego zamku. Czysty duch jej przenikał w serca ludzkie, łagodził los niewolników, dumę panów, surowość sędziów — i unosił się, jak świt szczęścia, jak anioł sprawiedliwości i spokoju, nad całą krainą...

---

1) śpiewacy; 2) Ciebie, Boże, chwalimy, początek łacińskiego hymnu kościelnego.

Odzież nosiła aż nazbyt prostą. Niegdyś, wychowana na świetnym dworze i piękniejsza od wszystkich współczesnych księżniczek, kochała się w kosztownych tkaninach, w łańcuchach, perłach, w złotych manelach [1]), i pierścieniach, — obecnie, a nawet od lat już kilku, nie tylko nosiła szaty mniszki, ale przysłaniała nawet i twarz, z obawy, by myśl o własnej piękności nie wzbudzała w niej pychy światowej.

Złoto i klejnoty szły tymczasem na akademję lub na wysyłanie nowoochrzczonej młodzieży litewskiej do zagranicznych uniwersytetów.

Henryk Sienkiewicz.

62. Dymisja ks. Józefa w 1792 r.

A tymczasem w Warszawie właśnie padły losy. Król dniem pierwej odebrał surową odprawę i ultimatum [2]) cesarzowej [3]), niezwłocznie wedle jej życzenia złożył Bułhakowowi [4]) projekt swego akcesu [5]) do Targowicy, nazajutrz go podpisał. Przez dwa dni wstrzymywał się jeszcze z udzieleniem swojej decyzji synowcowi i zakomunikował mu ją dopiero po ostatecznem jej wykonaniu. Ale wcześnie wieść o niej doszła ubocznie do ks. Józefa w obozie pod Kurowem, dokąd ściągnął z Lublina. Z sąsiednich o dwie mile Puław księżna Izabella Czartoryska posłała mu tę wieść do obozu. Był rażony, jak gromem.

„Na wszystko byłem przygotowany — odpisał księżnie — lecz nie na podobną nikczemność... Jestem zgnębiony, oszołomiony. Raczej należało bić się do zgonu, niż oddychać hańbą“.

Pobiegł osobiście do Puław z generałami Kościuszką, Mokronowskim, Wielhorskim. Tutaj rozważana była myśl, popierana, jak się zdaje, przez księżnę Izabellę — pomnącą wszak jeszcze barskie porwanie króla przed laty dwudziestu — a przyniesiona pewnie z Warszawy od zaciętszych głów stronnictwa majowego [6]), aby Stanisława Augusta wziąć do armji i zmusić do wytrwania. Ks. Józef, jak się zdaje, w pierwszej chwili przechylał się ku tej myśli, choć nie decydował się wykonać jej z całą bezwzględnością przeciw swemu monarsze i dobroczyńcy.

---

[1]) branzoletach; [2]) żądanie dyplomatyczne, którego odmowa pociąga za sobą zerwanie stosunków i wypowiedzenie wojny; [3]) Katarzyny II.; [4]) ambasador rosyjski w Warszawie; [5]) przystąpienia; [6]) t. j. stronnictwa patrjotycznego, którego dziełem była Konstytucja 3 maja.

Od króla ciągle jeszcze nic nie miał. Odezwał się sam pierwszy do niego na podstawie „wieści“, po obozie krążących.

„Same takowe wieści wzbudziły już w wojsku niezmierne szemranie i nieukontentowanie. Konsekwencjom [1]), stąd wynikającym, żadnym sposobem zapobiec nie mógłbym, ponieważ nie taję się W. K. M., że jestem ten, który podobnemże oddycha uczuciem. Przybliżyliśmy się w tej ufności do W. K. M., że wojsko to, które żadnej skazy, żadnej plamy na siebie nie ściągnęło, będzie tak szczęśliwe, że oglądać będzie W. K. M. na czele swojem, że go własnemi piersiami okrywać będzie. O to W. K. M. prosimy wszyscy, o to błagamy, o to nakoniec będziemy się dobijać“.

W ten sposób poszedł środkiem: uprzedzał króla, a nie zabierał go wprost i odrazu choćby przemocą, jak pragnęli gorętsi; ale żądał kategorycznie [2]) przyjazdu do obozu, a ostatniem mocnem słowem — groził.

Wyprawił to pismo do Warszawy przez Mokronowskiego i Wielhorskiego; posłał ich w stroju cywilnym, nie w mundurze, bo nie jako żołnierzy z czynem niesubordynacji do głowy siły zbrojnej, lecz jako obywateli z pozwem do monarchy-elekta.

Po południu, już po ich wyjeździe, odebrał nareszcie ekspedycję [3]) od króla. Było w niej potwierdzenie pogłosek i obaw najgorszych, wiadomość urzędowa o przystąpieniu króla do Targowicy i rozkaz: zaprzestać działań wojennych, cofnąć się na lewy brzeg Wisły, odprowadzić wojsko do Kozienic, skąd wedle nowej obezwładniającej dyzlokacji [4]) będzie rozproszone aż do Wielkopolski z kwaterą książęcą, aż w Poznaniu, samemu po spełnieniu pierwszych tych zarządzeń zdać komendę w ręce Kościuszki i udać się do Warszawy.

Stanisław-August dołączał obszerny wywód usprawiedliwiający, przeznaczony dla oficerów; zaś osobno do swego „drogiego Pepi“ pisał krótko i czule, jakgdyby chodziło o drobnostkę; upewniał, że rzeczy nie stoją tak źle, jak się pierwotnie wydawało: „przybądź, aby odebrać moje uściśnienia, na które sobie zasłużyłeś,... co do Twojej osoby, urządzimy się w taki sposób, żebyś nie miał wcale zmartwienia“.

Cios, aczkolwiek już przewidywany, niemniej przecie był piorunujący w tej dotykalnej swojej jawie.

---

[1]) skutkom; [2]) stanowczo; [3]) list; [4]) rozłożenia, rozmieszczenia.

„Najjaśniejszy Panie — odpisał tegoż wieczora książę — gdyby były wyrazy dość mocne na okazanie Ci rozpaczy, którą dusza moja napełnioną została, wybrałbym je wszystkie, przekonawszy się z własnego Twego listu, że łączysz się (z Targowicą)... Wielki Boże, czemuż doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebyś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon“!

Pierwsza myśl jego była wtedy może śmierć — albo może słaba nadzieja sprowokowania jeszcze walki orężnej i utopienia w niej postanowień warszawskich. Nie objawiając jeszcze wojsku o treści odebranej ekspedycji, po nie przespanej pewnie nocy, nazajutrz z brzaskiem, o piątej rano, zaproponował kilku przyjaciołom dla rozrywki mały rekonesans [1]), gdzie omal nie zginął; dopiero potem obwieścił armji fatalną wiadomość warszawską.

Zjechał się tegoż dnia na forpocztach po dwakroć z generałem Kachowskim [2]). Z hamowania pasją [3]) pisał królowi: „Muszę mu ustąpić do Wisły i do przeznaczonego mi punktu, t. j. do Kozienic, lecz gdy tam przyjdę, już się nikomu nie umknę“.

Tymczasem w tej samej chwili Mokronowski i Wielhorski przybywali na Zamek z tamtem pismem księcia, wołającem króla do obozu, ostrzegawczem, grożącem.

Król struchlał. Nie poznawał swego łagodnego, posłusznego Pepi.

„Jeśli, broń Boże, Ty wraz z Twymi wysłańcami będziesz się przy tem upierał, co mi piszesz, jestem zgubiony, *je suis un homme perdu* [4]) — odpisał drżącą ręką — a co więcej, państwo jest zgubione“.

Zaklinał go na „przywiązanie i wdzięczność, jaką mi jesteś winien, jeśli nie chcesz być przyczyną mojej śmierci, bo tego nie przeżyję... Na Boga... Pepi, Pepi, pamiętaj, że tu chodzi o mój honor, o moje życie, co więcej, o całe państwo“.

Niebezpieczeństwo z tej strony dla Stanisława-Augusta było rzeczywiste, może większe, niż on sam przypuszczał. Myśl porwania jeszcze przez kilka dni następnych trzymała się umysłu ks. Józefa i nawet chwilowo przybierała kształty zgoła namacalne. Układano już przy nim w Puławach, że Sanguszko Eustachy miałby dla pozoru udać się z parkiem [5]) artyleryjskim z Kozienic do Warszawy, wystąpić paradą pod Ujazdowem,

---

1) wycieczkę wywiadowczą; 2) głównodowodzący armji rosyjskiej; 3) złością 4) człowiek zgubiony (franc.); 5) oddziałem.

prosić króla na przegląd, otoczyć go niespodziewanie i zabrać przemocą do obozu, co zapewne ze względu na konwój królewski[1]) nie obeszłoby się bez krwi rozlewu.

Zbierał się książę do zamachu, znów wahał się, ważył. Wreszcie uległ zaklęciom królewskim i własnej roztropności wskazówkom. Odstąpił ostatecznie od pierwotnej myśli porwania króla. I odtąd to właściwie datuje się głęboki, zadawniony i zatruty zatarg pomiędzy nim a tej myśli inicjatorami, Kołłątajem, Zajączkiem, w pewnej mierze i Potockim Ignacym, zatarg, który jeszcze znacznie później miał wyrządzić niemałą krzywdę sprawie publicznej.

Dziś, spokojnie rozważając sytuację, możemy orzec, iż ks. Józef, zaniechawszy w ostatniej chwili doradzanego mu zamachu, którym już niczego naprawić nie było podobna, uczynił roztropnie i dobrze, iż w tem pierwszem już swojem tragicznem przesileniu publicznem, jeśli poszedł za osobistym pociągiem uczucia, poszedł także za trafnym instynktem obowiązku obywatelskiego i zdrowego rozumu stanu. Postąpił, wedle słów własnych, „w sposób, jaki przystoi temu, który wprzód się uczył być posłusznym, nim zaczął rozkazywać“. Ale w posłuszeństwie zatrzymał się ściśle u granicy, nakazywanej przez obowiązek i honor. Podał się natychmiast do dymisji wraz z całą generalicją.

Stanisław-August, ledwo co pocieszony ustępstwem, które ratowało jego osobę, strasznie był dotknięty tą decyzją, która obnażała jego fatalne odosobnienie. Wzywał do subordynacji tych złych oficerów, co mu zbałamucili synowca: „Gdzie ja jestem, gdzie ze mną będą, tam honor ich zawsze ocalonym zostanie“. Samego egzaltowanego[2]) synowca próbował na wszelki sposób odwieść od niepraktycznej, niepotrzebnej dymisji, uśpić jego sumienie łzawą prośbą, gorzkim wyrzutem, a nawet osobliwszą pokusą. Ale tym razem wszystko nie zdało się na nic. 30 lipca w obozie pod Sieciechowem podpisał ks. Józef podanie o dymisję.

„Żołnierz nie ma tylko jedno słowo, a poczciwy człowiek jedną przysięgę; i jedno i drugie nas wiązało do tej sprawy, której broniliśmy krwią i życiem naszem. Z tego powodu upraszam W. K. M. o łaskawe przychylenie się do not, tu przyłączonych, jakoteż niemniej o akordowanie[3]) dymisji tym wszystkim oficerom, którzy równego z nami są przekonania“.

---

[1]) gdzie byli i Moskale; [2]) skłonnego do uniesień; [3]) udzielenie.

Z tem podaniem posłał do Warszawy Kościuszkę. Król odebrał je „jakby nowe pchnięcie sztyletem“. Raz jeszcze spróbował zmiękczyć upartego synowca: w tym celu natarł jak najmocniej na równie twardego Kościuszkę, powołał się na rzekomą jego zgodę zdania się na taką lub inną decyzję wodza; złożył w jego ręce nowy „wywód“ przekonywających racyj“, posłany zaraz sztafetą[1]) do obozu do Kozienic. Nadaremnie. Książę pozostał nieugięty.

„Wszystkie ofiary byłyby mi łatwe, ta jest mi niepodobną. Powinność, przekonanie, przysięga, zaufanie publiczne, honor wojskowy, wszystko mnie wiąże, wszystko zmusza być stałym w powziętem postanowieniu... Skoro uporządkowanem będzie, co należy, skoro mieć będziemy podpis W. K. M. (na dymisji), pośpieszę ucałować dobroczynne ręce W. K. M., którego kocham więcej, niż życie własne“.

A tymczasem nie ruszał się ze swojej kwatery w Kozienicach. Posłał do Warszawy Kamienieckiego ze stanowczą, nieodwołalną odmową. „Boże, mnie uchowaj — wzdrygał się — ażebym kiedykolwiek miał nadużyć zaufania godnych ludzi, których los w mojem ręku jest złożony“.

Nie było z nim rady, trzeba było nareszcie dać mu tę dymisję

Szymon Askenazy.

63. List księcia Józefa 1792 r.

Nocą z obozu, Najjaśniejszy Panie,
Piszę do Ciebie ten żołnierski list.
Jeszcze mam w uszach trąb Dubienki[2]) granie
I z pod Zieleniec[3]) szczęk szabel, kul świst;
Na wieść z Warszawy, z oficjerów korem[4]),
Jam się z mym polskim rozsądzał honorem —
I z Twych się, królu, wypisuję list!...[5])

Sercu rycerza ciężka chwila taka,
Kiedy z karnością musi toczyć bój,
Alem ja pierwej miano miał Polaka,
Zanim, o Królu, wdziałem mundur twój!
Byłeś mi ojcem, Najjaśniejszy Panie,
Ale mnie Matki dobiega wołanie:
Tam jest me serce, posterunek mój!...

---

[1]) Przez umyślnego posłańca. [2]) [3]) t. j. miejsca bitw w wojnie 1792 r. — [4]) korpusem, zespołem. — [5]) t. j. z listy członków armji.

Twarde te słowa niech mi Bóg przebaczy,
Bo wiem, jak krwawo ranią łono twe,
Lecz, mój monarcho, lepiej zginąć raczej.
Niż wlec w kajdanach pohańbione dnie!
Gdybyś tu, Królu, z podniesioną głową,
Pod swą chorągwią stanął purpurową —
Duch-by zwyciężył, co, jak wulkan, wre!...

Jeszcze nade mną szumią polskie znaki:
Anioł[1]) z Pogonią, z Orłem samotrzeć!
Jeszcze mi moje hukają kozaki:
„Bat'ku Josype! na armaty wiedź!"
Lecz już z Ilińskim, z Wielhorskim, z Kościuszką[2])
Nie skoczę wichrem z moją białonóżką,
Wołając do niej: „Leć na wroga, leć!..."

Nie mogąc umrzeć, jako bohatery,
Dla Ciebie, Królu, i Ojczyzny swej,
Z listem Ci moje odsyłam ordery.
Te, które wszystkie miałem z łaski twej;
Z jednym się tylko nie rozstanę długo:
Z Krzyżem Virtuti[3]), zdobytym zasługą —
Ten mi do trumny kiedyś włożyć chciej!...

Porozpraszani, jak przez burzę ptactwo,
Nim' na mogiłach braci wzejdzie wrzos,
Z towarzyszami pójdziem na tułactwo,
Ojczyzny miłej opłakiwać los;
Zwykłe do konia i oręża dłonie
Cóż będą czynić w cudzej, obcej stronie,
Gdy z trosk przedwcześnie pobieleje włos?...

Za nich to, królu! za moich kamratów![4])
Do królewskiego czucia wstawiam się:
Oni szli mężnie na ogień granatów,
A iluż legło w nieprzespanym śnie!
Wdowom, sierotom i tym, którzy w ranach
Na ziemi polskiej zostaną kurhanach[5]),
Daj chleb: niech obcy nie sromoci je!

A teraz, królu, myślę, jak to lepiej,
Jak mam zakończyć krwawy życia szmat:
Czyli się tobie przypomnieć: „Twój Pepi",
Pepi z tych dawnych, Łazienkowskich lat?
Czyż mam krwią serca nakreślone głoski
Podpisać tylko: Józef Poniatowski —
Króla, czy stryja zostawić tu ślad?...

---

[1]) Archanioł Michał, herb Rusi; [2]) generałowie polscy w 1792 r.; [3]) Virtuti militari (łac.), t. j. za męstwo żołnierskie; [4]) towarzyszów; [5]) mogiłach, t. j. w niewoli.

W namiocie świta — i słyszę wezwanie,
Że już mi pora za Ojczyzny próg!
Żegnam Cię tedy, Najjaśniejszy Panie,
Jako wędrowiec — u rozstajnych dróg.
Żegnam Cię — królu! ja o jedno proszę:
Niechaj do śmierci, jako sztandar, noszę
Ten honor Polski, co mi zwierzył Bóg!....

Or-Ot (Artur Oppman).

64. Grażyna.

Północ. Ciemno; księżyc tylko opromienia ziemię. Ruch jakiś w ponurem zamczysku, które stanowi dla nas przedmiot sennych rozmyślań, jak średniowieczna legenda.

Było to przed wieki, śród pogańskiej Litwy. „Na lewem skrzydle zamkowej budowy“ — ukazuje się oblana nie promieniami księżyca, lecz cieniem, przez wieżyce rzuconym, „córa możnego na Lidzie dziedzica, z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica“. Rysów jej dokładnie odróżnić niepodobna; wyniosła tylko postać silnie się odznacza. Musimy się całkiem powierzyć jasnowidzeniu poety.

Schodziła ona „pod lat niewieścich południe“, łącząc na swej twarzy wdzięki dziewicy i matrony: zadziwia powagą, a nęci świeżością. „Kwiat młodego nie stracił rumieńca. A razem owoc wnet pełni dorośnie“...

Wzrost jej dorównywa wzrostowi małżonka, Litawora; przymiot niezmiernie ważny w czasach przewagi siły brutalnej: nadawał on znaczenie i poważanie tym, którzy go posiadali; prawie był nieodłączny od pojęcia władzy książęcej, czy królewskiej.

Książęca para, kiedy ją okoli
Służebne grono, jak w poziomym lesie
Sąsiednia para dorodnych topoli,
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.

Zgodnie z temi warunkami fizycznemi przedstawia się jej usposobienie moralne. Igłą, wrzecionem, „niewieściemi“ wogóle „zabawami“ gardziła, a silną dłonią chwytała za oręż i harcowała na koniu:

Często — myśliwa — na żmudzkim rumaku
W szorstkim ze skóry niedźwiedziej kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku.

Ciało silne, zdrowe znosiło niewygody i nie lękało się dotknięcia twardej zbroi ówczesnej; a duch niepodległy i wielki zwalczał wszystkie trudności. Dla niej nie było nieprzystępnego przedmiotu: wraz z mężem dzieliła naprawdę rządy nad ludem. Nic się bez jej rady odbyć nie mogło; owszem, słowo jej było przeważnie zarówno w sprawach pokoju, jak i wojny. Nie szukała atoli stąd chluby żadnej; nie przechwalała się, wzorem innych niewiast, przewagą, jaką nad umysłem męża posiadała, przekonana, że ubliżałoby to książęcej jego godności.

Rozsądna, trzeźwa w swoich poglądach, zna świat doskonale; rozumie, że niekiedy lot „młodych ludzi“ podnosi ich chęci ponad „słuszność lub możność“, i że wtedy potrzeba czekać, aż „czas i cicha uwaga“ rozjaśni myśli, przystudzi zapały... „Pierzchliwe słowa niepamięć zagrzebie“ — powiada do starego rycerza, niepokój jego hamując. Umie panować nad sobą; spokoju w głosie i twarzy nie traci nigdy, możnaby nawet powiedzieć, że jest zbyt zimna, zbyt marmurowa.

Nie byłoby to jednak zgodne z prawdą.

Pomimo owych przymiotów męskości, o których mówiłem, jest w niej usposobienie czysto kobiece, najlepiej wykazujące się w chwili działania. Kiedy przyszło do zatargów pomiędzy synami jednej ziemi, spokrewnionymi ze sobą; gdy mąż wezwał na pomoc nienawistnych krzyżaków: ona, zgodnie ze swym charakterem, energicznie przeciw tak smutnemu objawowi powstaje, ale w motywach[1]) jej postępowania gra rolę poczęści próżność:

Nie chcę, ażeby po Litwie gadano,
Że brat na bratnie następował zdrowie,
Wziął gardło lub dał za Grażyny wiano!

powiada na wieść o mających nastąpić układach z Zakonem, który chrzcił i łupił Litwę... Nie chce, by jej wiano, by ona sama stała się przyczyną krwi rozlewu, ale dlaczego? — ażeby o tem nie mówiono w kraju... Myśl szlachetna, podszyta skrawkiem obrażonej próżności... Rzucając to spostrzeżenie, nie chcemy ubliżyć Grażynie, ściślej ją tylko charakteryzujemy: Grażyna nie jest niebianką, ale — kobietą.

Toż samo i w dalszem postępowaniu. Rachuje ona wiele na swoje wdzięki, na prośbę, na uśmiech, ale rachuje także na zwłokę: jedna chwila nic u niej nie rozstrzyga.

---

[1]) powodach, pobudkach.

Gdy przyjdzie niebezpieczeństwo stanowcze, nie znajdzie jej przygotowaną. Wydała np. rozkaz, ażeby oddalono posłów krzyżackich, pomimo że mąż na to nie zezwolił: a gdy rozjątrzeni Niemcy byli już blisko miasta, które chcieli zdobyć szturmem, pyta się giermka: „Kędyż są posłowie“? Na przypomnienie zaś danego rozkazu przyznaje mu słuszność i robi uwagę: „Jakże to wszystko z głowy mi wypadło“...

Są to rysy natury kobiecej, wybornie pochwycone.

W normalnych[1]) warunkach życia była ona „panią swojej postaci“; w dziwnie splątanych okolicznościach, grożących burzą straszną, „pomieszanie, widne w jej osobie, do ust wyrazy nieporządne kładło“. Wprawdzie trwało to chwilę tylko, ale zawsze istniało.

Poeta, nie zważający na rzeczywiste fakty życiowe, byłby pominął te chwilowe nawet słabostki, ażeby bohaterkę swoją utrzymać ciągle wśród bengalskiego ognia wielkości; Mickiewicz-realista[2]) — postąpić tak nie mógł: trzymał się natury.

Czas naglił. Trzeba się było decydować. Grażyna przebiera się w zbroję męża i, choć „nierównym stąpa krokiem“, choć, „drżąc, z rąk giermka bierze łuk i kołczany“, choć „miecz nawet“ wiesza „ponad prawym bokiem“, staje na czele szyków i idzie na wroga.

Walczy mężnie, ale bezskutecznie: „bezwładna szabla po pancerzach dzwoni, albo się zwija, odbita żelazem“; nie umie wydawać rozkazów, „wojsko bez sprawy ladajako puszcza“. Kula ze strzelby komtura trafia ją w piersi. Mąż za późno przybiega; pomścił tylko jej śmierć na komturze.

„Przebacz, mężu! pierwsza i ostatnia zdrada“! — takiemi słowy żegna świat i ukochanych.

„Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha“! — oto pochwała, jaką uczcił mąż płonącą na stosie, starożytnym Litwinów obyczajem.

Słowa te atoli za zbyt słabe uważał, nie wypowiadały one wszystkiego: stracił w niej życie swoje, na nic mu się już ono nie zdało.

...bieży na stos, upada na zwłokach,
Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

My bezstronniejszymi być musimy. Poeta ukazał nam Grażynę na chwilę tylko, nie wyśpiewał całej jej duszy; jeden jej czyn opromienił gwiazdami natchnienia...

---

1) zwykłych, codziennych; 2) poeta, mający poczucie rzeczywistości.

Podziwiając siłę woli i to niezważanie na przeszkody, piętrzące się, jak alpejskie lodowiska, ceniąc męskość postanowienia, widzimy w niej przecież zbyt wielkie w sobie zaufanie, zbyt może kapryśny targ z losem ludzi, od niej zależnych.

Nie lekceważenie życia, nie mogiła rozpaczliwych usiłowań jest ideałem naszych dążności, lecz rozumne, chociaż serdeczne, rozrządzenie temi środkami, jakich nam przyroda i społeczeństwo do ciągłego rozwoju dostarczają... *Piotr Chmielowski.*

65. Powrót do wsi rodzinnej.

Wtenczas właśnie, na wzgórzu piaszczystem pod lasem, z pod dworskich stogów łubinowych, stojących wpodle szerokiej i wyboistej drogi, pokazała się stara Agata, powinowata czy krewniaczka Kłębów. Powracała ona z żebrów, na które to chleb Jezusowy była poszła jeszcze z kopania[1]), a terazci z nawrotem do Lipiec ciągnęła, jako ci ptakowie, zawżdy wracający o wiośnie do gniazd swoich

Stare to było, schuchrane, słabe i ledwie dychające, iż się widziała, jako ta wierzba przydrożna, pokrzywiona, spróchniała, co to się już ledwie tli i domiera w piachach; w łachmanach juści była, z kosturem dziadowskim w ręku, z tobołkami na plecach, obwieszona różańcami.

Wylazła z pod brogów o samym wschodzie i, śpiesznie drepcąc, podnosiła do słońca twarz szarą i wyschłą, jako te płone ugory zeszłoroczne; jeno jej siwe, zaczerwienione oczy rozbłyskiwały radością. Jakże!... po długiej i ciężkiej zimie do swojej wsi rodzonej wracała, to biegła aż truchcikiem, że ino torbeczki wyskakiwały po bokach i dzwoniły różańce, ale iż ją spierało, a zadychliwość raz wraz chwytała się bolących piersi, to musiała przystawać, wolnieć i już szła ciężko, z utrudzeniem, jeno temi głodnemi oczyma latając po świecie i pośmiechując się do tych pól szarych, w zielonawe mgły przysłonionych, do wsi, wynurzających się zwolna z mgielnych topieli, do tych nagich jeszcze drzew, stróżujących nad drogami, lubo samotne stójki odbywających po polach, do całego świata!

Słońce się już było podniesło na parę chłopów, że dojrzał choćby i najdalsze kraje pól; wszystko błyszczało różaną rosą,

1) t. j. w porę kopania kartofli, w październiku.

czarne role połyskiwały się w słońcu, wody grały po rowach, skowronkowe głosy dzwoniły w chłodnem powietrzu, gdzie zaś, pod kamionkami tliły się ostatnie płaty śniegów, żółte bazie na poniektórych drzewach trzęsły się, kieby te bursztynowe paciorki, w zaciszach zaś, albo i pod nagrzanemi kałużami z pośród rdzawych, zeszłorocznych liści, przedzierały się złotawe źdźbła traw młodych, gdzie znów patrzyły żółte oczy kaczeńców, wiaterek też wziął przygarniać leciuchno i roztrząsał wilgotne, rzeźwe zapachy pól, pławiących się leniwie w słońcu, a wszędy było tak wiośniano, rozlegle, jasno, chociaż i jeszczech ździebko szarawo, i taką lubością tchnęło, że już się dusza Agaty wyrywała, by lecieć, jako ten ptak, radością opity, niesie się z krzykiem w cały świat.

— Jezus mój! Jezusiczku kochany! — pojękiwała ledwie, przysiadując nieco i jakby zgarniając ten świat wszystek w roztrzęsione radością i wielce czujące serce.

Hej! zwiesna-ci to szła przeciech nieobjętemi polami, skowronkowe pieśnie głosiły ją światu, i to słońce święte, i ten wiater pieszczący, słodki a ciepły, kiej matczyne całunki, i to przytajone jeszczech dychanie ziemic, tęsknie czekających na pługi i ziarno, i to powietrze ciepłe, orzeźwiające i jakby nabrzmiałe tem wszystkiem, co wnetki się stanie zielenią, kwiatem i kłosem pełnym.

Hej! zwiesna-ci to szła, jakoby ta jasna pani w słonecznem obleczeniu, z jutrzenkową i młodą gębusią, z warkoczami modrych wód, od słońca płynęła, nad ziemiami się niesła w one kwietniowe poranki, a z rozpostartych rąk świętych puszczała skowronki, by głosiły wesele, a za nią ciągnęły żórawiane klucze z klangorem [1]) radosnym, a sznury dzikich gęsi przepływały przez blade niebo, że boćki ważyły się nad łęgami, a jaskółki świergotały przy chatach, i wszystek ród skrzydlaty nadciągał ze śpiewaniem, a kędy tknęła ziemię słoneczna szata, tam podnosiły się drżące trawy, nabrzmiewały lepkie pęki, chlustały zielone pędy i szeleściły listeczki nieśmiałe, i wstawało nowe, bujne potężne życie, a zwiesna już szła całym światem, od wschodu do zachodu, jako ta wielmożna Boża wysłanniczka łaski i miłosierdzie czyniąca...

Hej! zwiesna-ci to ogarniała przyziemne, pokrzywione chaty, zaglądała pod strzechy miłosiernemi oczyma, budząc struchlałe, omroczone role serc człowiekowych, że dźwigały się z utrapień

---

1) głos, podobny do dzwonu.

i ciemnic, poczynając wiarę na lepszą dolę, na obfitsze zbiory i na tę wytęsknionej szczęśliwości godzinę... Ziemia się rozdzwaniała życiem, kieby ten dzwon umarłych, gdy mu nowe serce uwieszą, serce ze słońca uczynione, że bije górnie, dzwoni, huczy radośnie, budzi struchlałe i śpiewa takie rzeczy i sprawy, takie cuda i moce, aże serca biją do wtóru weselnego, aże same łzy leją z oczu, aże dusza człowiekowa zmartwychwstaje w nieśmiertelnych mocach i klęczący ze szczęścia ogarnia sobą oną ziemię, ów świat cały, każdą grudkę napęczniałą, każde drzewo, każden kamień i chmurę każdą, wszystko ano, co uwidzi i co poczuje...

Tak ci to i czuła Agata, kusztykając zwolna i żrąc spragnionemi oczyma tę ziemię kochaną, tę ziemię świętą, że szła, jak pijana. Aż dopiero, gdy sygnaturka[1]) zaświegotała na Lipieckim kościele, kiej ten ptaszek, zwołujący na modlitwę, ocknęła stara znagła, padając na kolana.

... iżeś swoją świętą przyczyną sprawił, jakom powróciła...

... iżeś, Panie, pokazał miłosierdzie nad sierotą...

Mogła to mówić! kiej łzy, jako ten deszcz rzęsisty, zalały jej serce i spływały po wynędzniałej twarzy, że jeno mamrotała cosik, a tak się trzęsła w sobie, że ani weż naleźć różaniec, ni tych słów pacierza, które się rozsuły[2]) po duszy palącą rosą, to porwała się z mocą i poszła, pilnie patrząc po polach i powiadając w głos jakie słowo modlitwy, przypomniane znagła... Że zaś dzień był już duży i mgły całkiem spadły, Lipce jawiły się przed nią jakby na dłoni, leżały nieco w dole, nad ogromnym stawem, modrzącym się, kiej lustro, z pod białawej a leciuchnej przysłony, obsiadły wodę kręgiem niskich, szerokich chałup, co, jak kumy w sobie wielce podufałe, przysiadły w sadach jeszcze nagich, dymy kajś niekaj rwały się nad strzechami, gdzie zaś szyby przebłyskiwały w słońcu, albo bieliły wskroś czarniawych sadów świeżo pobielone ściany.

Każdą chałupę mogła już dojrzeć zosobna. Młyn ano, którego bełkotliwy turkot dochodził coraz żywiej, stał na kraju wsi, przy drodze, którą szła, a naprzeciw prawie, na drugim końcu, kościół wznosił wysokie, białe mury wśród drzew olbrzymich i grał oknami i złotym krzyżem na bani, a wpodle niego czerwieniły się dachówki plebanji.

Wokół zaś, jak jeno dojrzeć, stały sinym wiankiem lasy i rozlewały się pola nieprzejrzane, leżały wsie dalekie, wsie,

---

1) dzwon niewielki kościelny; 2) rozsypały.

kieby te szare liszki, przywarte do ziemi, a w sady pochowane; drogi, kręto, powyciągane, kamionki, rzędy drzew przechylonych, piaszczyste wydmy, zrzadka porosłe jałowcami, i wąska przędza rzeczki, ciekącej połyskliwie i wlewającej się do stawu, między chałupami.

Bliżej zaś, dokoła wsi, wielgachnym kręgiem leżały lipeckie ziemie, pokrajane w pasy, kieby te postawy zgrzebnego płótna, rozciągnięte pod wzgórza i poćwiartowane na działki. Pola wiły się i wydłużały przy polach, porozdzielane krętemi miedzami, na których gęsto rozrastały się grusze rozłożyste, górzyły się kamionki[1]), cierniem obrosłe, w złotawem świetle ostro wyrzynały się szare i utytłane, kiej ścierki, ugory; to płachty zielonawe ozimin, to zeszłoroczne kartofliska czerniały, abo i już latosie podorówki, miejscami zaś, po dołkach, siwiały wody i wlekły się, kiej to szkliwo roztopione; za młynem rozlewały się łąki rudawe, po których brodziły bociany, raz wraz poklekujące, i kapuśniska tak jeszczech pod wodą, że jeno grzbiety zagonów przemiękłych łyśniły[2]) się, kiej piskorze, czajki białobrzuszne kołowały nad niemi, a po rozstajach stróżowały święte drzewa krzyżowe i jensze wyobrażenia Pańskie, zaś nad tym całym światem, zaklęsłym ździebko w miejscu, kędy wieś przywarła, wisiało rozgorzałe, złotawe słońce, pobrzmiewały skowronkowe śpiewania, rozlegały się niekiedy od obór tęskliwe ryki bydła, to gęsi gdziesik pokrzykiwały gęgliwie i leciały rozgłośne wołania ludzkie, a wraz i wiater tchnął lubym, ciepłym powiewem, zgarniając wszystkie te głosy, że ziemia stawała niekiedy w takiej cichości a zadumaniu, jakoby w tej świętej chwili rodów i poczynań.

Jeno na polach mało gdzie dojrzał robotę, tyle tylko, co zaraz pod wsią gmerało się kilka kobiet, rozrzucających nawóz, że ostry, przenikliwie w nozdrzach wiercący zapach płynął smugą całą.

— Zaspały próżniaki czy co, dzień taki wybrany, a na rolę mało kto ciągnie... ziemia aż się prosi pługa! — mruczała zgorszona.

I aby być bliżej jeszcze zagonów, zlazła z drogi na ścieżkę, ciągnącą się za rowem, gdzie już czerwone rzęsy stokrotek otwierały się do słońca i gęściej zieleniła się trawa.

Władysław Stanisław Reymont.

---

[1]) stosy kamieni polnych; [2]) lśniły się, błyszczały.

66. Powrót do wsi rodzinnej.

Z twardej szosy bryczka skręciła na uboczny gościniec, z gościńca na dróżkę, zajmującą między działkami[1]) chłopskiemi szerokość nie większą od pospolitego wygonu.

Słońce już się skryło za grzbietem wzgórz, zostawiając po sobie tylko przecudną zorzę, w której kierunku bryczka zdążała i na którą zwrócone były oczy Marcinka[2]) i jego matki. Konie biegły miernego kłusa, wózek toczył się zwolna w głębokich kolejach drożyny. Po obudwu jej stronach stały niwki żyta, na którem nie widać było jeszcze kłosów, stajonka[3]) wczesnych kartofli, mocno zielone smugi owsa i zagony lnu. W pobliżu czerniła się biedna wioska. Dalej na tle przejrzystego firmamentu widać było ciemne kształty łańcucha wzgórz, porosłych jałowcem i brzeziną.

Zdarzyło się, że w przeddzień uroczystości Zielonych Świątek wypadł p. Borowiczowej jakiś pilny interes w Klerykowie. Zawarta na początku roku szkolnego znajomość z panem Majewskim[4]) ułatwiła jej pozyskanie dla Marcinka na dwa dni świąteczne urlopu, wypisanego na urzędowym blankiecie z ogromną pieczęcią. I oto wiozła do Gawronek jedynaka, jako niespodziankę dla ojca i całego folwarku. Radość obojga była tem większa, że ani matka, ani syn nie spodziewali się tak pomyślnego załatwienia sprawy, gdyż rzadko kiedy dawano na te święta urlopy. Gdy wózek polnemi dróżkami zjeżdżał z pochyłego przestworza i znalazł się u wejścia do rozdołu[5]) między dwoma wielkiemi wzgórzami, noc już zapadała. Zbocza gór wznosiły się stromo po prawej i lewej ręce, a wielkie ich garby, niby kolana i stopy, wysuwały się z mroku i rosły w oczach, gdy się ku nim zbliżano.

Dolina była dość długa, a nie szeroka, w niektórych miejscach tak nawet wąska, że na dnie jej ledwo mogły zmieścić się obok siebie: strumień i droga. Na wiosnę i około św. Jana[6]) potok przemieniał się w rzekę, w wielką, oszalałą rzekę, której wody dosięgały wysoko rosnących brzóz na zboczach pagórków i zostawiały na jałowcach pokosy zmulonego siana, garście lnu i całe nieraz krzewy, z korzeniami wydarte na odległych górach.

---

[1]) małemi pólkami; [2]) gimnazjalisty, powracającego z miasta na wakacje do wsi rodzinnej; [3]) małe pólka; [4]) wychowawcą klasowym w gimnazjum klerykowskiem (za rosyjskich czasów); [5]) rodzaj wąwozu; [6]) dn. 24 czerwca.

To też droga, sąsiadująca z tą burzliwą rzeczułką, była, ściśle mówiąc, suchem łożyskiem potoku...

Nikt jej tam nigdy nie naprawiał, ani nie przeinaczał; była sama sobą, zmieniała się i kształtowała swobodnie, posłuszna tylko prawom przyrody, zupełnie tak, jak drzewa okoliczne, jak osypiska [1]) i wyrwy. Były w niej kawałki z natury dobre, zupełnie gładkie, były inne, zawalone sporemi bryłami na dość znacznej przestrzeni, a były też i tak zwane dołki, istniejące tam od czasów, jeżeli nie piastowskich, to napewno zygmuntowskich.

Kto nie umiał przez te dołki przejechać, ten nie przejechał. Łamał tam dyszel, oś, rozworę [2]), wlatywał w błoto z głową i czapką, albo zostawał w dołku z półkoszkami [3]), a konie szły dalej z przodkiem wozu. Na szczęście nie było w całej okolicy człowieka, któryby nie miał „sposobu“ na szczęśliwe przebycie tych wyrw zdradliwych. W pewnem miejscu jechało się dość długo tym porządkiem, że przednie i poślednie koło z prawej strony szło blisko o jaki łokieć wyżej, niż koła z lewej, ale ludzie tamtejsi nawykli do tego przymiotu drogi i nikt go tam nawet nie spostrzegał.

Nad wodą rosły zwarte olszyny i przysłaniały zakręty rzeczne. Gdzie niegdzie stały kępami duże, smutne wierzby, o długich gałązkach i wąskich liściach. Konie wlokły się noga za nogą po kamienistym szlaku i były w pierwszym dopiero skręcie doliny, gdy na górę wszedł księżyc. Białe światło zwolna rozpadało się w dole, na zboczach gór i po wąwozach. Widać było śpiczaste jałowce pod samemi szczytami i brzózki o listkach, srebrzyście lśniących, kołyszące się od wietrzyków. Na dalekiej przestrzeni bielały kamienie rzecznego łożyska. Tu i ówdzie poza cieniem krzewów lśniły się między kamieniami ruchliwe, maleńkie fale i wodospady płytkiego w tej porze strumienia, który, jak żywa istota, coś szeptał w głębokiej ciszy.

Ten szept opowiadał Marcinkowi cudowne rzeczy o wszystkiem, co zaszło w wodach, odkąd pewien uczeń klasy wstępnej [4]) przestał taplać się na bosaka w rzece, łapać sakiem [5]) płotki, okonie i małe szczupaki, podobne do ciemnych kawałków drzewa...

Osoba wychowańca gimnazjum została gdzieś na uboczu i Marcinek, zapatrzony w blask wody, począł na szum jej odpo-

---

[1]) miejsce nadbrzeżne, podmyte przez wodę; [2]) część wozu lub wasągu: drąg, idący pod spodem i łączący przednią część z tylną; [3]) boki wasągu wyplatane z gałązek; [4]) t. j. on sam; [5]) rodzaj sieci.

wiadać jakiejś innej osobie, która była na poły kimś zupełnie nieznajomym.

Tak siedząc cicho przy matce, zabrnął w niezmiernie daleki świat marzeń...

Na niebie rozprysły się gwiazdy w niewysłowionem ich mnóstwie i przepychu. Zdawało się, że od nich urywają się niezmiernie małe świecące cząsteczki i powoli, nikłemi warstwami zsypują się ku ziemi.

Stały tam w przezroczystym lazurze jakieś smugi, dziwnie oświetlone, śpiące w niebiesiech ciałka obłoków, drogi i znaki, kształty blasku niepojęte, nęcące oczy i duszę. Z traw szerzyły się zapachy dojrzewających kwiatów, od rzeki pociągał wilgotny, mocny i miły odór rokit[1]) i wikliny[2]). A wody wciąż szeptały... Cichą ich melodję przerywało tylko ostrożne stąpanie koni po głazach i dźwięk żelaznych obręczy, gdy trafiały na kamienie, wspinały się na nie ze zgrzytem i, opadając, stukały. Rozmowa ucichła.

Pani Borowiczowa miała wzrok skierowany na roziskrzone niebo. Dawne wspomnienia ciągnęły ku niej z dalekich przestworów w cudownej nocy, młode nadzieje wypływały z serca, przeczuwającego już schyłek swych snów, kres marzeń i jakieś wielkie znużenie. Teraz to serce roztwierało się naoścież dla przyjęcia raz jeszcze wszystkiego, co człowiek uczciwy pielęgnował i kochał. Ziemskie troski, codzienne znoje, interesy i małostki ustąpiły na chwilę i matka Marcinka o wielu rzeczach i sprawach niemal zapomnianych myślała, myślała...

W pewnem miejscu przejeżdżało się w bród rzeczułkę. Wkroczywszy do wody, konie natychmiast zatrzymały się. Schyliły łby i jęły głośno żłopać wodę.

Marcinek położył głowę na kolanach matki i, przycisnąwszy usta do jej rąk spracowanych, szepnął:

— Mamusiu, jak to dobrze, że mama po mnie przyjechała... Tak sobie jedziemy razem... To dopiero dobrze...

Gładziła pieszczotliwie jego włosy i, schylając się, w sekrecie nie wiedzieć przed kim, szepnęła mu do ucha:

— Będziesz zawsze kochał swoją matkę, zawsze a zawsze...

Słodkie łzy, padające wielkiemi kroplami z oczu chłopca, zastąpiły jej wyrazy odpowiedzi.

Tuż za rzeką droga wieszała się po urwistem zboczu góry, zarosłem tarniną i lasem dzikich głogów. Gdy te zarośla zrzedły

---

[1]) i [2]) rodzaje krzewów, rosnących nad wodami.

i rozsunęły się, widać już było w pobliżu migające światełka wioski, a dalej za nią w nizinie wielką, białą od księżyca szybę stawu i światła w gawronkowskim dworze.

Konie szły zwolna pod górę. Marcin wyskoczył z wózka i oczyma pełnemi łez spoglądał na te dalekie, duże okna, świecące w ciemności.

Przede wsią w pustce, na wzgórzu stała drewniana kapliczka, spróchniała już zupełnie od przyciesi[1]) aż do żelaznego kogutka na szczycie dachu.

Dokoła tej staruszki rosły bujne bzy z ogromnemi kiściami pachnących kwiatów.

Marcinek skoczył ku kapliczce, wspiął się na płot i ułamał ogromny pęk kwitnących gałęzi. Wózek oddalił się i zbliżał już do wioski. Chłopiec rzucił się pędem po równej już tam drodze, strząsając rosę z kwiatów i, zziajany, cały ten pęk rozkwitły rzucił matce na kolana.

Nie miała serca wymawiać mu, że obrabował biedną, starą kapliczkę.

Mokre kwiateczki odrywały się i spadały wraz z kroplami rosy i lgnęły do jej palców, a duszny zapach tak dziwnie ją upajał...

Stefan Żeromski.

67. Drzewa włoskie.

Był on[2]) prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,
I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:
„Widziałem w botanicznym wileńskim ogrodzie
Owe sławione drzewa, rosnące na Wschodzie
I na Południu — w owej pięknej włoskiej ziemi;
Któreż równać się może z drzewami naszemi?
Czy aloes, z długiemi, jak konduktor[3]), pałki?
Czy cytryna-karlica z złocistemi gałki,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys, długi, cienki, chudy,
Co zdaje się być drzewem nie smutku, lecz nudy?
Mówią, że bardzo smutno wygląda na grobie;
Jest to jak lokaj Niemiec we dworskiej żałobie,
Nie śmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
Aby się etykiecie niczem nie sprzeciwić.

Adam Mickiewicz.

---

1) od fundamentu drewnianego; 2) Tadeusz, bohater tytułowy arcydzieła p. t. „Pan Tadeusz"; 3) piorunochron.

68. W parku włoskim.

Wpuszczeni do ogrodu przez starożytną, żelazną bramę, książę Gintułt i major szli przez czas pewien w górę wąskim korytarzem, utworzonym przez dwa wysokie mury. Fale bluszczu przesadziły szczyty murów i, płynąc, kapiąc, wisząc soplami długiemi aż do ziemi, uczyniły z tej drogi majestatyczny, a zarazem cudnie przychylny krużganek.

U krańca jego były drzwi domu. Jońskie i korynckie kolumny bielały na słońcu, barwiąc dalekie tło ciemnych gajów niewymowną plamą.

Służący prosił przybyszów, żeby zechcieli zaczekać na przebudzenie starego margrabiego — w salonach dolnych, czy w ogrodzie.

Wybrali ogród i poszli w górę po ścieżce, wysypanej żwirem drobnych kamyków, które morze z dalekich stron przyniosło, a pracowity człowiek po tej drodze rozsypał. Małe jaszczurki przebiegały słoneczne plamy, zatrzymując się chwilami i patrząc zielonemi oczyma na nieznanych ludzi. Ludzie Północy szli krok za krokiem, wielbiąc oczyma cudne drzewa, a raczej niewysłowioną ich piękność.

W jednem miejscu mur był niższy i można było, wspinając się na palce, zajrzeć na drugą jego stronę. Rósł tam na południowym stoku, ze wszech stron okolony ścianami, wirydarz owocowy.

Wiosna go już dotknęła.

Jak senna rozkosz, ukazały się przed oczyma pod przeciwległym murem wysmukłe rózgi brzoskwini, oblepione jasnoróżowem kwieciem, które same liście wyprzedza. Książę zmrużył oczy od przelatującego ciało dreszczu. Marzył. Zdało mu się wskutek osobliwego złudzenia, że widzi jasną, niewinną, zawstydzoną dziewczynkę lat piętnastu. Byłażby to jego siostra, czy inna, obca? Widział ją kiedy, czy nie? Taka właśnie, jak te gałęzie: wszystka różowa, skromna i siostrzanej duszy... Ma ją w oczach, a od tego widoku bezcennemi kroplami szczęście spływa w zaskorupiałe rany serca.

— Bądź pozdrowione, drzewko...

Całą przestrzeń zwartym gąszczem zarosły rozłożyste pomarańcze i cytryny. Każda gałązka była obarczona płomiennemi kulami dojrzewającego owocu. Jasno-srebrzyste cytryny liczne

były, jak liście. Już figa puściła ze swego szczytu nowotne, wątłe, prawie białe listowie, a słodki kasztan pąki, które ozdobiły końce jego nagich a powikłanych gałęzi.

Weszli do parku. Stanął przed nimi eukaliptus z pniem prostym i wyniosłym, jak maszt; ukazał się jego cielisty odziemek, który zrzuca korę na podobieństwo człowieka pod zwrotnikiem, zrzucającego ciepłą odzież. Sięgnął od stóp do połowy, zda się, wysokości góry. Tam, w wyżynie, rozpostarł swe nieogarnione konary i gałęzie, pręty i liście, zwisające, jak u topoli, ciemne i twarde, niby pergamin. Wychylił się z gąszczów bukszpanu laur kamforowy z małym i wątłym liściem i magnolja, olbrzymia, jak lipa wielowiekowa. Co krok zastępowało drogę i zasłaniało pół nieba inne zjawisko. Więc w jednem miejscu chwiał ciemnemi sukniami i żółtemi kwiaty, liśćmi, jakby wyciskanemi ze skóry bukszpan, dziwny obraz świerku i mirtu... W innym, między garbami góry, dumały brazylijskie i afrykańskie palmy. Ich pnie chropawe i włochate, najeżone tarczami i kleszczynami[1]), książę przywitał westchnieniem. Łuszczaste kadłuby wydźwignęły się w przestwór i miotały tam kity piór. Wśród ich gałęzi leżały już na złotych prętach żółte, okrągłe, tęgie gruzły niedojrzałych daktylów.

Wkroczyli w głęboki cień. Podniósłszy oczy, ujrzeli niezmierne widły, odnogi i pędy libańskiego cedru, o korze brunatnej, ze srebrzystą tam i sam poświatą[2]) mchu, ze złotemi bulwami żywicznego obaru[3]). Obwieszony niezmierną liczbą szyszek, obszar korony cedru tworzył sam z siebie puszczę. Stojąc na wysokości tej góry, patrzał już może w liguryjskie wybrzeża tysiąc lat, a może dwa tysiące, bo długości jego wieku nikt nie wie i nie zbada.

Z zadumy i znużenia wyrwał ich szelest listków cienkich, jak jedwab, wątłych, gładkich i subtelnie kreślonych, niby wodnemi znakami, a ruchliwych i czułych na każde tchnienie bardziej, niż puch. Szept kończystych listków, gdy się jedne do drugich z trwogą tuliły ostremi z brzegu powierzchniami modrawej barwy, wzbudzał szczególną litość. Białe, równe, okrągłe pędy, poprzedzielane obrączkami kolan, rosły tu w kępach, odosobnione od reszty roślin, jak cudzoziemcy, wyrzuceni na niegościnny ląd. Był to biały bambus. A dalej, o kilka kroków czerniały, lśniąc i świecąc, dzwoniły tą samą zaiste mową kępy czarnego.

---

[1]) kleszczyny — dosłownie: narzędzie w kształcie kleszczy, tu: wyrostki na powierzchni pnia; [2]) poświata — jasne świecące miejsce na ciemnem tle; [3]) obar — wysiąk żywiczny na pniu drzew.

Wskutek ciągłej wędrówki pod górę podczas upału przybysze byli bardzo znużeni. Siedli na kamiennej ławce. Książę Gintułt wydobył teczkę i jął przeglądać listy polecające i papiery.

Wtem podniósł oczy i papiery upadły mu z rąk na kolana. Naprzeciwko ławki, po drugiej stronie placyku, zasypanego szarym żwirem, stały cyprysy w grupie, tworzącej jak gdyby czarną i ciemną kaplicę. Szczyty ich strzeliste, zioniące w niebo ostremi języki, schodziły się w górze. W głębi, pomiędzy ich pniami, w mrocznej nawie, skąd ranna rosa jeszcze nie odeszła, stało rozłożyste drzewko rododendronu, na wysokość nie przechodzące wzrostu człowieka. Cała jego korona była w olbrzymich kwiatach, a wątłe listki ginęły między niemi. Barwa kwiatów była karminowa, a w głębi kielichów ciemniejąca aż do najtęższego karmazynu. Wytryskała z cyprysowej ciemnicy, jak gdyby symboliczny znak — zwiastun prawdy, pierwszy raz spadającej między rzesze ludzkie. Ten krzak ognisty, zionący najpotężniejszym ogniem przyrody, stał w swem ciemnem odosobnieniu, jakoby arcykapłan, wznosząc ku niebu tajemniczy, najwznioślejszy głos życia.

Stefan Żeromski.

69. Dwór obronny na Ukrainie w XVII wieku.

Dość też było spojrzeć na Rozłogi-Siromachy, by odgadnąć, jacy w nich ludzie mieszkają.

Gdy poseł i pan Skrzetuski zajechali przed bramę ze swemi wozami, ujrzeli nie dwór, ale raczej obszerną szopę, z ogromnych bierwion dębowych zbitą, z wąskiemi, podobnemi do strzelnic oknami. Mieszkania dla czeladzi i kozaków, stajnia, śpichlerze i lamusy przytykały do tego dworu bezpośrednio, tworząc budowę nieforemną, z wielu to wyższych, to niższych części złożoną, nazewnątrz tak ubogą i prostacką, że, gdyby nie światła w oknach, trudnoby ją za mieszkanie ludzi poczytać.

Na majdanie [1]) przed domem widać było dwa żórawie studzienne, bliżej bramy słup z kołem na szczycie, na którem siadywał niedźwiedź chowany. Brama potężna z takichże bierwion dębowych, dawała przejście na majdan, który cały był otoczony rowem i palisadą.

---

[1]) podwórzu.

Widocznie było to miejsce obronne, przeciw napadom i najazdom zabezpieczone. We wszystkiem też przypominało kresową pałankę[1]) kozacką, a lubo większość siedzib szlacheckich na kresach takiego, a nie innego była pokroju, ta przecie bardziej jeszcze od innych wyglądała na jakieś drapieżne gniazdo. Czeladź, która naprzeciw gości wyszła z pochodniami, podobniejsza była do zbójów, niż do ludzi służbowych. Wielkie psy na majdanie targały za łańcuchy, jakby chciały się urwać i rzucić na przybyłych, ze stajen dobywało się rżenie koni, młodzi Bułyhowie wraz z matką poczęli wołać na służbę, rozkazywać i przeklinać.

Wśród takiego harmideru goście weszli do środka domu, ale tu dopiero pan Rozwan Ursu, który, widząc poprzednio dzikość i mizerję[2]) siedliska, prawie żałował, iż się dał zaprosić na nocleg, zdumiał prawdziwie na widok tego, co ujrzały jego oczy.

Wnętrze domu zgoła nie odpowiadało jego cichym zewnętrznym pozorem.

Naprzód weszli do obszernej sieni, której ściany całkiem prawie pokryte były zbroją, orężem i skórami dzikich zwierząt. W dwóch ogromnych grubach[3]) paliły się kłody drzewa, a przy jasnym ich blasku widać było bogate rzędy końskie, błyszczące pancerze, karaceny[4]) tureckie, na których tu i owdzie świeciły drogie kamienie, druciane koszulki ze złoconemi guzami na spięciach, półpancerze, nabrzuszniki, ryngrafy[5]), stalowe harnasze[6]) wielkiej ceny, hełmy polskie i tureckie oraz misiurki[7]) z wierzchami od srebra.

Na przeciwległej ścianie wisiały tarcze, których już nie używano w wieku ówczesnym; obok nich kopje polskie i dziryty wschodnie i siecznego oręża też dosyć, od szabli aż do ginżałów[8]) i jataganów[9]), których głownie[10]) migotały różnemi kolorami, jak gwiazdki w blasku ognia.

Po kątach zwieszały się wiązki skór lisich, wilczych, niedźwiedzich, kunich i gronostajowych — owoc myślistwa kniaziów. Niżej wzdłuż ścian drzemały na obręczach jastrzębie, sokoły i wielkie berkuty[11]), sprowadzane z dalekich stepów wschodnich, a używane do pościgu wilków.

Z sieni owej goście przeszli do wielkiej gościnnej komnaty. I tu na kominie z okapem palił się rzęsisty ogień. W komnacie tej większy był jeszcze przepych, niż w sieni. Gołe belki w ścia-

---

[1]) wioskę; [2]) ubóstwo; [3]) kominach; [4]) szable; [5]) napierśniki; [6]) harnasz — pancerz, zbroja; [7]) hełmy z siatki stalowej; [8]) i [9]) rodzaje sztyletów; [10]) ostrza, klingi; [11]) rodzaj sokoła.

nach pookrywane były makatami, na podłodze rozcielały się przepyszne wschodnie kobierce. W pośrodku stał długi stół na krzyżowych nogach, sklecony z prostych desek, na nim zaś roztruchany [1]) całe złocone lub rznięte ze szkła weneckiego. Pod ścianami mniejsze stoły, komody i półki, na nich sepety [2]), puzdra [3]), nabijane bronzem, mosiężne świeczniki i zegary, zrabowane czasu swego przez Turków Wenecjanom, a przez kozaków Turkom.

Cała komnata założona była mnóstwem przedmiotów zbytkownych, częstokroć niewiadomego dla gospodarzy użycia. Wszędzie przepych mieszał się z największą stepową prostotą. Cenne komody tureckie, nabijane bronzem, hebanem, perłową macicą, stały obok nie heblowanych półek, proste drewniane krzesła obok miękkich sof, krytych kobiercami. Poduszki, leżące modą wschodnią na sofach, miały pokrowce z altembasu [4]) lub bławatów [5]), ale rzadko były wypchane kwapiem [6]), częściej sianem lub grochowinami. Kosztowne tkaniny i zbytkowne przedmioty było to tak zwane „dobro“ tureckie, tatarskie, częścią zdobyte na licznych wojnach jeszcze przez starego kniazia Wasila, częścią w czasie wypraw z niżowcami przez młodych Bułyhów, którzy woleli puszczać się czajkami na Czarne morze, niż żenić się lub gospodarstwa pilnować.

Wszystko to nie dziwiło zgoła pana Skrzetuskiego, znającego dobrze domy kresowe, ale bojar wołoski zdumiał się, widząc wśród tego przepychu Kurcewiczów, ubranych w jałowicze [7]) buty i w kożuchy niewiele lepsze od tych, jakie nosiła służba, dziwił się również i pan Longin Podbipięta, przywykły na Litwie do innych porządków. *Henryk Sienkiewicz.*

70. Dwór starego Macieja.

Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem
Panował, stojąc między karczmą i kościołem,
Widać rzadko zwiedzany, mieszka w nim hołota [8]),
Bo brama sterczy bez wrót, ogrody bez płota,
Nie zasiane, na grzędach już porosły brzozki:
Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,
Iż kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy
I prawą stronę, gdzie jest świetlica [9]), miał z cegły.
Obok lamus [10]), śpichrz, gumno, obora i stajnie,

---

[1]) puhary, kielichy; [2]) skrzynie; [3]) pudła; [4]) materja jedwabna, haftowana złotem; [5]) tkanina jedwabna barwy niebieskiej; [6]) cienkie pierze, puch; [7]) z cielęcej skóry; [8]) ubóstwo; [9]) izba główna w chacie; [10]) budynek, przeznaczony na skład różnych rzeczy.

Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;
Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy
Świeciły się, jak gdyby od zielonej blachy,
Od mchu i trawy, która buja, jak na łące.
Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące
Różnych roślin: pokrzywa i krokos czerwony,
Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony.
Gniazda ptactwa różnego, w strychach gołębniki,
W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki
Białe, skaczą i ryją w niedeptanej darni.
Słowem, dwór nakształt klatki albo królikarni.

A dawniej był obronny! Pełno wszędzie śladów,
Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa,
Wielka leżała kula żelazna, działowa
Od czasów szwedzkich; niegdyś skrzydło wrót otwarte
Bywało o tę kulę, jak o głaz, oparte.
Na dziedzińcu, z pomiędzy piołunu i chwastu
Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu
Na ziemi nie święconej; znak, że tu chowano
Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.
Ktoby uważał zbliska lamus, śpichrz i chatę
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate,
Niby rojem owadów czarnych; w każdej plamie
Siedzi we środku kula, jak trzmiel w ziemnej jamie.

U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki
Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:
Pewnie tu próbowano hartu zygmuntówek [1]),
Któremi można śmiało ćwieki obciąć z główek,
Lub hak przerznąć, w brzeszczocie [2]) nie zrobiwszy szczerby.
Nade drzwiami Dobrzyńskich widne były herby,
Lecz armaturę [3]) serów zasłoniły pułki
I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.

Wewnątrz samego domu, w stajni i w wozowni
Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w starej zbrojowni.
Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki,
Ozdoby czół marsowych [4]); dziś Wenery [5]) ptaki,
Gołębie, w nich gruchając, karmią swe pisklęta.
W stajni kolczuga [6]) wielka, nad żłobem rozpięta,
I pierścieniasty [7]) pancerz służą za drabinę,

---

[1]) szable z czasów Zygmunta I i II; [2]) brzeszczot, klinga, głownia; [3]) ozdoby dokoła tarczy herbowej; [4]) mężnych, od imienia Marsa, boga wojny u Rzymian; [5]) Wenera, bogini miłości u Rzymian, powoziła się gołębiami; [6]) koszulka pancerna z kółek stalowych; [7]) zrobiony z pierścieni, kółek stalowych.

W którą chłopiec zarzuca źrebcom dzięcielinę [1].
W kuchni kilka rapierów [2] kucharka bezbożna
Odhartowała [3], kładąc je w piec zamiast rożna;
Buńczukiem [4], łupem z Wiednia, otrzepywa żarna [5]!
Słowem, wygnała Marsa Ceres [6] gospodarna
I panuje z Pomoną [7], Florą [8] i Wertumnem [9]
Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.

Adam Mickiewicz.

71. Zamek Sobień w XV wieku.

Na górze sobieńskiej, sterczącej wysoko nad Sanem i nad miastem Sanokiem, czerniły się od wieków ruiny jakiegoś starego zamczyska.

Kmitowie, wybrawszy to miejsce na siedlisko dla siebie, do tych skalistych ruin przylepili swe gniazdo. Stąd była to cokolwiek nieregularna budowa, jednak zmurowana wedle wzorów zamków niemieckich. Otaczały ją naprzód grube mury obronne, od których prowadziły dwa mosty zwodzone, a w których wewnątrz znajdowały się stajnie, zbrojownie i mieszkanie dla załogi zamkowej.

Dalej rozległy się zewsząd bardzo obszerne dziedzińce, a dopiero w ich środku stał zamek, znów otoczony fosami i murem obronnym z mostem zwodzonym. Gdyby mury zewnętrzne zostały wzięte, zamek sam mógł jeszcze się bronić.

Wszystko to było zmurowane z cegły czerwonej, mocno wypalonej, dachy zaś były z ołowiu.

W samym zamku znajdowało się kilkadziesiąt komnat, w przyziemiach [10], na pierwszem i drugiem piętrze, porozdzielanych od siebie mniejszemi dziedzińcami, a połączonych zewnętrznemi krużgankami.

Nad zamkiem wznosiła się wieża, z której widać było Sanok, Załuś, Zahutyń i mnóstwo wsi dzisiejszych, które podówczas już prawie wszystkie istniały, ku południowi zaś niedawno co założone miasteczko Lesko z kościołem, San, wijący się pod niem, dalej dział [11] Suchowacki, wyniosłą górę Łopiennik i płaskie szczyty Bieszczadów.

---

[1] koniczynę; [2] rodzaj prostej szabli; [3] stępiła; [4] ogon koński na drągu, sztandar u Turków i Tatarów; [5] ręczny młynek do mielenia zboża; [6] bogini rolnictwa u Rzymian; [7] bogini ogrodów i owoców u Rzymian; [8] bogini kwiatów u Rzymian; [9] bóg płodów ziemnych u Rzymian; [10] na parterze; [11] łańcuch wzgórz.

Był to widok, otwierający przed okiem widnokrąg bardzo szeroki i przysparzający piersi człowieka równie szerokiego oddechu, to nie dziw, że ci ludzie ówcześni orle miewali myśli, skoro w takich orlich gniazdach siedzieli.

Zygmunt Kaczkowski.

72. Zamek Tustań w XV wieku.

Wówczas, gdzie dziś stoją ostatki dwóch baszt, od północy stała ogromna brama żelazna, obracająca się na żelaznych wrzeciądzach, nad nią zaś, między dwiema basztami, wznosiła się obszerna strażnica, opatrzona zewnątrz i wewnątrz kamiennym krużgankiem.

Naokoło obszernego dziedzińca wznosiły się zabudowania zamkowe, z muru grubego na sążeń, a na dwa piętra wysokie. Na dole znajdowały się stajnie, wozownie, lamusy, kordegarda [1]) i inne izby dla sług i żołnierzy, na pierwszem piętrze wysokie komnaty mieszkalne, na drugiem zaś mnóstwo izb mniejszych dla fraucymeru [2]) i gości.

Kilka schodów kamiennych prowadziło do komnat, z których główne, znajdujące się naprzeciw bramy wjezdnej, były szerokie na kilka sążni i zaczynały się już na dziedzińcu, gdzie były opatrzone podwójną balustradą kamienną i ogromnemi kolumnami, na których spoczywał szeroki krużganek pierwszego piętra. Na tych schodach czekali zwykle żołnierze i goście postronni co pośledniejsi, nim zostali wpuszczeni do pańskich pokojów. Z tych schodów także pan zamku miewał przemowy i wydawał rozkazy zgromadzonym w dziedzińcu żołnierzom, mieszczanom lub chłopom.

Dwie baszty narożne, z których pozostały jeszcze do dziś dnia takie olbrzymie szkielety, były podówczas jeszcze daleko grubsze i wyższe, obiedwie zaś opatrzone strzelnicami. W czasach późniejszych uzbrojono je w śmigownice [3]), których było po cztery na każdej, zaraz powyżej zębatych dachów zamkowych.

Najwyższa zaś baszta skalista, w której jest izba wykuta, była opatrzona szerokim kamiennym krużgankiem, na którym można było siedzieć wygodnie i cieszyć się owym wspaniałym widokiem na okoliczne miasta i kraje. Ten krużganek basztowy,

---

[1]) pomieszczenie dla straży wojskowej; [2]) fraucymer — dwór żeński; [3]) rodzaj armat.

jak go też nazywano, był tak wysoki i tak górował nad wszystkie inne baszty i mury, że można zeń było widzieć jakby na dłoni, kto wchodził lub wjeżdżał w główną bramę zamkową.

Natomiast nie można było patrzeć na dół pod basztę nazewnątrz, tam bowiem znajdowała się owa przepaść, dziś drzazgami skał i zmurszałemi drzewy zasypana, a przepaść ta tak była głęboka, że nikt w niej nie mógł zapuścić wzroku, każdy dostawał zawrotu głowy i musiał się zaraz oprzeć o poręcz i oczy odwrócić.

W tej baszcie, narówni z poziomem zamku, znajdowała się kaplica, a pod nią groby, ale próżne po wszystkie czasy, bo panowie tutejsi, chociaż mieszkali za życia, nie chcieli się chować w tym zamku. Chowali się wszyscy w Drohobyczy pod cerkwią, za Władysława Jagiełły zamienioną na kościół.

Obok wchodów do grobów zaczynał się kanał podziemny, wtedy wycembrowany [1]) na nowo, a wychodzący na powierzchnie ziemi w tem miejscu, gdzie dziś widać drugą gromadę skał, lasem jodłowym zarosłych. Wówczas znajdował się tam folwark zamkowy, zwany Posadą, w którym mało zajmowano się gospodarstwem rolnem, natomiast wszakże w bardzo obszernych stajniach i szopach chowano konie, bardzo piękne, silne i rosłe, które też na bujnych i tłustych pastwiskach leśnych tak dobrze się udawały, że w niczem nie ustępowały sławnym naówczas koniom stada Buczackich. *Zygmunt Kaczkowski.*

73. Dwór polski.

Jak wszędzie i zawsze, wygodą i bezpieczeństwo były najważniejszemi warunkami domostwa; tylko, że wymagania wygody były w Polsce mniejsze, a wymagania bezpieczeństwa znacznie większe, niż gdzie indziej. Hartowniejsza odporność zdrowia i większa śmiałość fizycznego życia redukowały [2]) wygodę do bardzo skromnej niekiedy miary, podczas gdy rozmaite rodzaje niebezpieczeństwa, nieznane czasom dzisiejszym i nieznane nawet w przeszłości innym krajom, wymagały w Polsce odrębnych środków ostrożności.

Były całe dzielnice Polski, które, czy to z powodu swego pogranicznego położenia, czy to wskutek innych szczególnych stosunków lokalnych [3]), wymagały po mieszkańcach swoich ciągłej

[1]) wyłożony cegłami lub kamieniami; [2]) sprowadzały; [3]) miejscowych.

ostrożności i ciągłego pogotowia do zbrojnego odporu napaści. Kresowe położenie, bliskość „paszczęki tatarskiej“ i mało co bezpieczniejsze sąsiedztwo takich bezustannie zawichrzonych krajów, jak Wołoszczyzna lub Siedmiogród, a wkońcu miejscowa przewaga niesfornych, w każdej sposobniejszej ku temu chwili dziczejących aż do otwartej anarchji[1]) żywiołów społecznych — wszystko to sprawiało, że nawet w czasach spokoju żyło się jakby na wojennych czatach. Da się to przedewszystkiem powiedzieć o Ukrainie, Podolu, Wołyniu, o całem województwie ruskiem.

Stąd poszło, że w tych stronach Polski każdy ziemianin mieszkał jakby w małej forteczce. Każdy prawie nieco zamożniejszy dwór szlachecki był obronnym do pewnego stopnia zameczkiem i taką mu też dawano nazwę. W aktach publicznych XVII wieku spotykamy się ciągle z nazwą fortalitium[2]) w miejscach, gdzie, jak dowodnie wiemy, nigdy twierdzy w najszerszem choćby znaczeniu tego słowa nie było, bo tak nazywano dwór szlachecki, skoro był tylko okopany lub obwiedziony ostrokołem[3]), choćby był zresztą cały drewniany. Że istotnie chodziło tu o dwory drewniane i że wogóle nazwa fortalitium oznaczała zwykły dom, nieco lepiej od nagłej nocnej napaści ubezpieczony, wypływa nie tylko z opisów bliższych, ale i z stałego określenia fortalitium muratum[4]) tam, gdzie chodziło o siedzibę murowaną, jak niemniej z faktu, że prawdziwie obronny zameczek dla odróżnienia nazywano arx.

Z inwentarzy dóbr szlacheckich XVI i XVII wieku, jakie się nam dochowały w aktach sądowych, da się powziąć wyobrażenie, jak wyglądał taki drewniany szlachecki zameczek. Przedewszystkiem cechą jego główną była baszta, czyli, jak ją niekiedy nazywano, bojnica. Nawet w domach, które materjałem i bardzo dorywczem wiązaniem ścian przypominały lepsze nieco chaty włościańskie, nawet tam, gdzie ściany te w znacznej swej części sklecone były z chróstu i lepione gliną, bywała baszta, oczywiście także drewniana, jak to wiemy np. z inwentarzy ziemi sanockiej z r. 1645 (Pisarowice).

Baszta taka służyła bardziej do straży, niż do obrony, czuwali na niej zwykle poddani chłopi, którzy na znak czujności musieli śpiewać lub dąć w piszczałki, zwyczaj, który się dochował do naszych czasów u naszych wart wiejskich. Baszta miewała co naj-

---

1) bezrządu; 2) fort, forteczka; 3) zagroda z pali zaostrzonych u góry; 4) forteczka murowana.

mniej cztery sążnie wysokości, a szczyt jej opatrzony bywał w strzelniczkę o sześciu lub ośmiu okienkach.

Bywały drewniane zameczki, które miały po kilka baszt; np. w Tustanowicach, majątku Stadnickich, dwór, otoczony dokoła wysokim wałem, opatrzony był trzema drewnianemi basztami na podmurowaniu; w jednej z nich była także kaplica, w drugiej świetliczka z komnatką, a na spodzie „schowanie“, w trzeciej większe pomieszkanie i skład broni. Wchodu do tak obwarowanego obejścia strzegła piętrowa brama z izbą i strzelnicą o „trzech wierzchach“.

Dwór drewniany w Korzenicy pod Jarosławiem według krótkiego opisu z r. 1670 otoczony był wałem i fosą, a opasywał go nadto dokoła parapet [1]) z silnych balów, przerywany drewnianemi basztami: dwór w Wielkich Oczach oprócz wału miał cztery baszty, ubijane z ziemi, dwór w Drozdowicach, w przemyskiej ziemi (r. 1661), miał pięć baszt bardzo znacznej wysokości i objętości z drzewa jodłowego. Najobronniejsza z nich zbudowana była z kręglaków [2]), trzy dalsze z materjału „pod hybel [3]) ciosanego“, jedna „z pruska“ [4]) na glinę robiona.

W basztach tych były sienie, wiodące do izb; w każdej baszcie była izba i komórka sekretna, a izby te były wcale przestronne, miały bowiem po 2, 3 i 5 okien. Jedna z baszt uwieńczona była drugą małą baszteczką.

Bardzo ważnym, ważniejszym może jeszcze od baszty środkiem obronnym były ostrokół i okop. Taki okop składał się z fosy i wału; fosa miewała zazwyczaj cztery łokcie szerokości i trzy łokcie głębokości, wał zaś bywał na sześć łokci wysoki. Jako typ takiej obwarowanej siedziby szlacheckiej, posłużyć nam może rezydencja wojewodziny mścisławskiej Kiszczyny w Ożomli. Sam dwór drewniany i jego główne podwórze obwiedzione były wysokim ostrogiem czyli częstokołem z silnych dębowych palów, które u góry zaciosane były jakby w groty dzid; u dołu ostrokół ten wzmocniony był podsypem ziemi i podgrodzony silnym płotem, sięgającym po pas człowieka. To był pierwszy okrąg warowny. Za nim szło gospodarskie podwórze, otoczone dokoła t. zw. tynem, to jest bardzo mocnem i wysokiem ogrodzeniem, ociernionem u góry, a poza tem ogrodzeniem opasywały i zamykały cały obszar siedziby wał, wysoko usypany, i głęboka fosa.

---

[1]) rodzaj fortyfikacji; [2]) obrobione na okrągło bale drzewne; [3]) hebel; [4]) mur pruski zrobiony z desek, obłożonych trzciną i obrzuconych tynkiem lub gliną.

Każdy taki zameczek posiadał oczywiście swój arsenał, czasem nawet bardzo zasobny w działka, moździerze[1]), hakownice[2]), muszkiety[3]), w proch strzelniczy, gotowe już naboje i w ołów na kule. Nie zapominano też o prowjancie, którego zapasy w każdym zresztą zamożniejszym domu szlacheckim bywały bardzo obfite, a składały się także z żywności, która przez długi czas konserwować[4]) się dała, jak np. z solonego mięsa, suszonych ryb, głównie szczuk i pstrągów, kasz rozmaitych i t. p. Bardzo często spotykamy w spisach prowjantowych „suchy chleb na wojnę", t. j. suchary.

Mądrym zwyczajem staropolskim przestrzegano, aby dwór był budowany „na jedenastą godzinę", to jest, aby jego czoło czyli fasada frontowa miała pełne słońce w tej porze dnia, kiedy ono nie dobiega jeszcze samego południa. Tym sposobem wszystkie strony domu miały słońce o pewnej porze dnia, podczas gdy dwory z czołem na pełne południe nie mogły go mieć w tylnych, ku czystej północy zwróconych pokojach.

Sam rozkład pokojów mieszkalnych bywał różny, a z lustracyj[5]) i inwentarzy[6]) nie da się wywnioskować jakaś stała norma[7]) lub złożyć jakiś typ przeciętny: nie było go też zapewne; tyle wszakże da się powiedzieć, że niemal powszechną regułą był podział domostwa na dwie równe połowy, przedzielone sienią bardzo obszerną.

Do sieni wchodziło się z ganku, o którym wiemy, że bywał „balasisty"[8]), sama zaś sień i rozmiarami swemi i przeznaczeniem uchodziła prawie tak samo za pryncypalną[9]) część domu, jak sala stołowa.

Czem w zamkach zawartych był dziedziniec, służący za punkt zborny, za majdan, tem w dworze szlacheckim była sień. Tu odbywały się sąsiedzkie sejmiki, tu gromadziła się czeladź w razie alarmu, tu gotowała się wyprawa łowiecka lub zajazdowa, tu wreszcie na sianie spali pokotem goście w czasie wesel, festynów, pogrzebów. Ściany sieni służyły do wieszania broni i sieci myśliwskich, a ogrzewał ją zazwyczaj olbrzymi komin murowany. Z sieni prowadziły drzwi w trzech kierunkach, naprzeciw wejścia głównego do ogrodu, sadu czy też wirydarza[10]), na prawo i na lewo do pokojów. Jedna ze stron czyli połowic domu była pańską, druga w przeważnej części czeladnią.

---

[1]) i [2]) rodzaje armat; [3]) rodzaj dawnej ręcznej broni palnej; [4]) przechowywać się; [5]) przeglądów; [6]) spisów; [7]) stały zwyczaj; [8]) t. j. opatrzony balustradą; [9]) główną; [10]) rodzaj parku o cienistych szpalerach.

Po stronie pańskiej najobszerniejszą i najgłówniejszą była izba stołowa, po niej szła świetlica, nazwana później bawialnią, a jeszcze później salonem; podrzędniejsze już i czysto poufne znaczenie miały salki, izby, komnaty, pokoje, alkierze, przyboki, komory. O ile te rozmaite nazwy były dowolne, a o ile uzasadnione odmiennością rozmiarów formy lub przeznaczenia, niełatwo dziś oznaczyć stanowczo. O komorach wiemy, że były to małe izdebki, przeznaczone na chowanie rozmaitych ruchomości i zapasów pod stałem zamknięciem, i nazwa ta w tem samem znaczeniu rzeczy przechowała się u ludu; alkierze nie zawsze znaczyły to samo, czemu dziś tę nazwę dawać zwykliśmy. Nie bywały to ani t. zw. dziś nisze lub alkowy — bardzo często nazywano tak nawet duże i jasne pokoje, bo liczące 6 do 8 okien, jak tego dowodzą lustracje. Alkierz, odpowiednio do swej nazwy, pochodzącej od niemieckiego Erker, bardzo długo, bo aż w głąb XVII w. oznaczał izbę narożną, która zamykała przestrzał pokojów, a ujęta była ścianami wykuszu [1]) albo wogóle tej części domu, który wysuwał się czy to na rogach, czy też z boków budowania naprzód i tworzył rodzaj wyskoku.

Oprócz nazw wymienionych miały pokoje każdego większego dworu jeszcze inne specjalne nazwania, bądźto od urządzenia i koloru obicia lub malatury, bądź od użytku, do jakiego służyły; były więc pokoje przyjacielskie, czyli t. zw. złożenia, t. j. pokoje gościnne, pokoje białogłowskie, a dalej pokoje czerwone, zielone, farfurowe [2]) i t. p. *Władysław Łoziński.*

74. Kraków i jego okolice.

Na południowym krańcu wyżyny małopolskiej znajduje się wyłom Wisły pod Krakowem, jeden z najbardziej malowniczych zakątków kraju naszego. Wisła nie popłynęła tu pomiędzy Przedgórzem Karpackiem a wyżyną wapienną, lecz utorowała sobie drogę przez tę wyżynę, odcinając od niej pod samym Krakowem południowy jej kraniec, zwany Krzemionkami (od wielkiej zawartości krzemieni). Brzegi wyłomu miejscami zniżają się łagodnie ku rzece, miejscami zaś spadają stromo białą pionową ścianą.

Malowniczy to i wesoły kraj! Tłusta, urodzajna gleba pokryta jest bujną roślinnością: lasy, gaje, pola, łąki przeplatają się

---

[1]) wystająca część domu, rodzaj ganku, otoczonego murami i pod dachem
[2]) t. j. porcelanowe, to znaczy wykładane taflami porcelanowemi.

i zmieniają kolejno z wsiami i miastami. Kędy rzucić okiem, życie rozwija się bujnie, rozkwita w całej pełni.

A nad tą pełną życia krainą, nad drgającą srebrną smugą Wisły wznoszą się tu i owdzie białe wapienne skały, na nich zaś dumnie sterczą klasztory i zamki, obronne niegdyś, dziś już przeważnie w ruinie.

Oto mamy Tenczyn ze wspaniałemi zwaliskami zamku na górze 400 metrów wysokiej, ongi[1]) siedzibę wygasłego już rodu Tenczyńskich. W sąsiedztwie znajduje się malownicza Czerna i Krzeszowice. Tam znów Lipowiec na nieco niższej górze (360 metrów), gniazdo dawnych Gryfitów, z dziś jeszcze zachowanym potrójnym wałem fortecznym, ruinami dwupiętrowego budynku i trzypiętrową basztą, wysoką na 26 metrów. Tyniec nad samą Wisłą ze szczątkami jednego z najstarszych opactw, założonego jeszcze przez Bolesława Chrobrego.

A tuż pod Krakowem, na górze, porosłej pięknym lasem, słynne Bielany, i dziś jeszcze mieszczące w swych murach cichy klasztor ojców kamedułów, którego wieżyce zdaleka widać wszędzie w okolicy. Piękne to i urocze miejsce, pełne przedziwnej ciszy i spokoju, jakby stworzone dla milczących mnichów, którym obcy jest już zupełnie gwar i zgiełk świata tego.

A oto wreszcie stary Wawel krakusowy wznosi się majestatycznie nad Wisłą, całującą jego stopy, odbija w jej falach mury swego zamku, co tyle przeszedł kolei, co był niegdyś siedzibą królów, później służył za koszary cudzym wojskom, a dziś, odrestaurowany i odnawiany, wrócić chce do dawnej świetności.

Milczący i zadumany na codzień, od wielkiego święta tylko przemawia do nas gród wawelski głosem „Zygmunta“, największego dzwonu swej katedry, a głos jego, nadzwyczaj podniosły i uroczysty, sprawia niezwykle silne wrażenie.

A niżej, w podziemiach katedry spoczywają zwłoki naszych królów i wielkich mężów, co, choć, bez korony, szeroko roznieśli sławę ojczyzny: leży tam wielki Król chłopków i ukochany „Naczelnik“ w siermiędze; leży też największy z naszych poetów, twórca „Pana Tadeusza“.

Z boku wzgórza widać legendową Smoczą jamę, w której miał przebywać ów groźny smok bajeczny, co siał trwogę wśród mieszkańców okolicznych, aż dopóki sam nie został pokonany przez Krakusa.

---

[1]) niegdyś.

Poniżej Wawelu rozsiadł się nad Wisłą stary Kraków, nasza odwieczna, prastara stolica, do której ze wszystkich dzielnic dawnej Rzeczypospolitej zjeżdżają się ludzie, aby odetchnąć tutaj wspomnieniami sławnej przeszłości.

Ślicznie wygląda stary Kraków z górującym nad nim Wawelem, z mnóstwem kościołów swoich, wybiegających wieżycami ponad dachy kamienic, ponad drzewa ogrodów. Ale i naokoło niemniej ładnie.

Od zachodu tuż za miastem rozpościerają się płaskie i równe, zielone „Błonia“, miejsce ćwiczeń krakowskiej załogi wojskowej i świątecznych przechadzek całego Krakowa; teren, na którym staczają bezkrwawe, ale mimo to zajadłe walki zwolennicy piłki nożnej, formalne i nieformalne [1]) kluby, w mundurach szkolnych, strojach sportowych lub zwykłych ubraniach. Zaledwie minie zima i Błonia podeschną jako tako, zjawiają się tu natychmiast bojowe ich drużyny, zaczynają ze wszech stron latać ciężkie piłki nożne, a całe gromady chłopców, rozpalonych grą, uganiają się za niemi bez pamięci. Śmiech, nawoływania, głośny gwar rozbawionej młodzieży napełniają Błonia od początku wiosny do późnej jesieni.

Tuż obok, na prawo od Błoń, widnieje młody jeszcze park, również miejsce zabaw młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, trwały pomnik zacnego jej przyjaciela, doktora Jordana.

A z lewej ciągnie się nad Wisłą przedmieście Krakowa, zwane Zwierzyńcem, z klasztorem panien norbertanek, wzniesionym tuż nad samą rzeką na fundamentach z kamieni wapiennych, wskutek czego zlewają się one ze stromym wapiennym brzegiem Wisły i klasztor zdaje się jakby wyrastać wprost z rzeki.

Za Zwierzyńcem widnieje grzbiet Sikornika z górą świętej Bronisławy i kopcem Kościuszki. Za Sikornikiem wznoszą się malownicze wapienne Skały Panieńskie, ukryte wśród gęstego lasu, a jeszcze dalej widać klasztor bielański.

Wielkiem półkolem, poczynając od Sikornika nad Wisłą na zachodzie do tejże Wisły przy ujściu Prądnika na wschodzie, otoczyły Kraków mniejsze i większe wioski, rozrzucone malowniczo wśród wzgórz i wzgórków: Wola Justowska, Łobzów, Bronowice Małe i Wielkie, Tonie, Prądnik Biały i Czerwony, Olsza, Czyżyny i inne.

---

1) stałe i przygodne.

Z kopca Kościuszki widać je wszystkie, jak na dłoni, wraz z rozsiadłym poważnie po środku Krakowem, niby patrjarchą starym w gronie wnuków i prawnuków.

Ale ze szczytu kopca wzrok zabiega jeszcze dalej, ogarniając na północy okolice Ojcowa, a na południu Przedgórza Karpackie z siniejącemi na widnokręgu Tatrami.

Z drugiej, wschodniej strony Krakowa wznosi się inny kopiec, ale znacznie dalej, bo o milę drogi od miasta: to wzgórze z mogiłą bohaterskiej Wandy, co „nie chciała Niemca“. U stóp wzgórza znajduje się stary klasztor Cystersów, założony w wieku XIII, oraz wieś, nosząca również nazwę Mogiły.

Na południu Kraków opiera się o Wisłę, a tuż za nią leży Podgórze, jedno z najmłodszych miast galicyjskich; przed ostatnim rozbiorem Polski była to osada, licząca zaledwie kilkanaście chat, dziś rozrosła się w spore i ruchliwe miasto.

Za Podgórzem widnieją białe, stromy ściany Krzemionek, niewysokich wzgórz (275 metrów), z wznoszącym się na ich szczycie trzecim kopcem krakowskim, legendarnego pogromcy bajecznego smoka, Krakusa. Kopiec ten, podobnie jak i Kościuszki, został ufortyfikowany i obsadzony załogą wojskową.

U stóp kopca Krakusa wznosi się kościółek świętego Benedykta, jedna z najstarszych świątyń Krakowa. Dziś nabożeństwo w niej odprawia się tylko kilka razy do roku, między innemi w trzeci dzień świąt wielkanocnych. W tym samym dniu po południu odbywa się tu ludowy obchód, zwany „Rękawką“, a będący pozostałością dawnej pogańskiej uroczystości na cześć budzącej się wiosny.

Do Krzemionek są zresztą przywiązane podania i z późniejszych czasów: tu miał żyć i wykonywać sztuki czarodziejskie głośny polski mistrz, Twardowski, jedna z grot tutejszych do dziś dnia nosi jego nazwisko.

Widok z Krzemionek jest bardzo ładny, nie tak jednak rozległy, jak z kopca Kościuszki. *Bohdan Dyakowski.*

75. Kraków.

1. Nasz Kraków to jak namiot wodza śród obozu,
To jak ołtarz ofiarny w ojczyzny świątyni,
Skąd płyną do nas hasła, rozkazy i siły,
Gdzie każdy swoje śluby narodowe czyni.

Gościńce, co doń idą, ciągle wznoszą pyły,
Napełnione pielgrzymów jednorodną rzeszą,
A zda się, że ruch mają, że wraz z ludźmi śpieszą;
Pobożną uroczystość ludzi niosą w oku,
A konie z własnej woli podwajają kroku.
Są chwile, w których pierś się człowiecza rozrasta
I odtąd więcej wciąga uczuć i powietrza,
A dusza, w niej zamknięta, lotniejsza i wietsza.
A taką chwilę daje — widok tego miasta.
Och! wyleciałem naprzód miłością skrzydlaty
I na krakowskiem niebie wieszczych szukam znaków,
Czyli gdzie nie wybłyska łuna z aureoli [1])
Tych zmarłych, co swą chwałą zadziwili światy...
A wtem ostatnia góra schyla się powoli,
Dwa kroki stąd — i stoma wieżami wstał Kraków!
O, nasza Jeruzalem! forteco duchowa!
Trzydniowa święta trumno żywiącego słowa!
Piękności twoje ziemskie w pył się rozsypały,
Zamilkły po krużgankach cytry i cymbały,
Na ołtarzach jaszczurki tanecznice skaczą,
Otwartych bram niewiasty pilnują i płaczą,
Wyschły twoje strumienie miodowe i mleczne...
A jednak wstań! tyś wielka! w tobie trwa, co wieczne.
To, co nad miody słodsze i nad mleko bielsze,
Powstań! raduj się! odsłoń oblicze weselsze!
Niech sztandar twej radości po wszech wieżach wieje,
Bo masz skarb, do którego nie trafią złodzieje,
Bastjony [2]) twoje ludzkiej urągają mocy,
A straże odprawują na każdym — prorocy.

* * *

Kto mi określi, kto mi opieśni
To, co i wieczność nie prześni;
Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów
Spłynęły w chór serafinów [3]).

Schyliłem czoło w pobożnej skrusze
I w mury wstąpiłem grodu,
Kędy za naród kładli swą dusze
Opiekunowie narodu.

Sto wież tam wita słońce wschodzące,
Wznosi hejnały [4]) pochwalne;
Dawniej to ręce światu grożące,
A dziś to ręce błagalne.

---

[1]) krąg świetlisty nad głowami świętych na obrazach; [2]) baszty forteczne; [3]) anioły pierwszego rzędu; [4]) hejnał — pieśń poranna.

Zwiedziłem stary zamek uroczy,
Kościoły i dawne domy,
A w tych przybytkach przed moje oczy
Stawał duch ojców widomy.

Myśl, co do głazów, jak tynk, przyległa,
Niewyczerpana, bez krańców,
A słowo, które wyłania cegła,
Przechodzi w piersi mieszkańców.

Niech nikt nie mówi, że przeszłość mglista,
Lecz że źrenica nieczysta;
Niech nikt nie mówi, że kamień niemy,
Lecz że nie wszyscy słyszymy.

Ze czcią nie w jedną zajrzałem trumnę:
Czoła pogodne, rozumne,
Dłoń na żelazie oparta chrobrem,
Serce aniołów pod ziobrem[1].

Z jakiem uczuciem konali starzy,
Na ich obliczach się znaczy:
Jasna powaga patrzy im z twarzy,
A gdy ból — to bez rozpaczy.

W dzisiejszych trumnach jaka namiętność,
Jakie niespokojne śnienie!
Często głupota i obojętność,
A gdy ból — to i zwątpienie.

Hej! inny żywot tamci pędzili,
Żywot świąteczny, wesoły,
Sprawiali uczty, za kraj się bili
I budowali kościoły.

I w tych kościołach śpią teraz błogo
W rajskie ubrani uśmiechy,
Bo ziemia wielbi ich pamięć drogą,
A Bóg przebaczył im grzechy.

Żółcią-by zaszło serce anioła,
Zgroza-by siadła śród czoła,
Dłoń-by pomknęła do karabeli,
Gdyby nas, nędznych, ujrzeli!

Kto mi określi, kto mi opieśni
To, co i wieczność nie prześni;

---

[1]) forma dawna zamiast żebrem.

Chwała mych ojców, dźwięki ich czynów
Spłynęły w chór serafinów.

Zdobyć się daje wiara wielmożna
Sercem dziecięcem, prostaczem,
A ojców z grobu wywołać można
Jedynie synowskim płaczem.

Jam ich wywołał i wszyscy razem,
Wszyscy stanęli przede mną;
Jak z relikwjami, z tych ich obrazem
Chodzę i żegnam moc ciemną.

I więcej wieszczej, twórczej żałoby,
Więcej duchowej potęgi
Dały mi wówczas mury i groby,
Niż później ludzie i księgi.

Mam-że wystawić skarby zdobyte.
Duchy wyniosłe, to smętne,
Świętych wesela, rany odkryte
Przed oczy, co obojętne?

Wolę je wszystkie zagrzebać w sobie,
Niech spoczywają, jak w grobie;
Z chwały i z cnoty ojców obdarci,
Wyście ich dziejów niewarci!

Kornel Ujejski.

76. Gniezno w roku 1820.

Leży w dolinie nad jeziorem, Jelonek zwanem.

Wjeżdża się do Gniezna przez liche, nieludne i opuszczone ulice; ulice te są wąskie, krzywe, domy po większej części drewniane; żydostwo, jak wszędzie, liczne i brudne, mieszka osobno, rzadki na ulicach przechodzeń.

Cała pycha miasta tego jest w katedrze, cała wartość — we wspomnieniach. Równie ona wspaniała jest z wierzchu, jak wewnątrz, w najlepszym utrzymana stanie. Cały ten ogromny gmach okryty jest miedzią, wspaniałe wieże, boki murów wysadzane gdzie niegdzie ułomkami pięknej bardzo rzeźby.

Wchodzi się przez pyszne śpiżowe podwoje; są one gładko ulane, z rzeźbą wypukłą w małych czworogranach[1]). Każdy

1) czworokątach.

czworogran inny czyn życia jakiegoś świętego wyraża; nie jestem dosyć mocny w legendzie, bym rzeźbę tę mógł poznać. Pokazujący kapłani nie umieli mi jej wytłumaczyć, robota atoli piękna, greckiego, niższego [1]) wieku.

Kościół jest ogromny, większy nierównie od kościoła świętego Stanisława w Krakowie i, jak on, po obu stronach liczne mający kaplice, po większej części z grobami arcybiskupów miejsca tego.

Świątynia ta na dawność swoją jest zbyt odświeżoną, nie ma tej posępnej powłoki wieków, która wzbudza poszanowanie i w święte dumania pogrąża.

Cztery ogromne pozłacane słupy z nakryciem wznoszą się nad ołtarzem i nad trumną srebrną, zawierającą zwłoki świętego Wojciecha.

Zgiąłem kolana przed tym świętym i poetą; lecz jakie były uczucia moje, gdy kilkunastu księży stanęło przed grobem tym i jęło śpiewać chórem pieśń starożytną: Boga Rodzica. Pienie tej prostej, lecz tkliwej melodji, przy zwłokach kapłana, który je przed blisko dziewięciu wiekami złożył[2]), obok podwojów Bolesława Chrobrego; gdziem rzucił oczy, gotyckie napisy, leżące na prochach już tylko tych, którzy tu żyli, głęboko serce moje przejęły. Skończyły się pienia, a smutny dźwięk i zamyślenie moje trwało jeszcze.

Weszliśmy potem do kapitularza[3]); są tu portrety arcybiskupów: Gębickiego, Macieja Łubińskiego i innych. Piękny obraz śmierci świętego Stanisława salę tę ozdabia. Tam złożona jest głowa świętego Wojciecha w zamknięciu złotem z pięknemi wyryciami, ozdobionem dwudziestu kilku szafirami, po większej części tak wielkiemi, jak kurze jaje. Wierzch tylko sczerniałej czaszki świętego Wojciecha widać przez kryształ.

Juljan Ursyn Niemcewicz.

77. Gniezno.

1. Gniezno! gniazdo Lechitów![4]) kiedy twoje wieże
Dalekiego pielgrzyma źrenica dostrzeże,
Serce bije gwałtownie, głowa mu się mroczy
I łza niespodziewana nabiega na oczy.

---

[1]) późniejszego; [2]) tak wówczas mniemano; dzisiejsza nauka obaliła to przypuszczenie; [3]) sala zebrań kapituły; [4]) Polaków.

Gniezno, skąd rój w piastowskim wychowany ulu,
Osiadł na nowej barci przy matce, przy królu,
A potem się rozleciał szeroko, daleko,
Siadł nie nad jedną górą, nie nad jedną rzeką,
Ale gdziekolwiek zlepił plastr miodu i wosku,
Z Gniezna błogosławieństwa prosił po synowsku!
A chociaż rój swawolny czasem się rozhula,
Potem się opamięta i wybierze króla,
Póty za matkę barci, za pana go nie zna,
Póki jej nie przeżegna wielki bartnik z Gniezna[1].
Nasi Chrobrzy i Wielcy, nasi władcy starzy,
Brali swoją potęgę z gnieźnieńskich ołtarzy,
Wierząc, że, gdy namaszczą gnieźnieńscy pasterze[2],
Korona więcej blasku, miecz hartu nabierze,
Wy, maściciele królów, wy, praw święci stróże!
Pozdrawiam wasze twarze, wykute w marmurze,
Ze czcią czytam nagrobków staroświeckie głoski,
A kolano się zgina, kiedy wzrok synowski
Zdoła wyczytać imię, otoczone chwałą,
Co się tęczowem pismem w dziejach wypisało.

I znów dalej i dalej błędne oczy wiodę,
Patrzę na drugą postać, na poważną brodę,
Chciałbym kamiennych źrenić znurtować głębinie,
Lecz czy to marmur spotniał? czy łza z głazu płynie?
Czy łaskę przepowiada, czyli tchnie pokutą?
Jaką myśl na tej twarzy chciało zakuć dłóto?
Czy ten uśmiech niebieski, co w oczy uderza,
Może dla nas Pan przysłał przez usta pasterza?
I czem jest ta prawica, wykuta z kamienia?
Znakiem błogosławieństwa albo odrzucenia?
Trudno zgadnąć — a niemasz spytać u nikogo,
A na sercu i rzewno, i straszno, i błogo...

Po filarach sklepistych, wśród kaplic ołtarzy,
Oko spocząć nie może, a myśl dziwnie marzy;
To czarna, to promienna, to smutna, to słodka,
Jak z milszem lub smutniejszem wspomnieniem się spotka,
Gdy przypomni jutrzniane albo chmurne dzieje,
Gdy się posąg rozjaśni, albo spochmurnieje.

Co nam włożył na czoła święty chryzmat[3] wiary
Najpierwszy pasterz Gniezna i nasz patron stary,
Wojciech, który nam przyniósł miłościwe lato,
Ma ołtarz wśród kościoła i trumnę bogatą.
To nasz pokrewny rodem, ojciec wedle ducha,
Pomódlcie się, Słowianie! on prośby wysłucha,

---

[1]) arcybiskup gnieźnieński, prymas Polski; [2]) arcybiskupi-prymasi; [3]) namaszczenie olejami.

On ją Bogarodzicy[1] i Bogu przepowie.
W przedwiekowej słowiańskiej staroświeckiej mowie
Słyszycie, jak ojcowskiem słowem upomina:
Już nam grzechów się kajać[2] i czas, i godzina!
Kaj się! nad grzeszną duszą sam Bóg trzyma pieczę,
Głos usłyszy i myśli napełni[3] człowiecze,
I spuści nam czas zbożny[4] i skróci[5] męczarnie,
I swe kmiecie, jak dzieci, do siebie przygarnie,
I w niebie nieśmiertelnem miejsca nam udzieli
Kędy królują święci, królują anieli[6].

Słowianie! pieśń Wojciecha, znajoma niebiosom,
Przyświecała, jak gwiazda, bohaterskim losom!
Gdy z piersi naszych hufców buchnęły jej tony,
Bóg uzbrajał te piersi w hart niezwyciężony.
Dziś, choć z ludzkiej pamięci zeszła nuta święta,
Chór niebieskich aniołów może ją pamięta
I tymże samym tonem cześć Maryi czyni,
Co zabrzmiał po raz pierwszy w gnieźnieńskiej świątyni.
Z pieśnią w sercu, nadzieją i wiarą wzmocniony,
Od trumny wojciechowej patrzę w dalsze strony.
Nie wedle lat porządku, lecz gdzie oko zmierzy,
Rozpatruję grobowce gnieźnieńskich pasterzy.
Czytam niejeden napis szeroki a długi,
Co wylicza zmarłego lata i zasługi.
Och! nie zamącić prawdy dobranemi słowy!
Inszy rylec grobowca, a inszy dziejowy:
Grobowiec wszystkich wieńczy nieśmiertelną chwałą,
Ale jednych zanadto, a drugich za mało...

Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz).

78. Warszawa o świcie.

Komu się bodaj raz zdarzy wyjść w pogodny świt na ulicę, zanim miasto ze snu ciężkiego się obudzi, ten nie zapomni tego wrażenia. Jest to coś, co wymyka się wszelkiemu określeniu: jakby fragment[7] bajki, zasłyszanej w dzieciństwie, mętne, niewyraźne przeczucie czegoś, szczypta obawy, która jednak mile łechcze człowieka.

Latarnie palą się jeszcze na pustej ulicy. Nie wiem czemu, ale to światło za dnia gromnicę mi przypomina. Naokoło ani żywej duszy: najlżejszego szmeru ucho nie pochwyci. Sklepy

[1]) Św. Wojciechowi przypisywano dawniej autorstwo pieśni Bogurodzica; [2]) żałować; [3]) spełni; [4]) pobożny; [5]) skróć; [6]) modlitwa ta ułożona ze zdań, wyjętych z „Bogurodzicy"; [7]) cząstka, ustęp.

i bramy domów szczelnie pozamykane, a ulica świeci grobową pustką. Ponura, pogrzebowa cisza potęguje wrażenie, pobudza zmysły i mistyczne wywołuje obrazy.

Usłyszawszy czyjeś kroki, zatrzymuję się bezwiednie i słucham: to echo moje kroki odbija.

Wreszcie na zakręcie ulicy spotykam człowieka. „Dzień dobry“, jakiem pozdrawiamy się wzajemnie, brzmi wyjątkowo ciepło i życzliwie: ranna godzina tę życzliwość rodzi. Uszedłszy kilka kroków, odwracam głowę i spotykam jego wejrzenie!

Zaciekawiliśmy się nawzajem. Przez małą, bardzo małą chwilkę mam złudzenie, iż nieznajomy wróci się ku mnie i powie szeptem o... o czem, sam tego nie wiem. O jakiemś zdarzeniu wyjątkowem, o cudzie niesłychanym. Gdyż tej nocy zdarzyć się coś musiało — głucha tajemnicza cisza mówi mi o tem. Miasto jakoś dziwnie, bardzo dziwnie wygląda.

Idę dalej — złudzenie pierzcha. Spotykam grupy robotników, baby, śpieszące na targ, wóz, skrzypiąc, toczy się przez ulicę, pies zdala zaszczeka; tu życie się budzi. Widzę już kominy fabryczne, a nad każdym z nich słup ciemnego dymu. I dziwna rzecz, dym ten nie rozbija się w kłęby, nie faluje, nie stacza się na dół, lecz jak strzelił do góry, tak zawisł i stężał nad kominem.

Hen, zdala, dochodzi echo świstawki fabrycznej i w czystem powietrzu roznosi się szeroką, przeciągłą nutą. Wreszcie rozległy się miarowe uderzenia dzwonu. Echo biegnie wdal, wpada do sąsiedniej fabryki, zda się — rozbudziło i drugi dzwon; połączyło się z nim w zgodną nutę i biegnąc z podwórza na podwórze, z fabryki do fabryki rozkołysało wszystkie dzwony i zlało się z niemi w jeden potężny chór:

— Do roo-bo-ty! Do ro-bo-ty!

Obrazy i marzenia pierzchają. I jak tu ta maszyna, co pod głos dzwonka w ruch puszczona zostaje, tak i ja krok mimowolnie przyśpieszam.

Chwila — i już także jestem w ruchu.

Wacław Berent.

79. Łódź o świcie.

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgiełkliwiej inne i darły się chrapliwemi, niesfor-

nemi głosami, niby chór potwornych kogutów, piejących metalowemi gardzielami hasło do pracy.

Olbrzymie fabryki, których długie, czarne cielska i wysmukłe szyje-kominy majaczyły w nocy, w mgle i w deszczu, budziły się zwolna, buchały płomieniami ognisk, oddychały kłębami dymów, zaczynały żyć i poruszać się w ciemnościach, jakie jeszcze zalegały ziemię.

Deszcz drobny, marcowy deszcz, pomieszany ze śniegiem, padał wciąż i rozwłóczył nad Łodzią ciężki, lepki tuman: bębnił w blaszane dachy i spływał z nich prosto na trotuary, na ulice czarne i pełne grząskiego błota, na nagie drzewa, przytulone do długich murów, drżące ze zimna, targane wiatrem, co zrywał się gdzieś z pól przemiękłych i przewalał się ciężko błotnistemi ulicami miasta, wstrząsał parkanami, próbował dachów i opadał w błoto i szumiał między gałęziami drzew i bił niemi w szyby niskiego, parterowego domu, w którym nagle zabłysło światło.

Deszcz mżył bezustannie i zacinał skośnie, aż do pół okien małych domków, co w tym końcu Piotrkowskiej ulicy stały gęsto przy sobie, gdzie niegdzie tylko jakby rozepchnięte olbrzymem fabrycznym lub wspaniałym pałacem fabrykanta.

Szeregi niskich lip na trotuarze gięły się automatycznie pod uderzeniem wiatru, który hulał po błotnistej, prawie czarnej ulicy, bo rzadkie latarnie rozsiewały tylko koła niewielkiego żółtego światła, w którem błyszczało czarne, lepkie błoto na ulicy i migały setki ludzi, w ciszy wielkiej a z pośpiechem szalonym biegnących na głos tych świstawek, co teraz coraz rzadziej odzywały się dokoła.

Tysiące robotników, niby ciche, czarne roje, wypełzło nagle z bocznych uliczek, które wyglądały, jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta, niby wielkie śmietniska, napełniło Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek, błyszczących w świetle latarń, stukiem suchym drewnianych podeszew trepów i gwarem jakimś sennym, oraz chlupotem błota pod nogami.

Zalewali całą ulicę, szli ze wszystkich stron, zapełniali trotuary, człapali się środkiem ulicy, pełnej, czarnych kałuż wody i błota. Jedni ustawiali się bezładnemi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża, znikali w bramach, jakby połykani zwolna przez buchające światłem wnętrza.

W ciemnych głębiach zaczęły buchać światła. Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych

okien i niby ognistemi ślepiami świeciły. Elektryczne słońca nagle zawisały w cieniach i skrzyły się w próżni.

Biały dymy zaczęły bić z kominów i rozwłóczyć się pomiędzy tym potężnym kamiennym lasem, co tysiącami kolumn zdawał się podpierać i jakby chwiał się w drganiach światła elektrycznego.

Ulice opustoszały, gaszono latarnie, ostatnie świstawki przebrzmiały, cisza pełna chlupotu deszczu, coraz cichszych poświstywań wiatru rozwłóczyła się po ulicy.

Otwierano szynki i piekarnie, a gdzie niegdzie, w jakiemś okienku na poddaszu lub w suterynach, do których sączyło się uliczne błoto, błyskały światła.

Tylko w setkach fabryk wrzało życie wysilone, gorączkowe; głuchy łoskot maszyn drżał w powietrzu mglistem.

Już szarzało, ze słabego, przemglonego świtu zaczynały powoli wychylać się kontury drzew, fabryk i domów.

Piotrkowską zaczynały ciągnąć od rogatek sznury chłopskich wozów, od miasta turkotały po wybojach olbrzymie wozy towarowe, ładowne węglem, i platformy, naładowane przędzą, bawełną w belach, surowym towarem lub beczkami, a pomiędzy niemi przemykały pośpiesznie małe bryczki, lub powoziki fabrykantów, śpieszących do zajęć, lub tłukła się z hałasem dorożka, wioząca zapóźnionego oficjalistę.

Władysław Stanisław Reymont.

80. Kopalnia węgla.

Przed wielu tysiącami i setkami tysięcy lat ziemię pokrywały olbrzymie przestrzenie błot, porosłych lasami, złożonemi z wielkich drzew. Drzewa te były podobne z postaci do dzisiejszych skrzypów, paproci, widłaków, lecz były od nich nieskończenie większe, tak wielkie, jak nasze dęby i sosny. Takie lasy zatapiała nieraz woda, unosząc je do jezior i kotlin.

Tam drzewne pnie czas jakiś unosiły się na powierzchni, aż wkońcu, nasiąknąwszy bardzo wodą, stawały się od niej cięższemi i opadały na dno. Muł, osadzający się z mętnej wody, pokrywał je coraz to grubszą warstwą. W wilgoci, na dnie spokojnych jezior drzewo, układające się warstwami jedna nad drugą, powoli butwiało bez dostępu powietrza, zmieniając się z biegiem wieków na warstewkę węgla. Na tę cienką warstewkę układała się nowa i t. d., aż po tysiącach lat z uniesionych przez po-

wodzie pni drzewnych pozostały te grube nieraz na kilkanaście stóp pokłady węgla, które po wyschnięciu wód znajdujemy dziś głęboko w ziemi, pod warstwami skał, które także powstały z osadów wodnych. Węgiel zwykle znajduje się w zagłębiach ziemi, gdzie niegdyś nagromadzały się wody (np. nasze zagłębie Dąbrowskie).

Pokłady leżą często na znacznych obszarach, poprzedzielane warstwami różnego rodzaju skał.

Pokładów takich, cienkich i grubszych, znajduje się wiele w różnych okolicach ziemi.

Jeżeli teraz, po wielu tysiącach lat, ludzie natrafią pod ziemią na gruby pokład węgla, urządzają tam kopalnię, z której wykopują węgiel i wydostają go na powierzchnię. Kopalni węgla kamiennego mamy i u siebie niemało; słynne są w Dąbrowie Górniczej, w Sosnowicach, w Będzinie i wielu innych miejscowościach południowo-zachodniej granicy Królestwa Polskiego [1]).

Dla założenia kopalni kopie się najpierw w ziemi głęboki dół, jakby studnię, dochodzącą aż do pokładu węgla. Studnia ta zowie się szybem. W bok od szybu wyłamuje się węgiel, przez co powstają podziemne korytarze i pieczary. Ponieważ przytem mogłyby ściany i sklepienia zawalić się, podpierają je słupami murowanemi, lub drewnianemi belkami.

Takich korytarzy bywa w kopalniach bardzo wiele. Jedne leżą wyżej, inne niżej, tworząc tak zwane piętra kopalni. Czasem korytarze podnoszą się ukośnie w górę, to znów schodzą ukośnie w dół, zależnie od tego, w jakim kierunku leży pokład węgla. Jeśli w jednem miejscu pokład okazuje się zbyt cienkim, lub wyczerpuje się po pewnym czasie, wówczas zaczynają kopać w innem miejscu.

Ludzie, zajmujący się wydobywaniem z pod ziemi węgla lub innych minerałów, zowią się górnikami. Nazwa ta pochodzi stąd, iż dawniej kopalnie znajdowały się głównie w okolicach górzystych. Nad prostymi górnikami są przełożeni, dozorcy robót, zwani sztygarami. Całą zaś kopalnią zarządzają inżynierowie-górnicy, to jest ludzie wykształceni w wyższych szkołach górniczych, znający się doskonale na kierowaniu robotami górniczemi.

Górnicy wyłamują węgiel dłótami i młotem, lub drągami żelaznemi i oskardami. Częściej jednak rozsadzają go prochem lub dynamitem.

---

[1]) dawnego, przed wojną wszechświatową.

Wyłamany i rozbity na kawały węgiel ładują na wózki, które ciągnione są przez konie po szynach, przeprowadzonych na podłodze po korytarzach w kopalni. Jeden koń ciągnie zwykle kilka takich wózków, pozczepianych z sobą.

W ten sposób dowożą węgiel do szybu, gdzie odprzęgają konia, a wózki wyciągają windami na wierzch. Tam węgiel gatunkują na większe i mniejsze kawałki, przesiewając go przez ogromne żelazne sita czyli rafy. Wysortowany węgiel przewożą do stacyj kolejowych, lub zsypują go wprost do podstawionych wagonów, te zaś rozwożą go w różne strony kraju i świata.

Praca górników jest bardzo ciężka i niebezpieczna. Ciężka — bo trzeba pracować w podziemiu, bez światła słonecznego, w pyle, w powietrzu zimnem i wilgotnem, jak w piwnicy. Tylko w bardzo głębokich kopalniach jest nieco cieplej. Niebezpieczna jest praca górników dlatego, że narażeni są co chwila na kalectwo i śmierć. Nieraz giną od odłamów węgla, rozbijanych prochem lub dynamitem, a częściej jeszcze od wybuchów gazu i pyłu węglowego. Wybuchy takie zdarzają się w wielu kopalniach wskutek tego, że tworzy się tam pewien gaz łatwo zapalny, ulatniający się z węgla i rozchodzący się po korytarzach. Jeśli górnik z płonącą lampką wejdzie tam niechcący, wtedy gaz ten zapala się natychmiast z taką siłą, że następuje straszny wybuch: zawala się korytarz, i nieraz giną dziesiątki nieszczęśliwych robotników. Ileż to razy słyszy się o podobnych wypadkach! Nie możemy być pewni, czy węgiel, który wkładamy do naszego pieca, nie został okupiony życiem ludzkiem.

Bywają i inne wypadki. Czasami zawali się korytarz przez wygnicie podpór, albo przez nieostrożne wyłamywanie węgla. Górnik, schodzący rano do kopalni, żegna się z żoną i dziećmi, nie będąc pewien, czy ich kiedy jeszcze zobaczy.

Dziwne jest życie w ponurem podziemiu kopalni węgla. Ludzie migają woddali latarkami, jak bajeczne duchy w czarnej otchłani. Ściany pokryte są wilgocią. Wszędzie sączą się po ścianach cienkie strumyki wody, ze sklepień krople jej spadają na ziemię miarowo, z głuchym łoskotem, który echem rozchodzi się w podziemiu. Woda ta zbiera się na dnie korytarzy w rowy, skąd idzie do większych zbiorników, a stamtąd zostaje wypompowana nazewnątrz. Do pompowania wody służą olbrzymie maszyny parowe, ustawione zwykle w głębi kopalni. Wspaniały jest widok takiej ogromnej maszyny, stojącej w podziemiu. Jest to prawdziwy obraz potęgi rozumu ludzkiego. Taż sama maszyna winduje także węgiel do góry.

Czasami pokład węgla leży tuż pod powierzchnią ziemi. Wtedy wykopują doły i zaczynają wyłamywanie węgla z góry, od powierzchni. Podobne miejsce w kopalni zowie się odkrywką; taka robota jest oczywiście znacznie łatwiejsza.

Węgiel kamienny jest materjałem nieocenionym dla człowieka: nie licząc już pieców i kuchni w naszych mieszkaniach miejskich, wszystkie prawie maszyny w fabrykach i na kolejach żelaznych są opalane węglem; węgiel wytwarza ciepło, które zamienia wodę w parę, a ta porusza maszyny i tym sposobem dostarcza ludziom olbrzymiej siły w przemyśle. Kraje, które obfitują w węgiel kamienny, a przytem posiadają żelazo, mają wogóle wiele fabryk i bardzo rozwinięty przemysł fabryczny.

Mieczysław Brzeziński.

81. W kopalni węgla.

Najwięcej dla mnie nęcące do zwiedzenia były w Zagłębiu kopalnie węgla.

Kopalnia składa się z dwu części. Całe jej królestwo podziemne to część jedna, główna, z którą się łączy osiadła na powierzchni część pomocnicza. Tu, „na wierzchu", w halach[1]) mieszczą się motory parowe i elektryczne, poruszające windy, rozsyłające światło do kopalni, zużywające siłę swoją na górze, przy gatunkowaniu (sortowaniu) węgla i przy ładowaniu go do wagonów. Cała ta fabryka, wytwarzająca i kierująca wielkiemi siłami, rozporządzająca wielką nieraz ilością rąk roboczych. Tu, na powierzchni, „wirchu", wre życie maszyn i ludzi. Niewielkie napozór motory wydobywają z siebie siły, poruszające jakieś koła, jakieś sprężyny, jakieś mechanizmy... Rozbiegają się te siły na wszystkie strony... Łoskot, huk, miarowe, rytmiczne głosy maszyn... Ogromna sortownia żelaznemi klawiszami gra... Obraca się tajemnicze koło, na niem żywa, ruchoma, żelazna wstęga.

Na płytach, jak poczerniałe, zeschłe, kształtów wyzbyte owoce-olbrzymy, leżą bryły węglowe. I opuszczają się te czarne pół-kamienie z wierzchu samego wstęgi ruchomej sortowni niżej i niżej, na sam dół.

Przed okiem migają tylko szkliwem bocznych powierzchni. Maszyna na dole wyzwala się cicho, równo z leżącego na niej

---

1) hala — wielka sala.

ciężaru. Jeden za drugim kamień węglowy kładzie się na dno wózka. I z tych odłamów urasta masa cała. I wtenczas jakieś tajemnicze ręce chwytają wóz jeden, a inny bratni podwodzą... Pełnią się wozy, klawisze maszyny grają. Na te inne wstęgi sortowni padają drobniejsze okruchy węglowe. Nazywa się to, o ile pamiętam, „kostką“, „orzeszkiem“, „miałem“... Tuż obok sortowni całe tajemnicze urządzenia kolei. Wielkie wozy długiemi szeregami stoją. Jakieś niespodziane mechanizmy rozrywają ich rzędy, ustawiają je wedle jakichś prawideł, jakichś potrzeb. Czarne masy węglowe pobłyskują. — Oto już pojadą w świat...

A najciekawsze jest, naturalnie, wnętrze samo kopalni. Podchodzi się do szybu, „serca kopalni“, owej tajemniczej paszczy, otwartej w samą głąb. Cicha równa praca windy. Dzwonek ostro zadźwięczy. Opuszcza się szalą w dół, bezhałaśliwie, równo. Leci, leci z przedziwną szybkością. Przecina miękkie, sprężyste pokłady powietrza. Przemiją jedne za drugiem warstwy cembrowania, coraz to niżej, głębiej to coraz. Woda ze ścian studziennych ocieka, srebrne jej błyski migocą w świetle lampek górniczych. Czasem szmer wodny się wzmoże. Jest przecząca, żywa siła w tym głosie... Już się czuje, już się zna jej moc, jej władanie...

Do serca ziemi coraz bliżej, do jej nieznanych nie owładniętych tajemnic bliżej. Otwierasz się przed nami powoli, paści[1]) ziemna...

Tajemnicza otchłań rozwarta...

Jedziemy, jedziemy w głąb... Jazda szybka, szalona. Błyskawica myśli mózg przecina: — gdyby ciemna klatka runęła w dół... Wszystko już jedno. Wszystko jedno...

Podszybie... Winda przystaje. Z więzienia klatki wchodzi się w wielką, sklepioną salę podziemną. Światło elektryczne, ruch, życie. Czyliż to 400 metrów pod ziemią... Nie czuje się gniotu skorupy, w gwarze skupić myśl trudno. Wagoniki pełne węgla, poruszane siłą elektryczną. Te inne, ciągnione przez konie kopalniane. Jadą wszyscy ku szalom, przystają, czekają kolei. Idziemy. Zrazu sklepiony, szeroki korytarz. Białe światła elektryczne. Idzie się tak czas jakiś. Jeszcze tu ten sam ruch i życie. Tłumy wózków, tłumy ludzi. Pozdrowienie każdemu. Mówi się w podziemiu: Szczęść, Boże...

Pozdrawiają i robią dalej. Oto „laska“, wielki ciężki, kuty świder, którym górnik w skałę węglową się wwierca. „Boruje“

---

[1]) przepaści.

nim dziury, długie metrowe miny, do których proch zakłada. Praca to już biegłego, doświadczonego górnika. Trzeba umiejętnie nabój założyć... sztuka to mądra i nielada. Trzeba z siłą węgla się zmierzyć, własną wypróbować siłę, doświadczeniem, długoletnią świadomością rozpoznać trzeba, która warstwa węglowa najsłabsza, kędy rana, skale zadana, śmiertelną dla niej będzie. Na bój! na bój, górniku!

Gdy już założone naboje, podłożone lonty górnickie, ręce są wolne — a prochom wtedy do roboty się brać. Wychodzą natenczas z filaru górnicy na dalszy chodnik. — Ogień — ogień — przestrzegają długim, poważnym okrzykiem.

Głos tu w podziemiach przytłumia się, przycicha — ani tchu pełnego nabrać w piersi, ani pełnego dźwięku na świat wyrzucić.

— Ogień — ogień — wołają tymże przyciszonym głosem ładowacze-pomocnicy, ludzie, na wózki zbierający opadły węgiel. Praca ich ciężka, a tak zgrzewająca, że są już tylko nawpół odziani. Nadzy do pasa, czarną suknią z miałów węglowych pokryci. I czekamy tu wszyscy razem owoców pracy. Ogień lontowy nabojów dosięga. Oto wybuchają prochy. Głuche, długie łoskoty. Dymy siarczane gęstym obłokiem ku nam podchodzą. Losy się ważą: węglowa siła i prochu siła.

Cóż się stanie? Jaki plon padnie? Czekamy jeszcze — dymy się snują, a tam, wiadomo, jeden ładunek nie wybuchł. Nareszcie. Zatrzęsła się ziemia dokoła, przemówiła złym, zgłuszonym a szerokim głosem.

— Tąpie — tąpie — mówią górnicy. Okruchy węglowe z pomiędzy stempli [1]) lecą. Czarnemi ziarnami padają na głowy nasze...

Po pewnej chwili spokój wraca. Górnicy z lampkami do filaru śpieszą. Jeszcze się wali węgiel ze stropu. Oberwane wielkie odłamy skały na boisku leżą. Tam ściana raną otwartą patrzy. Przystawia ku niej górnik drabinę swoją. Zawiesza wysoko ponad głową lampinę o żółtawem świetle. I oto dalszą swoją pracę prowadzi. Kilofem [2]) bryły obrywa, a potem robota górnicka ranę zamyka i stemplami drewnianemi podbija.

Te są górnika najważniejsze prace.

Stary, gęstym, bielejącym zarostem obrosły górnik stoi przede mną.

— Długoż tę pracę robicie, ojcze?

---

[1]) podpory pod sklepieniami szybu; [2]) narzędzie górnicze do rozbijania skał i pokładów węgla.

— Czterdzieści i jeden lat. Trzy razy mnie zasypało, ogień już nieraz gasiłem, wody płynące widziałem.

— A praca wam ciężka?

— Nie lekka... pragnienie w duszności podziemnej pali, czy dniem, czy nocą się robi. Noc wieczna, a czasem przy „dniówce" nocnej tygodniami słońca Bożego nie widać. Robić to ciężko, a robić trzeba, bo z czegóż żyć...

— Skądeście, ojcze?

— A wiadomo, ze wsi.

— A nie wolelibyście tej dawnej, wiejskiej, dobrej pracy?

— A któżby tego nie wolał... tylko niech mi pani oną ziemię da — zwraca się do mnie z ironicznem, gorzkiem spojrzeniem.

Do pracy na roli, gdyby go tylko wyżywić mogła, wróciłby górnik każdy. Pracy fabrycznej jąłby się mniej chętnie. I płacą gorzej, i warunki inne.

— Robiłem „na wierzchu" czas jakiś — opowiada górnik — ale wolałem powrócić tu. Tam ze mnie mróz skórę zdarł.

Skóra bowiem w ciągu wieloletniego pobytu w dusznem, ciepłem powietrzu kopalni wydelikaca się nadmiernie.

Opowiadają o wypadkach, z górnictwem związanych. O tych rzekach podziemnych, chyłkiem skradających się do filarów i chodników, o tych dymach duszących, które na życie ludzkie czyhają, o tych ogniach wnętrznych, palących się dookoła, które sztuką górnicką zmóc trzeba i zamknąć trzeba.

— A chodzą też duchy-skarbniki po kopalniach?

Górnik w oczy uważnie patrzy.

— To tak ludzie mówią... nie widziałem ja...

Czuję, że tajemniczej, groźnej struny dotknęłam.

— Są tacy, co widzieli... są tacy, którym skarbnik się jawi... Czasem jasną lampę w ręce trzyma taką, jak ma pan sztygar... Czasem przyjdzie i o ogień prosi... Ogień mu trzeba dać, ale nie z rąk do ręki.. Na końcu kilofa podać.

I pochylił stary górnik głowę w zadumie. Stoi i myśli, czterdzieści lat przemyślał, w tej czarnej jaskini węglowej zamknięty. Noce miał dwojące się: te jedne na ziemi, te drugie w tutejszej ciemnicy. Choć słońce na ziemię świeci, choć wichry nad nią grają, a burze pyłami niosą, górnik tu, jądru ziemi bliski, w głębi, pod dnem mogiły już każdej kilofem w skałę twardą uderza, podziemiom wolę swoją znaczy. Oberwiesz mi się, czarna skało, sile się mojej pokłonisz... Pochylisz się ku mnie, słupie mogilny, pod stopy cię wezmę, i zdepczę, i pognam przed siebie... Stoję

ja jeden — i ramion mam tylko tych dwoje... A kiedy zechcę — podźwignę, a kiedy zechcę, kamienie was czarne, twarde pokonam.

Albo i tobie, ogniu, żarem miecący, ukorzyć się przede mną. Zamknę cię po woli mojej w twarde kręgi, zadławię uściski twoje płomienne, wyrwę ci z paszczy krwawe, chytre języki. Schowasz się w sercu własnem, ogniu podziemny, aż serce to twoje przetopisz i spalisz... I tobie, rzeko, w ciemnościach biegąca — ja mocarz — górnik, podolę.

Wody twoje tajemnicze — już — już czyhają na mnie... Wody przedzierają się ku stopom moim, ku ramionom moim... A oto ja temi stopami drogi ci inne wyznaczę, a oto ja temi ramionami strumień twój wezmę i pchnę...

Górnickie życie moje! górnicka dolo moja! górnickie siły moje!

I nie straszno mi was, siły ziemi, kiedy ku mnie we wszystkich mocach podchodzicie.

Legł brat jeden... ojciec legł... i tamten towarzysz padł w boju...

A oto ja idę i idę. I dolę moją znam i walki moje znam... Jeno mi ślepiów stróża-skarbnika, straszno... Jeno tych zimnych jego, martwych rąk, w których trzyma żółtą górnicką lampę... Oto idzie on przygłuchemi krokami... Raz, drugi w czarną, węgielną ścianę zapuka... raz, drugi światłem złotem pobłyska...

Idź że ty, idź drogą twoją własną, skarbniku, idź że ty, idź... przede mną jeszcze życie moje górnickie...

Marcelina Kulikowska.

82. W kopalni węgla.

Ubrani w grube buty, w skórzane kaftany, zapięte na sprzączki, trzymając w ręku mosiężne lampy, w których płonie knot, umoczony w oleju, stanęli w szali.

W pierwszej sekundzie, kiedy jej deski, stojące narówni z podłogą, drgnęły, Judym doświadczył takiego wrażenia, jakby mu kto ścisnął gardło. Wkrótce przyszło orzeźwienie, szum w uszach i lekka bojaźń w sercu.

Czarne belki cembrowiny migały się w oku, niby szeregi jakich schodów nieskończonych.

Gdy szala stanęła, wyszli na korytarz suchy i oświetlony lampkami elektrycznemi. Uwijało się tam mnóstwo ludzi, przy-

chodziły i odchodziły szeregi wozów, ciągnionych przez wyuczone konie. Z tych pierwszych, widnych galeryj dostali się przez kręte szlaki do maszyn, pompujących wodę. W ich okolicy skończyło się światło. Jedynem jego źródłem stały się odtąd kaganki, niesione w ręku. Miejsce było gładkie. Spód korytarza zajmowały szyny. Po nich wędrowały ciągle szeregi wózków z fedrunkiem[1]), ciągnione przez konie.

Drzwi, niewidoczne w ciemności, ustawione tu i owdzie dla skierowania powietrza do chodników, otwierały tajemnicze ręce ludzi zgrzybiałych, którzy na miejscu odźwiernych dokonywają żywota. Inżynier, mijając takie drzwi, rzucał wyraz:

— Glikauf!

— Glikauf! — odpowiadała ciemność.

Było w tym dźwięku coś ściskającego serce. Przywierał do mózgu obraz figur tych starców, ledwie dających się w mroku wyróżnić, tych czarnych brył, które za życia mieszkają w grobie, śnią w nim przez resztę dni swoich, jak pająki, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy już na zawsze wstąpią do ziemi, kiedy wejdą w jej zimne łono na „szychtę" wieczną. Łańcuch ciemnej niedoli przykuwa ich do miejsca. W starczem drzemaniu widzą pewnie ciepłe słońce wiosenne i jasne łąki, kwiatami zasiane...

Korytarze mało różniły się między sobą. Jedne z nich wykute były li tylko w węglu, inne posiadały wręby ze ścianami z cegły, wmurowanemi dla zatamowania ognia i mokrego a sypkiego piasku, który zowią kurzawką. Zwyczajny chodnik o stropie półokrągłym zamieniał się stopniowo na korytarz ze stemplami[2]), na których leżały kapy[3]), podtrzymujące rodzaj sufitu, czyli *okorki*. Te korytarze doprowadziły do brzegu pochylni[4]), idącej w kierunku upadu warstw węgla. Z boku czarnej czeluści sunęła w dół drewniana rynna, po której spychano drzewo. Obok szła stalowa, czy żelazna lina, wciągająca wózki. Ciemność, ciemność gęstą od kwaśnego czadu rozświecał tylko czasem daleki ognik niewidzialnej postaci. W pewnych miejscach były tam schody, a właściwie szczeble, do tarcic przebite; gdzie indziej szło się po oślizgłej desce. Na dnie kopalni, w głębokości dwustu kilkudziesięciu metrów pod ziemią zimny i wilgotny przeciąg wlókł się korytarzami. Była ich tam sieć cała, w której przechodzień doświadczał bolesnego niepokoju, jaki musi wstrząsać rybą, gdy się spotka z gęstemi okami matni[5]). Szli w jakimś kierunku,

---

[1]) fedrunek — ładunki wydobytego węgla; [2]) podpory drewniane; [3]) bale poprzeczne; [4]) pochylnia — korytarz, idący pochyło; [5]) sieci.

który wydawał się stroną prawą, do lochu, dźwigającego się w górę pochyło a stromo i tworzącego ślepą sztolnię[1]). Wkrótce musieli schylić się w pałąk, gdyż piętro było tak niskie, że pod niem ledwo mógł się przesunąć wózek z „urobkiem".

Gdzieś, daleko, jakby u szczytu tej góry widać było chodzące z miejsca na miejsce blado-żółte światełka.

W zaklętej komorze, która się nagle znalazła, słychać było pracę kilku ludzi.

— Glikauf — rzekł Korzycki.

Odpowiedziano chórem przyjaznemi głosami, które dziwne i głębokie zrobiły na Judymie wrażenie.

— Glikauf, glikauf... — mówił do nich i on w głębi duszy.

Właśnie wtedy przerwało jakby tamę swoją nowe źródło tęsknoty za Joasią, tęsknoty tak bolesnej, bardziej bolesnej, niż w chwili pożegnania...

Górnicy w czarnych „kapach"[2]) i w „bergelederach"[3]) nabijali prochem, grubym, jak ziarnka kukurydzy, długie tuleje papierowe. Otwory w miejscach właściwych już były wyświdrowane długiemi „laskami" ze stali, o zakończeniach, podobnych do grotów piki. Gdy ładunek został nabity, lont weń włożony i przystemplowany z wierzchu szczelnie gruzem zapomocą stempora, jak nabój w lufie, jeden z pracowników zapalił dwa żygadła, drugi — dwa, trzeci — dwa. W mroku gęstym od pyłu i dymu ukazały się niby jakieś niebieskawe strugi cieczy, sączącej się od góry. Płomyczki doszły do muru — i znikły.

Wówczas drabiny szybko odstawiono i wszyscy z pośpiechem wyszli do sąsiedniego chodnika. Tam czekali z dziesięć sekund, nim się odezwał pierwszy wybuch. Prąd powietrza runął w sąsiednie galerje i komory, dźwigając na sobie ostry zapach prochu. Bryły węgla, hucząc, waliły się za przyległem filarem, a na wszystkie strony w ścianach coś sypało się z prędkim trzaskiem i szelestem, na podobieństwo stada szczurów, biegających za makatami. Potem nastąpił drugi wybuch, za nim trzeci i czwarty. Dym wypełnił galerje i ciągnął leniwie do przejść. Wdali słychać było huk ładunków dynamitowych i czuć słodkawy ich zapach. Judym podniósł do góry swą lampę i przyglądał się ścianom. Gładkie, albo chropawe ich płaszczyzny tu i owdzie miały na sobie rysy ostrego żelaza, jakby pismo jakieś klinowe, pracowicie wyryte. Idąc zwolna obok gładkiej ściany,

---

[1]) sztolnia — rodzaj korytarza podziemnego; [2]) kapa — nakrycie głowy u górników; [3]) pas górniczy.

miał złudzenie, jakby je czytał. Ze znaków koślawych, kierujących się to w tę, to w inną stronę, składała się historja tych czeluści.

Zdawało mu się, że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej, nie sianej, przez którą nie szła jeszcze stopa człowieka. Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy, w drzewa wybujałe, straszne widłaki i inne niewidzianych form, mistycznej piękności, albo potwornej brzydoty, jakieś sigillaria, odontapterydy, lepidodendrony... Te wielkie potwory, splecione między sobą łańcuchami lian, krzewiły się na pulchnem trzęsawisku, gdzie mchy przepyszne i niewysłowione kwiaty pachniały w czarnem gorącu wieczystych cieniów. Słodkie, upalne lata wyciągały z ziemi pod chmury te pnie i gałęzie, dostępne tylko dla wzroku i skrzydeł; wilgotne, deszczowe zimy zasilały glebę na wieki. Swobodne wichry, w dalekich stepach i w śniegach łańcuchów górskich zrodzone, przylatywały bić puszczę, rycząc, jako szczenięta lwie. Wtedy kołysała w łonie swem pieśń, huczącą na podobieństwo morza. Jakże często trzaskał w nią piorun, a huragan ją deptał, łupił i rwał! Dzikie chmury iskrą czerwoną zapalały jej głębie śpiewające.

Wtedy gorzała, jak wielki stos. Ale gdy deszcz ustawał, przychodziła wieczyście młoda, liljowo-ramienna wiosna, jak dziewczątko, szukające kochanka, i swawolnemi usty zdmuchiwała pyły roślin w ziemię rozmokłą, marzącą o cieniu konarów. Nowe morze zieleni wylewało się na ten sam grunt, przez który pędziły krzemienne kopyta ognia i sprychy jego wozu, tak samo prędkie, jak wicher.

I znowu na ciszę gęstwin młodej puszczy przypadał niespodziewany krzyk wojenny jaguara i rozdzierał ją wrzask śmierć głoszący bezlitosnego orła.

Aż oto wielkie jakieś morza, w głębi lądów próżnujące, wyrwały się ze swoich grobel i puściły prądy szalone, które zdjęły z korzeniem olbrzymie lasy, niosły je w pianach swych, niby flotę okrętów zdruzgotaną i pchały w te zaklęsłe niziny. Tu je niezmierną masą wwaliły, jakby do grobu. Przykryły je warstwami gruntu, zdjętemi z gór. W ciągu tysięcy lat w ciałach tych krzewów, na których gałęziach ptaki niezliczone gniazda sobie słały, ustało życie i począł się tajemny rozkład. Wielkie ciśnienie zapadniętych warstw, napływy wód i czas wiekami idący, czyniły sprawę podziemną: stwarzanie wody z tlenu i wodoru tych cielsk obumarłych, wydobywanie z nich kwasu węglanego i tlenku węgla. Został tylko węgiel sam, jedyny, w olbrzymim nadmiarze,

nie mający się z czem połączyć, jak samotny duch ciemności. Straszliwe jego cielsko martwiało, stygło i umierało w sobie samem tysiące lat. W męczarni zrastało się samo ze sobą, tuliło się do siebie, jak byt przeklęty. Z dawnej budowy nic nie zostawił czas długi. Tylko jakby jedyne echo z ojczyzny, gdzie wszystko kwitło, rosło i kochało się w niebiosach, został nikły rysunek warstw pnia, albo odcisk powiewnego liścia w czarnym, żałobnym kamieniu.

Długie prace przyrody, nie dające się myślą ogarnąć zaczyny i odczynienia człowiek chwyta jako łup swój zapomocą pracy krótkotrwałej, chytrej i ułatwionej. Przychodzi w święte czeluście z bladym płomykiem i krótkim swoim kilofem. Siłą nędznego ramienia wyniesie to, co tu schował ocean. Bierze cały pokład do cna, od wychodni do upadu, zgrzebie okruszyny i na świat wyda. Zostawi tylko hałdę [1]) na wierzchu i próżnię w głębinie.

Ziemia nie oddaje swej pracy i swojego dorobku bez walki. Prosta i obojętna, jak dziecko, od człowieka uczy się zdrady. Czyha na niego z bryłami, które ruszył, ażeby mu je cisnąć na głowę, gdy się nie obejrzy. Rozsiewa w jego komorach śmiertelne gazy i czeka, jakby w niej biło serce pana puszcz zmarłych — tygrysa. Wylewa zaskórne, niewidzialne wody. Spuszcza ciemne jeziora, od wieków nieprzeliczonych kropla po kropli zebrane, a śniące na zimnych granitach. Otwiera podziemne baseny kurzawki [2]), którą zawaliska ruszyły, i gliniastym jej mułem napełnia galerje, pracowicie wykute. *Stefan Żeromski.*

83. Przy windzie w przędzalni.

Sale były jeszcze ciche, zmroczone, zalane na dole elektrycznem światłem, a w wyższych piętrach przesycone mdłemi zapachami dnia, w których majaczyły potężne korpusy maszyn, niby stado bydląt potwornych, leżących bezwładnie, a przyczajonych, jakby do skoku. Pasy i transmisje [3]) zwieszały się ciężko, niby żyły wyprute, niby ramiona, sennie opuszczone.

Robotnicy wpadali pośpiesznie, witali się skinieniem, oglądali tępo po salach i przywierali do maszyn cicho i pokornie, z jakąś uległością bojaźliwą.

---

[1]) hałda — kupa ziemi i kamieni, wyrzuconych z kopalni; [2]) mokry albo sypki piasek w kopalni z wodą podziemną, zalewający kopalnię; [3]) transmisja — pas lub łańcuch, przenoszący ruch z jednego przyrządu na drugi.

Niedokończone w drodze pacierze brzmiały gdzie niegdzie w pośród żelaznych szkieletów maszyn; gdzie niegdzie rozmowa, czasem trwożny głos zabrzmiał głośniej, ale przycichał natychmiast, tylko zmęczone spojrzenia biegały ku oknom, poza któremi stały zielone drzewa, ku polom, jakie widać było pokryte młodą runią zbóż, ku lasom dalekim, dalekim... ku słońcu, ciepłu, powietrzu, swobodzie...

Naraz ryknął sygnał roboty!

Ludzie się wyprostowali automatycznie[1]), maszyny drgnęły, strumień strasznej siły rozlał się wskróś fabryki... Pasy się skurczyły i naprężyły... dreszcz wstrząsnął zębatemi kołami maszyn... zadygotały żelazne bestje, zatrzęsły się ściany, pochylili się ludzie. Ruch pierwszy... jakby pod uderzeniem uraganu... mgnienie wahania... cichy jęk oporu... stłumiony oddech maszyn i ludzi... przyduszony strasznem rzężeniem wysiłku... Zmagania się sił... głuchy, śmiertelny bój... a potem nagły, ogromny, wstrząsający murami krzyk maszyn zwyciężonych i puszczonych w ruch.

— Winda! czwarta — huczał głos ponurem echem w głębokiej ciemnej studni czteropiętrowej, w której pracował pan Pliszka ze swoją windą.

Pociągnął za sznur i płynął cicho w górę, bez szelestu, jak potworny pająk po sieci rozpiętej.

— Winda, farbiarnia!

Zapadał znowu na dół, w ciemności; tylko przez czworokątne otwory w ścianach migały mu przed oczyma piętra, sale, ludzie, maszyny, towary, okna. Minął suszarnię, jasną, zróżowioną blaskami poranku strefę, która owiała go rozpalonem, straszliwie suchem powietrzem i głuchym, niepokojącym szumem maszyn, pokrytych w metalowe pudła; spadł przez apreturę[2]), przez warstwy zapachów sody, mydła szarego, rozgrzanych smarów, chlorku, wilgotnych a gorących wyziewów prasowanych materjałów, i przez szary, rozłzawiony odblask dnia trzeciego piętra przedzierał się przez postrzygalnię, przez dziwny, białawy świat pyłów bawełnianych, w którym połyskiwały zimno, długie, poskręcane ostrza maszyn strzyżących, a ludzie majaczyli, jakby w tumanie śnieżnym.

A potem, niżej jeszcze: — przez pralnię; przez gąszcz stłoczonych, rozkrzyczanych warsztatów, przez sieć pasów i transmisyj, co tysiącami ramion, niby głowonogi[3]) potworne, dusiły

[1]) t. j. bezwiednie, jak maszyny; [2]) apretura — oddział do wykańczania tkanin; [3]) potwór morski.

wszystko, obejmowały sobą, goniły, chwytały, spadały z pod sufitów, rzucały się przez piętra, przez mury, przez dziedzińce i zdyszane a niezmożone rzucały się na wały, na koła, ześlizgiwały się, podnosiły, okręcały, wszędzie i, przeniknięte mocą straszną, rozszalałe, dzikie w swej potędze — przepełniały fabrykę przyciszonym, a strasznym krzykiem triumfu!

A potem, niżej jeszcze — na samo dno fabryki; tam, gdzie już nie było świtania, ani dnia, ani nocy, do farbiarni, gdzie światła gazowe w tumanach par kolorowych rozkrążały tęczowe, przegniłe blaski; w monotonny plusk płóczarń, w chlupot roztrzepywanej bezustannie wody, w gryzące zapachy farb gotowanych, w jęk przeciągły maszyn, w chaos krzyków, ruchów i barw zmatowanych w nadludzki spazm wysiłków maszyn i ludzi.

— Winda! — grzmiał krzyk z góry, a pan Pliszka pociągał za sznur i jechał; przejechał znowu te cztery piętra — strefy, zabierał ludzi, towary, wózki, przystawał na mgnienie przed otworami sal, zapadał w noc, w mroki, w świtanie, wynurzał się w brzaskach dnia na wyższych piętrach, widział młode liście topoli niżej, a potem ogarniała go noc, i majaki maszyn kołysały się w cieniach i mrokach sal dalszych, a on jechał jednako cicho, powolnie, automatycznie...

Pan Pliszka jeździł już tak lat dwadzieścia.

Nie chorował nigdy, nie brał urlopu nigdy.

Był najstarszą maszyną fabryki, tylko maszyną, bo już zwolna zapominał o sobie, o własnem życiu, a chwilami już nie wiedział, czem był kiedyś i gdzie. Nie myślał już i nie marzył, nie mógł nawet, bo, ilekroć siedział wieczorem w swojej izbie, to zapadał w dziwny stan kontemplacji [1]) maszyn — czuł wtedy w sobie cały ruch fabryki, przesuwały się przez jego duszę nieskończone zwoje pasów, migotały zmatowane barwy materjałów, drgały ruchy maszyn, podnosiły się w nim koła pełne błysków stali, okrywał go dziwny przyduszony tuman krzyków fabryki, migotały w nim, jak cienie nikłe, jak cienie zapamiętane, sylwetki ludzi, a wszystko przyciszone, a tak wyraźne, tak żywe, tak jasne, że nieraz bał się poruszyć, aby nie być stratowany przez te potwory, które w nim się przewalały, które w nim żyły. I zwolna, zwolna żył tylko życiem fabryki, rozumiał i odczuwał tylko życie maszyn, i o nich tylko myślał, a myślał z czułością i trwogą niezmierną.

---

[1]) kontemplacja — rozmyślanie.

Cóż go obchodzić mogli ludzie, którzy, jak fala, przepływali tylko przez fabrykę, cóż go mogli obchodzić ci ludzie, którzy, jak psy, warowali na usługach maszyn, którzy, jak nikłe cienie, tulili się trwożnie do kolosów[1]; służyli im, zależeli od nich, żyli z łaski tych, potężnych, tych nieśmiertelnych i tych strasznych w swojej mądrości i potędze...

Uśmiechał się pogardliwie, patrząc na ich pogięte ciała, na ich trupie, wycieńczone twarze, na ich spracowane ręce... czemże byli wobec tych potężnych, których stalowe, połyskliwe ciała widział ciągle, czemże byli wobec sił tamtych? marnością, pyłkiem, niczem...

Przez dwadzieścia lat pan Pliszka widział już dziesiątki tysięcy tych ludzkich, nędznych istnień, wyżętych przez maszyny, niby łachmany, i wyrzuconych na śmietnik: a maszyny były, a fabryka trwała.

Pogardzał też ludźmi, a wielbił maszyny.

I żył coraz głębiej życiem fabryki.

Władysław Stanisław Reymont.

84. Fabryka tytuniu.

Na pierwszem piętrze ukazała się duża sala, formalnie wypełniona przez tłum kobiet, złożony z jakich stu osób, pochylony nad długiemi a wąskiemi stołami. Kobiety te, rozebrane w sposób jak najbardziej niepretensjonalny, zwijały cygarą prędkiemi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bolesnych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami, jak kucharki, wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytuniu w liście, które poprzednio zostały szybko a misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał, pracujących w upale, w miejscu niskiem i ciasnem, przeładowane pyłem startego tytuniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy.

Za pierwszą salą widać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymywać się w tem miejscu, i poprowadził go dalej przez wąskie schody i sionki, obok maszyn, suszących liście, obok młyna, mielącego tabakę, i sieczkarni,

[1] kolos — olbrzym.

krającej różne rodzaje tytuniu, do izb, gdzie pakowano towar gotowy. Wrzała tam szalona praca. Przechodząc, Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą. Szybkość ruchów jej rąk wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną białą tasiemkę i mota ją sobie na palce. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby je wyrzucała maszyna. Ażeby zrozumieć sens jej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejenia każdej torebki.

Za tą salą otwierała się izba przyćmiona, gdzie, według słów przewodnika, pracowała bratowa Judyma. Okna tej izby zastawione były siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracji[1]) miazmaty[2]) wewnętrzne. Leżały tam w kątach sąsieki grubo krajanego tytuniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo z sykiem długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratową. Miejsce jej było w rogu, tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się na nogach wysoki człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej, w drugim końcu siedział stary Żyd w czapce, zsuniętej na oczy tak nisko, że widać było tylko jego długą brodę i zaklęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej, po lewej stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytuniu, rzucała ją w szalę, a odważywszy ćwierć funta, podawała człowiekowi, kołyszącemu się na nogach. Doktór wstrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znowu zrozumieć manipulacje tej czwórki. Był to widok ludzi, miotających się jak gdyby w drgawkach, w konwulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetrji, metody i rytmu. Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudnione, między Judymową a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległościenne. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa w każdej chwili chwytała jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała tą ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała

---

[1]) tu: ulatniania się; [2]) wyziewy niezdrowe.

rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomyku gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał z jej rąk sąsiad mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nim dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne wyżłobienie stolnicy. Przyjmował z rąk dziewczyny, ważącej tytuń, szalkę. Wsypywał ćwierć funta w otwór naczynia i tłokiem, odpowiadającym kształtowi blaszanki, ubijał zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wyjmował formę z pełnej już tytuniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony, maczając lak w ogniu na wzór towarzyszki z przeciwnego końca warsztatu.

Pracownicy jednego stołu ładowali w ciągu doby roboczej tysiąc funtów tytuniu w ćwierćfuntowe paczki. To znaczy, że dostarczali ich cztery tysiące. Na zapakowanie jednej tracili nie więcej czasu nad dziesięć sekund. Były to zgodne ruchy, nagłe a niestrudzone rzuty rąk, jak błysk światła, lecące zawsze do pewnego punktu, skąd odskakiwały, niby sprężyste ciała. Judym widział tam jak na dłoni to, co chłopi zowią „sposobem“: *usus*, wypróbowany w krwawym trudzie, szereg środków cudacznych, które stanowią najkrótszą, najłatwiejszą, a niezbędną do przebycia linję między dwoma końcowemi punktami pracy. Przypomniały mu się własne „sposoby“ w klinice, na sali operacyjnej i tem głębiej zanurzyły jego uwagę w trud istot, które miał przed sobą.

W głębi izby stał stół zupełnie podobny do pierwszego z brzegu, a obok płomyka robiła kobieta w czerwonej chustce na głowie. Szmata zupełnie okrywała jej włosy. Widać było z pod niej duże, wypukłe czoło. Żyły skroni i szyi były nabrzmiałe. Zamknięte oczy po każdym małpim ruchu głowy otwierały się, gdy trzeba było przylepić lakiem rożek papieru. Wtedy te oczy, spoglądając na płomyk gazowy, błyskały jednostajnie. Twarz kobiety była wyciągnięta i ziemista, jak wszystkie w tej fabryce. Na spalonych, brzydkich, żydowskich wargach co pewien czas łkał milczący uśmiech, w którym zapewne skupiło się i w który z musu zwyrodniało westchnienie zaklęsłej, wiecznie łaknącej powietrza, suchotniczej piersi. Błysk pracowitych oczu i ten uśmiech wraz z całą czynnością przypominały szalony ruch koła maszyny, na którego obwodzie coś w pewnem miejscu migota, jak płomyczek świecący. *Stefan Żeromski.*

85. Roześmiała mi się dusza.

Roześmiała mi się dusza,
Kiej dziewucha na odpuście!
Gdym wioskowe ujrzał drzewa,
Moje drzewa w barwnej chuście!
Moje lipy pozłociste,
Osypane piosnką pszczelną —
Te topolki wystrzeliste
Ponad wieżę, nad kościelną!
Szmaragdową mą dąbrowę,
Srebrnokore moje brzózki!
Tę sosenkę z obrazikiem,
Co w opłotkach strzeże wioski!
Roześmiała mi się dusza,
Kiej dziewucha na odpuście!
I wybiegła z piersi drżącej
Na te łąki przy upuście.
Na te łąki, na te pola!
Między maki i bławaty,
Za jaskółki biegła lotem
Ponad strzechy, ponad chaty!
Popłynęła na zagrody
Z skowrończaną pieśnią społem,
Razem z rosą porankową
Opadała ponad siołem.
Roześmiała mi się dusza,
Kiej dziewucha na odpuście!
Skorom ujrzał starą matuś,
Kmiecą matuś w białej chuście!
Starą matuś z dwojakami,
Co do żniwa niosła warzę,
Wiejską dziatwę na wygonie,
Swoich ludzi, swoje twarze!
Te kapoty, te sukmany,
Te magierki, zgięte z ucha!
Roześmiała mi się dusza,
Jak w weselny czas młoducha!
Roześmiała mi się dusza,
Kiej dziewucha na odpuście!
Gdy mię kurny dym zaleciał
Po świerkowym smolnym chróście,
Roześmiała mi się dusza
Do tej ziemi z chlebem w łonie,
Do tych drzewin, do tych ludzi,
Do tej dziatwy na wygonie!
Zanuciła mi piosenkę
Taką swoją, jak ta macierz!
I kazała nosić w sercu,
Za codzienny wtórzyć pacierz.

El (Kazimierz Laskowski).

86. Mazur.

— Hej! do tańca, dziewuchy,
Zagraj, dudko [1]) Jaśkowa,
Cóżto, grajku, czyś głuchy?
Co tak siedzisz, jak sowa?
Ano żywo, do licha!
Cóż to wam się przydało?
Każdy siedzi, a wzdycha,
Czy złe ludzi spętało?
Bartek z boku spoziera,
Łzy rękawem ociera,
A dziewuchy, parobcy —
Jak nie swoi, jak obcy.
Gdy tak Maciek ochoczy,
Każdy przetarł se oczy,
A Jan stary z za stoła:
— Grajże, grajku! — zawoła.
Chwycił Józef za basy,
Żwawo smyczkiem potoczył,
Maciek w taniec wyskoczył,
Ognia dały obcasy.
Oj, ta dana, oj dana!
Doloż moja kochana!
— Cóżto, grajku, tak smutnie?
Wesołego niech utnie,
Bo mnie, na złość kapeli,
Jakoś coraz weselej.
Oj, ta dana, oj dana!
Doloż moja kochana!

[1]) dudka, dudy — instrument muzyczny, inaczej kobza.

Co nie mam być wesoły,
Spaliły się stodoły,
Kłopot sobie nie zadam,
Kędy zboże poskładam,
Bo je grady złożyły,
Pocięły i zmłóciły.
Oj, ta dana, oj dana!
Doloż moja kochana!
Co nie mam być wesoły,
Mój majątek — dwa doły,
A w onych dołach żona
Z małem dzieckiem złożona.
Oj, ta dana, oj dana!
Doloż moja kochana!
Grajże, dudko wesoła,
Toć na mnie nikt nie woła,
Nikt nie czeka stęskniony
W mej chałupie spalonej.
Oj, ta dana, oj dana!
Doloż moja kochana!
Żywa dusza nie żąda,
Próżno człek się ogląda,
Więc tańcuję najszczerzej,
Jutro pójdę w żołnierzy,
Da[1]) w moskiewskich żołnierzy.
Oj, ta dana, oj dana!
Doloż moja kochana!
Gdy tak tańczy ochotnie,
Cóż to grajek tak potnie?[2])
Kropla w kroplę przez oczy
Z twarzy grajka się toczy.
Czy się zmachał tem graniem?
Skrzypki rzucił, podeptał,
Otarł lice sukmanem
I coś mruczał i szeptał;
A dziewki się spłakały,
Że skrzypki grać przestały.
Bądźcie zdrowi, wystarczy,
Niechaj Pan Bóg wam darzy;
A gdy skrzypków nie stało,
By się w karczmie hulało!
Śpiewam sobie: oj dana!
Doloż moja kochana!

Teofil Lenartowicz.

87. Niepokój.

Tymczasem nadeszła wiosna, a mnie poczęła ogarniać nieokreślona tęsknota i ciekawość. Czy wstawałem, czy kładłem się spać, zawsze zdawało mi się, że usłyszę, a może zobaczę coś niezwyczajnego. Co to miało być? — nie wiem, lecz jestem pewny, że przeczucia te podsycała we mnie sama natura, jakaś dziwna w tym roku. Jednego dnia nagle znikły śniegi i ze wszystkich wzgórz zaczęły płynąć potoki wody, jakby ktoś przed nadchodzącemi świętami mył ziemię. Potem zerwał się wiatr i przez kilka dni z największym pośpiechem zbierał wilgoć aż do sucha. Słońce wstawało coraz wcześniej, chcąc także zobaczyć: co będzie? Widziałem, że codzień wyżej wznosi się nad ziemię i ogarnia szersze widnokręgi, a ku wieczorowi ociąga się z zachodem. Raz nawet, schowawszy się za horyzont, wychyliło się powtórnie, jak zbudzony człowiek, który podniósł głowę i pyta: a co tam?...

Wnet zazieleniły się pola, a z niektórych drzew, pierwej, niż liście, wyskoczyły kwiaty i patrzały zdumione, szemrząc: „Tu coś miało być?... czy jeszcze nie było?...“ Zdawało mi się

[1]) ot (gwarowe); [2]) potnieje.

niekiedy, że wiatr, płynący z za lasu, coś im szepce, a one chwieją gałęźmi i ze zdziwieniem szeleszczą: „Aj! aj! aj!“

Nieraz uważałem, że nauczyciel, idąc do nas na lekcję, stawał na ulicy i oglądał się za siebie. Poco?... Czasami mama biegła do okna i, popatrzawszy chwilę, wracała, jakby ją zawód spotkał. Nawet służba folwarczna bez powodu gromadziła się na dziedzińcu i milcząc śledziła horyzont.

Raz zobaczyłem coś nowego w pokoju.

— Acha!... — krzyknąłem — jest!...

Lecz była to tylko pierwsza mucha w tym roku, półsenna i wygłodzona.

Przyleciały skowronki i, pionowo wzbijając się nad polami, ogłaszały coś w swoim zdrobniałym języku, a potem nagle padały na ziemię, jak kamień, świegocząc zalęknione: „Już! już!“ Przyleciały bociany i, zasiadłszy w gnieździe na topoli, po całych dniach opowiadały niesłychane historje, z niedowierzaniem kiwając głowami. Przeciągały obłoki, czasem pokłębione i śpieszące się kiedyś, niekiedy poszarpane i jakby uciekające.

— Skąd one? dokąd one? o czem rozpowiadają bociany? czego lękają się skowronki? — pytałem i paliła mnie ciekawość ujrzenia nieznanych rzeczy.

Nawet w domu nie miałem spokojności. Czasem wróbel siadał na gałęzi i pilnie przypatrywał się salonikowi; to znowu słońce wysyłało na wzwiady pęk światła, który ostrożnie zaglądał za piec, pod stolik, za kanapę, i wreszcie — cofał się drżący, aby za kilka dni powtórzyć swoje śledztwo.

— Czego oni chcą od nas? czy to u nas ma coś być? — pytałem zatrwożony.

A wtem zegar stanął. Gdy pobiegłem zobaczyć, co mu jest, spostrzegłem obok na stoliku książkę do nabożeństwa, otwartą na słowach suplikacji: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami“.

Od tej pory wszystko mnie przerażało. Czekałem na coś nieznanego, a gdy raz niańka krzyknęła głośniej:

— Już idzie!... idzie!...

Zerwałem się od lekcji i wpadłem do kuchni, pytając:

— Co idzie?...

— Walek z miasta — odpowiedziała. — Ale cóżeś tak pobladł.

— Nic, nic...

I wróciłem przekonany, że — już coś idzie tutaj, naco wszyscy oczekiwali. *Bolesław Prus.*

88. Strach.

Wśród żołnierzy jeden nie odznaczał się wzorowem męstwem i odwracał z przerażeniem od cmentarnej ściany. Był to, oczywiście, Żyd, Bronisław Majerson, syn bogatego kupca z Tarnowa. Ten młody chłopiec był tłusty, wybornie odkarmiony, delikatny i dobrze wychowany. Prywacje[1]) wojenne, marsze, noclegi na gołej ziemi sprawiały mu katusze nie do zniesienia. Nerwowe usposobienie rozwinęło się w nim aż do stanu jakiegoś delirjum[2]) trwogi. Majerson zawsze ustawał, siadał, przywierał do ziemi, słaniał się z braku siły, a nawet płakał i jęczał. W czasie jednego z ostrzejszych ostrzeliwań przekopu nad stawem, gdy Moskale, dobrze już wymierzywszy odległość, bili w punkty tuż tuż poza rowem, porucznik Śnica, pragnąc chronić jak najskuteczniej żołnierzy, kazał im leżeć rzędem nie w samym rowie, lecz na jego wewnętrznem przedpiersiu. Żołnierze, wyciągnięci, jak struna, warowali nieruchomo, niby stary kożuch na gliniastej skarpie[3]). Sam komendant tkwił pośrodku między nimi.

Tylko Majerson przycupnął ztyłu za dowódcą i tulił się między jego butami, udając, wskutek jakiejś przebiegłej kombinacji, że już na niego niema miejsca w szeregu. Ponieważ ogień był coraz gęstszy i kule karabinowe gwizdały żałośnie tuż nad samym bankietem[4]) przykopu, porucznik kazał Majersonowi, żeby się natychmiast wciągnął w linję i legł tuż przy nim samym. Ten zwlekał „meldując pokornie“, iż jest bardzo chory, ma biegunkę, mdłości, gorączkę i nie może ruszyć się z miejsca. Śnica raz jeszcze powtórzył rozkaz i znowu usłyszał te same skamlania, lamenty i powtarzania o chorobie. Wówczas dobył z kieszeni rewolwer brauning i zapowiedział, że w tejże chwili palnie w łeb nieposłusznemu, jeśli nie wciągnie się w linję. Majerson na brzuchu wpełzał powoli między żołnierzy, którzy śmiali się do rozpuku całym szeregiem.

Gdy jednak dowlókł się do uda porucznikowego, znowu przyległ na ziemi, stękając, że już dalej nie może. Śnica rozwścieczony do żywego, przystawił mu naodlew otwór rewolweru do skroni i kazał natychmiast posunąć się jeszcze. Majerson w śmiesznym podrygu pchnął się naprzód, ale wdarł znowu

---

1) niewygody; 2) rodzaj szaleństwa; 3) wale, ścianie; 4) brzeg.

w szereg trochę za daleko. Bączek jego czapki wysunął się o parę cali ponad górną linję przykopy. Śnica rozkazał niezdarze, żeby się cofnął niżej, lecz Majerson wykrzyknął sakramentalne — ajwaj! — i nie usłuchał rozkazu. Porucznik zadał mu w bok potężnego kuksańca, lecz i to nie skutkowało. Nos Żyda zanurzył się w glinę i głowa leżała bezwładnie.

Gdy sąsiad z drugiej strony podniósł tę głowę na rozkaz, ujrzano, że ze środka czoła strumień krwi tryska. Kula moskiewska położyła kres trwogom Majersona. Szereg żołnierzy, jak jeden mąż, wybuchnął śmiechem. Wszyscy stwierdzali zgodnie, iż się to oddawna temu tchórzowi należało. Zaraz też, gdy strzelanina moskiewska przycichła, kilku odkomenderowanych pod wodzą kaprala, schroniwszy się za gliniastą ścianę, poczęło kopać nową katakumbę dla Majersona. Wygrzebywano ją z boku od dawnej, nieco wyżej, żeby nie zahaczyć o tamtych niespokojnych kamratów i żeby, bądź co bądź, nie mieszać mężnych katolików z niechrzczonym tchórzem.

Stefan Żeromski.

89. Przerażenie.

Noc była bardzo jasna i środek stawu wyglądał, jak srebrna tarcza, ale Skrzetuski zniknął natychmiast z oczu, brzeg bowiem porosły był gęsto sitowiem, trzciną i bucianem [1]), dalej pomiędzy rzadszą trzciną rosły w obfitości grążele [2]), rdest wodny i roślęże [3]). Cała ta mieszanina szerokich i wąskich liści, oślizgłych łodyg, wężowatych skrętów, chwytając za nogi i wpół ciała, utrudniała niezmiernie posuwanie się naprzód, ale ukrywała przynajmniej rycerza przed oczyma straży.

O przepłynięciu przez jasną środkową szybę nie było co i myśleć, bo każdy czarniawy przedmiot byłby na niej spostrzeżony z łatwością. Skrzetuski więc postanowił okrążyć brzegiem cały staw, aż do bagienka leżącego po drugiej stronie, przez które wpływała do stawu rzeka. Prawdopodobnie stały tam straże kozackie, albo tatarskie, ale zato rósł cały las trzcin, którego brzegi były tylko wycięte na szałasy dla czerni.

Dostawszy się raz do bagienka, można się było posuwać wśród trzcin nawet we dnie, chybaby topielisko okazało się zbyt głębokie.

---

[1]) roślina wodna, zwana też rozświtą; [2]) lilje wodne; [3]) roślęża, czyli wężnica — rodzaj wodorostów.

Lecz i ta droga była straszna. Pod tą śpiącą wodą, nie głębszą z brzegu nad stopę, taiło się głębokie na łokieć i więcej błoto. Za każdym krokiem Skrzetuskiego na powierzchnię wód wydostawało się mnóstwo baniek, których bulgotanie doskonale można było słyszeć wśród ciszy. Prócz tego, mimo całej powolności jego ruchów, tworzyły się koła fal, biegnące coraz dalej od środka aż na niezarosłą przestrzeń, na której łamało się w nich światło księżyca. W czasie deszczu byłby poprostu Skrzetuski przepłynął staw i najdalej wpół godziny dotarł do bagienka, ale na niebie nie było ani jednej chmurki.

Całe potoki zielonawego światła lały się na staw, zmieniając liście grążeli w srebrne tarcze, a pióra trzcin w srebrne kity. Wiatr nie wiał; na szczęście, grzechot wystrzałów głuszył bulgotanie baniek wodnych, co spostrzegłszy, Skrzetuski poruszał się tylko wówczas, gdy salwy w okopach i szańcach stawały się żywsze.

Lecz owa cicha, pogodna noc sprawiła jedną więcej trudność. Oto roje komarów podnosiły się z trzcin i, utworzywszy kłąb nad głową rycerza, siadały mu na twarzy, oczach, kłując dotkliwie, brzęcząc i śpiewając nad jego uszymi żałosne swe nieszpory.

Skrzetuski, wybierając tę drogę, nie łudził się co do jej trudności, ale nie przewidział wszystkiego. Nie przewidział mianowicie jej strachów. Wszelka głębina wód, choćby najlepiej znanych, ma w nocy coś tajemniczego i przerażającego zarazem — i mimowoli napędza pytanie: co tam jest na dnie?

A ten staw zbaraski był poprostu okropny. Woda zdawała się być w nim gęstsza od zwykłej wody — i wydawała zaduch trupi. Bo też gniły w niej setki Kozaków i Tatarów. Obie strony wyciągały wprawdzie trupów, ale iluż ich mogło być ukrytych wśród trzcin, rdestu i gęstej uszycy[1]? Skrzetuskiego obejmował chłód fali, a pot oblewał mu czoło. Co będzie, gdy jakieś oślizgłe ramiona uchwycą go nagle, albo gdy jakie zielonawe oczy spojrzą na niego z pod bucianów? Długie łodygi grzybienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może nurek topielec obejmuje go, aby już nie puścić?

— „Jezus, Marja! Jezus, Marja!“ — szeptał bezustanku, posuwając się naprzód.

Chwilami podnosił oczy w górę i na widok księżyca, gwiazd i spokoju niebieskiego, doznawał pewnej ulgi. „Jest Bóg!“ — powtarzał sobie półgłosem, tak, aby się sam mógł dosłyszeć.

---

1) roślina wodna.

Czasem spoglądał na brzeg i zdawało mu się, że z jakiegoś potępionego, zaziemskiego świata błota, czarnych głębin, bladych świateł księżycowych, duchów, i trupów, i nocy spogląda na Bożą zwykłą ziemię — i tęsknota porywała go taka, że zaraz chciał z owej matni trzcin wychodzić. *Henryk Sienkiewicz.*

90. Gniew.

Nigdy się odpowiedzi takiej nie spodziewał
Podkomorzy. Właśnie swój kieliszek nalewał,
Gdy zuchwalstwem Hrabiego rażony, jak gromem,
Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,
Głowę wyciągnął na bok i usta przyłożył,
Oczy rozwarł szeroko, usta wpół otworzył;
Milczał, lecz kielich w ręku tak potężnie cisnął,
Że szkło, dźwięknąwszy, pękło, płyn mu w oczy prysnął,
Rzekłbyś, że z winem ognia w duszę się nalało,
Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało.
Zerwał się mówić; pierwsze słowo niewyraźnie
Mleł w ustach, aż przez zęby wyleciało: „Błaźnie!
Grafiątko! Ja cię! Tomasz, karabelę! Ja tu
Nauczę ciebie mores [1]), błaźnie! daj go katu!
Względy, urzędy nudzą uszko delikatne!
Ja cię tu zaraz po tych zauszniczkach płatnę!
Fora za drzwi! Do korda! Tomasz, karabelę!“

Adam Mickiewicz.

91. Gniew.

Rzuciła się ku mnie z gestem oburzenia [2]). Ale ja, schwyciłem ją za obie ręce i ściskając je z całych sił, wołałem:

— Toć mógłbym w proch zgnieść ciebie!... I czego się wijesz? czego krzywisz usta? kiedy ci jeszcze nic nie powiedziałem... Słuchaj, panna, kochałem ciebie.

— Puść mnie! Ja nie chcę słyszeć...

— Milcz!... Mógłbym być twoim kochankiem, gdybym ci potrafił wiecznie imponować. Ale nie żałuję, że się tak nie stało. O nie! I nie myśl panna, że przyszedłem tu gorzkie żale śpiewać... Jeśli panna chcesz wiedzić, to ja pluję na twoją miłość... Ja, robotnik, ja, cham, pluję na was wszystkich... I na pannę razem z jej miłością!

---

[1]) obyczajności; [2]) autor wkłada tu opowieść w usta młodego chłopca, który, ukończywszy gimnazjum, dla idei poszedł na prostego robotnika do fabryki i doznawał z tego powodu wielu upokorzeń od swego dawnego otoczenia.

Wtedy dopiero puściłem ją. Uciekła na sofę i, ukrywszy twarz w dłoniach, wybuchnęła cichym płaczem. Widziałem, jak drżała na całem ciele.

Byłbym może nie zniósł tego widoku i pożałował swego okrucieństwa, gdyby nie to, że w tejże chwili wszedł Zanicz [1]).

— Jesteś! — huknąłem, zbliżając się do niego.

Ten zbaraniał zupełnie i nie wie, czy ma uciekać, czy ratować pannę Helenę.

— Panie Zanicz — westchnęła błagalnie Hela, zanosząc się od płaczu.

Zrozumiał wreszcie, iż cofać się nie można. Wsadził binokle na nos i próbuje mnie pokonać groźnem wejrzeniem.

— Zrzuć binokle — mówię — bo ci sam je strącę.

— Co?

— Mam ci powtórzyć? — zasyczałem.

— Warjat — mruknął wzgardliwie.

Dzikie zwierzę budzi się we mnie. Łapię go za bary i mówię bez sensu, mieszaniną prośby i wściekłości.

— Widzisz... widzisz, niedobry człowieku. Sam mnie wyzywasz. Twoja podła gęba nie pozwala mi darować obrazy. Wszak ci obiecałem, że ci zęby wybiję... Pamiętasz?

Trzęsę nim, jak snopem, i, czując swoją przemoc fizyczną, znęcam się nad nim nielitościwie.

— Łotr! — krzyczy Zanicz.

— Taak?... Chodźno tu... Daj łeb. Widzisz, tu o komodę tłuc nim będę. Tak!... Widzisz, bydlę!... Skamlej, skamlej!... Proś Helci o ratunek...

On szamocze się, jak piskorz, w moich rękach, lecz ulegać musi. Chwyciłem go lewą ręką za kark, prawą położyłem mu na czaszce i tłukę nią, jak młotem, o kant komody.

Ona próbuje oderwać mnie od mojej ofiary.

— Odejdź, sroko, bo i ciebie będę bił...

Gdy mi sił już prawie brakło, rzuciłem Zanicza, jak stary grat, w kąt pokoju i zwróciłem się do osłupiałej Heli, która jeno ręce przed siebie ze strachu wyciąga.

— Wiesz, kto to zrobił, kto pokaleczył tego inteligentnego człowieka? To ja, cham. Chcesz wiedzieć, dokąd pójdę teraz? Do szynku... Do widzenia, towarzyszko... Tfu...

Wacław Berent.

---

[1]) młodzieniec z inteligencji, którego bohater opowieści podejrzewał, że kocha się w Helenie.

92. Rozpacz.

Coraz większy głód żelazną ręką zaczynał szarpać wnętrzności Wawrzona[1]). Chłop siedział ponury i chmurny, ale coś, jakby straszliwe postanowienie, zaczęło się malować na jego twarzy. Ktoby na nią spojrzał, tenby się przestraszył, bo twarz ta miała wyraz zwierzęcy i ptasi z głodu, a zarazem tak rozpaczliwie spokojny, jakby u człowieka umarłego. Przez cały czas nie odezwał się do dziewczyny ani słowem, dopiero, gdy nastała noc, gdy port opustoszał zupełnie, rzekł dziwnym głosem:

— Pódźwa, Maryś!

— Dokąd pójdziewa? — pytała sennie.

— Na owe pomosty nad wodę. Położywa się na deskach i będziewa spali.

Poszli. W ciemności zupełnej musieli pełzać bardzo ostrożnie, by nie wpaść w wodę.

Amerykańskie wiązania z desek i belek tworzyły liczne zakręty i jakby korytarzyk drewniany, na końcu którego znajdował się pokład z desek, za nim zaś taran do zabijania pali. Na tym pomoście, pokrytym daszkiem dla ochrony od deszczu, stawali ludzie, ciągnący sznury od tarana, ale teraz nie było tam nikogo.

Gdy doszli na sam jego kraniec, Wawrzon rzekł:

— Tu będziewa spali.

Marysia padła raczej, niż położyła się na deski i, mimo że zaraz opadły ich roje moskitów[2]), usnęła ciężko.

Nagle wśród nocy głębokiej obudził ją głos Wawrzona:

— Maryś, wstawaj!

Było coś takiego w tem wołaniu, iż rozbudziła się natychmiast.

— Co, tatulu?

Wśród ciszy i ciemności nocnej głos starego chłopa ozwał się głucho, strasznie, ale spokojnie:

— Dziewczyno! Już tobie głodem nie mrzeć. Nie pójdziesz-że ty pod ludzkie progi o chleb prosić, nie będziesz-że ty na dworze sypiać. Ludzie cię opuścili, Bóg cię opuścił, dola skapiała, to niech cię choć śmierć przytuli. Woda głęboka jest, nie będziesz się męczyła.

---

[1]) wychodźcy polskiego w Nowym Jorku, nie mogącego znaleźć sobie zajęcia ani zarobku; [2]) moskity — gatunek komarów, bardzo dokuczliwych.

W ciemności nie mogła go dojrzeć, choć oczy jej szeroko rozwarły się z przerażenia.

— Utopię ja cię, niebogo, i sam się utopię — mówił dalej. — Niema poratowania dla nas, niema miłosierdzia nad nami. Jutro nie będzie ci się chciało jeść, jutro ci będzie lepiej, niż dziś...

Nie! Ona nie chciała umierać. Ona miała osiemnaście lat i to przywiązanie do życia, tę bojaźń śmierci, jaką daje młodość. Cała w niej dusza wzdrygnęła się do głębin na myśl, że będzie leżała topielcem, że pójdzie w jakąś ciemność, że będzie leżała w wodzie, wśród ryb i gadów, na dnie szlamistem. Za nic w świecie! Nieopisany wstręt i strach ogarnęły ją w tej chwili, a rodzony ojciec, mówiący tak w ciemności, wydał się jej jakimś złym duchem.

Przez ten czas obie jego ręce spoczywały na jej wychudłych ramionach, a głos mówił ciągle z tym strasznym spokojem:

— Choćbyś krzyczała, nikt cię nie usłyszy. Pchnę cię tylko, i wszystko dwóch pacierzy nie potrwa.

— Nie chcę, tatulu, nie chcę! — wołała Marysia. — Czy wy się Boga nie boicie? Tatulu serdeczny, złoty! zlitujta się nade mną. Co ja wam uczyniła? Dyć ja nie narzekała na moją niedolę, dyć ja z wami cierpiała głód i zimno... Tatulu!

Oddech jego stał się szybki, ręce zacisnęły się, jak kleszcze: ona wypraszała się śmierci coraz rozpaczliwiej.

— Zlitujta się! miłosierdzia! miłosierdzia! jać dziecko wasze, jam biedna, chora; mnie i tak niedługo na świecie. Mnie żal! Ja się boję!

Tak jęcząc, czepiała się jego sukmany i usta przyciskała błagalnie do tych rąk, które ją spychały w przepaść. Ale jego to wszystko zdawało się tylko podniecać. Spokój jego przeszedł w obłęd: zaczął rzęzić i chrapać. Chwilami nastawała między nimi cisza, i ktoby stał nad brzegiem, słyszałby tylko głośne oddechy i szamotanie się i trzask desek. Noc była głęboka, ciemna, a pomoc nie mogła znikąd nadejść, bo to był sam koniec portu, na którym w dzień nawet, prócz robotników, nie bywało nikogo.

— Zmiłowania! zmiłowania! — wołała przeraźliwie Marysia.

W tej chwili jedną ręką pociągnął ją gwałtownie na sam brzeg rusztowania, drugą począł bić w głowę, by przytłumić jej krzyki. Ale i tak te krzyki nie budziły żadnego echa: pies tylko jakiś wył w dali.

Dziewczyna uczuła, że słabnie. Nakoniec nogi jej trafiły na próżnię, ręce tylko trzymały się jeszcze ojca, ale mdlały. Krzyk o ratunek stawał się coraz cichszy, ręce wreszcie urwały szmat sukmany, i Marysia uczuła, że leci w przepaść.

Jakoż spadła z pomostu, po drodze jednak uczepiła się dylów i zawisła nad wodą.

Chłop pochylił się i, straszno powiedzieć, począł jej rękę odczepiać.

Tłum myśli, niby tłum zwichrzonego ptactwa, przelatywał jej przez głowę nakształt obrazów i błyskawic: Lipińce, studnia żórawia, wyjazd, okręt, burza, litanja, nędza nowo-jorska: nakoniec, co to się z nią dzieje? Widzi jakiś okręt ogromny z podniesionym przodem, na nim tłum ludzi, a z tłumu dwie ręce wyciągają się do niej. Na Boga! To Jaśko tam stoi, to Jaśko wyciąga ręce, a nad okrętem i nad Jaśkiem Matka Boska, uśmiechnięta, w jasności wielkiej. Ona na ten widok ludzi na brzegu rozpycha: „Panienko Najświętsza! Jaśku! Jaśku!“ Chwila jeszcze... Ostatni raz wznosi oczy ku ojcu: „Tatulu! tam Matka Boska! tam Matka Boska!“

Chwila jeszcze, też same ręce, które spychały ją w wodę, chwytają teraz jej mdlejące dłonie i z jakąś siłą nadludzką ciągną ją w górę. Już znowu czuje pod nogą deski rusztowania, znowu otaczają ją ramiona, ale ramiona ojca, nie kata, i głowa pada na pierś ojcowską.

Ocknąwszy się z omdlenia, spostrzegła, że leży spokojnie przy ojcu; ale choć było ciemno, dojrzała, że leży krzyżem i że szlochanie głuche, żałosne, wstrząsa nim i rozrywa mu pierś.

— Maryś — ozwał się wreszcie przerywanym przez łkania głosem — odpuść mi, dziecko...

Dziewczyna poszukała pociemku jego rąk i, przytuliwszy do nich swoje biedne usta, wyszeptała:

— Tatulu! niech wam tak Pan Jezus odpuści, jako ja odpuszczam...

Z bladej jasności, która od niejakiego czasu świtała na horyzoncie, wynurzył się księżyc wielki, pogodny, pełny, i znowu stało się coś dziwnego. Oto Marysia ujrzała, jak od księżyca odrywają się całe roje małych aniołków, jakby pszczółek złotych, i spływają po promieniach aż do niej, szeleszcząc skrzydełkami, kręcąc się, wijąc i śpiewając dziecinnemi głosami:

— Dziewczyno umęczona, spokój tobie! ptaszyno licha, spokój tobie! kwiatku polny, cierpliwy i cichy, spokój tobie!

Tak śpiewając, potrząsały na nią kielichy lilij białych i małe srebrne dzwoneczki, które dzwoniły:

— Sen tobie, dziewczyno! sen tobie! sen! sen! sen!

I zrobiło się jej tak dobrze, jasno, spokojnie, że usnęła naprawdę.

Henryk Sienkiewicz.

93. Rozpacz.

Więc kiedym patrzał [1]), nic tu nie mogący,
Wszelka jasność zapadła mi w ciemnie...
A com miał moc mieć za wiele tysięcy,
Klęsłem na duszy [2]) tak, że podaremnie!
Długom żwał w sobie tę niemoc milczący,
Aż taki gwałt wstał, taka rozpacz we mnie,
Że jej nie strzymać zapartym językiem...
Tak runę w niebo śmiertelnym okrzykiem:

Bijże w nas, wszystka burzo, czarną tuczą! [3])
Strzelaj pieronem! Nie namkniem [4]) ci głowy!
Huczcie nad nami, wichry, pieśnią kruczą,
Niech nam tu zara dół kopią grobowy!
Niech dzikie zwierza kości nasze włóczą,
Niech nas ogarnie dech śmierci morowy!
Cóż my? Łach ludzki i żywota strzępy...
Nie będą ścierwa z nas mieć nawet sępy.

Tocz się ty, rzeko żałosna, do morza,
Giń i przepadaj, nieznana nikomu.
Idźcie, śpieszajcie, tułacze bezdroża,
Do czarnej bramy, do wiecznego domu...
Niechaj nas wichrem pogna ręka Boża,
Niech nas nałamie, jak suchego łomu...
Cóż o to? Kto się za nami upomni?...
Zginiem? To zginiem sami, bezpotomni!

Ha! Jeśli z tego śmiertelnego stoga
Ten głos przez one kamienne pustynie

---

1) Autorka wkłada opowieść w usta kowala wiejskiego, pana Balcera; stoi on na czele wychodźców polskich, chłopów, którzy przez puszcze i pustynie Brazylji wędrują ku morzu, by powrócić do ojczyzny, w obecnej zaś chwili zaszli w takie straszne bezdroże, iż, zdaje się, nie można było ani iść dalej, ani powrócić, padli więc na ziemię i postanowili wszyscy umrzeć na tem miejscu; 2) upadłem na duchu; 3) chmurą; 4) usuniemy, uchylimy.

Doleciał gmachu niebieskiego proga,
Jeśli kto widział tam, jak lud ten ginie,
Apelujący swą śmiercią do Boga,
To tam musiały ustać w tej godzinie
Wszystkie muzyki rajskie, wszystkie chwały,
A te anioły to na głos płakały!

A już się począł zmierzch czynić i cienie
Głębokie rzucił na te nędzne głowy,
Zapadające w wieczności milczenie,
W zdrętwiałość twardą i w pomrok grobowy,
Wtem na skał czubach zajarzą płomienie...
I zobaczyłem w nich krzyż Chrystusowy,
Jak przez otchłanie szedł własną swą mocą...
Zaczem świat ugasł i nakrył się nocą.
. . . .

Ale Marychna stanęła nad Dudkiem
Cała w bladościach i łunach przestrachu,
W czarnej chuścinie, z tem dzieckiem malutkiem,
Tak ćwierkającem, jak wróblik na dachu.
Więc wlepi w chłopa oczy, błędne smutkiem:
— Co ty?... Na dziecko zabaczyłeś [1]), Stachu?
Co ty?... I bije oną długą rzęsą,
A usta tylko się jej niemo trzęsą.

Wyciągnął rękę: — Nie płacz, Maryś! Co ta!
Siednij tu sobie wedle mnie, niebogo...
Raz śmierć... Nie długać to tam jej robota,
Bo i tak dechu mało co u kogo...
Siednij! Lecz ona, od łez bujnych złota,
Nagle na twarzy odmieni się srogo;
— Pies ty, nie ociec! — krzyknie. — Pies!... Nie siędę.
Nie zgubię dziecka! Póki tchu, szła będę.

I niemówiątko ścisnąwszy w ramiona,
Głębiej zaciągła na twarz czarnej chusty,
I zaraz, jakby wiatrem poniesiona,
Zaczęła śpieszno iść w ten pomierzch pusty.
Lecz Dudek ryknął, i wnet cała ona
Rozpacz przez śluzów spłynęła upusty...
Chwycił się: — Maryś, stój! Ja z tobą! — Zaczem
Tu, to tam w kupie zaniosło się płaczem.

Marja Konopnicka.

---

[1]) zapomniałeś o dziecku.

94. Tęsknota.

Porankiewicz [1]) chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci i, przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim atencję [2]) głęboką, wyrzekł uroczyście:

— Kolacja gotowa, proszę do stołu.

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany, że, wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały, przykryciem białem, jak należy, nakryty, przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane, dobrze pogięte, wetkniętemi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych „oładi“ [3]), na drugim końcu dostała miska z pępkami, octem i pieprzem przyprawionemi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek, naczyniem drobniejszem a różnorodnem otoczony.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym niegdyś białym, a dziś zżółkłym i poszczerbionym talerzu leżały okruszyny z przysłanego mi opłatka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani opłatka nikt się nie spodziewał; więc też wrażenie, wywołane tylu niespodzianemi akcesorjami [4]), było potężne.

Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu, wysunął się teraz naprzód i, zbliżywszy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem i, prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył i, gdy wszyscy z najżywszą ciekawością oczekiwali całej oracji, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy...

I Złotousty [5]) nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwsi zbliżali się do stołu, już ponętny zapach „oładi“ górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej,

---

1) Porankiewicz, ślusarz, jest jednym z wygnańców polskich, zamieszkujących pustą chatę za miastem gdzieś w Syberji wschodniej; prócz niego i autora zamieszkują tu: szewc, p. Józef, Jan Horodelski, niegdyś słuchacz medycyny, potem Bóg wie co, a wreszcie szewc także, a do tego pijak, chłop Bartłomiej, dawny obywatel p. Feliks Babiński, wreszcie kucharka Eudoksja, Jakutka. Otrzymawszy opłatek z Warszawy, autor namawia towarzyszów niedoli do urządzenia wigilji; 2) szacunek; 3) „oładie“ coś w rodzaju naszych racuszków, tylko z prząśnego chleba; 4) przyborami; 5) św. Jan Chryzostom, czyli Złotousty, jeden z ojców Kościoła, słynny z wymowy.

ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden, i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka...

— Poświęcony! — z radosnym podziwem przerwał lękliwie Bartłomiej.

— Spodziewam się! innegoby nie przysłali — z głębokiem przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to jest chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! a juści, podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach gospodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan, jako gość, nas wszystkich obejdzie.

I ponsowy cały, spocony, jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracyj króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbladł, aż zbielał, i gdym podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiła się przede mną nieruchoma, jak z marmuru wykuta, i gdyby nie to, że powieki zalatały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek stoi przede mną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie, i wątpię, czy wziął choćby jedną...

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz, jako człowiek najmiększego serca, pierwszy zaszlochał, jak dziecko, i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnemi: — Cichoj, bracie, cichoj, bo ryknę, jak baran! — nic to nie pomagało. Więc też, kiedym podszedł do Bartłomieja, siły już go opadły: nisko schylił swą głowę osiwiałą i, wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli: — W imię Ojca... i Syna... i Świentygo... i Świentygo — powtórzył ciszej i... ryknął głosem wielkim.

* * *

Łzy nam wszystkim ulgę przyniosły, wszystkim oprócz Babińskiego, który wśród płaczu ogólnego stał, jak skamieniały, oczyma tylko mrugając, i dopiero widać, gdy mu dopiekło do żywego, ponieważ stał blisko stołu, wyciągnąwszy obie ręce pomiędzy naczynie pomniejsze, około gąsiorka będące, zadzwonił szkłem dość głośno. Powieki mu latały i ręce trzęsły się jeszcze, jak w febrze, tak że sam użyć ich nie mógł i tylko, gdy Porankiewicz, już uspokojony, podskoczył do niego bliżej, szepnął mu głosem słabym:

— Nalej, bracie!

Porankiewicz jął nalewać, i rąk, ile było, wyciągnęło się ku stołowi.

Nalać odrazu wszystkim, rozumie się, nie można było, a że każdy pragnienie czuł dość silne, więc wymówki słyszeć się dały, że wcześniej o nalaniu nie pomyślano, wymówki, które jednak odrazu przeciął Bartłomiej, mądrze zauważywszy, że: nie Duch-ci nikt świenty, aby mógł wiedzieć, że żałość taka sroga zrazu na caluśki naród nadyńdzie.

Gdy nareszcie naczynia wszystkie napełniono, bojąc się nowego rozrzewnienia, wychyliliśmy je w milczeniu, zkolei przystąpiwszy do słonych i pieprzonych pępków. Pokarm to taki, że bez stosownego odwilżania dużo go nie zjesz, więc gdy Porankiewicz ujął za gąsiorek powtórnie, znowu ręce wszystkie ku niemu się wyciągnęły, i tu dopiero zauważyliśmy, że ręki Babińskiego pomiędzy naszemi nie było.

Babiński stał, jak poprzednio, z naczyńkiem opróżnionem, ale milczący, nieruchomy, zbielały. Pierwszy Bartłomiej, jako z chorymi praktyk niemały, dostrzegł niebezpieczeństwo i, żywo skoczywszy ku Babińskiemu, obejrzał go troskliwie:

— Sidem suchych boleściów widno ścisło go zrazu! — brzmiała konkluzja[1]) ostateczna — a bez ślozów zadławiom-ci boleści takowe człeka, jak wilcysko jagniaka. Je jeden ratunek: jak ci z wierzchu bez ślipie zale srogie nie spłynom, spuścić je trza we środek, i kiej ściekom po maluśku, dławienie od syrca odstąpi. Trza mu było odrazu wypić do trzech raz; ale to nic jesce: chłop krzepki, to odyńdzie potrochu!

I wybrawszy naczyńko pokaźniejsze, Bartłomiej zakomenderował:

— Lejże, Porankiewicz!

---

[1]) wniosek.

Porankiewicz nalał, Babiński wypił automatycznie[1]), nalał znowu, i Babiński wypił znowu; ale widać boleści nie odchodziły, bo Bartłomiej zaczął nowe oględziny.

— A czy od wypadku nie mata gdzie spirytusu trocha?

Babiński skinął głową z potwierdzeniem, i gdy spirytus odnaleziono, Bartłomiej wybrał z pomiędzy naczynia szklankę zwyczajną i, nalawszy dobrą połowę, podał Babińskiemu. Lekarstwo podziałało cudownie. Babiński pił małemi łykami, a gdy wypił, bladość ustąpiła mu z twarzy, usiadł przy stole i zakąski zażądał; posunięto mu pępki, i gdy wszyscy naocznie przekonali się, że pępki znikają z należytą szybkością, kamień ciężki spadł nam z serca. Bartłomiej z popisu swego był teraz niemniej dumny, niż Porankiewicz z wigilji, wzruszeni więc godność sobie wzajem świadczyć zaczęli, a gdy Babiński, zjadłszy pępków funtów ze dwa, jeść przestał, pierwszą krytyczną[2]) chwilę wigilji szczęśliwie przebyto.

* * *

W pustkowiu huczało teraz, jak w ulu; mówili wszyscy, i choć wszystkim się zdało, że mówią głosem zwykłym, gwarno tu było, jakby nas było ze dwunastu. Błogość pożądana ogarnęła wszystkich, i zrobiło się każdemu tak rzewnie na duszy, że i smutki niedawne, i bóle zastarzałe, i rany, które każdy chował przed światem, jak skąpiec nie chowa skrzyni, dukatami nabitej, otwarły się, aby przyjąć balsam pocieszenia.

I widma cierpień wielorakich sunęły przed nami pasmem długiem, nieskończonem, ukazując nam, jak w kalejdoskopie, wszelaką niedolę człowieczą. I ulgę pożądaną otrzymawszy, widząc wokół twarze, łzami współczucia zroszone, szedł każdy dobrowolnie z niemocą swoją i wyznawał grzechy swoje; była więc między nami jakby spowiedź publiczna, ze skruchą szczerą uczyniona.

Bił się w piersi swą ręką potężną Bartłomiej, obwiniając o krewkość zbyteczną; szlochał Porankiewicz, prosząc żałośnie, aby mu wobec przejść ciężkich, które przewyższały słabe siły jego, nałóg dzisiejszy wybaczono; obwiniali się i inni.

I dopiero, gdy skruchę i żal okazał każdy, i absolucja[3]) zupełna tym, którzy się spotykali na drodze ciernistej, wracała utraconą godność ludzką — zżółkłe i pomarszczone twarze roz-

1) mechanicznie, nie myśląc o tem; 2) niebezpieczną; 3) odpuszczenie grzechów.

jaśniła radość szczera, dziecinna, śmiało podniosły się opuszczone źrenice: byliśmy teraz wszyscy sobie równi. I chwilę drugą, niemniej krytyczną niż pierwsza, również szczęśliwie przebyto.

* * *

Nastała chwila trzecia.

Harmonja, która pomiędzy nami zapanowała, błogie uczucie wzajemności, braterstwa i wspólności, dreszczem rozkosznym przenikać nas zaczęły, zwiastując chwilę pożądaną.

Ów kielich słodyczy, który mamił i łudził nas tylokrotnie swym czarownym napojem, ów haczysz [1]) zabójczy, do którego, jak ptactwo w noc ciemną do ognia, cisną się ludzie, z życiem tutejszem nie obyci, od którego, jak od widma śmierci, uciekają ludzie, w życiu tutejszem doświadczeni, ów kielich stał przed nami, niczem już nie okryty. Spadły jedna za drugą zasłony, okrywające truciznę ponętną; należało przystąpić i pić, pić do zupełnego sił wyczerpania...

Pierwszy zagrał na cudnych strunach wspomnień rodzinnych Bartłomiej stary, roztaczając nam na złocistej kanwie swych pól sandomierskich obrazy, pełne siły, prostoty i wdzięku.

Z rozwianym włosem bielejącym, rozognioną twarzą, wzrokiem natchnionym, jak stary prorok biblijny, ukazał nam najpiękniejsze ziemi rodzinnej niwy,. łąki i lasy. Wiódł do siół, pod strzechę wieśniaczą; bolał nad niedolą, pod tą strzechą zagnieżdżoną, prowadził do świątyń, Imię Pańskie sławiących.

I stał się cud pożądany: cel pragnień zatajonych, śniony na jawie nocy bezsennych, ziścił się. Ziemia daleka, powietrze rodzinne, słońce złociste były tu pomiędzy nami w ciemnym pokoju pustkowia... My widzimy tę ziemię, czujemy ją, dotykamy... tu osadziliśmy ją całą! Tu umailiśmy ją zielenią, tu okrasiliśmy ją kwieciem, tu ozdobimy ją ozdobą najpiękniejszą — sercami, tylko dla tej ziemi bijącemi, i trzymać tu będziemy oblubienicę swoją, dopóki ją utrzymać zdołamy wszystkich swych sił wytężeniem... Czyż to nie praca?...

Praca... ale niech Bóg was od pracy takiej uchowa! Silni ludzie podejmowali ów kamień Syzyfa [2]), i dziś tylko kości, bielejące po cmentarzach, garść pijaków, tułających się po kaba-

---

[1]) haczysz, haszysz — narkotyk wschodni, wyciągany z konopi indyjskich, pali się w fajce, jak tytuń; tutaj: czar odurzający; [2]) Syzyf, król Koryntu, wedle podań greckich, tem był ukarany, że wtaczał pod górę wielki głaz, który mu się wciąż usuwał i spadał.

kach [1]), kupka warjatów, dogorywających po szpitalach, świadczy, że kamień ów nie do podniesienia, że, im wyżej go wtłoczysz, nierozumny, z tem większą siłą zdruzgocze on twą głowę szaloną.

. . . .

Szał ogarniał nas wszystkich, i z krwią nalanemi oczyma, rozdętemi nozdrzami, sercami, wyskakującemi z piersi zbolałych, podjęliśmy pracę nieludzką. I biada teraz śmiałkowi, któryby się ośmielił dotknąć brutalnie złudzenia naszego! Biada nieszczęśliwemu, który nie będzie miał siły i osłabnie przedwcześnie! Przed śmiałkiem, nim się opamięta, błyśnie nóż, ujęty ręką, która nigdy noża nie dotykała. Nieszczęśliwiec zginie, jak giną owe zwierzęta słabsze, co, padając w stadzie oszalałem, są przezeń bez litości tratowane.

* * *

...Chór, z sześciu głosów złożony, brzmi echem rozgłośnem w wielkich pokojach pustkowia. Pieśni smutne i radosne idą biegiem naturalnym w tym porządku nieodmiennym, z którym wszystko spełnia się na świecie. Jeden Bartłomiej, bywalec po ziemi krakowskiej, ze swemi krakowiakami za dwóch starczy. Samo: „Albośwa to jacy tacy“ mogłoby nasycić najzapaleńszego zwolennika rozkoszy wokalnych [2]), tyleśmy je razy prześpiewali, ale iluż to z pomiędzy nas nie słyszało tej piosenki nie pięć, nie dziesięć, ale dwadzieścia lub i więcej lat nawet. Więc chociaż chrypnie już Bartłomiej, po raz piąty, ogólnym zapałem pobudzany, zawodzi:

I koziczek, a stalowy, wyostrzony,
I do pochewki włożony,
I fajecka, i krzesiwko,
Na to dobre przyodziewko,
Kochajze mnie, moja dziewko,
Do kolusinecka,
Moja kochanecka!

A czy gorsza druga strofka: „I portecki na śnurecku do ściągania“ i t. d.? Nie tylko nie gorsza, ale ładniejsza, więc powtarza się po raz szósty i siódmy nawet. Zapał nieopisany wywołuje każde słowo tej pieśni, wdzięcznej i poetycznej swą prostotą naiwną.

„Eech! co za pieśń! oto pieśń!“ — wyrywają się krótkie pochwały, i Bartłomiej, choć zawodzi bez przerwy, wodząc w okół

---

1) karczmach; 2) śpiewackich.

triumfującym wzrokiem, nadąża na każdy wykrzyk taki odpowiedzieć krótko, ale wyraziście:

— Krakoska!...

Babiński łowi każdą nutę nowej piosenki lub pieśni i wygrywa ją, jak pozytywka, powtarzając dyszkantem [1]) niezmiernie wysokim dwie sylaby tylko: „dyna, dyna, dyna, dyna“ i tak bez końca. On jednak śpiewa z największym zapałem, a silny ogromnie i ogniem wewnętrznym palony, straszny on teraz ze swemi pieśniami bez słów, w które wkłada wszystkie swe bóle i żale, nigdy słowami niewypowiadane.

Wyczerpano i wyśpiewano nareszcie wszystkie pieśni, przez nas znane; więcej nic nikt nie pamięta; ale szał, który nas ogarnął, doszedł teraz zenitu [2]), musi więc być pieśń nowa, pieśń, której słowa i motywy [3]), dając ujście niepomiernie wezbranemu uczuciu, odpowiadałyby ogólnemu nastrojowi.

*
*   *

W pieśniach największych naszego narodu, smutnych, radosnych, bolejących i weselnych, ale wspaniałych i wielkich głębią i spokojem uczucia, znajdujemy ujście pożądane w pieśniach religijnych. Ubodzy to ludzie, którzy w pieśniach tych nic nie słyszą, nic nie czują. Pieśni wielkopostne, wielkanocne i Bożego Narodzenia to największy spadek artystyczny, jaki nam przeszłość przekazała. Jedyna to sfera naszej twórczości artystycznej, na którą nie oddzielne warstwy, nie oddzielne epoki, ale składał się naród cały w ciągu wszystkich wieków swego istnienia, wkładając weń całą duszę swoją, wszystkie swe radości i bóle ziemskie.

I mamy też skarbnicę melodyj głębokich, jak dusza narodu, której nigdy uczucia miałkie i drobne nie poruszą, wielkich, jak wielkiem jest na ziemi istnienie, wiekami zmroczone.

Rzuć w tę głębię, ile chcesz, smutków najczarniejszych, radości nieokiełznanych, nie zmącisz jej i z wierzchu nawet; na pioruny niebieskie odpowiada ona głuchem swych wód warczeniem, jednym taktem, zmienionem tempem, zaznaczając je zaledwie!

Ze skarbnicy tej, dotąd nieocenionej należycie, zaczerpną kiedyś wielcy mistrze przyszłości, jak dziś czerpią z niej ludzie prawdziwie bolejący.

*
*   *

[1]) cienkim głosem; [2]) tu: do szczytu; [3]) przedmiot, treść.

Któż nie zna powszechnej u nas pieśni religijnej: „Gwiazdo morza“. Pieśń ta jednak w niewielu, zdaje się, kościołach jest śpiewana na nutę, na którą tu ją śpiewaliśmy. Zanucona bez słów, dziwnie przypadła nam do serca; śpiewaliśmy ją tedy do końca. I słowa, i melodja odpowiadały uczuciom naszym. Proste słowa pieśni były jakby dla nas napisane; swojski motyw nuty uroczystej i wzniosłej koił piersi, tak srodze przez nas samych poranione. Bartłomiej pierwszy upadł na kolana, za nim poszli inni, i popłynęła z ust naszych modlitwa szczera i gorąca, a gdy doszliśmy do słów: „Odwróć od nas głód, mór ciężki, zachowaj krwawej wojny“, modliliśmy się z takiem przejęciem, że, słysząc, nie słyszeliśmy i, widząc, nie widzieliśmy, jak się podniósł Bartłomiej płaczący:

— Oj, nie usłyszy Ojciec litościwy takiej modlitwy wielkiej z tej jaskini zapowietrzonej! Do Pana przestworzów niebieskich na przestworzu pomodlić się trzeba! — zawołał i, jak stał, wyszedł z pokoju.

Ale siły nasze już prawie wyczerpane, już nawet Babiński przestaje czasami śpiewać, i tylko usta otwarte i ręka, takt wybijająca, wskazują, że w duszy swej śpiewa on jeszcze, gdy za drzwiami rozlega się głos potężny, elektryzujący nas znowu:

— Bóg się rodzi, moc truchleje!

To Bartłomiej, przyprowadzony przez Eudoksję z przestworzów, wśród których zmarzłby niechybnie, kolenduje swym basem potężnym.

Nowe źródło, jeszcze dziś nietknięte, wytryska przed nami! A myśmy o niem zapomnieli!? Więc choć usta zaledwie poruszać się mogą, pijemy chciwie z nowej krynicy, i chór zgodny z nową siłą zawodzi pieśń nową. Radosna pieśń Narodzenia Pańskiego unosi nas znowu daleko za jakucką ziemię, nowym ogniem, ogniem wiary, ufności i nadziei serca nasze rozpalając.

I modliliśmy się długo i gorąco; nawet Eudoksja, modlitwą naszą pociągnięta, weszła ku nam ze świętym obrazkiem, biła przed nim pokłony i powtarzała błagalnie: Tangara! Aj Tangara! Aj Tangara, uruj! (Boże, wielki Boże, zmiłuj się!).

Adam Szymański.

95. Tęsknota.

„...Piszę ja do was, Rodziciele moi, [1]
Z struchlałem sercem, z mokremi oczyma,
A między nami morze wielkie stoi,
Nie daje do was i przez moc mnie trzyma,
Iż srogie puszcze są i góry straszą
Między mną tutaj a hań [2], chatą waszą.

Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty,
Ranie i wieczór patrzący w tę stronę,
Gdzie jest kłosami nasz zagon nakryty,
Gdzie łąki nasze, o rosie koszone...
I radbym ptakiem przelecić tę drogę,
I wiatrem radbym przez nią, a nie mogę.

I tak mi w oczach stoi tu, jak żywa,
Ta nasza strzecha, snopami poszyta,
I kalenica [3]) wysoką, a krzywa,
I dusza o niej zamyśla i pyta...
Ale jej słówka nikt stamtąd nie poda,
Taki świat ziemi je i taka woda.

I widzę prawie chróściane te płoty,
Studnię, żórawia widzę, cembrowinę...
I rady sobie nie wiem od żoroty [4],
A od tęskności o kęs, że nie ginę...
Przez góry czuję i przez wielkie morze,
Jak mięta pachnie tam i drzewko boże.
. . . .

Chorość mnie tutaj przygniotła, jak brzemię,
Iż dobrej w sobie za grosz nie mam siły.
I prędko pewnie iść przyjdzie mi w ziemię;
Na oceańskie dno i bez mogiły.
Bo tu moc ludu ginie z tej choroby,
Których rzucają w morze, a nie w groby.

Tak z onych bogactw wielkich, z majętności,
Obiecowanych przez cudze te kraje,
Dla moich, w ogniu trzęsących się, kości
Trzech łokci piasku siwego nie staje,
Co u nas żebrak ma... I nie porośnie
Brzoza nade mną bażkami o wiośnie.

---

1) Jest to list parobka Jana Grudy, wychodźcy, który umarł w Brazylji; 2) tam; 3) szczyt dachu; 4) gorączki.

Więcbym tu wpisał te smutki, te żale
I tę śmierć czarną, co na mnie już kracze,
I tę gorącość, co w piersiach mam, ale
Szkoda mi ato matusi, że płacze,
Łzami sypiąca na papier ten biały,
Co go jej morza dalekie oddały.

Bogdajżeś pierwej stradała mnie płodem,
Matko, niż na świat, na dolę tę padłem...
Bom jest chorobą ściśniony i głodem
I, jak zwierz, węszę po ziemi za jadłem,
Jak ptak bez gniazda, skrzydłami tu biję,
I nocą zrywam się i, jak pies, wyję!
. . . .

Prosiłbym ja was, byście mnie za morze
Odkazowali [5]), jaka była zima?
Czy tatuś pod siew nowiznę już orze?
I czy tam wiosna już, czyli mróz trzyma?
Ale że dusza we mnie nie doczeka,
Niż pismo przyjdzie z takiego daleka.

Oj, leciałbych ja, by gołąb ten siwy,
Alibo żóraw, kruczący o wschodzie...
Bo mi się zdaje, że znów byłbym żywy
Po naszym chlebie i po naszej wodzie.
Ale że srodze struchlałe mam kości...
Od wielkich żarów tych i od żałości...

...Więc trudne rzeczy są i podaremne,
Bym się stąd dostać przemógł [6]) za żywota.
Ale jak pomrę, to przez bory ziemne,
Przez morze pójdę, co wiatrem się miota,
Pójdę i trafię pod chaty okienko...
Tak mi dopomóż Bóg i święta Męko!
. . . .

A teraz żegnam i kłaniam się pięknie,
Ojcze i Matko, do samych wam kolan,
A jak tam nocą w kominie wiatr jęknie
I z niedogasłych skry rzucą się polan,
Albo jak dźwierze [7]) kto nocą zarusza,
To będę, matuś, ja i moja dusza.

Żegnam już wszystkie życzliwe sąsiady,
I całą naszą chudobę, i pola,
Żegnam i grusze na miedzy, i sady,
I żytnie brogi, i zasiek w stodole,

---

1) dali wieść; 2) mógł wydostać; 3) drzwi.

I całą wioskę od płota do płota,
I kosę moją żegnam już i wrota.

Teraz mi dajcie bić z wieży we dzwony,
Od wschodu słońca do zachodu słońca,
I niechaj będzie Chrystus pochwalony!
I ostaj z Bogiem, moja kochająca
Matuchno droga! I ty, Ojcze miły,
I kłaniam wam się od mojej mogiły."

Marja Konopnicka.

96. Walka.

Następował podpis imienia i nazwiska, tudzież adres [1]).

Szlachcic, skończywszy czytać, stanął przed ekonomem i rzucił mu jedno tylko pytanie:

— Hę?!...

— Wola pańska — odparł osiwiały ekonom, kłaniając się. — Musi tam być chłopcu okrutnie źle...

— Wydobędziemy go!... — rzekł jakby do siebie Anzelm i począł wielkiemi krokami chodzić po pokoju, rozmyślając.

— Potrzebuję z pięćset rubli... — szepnął. — Trzeba chłopca tu przywieźć i od wakacyj oddać do szkół.

— Ładny grosz! — mruknął ekonom.

— Mamy przecież trochę zboża na sprzedaż? — spytał pan Anzelm.

— Tak! zboże jest, ale o kupca niełatwo, a przytem to ekstraordynaryjny [2]) wypadek... Zresztą i Józia [3]) czasby już do szkół...

— Tępy chłopiec! — odpowiedział szlachcic. — On się jeszcze i za dwa lata nie przygotuje.

Nastało znowu milczenie, które przerwał ekonom.

— Jeżeli taka wola pańska, to pieniądze się znajdą. Przecież tydzień temu pan Adam za cugowe konie dawał akurat pięćset rubli z czemś...

Słowa te podziałały na pana Anzelma, jak kubeł zimnej wody. Przez chwilę jeszcze się wahał, lecz wkońcu rzekł już innym głosem:

— Niech Młynkiewicz idzie spać.

Potem znowu począł rozmyślać:

---

[1]) Mowa tu o liście sieroty Jasia, który donosi panu Anzelmowi, szlachcicowi średniej zamożności, że mu umarła matka, i prosi o opiekę i pomoc; [2]) nadzwyczajny; [3]) synka pana Anzelma.

— Żal mi wprawdzie chłopca, no! ależ i ja mam obowiązki... Od kwartału jest w domu nauczyciel do Józia, mógłby się więc przy nim trochę poduczyć, ale — ze szkołami ciężka sprawa... Szkoda chłopca!...

Co prawda, pan Anzelm wstydził się nawet przed sobą wyznać, że mu trochę żal było pary cugowych koni, które stanowiły pamiątkę lepszych czasów. Długów teraz nie miał, lecz dla edukacji Jasia musiałby się przez lat parę ograniczać w wydatkach. Rok obecny był wyjątkowo pomyślny i pozwolił mu nawet na kupno żniwiarki, lecz czy tak zawsze będzie?...

Ale z drugiej strony pan Anzelm wiedział, że Jaś jest ogromnie obiecujący, i domyślał się, że pozostając nadal w dzisiejszych rękach, zmarnować się może.

— Szkoda chłopca! — szeptał wzruszony. — No, ależ i ja mam obowiązki, i to ciężkie...

— Podołasz im! — odezwał się jakiś głos.

— Zapewne! — odpowiedział szlachcic — ale w takim razie wolę poprawić byt własnej rodziny. Edukacja chłopca może kosztować z parę tysięcy rubli, lepiej więc to odłożyć dla swoich...

— A co zrobisz dla kraju? — szepnął głos.

Szlachcic na środku swej izdebki stanął struchlały i, jakby pragnąc odegnać trapiące go myśli, spojrzał dokoła siebie. Tym razem wzrok jego padł na trzy odwieczne portrety. Jeden z nich wyobrażał jakiegoś rycerza w zbroi, drugi starca, trzeci matronę.

I otóż zdarzyła się rzecz niesłychana. Portrety te ożyły i poczęły mówić:

— Ja wygrywałem bitwy, a w ostatniej z nich położyłem głowę... — odezwał się rycerz.

— Założyłam szpital i szkołę, w której uczyło się kilka pokoleń... — mówiła matrona.

— Założyłem miasteczko i kilkanaście wsi... — odezwał się starzec.

— A wy coście zrobili?... — pytał głos. — Twój ojciec, goniąc za tytułem hrabiego po niemieckich oberżach, strwonił prawie cały majątek, a ty resztę!...

Anzelmowi kroplisty pot wystąpił na czoło. Odwrócił się od obrazów i chciał usiąść przy biurku, na starym, żelaznym fotelu, obitym skórą. Nagle cofnął się; w tej chwili pierwszy raz w życiu przyszło mu na myśl, że nie godzien jest siadać na tem krześle, które zajmowali niegdyś znakomici obywatele kraju i święte matrony.

Tymczasem portrety mówiły znowu.

— Dom mój był przytułkiem inwalidów... — szeptał wojownik.

— Do mego stołu zasiadały sieroty... — mówiła matrona.

— W złych czasach kilka tysięcy ludzi uratowałem od głodowej śmierci i dałem krajowi kilkunastu rzemieślników — odezwał się starzec.

— Twój ojciec wykształcił na pożytek ogólny kilkunastu żokiejów i psiarczyków... a ty — furmana i kuchtę, który cię okradł — uzupełnił głos.

— Żokiejów i psiarczyków... furmana i kuchtę!... — powtórzył z goryczą pan Anzelm. — Wartoż było dla tak nędznych rezultatów strwonić majątek, rodzić się z bohaterów i statystów [1]), nosić odwieczne nazwisko i mieć pretensję do tytułu członka klasy przodującej?... Nie byłem jednak gorszym od innych — szepnął szlachcic, jakby tłumacząc się przodkom, którzy w tej chwili spoglądali na niego martwemi oczyma.

Istotnie! inni nawet psiarczyków porządnych nie umieli wykształcić!...

Myśli jego znowu skierowały się do sieroty.

— Dobrze — mówił — więc sprzedam cugowe konie, ograniczę się jeszcze bardziej, spadnę do klasy dorobkiewiczów, ale któż mi zaręczy, że cała moja praca nie pójdzie na marne, że chłopiec nie umrze, albo nie zepsuje się?

— Czyń to, co przypada na ciebie, a o reszcie nie myśl!... — mówił głos.

I otóż szlachcic zdecydował się. Postanowił powiększyć rodzinę o jednego członka, który go miał najwięcej kosztować. Robił to bez fałszywego entuzjazmu [2]), na zimno, czując, że spłaca dług, nie uiszczony w pomyślniejszych czasach.

Jeżeli mu się Jaś nie uda, wówczas czeka go zawód, pośmiewisko ludzkie, a kto wie nawet, czy nie wyrzuty ze strony własnych dzieci. Ale jeżeli się uda?...

Było to duże ryzyko, lecz nie on pierwszy ryzykował. Jego pradziad kilkanaście razy grał o życie, a choć wkońcu przegrał, zostawił dobre imię. Jego znowu ojciec grał także raz... w djabełka [3]) o dwie wsie!

Wybiła trzecia rano, gdy pan Anzelm siadł do pisania listu, a siadł na żelaznym fotelu, który niegdyś zajmowali wojownicy,

---

1) polityków; 2) zapału; 3) gra hazardowna w karty.

znakomici obywatele i święte matrony. Czuł on, że jest im równy, choć składa w ofierze tylko ostatnią parę cugowych koni!...

Około czwartej wszedł Młynkiewicz.

— Trzeba odesłać ten list i konie panu Adamowi — rzekł szlachcic.

— Wolą pańska!... — odparł ekonom.

A potem spytał:

— To pojedzie pan do Warszawy?...

— Pojutrze! — odpowiedział pan Anzelm.

Ekonom pokręcił głową i wyszedł.

Gdy szlachcic znowu został sam, już śmiało spojrzał na portrety przodków. I on także umiał poświęcić dla ogólnego dobra chociaż część skromnych resztek, i on do stołu swego prowadził sierotę, aby przygotować społeczeństwu obywatela.

Bolesław Prus.

97. Walka.

Kompanja, w której służył Bartek[1]), pochwyciła też dwu tylko jeńców. Wieczorem umieszczono ich w izbie, w domu leśnika. Nazajutrz mieli być rozstrzelani. Straż kilku żołnierzy stanęła przy drzwiach, Bartka zaś postawiono w izbie pod wybitem oknem, razem ze związanymi jeńcami.

Jeden z jeńców był to człowiek niemłody, z siwiejącemi wąsami i twarzą obojętną na wszystko; drugi wyglądał na dwadzieścia kilka lat: jasne wąsy zaledwie sypały mu się na twarzy, podobniejszej do twarzy panny, niż żołnierza.

— Ot i koniec — rzekł po chwili młodszy — kula w łeb i koniec!

Bartek drgnął, aż karabin zadźwięczał mu w ręku: młody chłopak mówił po polsku...

— Mnie tam już wszystko jedno — odrzekł zniechęconym głosem drugi — dalibóg, wszystko jedno. Naterałem się już tyle, że mam dosyć...

Bartkowi serce biło pod mundurem coraz żywiej...

— Słuchaj-no — mówił dalej stary — niema rady. Jeśli się boisz, to myśl o czem innem, albo się połóż spać. Życie jest podłe! Jak mi Bóg miły, tak wszystko jedno.

---

[1]) Bartek Słowik, chłop wielkopolski, służący w armji pruskiej podczas wojny francusko-pruskiej 1870—1871 r.

— Matki mi żal! — odparł głucho młodszy. I widocznie, chcąc stłumić wzruszenie lub oszukać samego siebie, począł gwizdać. Nagle przerwał i zawołał z głęboką rozpaczą:

— Niechże mnie piorun trzaśnie! Nawetem się nie pożegnał!

— Toś uciekł z domu?

— Tak. Myślałem: pobiją Niemców, będzie Poznańczykom lepiej.

— I ja tak myślałem. A teraz...

Stary kiwnął ręką i dokończył coś zcicha, ale resztę jego słów zgłuszył szum wiatru. Noc była zimna. Drobny deszcz zacinał od czasu do czasu falami, pobliski las czarny był, jak kir. W izbie wicher świstał po kątach i wył w kominie, jak pies. Lampa, umieszczona wysoko nad oknem, aby jej wiatr nie zgasił, rzucała sporo migotliwego światła na izbę, ale stojący pod nią tuż przy oknie Bartek pogrążony był w ciemności.

I może lepiej, że jeńcy nie widzieli jego twarzy. Z chłopem działy się dziwne rzeczy. Z początku ogarnęło go zdziwienie, i wytrzeszczał na jeńców oczy i starał się zrozumieć, co mówią. Toż oni przyszli bić Niemców, żeby Poznańczykom było lepiej, a on bił Francuzów, żeby Poznańczykom było lepiej! I tych dwóch jutro rozstrzelają! Co to jest? Co on, biedak, ma o tem myśleć? A żeby się tak ozwał do nich? Żeby im powiedział, że on swój człowiek, że mu ich żal. Nagle złapało go coś za gardło. I co on im powie? Czy ich wyratuje? To i jego rozstrzelają! Hej, rety! co się z nim dzieje? Żal go tak dusi, że nie może ustać na miejscu.

Jakaś straszna tęsknota nadlatuje na niego, aż het gdzieś z Pognębina. Nieznany gość w żołdackiem sercu, litość, krzyczy mu w duszy: „Bartku! ratuj swoich, to swoi!“ — a serce wyrywa się do domu, do Magdy, do Pognębina, i tak się rwie, jak nigdy przedtem. Dosyć mu tej Francji, tej wojny i bitew! Coraz wyraźniej słyszy głos: „Bartku, ratuj swoich!“ Ażeby ta wojna pod ziemię się zapadła! Przez wybite okno czernieje las i szumi, jako pognębińskie sosny, a w tym szumie woła coś znowu:

„Bartku, ratuj swoich!“

Cóż on zrobi?

Ucieknie z nimi do lasu, czy co?

Wszystko, co tylko pruska dyscyplina zdołała w niego wszczepić, odrazu wzdryga się na tę myśl... W Imię Ojca i Syna! Tylko się przed nią przeżegnać. On, żołnierz, ma dezerterować? Nigdy!

Tymczasem las szumi coraz mocniej i wicher świszcze coraz żałośniej.

Starszy jeniec odzywa się nagle:

— A to wiatr, jakby jesienią u nas...

— Daj mi pokój... — rzecze pognębionym głosem młodszy

Po chwili jednak powtarza kilkakrotnie:

— U nas, u nas, u nas! O Boże! Boże!

Głębokie westchnienie zlewa się z poświstemi, jeńcy leżą znów cicho...

Bartka poczyna febra trząść...

Najgorzej, gdy sobie człowiek nie zdaje sprawy z tego, co mu jest. Bartek nic nie ukradł, a tak mu się zdawało, jakby co ukradł i jakby się bał, że go złapią. Nic mu nie grozi, a przecie boi się czegoś okrutnie. Oto nogi dygocą pod nim, karabin cięży mu strasznie i coś go dusi, jakby jaki wielki płacz. Za Magdą, czy za Pognębinem? Za obojgiem, ale i tego młodszego jeńca tak mu żal, że sobie rady dać nie może.

Chwilami zdaje się Bartkowi, że śpi. Tymczasem zawierucha na dworze jeszcze się powiększa. W poświście wiatru mnożą się dziwne wołania i głosy.

Nagle Bartkowi każdy włos staje dębem pod pikielhaubą...

Oto wydaje mu się, że tam gdzieś w ciemnych, mokrych głębiach boru, ktoś jęczy i powtarza: „U nas, u nas, u nas!“

Bartek wzdryga się i uderza kolbą w podłogę, by się rozbudzić.

Jakoż przychodzi do przytomności... Ogląda się: jeńcy leżą w kącie, lampa migoce, wiatr wyje, wszystko w porządku.

Światło pada teraz obficie na twarz młodego jeńca. Iście twarz dziecka albo dziewczyny. Ale oczy ma przymknięte, słomę pod głową i wygląda jakby już umarły.

Jak Bartek Bartkiem, nigdy go tak nie nurtował żal. Wyraźnie ściska go coś za gardło, wyraźnie płacz mu idzie z piersi.

Tymczasem starszy jeniec obraca się z trudnością na bok i mówi:

— Dobranoc, Władek...

Następuje cisza. Upływa godzina, z Bartkiem coś naprawdę źle. Wiatr gra, jak organy pognębińskie. Jeńcy leżą cicho, nagle młodszy podnosi się trochę z wysileniem i woła:

— Karol?

— Co?

— Śpisz?

— Nie...

— Słuchaj! Ja się boję... Mów, co chcesz, a ja się będę modlił...

— To się módl!

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...

Łkanie przerywa nagle słowa młodego jeńca... wszelako słychać jeszcze przerywany głos:

— Bądź... wola... Twoja!...

— O, Jezu! — wyje coś w piersiach Bartka. — O, Jezu!... Nie! on już nie wytrzyma dłużej! Chwila jeszcze, a krzyknie: „Paniczu! toć ja chłop!...“ Potem przez okno... w las... Niech się dzieje, co chce!

Nagle od strony sieni dają się słyszeć miarowe kroki. To patrol, a z nim podoficer. Zmieniają straże!

Nazajutrz Bartek od rana był pijany. Następnego dnia także...

Henryk Sienkiewicz.

98. Sprzedaż krowy.

Tak dojrzewała bieda wśród ogólnej ciszy, którą mimowolnie przerwał sam Ślimak. Jednej nocy bez powodu zerwał się z pościeli i usiadł na tapczanie.

— Co tobie, Józek?... — zapytała żona.

— Oj!... Śniło mi się, że nam paszy całkiem zabrakło i wszystek dobytek wyzdychał...

— W imię Ojca i Syna... Żebyś nie wymówił w złą godzinę!...

— Już-ci na pięć ogonów paszy nam nie wystarczy, to darmo — rzekł chłop. — Kalkuluję se w głowie na wszyćkie strony, ale na nic...

— No, więc co zrobisz?

— Bo jo wiem, nieszczęśliwy?

— Możeby...

— Chybaby sprzedać z jedno?... — dokończył chłop.

Słowo padło. We dwa dni później Ślimak, zaszedłszy po okowitę do karczmy, coś napomknął Joselowi o krowie, a zaraz w poniedziałek przyszli do chałupy dwaj rzeźnicy z miasteczka.

Ślimakowa wcale z nimi nie chciała gadać, a Magda zaczęła szlochać. Wyszedł tedy na dziedziniec Ślimak.

— Ny, co to, gospodarzu? — zaczął jeden z rzeźników: — chcecie sprzedać krowę?

— Bo jo wiem...

— Która to, pokażcie ino.

Ślimak milczał, aż musiał odezwać się Owczarz.

— Już jak sprzedać, to chyba Łysą...

— Wyprowadźcie-no ją — nalegał rzeźnik.

Maciek poszedł do obórki i po chwili wyprowadził nieszczęsną krowę. Zdawała się być zdziwiona, że ją wyciągnęli na dziedziniec w niezwykłej porze.

Rzeźnicy obejrzeli Łysą i, poszwargotawszy między sobą, zapytali o cenę.

— Bo jo wiem? — odparł Ślimak.

— Co dużo gadać? Sami widzicie, jakie to stare bydlę. Damy piętnaście rubli.

Ślimak znowu umilkł, więc znowu Owczarz musiał go wyręczyć w targu. Żydzi krzyczeli w niebogłosy, zaklinali się, szarpali krowę na wszystkie strony, a wkońcu, pokłóciwszy się między sobą, dali ośmnaście rubli. Jeden założył stworzeniu powróz na rogi, drugi machnął je kijem po łopatce, i — w drogę...

Krowa, poczuwszy widać zapach krwi, nie chciała ruszyć z miejsca. Naprzód skręciła do obory, ale rzeźnicy odciągnęli ją ku gościńcowi; potem ryknęła tak żałośnie, że Owczarz pobladł, a wkońcu oparła się wszystkiemi nogami o ziemię, patrząc na Ślimaka wywróconemi oczyma, w których malował się żal i przestrach.

W izbie słychać było płacz Magdy; gospodyni nie śmiała nawet wyjrzeć na dziedziniec, a Ślimakowi zdawało się, że zapienione i zadyszane bydlątko szepcze do niego:

— Gospodarzu, a dyć spojrzyjcie, co oni ze mną wyrabiają, te Żydy... Przecie oni mnie ztela chcą zabrać i zarznąć!... Sześć roków byłam u was, i coście chcieli, robiłam woma sprawiedliwie. Ujmijcież się teraz za mną w takiem nieszczęściu!... Gospodarzu... gospodarzu!...

Ślimak milczał. Wtedy krowina, widząc, że już nic jej nie uratuje, obejrzała się ostatni raz po dziedzińcu i — poszła za wrota.

Gdy była na gościńcu, brnąc po błocie, wywlókł się za nią Ślimak. Szedł zdaleka, gniótł w pięści żydowskie pieniądze i myślał:

— Gdzieżbym ja cię sprzedawał, nasza karmicielko i dobrodziejko, żebym się nie bał o nieszczęście dla wszystkich?... Nie ja przecie winienem twojej nędzy. Bóg miłosierny zagniewał się na nas i po jednemu wysyła na śmierć...

Czasem krowa, jakby nie dowierzając, oglądała się za siebie, na dom. Wtedy Ślimak znowu szedł za nią i wahał się w duszy: czyby nie oddać Żydom pieniędzy i nie odebrać stworzenia? Ocaliłby ją, nawetby dopłacił, gdyby mu w tej chwili odstąpił kto paszy na zimę. Na moście chłop stanął i, oparty o poręcz, bezmyślnie patrzał w wodę. Ot, zepsuło się coś w zagrodzie!... Roboty niema, zboża nikt nie kupuje, w lecie zginął mu syn, w jesieni ginie bydlątko, a co zima przyniesie?

Bolesław Prus.

99. Sprzedaż krowy.

Hanka wytarła krowie ognojone boki, oddoiła mleko, co się jej tam od rana uzbierało, i przewiedła przez izbę na dwór. Krowa się opierała, szła niechętnie, a przestąpiwszy próg, wyciągała gembulę, wąchała, to śnieg jęła zlizywać, aż ni stąd, ni zowąd zaryczała przeciągle, cicho a żałośnie i tak się rwała z postronka, że ledwo ją stary udzierżał.

Hanka już nie mogła tego przenieść, żal ją przejął srogi i tak świdrujący, aż buchnęła płaczem, a za nią i dzieci, czepiając się matczynego wełniaka, uderzyły w krzyk i lament. Antkowi też nie było wesoło, nie, ino zęby zasiekł, wsparł się o ścianę i patrzył na wrony, co się zleciały na rozgrzebany z dołu śnieg, a handlarze zaś szwargotali między sobą i wzięli krowę macać a oglądać ze wszystkich stron. Juści, że Antkom zrobiło się w sercach, kiej na pogrzebie, aże się odwracali od bydlątka, co próżno się targało na uwięzi, darmo wykręcało do gospodarzy wybałuszone i zestrachane oczy, darmo porykiwało głucho.

— Jezu!... Na tom cię, krówko, pasła, na tom zabiegała, na tom starunek o tobie miała... by cię na rzeź powiedli... na zatracenie — lamentowała Hanka, tłukąc głową o ścianę, a dzieci też w płaczliwy wtór biły. Ale po próżnicy lamenty a płacze, na darmo, bo musu, człowiecze, nie przeprzesz, doli nie przemożesz, ni tego, co być ma...

— Co chcecie? — spytał wreszcie starszy, siwy Żyd.

— Trzysta złotych.

— Trzysta złotych, za tę chabaninę! Wy, Antoni, chory jesteście, czy co?

— Ty mi od chabanin na nią nie pyskuj, byś czego nie oberwał! Widzisz go, krowa młoda, na piąty rok ledwo idzie, spaśna — wrzeszczała Hanka.

— Sza... sza... w handlu gniewu niema o to słowo... bierzecie trzydzieści rubli?

— Powiedziałem swoje!

— I ja mówię swoje, trzydzieści jeden... no trzydzieści jeden i pół... no trzydzieści dwa — dajcie rękę... no trzydzieści dwa i pół... zgoda!

— Rzekłem.

— Ostatnie słowo, trzydzieści i trzy! Nie, to nie! — powiedział flegmatycznie młodszy i oglądał się za swoim kijem, a starszy zapinał chałat.

— Za telachną krowę... adyć bójcie się Boga, ludzie... krowa, kiej obora... sama skóra warta z dziesięć rubli... za telachną krowę... oszukańce, Chrystobije... — jąkał stary, oklepując krowę jeno, że nikto nie zważał na niego.

Żydzi rozpoczęli zajadłe targi. Antek też stał twardo przy swojem, opuścił coś niecoś, ale niewiela, bo, po prawdzie, krowa była dużo warta, i żeby tak na zwiesne i gospodarzowi sprzedać, dostałby pięćdziesiąt rubli, jak nic. Ale gdzie mus pogania, tam bieda za orczyki ciągnie. Żydy dobrze o tem wiedziały i, chocia wrzeszczeli coraz głośniej i coraz zapalczywiej bili w Antkową dłoń na zgodę, przyrzucali mało wiele, najwyżej po pół rublu...

Już było tak, że odchodzili zagniewani, już Hanka krowę ciągała z powrotem do zagrody i nawet Antek się rozsierdził i gotów był sprzedaży poniechać, ale kupcy wrócili i, jak zaczęli krzyczeć, handryczyć[1]), a przysięgać, że więcej dać nie mogą, a w ręce przebijać i krowę znowu penetrować[2]), tak i stanęła zgoda na czterdziestu rublach i dwóch złotych postronkowego la Bylicy.

Wypłacili zaraz, na rękę; stary powiódł za nimi krowę do sań, które czekały przed karczmą, Hanka zaś z dziećmi odprowadziła krasulę aż do drogi, a co trochę, to ją gładziła po gembuli, to pokładała się na niej, a oderwać się nie mogła od bydlątka, ni przyciszyć frasunku i żałości.

Władysław Stanisław Reymont.

100. Oracz.

Na mazowieckiej równinie było płasko i powszednio. Ziemia, niby rozlana szeroko i zlekka rozkołysana fala, sięgała szarą, bezbrzeżną masą aż do ostatniej linji horyzontu. Wąska granatowa wstążeczka borów dalekich oddzielała ją od nieba, które

---
1) krzyczeć. 2) oglądać.

było również szare i w jednem tylko miejscu, tuż nad borami, trochę się żółciło. Żółtość ta wskazywała, że w miejscu owem, za popielatą zasłoną chmur, słońce dogasa.

Ziemia, jak oko sięgało, pokrajana była w zagony, a te pasy podłużne, gdzie niegdzie zygzakowate, biegły w różnych kierunkach, odznaczając jedno pole od drugiego. Jedne z nieforemnych płatów gruntu były całkowicie czarne, inne miały barwę brunatną, inne wreszcie wyjaśniały się stopniowo, dochodząc do bladej popielatości, co nasuwało mimowoli przypuszczenie, iż do tuszu, którym krajobraz wymalowano, dolewał malarz coraz więcej wody.

Tu i owdzie stała, niby na straży, grusza polna, odosobniona, smętna, cicha. Gdzie indziej grunt zagłębiał się trochę, a w zagłębieniu tem, wilgotnem zapewne, rosła olszyna o liściach połyskujących. Największa kępa zieloności, utworzona z lip przysadzistych i wysmukłych topoli, służyła za zasłonę niewidzialnej wiosce, która kryła się za nią, jak za parawanem.

Istnienie tej wioski rozpoznawało się jedynie słuchem i powonieniem.

Wiatr, ten sam chłodny, przedwieczorny wiatr, który szeleściał w suchych trawach i staremu oraczowi rozwiewał długie siwe włosy, przynosił z ukrytych siedzib ludzkich dźwięki i zapachy, słyszało się głuchy pomruk basetli, przygrywającej w karczmie, oraz przeciągłe „hej!“, wyrzucane z piersi podpiłego parobczaka; czuło się ostrą woń razowca, pieczonego w sołtysowej chałupie, oraz rzeźwiący aromat kawy, którą przypalała na patelni gospodyni proboszcza. Tam było wesoło i huczno; tu panował smutek i cisza głucha.

Starzec wyglądał, jakby go przygniatało brzemię całego stulecia. Suwał się raczej, niż stąpał. Plecy zgięte miał w kabłąk, głowę w dół zwieszoną, nos długi, ostry i zakrzywiony nakształt dziobu starego sokoła. Cała jego postać wyrażała najwyższą bezsilność i gwałtowne ciążenie ku ziemi. A ziemia zdawała się czekać nań niecierpliwie i wabiła go na swe czarne, wilgocią ziejące łono...

Z pod słomianego, podartego kapelusza wymykały się kosmyki siwych włosów, pozlepiane potem i do białych sznurków podobne. Wystająca broda jeżyła się igłami siwego również zarostu.

Oczy były dołami, dołami były też policzki. Na skroniach, na szczęce i na wyschniętej szyi setki zmarszczek plątały się nieforemną siatką, podobne do tych zygzakowatych linij, jakie żłobi mól w okładce starej księgi...

Za każdem szarpnięciem koni starzec zataczał się, jakby miał upaść. Trudno było uwierzyć, że to on pługiem kieruje, pług to raczej dawał mu oparcie i wlókł go za sobą. Co kilka chwil stawały konie, zatrzymywał się pług, a starzec zanosił się suchym, bezdźwięcznym kaszlem. Kaszel ten dziwnie przypominał tępy odgłos, jaki sprawia zabijanie trumny ćwiekami. Ale zaledwie kaszel ustał, konie z wysiłkiem szły dalej, a błyszczące żelazo wrzynało się w ziemię, odwalając czarne bryły na prawo i na lewo.

Oracz nie myślał o odpoczynku i czujne oczy przenosił z ziemi na niebo, porównywając ilość drogi, jaką mają jeszcze do przebycia pług i słońce.

Sine jego wargi i szczęki bezzębne poruszały się, jakby coś żując. Żuł słowa z trudem dobywające się z ust. Szepleniący głos jego dobiegał chwilami aż do mnie.

Starzec mówił:

— „Usy moje ogłuchły, ocy nijak nie widzą... Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nade mną!...

„Nogi moje już się nie rusają, życie moje końcy się... Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nade mną!...

„Serce moje zemglone i uciśnione, łzy wsyćkie wypłakałem... Jezu najlitościwszy, zmiłuj się nade mną!...“

Tego starca, odmawiającego litanję konających, widziałem przed tygodniem w miasteczku. Lekarz powiatowy, człek sprężysty, który ludziom biednym udzielał „konsultacji“ [1]) przez lufcik, podczas gdy oni z odkrytemi głowami stali na bruku ulicznym, mówił do niego, zaciągając się dymem cygara:

— Do trumny, dziadu! do trumny!... Patrzcie go! Sto lat dziadziskowi, i jeszcze mu się żyć chce!...

A sędziwy wieśniak tylko białą głową potrząsał, jęcząc głucho

— Oj, wielmożny panie!... oj!...

Więc, kiedym teraz starca tego przy pracy ujrzał, nie mogłem się powstrzymać od zawołania:

— Ozdrowieliście widać, ojcze, kiedy za pługiem chodzicie!...

Przystanął, zaczerpnął w pierś powietrza i głosem, jakby ze studni wychodzącym, odrzekł:

— Bogać tam ozdrowiałem... Chodzę, bo na ozimkę [2]) trza grunt zaorać... Ale ino te dwie skiby ostatnie zrusę, zaraz bandzie koniec wsyćkiemu...

---

[1]) porady; [2]) ozimina.

— Więc spodziewacie się doczekać wiosennych plonów?

— Uchowaj, Jezusie!... Mnie jesce w tym tydniu[1] w świętą ziemię zakopią...

— Skąd wiecie o tem?

Podniósł siwe brwi wysoko i usta w milczeniu otworzył, jakby go zapytanie to nadzwyczaj zdziwiło. Potem głową potrząsnął i rzekł z naciskiem:

— Wim... i tyla...

Konięta tymczasem zdobyły się na nowy wysiłek i o kilka kroków dalej pociągnęły pług wraz z oraczem.

Gdy znowu trójca ta zatrzymała się, ponowiłem pytania.

— Jeśli nie spodziewacie się plonów — rzekłem — dla kogóż rolę tę orzecie?

I to pytanie wydało mu się niepojętem.

— Dla kogo? — odparł, dziwiąc się. — A juści nie dla siebie... Dla tych orzę, co tu po mnie przyńdą!

I, przerywając rozmowę, hukać jął na konie, aby zawróciły na nowy, ostatni już zagon. Pożegnałem starca pozdrowieniem Chrystusowem i odszedłem w swoją drogę.

Słowa jednak jego zapadły mi w duszę głęboko.

Powtarzałem je sobie aż do ukazania się gwiazd na niebie, a gdym przed zamknięciem oczu na sen rozmyślał, jak zawsze, o śmierci, wydała mi się ona czemś tak nieznacznem i niepochwytnem, jak w tęczy przejścia od jednej barwy do drugiej.

Wiktor Gomulicki.

101. Na roli.

Po szerokim, po ugorze,
Ze swym pługiem rolnik kroczy,
Twardą ziemię ciężko orze,
Wyostrzonem radłem[2] toczy.

Orze ziemię lat tysiące,
I zasyła modły w nieba:
O pogodę i o słońce,
Słowo Boże i kęs chleba.

Raźny, chociaż niewesoły,
Idzie brózdą i powraca,
I pogania swoje woły,
Skroń mu potem zlewa praca.

Włos ma płowy, szare oko,
Twarz od słońca ogorzałą,
Barki silne, pierś szeroką
I koszulę nosi białą...

W koszulisku swojem lnianem,
W białych, lnianych spodniach, [bosy,
W kapelszu swym słomianym
Swoje ciche spełnia losy!

* * *

Dziwna postać ta oracza!
Idą, płyną pokolenia,

---

[1]) tygodniu; [2]) ostrzem pługa.

Jego nic nie przeinacza,
Jego ducha nic nie zmienia.

I tak kroczy śród gorąca,
Jak na wyżni gdzieś irańskiej [1])
Jakiś duch z przed lat tysiąca,
Jakiś wid [2]) starosłowiański.

Takim był on za dni Lecha,
Za Lumirów [3]) i Bojanów... [4])

Nieruchoma wiejska strzecha
Nie zna świata uraganów:

Gdzieś na świecie wyły burze,
Świat niejedno stworzył dzieło;
On — niezmienny w swej na-
[turze
Skrzydło dziejów go nie tknęło [5])

Antoni Lange.

102. Polonez.

Naraz zagrzmiały pierwsze dźwięki poloneza i po sali poszły gorączkowe rumory i wołania:

— Polonez! Miejsca, mości państwo! Miejsca! Polonez!

Jakoż kapela, zestrzeliwszy wszystkie głosy w jedno, powiodła zgodnie tan rozkołysany, górny a uroczysty, dziarski a pełen powagi, radosny a dumny i mocą hartowny a wspaniałością dyszący.

W złoconych drzwiach ukazał się Sievers [6]), z szarmanckim [7]) ukłonem podał rękę pani Ożarowskiej [8]) i poszli w pierwszą parę poloneza... A za nimi ruszył długi, migotliwy korowód i płynął po sali rozmigotanym wężem, wśród posuwistych stąpań, wabnych uśmiechów, kornych pokłonów, strzelistych słówek i dźwięków, wznoszących się coraz szerzej, coraz przenikliwiej i coraz ogromniej.

Aż uczyniła się na sali przedziwna cichość. Pary za parami płynęły w uroczystem milczeniu, niby wstęga, migocąca tęczami, a tylko kapela podawała swoje dostojne i rzewliwe głosy...

...Basy [9]) jęknęły niekiedy gędźbą [10]) zatroskanych starców, zalśniły się tu i owdzie skrzypce, jak oczy dziewic, zroszone łzami pożegnań; wiole [11]) zaniosły się urywanym boleśnie płaczem; żalił się klawecyn [12]) i coś długo szeptał i za czemś wołał tęskliwie; fletrowersy [13]) łkały, jakby wśród pocałunków namiętnych i rozstawań żałosnych — gdy naraz trąby zagrzmiały wyniosłą, chmurną pieśń boju i chwały; porwał się górny szum

---

[1]) płaskowzgórze irańskie w Azji, skąd niektórzy wywodzą plemiona indoeuropejskie, czyli aryjskie; [2]) zjawisko; [3]) podaniowy śpiewak czeski; [4]) podaniowy śpiewak ruski; [5]) t. j. nic się nie zmienił; [6]) ambasador rosyjski w Polsce; dzieje się to podczas sejmu w Grodnie w 1793 r. [7]) eleganckim; [8]) hetmanowej; [9]) basetle; [10]) graniem, głosem; [11]) rodzaj skrzypiec; [12]) rodzaj późniejszego fortepjanu; [13]) flety.

orlich skrzydeł, ciężkie tętenty zadudniły, chrzęsty ciężkich zbroic, dalekie rżenia, głosy, śpiewy...

Pancerni! Pancerni!

Mróz przeszedł kości! Sto serc zabiło i sto rąk padło na głownie szabel. Chodkiewicz na przedzie, tarant[1]) pod nim spieniony, las rozszumiałych skrzydeł, wiatr miota chorągwią, kopje migocą grotami, pobrzękują karaceny[2]), huczą, jak burza, i, jak burza, cwałują...

Stanęli murem... patrzą nieulękłe, wierne oczy... błyszczą się ryngrafy[3]); koń zaparska, ktoś zcicha westchnie, płyną żarliwe, ostatnie pacierze...

— Jezus, Marja! Bij, zabij! — spadł krzyk ogromny i zakwiliły piszczałki. Runął huragan, strzaskały się kopje, pierś uderzyła o pierś, zadzwoniły pancerze i już biją miecze, jak młoty, biją, jak błyskawice, biją, jak pioruny...

Wrzasnęły mosiężne blachy palącym wichrem boju; rzegoczą brzękadła janczarskie, trąby huczą przeciągle, niby armaty, skrzypce zacinają świstem tysięcy szabel, piszczałki bodą namiętnie sztychami, bębny zrywają się raz po raz suchym, krótkim warkotem, jakby trzaskiem samopałów, i czyni się straszliwy zgiełk; wszystko się miota, zmaga, przepiera i kłębi, pijane krwią, mordem i szaleństwem, a tylko basowy głos wciąż pojękuje głucho i jednako uparcie, mściwie i nieubłaganie huczy:

— Bij, zabij! Bij, zabij! Bij, zabij!

A w pierwszą parę tańczył Sievers z panią Ożarowską.

Znagła uderzył pod stropy szeroki, triumfalny śpiew zwycięstwa! Zaszumiały prawieczne lipy, grzmią wiwaty, stary dwór dygoce, biją łunami okna, krew gra upojeniem, ręce szukają rąk, żenią się miłosne spojrzenia, serca pienią się radością, niby puhary, prężą się dusze, ponosi ochota.

Hej, jak cudnie i weselnie na świecie, hej!

— Odbijanego, mości panowie, odbijanego!

Klasnęły dłonie, przechylają się głowy, furkoczą sukienki, czasem rymną obcasy, zatrzepią się wyloty i brzękną karabele.

...Szarmanckie dygi, posuwiste ukłony, nagłe przyklękania, oślepiające zawroty, namiętne rapty[4]), ściszone afekty[5]), niespodziane szlochy, i polonez niesie się, wije i migoce ognistą wstęgą dokoła sali w powodzi świateł, barw i zawrotnych dźwięków kapeli, która już swawoli, przekomarza się, przyśpiewką zaniesie,

[1]) koń maści niejednolitej; [2]) karacena — pancerz z łuski stalowej; [3]) napierśniki z obrazkami świętemi; [4]) porywania; [5]) uczucia.

pobaraszkuje, buchnie śmiechem, czasem hulaszczo utnie, czasem powieje smutkiem, a coraz cudniej kołysze czarami upojeń i zapomnienia.

A w pierwszą parę tańczył Sievers z panią Ożarowską.

Władysław Stanisław Reymont.

103. Polonez.

Poloneza czas zacząć — Podkomorzy rusza
I, zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I wąsa pokręcając, podał rękę Zosi,
I skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi,
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi,
Dano hasło, zaczęto taniec — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskają buty
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia;
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia,
Można tancerza czucia i myśli wyczytać: —
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać.
Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha,
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi
I zaśmiał się nakoniec — rad z jej odpowiedzi.
Stąpa prędzej, poglada na rywalów zgóry,
I swą konfederatkę z czaplinemi pióry
To na czole zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił wąsa —
Idzie, wszyscy zazdroszczą, biegą w jego ślady,
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady:
Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi,
I, żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi.
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszów zmylić,
Lecz go szybkiemi kroki ścigają natręty,
I zewsząd obwijają tanecznemi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: nie dbam o was, zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czole i, z wyzwaniem w oku,
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku.
Ustępują mu z drógi — i zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim —
Brzmią zewsząd okrzyki:

„Ach to może ostatni! patrzcie, patrzcie, młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!“ —
I szły pary po parach hucznie i wesoło,
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło!
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia.
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Adam Mickiewicz.

104. Kulig.

— Kulig jedzie! kulig! — wołali już parobcy, biegnący wywierać bramy.

Po chwili pochodnie wystrzeliły w mrokach rozmigotanemi, krwawemi miotłami, długi, kręty wąż sań zaczerniał na śniegach, jezdni pędzili naoślep przez zaspy i pola, zabrzęczały dzwonki i janczary[1]), huknęły śpiewania i muzyka urznęła od ucha, siarczyście, na bij-zabij.

Hej! kuligiem jechali, kuligiem nad kuligami. Sto sań skrzypiało po śnieżystej grudzie, sto sań leciało z wichrami w zawody, sto sań niosło się z grzmotem, jak burza, rozśpiewana weselem, pijana mocą i radością oszalała. Konie widziały się podobne smokom w brzękadłach, siatkach pozłocistych, rzędach i wstęgach barwistych, puszczonych na wiatr, aż ziemia jęczała i z pod kopyt śniegi tryskały fontannami.

Na przedzie w siwe ogiery w purpurowych siatkach i pióropuszach jechał weselny starosta wraz ze starościną, za nimi Żydy muzykanty grały ze wszystkiej mocy. A potem migotał nieskończony łańcuch, sanie za saniami, para za parą, sunęły rozgłośnie, rzęsiście i bujnie, przysłonięte płomienistemi wichrami pochodni. Jakoby zjawiona w nocnej godzinie bajka zaklętych korowodów mar i upiorów. Pędzili w skok, runęli w bramę, zatoczyli wielkiem półkolem w dziedzińcu i zmierzyli w największym pędzie pod ganek. Zdało się patrzącym, jako uderzą w dwór, rozniosą go na kopytach i we wszystek świat popędzą, niczem niepowstrzymani.

— Krakowskie wesele! krakowskie wesele! — buchnęły krzyki niewiadomo skąd i wraz trzaskowa[2]) kapela uderzyła w niebo przeciągłą, grzmiącą fanfarą.

---

[1]) rodzaj dzwonków przy uprzęży końskiej; [2]) Trzaska — jeden z bohaterów powieści.

Stanęli. Powstał nieopisany zamęt, a od pochodni uczyniło się widno, jak przy pożarze, krzyżują się wołania, lecą śmiechy, parskają konie, strzelają.

Starosta weselny, z rózgą, przybraną kwiatami, prawi na ganku powitalną orację. Onufry replikuje [1]), zapraszając kompanję pod dach. Żydy w lisich czapkach, w śniegu po kolana, rzępolą skocznego krakowiaka.

Skończyły się ceregiele i dworska kapela zagrała uroczystego poloneza. Rwetes, gwałt i krzyki na podjeździe, splątane konie rżą i biją kopytami, rzegocą janczary, psy naszczekują zajadle, damy ze sań wynoszą na rękach, szuby i kapuzy lecą, gdzie popadło, mrowią się oszroniałe postacie, wąsy w soplach, twarze wyszczypane mrozem, głosy schrypnięte, a w oczach ognisty animusz. Cisną się ulicą rozmigotanych pochodni i prosto ze śniegów i zamieci hurmą walą na ganek, w drygach mijają sień ogromną, zerwą się akuratnie pary w bawialnym i do sali już płyną posuwistym, godnym polonezem. Zda się, tęcza spadła w białe ściany dworu i wije się stubarwnem, rozmigotanem przędziwem, panny z chłopska we wzorzystych spódnicach, gęsto naszywanych wstęgami, kawalerowie w granatowych żupanach, srebrem lamowanych, i w karmazynowych krakuskach z pękami pawich piór i wstążek. Wiedzie ich weselny starosta w białej katance, ze starościną w czepcu misternym, w koralach do pół piersi, w rzęsistej amarantowej jubce. Pląsają zwolna, i za niemi coraz nowe pary stają, już starsi spłynęli do korowodu, już dostojne damy w robronach [2]), już męże w kontuszach, czerwonych butach i przy karabelach. Okrążyli salę raz i drugi, pękły dzwona koliska, rozsypali się po komnatach.

— Oberka na rozgrzewkę! Oberka! — dysponuje wielkim głosem starosta. Zaczem z chóru kapela gruchnęła siarczystego. Żydy, usadzone pod piecem, powtórzyli.

Dreszcz wstrząsnął serca, kawalerzy skoczyli do panien, stają w tanecznym ordynku, takt biją nogami, nabierają tchu, prężą się... runęli naraz w tan z grzmotem, jakby kto z harmat wystrzelił. Z miejsca wzięli pęd największy i oberek poszedł wściekły, zapamiętały, na odsiebkę...

Jakby wrzeciona zafurkotały szalonym wirem. Ni twarzy rozeznać, ni dojrzeć jako personę, jedno kłębowisko, taczające się od ściany, że tylko wieją wstęgi, wieją pióra, wieją spódnice

---

[1]) odpowiada; [2]) robron — rodzaj sukni kobiecej.

i wieją lite, płowe warkocze. Rznie para za parą i biją obcasy, aż ściany dygocą i pobrzękują do wtóru szkliwa pająków.

Kapeliści znagła przemienili nutę, zawiedli tkliwie o tym owczareczku, co to owce pogubił i sfrasowany idzie i płacze i podśpiewuje... Oberek postać inną przybiera; noszą się zwolna, kolebiąco, czasem biodro o biodro potrąci, pojrzą sobie w oczy, komuś przyśpiewa wyrwie się z serca, któraś śmiechem zadzwoni. Na radości padły cienie udręczeń. Panna się boczy, odsuwa precz, rękę podaje zdaleka, gniewne liczko odwraca, srogie miny wyrabia, zasię kawaler wąsa szarpie, słodko przekłada, molestuje, czapką ziemię zamiata, gotów na kolanach afektów wiecznych przysięgać... Ale kapeliści wrzasnęli w instrumenty, trwogę niecą i sposób podają. Krew buchnęła warem, kawaler na rapt[1]) się waży, wpół chwycił bogdankę, porywa wichrem, zawrócił na odsiebkę, przyklękuje, hołubcami trzaska i w zawrotny, zwycięski tan ją ponosi, że panna słania mu się w ramiona i gotowa już takiej mocy i determinacji pozwolić na wszystko. Z takim wigorem przeszedł oberek, i tak samo wzięli się do mazura.

Rozśpiewał się stary dwór. Rozśpiewały się wszystkie serca. Wszędzie na pokojach pełno. Ochota brata dusze i umysły czyni pobłażliwszemi, gdzie zwaśnione. Młodzież hulała bez przerwy i pamięci, pod okiem matron, co, zająwszy miejsca pod ścianami, nowinki sobie szepcą na ucho, przystojności strzegą, i który do jakiej smali cholewki, pilnie w pamięci konotują.

Władysław Stanisław Reymont.

105. Kulig.

Z Opatowskiego w kierunku Koprzywnicy i złotopszenicznej niziny Powiśla, wskroś jedynego na świecie sandomierskiego płaskowzgórza, gnał kulig. Łańcuch kilkudziesięcu sań budził całą okolicę radosnym głosem dzwonków, brzmiącym łoskotem janczarów, trzaskaniem batów na cztery konie, wrzawą okrzyków, bębnów, fujarek, melodją śpiewów i muzyki. Kilkunastu pajuków rwało na folwarcznych szkapach, trzymając w garściach pochodnie, w ślad za saneczkami arlekina w czarnej masce, zakopanego w wielkie niedźwiedzie, który na czele orszaku pomykał. Blask złotych ogni w dymie, płatami rozdzierających noc, o kilka wiorst na płaszczyźnie widoczny, kładł przed oczy zaspy, parowy,

1) porwanie.

urwiska i wskazywał wśród nich przetartą drogę. Noc była widna, księżycowa, mroźna.

Wielkie śniegi, przemarzłe w tęgich mrozach, leżały pierzastemi zaspami. Tu i owdzie wypełniły po brzegi wąwóz, których tyle w tamtej okolicy, gdzie indziej zadęły opłotki, a nawet wioszczyny, przytulone do urwisk. Mglistemi kępy i drgającemi żywo światełkami znaczyły się dwory na przyczółkach parowów. Konie po brzuchy zapadały w wywary, roznosiły w puch największe zadmy, które ledwie przeorał arlekin. Kulig nie znał przeszkód. Tworząc ogromny korowód, leciały sanie najrozmaitsze. Jedne były snycerskiej roboty, pozłacane lub posrebrzane, z czasów jeszcze saskich i stanisławowskich, w kształcie łabędzi z długiemi szyjami, w kształcie gryfów i orłów, pozaprzęgane czwórkami w piórach i czubach; inne — zgoła prostackie, ledwie przez domowego cieślę pomalowane lubryką[1]) lub na zielono, a ciągnione przez fornalki rozmaitej maści i wzrostu. Zarówno pyszne cugi, jak chety, z jednaką brawurą i życiem rzucały się w zaspy, niby czółna w fale jeziora.

Radość kipiała w sercach.

Kapela, złożona z klimontowskich Żydków, rznęła od ucha mazury, oberki, krakowiaki, drabanty. Chwilami porywająca melodja przygasała, jak od zachwytu, co dech zapiera, i tylko z jakiejś głębi, jakby z pod śniegu, dolatywała do uszu i serc. Wtedy odzywały się pieśni. Więc z jednej strony słychać było tkliwe dyszkanty[2]) damskie:

„Ścieni dąbek, ścieni, już się nie zieleni...
Dałam chłopcu słowo, już się nie odmieni!"

A z innej naigrawały się potężne basy męskie:

„A ja sama nie wiem, co to za przyczyna:
Gustuję w brunecie, wzdycham do blondyna!"

Zaraz odcinał się chór panieński:

„Granatowy fraczek, woskowane buty,
Teraźniejsza młodzież same bałamuty".

I znowu zgóry donośnie, siarczyście zanosiły się skrzypce, basy i flety, głusząc wszystko...

W nizinie, nad brzegiem rzeki, utworzył się istny zator pojazdów i koni. Mostu w tych miejscach nigdzie nie było. Jeżdżono

---

[1]) czerwona barwa; [2]) najwyższy głos.

od początku świata w bród. Pierwsze sanie, przebywając rzekę po lodzie, oberwały wielką jego taflę i ledwo, ledwo wydobyły się z wody. Brzegi rzeczki były spadziste, obmarzłe, nie do przebycia. Jedyne łagodniejsze miejsce zostało zniszczone. Czekano na chłopów z najbliższej wioski. Tymczasem zjeżdżało sań coraz więcej. Dwie kapele złączyły się teraz i od ucha cięły zawołanego mazura. Okazało się, że pierwsze sanie wiozą napotkanego w drodze „torunia“, czyli „kłapacza“, t. j. chłopa, przebranego za straszydło z wysoką szyją, jak u żyrafy, i ruchomą paszczęką, czerwonem suknem wybitą. Na wybrzeżu Koprzywianki powstał gwar, zgiełk, hałas. Dzwonki, janczary, krzyki, śpiewy, muzyka zlewały się w ogromny wybuch wesela. Toruń posuwał się zwolna między saniami, kłapiąc dolną żuchwą i nachylając się to tu, to tam: Rafał na widok tego stracha, tej przeraźliwej chimery, uczuł w sobie dreszcz, który się wskroś śmiechu przebijał. W tej samej chwili panna Helena, obok której stał właśnie, znagła ujrzawszy poczwarę, krzyknęła, rzuciła się naoślep, a lewą ręką pochwyciła ramię Rafała. On instynktownym ruchem przysunął się ku niej. Tak przez chwilę stali obok siebie, złączeni śmiertelną grozą, gdy toruń nachylił się ku ich twarzom i końską swoją paszczę szeroko otwierał. Po chwili śmiali się do rozpuku, zaznajomieni z sobą wskutek tego zdarzenia, jakby od wielu lat chowali się pod jednym dachem.

— Boisz się waćpanna torunia? — zapytał cicho.

— Ależ nie... Co znowu! Tylko tak na mnie zakłapał...

— Ja się dawniej bałem. Och, bardzo, strasznie! Śnił mi się po nocach ze swoim czerwonym językiem. Po Bożem Narodzeniu przyszedł raz do nas, do Tarnin. Byłem wtedy chory, a w dodatku mały smarkacz. Drzwi się otwarły i wsunął się łeb... Wie pani, taki okropny, bez oczu...

— Och, wiem! Nagły łeb, jakby się wyśnił, albo, jak czasem z ciemnego pokoju... wiesz waćpan, coś takiego wyłazi...

— Czasem jeszcze i teraz, choć to śmieszne, zdaje mi się, że stoi za oknem na deszczu, na wichrze i słychać kłapanie. A oczu strach podnieść... Spojrzeć — za nic! Prawda?

— Za nic! A to tylko wiatr wyje w ciemną noc, w jesień... To poprostu topole jęczą i skrzypią, a stare lipy huczą. Przejdzie chwila i wszystko nacichnie.

Gromada chłopów, zwołana przez umyślnych na miejsca, jęła się pracy. Usiłowano przeprowadzić konie i sanki w innem, dostępnem miejscu, ale znowu lód nie wytrzymał. Radzono tedy,

co czynić. Jedni utrzymywali, że wypadnie objechać aż na Koprzywnicę; inni byli zdania, żeby się cofnąć w górę rzeki, gdzie jakoby przed laty był jakiś lekki mostek.

— Chłopcy! — zawołał nagle ktoś z tłumu szlachty: — a nam co po moście? który się podejmie przenieść sanki razem z paniami na drugi brzeg rzeki, dostanie natychmiast czerwony złoty jeden, pojedyńczy!

— Zimna woda, jaśnie panie! — rzekł pierwszy chłopowina z kraja.

— A ja idę! — krzyknął drugi, ściągając z ramion zwierzchni kożuch.

Po chwili już kilkunastu rozzutych i napół odzianych brało na bary pierwsze sanie. Furmani siedli oklep na wyprzężone konie i w drugim brodzie przejeżdżali wodę. Powstał krzyk dam, siedzących w saniach, śmiechy i okłaski zgromadzonych na brzegu. Przenoszenie długo trwało. Wkrótce jednak na przeciwległej stronie zgrupował się zastęp niemały. Zmącona woda chlupała, gdy chłopstwo podsadzało się pod sanice i brnęło środkiem.

— Zimno! — wołali dźwigający.

— Dalej go! czerwony złoty na głowę... — zachęcał projektodawca.

— Kapelę nam tu dawajcie, kapelę! — dopominała się młodzież — co tu mamy próżnujący czekać...

— Pochodni! — nastawały panie.

— Ej, chłopy pracowite! — ozwał się głos młody — a weźcie-no jeden z drugim łopaty, ubijcie nam tu śnieg, a równo, twardo!...

— Żydy, mazura!

— Pejsate Żydy, naszego!

— Kulig! — wykrzyknął arlekin, podniesiony przez młodzież nad głowy wszystkich.

Żydki urznęły od ucha.

Wkrótce śnieg ubity był twardo i zrównany, niby najdoskonalsza posadzka. Oczekując na przybycie wszystkich, puszczono się w pląsy, zatoczono mazura, jakiego świat nie widział.

Matrony i starcy, otaczając koło, przyklaskiwali, a młódź hulała co tchu. Wnet futra, opończe, bekiesze poczęły zawadzać, więc je rzucano w sanie. Hajduki wysoko wznosiły pochodnie, i gruby, bujny, migotliwy blask oświetlił miejsce. Zabłysły kółka pasów, barwne kierezje, wyszywane gorsety, białe rękawy koszul.

Stefan Żeromski.

106. Procesja.

Na wsi już całkiem ścichło, wszystkie wozy przejechały, i ludzie przeszli, drogi opustoszały, jeno niekajś w opłotkach bawiły się dzieci, psy wylegały się w słońcu i jaskółki śmigały nad stawem w rozpalonem powietrzu, zaś w kościele zaraz po sygnaturce[1]) rozpoczęło się nabożeństwo, dobrodziej wyszedł ze sumą i organy zagrały, ale snadź wnet po kazaniu uderzyły wszystkie dzwony, i huknęli takiem śpiewaniem, jaże gołębie porwały się z dachów, i naród jął się wywalać wielkiemi drzwiami, a nad nim wychodziły chorągwie pochylone, światła gorejące i obrazy, niesione przez dziewczyny, w biel przybrane, zaś wkońcu wynosił się czerwony baldach, a pod nim ksiądz ze złocistą monstrancją w ręku wolniuśko zstępował ze schodów.

A kiej się jako tako ustawili do procesji, czyniąc wskroś ciżby długą ulicę, obrzeżoną zapalonemi świecami, dobrodziej znowuj zaśpiewał:

„U drzwi Twoich stoję, Panie!...

A wszystek naród odgruchnął mu w jeden ogromny, niebosiężny głos:

„Czekam na Twe zmiłowanie...“

I śpiewając, ruszyli cisnąc się we wrótniach smętarza i przepychając, gdyż zjazd był ogromny, cała parafja się stawiła, a nawet wszystkie dwory, że dziedzice prowadziły dobrodzieja i jeszcze w asyście szli pobok ze światłem, zaś baldach niesły gospodarze. Cała procesja wywaliła się z cieniów smętarza na plac, jaże biały i wrzący od śpieki, słońce lunęło w oczy, żywym ogniem prażąc, że już się wolno posuwali wśród bicia dzwonów, śpiewów, w pachnących dymach trybularza[2]) i w kłębach kurzawy, jaka się wnet podniesła, wśród świateł i tego kwiecia, sypanego pod nogi dobrodzieja...

Powiedli się do pierwszego z prawej strony ołtarza, do Borynów; droga się w mig zapchała, jaże płoty trzeszczały, i niejeden we staw zleciał z wysokiego brzega, i przydrożne drzewa się trzęsły od naporu. Walili ciężką, rozśpiewaną ciżbą głów, kiejby tą rzeką, mieniącą się od farb, zaś środkiem, niby łódź

---

1) najmniejszy dzwonek na wieży kościelnej, dający znać o rozpoczęciu nabożeństwa; 2) naczynie, w którem pali się kadzidło.

na fali, płynął czerwony baldach i chwiały się chorągwie, obrazy i święte figury całe w tiulach a kwiatach.

Parli się w tłoku wielkim, głowa przy głowie, ledwie już dysząc z żaru i ciasnoty, ale śpiewając z całego serca, całą mocą, wszystkiemi gardzielami, że zdało się, jakoby wraz z niemi świat cały śpiewał chwałę Panu — jakoby te lipy wyniosłe, te czarne olchy, te rozgorzałe w słońcu wody, te śmigłe brzózki, te sady niskie, i pola zielone, i dalekości, okiem nieobjęte, i chałupy, i wszystko, co ino było, dokładało swój wtór serdeczny, nabrzmiały radością, że pieśń ogromna rozlewała się skłębionym grzmotem w rozżarzonem powietrzu i ku blademu niebu, do słońca się podnosiła. Aż liście trzęsły się od głosów i ostatnie kwiaty z drzew leciały.

Przed Borynami ksiądz odczytał pierwszą Ewangelję i, odpocząwszy ździebko, powiódł naród do młynarzowego ołtarza.

Upał się był jeszcze podniósł, że już zgoła wytrzymać było nie sposób, i kurz zapierał gardziele, słońce zbielało, i po jasnem niebie jęły się zaciągać białawe długie smugi, a rozprażone powietrze trzęsło się i mieniło w oczach, kiej wrzątek: na burzę się zbierało.

Już z dobrą godzinę ciągnęła się procesja, i choć już ustawali ze śpieki, a choć i sam proboszcz spotniały był i czerwony, kiej burak, ale obchodzili zwolna, posobnie, wszystkie ołtarze, przed każdym wysłuchując Ewangelję i śpiewając nowe pieśnie. A czasami, kiej naród, ździebko ustawszy, milknął, że ino tupot nóg się rozlegał, w onej cichości nagłej skowronki było słychać na polach, kukułka gdziesik kukała zawzięcie i jaskółki świegotały pod strzechami, zaś dzwony bimbały bezustannie; biły zwolna a długim, mocnym i gorącym głosem. I chociaż naród znowuj śpiewał, chociaż chłopy nie żałowały gardzieli, kobiety wydzierały się cieniuśką nutą, dzieci piskały po swojemu, a małe dzwonki jazgotały, i od ciężkiego tupotu dudniała wyschła ziemia, a głosy dzwonów wynosiły się nad wszystkiem, śpiewały czysto i górnie, śpiewały niebosiężnie jakimś złocistym, głębokim głosem, przejętym radością i weselem, a tak krzepko i rozgłośnie, jakby kto walił młotami we słońce, iż wszystek świat zdał się kolebać i rozdzwaniać.

Zaś kiej skończyli przed ołtarzami, to jeszcze długo trwało nabożeństwo w kościele, długo huczały organy i rozlegały się śpiewania.

Władysław Stanisław Reymont.

107. Procesja.

Dzień był złocisty, niebo turkusowe,
Podobne wielkiej kopule sklepionej.
Słońce, uszedłszy drogi swej połowę,
Opromieniało z góry lip korony
I biały kościół. Przez liści osnowę
Zieloną blask się cedził rozstrzelony
I rozpościerał po ciemnej murawie
Cętki świetlane, niby oka pawie.

Łagodne tchnienia czasem z pól się ruszą
I sianokosów mieszają zapachy
Z wonią lip, które drobnem kwieciem prószą,
Jak pyłem złotym, na kościelne dachy
I cmentarz. Wewnątrz śpiewa całą duszą
Lud rozmodlony, a głosów rozmachy,
Zmieszane z jękiem przeciągłym organu,
W strop uderzają, nakształt huraganu.

Tłum, co w kościele zmieścić się nie może,
Pod ścianą w cieniu, albo u drzwi zgięty,
Klęczy i chórem śpiewa: „Święty Boże!“...
I lipy szumią: „Święty, Święty, Święty!“..
I „Święty, mocny!“... szemrze w polach zboże
I zewsząd płynie ten hymn wniebowzięty:
— „Święty, a nieśmiertelny!“ Powiewami
Wiatru tchnie ziemia! „Zmiłuj się nad nami!“

Pieśń uleciała błękitnemi szlaki
W czystem powietrzu, i zmilkły organy.
Wtem pod dzwonnicą stojące chłopaki,
Strojni w siermięgi mleczne i kaftany
Ognisto kraśne, jako polne maki,
Targnęli sznury i z paszczy miedzianej
Dzwonów potężny, grzmiący ton wylata,
Drga, huczy, dudni, a chmara skrzydlata

Wróbli, co lipy napełnia świegotem,
Teraz w popłochu furknęła w lazury
I rozleciała się w powietrzu złotem.
Chłopaki, dzwoniąc, wyprężają sznury
I przysiadają ku ziemi, a potem
Z odmachem dzwonów rosną znów do góry:
Raz wraz, ci z jednej, tamci z drugiej strony
Naprzemian ciągną, a rozchwiane dzwony

Ryczą i tętnią sercami ze śpiżu.
Z kościoła słychać nowy śpiew i kroki...
Lud na cmentarzu garnie się w pobliżu
Kruchty [1]) pół ciemnej — i nagle z pomroki
Krzyż się ukazał we drzwiach, a na krzyżu
Chrystus rozpięty. Niósł go chłop wysoki,
Co na sukmanie krótką miał komeżkę,
I tłum się cofnął, czyniąc przed nim ścieżkę.

Przy nim dwaj chłopcy w bieli, w czerwieni
Niosą natknięte na kolcach lichtarzy
Świece woskowe. Z migotem płomieni
Igra dech wiatru i na bok je waży.
Z przyćmionej kruchty rój świateł się mieni,
Rzeka ruchomych, skrzących gwiazd się jarzy;
Nad nią, jak żagle, wzniesione do góry,
Sterczą chorągwie z wyblakłej purpury.

W odrzwiach kościelnych każda się przykłania,
A potem w górę złotym krzyżem zmierza.
Na każdej inne błyszczą malowania:
Anioł świętego wita Kazimierza,
Co się korony ziemskiej dotknąć wzbrania:
Tam konna postać Marcina rycerza,
Tu znów archanioł Michał w srebrnej zbroi
Na krwawem cielsku Lucypera stoi.

I tłum powoli ruszył się wezbrany,
Podobny wielkiej, falującej rzece;
Tysiąc barw płonie; bielą się sukmany,
Jak śnieg, a chusty mienią się kobiece,
Niby motyle, niby tulipany,
Na tym kobiercu kolorowym świecie,
Jakby języków gorejących krocie,
Chwieją się rude w słonecznej pozłocie.

I skrzy ławica świateł migotliwa,
Nad płomieniami ćmią się dymne męty
I drżą, podobne do płynnego szkliwa,
Górą na złote drzazgi rozpryśnięty,
Przez lip konary blask słoneczny spływa,
Łamie się w tęcze, sieje dyjamenty,
Zmienia się w szmaragdy każdy liść na drzewie
I rzuca, chwiejny przy lada powiewie.

Naprzemian cienie i świetlane plamy.
Za chorągwiami ciągną feretrony [2])

---

[1]) kruchta — przedsionek kościelny; [2]) feretron — obraz, statua, ołtarzyk przenośny do noszenia na procesji.

Długim szeregiem od kościelnej bramy.
Z białych muślinów lekkie drżą osłony,
Upięte wkoło pozłocistej ramy
Girlandą kwiatów z bibułki czerwonej,
I z tych trzęsideł, które promień złoty
Słońca w najdroższe przerabia klejnoty.

Przodem, na pierwszym zaraz feretronie
Chrystus Bolesny, wyciosany z drzewa,
Nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie,
Usiadł i z żalu nad ludźmi omdlewa,
Bo zwiesił głowę i na chude dłonie
Położył lica. Wiatr mu z ramion zwiewa
Płaszcz, którym dawno snadź Go przyodziały
Ręce pobożne: szkarłatny, spłowiały.

Za nim uwita z białych róż altana,
W niej Marja Panna, rozpostarłszy ręce,
Na kuli ziemskiej stanęła przybrana
W złotej koronie, w jedwabnej sukience,
Nogą pół-księżyc depce i szatana
W postaci węża, co jabłko w paszczęce
Gryzie, ślepiami łypiąc zielonemi,
Rad, że opasał cały okrąg ziemi.

Niosą je cztery dorodne dziewczęta,
Strojne, jak łąka, i, jak wiosna, świeże:
Twarz, co od dziecka skwar słońca pamięta,
Złotawą krasę na policzki bierze
Pierś młoda, cudnym gorsetem opięta:
Jak owe z drogich kamieni pancerze,
Co miały w bajkach smoki blaskiem straszyć,
Tak gorset każdy grał blaskiem pstrych naszyć.

A każdy w inne mienił się naszycie —
Paciorki, blaszki, frendzelki, wisiory [1]
Na wyrabianym w kwiaty aksamicie,
Jakby napierśnik tworzą różnowzory.
Od krótkich spódnic, nawdzianych sowicie
I szumnie, biją gorące kolory,
A z ramion chusty spadają krasiate,
W czerwoną, białą i zieloną kratę.

Wieją wzorzyste przy koralach wstążki
Na karku w węzeł zadzierzgnięte suty,
Warkocze wtyle upięte w dwa krążki —
Niby w kształt serca zdobi wianek ruty.

---

[1] wisior — wisząca ozdoba.

Szły proste, ciche, na ramionach drążki
Od feretronu unosząc, a buty
Wysokie, sztywne, skórą jeszcze nową
Za każdym krokiem skrzypiały miarowo.

I feretrony płyną, jako statki,
Dołem nawała ludzkich głów, jak fale,
Na końcu obraz Częstochowskiej Matki
W Glorji[1] złocistej szedł w promiennej chwale.
W bieli osłonek strojnych w polne kwiatki.
U szyi miała przypięte korale,
Jakby łzy krwawe, w kamień zamienione,
Czyjeś, kto pod Jej uciekł się obronę.

I ponad ciżbą ludu swego płynie,
Patrząc litośnie twarzą czarną, smętną...
U drążków kroczą cztery gospodynie,
Co przyodziewę włożyły odświetną
W dostojnym chodzie, w uroczystej minie
Widać skupienia i powagi piętno,
Powoli suną pyszne, tryjumfalne,
A wkrąg spódnice szeleszczą krochmalne.

O krok za nimi stąpał organista
Z książką. Przy czarnym świątecznym surducie
Pałała żywo krawata ognista.
Śpiewał, co gardła, na końcowej nucie
Głos przeciągając, a rosa kroplista
Na czole świadkiem była, że uczucie
I dech ostatni wlewał w pieśni wątek.
Potem tłum ludu szedł i rój dziewczątek,

Co wstecz stąpały, zwrócone w półkole:
Oczy podobne do niezapominek,
Włosy, jak słoma, płowe i na czole
Wianuszki polne. Każda z tych dziewczynek
Z kobiałki sieje bławatki, kąkole,
Płatki piwonji, rumianki, barwinek
I drobne kwiecie poprzed Panem ściele,
Co między lud swój zstąpił w żywem Ciele.

U baldachimu czterech gospodarzy,
Krzepkich, jak dęby stuletnie, i zda się,
Że to lechiccy władykowie[2] starzy,
Co wespół z Piastem żyli w dawnym czasie.
Jakiś majestat senatorski w twarzy
I sukman białość i na ciężkim pasie

---

1) aureoli; 2) rycerze.

Moc niezliczona gwoździków mosiężnych
U tych wioskowych magnatów siermiężnych.

Sam pan kolator [1]) księdza wiódł pod ramię,
Świecę woskową niosąc w drugiem ręku,
A proboszcz, cały w pozłocistej lamie [2]),
Nad czołem, zgiętem od świętego lęku,
Dzierżył Monstrancję, na której się łamie
Sto strzał słonecznych, i szedł śród pobrzęku
Dzwonków i z pieśnią, której wiara żywa
Serca i głosy w błękit gdzieś porywa.

Ołtarz wzniesiony był w rogu cmentarza
Pod lip ogromnych cienistym namiotem;
Tam stanął pochód. Na stopniach ołtarza
Ksiądz Ewangelję odczytał, a potem
Podniósł Monstrancję... jako się przeważa
Łan, zgięty wichrem, tak się kładł pokotem
Lud, a chorągwie, skłonione w tej chwili,
Były, jak drzewa, gdy je burza chyli.

I tak leżała owa ludzka ława,
Cała w kolorach, świetnych, jako łąka
Przepychem kwiecia barwnego jaskrawa.
A po niej cieniów lipowych koronka
I jasność słońca chodziła złotawa.
Cisza. Wtem zabrzmiał głos srebrzysty dzwonka
I z piersi tłumu w słoneczne przestrzenie
Buchnęło wielkie, przeciągłe westchnienie.

Jak lipy, w których letni powiew drzymie,
Z podniesionemi stojące ramiony,
Tak ksiądz ramiona zdał się mieć olbrzymie,
Kiedy Monstrancji krąg rozpromieniony
Dźwignął. I była w kadzidlanym dymie,
Jak drugie słońce; w cztery świata strony
Zwracał ją ponad mnóstwem ludu zgiętem
I zaczął: „Przed tak wielkim Sakramentem!“...

Lucjan Rydel.

108. Śmierć Anielki.

W uchylonych drzwiach ukazał się stary proboszcz w białej komeżce. Anielkę nagle strach ogarnął.

— Czy to już ksiądz przyszedł? — zawołała. — O, jakże ja się boję!... Dlaczego tu tak ciemno?... Jak tu ciemno!...

---

[1]) ziemianin, wspomagający kościół; [2]) tkanina, przetykana złotem albo srebrem.

— Oczy cię bolały, i dlatego doktór kazał przymknąć żaluzje — szeptała ciotka.

— Już mnie nie bolą — przerwała Anielka. — Otwórzcie choć jedno okno. Zdaje mi się, że już jestem na cmentarzu, w tej kaplicy, gdzie leżą dziadek i babcia...

— Otwórzcie okna! — odezwał się proboszcz, siadając przy chorej.

Skrzypnęły żaluzje, i jasny dzień wlał się do ponurego salonu. Ciotka wyszła, zakrywając oczy, ksiądz szeptał po łacinie, a za oknem wtórował mu szelest drzew i świergot ptaków.

— Módl się, moje dziecko... — rzekł proboszcz.

— Jak tam ładnie!... — odezwała się Anielka, wskazując ogród. — Boże mój, Boże!... czy ja kiedy zobaczę dom nasz... mamę moją kochaną.

Potem zaczęła bić się w piersi i spojrzała na księdza, czekając jego pytań.

— Byłaś, moje dziecko, u spowiedzi przed Wielkanocą?

— Tak.

— Dobrze, moje dziecko. Trzeba przynajmniej raz na rok spowiadać się. A na mszy świętej bywałaś każdej niedzieli?

— Nie.

— Więc zapewne modliłaś się w domu?

— Nie zawsze — odpowiedziała Anielka, spuszczając oczy. — Czasami biegałam po ogrodzie i bawiłam się z Karuskiem.

— Można się bawić w święta, ale zawsze trzeba się choć trochę pomodlić. A paciorek odmawiałaś codzień rano i w wieczór?...

Anielka zamyśliła się.

— Raz, wieczorem nie mówiłam pacierza.

— Z jakiegoż to powodu?

— Siedziałam długo przy mamie i zasnęłam na krześle...

Potem dodała ze drżeniem w głosie:

— Wtedy nam się dom spalił... Może to za moje grzechy? — spytała, patrząc bojaźliwie na proboszcza.

Spowiednik zakłopotał się.

— Nie jestem pewny, moje dziecko — rzekł — ale zdaje mi się, że nie... Słuchałaś też rodziców? chętnie wypełniałaś ich rozkazy?...

— Nie — szepnęła Anielka. — Ojciec nie kazał mi rozmawiać z Gajdą [1]), a ja rozmawiałam...

---

1) chłopem—gospodarzem.

— Trzeba, moje dziecko, zawsze spełniać wolę rodziców, bo oni nic nie nakazują bez powodu. Pocóżeś rozmawiała z tym człowiekiem?

— Prosiłam go, żeby córki swej nie bił... Ona taka mała...

— Aha!... Moje dzięcko... moje dziecko... To dobrze, żeś prosiła, ale rodziców zawsze słuchać potrzeba... A nie wzywałaś kiedy imienia Boskiego nadaremnie?...

— Tak.

— Doprawdy? — rzekł proboszcz. — I z jakiegoż to powodu, moje dziecko...

— Prosiłam Boga, ażeby ojca do nas przysłał... potem mamę...

— Aha!... Moje dziecko...

Proboszcz dobył fularową chustkę i obtarł nos.

— Czy już nic nie pamiętasz, moje dziecko?...

— Nic...

— Bij się w piersi, moje dziecko, i mów: „Boże, bądź miłościw!...“ A za pokutę zmów sobie jeden pacierz na intencję wszystkich grzeszników.

Odmówił nad nią modlitwę głosem zmienionym i prędko wybiegł z salonu, unikając spotkania z ludźmi.

Młody doktór powracał właśnie ze wsi do pałacu, gdy pędem przeleciała obok niego kareta, zaprzężona w cztery konie. Lekarza coś tknęło i przyśpieszył kroku.

— To ojciec chorej! — pomyślał. — Żeby choć zaraz nie wpadł do niej, bo całą robotę zepsuje.

I począł biegnąć kłusem.

Ale kareta wyprzedziła go znakomicie. Ledwie stanęła przed gankiem, wyskoczył z niej pan Jan, serdecznie powitał gospodynię domu, która wyszła na jego spotkanie i zażądał, aby go natychmiast zaprowadzono do córki.

— W tej chwili ksiądz od niej wyszedł! — ostrzegała go baronowa.

Pan Jan zatrząsł się.

— Prowadźcie mnie do niej, niechże chociaż ją zastanę przy życiu... Na mojej drodze stoją wciąż trumny i groby!...

Ciotka Andzia pośpieszyła naprzód; za nią pan Jan i baronowa weszli do salonu chorej.

— Jestem już... jestem, moja dziecino!... — zawołał troskliwy ojciec, biegnąc do łóżka. Anielka ucieszyła się, choć nie tak gwałtownie, jak przewidywał lekarz.

— O, jak to dobrze, że tatko już przyjechał... Nam tak było źle...

Pan Jan ściskał ją i całował.

— Wiem, że było wam źle na tym przeklętym folwarku, który obecnie sprzedałem. Ale zacna baronowa Weiss, dowiedziawszy się...

— Weiss?... — spytała Anielka, szeroko otwierając oczy. Przyszła jej na myśl mimowoli podsłuchana rozmowa ojca ze Szmulem.

— Tak, jesteście przecież w domu pani Weiss... — odparł zdziwiony pan Jan.

Teraz Anielka zaczęła przypatrywać się ojcu uważnie, i przy kołnierzu czarnego surduta dostrzegła dwie białe tasiemki.

— Co to?... żałoba?... — zapytała, drżąc — po kim tatko w żałobie?...

Nagle błysnęła jej jakaś myśl.

— Mama nie żyje!... — krzyknęła, zasłaniając rękoma oczy, i upadła na poduszki.

Ojciec pochylił się nad nią.

— Anielciu!... uspokój się! — mówił. — Anielciu! Anie... O, Boże...

I ukląkł przy łóżku.

Dziecko leżało blade, bez ruchu.

W tej chwili wbiegł do salonu doktór. Widząc, że ciotka Andzia zanosi się w płaczu, że baronowa zdaje się być bliska zemdlenia, a pan Jan klęczy, odgadnął coś niedobrego. Zbliżył się do Anielki, wziął ją za puls... posłuchał oddechu... Anielka już nie oddychała.

Bolesław Prus.

109. Śmierć Litki.

Nagle Połaniecki spostrzegł, że oczy dziewczynki patrzą na niego.

Przez chwilę myślał, że się łudzi, i nie śmiał się poruszyć, lecz mała poczęła się uśmiechać i wreszcie wyszeptała:

— Pan Stach...

— To ja, Lituś! Jak się czujesz?

— Dobrze, a gdzie mama?

— Zaraz przyjdzie. Wojowaliśmy z nią ogromnie, żeby poszła spać, i ledwieśmy ją namówili.

Litka zwróciła głowę i, spostrzegłszy pannę Marynię, rzekła:

— A to ciocia Marynia?

Od pewnego czasu mała mówiła jej: ciociu. Panna Marynia wstała i, wziąwszy flaszeczkę, stojącą na szafce nocnej, poczęła nalewać pod światło lampki krople na łyżeczkę, następnie podała je Litce, a gdy dziewczynka skończyła pić, przycisnęła usta do jej czoła.

Nastała chwila milczenia, poczem dziecko rzekło jakby samo do siebie:

— Nie trzeba mamy budzić.

— Nie, nikt nie będzie budził — odpowiedział Połaniecki. — Wszystko tak będzie, jak Lituś chce.

I począł gładzić jej rączkę, leżącą na kołdrze. Ona zaś patrzyła na niego, powtarzając, jak miała zwyczaj:

— Pan Stach... pan Stach...

Przez chwilę zdawało się, że uśnie, ale dziecko widocznie rozmyślało o czemś z wielkiem wysileniem, albowiem brwi jego podnosiły się do góry; wreszcie, otworzywszy oczy, jęła spoglądać kolejno to na Połanieckiego, to na pannę Marynię.

W pokoju słychać było tylko dźwięk deszczu o szyby.

— Co ci jest, dziecinko? — spytała panna Marynia.

Ona zaś, złożywszy ręce, wyszeptała ledwie dosłyszanym głosem:

— Bo ja mam wielką, wielką prośbę do cioci Maryni, ale... nie śmiem powiedzieć.

— Mów, moje kochanie! Wszystko zrobię, co zechcesz...

Wówczas dziewczynka, chwyciwszy jej dłoń i przycisnąwszy do niej usta, wyszeptała:

— Żeby ciocia Marynia kochała pana Stacha

W ciszy, jaka nastała po tych słowach, słychać było tylko przyśpieszony nieco oddech dziewczynki, wreszcie ozwał się spokojny głos panny Maryni:

— Dobrze, kochanie.

Połanieckiego schwycił nagle za gardło spazm płaczu. Wszystko, nie wyłączając panny Maryni, znikło mu z oczu wobec tego dziecka, które w takiej chwili, chore, bezsilne i wobec śmierci, myślało tylko o nim.

Litka zaś pytała dalej:

— I ciocia wyjdzie za pana Stacha?

W świetle błękitnej lampki twarz panny Maryni wyglądała bardzo blado, usta jej drżały, ale odrzekła bez wahania:

— Tak jest, Lituś.

Dziewczynka podniosła po raz wtóry do ust jej rękę. Główka jej opadła znów na poduszkę, i czas jakiś leżała z zamkniętemi powiekami, po chwili jednak dwie łzy spłynęły jej po policzkach. Nastała teraz jeszcze dłuższa cisza. Deszcz bił w szyby. Połaniecki i panna Marynia siedzieli bez ruchu, bez spojrzenia na siebie, jakby posnęli. Czuli tylko oboje, że losy ich przeważyły się tej nocy, ale byli jakby ogłuszeni tem, co zaszło. W chaosie myśli i uczuć żadne z nich nie umiało ni uświadomić, ni określić, co się w nim dzieje.

I w tem milczeniu, w tem instynktownem milczeniu, by wypadkiem nie spojrzeć sobie w oczy, godzina poczęła płynąć za godziną.

Zegary wybiły północ, potem pierwszą: koło drugiej pani Emilja wsunęła się, jak cień, do pokoju.

— Śpi? — spytała.

— Nie, mamusiu — odpowiedziała Litka.

— Dobrze ci jest?

— Dobrze, mamusiu.

I gdy pani Emilja usiadła przy niej na łóżku, mała objęła rączkami jej szyję i, tuląc swoją płową główkę do jej piersi, rzekła:

— Ja teraz, mamusiu, wiem, że, jak chore dziecko o co prosi, to mu nigdy nie odmawiają.

I czas jakiś przytulała się jeszcze do matki w milczeniu, poczem, przeciągając każde słowo, jak czynią dzieci senne, lub bardzo osłabione, rzekła:

— Pan Stach nie będzie więcej smutny, powiem mamusi dlaczego...

Lecz tu główka jej poczęła ciążyć na piersiach matki, i pani Emilja uczuła zimny pot, występujący zarówno na ręce dziecka, jak na jego skronie.

— Lituś! — zawołała cichym przerażonym głosem.

A dziewczynka poczęła mówić:

— Tak mi dziwnie! tak słabo!..

Myśli jej poczęły się widocznie mącić, gdyż po chwili mówiła dalej:

— O! morze płynie! takie duże morze, i my wszyscy po niem płyniemy! Mamo, mamo!

I przyszedł znowu atak, straszny, niemiłosierny, ciało dziewczynki wyprężyło się w konwulsji, a źrenice jej uciekły w tył

głowy. Nie było się już co łudzić: nadchodziła śmierć, czuć ją było w bladem świetle lampki i w mrocznych kątach pokoju w dźwięku szyb, bitych deszczem, i w szumie wiatru, pełnym przerażających głosów i wołań.

Połaniecki zerwał się i pobiegł po doktora; po kwadransie wrócili obaj niepewni wobec zamkniętych drzwi pokoju, czy dziecko żyje jeszcze, i znikli w nich natychmiast, naprzód Połaniecki, potem doktór, powtarzający od chwili, gdy go wyciągnięto z łóżka, jeden frazes:

— Chyba wzruszenie, czy przestrach?

Kilkoro ludzi ze służby o twarzach sennych i przerażonych zgromadziło się pode drzwiami, nasłuchując — i w całem mieszkaniu nastała cisza, długa, ciężka, jak ołów.

Przerwała ją wreszcie Marynia, która pierwsza wyszła z zamkniętego pokoju, z twarzą bladą, jak płótno, i trzęsącym się głosem rzekła śpiesznie:

— Wody dla pani! Panienka nie żyje!

Henryk Sienkiewicz.

110. Dziedzic i chłop.

Panowie wciąż rozmawiali po francusku, więc Ślimaka aż mrowie przechodziło na myśl: co oni układają przeciw niemu?... Już gotów był wracać do domu z niczem, byle tylko prędzej zejść im z oczu.

Dziedzic zwrócił się do chłopa.

— Więc chcesz? — spytał go — ażebym te dwie morgi łąki nad rzeką wypuścił ci w dzierżawę?

— Jeśli łaska jaśnie pana — odparł chłop.

— I żeby nam jaśnie pan choć ze trzy ruble opuścił — dodał szybko Jędrek [1]).

Ślimakowi wszystka krew uciekła do serca, a państwo spojrzeli po sobie.

— Cóż to znaczy? — spytał pan. — Z czego ja mam opuścić trzy ruble?

Chłop machinalnie sięgnął ręką do rzemienia, ale, opamiętawszy się, że w takiej chwili nie może zbić Jędrka, wpadł w desperację i postanowił powiedzieć całą prawdę.

— A, jaśnie panie — zawołał — niech jaśnie pan tego hycla nie słucha! Było, panie, tak, że mi baba okrutnie głowę suszyła,

1) starszy z synów Ślimaka.

jako nie umiem się targować, i nakazywała mi, żebym choć ze trzy ruble wytargował na łące. No, a teraz ten kundel taką mi rzecz zrobił, że aż wstyd!...

— Przecie matula powiedzieli, żebym was pilnował i żebyśmy oboje jaśnie państwa w nogi całowali, to coś opuszczą — tłumaczył się Jędrek.

Wobec tego Ślimak już całkiem zapomniał języka, ale państwo zanosili się od śmiechu.

— Oto masz — mówił znowu po francusku dziedzic do swego szwagra — oto masz chłopa.

— Ależ, mój drogi...

— Przepraszam cię — przerwał dziedzic — za chwilę sam zobaczysz, gdzie chłop ma rozum.

I zwrócił się do Ślimaka, który z najwyższym niepokojem oczekiwał skutków wesołej, a tak niepojętej dla niego sprzeczki:

— Więc, mój Józefie, to żona kazała ci, ażebyś wziął ode mnie łąkę w dzierżawę?

— Jużci tak, jaśnie panie.

— I żebyś się dobrze targował?

— Jużci tak. Co prawda, to prawda.

— Wiesz, ile Łukasiak płaci mi rocznie za mórg łąki?

— Gadał, że dziesięć rubli.

— Więc ty powinieneś płacić dwadzieścia rubli za dwie morgi.

Chłop zamyślił się i rzekł po chwili:

— Zawsze się ta jaśnie pan zmiłuje...

— I choć ze trzy ruble opuści?... — pochwycił dziedzic.

Ślimak umilkł zawstydzony.

— Dobrze — rzekł dziedzic — opuszczę ci trzy ruble i będziesz płacił tylko siedemnaście rubli rocznie. Czy jesteś kontent?

Chłop schylił się do ziemi, a nie mogąc dosięgnąć nóg dziedzica, uścisnął sztachety; lecz na jego twarzy, zamiast zadowolenia, malowała się niepewność.

— Coś jest — myślał Ślimak — że on się nie targuje! Już ja widzę, że ten szwagierek cosik zmajstrował!... — Głośno zaś dodał:

— To niech jaśnie pan jeszcze uczyni łaskę i weźmie ode mnie zadatek. Właśnie dała mi moja dziesięć rubli, a resztę powiedziała, żebym odniósł jutro.

Wydobył z za sukmany węzełek, z niego dziesięć rubli i wręczył dziedzicowi.

— Za pozwoleniem — przerwał dziedzic — pieniądze wezmę później, a teraz zrobię ci propozycję. Czy pamiętasz, ile mi za morgę łąki zapłacił w zeszłym roku Grzyb?

— Osiemdziesiąt rubli.

— I prócz tego zapłacił rejenta i geometrę, czy tak?

— Święta prawda.

— Otóż słuchaj. Ja te dwie morgi łąki, które chcesz dzierżawić, sprzedam ci po sześćdziesiąt rubli, więc o dwadzieścia rubli taniej, aniżeli Grzybowi. Jeszcze zrobię lepiej, bo nic nie wydasz ani na geometrę, ani na rejenta. Ale wiesz, pod jakim warunkiem?

Chłop pokornie wzruszył ramionami.

— Pod tym warunkiem, żebyś zdecydował się sam, zaraz, nie pytając żony. Uważaj więc: zapłacisz sto dwadzieścia rubli za łąkę, która warta jest więcej niż sto sześćdziesiąt, zyskasz na czysto czterdzieści rubli, ale... decyduj się natychmiast. Jutro, a nawet dziś wieczorem, kiedy naradzisz się z żoną, już na tych warunkach nie sprzedam.

Ślimakowi błysnęły oczy. Zdawało mu się, że teraz dopiero odkrył naturę zmowy, wymierzonej przeciwko niemu.

— Dziwny kaprys tracić czterdzieści rubli na nic! — odezwała się pani po francusku.

— Bądź spokojna — odparł mąż — znam ja ich...

— No i cóż? — zwrócił się do Ślimaka — kupujesz łąkę bez poradzenia się żony?

— Kiej to nieładnie — odpowiedział chłop z obłudnym uśmiechem. — Przecie jaśnie pan, a i to naradza się z jaśnie panią i jaśnie paniczem, nie dopiero ja..

— A widzisz?... — rzekł dziedzic do szwagra. — Czy on nie jest idjotą?

Panicz przez sztachety poklepał po ramieniu Ślimaka.

— No, mój przyjacielu, zgódźcie się natychmiast, a zrobisz panu grubego figla... On już kupił — rzekł do szwagra.

— Kupujesz, Józefie? Dajesz rękę na zgodę? — spytał dziedzic.

„Albo ja głupi“ — pomyślał chłop, głośno zaś dodał:

— Kiej kupować przez żony, jaśnie panie, to nieładnie...

— I nie namyślisz się?

— Kiej bardzo nieładnie — powtarzał chłop, kontent, że pan nastręczył mu tak doskonałą wymówkę.

Chłop udawał zasmuconego, ale uparł się i ani myślał kupować łąki.

— No, więc w takim razie wypuszczam ci łąkę w dzierżawę. Daj mi swój zadatek, a jutro przyjdź po kwit.

Bolesław Prus.

111. Konfederat.

KARSKI.

Kędyż to tak śpieszna droga?
Gdzie zbrojno jedziecie?

SIELAWA.

Rewolucja [1]) z łaski Boga!!
Ocknęli się przecie!
Już w Warszawie na Moskala
Nastawili łapkę,
Już się z jarzma kraj wyzwala;
Więc na bakier czapkę!

KARSKI.

I jam słyszał... ale... ale...
Ejże panie Janie!
Bo to młodzi... starym cale [2])
Szaleć nie przystanie [3]).

SIELAWA.

Starym! Starym! mówisz Wasze?
Co! Starzy szaleją?
Polskie czapki i pałasze
Nigdy nie starzeją!

KARSKI.

Nie ubliżam ja Waszeci,
Lecz czyby nie lepiej...
Bo on — drogą ktoś tam leci —
Nuż się żandarm czepi:
Ot ja każę zaprząc konie,
Bigosu podjemy —
Schowaj szablę — a na Błonie [4])
W Warszawie staniemy.

SIELAWA.

A to piękna historyja!
Rewolucja w kraju —
Ten i ów się w mieście zwija,
W Polsce, jakby w raju;
A ja patrzeć mam kądzieli?
Albo jechać bryczką?
Żeby starej karabeli
Gdzieś szukali z świeczką,
„Gdzie Sielawa?“ tartas, wrzawa,
„A kto nas powiedzie?
„Gdzie Sielawa?! ba, Sielawa
Na dryndulce jedzie.
Nie!... my jedziem z ostrą szablą
Po dawnym zwyczaju,
Na rumaku z miną djablą
Na usługi kraju;
A choć sobie sądzisz Wasze,
Żem niby przestary [5]),
Przecież kto mi dmuchnie w kaszę,
Ten nie ujdzie kary!
Będę radził i pocieszał,
Z procesyją śpiewał,
Łotrów-zdrajców będę wieszał,
A młodych zagrzewał!
I zobaczysz, co to będzie,
Mój sąsiedzie Karski!
Zaraz w mieście hukną wszędzie:
„Konfederat barski!“

Wincenty Pol.

---

[1]) powstanie listopadowe z 1830 r. — [2]) zupełnie. — [3]) przystoi. — [4]) miasteczko pod Warszawą. — [5]) bardzo stary.

112. Wierzyciel i dłużnik.

W kwadrans potem wszedł do pokoju na żądanie pana Pławickiego Połaniecki, ale zły, rozdrażniony, lubo usiłujący nad sobą panować. Pan Pławicki, powitawszy się z nim, usadził go przy sobie na krześle, zgóry przygotowanem, i, wziąwszy go dłonią za kolano, spytał:

— Stachu, wszak tego domu nie spalisz? Wszak mnie, którym ci ręce otworzył, jak krewny, nie zamordujesz? Wszak mi dziecka nie uczynisz sierotą?

— Nie — odrzekł Połaniecki — domu nie spalę, wuja nie zarznę i żadnego dziecka nie uczynię sierotą. Proszę nawet, by wuj w ten sposób nie zaczynał mówić, bo to do niczego nie doprowadzi, a dla mnie jest nieznośnem.

— Dobrze — odpowiedział pan Pławicki, nieco jednak dotknięty tem, że jego styl i sposób wyrażania się tak małe zyskują uznanie. — Pamiętaj tylko, że do mnie, do tego domu przyjeżdżałeś jeszcze dzieckiem.

— Przyjeżdżałem, bo przyjeżdżała matka, a matka po śmierci ciotki Heleny przyjeżdżała dlatego, że wuj nie płacił procentów. To wszystko nie ma nic do rzeczy. Suma tkwi na hipotece od dwudziestu jeden lat. Z procentami zaległemi wynosi około dwudziestu czterech tysięcy rubli. Dla okrągłości niech będzie dwadzieścia równo, ale tych dwadzieścia muszę mieć, bo poto przyjechałem.

Pan Pławicki pochylił głowę z rezygnacją.

— Poto przyjechałeś?... Tak. Ale czemu ty byłeś wczoraj taki inny, Stachu?

Połaniecki, który pół godziny temu zadał to samo pytanie pannie Maryni, aż podskoczył na krześle, ale pomiarkował się jeszcze i rzekł:

— Proszę o przystąpienie do interesu.

— Ja się przed tem nie cofam, tylko pierwej pozwól mi powiedzieć parę słów i nie przerywaj mi. Mówiłeś, żem procentów nie płacił. Prawda. Ale czy wiesz dlaczego? Matka twoja nie oddała mi przecie swego majątku i nie mogła tego bez pozwolenia rady familijnej uczynić. Może gorzej dla was, że się tak nie stało, ale mniejsza z tem. Ostatecznie, wziąwszy te kilkanaście tysięcy rubli, powiedziałem sobie tak: kobieta została sama na świecie, z jedynem dzieckiem, niewiadomo, jak sobie pora-

dzi, niewiadomo, co może wypaść, niechże te pieniądze, które ma u mnie, będą jej funduszem żelaznym, niech rosną, by w danym razie miała o co ręce zaczepić. I od tej pory byłem jakby waszą kasą oszczędności. Matka dała mi dwanaście tysięcy rubli, dziś masz u mnie przeszło dwadzieścia cztery. Oto rezultat. A teraz: czyż zapłacisz mi za to niewdzięcznością?

Na to Połaniecki rzekł:

— Kochany wuju Pławicki! Proszę mnie nie brać ani za głupszego, niż jestem, ani za warjata. Powiadam poprostu, że na takie plewy ja się nie złapię, bo za grube. Powiadasz wuj, że mam dwadzieścia cztery tysiące rubli — więc gdzież są? Proszę o nie bez gadaniny i jeszcze takiej!

— A ja cię proszę o cierpliwość i umiarkowanie, choćby dlatego, żem starszy — odrzekł z urazą i godnością pan Pławicki.

— Mam wspólnika, który za miesiąc wnosi dwanaście tysięcy rubli na umówiony interes, ja muszę wnieść tyleż Powiadam to jasno i oświadczam, że po dwóch latach kołatania listami nie mogę i nie będę dłużej cierpliwy.

Pan Pławicki wsparł rękę na biurku, czoło na dłoni — i milczał.

Połaniecki patrzył na niego, czekając odpowiedzi, patrzał ze wzrastającą niechęcią i w duszy zadawał sobie pytanie: czy to jest kręciciel? czy bzik? czy egoista, tak zaślepiony w sobie, że dobro i zło mierzy tylko własną wygodą? czy wreszcie wszystko razem?

Tymczasem pan Pławicki trzymał czoło ciągle ukryte w dłoni i milczał.

— Nareszcie chciałbym coś wiedzieć... — zaczął Połaniecki.

Lecz tamten potrząsnął ręką, dając znać, że chce być jeszcze sam ze swemi myślami. I nagle podniósł rozjaśnioną twarz.

— Stachu — rzekł — poco my się kłócimy, kiedy jest tak prosty sposób wyjścia!

— Jaki?

— Bierz margiel [1])!

— Co?

— Sprowadź tu swego wspólnika, sprowadź jakiego specjalistę, oszacujemy mój margiel i zrobimy we trzech współkę. Twój... jak się tam nazywa? Bigiel? spłaci mi tyle, ile na niego

---

[1]) gatunek kopaliny, służącej jako nawóz sztuczny.

wypadnie, ty albo coś dopłacisz, albo nie — i pójdziemy razem a zyski mogą być olbrzymie.

Połaniecki wstał.

— Proszę pana — rzekł — do jednej rzeczy nie jestem przyzwyczajony, mianowicie, żeby ktoś drwił ze mnie. Ja nie chcę pańskiego marglu, tylko moich pieniędzy, a to, co mi pan mówisz, uważam poprostu za niegodne, albo bezrozumne wykręty.

Nastała chwila ciężkiej ciszy. Jowiszowy gniew zaczął się zbierać w brwiach i na czole pana Pławickiego. Przez chwilę piorunował śmiałka oczyma, poczem, przysunąwszy się szybko do kołków, na których wisiała broń, zdjął myśliwski nóż i, podając Połanieckiemu, rzekł:

— A więc jest inny sposób: uderzaj!

I otworzył szeroko szlafrok, lecz Połaniecki, nie panując już nad sobą, odtrącił rękę z nożem i zaczął mówić podniesionym głosem:

— To jest licha komedja — nic więcej! Z panem szkoda tracić słów i czasu. Wyjeżdżam, bo mam dosyć pana i pańskiego Krzemienia, ale zapowiadam, że sumę moją sprzedam choćby za pół ceny pierwszemu z brzegu Żydowi, który potrafi sobie z panem poradzić.

Na to prawa ręka pana Pławickiego wyciągnęła się uroczyście.

— Idź! — rzekł — sprzedawaj! wpuść Żyda w gniazdo rodzinne, ale wiedz o tem, że przekleństwo moje i tych, którzy tu żyli, znajdzie cię wszędzie.

Połaniecki wypadł z pokoju biały ze złości, w salonie zaś klął, co wlazło, szukając swego kapelusza. Znalazłszy go wreszcie, chciał wyjść, obaczyć, czy bryczka nie zajechała, gdy wtem weszła Marynia. Na jej widok pomiarkował się nieco, lecz, przypomniawszy sobie, że właściwie to ona zajmuje się wszystkiem w Krzemieniu, rzekł:

— Żegnam panią. Sprawę z ojcem pani skończyłem. Ja przyjechałem po moją należność, a on dał mi naprzód błogosławieństwo, potem margiel, a potem przekleństwo. Dobry sposób spłacania należytości!...

Henryk Sienkiewicz.

113. Dwaj Benetowie.

PAN BENET — ZDZISŁAW.

Zdzisław *(za sceną).* Fawor! Sa tu! do nogi!
Pan Benet. Cóż to za wrzawa?
Zdzisław *(za sceną).* Weź go do psiarni!... Prędzej!...
Pan Benet. Cóż to? Głos Zdzisława.

(Zdzisław wchodzi — jego mowa prędka, ucinkowa. — Ruchy gorączkowe — śmiech przymuszony).

Zdzisław *(całując w ramię pana Beneta).* Jak się masz, stryju?
Pan Benet. Witam.
Zdzisław. Psa zamknąć kazałem.
Psów nie lubisz?...
Pan Benet. Nienawidzę.
Zdzisław. Stryj zdrów?
Pan Benet. Ot, tak!
Zdzisław *(chodząc).* Przyjechałem. *(po krótkiem milczeniu)*
Przyjechałem.
Pan Benet *(nie spuszczając go z oka).*
Widzę, widzę.
Zdzisław *(nie patrząc na stryja).*
Stryj wygląda wyśmienicie.
Pan Benet. A ty, jak się masz?
Zdzisław. Tak jak całe życie...
(Śmiejąc się, zdejmuje paletot i rzuca na klatkę).
Doskonale.
Pan Benet. Nie zrzuć klatki.
Zdzisław *(bierze paletot i rzuca na ziemię).*
Nie... nie... — Zimno. — Nic nie szkodzi...
Mnie gorąco... mróz mnie chłodzi.

(Zdzisław zdejmuje szal z szyi i rzuca na kwiatki).

Pan Benet. Uważaj!... Połamiesz kwiatki.
Zdzisław. A! prawda... połamię kwiatki.

(Ściąga szal i rzuca na ziemię — potem chodzi, rozpinając suknie, obcierając twarz etc. — Pan Benet nie spuszcza go z oka).

Zdzisław *(po krótkiem milczeniu).* Przyjechałem.
Pan Benet. Słyszę, słyszę.
Zdzisław. Jak bomba, wpadłem z hałasem...
Przerwałem swobodną ciszę *(śmiejąc się).*
Jak bomba... z trzaskiem, hałasem.
Pan Benet. Nie mógłbyś usiąść tymczasem?
Zdzisław *(siadając).* Owszem.
Pan Benet *(po krótkiem milczeniu).* Skąd jedziesz, Zdzisławie?

Zdzisław. Nie wiem. W turystę [1]) się bawię.
Botanizuję [2]).
Pan Benet. Po śniegu?
Zdzisław. Poluję.
Jak się zmęczę, śpię, a jak śpię, nie czuję.
(Spuszcza głowę i wpada w zamyślenie).
Pan Benet *(po krótkiem milczeniu).* Miałeś się żenić?
Zdzisław *(zrywa się, pan Benet wstaje niespokojny).*
Ja się żenić miałem *(chodzi coraz prędzej)*
Żenić się miałem! ja się żenić chciałem!
Pan Benet. Wszak z Pauliną byłeś zaręczony,
Z wychowanką mego brata.
Zdzisław *(z głośnym wybuchem śmiechu, pan Benet cofa się).*
Z Pauliną?!... Lepszej nie znalazłbym żony...
Z Pauliną?!... Ja, ja? Ha! to dobre żarty.
(Chodzi, potem nagle staje przed stołem, za który cofnął się pan Benet).
Cóż stryj tak patrzy na stole oparty,
Nie ściągając z dzwonka ręki?
Cóż to? masz mnie za warjata?
Pan Benet. Żeś nie warjat, Bogu dzięki...
Ale wyznać się ośmielę:
Podobieństwa djable wiele!
Zdzisław. Ha! tak. Zwykły wyrok świata:
Kto nie w nasze wszedł koleje,
Oczywiście, ten szaleje.
Pan Benet. Słuchaj, Zdzisławie. Zróbmy traktat mały.
Albo powściągnij szalone zapały,
Jak na prawego Beneta przystoi,
A słuchać będę, co twój mózg wyroi;
Albo, jeżeli chcesz, jak opętany,
Krzyczeć i biegać od ściany do ściany,
Ja ci pomocy udzielę,
Salon rzęsisto oświecę,
Wszystkie kąty, wszystkie rogi
Poduszkami ci zaścielę,
By w gorliwej twej mimice
Wyprawiając monologi,
Nie poniosłeś gdzie skąd szwanku.
Ale pozwól mi, kochanku,
Że ustąpię z placu boju,
Że się zamknę w swym pokoju.
Bo spokojność skarb mój drogi,
I nie dam go w własnym domu
Napastować bądź to komu.

Aleksander hr. Fredro.

---

[1]) podróżnik. — [2]) zbieram rośliny.

114. List do Jana Czeczota[1]).

Z Nowogródka, w lipcu 1821 r.

Kochany mój Janie! Czemuż do ciebie nie pisałem za każdym razem, kiedym doświadczał przyjemnych tylu uczuć, a raczej smutnych i melancholicznych, bo tego tylko rodzaju przyjemność już dla mnie została; będę jednak przypominał, a to, co przeszło, może zrozumialej potrafię opisać. Znając moje położenie i mój charakter, choć w części podzielisz to, co czułem, nie wiem, bardzo nie wiem, czy i tego rodzaju przyjemność będziesz jeszcze kiedy ze mną podzielał.

Jak tylko wyjechałem z Wilna, już żałowałem wyjazdu. Przebyłem drogę nudnie, zajechałem do cudzego domu; pobiegłem na nasz niegdyś dziedziniec. Żal mnie nie pozwolił uważać spustoszenia, które było wkoło mnie; oficynkę, w której mieszkaliśmy, znalazłem otwartą, ale ciemną. Postaw się w mojem miejscu. Nikt mnie nie spotkał, nie słyszałem owego: Adam! Adam! Tak mnie żal ścisnął, że długo nie mogłem odetchnąć. Chodziłem po wszystkich kątach, odemknąłem drzwi śpiżarni, wtem z góry schodzi nasza stara służąca, którą po ciemnie ledwie poznałem, i tak trudna do poznania: wybladła i nosząca znaki długiej nędzy. Po wrzasku zobopólnego poznania się płakaliśmy razem. Biedna ta sługa u nas strawiła wiek, teraz bez sposobu do życia; mieszkała długo w tym domku, żyjąc z pracy; teraz jeszcze błąka się po pustkach. Oddałbym jej grosz ostatni, gdybym wtenczas miał przy sobie. Chciałem bawić się u dobrych Terajewiczów, ale nie mieszkałem osobno, musiałem schodzić na śniadania, obiady, wieczerze, siedzieć po godzin kilka, prowadzić obojętne rozmowy. Uciekłem do Ruty, tu ani dnia wytrzymać; w Nowogródku był przynajmniej nasz dawny dziedziniec do szpacjeru i bliskie mogiłki.

Widziałem się z kobietami, z ową Johasią, niegdyś dosyć lubianą, lubo pospolitą istotą; postrzegłem ze smutkiem, że wszystkie obudzają wstręt we mnie i że już o kobietach dla mnie nie myślić, a zwłaszcza tak blisko Tuhanowicz. Przypomnę jeszcze trochę z podróży. Hrynaszkiewicz mówił, że Puttkamerowie mieszkają tylko o milę.

---

[1]) przyjaciel i kolega poety.

O milę tylko! — chodząc na szpacjer, pytałem o każdą dróżkę do M.[1]) i w tę stronę choć popatrzeć! Ale wytrzymałem pokusę jechania. Jakoż ona tam nie była.

Z Ruty jadę do Tuhanowicz[2]); w bramie samej spotkałem karytę i zaraz poznałem, a raczej uczułem, że tam była M. Nie wiem, co się ze mną działo. Mijaliśmy się; mignęło coś w bieli. Nie śmiałem odezwać się, nie wiem zgoła, jak zajechałem, dowiaduję się, żem się spotykał z M., o czem w duszy wiedziałem. Dom mieszkalny tu inszy; dawny przestawują, nie mogę poznać, gdzie był kominek, gdzie stało fortepiano.

Jest optymizm[3]) na świecie. Gdybym ją w tych miejscach widział, o tem strach pomyślić?

Tuhanowicze mają zawsze wiele raju; Michał[4]) światły, oczytany i najzagorzalszy romantyk. Unosi się nad wiekami rycerskiemi, wyrywamy sobie z ust słowa, mówimy o rzeczach ważnych, widuję różne osoby. Zan czasem z przeszłego roku zarywa; po wieczerzy siostra moja, Stypułkowska[5]), z Zanem śpiewa; lada dzień mamy według projektu Michała pojechać w puszczę nad Świteź do małego folwarczku na dni kilka; będziem jeździć po lesie i dumać. Takiego człowieka trzeba kochać! Ale to w porównaniu do przeszłego roku, jest jak nasz pusty dziedziniec — tak wiele ubyło! Muszę raz jeszcze widzieć i więcej nigdy nie będę w tych stronach. Iluż dowiedziałem się rzeczy; przeznaczenie moje estetyczne już rozstrzygnione. Zatrzymam tu rękę, bo dalej pisać nie wypada.

Bądź zdrów, kochany Janie! nie wiem, czy tu długo dosiedzę. Osoby najdobrańsze, najgodniejsze kochania i szacunku; ale muszę udawać równy humor, pytają, za com nudny[6]), boję się, żebym drugich nie nudził, to mię razi[7]).

Adam Mickiewicz.

---

1) Maryla Wereszczakówna, pierwsza miłość poety, wyszła już wtedy była za bogatego obywatela, Wawrzyńca Puttkamera; 2) majętność Wereszczaków; 3) pogląd filozoficzny, według którego wszystko na świecie jest jak najlepsze: pogodny pogląd na życie; 4) Michał, brat Wereszczakówny; 5) siostra cioteczna poety; 6) czemum smutny; 7) krępuje.

115. Odwiedziny domu rodzinnego.

1. Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki,
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz — rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła,
Jak na smętarzu w północ, milczenie dokoła!
O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy;
Po krótkiem oddaleniu gdym wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały zdaleka,
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka,
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
Gustaw! Gustaw! wołają, pojazd zatrzymali.
Lecą nazad, gościńca wziąwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu
Wrzask spółuczniów, przyjaciół ledwo nie zagłuszy!...
Teraz pustka, noc; cichość, ani żywej duszy!
Słychać tylko psa hałas i coś nakształt stuku;
Ach! tyż to psie nasz wierny, nasz poczciwy Kruku!
Stróżu i niegdyś całej kochanku rodziny,
Z licznych sług i przyjaciół tyś został jedyny
Choć głodem przemorzony i skurczony laty,
Pilnujesz wrót bez zamku i bez panów chaty.
Kruku mój! pójdź tu, Kruku! bieży, staje, słucha,
Skacze na piersi, wyje i pada bez ducha!...
Ujrzałem światło w oknach; wchodzę, cóż się dzieje?
Z latarnią, z siekierami plondrują złodzieje,
Burząc do reszty świętej przeszłości ostatki!
W miejscu, gdzie stało niegdyś łoże mojej matki,
Złodziej rąbał podłogę i odrywał cegły,
Schwyciłem, zgniotłem, oczy na łeb mu wybiegły!
Siadam na ziemi, płacząc, w przedporannym mroku,
Ktoś nasuwa się, kijem podpierając kroku.
Kobieta w reszcie stroju, schorzała, wybladła,
Bardziej do czyścowego podobna widziadła;
Gdy obaczy straszliwą marę w pustym gmachu,
Żegnając się i krzycząc, słania się z przestrachu.
Nie bój się! Pan Bóg z nami! ktoś, moja kochana?
Czego po domu pustym błąkasz się tak zrana?
Jestem biedna uboga, ze łzami odpowie,
W tym domu niegdyś moi mieszkali panowie;
Dobrzy panowie, niech im wieczny pokój świeci!
Ale Pan Bóg nie szczęścił, dla nich i dla dzieci
Pomarli, dom ich pustką, upada i gnije,
O paniczu nie słychać, pewnie już nie żyje.
Krwią mnie serce zabiegło, wsparłem się u proga...
Ach! więc wszystko minęło?

Adam Mickiewicz.

116. Grzeczność polska.

Mówiąc o towarzyskich stosunkach w dawnej Polsce, nie można pominąć reguł grzeczności. Miała ona swoje całkiem rodzime formułki, swój styl nawskróś odrębny, i rzec można, że ze wszystkich stron obyczajowych ta głównie wyrobiła się oryginalnie, ze szczerego smaku polskiego, i nie wzięła nic albo bardzo mało z cudzoziemskiego obyczaju. Tłumaczy się to naturalną i ciągle żywą relacją [1], jaka zachodziła między kodeksem grzeczności a tym właśnie społecznym porządkiem rzeczy, przy którym szlachta najkonserwatywniej trwała, w którym nie znała mody i nie cierpiała nowatorstwa.

Republikański ustrój państwa, wprawdzie z królem i dworem, ale ten król primus inter pares [2], bez władzy absolutnej, a ten dwór jego bez czołobitnej etykiety, do udzielności niemal posunięta niezawisłość jednostki, i co za nią poszło: szeroko rozwinięty indywidualizm [3], idealna równość z tytułu urodzenia, a rzeczywista wobec prawa, zupełnie odmienna natura hierarchji [4] urzędowej i społecznej, wszystko to wpływało na formy towarzyskie i grzecznościowe. Już to samo, że grzeczność nie była dyktowana obcą impozycją [5], poczuciem osobistej i prawnej niższości lub innemi zniewalającemi względami, jakich tyle było zagranicą, już to samo sprawiało, że nie potrzebowała się liczyć z tak wielkiemi dystansami [6] osób i stanowisk, jak np. w Niemczech, i zachować mogła łatwiej cechę szczerego obyczaju, dobrego wychowania i wrodzonej uprzejmości serca.

Było też tak istotnie wśród najlepszej części szlacheckiego świata, tylko że ta najlepsza część nie była, niestety, najliczniejsza. Z biegiem czasu, a zwłaszcza w ciągu XVII wieku, wielka szlachta przybiera uroszczenia dynastów [7], mniejsza przywyka do serwilizmu; z drugiej zaś strony anarchiczne [8] stosunki wytwarzają pewne zdziczenie obyczajów, wśród których obłudna pokora idzie w parze z grubem zuchwalstwem. Mimo to wszystko nie ginie przecież dobra tradycja grzeczności polskiego stylu. Uderza ona odrazu cudzoziemców, podróżujących po Polsce, którzy oddają szczere pochwały jej powadze i godności, i pod-

---

[1] związkiem; [2] pierwszy między równymi (łac.); [3] osobowość; [4] ustopniowanie; [5] narzucanie swej woli, nakaz; [6] odległościami, różnicami; [7] książąt dziedzicznych: [8] bezrządne.

noszą jej całkiem odrębną „sarmacką“ grację [1]). Formułki tej grzeczności odtworzyć sobie można poczęści przynajmniej z pamiętników, z przygodnych oracyj [2]) i listów, ale gest i ruch, jaki towarzyszył polskiej „polityce“, bo, jak już wiemy, tak nazywano maniery grzeczności, cała ta malownicza mimika „czystego, gładkiego pachołka“, która przedewszystkiem w całej swojej harmonji i okrągłości rozwijała się w tańcu polskim, w „chwytanem kole“, w „gonionym“, zginęła nam bezpowrotnie.

Jeszcze w ostatnich latach XVIII wieku uderzał cudzoziemców malowniczy i poważny ukłon polski. Niektórym wprawdzie, jak np. Schulzowi, wydawał się on zbyt niski i czołobitny, ale spostrzeżenie to polega na nieznajomości obyczaju, który nakazywał młodzieży najgłębszą cześć dla rodziców i dla sędziwości wieku. Syn zginał przed matką jedno kolano, córka oboje: „w którym dzieje się sposobie, że na jedno kolano syn, córka na obie“ — mówi o tem Kochowski. Ukłon polski rzeczywiście był niski, a towarzyszył mu gest prawej ręki, niejako markujący pochylenie się ku kolanom, ale w kodeksie dobrego wychowania była to tylko figura grzeczności, dalekiej od tego, co dziś nazywamy serwilizmem [3]).

To samo da się powiedzieć o formułkach powitania, używanych między szlachtą, jak np.: „Czołem!“ albo „Służba!“

Bywały wszakże i takie osobliwe formuły i gesty uszanowania, zwłaszcza u dworzan wielkopańskich, które i nas, bliższych obyczajom własnej przeszłości, tak samoby dziś zapewne zdziwiły, jak zdziwiły Vanozzego, który opowiada, że, gdy wychodził od Jana Zamojskiego, znaczna liczba dworzan kanclerskich tworzyła szpaler po obu stronach i wszyscy mu się kłaniali „od gęby, całując się w rękę“. „I ja też — powiada Włoch w swoim diarjuszu [4]) — wzajemnie kłaniałem się im od gęby, całując się w rękę“.

Niedość było posiadać polor umysłowy, trzeba było posiadać także koniecznie maniery polskiej grzeczności, inaczej było się, jak mawiano: „po łacinie mądrym, a po polsku błaznem“. Czuli to także wielcy panowie i to nawet jeszcze w połowie XVII wieku; młodzi Sobiescy dla europejskiego poloru wyjeżdżają zagranicę, ale, jak się mają zachować ze starszymi i znaczniejszymi, jak się mają kłaniać i tańcować, tego się uczą w Krakowie. Ojciec ich, wojewoda bełski Jakób, szczególną do tego,

---

[1]) wdzięk; [2]) mów; [3]) uniżonością, służalczością; [4]) dzienniku.

przywiązywał wagę, aby „po polsku byli grzecznymi". Mają się strzec pychy, ale trzeba także, aby miejsce swoje wiedzieli i „posiadać się nie dawali nigdzie". W gospodzie swojej niech każdemu, czy to panięciu, czy szlachcicowi, który ich nawiedzać będzie, „prawą rękę i pierwsze miejsce dądzą, przeciwko każdemu aż do drzwi niechaj wychodzą i każdego więc aż do drzwi niechaj wyprowadzą". Nie dać się „posiadać" znaczyło nie dać się traktować zgóry i z lekceważeniem w towarzyskich stosunkach, nie uchybiać nikomu, ale nie dać się też uchybić sobie. Strzec poczucia własnej osobistej godności, strzec swego „uczciwego", było kardynalnym[1]) obowiązkiem. Nie znano jeszcze albo raczej nie używano jeszcze słowa „honor" w dzisiejszem naszem znaczeniu: to, co dziś obejmujemy tem słowem, mieściło się w „uczciwem", a było to uczucie bardzo tkliwe, i pięknie się o tem wyraża jeden z magnatów polskich z połowy XVII wieku, podnosząc z naciskiem, „jako pieszczona rzecz jest uczciwe".

Szlachta polska, a zwłaszcza jej wyższa i dostojniejsza warstwa, przywiązywała zawsze wielką wagę do swoich tradycyjnych form grzeczności i gorszyła się bardzo ich brakiem zagranicą. Jerzy Ossoliński w diarjuszu swojej podróży do Ratysbony z r. 1636 powiada, że w Czechach tylko hrabiego Wierbna, tylko jego „samego jednego między wszystkimi Czechami znalazł człowieka ludzkiego", to znaczy, że między wszystką szlachtą czeską, z którą się zetknął w czasie swojej podróży, ten jeden tylko odpowiadał polskim wyobrażeniom o towarzyskiej grzeczności i łatwości. Ten sam Ossoliński zapisuje w dzienniku swoim z satysfakcją[2]), że w Ratysbonie „z podziwieniem dworu tutecznego grube et inhospitales[3]) animos[4]) Niemców do coraz lepszej przywiódł ludzkości".

Wszystkie bowiem zalety towarzyskie: uprzejmość, wesołość, nieusuwanie się od ochoty sąsiedzkiej i przyjacielskiej, a przedewszystkiem gościnność, obejmowano w dawnej Polsce słowem „ludzkość". Jak to wszakże często bywa, że jedno i to samo słowo, które oznaczało pierwotnie cnotę, służy za nazwę i wadzie, jakby dla uwydatnienia pewnej wspólności źródła jednej i drugiej — „ludzkość" służy później za nazwę hulaszczości i wybrykom życia. Szlachcic Suchorobski, postać z drugiej połowy XVII wieku, umierając przedwcześnie, narzeka, że „przy-

---

[1]) zasadniczym; [2]) zadowoleniem; [3]) nieprzystojne (łac.); [4]) dusze (łac.).

szedł na ten kres śmiertelnej choroby z wielu prac i kłopotów, a poczęści z nieszczęsnej ludzkości polskiej, z niepomiernego życia swego“. Krasicki jeszcze używa słowo ludzkość jako synonimu grzeczności i gościnności. *Władysław Łoziński.*

117. Grzeczność polska.

Sędzia, z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza
I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
Nalał węgrzyna i rzekł: „Dziś nowym zwyczajem
My na naukę młodzież do stolicy dajem,
I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
Mają od starych więcej książkowej nauki,
Ale codzień postrzegam, jak młódź cierpi na tem,
Że niema szkół uczących żyć z ludźmi i światem;
Dawniej na dwory pańskie jechał szlachcic młody,
Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody,
Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,
(Mówiąc, Podkomorzemu ścisnął za kolana):
On mnie radą do usług publicznych sposobił,
Z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił.
W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
Codzień za duszę jego proszę Pana Boga.
Jeślim tyle na jego nie korzystał dworze
Jak drudzy, i, wróciwszy, w domu ziemię orzę,
Gdy inni, więcej godni Wojewody względów,
Doszli potem najwyższych krajowych urzędów,
Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu
Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu
W uczciwości, w grzeczności; a ja powiem śmiało,
Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.
Niełatwą, bo nie na tem kończy się, jak nogą
Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;
Bo taka grzeczność modna zda mi się kupiecka,
Ale nie staropolska, ani też szlachecka.
Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;
Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i pana
Dla sług swoich, a w każdej jest pewna odmiana.
Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
I każdemu powinną uczciwość wyrządzić.
I starzy się uczyli; u panów rozmowa
Była to historyja żyjąca krajowa,
A między szlachtą dzieje domowe powiatu;
Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,
Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;
Więc szlachcic obyczaje swe trzymał pod strażą.

Dziś człowieka nie pytaj: co zacz? kto go rodzi?
Z kim on żył, co porabiał? każdy, gdzie chce, wchodzi,
Byle nie szpieg rządowy i byle nie w nędzy.
Jak ów Wespazjanus [1]) nie wąchał pieniędzy
I nie chciał wiedzieć, skąd są, z jakich rąk i krajów;
Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!
Dość, że ważny i że się stempel na nim widzi,
Więc szanują przyjaciół, jak pieniądze Żydzi...
. . . . . . Grzeczność nie jest rzeczą małą:
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:
Jak na szalach, żebyśmy nasz ciężar poznali,
Musim kogoś posadzić na przeciwnej szali.
Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnej
Grzeczność, którą powinna młódź dla płci nadobnej;
Zwłaszcza gdy zacność domu fortuny szczodroty,
Objaśniają [2]) wrodzone wdzięki i przymioty.
Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy
Wspaniały domów sojusz — tak myślili starzy.“

Adam Mickiewicz.

118. O miłości Ojczyzny.

Podobno od najdawniejszych czasów, jak się tylko plemiona rozkrzewione przez zajęcie stałych siedlisk w narody zawiązały, miłość ojczyzny zawiązywała się oraz w ich sercach i owładywała ich uczucia. O o j c z e! o o j c z y z n o! o progi przodków moich! woła stary poeta Roscjusz [3]), którego Cycero przytacza; a w tych rzewnych wyrazach, co aż do czasów wojny trojańskiej, do południowego nieba i pierwiastkowych siedlisk narodów się odnoszą, równa czułość się odzywa, jak z pod wiersza naszego Krasickiego, poety na północy, w trzy tysiące przeszło lat później [4]).

Lecz nie wiem, czy w którym innym narodzie miłość ojczyzny tak górującem, jak u nas, stała się uczuciem. My, Polacy, słynni jesteśmy pomiędzy narodami, żeśmy kraj nasz pokochali

---

[1]) cesarz rzymski, 69—79 r. po Chr.; [2]) podnoszą, zwiększają; [3]) właściwie aktor, nie poeta, rzymski z I w. przed Chr.; [4]) Mowa tu o Hymnie do miłości ojczyzny Ignacego Krasickiego, brzmiącym, jak następuje: Święta miłości kochanej ojczyzny! Czują cię tylko umysły poczciwe: Dla ciebie zjadłe smakują trucizny, Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe; Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny, Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe: Byle cię można wspomóc, byle wspierać, Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

nad wszystko; i dlatego, gdy garstki naszych, jak niegdyś Trojanie po zburzeniu Ilium, unosząc ze sobą ojczyste bogi, szły przez szerokie krainy Europy, szukając gościnnej ziemi, na którejby wypielęgnowali najdroższe nadzieje serc swoich, otaczały ich chwała, współczucie i szacunek ludów, jako tych, co za kraj swój wszystko poświęcili.

Miłość ojczyzny jest Polakowi bóstwem na ziemi; ona całą duszę jego przenika: po Bogu kocha ojczyznę najbardziej. Zasiądź w gronie zsiwiałych starców i opowiadaj im dzieje przeszłości, triumfy i klęski nasze, a oko, omdlałe blaskiem życia, jak konająca lampa raz jeszcze zajaśnieje, i łza gorąca po zmarszczkach twarzy się stoczy. W łzy rzewne się rozpłynie na wspomnienie ojczyzny wezbrane uczucie kobiety, i z ramion kochanka owisłe ręce opadną, załamie je dziewica, i okiem niebieskiem, jak okiem „Magdaleny“ Tysiewicza[1]), spojrzy w niebo i tam u Królowej Nieba błagać będzie ratunku i pociechy.

Idź wśród włościan, wśród ludu prostego, zaniedbanego, którym ojczyzna, gdyby ją w swobodach upatrywać mieli, była macochą, idź, a przekonasz się, że oni inaczej rzeczy czują i rozumieją oni ojczyznę, jako matkę prawdziwą, kochają i wiedzą, że tylko ojczyma mieli, co ich z dóbr matki wyzuł, albo jako Jakób przebiegły, z prawa pierworodztwa obrał. Niech tam między niemi stanie wojak o szczudle, i niech im prawi o walkach i o ojczyźnie, a oczy wszystkich i dusze wszystkich w słowach mówiącego utoną i oblicza ich wymownie wypowiedzą, co serca ich czują; poświadczą dowodnie, jakiemi silnemi węzłami losy i nadzieje kraju spoili z swą myślą i dolą.

Pieśni nasze narodowe, te najrzewniejsze, które dolę ojczyzny malują, a kiedy je krasna, dziarska pieje młodzież, wyraz po wyrazie, ton po tonie, wsiąka i napawa gąbczatą wyobraźnię podrastającej dziatwy, mołojcom męstwo się zapala, bohaterska odwaga wstępuje w czułe serca dziewicze, a sędziwa myśl matron i mężów ginie w ułudnej krainie marzeń, unosząc się po pamiątkach przeszłości.

Czem się dzieje, że lud, co tyle ukochał ziemię swoją, który na jej ołtarzu złożył tyle ofiar i poświęceń, dla którego i dziś jeszcze sam wyraz ojczyzna ma coś świętego, uroczego, co serce

---

[1]) Władysław Mieczysław Niewiarowicz (pseudonim Jan Tysiewicz), malarz polski z XIX w., autor obrazu „Magdalena pokutująca“.

jego elektryzuje i wstrząsa, czem się dzieje, że naród taki przyszedł do upadku?

Oto ojczyzna była mu oblubienicą, on jej oblubieńcem; miłość jego była, jak pierwsza miłość młodzieńca, gorąca, ognista, szalona; była miłość bez granic, bez miary, ślepa, porywcza, nie namyślająca się w niczem, nie kładąca nic na szali rozsądku. Miłość ta była ideałem, nie rzeczywistością; ojczyzna była bóstwem, gdzieś w samych polotach wyobraźni unosząca się, a nigdy nie zstępowała na ziemię, do rzeczywistych stosunków życia.

Nic zatem dziwnego, że kiedy inne narody dojrzewały na mężów, rozpatrywały się w stosunkach obcych i swoich i przemyśliwały w spekulacjach o zwiększeniu dobytku i miana swego, że wśród nich naród-kochanek, przytulający do serca ojczyznę-kochankę, uniósł z sobą sam jej ideał, który mu żadna siła z łona jego wydrzeć nie zdołała, a dał się wyzuć z rzeczywistości, nawet z samej ziemi ojczystej, gdy wyrodni owi ojczymowie ludu, owi Jakubowie, nią frymarczyli, a obcy z tej słabości i frymarki korzystali.

Karol Libelt.

119. Tyrteusz.

POEMAT.

Arystomenes [1] w świątyni Ateny,
W pośrodku miasta, puklerz, w boju zdarty,
Zawiesił nocą... Radość śród Messeny,
Szalony popłoch powstaje śród Sparty.
Z murów, co dotąd nie zaznały trwogi,
Sromotny przestrach dawne męstwo płoszy,
Uchodzą wstydem pohańbione bogi,
Arystomenes Lakonję pustoszy
I w serce miasta śle okrzyk zwycięski,
A tam jęk, rozpacz!

Ustały igrzyska
Wojennej młodzi, wciąż klęski i klęski,
A znikąd zbawcza nadzieja nie błyska.

---

[1] Arystomenes, wódz messeński, pobiwszy w wielu bitwach Spartan i ciężkie zadając im klęski, dla dopełnienia miary hańby nieprzyjaciół przyszedł potajemnie w nocy do Sparty i na drzwiach świątyni Ateny zawiesił zdobytą tarczę z napisem: Arystomenes, zabrawszy wielkie łupy Spartanom, tarczę tę poświęca bogini Atenie. Zabobonni Spartanie nadzwyczaj się przelękli i posłali do wyroczni delfickiej, a ta kazała im, jeżeli nie chcą zginąć, wezwać pomocy Ateńczyków. Zazdrosna rzeczpospolita nie chciała dopomóc Sparcie i jedynie przez bojaźń bogów posłała im, jako wodza, Tyrteusza-poetę.

Przy wspólnym stole nikt głośno nie gwarzy,
Bo strach niewoli usta lodem ścina,
I tylko radzą i radzą wciąż starzy
I ślą do Delfów, do wróżb Apollina.
W przybytku syna Zewsa i Latony [1]),
Gdzie wieszczka bogów w tajemniczej mowie
Uchyla Grekom przyszłości zasłony,
Stoją z darami spartańscy posłowie.
Nie znać w nich jednak tej spartańskiej buty,
Co ludom Grecji w oczy kurz miotała,
Wzrok mężów chmurny, do ziemi przykuty,
A twarz od sromu blada i nieśmiała.
Wieńcami strojni i bielą odziani,
Słudzy Apolla zalegli świątynie,
Pada zwierz liczny dokoła otchłani,
Nad którą trójnóg w mgłach kadzideł ginie,
A na nim Pythia [2]).

W proroczym zachwycie
Z ust jej bezładnie dziwne płyną dźwięki,
Apollo głosi: „Spartanie, wam życie
I wolność wróci tylko z Aten ręki.
Ich więc błagajcie!“

Błagać? O złowieszcze
Słowo! Śmierć raczej z rąk mściwej Messeny!
Sparta ma błagać! Błagać! Kogo jeszcze?
Zazdrosne wiecznie i wrogie Ateny?
Sparta nie znała ni srebra, ni złota,
Wymyślnej strawy, ni pysznego stroju,
Tylko żelazo, a najpierwsza cnota
Spartańskich synów — ginąć za kraj w boju;
Sparta, ilekroć za oręż porwała,
Zawsze zwycięska: uległy Arkady [3]),
Padła Tyrea [4]) i Messena spała
W niewoli lata. Śród całej Hellady
Jedne Ateny stały jej na drodze,
Na każdym kroku czyniąc Sparcie wstręty
Ateny Sparcie, to cierń w krwawej nodze...
I dziś ich błagać?!!

Ale wróg zawzięty
Pod samo miasto rozpuszcza pogonie,
Kwiatem młodzieży gęsto zasłał pola
I, szydząc, poi w Eurotasie [5]) konie,
A Sparcie tylko już śmierć lub niewola,
Śmierć lub niewola!...

---

[1]) t. j. Apollina; [2]) kapłanka-wróżbitka; [3]) Arkadja — kraj w Peloponezie; [4]) Tyrrhenowie, czyli Tyrrenowie, po wyparciu z Attyki zamieszkiwali wyspy i wybrzeża morza Egejskiego; [5]) rzeka w Lakonji.

O, jeszcze za wcześnie
Umierać Sparcie, choć przedśmiertne dreszcze
Przebiegły ciało i duch porósł w pleśnie,
W schorzałej piersi bije serce jeszcze.
I krzew laurowy, gdy go dręczy spieka,
Opuszcza liście i, zda się, już ginie...
Lecz, gdy wiatr spędzi nawał chmur zdaleka
I deszcz ożywczy potokami spłynie,
Laur z nową siłą odżyje wspaniale,
Świeże listeczki gałęzie odmłodzą.
A co niewola, nie wie Sparta wcale,
Bo niewolników jej córy nie rodzą.
Gdy nawą fala rozhukana miota,
Czyż hańbą szukać zbawienia śród burzy?
Z rąk Aten wolność Apollo nam wróży:
Słuchajmy bogów!

Wnet messeńskie straże
Omylił sternik, szybko z wiatrem leci,
Do Akropolu [1]) prostą drogę wskaże,
Bo Erychtona wóz [2]) na niebie świeci.
Nim księżyc Grecji nowym błyśnie rogiem,
Straszne pioruny zagrzmią z gór Attyki,
Atene Aten, Ares Sparty bogiem,
Przed tem przymierzem drżyj, najeźdźco dziki!
Nim wrócą posły, Sparta bogów błaga,
Czaty jej wbiegły na wzgórza, mórz brzegi,
Śledząc, czy rychło wionie zbawcza flaga,
Albo z gór spłyną ateńskie szeregi.
Złudne nadzieje, biegną dni i noce,
Cisza, nad miastem krążą sępów roje,
Czasami w dali żagiel zamigoce,
Lecz skrzętnie mija lakońskie ostoje [3]).
Złudne nadzieje, próżno uchem męże
Pytają ziemi, w ziemi spokój głuchy.
Czasami zda się, żę dźwięczą oręże,
Nie: to wół w jarzmie potrząsa łańcuchy...
I wiele rzeki, wiele wód uniosły,
Z Aten ni flota, ni zbawcze zastępy,
Ni nawet własne nie wracają posły...
Tylko z północy gęsto ciągną sępy
I, na wyżynach zasiadłszy Tajgetu [4]),
O nagie skały poostrzają dzioby.
Zacóż wiatr wiosnę niesie od Miletu [5]),
Chloris [6]) po smugach rozściela ozdoby?

---

[1]) pagórek w Atenach, gdzie wznosiła się twierdza miejska; [2]) gwiazdozbiór; [3]) porty; [4]) łańcuch gór w Lakonji; [5]) Milet — miasto w Azji Mniejszej, a więc to był wiatr ciepły ze wschodu; [6]) bogini wiosny.

Zacóż gród słońce pozłaca uroczo,
W powietrzu drgają cudne kwiatów wonie,
Gdy syny Sparty zwątpiały wzrok toczą,
A córy we łzach załamują dłonie...

Z woli eforów [1]) zbiera się lud mnogi,
A przed nim pyłem okryty mąż stawa
I rzecze: „Sparto, witam twoje bogi,
Jestem Ateńczyk!“

Cisza i wnet wrzawa
Rozbija chmury, woła lud zdziwiony:
„Gdzie zbrojne hufce?“

Ateńczyk im na ten
Wykrzyk odpowie: „Przychodzę w te strony
Sam, mnie wysłali archontowie [2]) Aten,
Młódź nasza w domu stali grotów ostrze
Przeciw Megarze [3]), a najwyższa rada
Z lutnią i pieśnią w pomoc Sparcie siostrze
Śle mnie, poetę Tyrteusza“.

„Zdrada! —
Ryknęły tłumy — szydercy okrutni,
W strasznej niedoli, zamiast zbrojnych szyków,
Ślą nam pieśniarza! Precz! nie dźwięków lutni,
Krwi nam potrzeba, krwi, krwi Ateńczyków!
Śmierć Tyrtejowi!“

I już tłum rozżarty
Z okrzykiem: „Śmierć! śmierć!“ leci, już z wszej strony
Miecz błyska.. a mąż rzecze: „Ludu Sparty,
Wszak jam bezbronny!“

I lud zawstydzony
Cofa się nagle, sromem mordu tknięty,
Szmer tylko z piersi, a gniew z oczu tryska,
Tak Eurotasu wzburzone odmęty,
Kiedy napowrót wrócą do łożyska,
Ono im ciasne, więc w skaliste łomy
Bije nurt wściekły, miota się i dyszy,
Jak gdyby groził co chwila brzeg stromy
Przełamać znowu.

Wśród chwilowej ciszy
Tyrteusz okiem pogodnem wokoło
Wiedzie, nie trwożny ni wrzawy, ni grotów,
I rzecze, jasne w górę wznosząc czoło:
„Jestem Ateńczyk, a więc umrzeć gotów,

---

[1]) dostojnicy państwowi w Sparcie; [2]) dostojnicy państwowi, pełniący najwyższą władzę w Atenach; [3]) miasto na międzymorzu Korynckiem.

Gdy wam się zdaje, żem wniósł w wasze gniazda
Obelgę Aten i przyjaźni zdradę;
Lecz pozwól, ludu, nim zagaśnie gwiazda,
Ostatnią pieśnią pożegnać Helladę,
Grecji poświęcić gasnące strun dźwięki.
A tam do Aten, nad brzegi Illisu [1]),
Wiatry podniosą echa mej piosenki“.
Cisza tak wielka, że słychać szmer cisu,
Pod którym stoi wieszcz, a lud wzburzony
Nie śmie odrzucić tej ostatniej prośby,
A choć zniewagi tkwią mu w sercu szpony,
Milczy ponuro i połyka groźby.
A tyrtejowe czoło opromienia
Niebiańska światłość, i męskie oblicze
Niewysłowiony krasi wdzięk natchnienia,
I z lutni zrazu nadziemskie, dziewicze,
Pełne a rzewne płyną w przestrzeń tony,
Jakoby z arfy czarownej Eola... [2])
Znów jęczą dziko poszarpnięte strony,
A pieśń wylała straszna, jak niewola!...

PIEŚŃ TYRTEUSZA.

Znacie ten kraj, co mu stopy skaliste
Zmywa toń mórz, a Olimp wieńczy skroń;
Kastalskich wód [3]) kryształy biją czyste,
Słowików pieśń i róż zachwyca woń?

Znacie ten kraj, co mężnych synów chwałą
W daleki świat o sobie rozniósł wieść;
Potęgom burz nadstawia pierś zuchwałą
I szydzi z tych, co mu chcą jarzmo nieść?

Znacież ten kraj, co dostał z bogów ręki
Olbrzymią moc z harmonją cudną słów?
Gdzie wyrósł mąż, co lwom targał paszczęki
I mieczem swym ściął hydrze siedem głów? [4])

Dziewiczych niw przemocą ani zdradą
Aż po dziś dzień nie zdeptał obcy wróg;
Znacież ten kraj?... Nie znacie, nie! Hellado!
Ja ciebie znam i Ares [5]), mężnych bóg.

Wyrzec się ich, Hellado, ziemio święta,
Twym synem być wart tylko wolny mąż,

---

1) potok pod Atenami; 2) Eol - bóg wiatrów, harfa Eola — narzędzie muzyczne, wydające, za wionięciem wiatru, ciche, łagodne tony; 3) źródło Kastalskie, bijące u wejścia do świątyni Apollina w Delfach, w którem myła się Pytja przed rozpoczęciem obrzędu wróżenia; 4) Herkules; 5) bóg wojny.

A Sparta kark w ohydne zgina pęta,
Messeno, pójdź i lud ten podły wiąż!

W okowach wlecz do bram swojego grodu,
Na wieczny wstyd do żaren męże kuj!
Lub sprzedaj ich, a dziewice z ich rodu
Do twoich uczt niech ślubny wdzieją strój.

Śród fletnich brzmień niech w igrzysk śpieszą koło
I z wrogiem pieśń na Sparty wznoszą skon,
A zdobiąc w kwiat Arystomena czoło,
Włochatą pierś do czystych tulą łon.

Bo w Sparcie już krew starych ojców zmarła,
Od Aten chcą, aby im pomoc nieść,
I grożą im, a nie śmią wrogom z gardła
Ojczyznę krwią wydrzeć, wolność i cześć!

O, światło! zgiń! niech nigdy promień słońca
Nie spłynie już w skalany trwogą gród!
Niech straszny mrok, panując tu bez końca,
Skryje ten wstyd, co podły hańbi lud!

Ten wolny nurt [1], co mężnych krzepił znoje,
Niech wyschnie wraz! Niech w łożu pełza gad!
Przeklinam cię, Lakonjo, i twe zdroje!
Niech zatrze czas istnienia twego ślad!

I matki te, co trwożnych synów dały,
Zeusie, zhańb! oblicza wstydem spal!
Niech łona ich poszarpią lwy w kawały,
Lub własna dłoń zatopi w piersiach stal!

O, Sparto, ruń! nim doznasz strasznej doli,
Nim zwiędnie laur, co kwitł na czole twem,
Nim syny twe przywdzieją strój niewoli.
Upadnij w gruz i hańbę przykryj nim!

O, Sparto, ruń! zanim ślad twej wielkości,
Naddziadów grób messeński zburzy młot
I na żer psom rozwlecze święte kości,
A przodków cień odpędzi od twych wrót.

Ty, ludu, nim wróg w pętach cię powlecze,
Ojców twych broń na progach domów złam
I w przepaść rzuć! niech świat nie wie, że miecze
Były wśród was, a serca brakło wam!

---

[1] Eurotas.

I pieśń skonała; z ostatnim akordem
Mistrz lutnię z żalu roztrzaskał o głazy.
Gdy igrał ze lwem i drażnił go mordem
I serce hańbą poszarpał sto razy,
Gdy grobom ojców groził z wrogiej ręki,
Przeklnął ojczyznę i łona cnych matek,
Lud milczał, bólem skamieniały męki;
Lecz kiedy wygrał już pieśni ostatek
I pękły struny, wtedy, jak huk gromów,
Co walą skały i druzgocą lasy,
Jak trzask piorunów, co dno morskich toni
Palą swym żarem i niebo drą w pasy,
Z wzgórz, dolin, świątyń, przedsionków i domów
Powstał krzyk jeden: „Do broni! do broni!“
I z placów, ulic, ze wszystkich stron miasta
„Do broni!“ miljon powtarza się razy,
Zda się, że ludność z pod ziemi wyrasta,
Lub w zbrojnych mężów zmieniają się głazy.
Hasłem: „Do broni!“ rozbudzona Sparta
Rzuca mdłe jęki i za oręż chwyta
I znowu silna, straszliwa, rozżarta,
Potężna, wielka i walki niesyta.
Trzęsie się miasto od wojennej wrzawy,
Blednieje słońce od blasku oręża,
A naród, chciwy rzucić się w bój krwawy,
Z zapałem wzywa ateńskiego męża:
„Prowadź nas, prowadź! ty staniesz za krocie,
Umrzem! lecz wolnej ziemi wróg nie zdepce,
Umrzem! lecz dziewic nie damy sromocie;
Chce wróg krwi naszej, niechaj ją wychłepce!
Chce wróg krwi naszej, niech ją pije rzeką!
Lecz precz z niewolą! my do niej niezdolni,
Niechaj ostatnie krople krwi wycieką,
I padniem wszyscy, ale padniem wolni!“
„Prowadź! — niewiasty wołają i biegną —
Myśmy Spartanki, znamy się z żelazem.
Jeśli mężowie śród walki polegną,
Pobijem dzieci i zginiemy razem!“
I poszli...

Miasto długo pustką stało.
Słychać trąb odgłos: wraca lud zwycięski
I na zdobytych dźwiga tarczach ciało,
Spowite w laury...
Oto wieszcz ateński!

Władysław Ludwik Anczyc.

120. A to Polska właśnie!

POETA.
Panna młoda, — ze snu, z nocy?

PANNA MŁODA.
A sen to miałam,
choć nie spałam,
ino w takiej ległam niemocy...

POETA.
Od miłości panna młoda osłabła.

PANNA MŁODA.
. . . .
We złotej ogromnej karocy
napotkałam we śnie djabła;
takie mi się głupstwo śniło,
tak się to plełło baiło.

POETA.
I odrazu djabeł, jak z procy,
i odrazu kareta złota?

PANNA MŁODA.
A tak-to na śnie, nie dziwota,
że się jakie byle co uwidzi;
niech ino pon nie szydzi,
bo pon, to po dniu zdziwuje,
jeszcze wsendy rozgaduje,
jakby aj-co, — choć nima co.

POETA.
Są tacy, co za to płacą;
że z jednego takiego bajania
można sobie powóz sprawić
i ustrojonego djabła
i ogromnie wiele gapiów zabawić.

PANNA MŁODA.
Od tańcenia takiem osłabła...
Śniło mi sie, że siadam do karety
a oczy mi sie kleją, — o rety. —
Śniło mi sie, że siedzę w karecie
i pytam sie, bo mnie wiezą przez
[lasy,
przez jakiesi murowane miasta,
„a gdzież mnie biesi wieziecie?“
a oni mówią: „do Polski“ —
A kąz tyz ta Polska, a kaz ta?
Pon wiedzą?

POETA.
Po całym świecie
możesz szukać Polski, panno
[młoda,
i nigdzie jej nie najdziecie.

PANNA MŁODA.
To może i szukać szkoda.

POETA.
A jest jedna mała klatka, —
o, niech tak Jagusia przymknie
rękę pod pierś.

PANNA MŁODA.
To zakładka
gorseta, zeszyta trochę
[przyciaśnie.

POETA.
. . . A tam puka?

PANNA MŁODA,
I cóz za tako nauka?
Serce — ! — ?

POETA.
A to Polska właśnie.

Stanisław Wyspiański.

PYTANIA I ĆWICZENIA STYLISTYCZNE.

1. **Początki jesieni.** Który miesiąc przedstawia ten opis? Jakie są główne składniki tego obrazu? Jakich barw używa tu autor? Czy opis ten odznacza się bogactwem barw, czy też ubóstwem i dlaczego? Które z grup części mowy: a) rzeczowniki, b) przymiotniki i przysłówki, c) czasowniki i rzeczowniki czasownikowe, odgrywają tu najważniejszą rolę? Które wyrazy najczęściej się powtarzają i dlaczego? Która z przenośni jest uwydatniona najbardziej? Podkreśl wyrazy, oznaczające dźwięki, i określ, jaki w nich zawiera się obraz muzyczny? Wypisz powtórzenia i oznacz ich wartość znaczeniową i uczuciową. Wypisz porównania i oznacz ich treść przedmiotową i podmiotową. Jak zachowują się zwierzęta i ludzie wobec jesieni? Jaki ton uczuciowy przeważa w opisie? Podkreśl wyrazy gwarowe i zbadaj, w których częściach opisu występują i dlaczego? Zauważ szyk przestawny zdań. Rozbierz pod względem stylowym zdanie: „Hej! jesień to była, późna jesień“!

2. **Jesienią.** W którym miesiącu rzecz się dzieje? Jakie czynniki zmysłowe (wrażenia wzrokowe, słuchowe, ruchowe) składają się na ten obraz? Porównaj pod tym względem §§ 1 i 2, jakie budzą one uczucie w czytelniku i w jaki sposób? Podkreśl wyrazy i zwroty, w których przeważa treść uczuciowa. Porównaj pod tym względem §§ 1 i 2. Zauważ rytm i rymy. Jak rytm wiersza przyczynia się do jego obrazowości.

3. **Złota jesień.** Czy pora roku jest tu wcześniejsza, czy późniejsza, niż w §§ 1 i 2? Czy wpływa to na różnicę krajobrazów? Czy barwność obrazu jest taka sama, jak w tamtych obrazach? A oświetlenie? Czy są tu i wrażenia słuchowe? A prócz wzroku i słuchu czy wchodzą tu w grę i inne zmysły? A jaką rolę odgrywa tu człowiek? Porównaj pod tym względem §§ 1, 2 i 3. Czy różnica charakterów, usposobień, upodobań, stanu społecznego i t. d. ludzi wpływa w tych obrazach na krajobraz i na panujący w nim ton uczuciowy? Oznacz wybitniejsze przenośnie i uosobienia i zauważ ich treść znaczeniową i uczuciową.

4. **Deszcz jesienny.** Jakie obrazy składają się na treść przedmiotową tego wiersza? Czy treść ta jest bogata, czy uboga? A skąd autor bierze treść do obrazów w tym wierszu? Jaki jest stosunek tych obrazów do odtwarzanej rzeczywistości? Jaki jest stosunek wzajemny między obrazami 2, 4 i 6-tej zwrotki? Objaśnij zawarte w nich przenośnie i alegorje? Jaka treść uczuciowa zawiera się w 2-giej zwrotce? Czy poetę istotnie spotkały nieszczęścia, wyszczególnione w 4-tej zwrotce? Czego one są obrazem? Jaki jest nastrój duchowy „szatana“ w 6-tej zwrotce? A co ten szatan oznacza? Jaki nastrój uczuciowy budzą powtarzające się refreny (t. j. przyśpiewy) w zwrotce 1, 3, 5 i 7? Które wyrazy powtarzają się w nich najczęściej? A w jakim pozostają stosunku do tych wyrazów wyrazy onomatopeiczne (t. j. dźwiękonaśladowcze)? Jaki jest rytm wierza? Porównaj go z rytmem § 2 (amfibrachy). Jak rytm wiersza wpływa na jego nastrój uczuciowy? Na które zespoły samogłosek i spółgłosek pada najczęściej akcent rytmiczny?

5. **Deszcze jesienne.** Jakie zawierają się w tym opisie składniki krajobrazowe? A który z nich przeważa? A jak przedstawia się tu tło krajobrazu? W jakich uwydatnia się ono przenośniach? A jakie przedmioty bliższe uwydatniają się na tem tle? Jaką rolę odgrywa tu oświetlenie? A jakie przewa-

żają tu barwy i dźwięki? Jaki nastrój uczuciowy tu panuje? Podkreśl wyrazy i wyrażenia, oznaczające uczucia. Na jaki obraz przeżycia duchowego składają się one, razem wzięte? Oznacz treść znaczeniową i uczuciową najważniejszych uosobień, a zwłaszcza określ znaczenie uosobienia smutku. Jakie wywołują one wrażenie? Podkreśl i rozbierz porównania. Jaki jest stosunek treści przedmiotowej (obrazu natury) do podmiotowej (uczucia) w tym obrazie. Porównaj pod tym względem § 4 i 5. Co robi człowiek w §§ 4 i 5? Czy udział jego w tych obrazach jest taki sam, czy inny?

Napisz wypracowanie p. t. „W jesienny ranek do szkoły".

6. **Bór zimą.** Ułóż plan szczegółowy tego opisu. Zauważ zasób i rodzaj wrażeń barwnych i świetlnych. A co jest główną treścią obrazu w pierwszej części (w borze sosnowym)? Jak autor przedstawia działanie wiatru? Jakich używa do tego porównań i przenośni? A jaka treść uczuciowa łączy się z każdem z tych porównań? A jaki nastrój uczuciowy wogóle przeważa w tym opisie? A jak zmienia się obraz w drugiej części opisu (w wysokim, młodym zagajniku)? A w trzeciej części (w starej dębinie)? A jaki jest udział ludzi w obrazie boru? Czy przyczyniają się oni do wywołania silniejszego wrażenia? A jaka zachodzi zmiana w obrazie powrotu Hanusi i starego? Jaki zachodzi związek między tym obrazem a innemi częściami opisu? A jaką rolę odgrywa w całości opisu obraz krzyża? Wybierz wyrazy gwarowe i określ ich rolę w obrazowości opisu.

7. **Las w noc zimową.** Jakie wrażenia zmysłowe uwydatnione są w pierwszej części opisu? A jakie łączą się z niemi przeżycia uczuciowe? A jak je autor przedstawia? Zwróć uwagę na określenia przymiotnikowe, zawierające w sobie wyraz uczucia. Jak i dlaczego zmienia się nastrój uczuciowy w drugiej części opisu? Jaki występuje tu nowy czynnik uczuciowy? Jaką rolę odgrywa głos jaworów w pierwszej i drugiej części opisu? Czy zachodzi tu jaka różnica? Jaką rolę w całości opisu odgrywa jego ostatnia część (ruiny arjańskiego kościoła)? Jakie wrażenia przeważają w tym opisie: wzrokowe czy słuchowe? Dlaczego? Porównaj pod tym względem §§ 6 i 7.

8. **Noc zimowa.** Jakie barwy występują w tym opisie? A jak autor uwydatnia grę światła i cienia? Jakich używa do tego porównań, przenośni i uosobień? Podkreśl wyrazy i wyrażenia, oznaczające dźwięki? Czy one są donośne czy ciche? Podkreśl wyrazy i wyrażenia, oznaczające ruchy. Czy one są szybkie, czy powolne? A jaki jest stosunek uczuciowy wrażeń wzrokowych, słuchowych i ruchowych? I dlaczego taki, a nie inny? A jak występuje pierwiastek przedmiotowy? Jaki jest jego stosunek do opisu? Porównaj pod tym względem §§ 7 i 8. Czy wpływa na różnicę nastroju ta okoliczność, że tam przedstawia się las, a tu pole?

9. **Zamieć śnieżna.** Jakie wrażenia zmysłowe i jakie nastroje uczuciowe występują w pierwszym ustępie? A jak autor przedstawia jodłę i jakie z tym obrazem łączy się przeżycie uczuciowe? Czy stosunek ten zmienia się w dalszych częściach opisu, w tych miejscach, gdzie występuje jodła? A jaki nastrój uczuciowy wogóle przeważa w tym opisie? Porównaj pod tym względem §§ 7, 8 i 9. A jaką rolę odgrywa wiatr we wszystkich czterech obrazach zimy (§§ 6, 7, 8, 9)? Jak autor przedstawia nastroje duchowe Huba? A Olbromskiego? Na czem polega różnica nastroju ojca i syna? Jak zaznacza się tu różnica wieku, charakteru? Zapomocą jakich określeń (przymiotnikowych, czasownikowych) autor zaznacza zmianę nastrojów uczuciowych z chwilą ukazania się światła? Co odczuwają wtedy ojciec i syn? Wybierz wyrazy gwarowe i określ ich wartość znaczeniową i uczuciową.

10. **Ranek wiosenny.** Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy, i zauważ, jak one zmieniają się ze zmianą oświetlenia. Jaką rolę odgrywa mgła w tym opisie? Jak autor przedstawia walkę światła z cieniem? Porównaj pod tym względem §§ 8 i 10. Jakich porównań, przenośni i uosobień używa autor w pierwszej części opisu (do chwili odezwania się skowronka)? Z jakiej dziedziny je czerpie? Co zmienia się w naturze z pierwszą pieśnią skowronka? A z ukazaniem się słońca? A w nastroju uczuciowym? Jakich tu autor używa porównań i przenośni? Jaka myśl i jakie uczucie zawiera się w drugiej części opisu? Porównaj pod tym względem obie części opisu. Określ rolę wyrazów gwarowych w obrazowaniu.

Napisz wypracowanie p. t.: „Wschód słońca" (po uprzedniem zaobserwowaniu zjawiska i z własnych przeżyć).

11. **O świcie wiosną.** Który z obrazów w §§ 10 czy 11, dotyczy wcześniejszej pory roku? Z czego można to wnosić? Jaki czynnik przeważa w tym krajobrazie? A jakie są czynniki poboczne? Zauważ wydatniejsze uosobienia i rozbierz ich treść znaczeniową i uczuciową. Porównaj stronę uczuciową w §§ 10 i 11. Jaki jest nastrój duchowy doktora Judyma? Jaki jest jego stosunek do przyrody? Porównaj stosunek człowieka do przyrody w §§ 10 i 11. Jaki jest stosunek uczuciowy autora do doktora Judyma? A do przyrody? W czem się on głównie wyraża?

12. **O witajże nam, wiosenko.** Jakie objawy natury przedstawia autor w wierszach 1—12? Jakich tu używa przenośni? Jakie tu przejawia się uczucie? O czem mówi w drugiej części wiersza (w. 13—40)? A jaki tu jest nastrój uczuciowy? Jaki więc zachodzi stosunek między przyrodą a człowiekiem? Wytłumacz przenośnie w tej części wiersza? Porównaj ostatnie 8 wierszy z pierwszemi 8-ma. Jaką zauważysz różnicę i co ona oznacza? Jaki nastrój uczuciowy zawiera się w powtórzeniach? A w wykrzyknikach i wykrzyknieniach?

13. **Wieczór wiosenny.** Zauważ nazwy wrażeń zmysłowych w tym opisie i wypisz je kolumnami w następującym porządku: A) wzrokowe: a) blaski i cienie, b) barwy; c) ruchy; B) słuchowe; C) węchowe; D) smakowe; E) dotykowe. Jak zachowują się ludzie w ten wieczór lipcowy? Wypisz wyrazy, oznaczające uczucia? Porównaj ton uczuciowy tego opisu z §§ 10, 11 i 12. Wyszukaj pokrewne tony uczuciowe w opisach zimy. Wynajdź w poprzednich opisach obraz, zawierający wręcz przeciwny ton uczuciowy.

Napisz wypracowanie p. t. „O zmroku (z własnych wrażeń)“.

14. **Noc wiosenna.** Jaki krajobraz przedstawia autor w pierwszym ustępie? Jakich używa do tego środków stylowych? Wypisz nazwy wrażeń zmysłowych według tabelki z poprzedniego §-u i zauważ, których jest najwięcej? Dlaczego? Co najbardziej zajmuje Dygasińskiego? A Reymonta (§ 13)? Któremu obrazowi poświęca Dygasiński najwięcej miejsca? Co możnaby z tego względu powiedzieć o Dygasińskim? Porównaj opisy nocy wiosennych z opisami nocy zimowych. A jakie uczucie może budzić w człowieku noc jesienna? Spróbuj to wrażenie ująć w jaki obraz poetycki (uosobienie, przenośnię, porównanie i t. p.).

15. **Nocna cisza.** O jakiej porze roku mówi tu poetka? Jak przedstawia naturę? Jaki czynnik przeważa i powtarza się, jako stały ton, w obrazie przyrody? A jak poetka przedstawia własny nastrój uczuciowy? Jaką rolę odgrywają pod tym względem wykrzykniki i wykrzyknienia? A pytania? Jakie uczucia malują się w powtórzeniach i przeciwstawieniach? Jaki jest stosunek poetki do przyrody i odwrotnie? Rozbierz budowę rytmiczną i zwrotkową tego wiersza. Rozróżnij w pierwiastku podmiotowym tego wiersza dwa czynniki: a) uczucie (liryzm) i zastanowienie (refleksja).

16. **Zmierzch.** Jaką miejscowość opisuje tu autor? Narysuj plan tej miejscowości. Które szczegóły krajobrazu głównie uwydatnia? Jak ten krajobraz oświetla? Jakie barwy zaznacza, zależne od pory dnia? Podkreśl zdania, w których zawiera się stosunek uczuciowy autora do krajobrazu. Jak zachowują się zwierzęta w tym krajobrazie? Od czego zależy ich zachowanie się? A ludzie? Czy i w czem zaznacza się stosunek uczuciowy autora do ludzi?

17. **O zmierzchu.** Podkreśl wyrazy i zdania, w których zawierają się wrażenia zmysłowe. Jakie wrażenia tu przeważają? Porównaj pod tym względem §§ 16 i 17. Wypisz wyrazy i zwroty, zawierające w sobie stany uczuciowe. Jakie uczucie przeważa w tym wierszu? Porównaj pod tym względem §§ 16 i 17. A 14 i 17. A jaki jest stan duchowy poety? W jakim pozostaje on stosunku do natury? Zbadaj, jak przejawia się osobowość autora w §§ 16 i 17. Jakie uczucie ujawnia się w powtórzeniu: „tonę, tonę“...

18. **Wieczór letni.** Ułóż plan szczegółowy tego opisu. Który moment wieczoru przedstawia pierwsza część opisu? Zwróć uwagę na takie zwroty, jak: „stanęło w zorzach“, „pławiły się w czerwieni a złocie“, „roztrzęsało się“, „rozgłośnie“. Na jaki obraz zmysłowy i uczuciowy składają się te zwroty? Porównaj pod obu temi względami drugą część z pierwszą? Jakie zauważysz różnice? Czem uwarunkowane są te różnice? Który moment wieczoru przedstawia trzecia część? Porównaj ją z dwiema pierwszemi? Jaki składnik krajobrazu występuje tu najdobitniej i dlaczego?

19. **Wieczory lipcowe.** Czy wiersz ten przedstawia jeden moment wieczoru, czy też kilka następujących po sobie momentów? Który opis obejmuje dłuższy

przeciąg czasu, § 18 czy § 19? A porównaj pod tym względem wszystkie opisy wieczorów (§§ 16—19). Nadaj tytuł każdej z czterech zwrotek tego wiersza. Co się głównie zmienia w każdym z tych momentów? Jakie wrażenia przeważają w pierwszej zwrotce? A co nowego przynosi każda z następnych? Zbadaj na tym wierszu budowę sonetu.

20. **Burza letnia.** Czem poprzedził autor obraz burzy? Do czego mu to było potrzebne? Dlaczego zdanie: „Istotnie przyszła burza“, jest takie krótkie i zaczyna się od wiersza? Jakie zjawiska podkreślił autor w pierwszym okresie burzy? Czy w tym obrazie występuje osobowość autora? Od czego zaczyna się drugi okres? Jaki nastrój uczuciowy występuje w uosobieniach, malujących ziemię, krzaki, kurz, kłosy i t. d.? W jaki sposób przedstawia autor moment największego napięcia burzy? A jak w tej części ujawnia się jego osobowość? A jak w tym obrazie przedstawia się burza, jako czynnik przyrody? Jakie wystąpiły zmiany na ziemi wskutek burzy? Ułóż plan tego opisu.

21. **Burza letnia.** Wymień zjawiska atmosferyczne, składające się na obraz burzy. Porównaj je z wyszczególnionemi w § 20. Za pomocą jakich środków stylowych przedstawiają je obaj autorowie? Czy pogląd ich na przyrodę jest ten sam, czy różny? Które z tych obrazów: chmur, wichrów, piorunów i t. d. działają silniej na wyobraźnię: u Prusa czy u Reymonta? A na uczucie? Co powiesz o obrazie błyskawic w przedostatnim ustępie? Która z przenośni najsilniej przemawia do duszy czytelnika? A jak Reymont przedstawia, co się dzieje na ziemi? Porównaj pod tym względem oba opisy burzy. Porównaj ton uczuciowy w opisie drzew, krzaków, zbóż i t. d. Jak się przejawia osobowość autora w obu opisach?

22. **Podczas burzy.** Wymień zjawiska natury, zobrazowane w tym wierszu. Czy traktowane są one ogólnikowo, czy szczegółowo? Porównaj pod tym względem §§ 20, 21 i 22. Co jest główną treścią wiersza? Jaki ton uczuciowy przeważa w tym wierszu? Porównaj pod tym względem wszystkie trzy opisy burzy. Jaki zachodzi tu stosunek zjawisk przyrody do stanów uczuciowych autora? Określ ton uczuciowy każdego z trzech opisów jednym wyrazem. W jaki sposób (zapomocą doboru jakich wyrazów, jakich przenośni i porównań) uzewnętrznia się stan duchowy poety w wierszu Tetmajera?

Napisz wypracowanie p. t.: „Podczas burzy (z własnych doświadczeń)“.

23. **Burza na morzu.** Wybierz czynniki krajobrazowe wspólne temu opisowi i trzem poprzednim. Wypisz te, które występują tylko w § 23. Z czego wynika ta różnica? Jakich przenośni i porównań używa pan Balcer, opisując burzę na morzu? A dlaczego takich, nie innych? Jaki nastrój uczuciowy zawiera się w samym wyborze przenośni? Zauważ porównania twierdzące i przeczące. Jaka jest wartość znaczeniowa i uczuciowa tych ostatnich? Jak pan Balcer przedstawia burzę w puszczach polskich? Czy zawarte w tym obrazie składniki występują i później? Czy ta okoliczność, że autorka włożyła opowieść w usta pana Balcera, wpływa na rodzaj obrazowania? Który obraz jest pod tym względem najznamienniejszy? Porównaj przejawiającą się osobowość autora (czy narratora) w §§ 21, 22 i 23. Zwróć uwagę na powtórzenia, na zwroty dźwięko-naśladowcze, na zwroty hiperboliczne (t. zw. p r z e s a d n i e), na wyrazy gwarowe i rolę ich w obrazowaniu.

Rozbierz budowę zwrotki (t. zw. o k t a w y).

24. **Burza w pustyni.** Porównaj ten opis burzy z poprzedniemi i oznacz składniki wspólne i różne. Zauważ obrazowanie zjawisk przyrody. Do którego z poprzednich opisów burzy jest niniejszy pod tym względem podobny? A co poeta mówi o swoich przeżyciach duchowych? Czy ulegają one jakim zmianom? I jeżeli tak, to dlaczego? Gdzie w poprzednich opisach można odnaleźć pokrewne nastroje uczuciowe? Jakie okoliczności wpływają na spotęgowanie się tych nastrojów? A jakie występują tu nowe czynniki uczuciowe? Porównaj styl §§ 23 i 24, a zwłaszcza wzmianki o aniołach.

Który ze wszystkich pięciu opisów burzy najsilniej przemawia do ciebie. Postaraj się zbadać swoje odczuwanie pod tym względem i jego przyczynę.

25. **Wśród wody.** Którą okolicę kraju opisuje tu autor? Jaką cechę uwydatnia w tym krajobrazie? Wypisz wyrazy (rzeczowniki, przymiotniki i przysłówki), oznaczające wodę i wilgoć. Zauważ uosobienia, objaśnij ich treść znaczeniową i uczuciową? Na jakie żywe twory zwraca tu autor większą uwagę: rośliny czy zwierzęta? Wypisz nazwy roślin (drzewa, krzewy, zioła) i zwierząt

(owady, pajęczaki, mięczaki, gady i płazy, ryby, ptaki i t. d.). W jaki sposób autor przedstawia każdy gatunek? A co wspólnego mają te wszystkie obrazy świata zwierzęcego? Czy i jak występuje pierwiastek podmiotowy w tym opisie? Jaką treść znaczeniową i uczuciową zawierają pytania w przedostatnim ustępie? Jaki jest stosunek autora do przyrody?

26. **O Wiśle i jej dopływach.** Napisz szczegółowy plan tego opisu. Przerysuj z jakiego atlasu mapę Wisły, jej dopływów i wszystkich wymienionych tu miejscowości. Jaka jest treść pierwszego, wstępnego ustępu? Jak jej autor dowodzi? W jakim porządku opisuje autor w dalszym ciągu Wisłę? Jakich używa do tego środków? W jakim celu wymienia różne liczby? Na którą władzę duchową człowieka oddziaływa ten opis: rozum, uczucie czy wyobraźnię? I dlaczego na tę, a nie na inną? Wymień zasadnicze cechy tego opisu, jako wzoru opisu naukowego, czyli ścisłego. Gdzie znajdujemy najwięcej takich opisów? Czy czynnik czasu odgrywa jakąkolwiek rolę w tym opisie?

27. **Wisła.** Co jest wspólnego w tych opisach (§§ 26 i 27). Na wyrysowanej przez siebie mapie oznacz odmienną barwą miejscowości, wymienione w § 27. Czy plan i układ obu opisów jest podobny? W czem widzisz zasadniczą różnicę obu opisów: w treści czy w formie stylowej? Porównaj obrazy źródeł Wisły w obu opisach: jakie pierwiastki nowe występują w opisie Żeromskiego? Jakiemi drogami trafia Żeromski do rozumu, do uczucia i do wyobraźni czytelnika? Na które szczegóły krajobrazu zwraca autor główną uwagę? Porównaj pod tym względem §§ 25 i 27. Jak autor przedstawia miasta i twierdze nadwiślańskie? Jaka zawiera się w tych obrazach treść uczuciowa? Czy w obecnej chwili opisałby je tak samo? Określ na podstawie tego opisu cechy charakterystyczne opisu artystycznego.

28. **Dopływy Wisły.** W jaki sposób przedstawia poetka Wisłę i jej dopływy? Jakie w ten sposób osiąga wrażenie artystyczne? Wytłumacz i przełóż na styl pospolity wszystkie obrazy, zapomocą których poetka przedstawia rzeki i inne szczegóły geograficzne. Co znaczą „bramy bursztynowe morza Bałtyckiego“? Który z trzech opisów Wisły najbardziej trafia ci do rozumu? do wyobraźni? do uczucia? I dlaczego? A który ci się najbardziej podoba?

Napisz wypracowanie p. t.: „Nad moją rodzinną wodą (morzem, rzeką, strumieniem)“.

29. **Gopło.** Ułóż plan szczegółowy tego opisu. Jakie cechy znamienne Gopła i jego okolicy wymienia autor? Jakie zaznacza zmiany, zaszłe w ciągu wieków w obrazie tej miejscowości? Przerysuj z atlasu plan Gopła i jego okolic i zaznacz na nim odmienną barwą dawne granice jezior i biegi rzek. Wypisz nazwy zbiorowisk wodnych z §§ 25—29 i uszereguj je, według rozmiarów, w dwie kolumny: a) wody stojące i b) wody bieżące. Do którego działu opisów należy opis niniejszy i dlaczego?

30. **Nad Gopłem.** Oznacz na mapie Gopła miejscowości, wymienione w niniejszym opisie. Podkreśl te, których brak w § 29. Wymień wspólne obu opisom wspomnienia z przeszłości. A jakie wspomnienia historyczne wyszczególnia Przybyszewski? A jakie niedawne wspomnienia? Wymień zjawiska nadprzyrodzone Jaki pierwiastek uczuciowy przeważa w tych wspomnieniach? A na jakie szczegóły krajobrazu autor głównie zwraca uwagę? Jak autor wyraża swój stan uczuciowy? Zwróć uwagę na uosobienia i zawarty w nich stan uczuciowy. Podkreśl powtórzenia i zbadaj ich treść znaczeniową i uczuciową. Wypisz wyrazy, oznaczające uczucia. Czy uczucia autora ulegają zmianom w ciągu tego opisu? Jeżeli tak, to czem te zmiany są uwarunkowane. Zwróć uwagę na znaczenie oświetlenia. Do którego działu opisów należy zaliczyć opis niniejszy i dlaczego? Ułóż na podstawie §§ 25—29 słowniczek bliskoznaczników, oznaczających zbiorowiska wodne.

31. **Morze Bałtyckie.** Ułóż plan tego opisu. Przerysuj brzegi Bałtyku z wymienionemi tu miejscowościami. Na które szczegóły zwraca autor główną uwagę? Jakie względy miał na celu, układając ten opis? Czy na podstawie tego opisu można wyobrazić sobie, jak wygląda Bałtyk? A czego można się dowiedzieć? Wymień cechy znamienne tego opisu, pozwalające zaliczyć go do jednego z działów opisów.

32. **A capella.** Jakie szczegóły krajobrazu morskiego wymienia tu autorka? Co powiesz o ich liczebności? Dlaczego liczebność ta jest taka, a nie inna? Czy przyczynia się do tego wybór pory doby? Jak autorka przedstawia noc na lądzie?

Co podkreśla o niej, jako składnik zasadniczy? A jakie uwydatnia składniki nocy nad morzem? Wymień wyrazy, oznaczające ruchy? Jaka treść uczuciowa w nich się zawiera? A wyrazy dla oznaczenia dźwięków i głosów? Jak autorka przedstawia swój nastrój duchowy w pierwszym ustępie? A jak ten nastrój zmienia się w dalszych ustępach? A jaki jest najsilniejszy wyraz tego nastroju? Jaka myśl i jakie uczucie zawiera się w obrazie chóru duchów? Gdzie i poco autorka zwraca się do czytelnika w drugiej osobie? Wylicz i rozbierz powtórzenia, wykrzyknienia, pytania retoryczne. Porównaj ten opis z § 31 i z § 30: co w tych opisach jest wspólnego, zwłaszcza pod względem treści uczuciowej.

33. **Morskie Oko.** Ułóż plan tego opisu. Wylicz szczegóły krajobrazowe. A prócz nich co tu jeszcze podaje autor? Wybierz wyrazy, które tu po raz pierwszy w życiu spotykasz i postaraj się je objaśnić (niektóre z nich są ułożone przez Staszyca, t. zw. n o w o t w o r y j ę z y k o w e, czyli n e o l o g i z m y). Do którego działu opisów zaliczyłbyś „Morskie Oko“ Staszyca?

34. **Ranek nad Morskiem Okiem.** Które momenty poranku przedstawia ten opis? Jakie wyrazy zmysłowe tu przeważają? Wybierz wyrazy, oznaczające barwy i blaski i zobacz, czy i jak zmieniają się one w różnych momentach poranku? Podkreśl porównania i rozbierz je? Co powiesz o ich liczebności? Czy i jak zaznacza się tu pierwiastek podmiotowy? Porównaj obraz niniejszy z innemi opisami poranków (§§ 10, 11). Czy wpływa na odrębność niniejszego opisu ta okoliczność, że tu mamy do czynienia z Tatrami, a tam z nizinem Mazowszem? Porównaj opisy Morskiego Oka z §§ 33 i 34. Wybierz i objaśnij wyrazy góralskie.

35. **Morskie Oko.** Wybierz szczegóły krajobrazowe z tego wiersza. Jaki rys uderza cię w tym obrazie? Jakich środków stylowych używa poeta dla uwydatnienia tego rysu? Jak występuje tu pierwiastek podmiotowy? Jaki jest jego stosunek do pierwiastka przedmiotowego? Jak poeta objaśnia powstanie Tatr i jezior tatrzańskich? A w jakiej formie? Zauważ zwroty hiperboliczne (przesadnie) i ich rolę.

Ułóż opis naukowy Morskiego Oka na podstawie §§ 33, 34 i 35.

36. **Morskie Oko.** Co jest głównym wątkiem tego podania? Porównaj pod tym względem to podanie z §§ 33 i 34, a głównie z 35. Jak podanie niniejsze objaśnia powstanie Tatr i jezior tatrzańskich? Jaką rolę odgrywa tu pierwiastek nadprzyrodzony? Czy taką samą, jak np. w §§ 30 lub 32? Albo w § 20? Jak uwydatnia się w tem podaniu ludowy pogląd na świat? Czem on różni się od przeglądu człowieka z inteligencji (por. § 35 i 36)? Jak uwydatnia się tu pogląd moralny ludu naszego?

Przypomnij podanie lub baśń ludową o pokrewnych poglądach.

37. **W puszczy Białowieskiej.** Co wiesz o puszczy Białowieskiej? Pokaż ją na mapie. Czy autorka opisuje całą puszczę, czy tylko niektóre jej szczegóły? Jeżeli szczegóły, to które? I dlaczego te, a nie inne? O której to mówi „królewnie“? Co znaczy: „łoże, usłane z zadumy i ciszy“? Przypomnij baśń o szklanej trumnie i zbadaj, jakie tu ona znajduje zastosowanie. Jaki nastrój uczuciowy panuje w pierwszej części opisu? Jak do niego przyczyniają się wspomnienia z baśni? A jak nastrój ten zmienia się w następnych częściach (opis Boru Lady, Jełosmycza, Czarnej Smugi, Wielkiego Nikaru)? Jakich autorka używa środków stylowych dla opisu tych miejscowości? Zwróć uwagę na uosobienia. Jak wpływa na podniesienie nastroju wprowadzenie do opisu zwierząt? Który obraz pod tym względem jest najwydatniejszy? Co powiesz o barwności tego opisu? Porównaj ten opis z §§ 6 i 7.

38. **Las podbiegunowy.** Jaką myśl ogólną zawiera w sobie wstęp? Czy myśl ta znajduje zastosowanie w rozwinięciu? Co autor opisuje w pierwszej części rozwinięcia? Jakich używa przenośni i uosobień? Jaki nastrój uczuciowy zawiera się w nich? Porównaj pod tym względem §§ 37 i 38. Zwróć przytem baczniejszą uwagę na obrazy „pobojowisk“: jakie znajdziesz cechy wspólne i jakie różnice? Co autor opisuje w drugiej części rozwinięcia? Jakich używa środków stylowych? Jaki przeważa tu nastrój uczuciowy? Porównaj pod tym względem §§ 37 i 38. A 32 i 38. Jaką rolę odgrywają tu, jako czynnik artystyczny, wprowadzone w zakończeniu postacie ludzkie?

39. **Las podzwrotnikowy.** Ułóż plan tego opisu. Czem on różni się od poprzednich? Co powiesz o jego barwności w porównaniu z tamtemi? Czem barwność ta jest uwarunkowana? Wypisz rośliny, wymienione w każdym z trzech opisów lasów. A zwierzęta? Czy i jak występuje tu pierwiastek podmiotowy? Czy

pierwiastek podmiotowy, występujący w każdym z tych trzech opisów, dałby się zastosować do pozostałych dwóch? Znajdź bliskoznaczniki do wyrazów g r o z a i z a c h w y t i spróbuj je kolejno zastosować do każdego z tych trzech opisów. Który z tych trzech opisów najbardziej zbliża się do typu opisu naukowego, a który do artystycznego?

40. **W lesie.** Którą porę roku i doby przedstawia tu autor? Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy? Do których części mowy one głównie należą? Dlaczego do tych, a nie innych? Jaki nastrój uczuciowy zawiera się w pierwszych czterech zwrotkach (w 1—16)? Rozbierz pod względem stylowym ostatnią zwrotkę, a zwłaszcza ostatnie dwa wiersze. Jaki jest stosunek podmiotu do przedmiotu w tym wierszu? Odnajdź pokrewny nastrój w poprzednich opisach w tej książce. Zbadaj budowę wiersza i zwrotki.

41. **W porębie.** Jakie szczegóły krajobrazu leśnego wylicza tu autor? Jakich używa barw? A jakich wrażeń stylowych? A jakiego oświetlenia? Jak przedstawia stan duchowy Wawrzona? Wybierz wyrazy i zwroty, oznaczające stany uczuciowe. Czy nastrój jego duchowy jest jednostajny, czy się też zmienia? W czem się wyraża jego nastrój duchowy: w słowach, w gestach, w czynach? Jak wpływa na jego nastrój to, co widzi? A to, co słyszy? A jaką rolę w nastroju uczuciowym krajobrazu odgrywają żywe stworzenia (np. wrony)? Co uwidocznia się w rozmowie Wawrzona z żoną? Podkreśl wyrazy gwarowe w dialogu? Czy i jak zmienia się nastrój w ostatnim obrazie? Jaki nastrój uczuciowy zawiera się w porównaniach? A w powtórzeniach? Porównaj dąb z Matką Boską w tym opisie z krzyżem w § 6.

42. **Tęsknię ku tobie, o szumiący lesie!** Co z krajobrazu leśnego przeniknęło do tego utworu? A co jest główną treścią wiersza? Jaka treść myślowa i uczuciowa zawiera się w pierwszym sonecie? W jakim stosunku pozostają w nim względem siebie: 1) obraz zmysłowy, 2) nastrój uczuciowy, 3) refleksja (czyli zastanowienie)? A który z tych pierwiastków przeważa? Czy i jak pierwiastki te zmieniają się w następnych trzech sonetach? A stosunek ich wzajemny? Jaka treść znaczeniowa zawiera się w refrenie: „o szumiący lesie“? Czy zawsze ta sama? A jak ten refren się zmienia i dlaczego? Czy można ten utwór uważać za opis lasu? Porównaj treść uczuciową w §§ 41 i 42. Jeżeli jest między temi utworami różnica, to co ją powoduje? A co jest wspólnego? Zbadaj budowę rytmiczną i zwrotkową. A rymy?

Napisz wypracowanie samodzielne p. t.: „W lesie“.

43. **Sosna.** Jaka myśl zawiera się we wstępie? Jakim stylem jest on napisany? Porównaj pod względem stylu wstęp z resztą opisu. Co jest celem autora? W jakim porządku autor opisuje sosnę? Jakie cechy jej wymienia? Na które z nich zwraca najwięcej uwagi i dlaczego? W jakim związku pozostaje część główna ze wstępem? Co powiesz o stylu opisu (porównania, uosobienia, przenośnie)? Jaką rolę odgrywają te środki stylowe? Co autor chce wyrazić w zakończeniu? Jaki jest związek myślowy zakończenia ze wstępem i rozwinięciem? Określić typ tego opisu.

44. **Zabić trudno.** Wymień drzewa, o których mówi tu autor. Zamknij historję każdego z tych drzew w jednem zdaniu. Jaka myśl i jakie uczucie zawierają się w powtarzającem się zdaniu: „Zabić trudno“? Czy autorowi chodziło tu o drzewa, czy o co innego? Jeżeli o co innego, to o co? Jeżeli cały utwór należy rozumieć pod przenośnią (t. j. jako a l e g o r j ę), to jak objaśnić wszystkie szczegóły pierwszego obrazu (wierzba, piorun, pasorzyty, źli i chciwi ludzie, młode pędy i t. d.)? W podobny sposób rozbierz wszystkie dalsze obrazy. A jaka myśl i jakie uczucie zawierają się w zakończeniu? Czy treść uczuciowa tego utworu da się porównać z treścią uczuciową innych opisów lasu i dlaczego? Poco autor używał tu alegorji?

45. **Rozdarta sosna.** Który moment z życia bohaterów przedstawia ten obraz? Jaki jest nastrój ducha Joasi? A jak się on ujawnia (w czynach, słowach, ruchach) i t. d.? A co powiesz o stanie duchowym Judyma i jego uzewnętrznianiu się? Czy jest pod tym względem różnica między Joasią a Judymem? A jakich obrazów używa autor, by uzewnętrznić stany uczuciowe bohaterów? Jaką rolę odgrywa pod tym względem widok kopalni? zawalonego budynku? a wreszcie rozdartej sosny? A jaka treść zawiera się w końcowych pytaniach? Jaki zachodzi w tym obrazie stosunek podmiotu do przedmiotu? Czy można ten utwór nazwać alegorycznym i dlaczego? Porównaj pod tym względem §§ 44 i 45.

46. **Limba.** Wymień szczegóły krajobrazowe tego wiersza. Za pomocą których części mowy autor je wyraża? A w których częściach mowy autor wyraża swoje uczucia? Jakie uczucie tu przeważa? Dlaczego takie, a nie inne? Porównaj nastroje uczuciowe §§ 45 i 46. Czy utwór ten można nazwać alegorją i dlaczego? Porównaj pod tym względem §§ 44, 45 i 46.

Obejrzyj starannie jaki kwiat albo inną część rośliny i ułóż jego opis, naukowy lub, jeśli potrafisz, artystyczny.

47. **Wilczek Buta.** W czyje usta autor wkłada opowiadanie? Jak autor charakteryzuje wilka? Co jest główną cechą jego charakteru? Jakie zachodzą różnice w charakterze wilka i psów? Skąd one pochodzą? Jak autor przedstawia stosunek wilka do psów? A do ludzi? A nawzajem? Co podkreśla dodatniego w charakterze wilka? A co ujemnego? Skąd pochodzą te zalety i te wady? W którym momencie najlepiej uzewnętrznia się charakter wilka? Jaki jest stosunek autora (czy opowiadacza?) do świata zwierząt? Jaki ton tu przeważa: serdeczny czy żartobliwy? A jaki jest stosunek autora (czy opowiadacza?) do świata ludzi? Jaka myśl zawiera się w zakończeniu? Co można wogóle powiedzieć o autorze (czy opowiadaczu)? A jaka jest myśl główna tego opisu? Czy jest to opis naukowy, czy raczej artystyczny?

48. **Wróbel.** Jakie cechy zewnętrzne wróbla wymienia autor? A jakie wewnętrzne? W jaki sposób je przedstawia? Czy używa przenośni, uosobień, porównań i t. d.? Czy i jak ujawnia się tu stosunek uczuciowy autora do przedmiotu? Porównaj pod tym względem §§ 47 i 48. W jakim porządku autor wymienia cechy znamienne wróbla? Określić typ tego opisu. Ułożyć jego plan szczegółowy.

49. **Stróżak.** W jaki sposób autorka charakteryzuje Franka stróżaka w pierwszej części opowiadania? Którą cechę najbardziej uwydatnia? Co powiesz o figlach Franka? Jak zaznaczają się cechy praczki, maglarki i panny Gertrudy w ich przemówieniach? Jak autorka przedstawia stosunek wzajemny Franka i jego rodziców? Dlaczego Franek pragnął, by rodzice jego przyjęli do domu Karolka? Jak wpłynęło na niego spełnienie się tego pragnienia? W jakim pozostają wzajemnym stosunku dobre i złe strony jego charakteru? Podkreśl powtórzenia i rozbierz ich treść znaczeniową i uczuciową? Jakie ma znaczenie końcowe pytanie (t. zw. r e t o r y c z n e)? Co przez nie osiąga autorka? Odnajdź środki żywości stylu, np.: krótkie zdania, wykrzyknienia, wykrzykniki, użycie czasu teraźniejszego i przyszłego zamiast przyszłego, dobór wyrazów, oznaczających szybkie czynności i zjawiska i t. p. Objaśnij następujące wyrażenia gwarowe: „pali się na tobie", „z pieca na łeb" (poprawić się), „bieda aż piszczy", „tuman jaki", „z nieba kapie", „urwisz z pod ciemnej gwiazdy" i t. p.

50. **Swawolny Dyzio.** Jak autor przedstawia cechy zewnętrzne Dyzia: jego rysy, ubranie i t. d.? A jak charakter jego ujawnia się w czynach? Co powiesz o figlach Dyzia? Porównaj je z figlami „stróżaka" (§ 49). Jakie cechy zewnętrzne matki zaznacza autor? Co one mówią o jej charakterze? Porównaj stosunek wzajemny matki i syna w §§ 49 i 50. Porównaj upominania obu matek i sposób, w jaki na nie odpowiadają obaj synowie. Co jest źródłem figlów obu chłopców? Jak zaznacza autor stosunek osób, siedzących w wagonie, do Dyzia? A w szczególności stosunek Judyma? A jak ujawnia się stosunek uczuciowy autora do występujących osób, a zwłaszcza do Dyzia i jego matki? Porównaj pod tym względem §§ 49 i 50.

Napisz wypracowanie p. t.: „Franek i Dyzio, analogje i kontrasty".

51. **Ksiądz Antoni Wyrwicz.** Jak autor przedstawia miejsce zamieszkania ks. Wyrwicza? A co mówi o okolicznościach jego osiedlenia się tu? Co można na podstawie tego wnosić o jego charakterze? Jak autor przedstawia park? Jaką rolę w tym obrazie odgrywają przesadnie? Odnajdź je. A dlaczego autor w tym obrazie wspomina o szczegółach z mitologji greckiej? Określ stosunek tej „pustelni" do „pustelnika". A co możemy powiedzieć o charakterze ks. Wyrwicza na podstawie jego stosunku do duchowieństwa? A do ludzi wogóle? A o jego pobożności? O jego inteligencji i wykształceniu? A jakie światło na jego charakter rzucają jego zajęcia i prace? A urządzenie domu? Jaki rys przeważa w jego charakterze? Scharakteryzuj ks. Wyrwicza jednem zdaniem, zawierającem szereg orzeczników przymiotnikowych: „Ks. Wyrwicz jest człowiekiem wykształconym"... i t. d.

18*

52. **Ksiądz Maciej Zielenkowski.** Jakie cechy zewnętrzne ks. Zielenkowskiego wymienia autor? Co one mówią o jego charakterze? A jak świadczy o jego charakterze jego kostjum? Jaki zachodzi stosunek między zewnętrznością księdza Zielenkowskiego a jego istotnym charakterem? Jak to uwydatnia autor? Co jest główną cechą charakteru ks. Zielenkowskiego? A ks. Wyrwicza? Jaki jest stosunek ks. Zielenkowskiego do ludzi i naodwrót? A ks. Wyrwicza i odwrotnie? Co powiesz o słabostkach ludzkich obu księży? A co powiesz o ich zamiłowaniach pisarskich? Czy i jak zaznacza się stosunek autorów do obu postaci? Ułóż charakterystykę ks. Zielenkowskiego w jednem zdaniu, podobnie jak w § 51, i wskaż orzeczniki wspólne i różne.

53. **Młody zagończyk.** Co mówi autor o cechach zewnętrznych pana Nowowiejskiego? Co w nich jest najwybitniejszego? Co te cechy cielesne mówią o charakterze młodego zagończyka? A jaki jest jego wiek? A która z cech charakteru najbardziej rzuca się w oczy? Czy o cechach cielesnych, czy o duchowych mówi autor więcej? A dlaczego? Jaki zachodzi stosunek między jego władzami cielesnemi a duchowemi?

54. **Młody watażka.** Co autor mówi o latach pacholęcych Bohuna? Jak te lata wpłynęły na jego późniejsze życie i charakter? Jak na rozwój charakteru Bohuna wpłynęła natura (step) i otoczenie (Kozacy, Tatarzy)? Porównaj go pod tym względem z Nowowiejskim (§ 53). Jak autor charakteryzuje Bohuna: czy wymienia jego cechy, czy też daje go nam poznać przez jego własne słowa, czyny? Porównaj pod tym względem §§ 53 i 54. Wymień najważniejsze rysy charakteru Bohuna. Co on ma wspólnego z ogółem Kozaków? A co go wyróżnia z pośród nich? Zauważ budowę tej charakterystyki: o czem mówi autor we wstępie i w zakończeniu? Dlaczego? Jaki jest stosunek uczuciowy Sienkiewicza do obu rycerzy?

Napisz wypracowanie p. t.: „Nowowiejski i Bohun, jako dwa typy rycerzy kresowych, podobieństwa i różnice".

55. **Kupiec gdański w XVII wieku.** Kto tu jest główną postawą: Kazimierz czy Johann Schulz? Jakie rysy zewnętrzne Schulza zaznacza autorka? A co mówi o jego kostjumie? Jak w rysach zewnętrznych i w kostjumie przejawia się charakter człowieka? A w urządzeniu izby? O czem przekonywamy się z chwilą, gdy Schulz otworzył szuflady? Jak autorka zaznacza stosunek Schulza do Kazimierza, jako kupca do „kundmana", mieszczanina do szlachcica? Jakim jest Schulz. jako kupiec? A jako kunsztmistrz? Jakie rysy jego występują w rozmowie? Zaznacz wyrazy niemieckie lub z niemieckiego wzięte, oraz wyrazy i formy gramatyczne staropolskie w dialogu. Jakie cechy bogatego mieszczaństwa polskiego w tej epoce występują w tej charakterystyce?

56. **Patrycjusz warszawski za Jagiellonów.** Wymień zewnętrzne cechy pana Gąski: rysy, postawę, ruchy, ubiór. Co możesz wnosić stąd o nim? A cechy zewnętrzne Zofki? A rysy charakteru pana Gąski? A jak się one ujawniają? Co wiemy o jego pochodzeniu? A o jego patrjotyzmie? Porównaj charakter, pochodzenie i patrjotyzm pana Schulza i pana Gąski. A o zamożności obu co możesz powiedzieć? Czy Deotyma i Or-Ot używają takich samych środków charakteryzacji? Jak Or-Ot charakteryzuje Zofkę? Jaki wpływ ma Krzycha na rozwój jej charakteru? Co powiesz o obyczajach mieszczan polskich w XVI w. na podstawie § 56? Podkreśl wyrazy i zwroty łacińskie, oraz wyrazy i formy staropolskie. Określ, do jakiego celu one służą.

Napisz wypracowanie p. t.: „Stan społeczny i ekonomiczny mieszczaństwa polskiego w w. XVII" (na podstawie §§ 55 i 56).

57. **Rybak normandzki.** Czem się różni zasadniczo ta charakterystyka od poprzednich? Czy charakteryzuje się tu jednego człowieka? A w jaki sposób można charakteryzować wielu ludzi? Co w tej charakterystyce jest zasadniczą cechą rybaka normandzkiego? Co mówi wnętrze domu o charakterze rybaka? A jaką cechę zasadniczą rybaka uwydatnia tryb jego życia? I w jaki sposób? Jaką rolę w charakterze ludności miejscowej odgrywa epizod z wojny 1870—1871 roku? W jakim tonie opowiada go autorka? A w jaki sposób autorka mówi o „Matce Boskiej Zwycięskiej"? Jakie rysy charakteru rybaka zawierają się w tym obrazie? A w epizodzie o starym rybaku? Podkreśl powtórzenia i zdaj sobie sprawę z ich znaczenia.

58. **Stary roznosiciel florencki.** Co powiesz o tle krajobrazowem tego obrazu? W której porze doby rzecz się dzieje? Podkreśl wyrazy i wyrażenia, oznaczające barwy, oraz blaski i cienie. W jakim stanie ducha jest stary Berto na początku

tej sceny? Jaki nastrój uczuciowy w nim tu przeważa? Czy i jak mówi autor o przyczynach tego nastroju? Jak zaznacza autor stosunek Berta do Boga? Porównaj pobożność Berta i rybaka normandzkiego (§ 57). Jaka myśl i jakie uczucie zawierają się w porównaniu do konia? Jaką chwilę w życiu Berta przedstawia autor? Jakie pragnienia? Czy pragnienia te dadzą się urzeczywistnić? Dlaczego? Jaką rolę w jego życiu odgrywają dzieci? A jego zajęcie? Rozważ porównanie do wrzodu. Jaki jest stosunek uczuciowy Berta do Cesara? Jakie uczucie budzi w duszy Berta wspomnienie syna? Jaką rolę w nastroju Berta odegrał głos trąbki i dlaczego? Czy teraz zmienia się stosunek uczuciowy ojca do syna? Jeżeli tak, to jak i dlaczego? Jaką rolę w rozmyślaniach Berta odgrywają wspomnienia dzieciństwa? Jaka cecha uwydatnia się najbardziej w krajobrazie z lat dziecięcych? Jakie uczucie budzą te wspomnienia w duszy Berta? A jakie pragnienia? Czy stosunek do Boga, zaznaczony w zakończeniu, jest taki sam, jak na początku? Jakie są główne źródła niedoli Berta? A główne cechy charakteru?

59. **Pan Geldhab.** Kto tu jest główną osobą? Do czego służą inne osoby? Jakie rysy charakteru Geldhaba występują w rozmowie z tapicerem (o firankach)? A z krawcem (o liberji)? Z kamerdynerem (o wzmiance w gazecie)? Co oznaczają nazwy wsi Geldhaba? A samo jego nazwisko? Co się uwydatnia w rozmowie Geldhaba z komisantem (o siostrze Geldhaba)? Jakie to są te „ważniejszych zatrudnień tysiące"? O czem świadczy druga rozmowa Geldhaba z kamerdynerem (o srebrach)? Co oznaczają ostatnie czynności i ostatnie słowa Geldhaba w tej scenie? W jaki sposób autor charakteryzuje Geldhaba? Czy i co mówi o nim od siebie? Jaki jest stosunek w tym związku opowiadania do dialogu? Zauważ osobliwości tego utworu (t. zw. poezji d r a m a t y c z n e j) w stosunku do utworów, gdzie przeważa opowiadanie, np. § 36 „Morskie Oko" (t. zw. poezji e p i c k i e j) lub utworów, gdzie przeważa pierwiastek podmiotowy, np. § 4 „Dzień jesienny" (t. zw. poezji l i r y c z n e j).

Napisz charakterystykę p. t.: „Mój przyjaciel (przyjaciółka)", jeśli umiesz, w formie dramatycznej.

60. **Jadwiga.** Co autor zaznacza we wstępie? Co jest główną treścią rozwinięcia? Jakie zaznacza autor cechy ciała, charakteru i umysłu Jadwigi? Jak określa stosunek jej do męża? Ich zwyczaje i upodobania? O czem mówi w zakończeniu? Czy występuje tu pierwiastek podmiotowy? A do której władzy duchowej czytelnika przemawia ta charakterystyka? Do którego więc działu charakterystyk należy ją zaliczyć, n a u k o w y c h czy a r t y s t y c z n y c h (porównaj opis naukowy i artystyczny)? Czy są tu, a jeżeli są, to jakie porównania i przenośnie i do jakiego celu służą?

61. **Jadwiga.** W którym okresie życia swego występuje tu Jadwiga? Porównaj pod tym względem §§ 60 i 61. Czy i jak wybór momentu jej życia wpływa na różnicę charakteru? Co głównie podkreśla autor w jej charakterze? A w jaki sposób? Co mówi o zewnętrzności Jadwigi? Co wnosimy z tych odznak zewnętrznych? Czy autor charakteryzuje Jadwigę słowami jej, czynami czy jeszcze inaczej? Wymień główne i poboczne cechy charakteru Jadwigi w §§ 60 i 61. Czy i jakie są tu porównania i przenośnie? Ku czemu służą? A powtórzenia? Do którego działu można zaliczyć tę charakterystykę?

Ułóż charakterystykę (naukową lub artystyczną) p. t.: „Mój najukochańszy bohater narodowy".

62. **Dymisja ks. Józefa w 1792 roku.** Który moment z życia ks. Józefa przedstawia tu autor? Czem był ten moment w jego życiu? Jakie dążności i uczucia walczyły w nim wówczas? Jaki był jego nastrój duchowy w chwili, gdy otrzymał pierwszą wieść o przystąpieniu króla do Targowicy? Czy i jak ten nastrój później się zmienia? Jak wyraża się nastrój duchowy i charakter ks. Józefa w każdym z czterech listów do króla? A stosunek do królewskiego stryja? Jakie zamiary i pomysły powstają w jego duszy? Jak świadczy o nim jego ostateczna decyzja? A jak charakteryzuje autor króla w jego słowach i czynach? Do którego działu charakterystyk należy tę zaliczyć?

63. **List księcia Józefa 1792.** Który moment życia ks. Józefa opisał tu poeta? Skąd wziął treść do nowego wiersza? Znajdź myśli i uczucia wspólne listom w § 62 i niniejszemu wierszowi? Jaki zachodzi stosunek między tekstami listów w § 62 a tekstem wiersza Or-Ota? Jaki cel założył sobie Askenazy (h i s t o r y k). a Or-Ot (p o e t a)?

Na podstawie §§ 62 i 63, używając wyrazów i zdań z listów obu Poniatowskich i wiersza Or-Ota, ułóż wypracowanie w kształcie dialogu p. t.: „Stryj i synowiec (rozmowa króla Stanisława Augusta z księciem Józefem)".

64. **Grażyna.** Ułóż plan szczegółowy tej charakterystyki. Jakie rysy zewnętrzne Grażyny uwydatnił autor? Jakie podkreśla cnoty i zalety, a jakie wady i słabości? A co mówi o jej czynie? Czy zgadzasz się na jego wywody? Przeczytaj raz jeszcze „Grażynę" i wybierz wszystkie cytaty, dotyczące bohaterki. Na podstawie zaś tych cytat sprawdź, czy Chmielowski wymienił wszystkie cechy Grażyny? Wybierz osobno cytaty, dotyczące Litawora, i ułóż jego charakterystykę (ustnie lub piśmiennie).

Ułóż wypracowanie p. t.: „Litawor i Grażyna, charakterystyka porównawcza".

65. **Powrót do wsi rodzinnej.** Jak autor przedstawia wieś Lipce? A najbliższe okolice? Narysuj plan Lipiec i ich okolicy. Zauważ w tym krajobrazie szczegóły, uwarunkowane wyborem pory roku. A pory dnia? Jakich środków stylowych używa autor do zobrazowania przyrody (porównania, przenośnie, uosobienie i inne)? Rozbierz pod tym względem trzy ustępy, zaczynające się od wyrazów: „Hej! zwiesna ci to"... Rozważ budowę zdań (okresy). Dlaczego zdania są przeważnie długie? Jaki nastrój uczuciowy przeważa w obrazie przyrody? Jak autor opisuje powierzchowność Agaty? Jak kreśli nastrój uczuciowy kobiety? Jak się wyraża ten nastrój w jej słowach? w jej czynach? w doborze wyrazów i wyrażeń, oznaczających stany duchowe człowieka? w porównaniach, których używa autor do określenia jej przejść duchowych? Jak zaznacza się w tym obrazie stosunek człowieka do przyrody? Podkreśl wyrazy i formy gwarowe i powiedz, jaką rolę odgrywają.

66. **Powrót do wsi rodzinnej.** Wymień najgłówniejsze części składowe tego krajobrazu. Narysuj plan tej okolicy, uwydatniając na nim inną barwą bieg wózka. Jak wpływa na charakter krajobrazu wybór pory roku? A pory doby? Jak zmienia się krajobraz ze zmianą oświetlenia? Zapomocą jakich środków stylowych autor przedstawia przyrodę? Kto jest główną postacią ludzką w tym obrazie? Jaki jest zasadniczy ton uczuciowy Marcinka? Jak na jego nastrój duchowy wpływa niespodziewany wyjazd z miasta? A powrót do wsi rodzinnej? Jaką rolę w jego przeżyciach duchowych odgrywają wspomnienia? Porównaj go pod tym względem ze starym Bertem (§ 58). Co jest treścią marzeń Marcinka? Jak uczucia jego wyrażają się w jego słowach? czynach? A pani Borowiczowej? Czy uczucia obojga zmieniają się w miarę zbliżania się do domu? Co powiesz o scenie przy kapliczce? Jaki jest stosunek człowieka do przyrody w tym obrazie? Jaką rolę odgrywają pod tym względem uosobienia? Porównaj stosunek człowieka do przyrody w §§ 65 i 66.

67. **Drzewa włoskie.** W czyje usta autor wkłada charakterystykę drzew włoskich? Które drzewa charakteryzuje? Jakich do tego używa środków stylowych? Jaki jest stosunek uczuciowy Tadeusza do drzew włoskich? A jak się wyraża? Czy możemy co powiedzieć o stosunku uczuciowym autora do drzew włoskich? A jeżeli możemy powiedzieć, to jaki on jest? Co jest przyczyną takiego, a nie innego stosunku uczuciowego? Porównaj pod tym względem §§ 65, 66 i 67. Zwróć uwagę na liczbę i dobór przymiotników i ich wartość znaczeniową i uczuciową.

68. **W parku włoskim.** Wymień rośliny, które autor przedstawia w tym opisie. Wyróżnij z pomiędzy nich wspólne §§ 67 i 68. Czy autor sam od siebie opowiada o cudach parku, czy też używa innego sposobu? Porównaj pod tym względem §§ 67 i 68. Jak autor przedstawia rośliny południowe, jakich do tego używa środków stylowych: określenia, porównania, uosobienia i t. d.? A który z tych obrazów jest najsilniejszy? Jaki zasadniczy ton uczuciowy panuje w opisie? Porównaj pod tym względem §§ 67 i 68. Zapomocą jakich środków stylowych autor wyraża swój stosunek do przyrody? Zwróć uwagę na określenia o treści uczuciowej, jak: „przychylny krużganek", „niewymowna plama", „cudne drzewa", „niewysłowiona piękność", „senna rozkosz", „bezcenne krople szczęścia", „tajemniczy, najwznioślejszy głos życia" i t. p. Jakie wywołują one wrażenie? Jaką rolę odgrywają w opisie żywe stworzenia (jaszczurki)? A martwe przedmioty (kolumny greckie)? Poco autor wprowadza ludzi? Dlaczego podkreśla, że są to „ludzie północy"? Jakich doznają oni wrażeń i uczuć? Porównaj ich stosunek uczuciowy do przyrody południowej i stosunek Tadeusza (§ 67). Skąd wynika ta różnica?

Napisz wypracowanie p. t.: „W parku (uczucia i wrażenia)".

69. **Dwór obronny na Ukrainie w XVII wieku.** Co autor zaznacza we wstępie? W jakim porządku w części głównej opisuje Rozłogi? Co podkreśla w ogólnym wyglądzie zewnętrznym domu? w wyglądzie majdanu, bramy, czeladzi, zachowaniu się psów i t. p.? Jakie wrażenie wywarły Rozłogi na pośle wołoskim? A jakiego doznał wrażenia, wszedłszy do wnętrza domu? Co uderza głównie w urządzeniu domu? A gościnnej komnaty? Co można na podstawie tego urządzenia powiedzieć o właścicielach Rozłogów? Co mówi autor o uczuciach wszystkich trzech gości w zakończeniu opisu? Narysuj plan Rozłogów.

70. **Dwór starego Macieja.** Jakie wrażenie sprawia na pierwszy rzut oka dom starego Macieja? Co można na podstawie tego wrażenia powiedzieć o jego właścicielu? Porównaj pod tym względem §§ 69 i 70. Skąd pochodzą te różnice? O czem można przekonać się, przyjrzawszy się bliżej domowi Macieja? Co on ma wspólnego z Rozłogami? Co można powiedzieć o dawnych jego właścicielach? A w jakim pozostaje stosunku obecny właściciel do dawnych? W czem się ten stosunek wyraża? A porównaj właścicieli Rozłogów i domu Macieja? Jaka była przeszłość domu Macieja? Opowiedz najważniejsze zdarzenia z tej przeszłości. Czy w obu tych opisach występuje pierwiastek podmiotowy? A jeżeli występuje, to w czem się przejawia? Czy są to opisy naukowe, czy artystyczne?

Napisz wypracowanie p. t.: „Nasza szkoła".

71. **Zamek Sobień w XV wieku.** Ułóż plan szczegółowy tego opisu. Zauważ, w jakim porządku autor opisuje zamek, t. j. wyszczególnia jego cechy zasadnicze. A jaka jest cecha najważniejsza Sobienia? Porównaj pod tym względem Sobień z Rozłogami i domem Macieja (§§ 69 i 70). Co ma Sobień z niemi wspólnego? Czem się od nich różni? Dlaczego tamtą siedzibę nazywamy dworem, a ten zamkiem? Wylicz bliskoznaczniki wyrazów d w ó r i z a m e k i określ ich znaczenie. Jaka myśl i jakie uczucie zawierają się w zakończeniu? Narysuj plan Sobienia.

72. **Zamek Tustań w XV. wieku.** Narysuj plan Tustania. Porównaj go z planem Rozłogów i Sobienia. Jakie cechy wspólne mają Sobień i Tustań? Na podstawie tych cech wspólnych napisz wypracowanie p. t.: „Zamek polski w XV wieku". Wybierz cechy wspólne wszystkich czterech siedzib (§§ 69, 70, 71 i 72) i na ich podstawie napisz wypracowanie p. t. „Siedziba staroszlachecka". Zauważ stosunek między liczbą przedmiotów opisywanych (z a k r e s pojęcia), a ilością cech wspólnych (t r e ś c i ą pojęcia).

Ułóż opis któregokolwiek gmachu publicznego w swem mieście rodzinnem.

73. **Dwór polski.** Czem opis niniejszy różni się od poprzednich czterech? Czy autor opisuje tu jeden przedmiot, czy więcej przedmiotów? Jeżeli więcej, to w jaki sposób to czyni? A do czego służą opisy poszczególnych zamków i ich części w niniejszym opisie? Wypisz po kolei cechy znamienne, wymienione w niniejszym opisie i zaznacz, w którym z poprzednich czterech opisów można je również znaleźć? Porównaj opis niniejszy z poprzedniemi czterema pod względem stylu. A oznacz, w którym z tych pięciu opisów i w jaki sposób występuje pierwiastek podmiotowy. Porównaj opis zamku nowogrodzkiego w „Grażynie" z §§ 71, 72 i 73.

Napisz wypracowanie p. t.: „Kamienica dzisiejsza".

74. **Kraków i jego okolice.** Napisz plan szczegółowy tego opisu. Narysuj plan Krakowa i jego najbliższych okolic (przy pomocy mapy). Które z tych okolic autor wymienia? Dlaczego te, a nie inne? A co w samym Krakowie? Czem kierował się przy wyborze? Co powiesz o stylu tego opisu? Podkreśl ozdoby stylu (przenośnie, uosobienia i t. d.). Jaką rolę one odgrywają? Do którego typu opisów możnaby niniejszy zaliczyć?

75. **Kraków.** Jaka myśl zawiera się w części wstępnej tego opisu (w. 1—4)? Objaśnij znaczenie użytych tu porównań i przenośni? Jakie uczucie one budzą? Co autor przedstawia w drugiej części (w. 5—19)? Jak przedstawia myśli i uczucia zbliżających się do Krakowa pielgrzymów? A swoje własne? Co jest źródłem tych uczuć i myśli? A zapomocą jakich środków stylowych autor je uzewnętrznia? Objaśnij takie przenośnie, jak: „łuna z aureoli", „wierne znaki". Czy i jak zmieniają się myśli i uczucia autora na widok Krakowa (w. 20—26)? Objaśnij przenośnie: „nasze Jeruzalem", „forteca duchowa", „trzydniowa święta trumna żywiącego słowa", „wyschły twoje strumienie miodowe i mleczne" i t. p. Jakim przeobrażeniom ulegają uczucia i myśli autora w w. 27—33? Co jest treścią ostatniej części wiersza (w. 34—105)? Które szczegóły Krakowa wymienia autor?

Porównaj pod tym względem §§ 74 i 75. Jakie refleksje i uczucia budzą się w Ujejskim przy zwiedzaniu Krakowa? W jaki sposób przeciwstawia on dawne pokolenie dzisiejszemu? Na czem polega przeciwieństwo? A jakich używa poeta środków stylowych? Jaka myśl zawiera się w ostatnich dwóch zwrotkach? Porównaj §§ 74 i 75, jako dwa typy opisów.

76. **Gniezno w roku 1820.** Ułóż plan szczegółowy tego opisu. Czy i jak występuje tu pierwiastek podmiotowy? Co powiesz o stylu tego opisu?

Napisz wypracowanie p. t.: „Nasze miasto".

77. **Gniezno.** Jakie uczucie wypowiada poeta w pierwszym czterowierszu? Znajdź miejsce podobne w § 75. Co chciał autor powiedzieć przez porównanie (kogo?) do roju pszczół (w. 5—14)? Co mówi o roli politycznej prymasów w w. 15—24? Jaka myśl zawiera się w wierszach 25—36? Jak autor kreśli swój stan duchowy w wierszach 37—42? Jakie myśli i uczucia wyraża na widok trumny św. Wojciecha (w. 43—58)? Co mówi o roli „Bogarodzicy" w dawnych dziejach Polski i w epoce współczesnej poecie (w. 59—66)? Jaka myśl zawiera się w zakończeniu (w. 67—76)? Porównaj pierwiastek przedmiotowy w §§ 76 i 77. Porównaj pierwiastek podmiotowy w §§ 75 i 77.

Napisz wypracowanie p. t.: „Charakterystyka porównawcza Ujejskiego i Kondratowicza na podstawie ich wierszy o Krakowie i Gnieźnie".

78. **Warszawa o świcie.** Co autor mówi we wstępie do tego opisu? Jak przedstawia miasto o świcie w pierwszym obrazie części głównej? A jak występuje tu pierwiastek podmiotowy? Zwróć uwagę na rodzaj i charakter przenośni. Jak autor przedstawia spotkanie z nieznajomym przechodniem? Dlaczego pozdrawiają się ciepło i życzliwie? I dlaczego oglądają się wzajemnie na siebie? Czy nastrój autora zmienia się w dalszej drodze do fabryki? Jaką rolę odgrywają pod tym względem nowe wrażenia: robotnicy, baby, wóz i pies, dymy fabryczne, dzwony fabryczne i t. p.?

79. **Łódź o świcie.** Od jakiego wrażenia zmysłowego zaczyna się niniejszy opis? Jaki nastrój uczuciowy to wprowadza? Porównaj pod tym względem §§ 78 i 79. A jak autor przedstawia fabryki? Jaki szczegół głównie uderza w obrazie miasta? Porównaj oświetlenie w opisach §§ 78 i 79. A jak autor przedstawia robotników, śpieszących do fabryk? Zwróć uwagę na użycie wyrazów dla oznaczenia wrażeń słuchowych i na ich stopniowanie. Porównaj pod tym względem §§ 78 i 79. Jaki ton uczuciowy przeważa w każdym z tych opisów? Porównaj zachowanie się ludzi w obu opisach.

80. **Kopalnia węgla.** O czem autor mówi we wstępie? Co jest treścią części głównej? Jakie szczegóły wymienia tu autor i w jakim porządku? Co mówi o górnikach? Jaką myśl wypowiada w zakończeniu? Czy i jak występuje tu pierwiastek podmiotowy? A jeżeli występuje, to z powodu czego? A w których częściach opisu wcale go niema? Do którego działu opisów należy niniejszy zaliczyć?

81. **W kopalni węgla.** Z jakich części składa się niniejszy opis? Porównaj pod tym względem §§ 80 i 81. Jakie wrażenie zmysłowe przeważa w opisie nadziemnej części kopalni? A jaki zawiera się w nim nastrój uczuciowy? Zwróć uwagę na opis jazdy windą. Jakie tu przeważa uczucie i jak się ono uzewnętrznia? Jakie szczegóły zawiera opis kopalni? Porównaj pod tym względem §§ 80 i 81. Zwróć uwagę na stronę przedmiotową i podmiotową opisu wybuchu miny. Jaką rolę w opisie kopalni odgrywa rozmowa ze starym górnikiem? Jaka myśl i jakie uczucie w niej przeważają? Co tu mówi się o niebezpieczeństwach, grożących górnikom? Porównaj pod tym względem §§ 80 i 81. Jaka jest treść zasadnicza rozmyślań górnika? Jak się przedstawia w nich charakter górnika? Zwróć uwagę na styl opisu (krótkie, urywane zdania, powtórzenia, uosobienia, przenośnie).

82. **W kopalni węgla.** Jak autor wprowadza tu pierwiastek podmiotowy? Porównaj pod tym względem §§ 80, 81 i 82. Porównaj wrażenia Kulikowskiej i Judyma podczas jazdy windą. A pierwsze wrażenia po wyjściu z windy? Porównaj pod względem przedmiotowym scenę wybuchu miny w §§ 81 i 82. Jak autor przedstawia powstanie pokładów węgla? Porównaj pod tym względem §§ 80 i 82. Do których władz duchowych człowieka przemawiają oba te obrazy i w jaki sposób? Zwróć uwagę na styl obrazu puszczy przedwiekowej w § 82. Porównaj treść i formę obu tych obrazów, z których pierwszy jest wzorem p r o z y, a drugi p o e z j i. W jaki sposób autor przedstawia niebezpieczeństwa, grożące górnikowi? Porównaj właściwe ustępy §§ 80—82. A jaki ton uczuciowy przeważa

w opisie Żeromskiego? Ułóż słowniczek wyrazów górniczych, wybranych z §§ 80—82.

Na podstawie tych trzech §§ ułóż dwa wypracowania: a) „Kopalnia węgla w jej przeszłości i teraźniejszości“ i b) „Górnik polski“.

83. **Przy windzie w przędzalni.** Od jakiego obrazu zaczyna się niniejszy opis? A jak przedstawia autor chwilę puszczenia w ruch fabryki? Jakich wyrazów zmysłowych (oznaczających wrażenia wzrokowe, słuchowe, węchowe, smakowe, dotykowe, ruchowe) używa autor dla zobrazowania różnych części fabryki? A jaka jest rola pana Pliszki w tym opisie? Jak autor przedstawia stosunek robotników do fabryki? A jak kreśli ich uczucia i marzenia? Porównaj pod tym względem robotników w przędzalni ze starym górnikiem w § 81. A jaki jest stosunek pana Pliszki do fabryki? Czy jest jaka różnica między nim a resztą robotników?

84. **W fabryce tytuniu.** Jak autor opisuje samą fabrykę? Jakich do tego używa wyrazów zmysłowych? A jak przedstawia pracę ludzką w fabryce? Jak kreśli stany duchowe robotników, oraz warunki fizjologiczne ich przebywania w fabryce? Jakie szczegóły do tego opisu dodaje obraz dziewczyny, oklejającej banderolą paczki? A widok czworga osób, zajętych pakowaniem tytuniu? A co możesz powiedzieć pod tym względem o kobiecie w czerwonej chustce na głowie? Jaki jest rys najwybitniejszy w całym tym opisie? Jakie znajdziemy rysy wspólne w §§ 83 i 84? Co możesz na ich podstawie powiedzieć o pracy robotnika fabrycznego? Porównaj ją z pracą rolnika. Czy, gdzie i jak występuje tu pierwiastek podmiotowy?

85. **Roześmiała mi się dusza.** Jaki nastrój uczuciowy panuje w tym wierszu? Jak autor wyraża ten nastrój? Czy mówi o przyczynach tego nastroju? Jaki więc tu jest stosunek pierwiastku uczuciowego (l i r y c z n e g o) do r e f l e k s y j n e g o (t. j. zastanowienia, rozwagi)? A czy jest tu pierwiastek przedmiotowy: opis lub opowiadanie? Czy są jakie wypadki (t. zw. a k c j a)? Co powiesz o rytmiczności wiersza? Zauważ powtórzenia, wykrzyknienia, podział na zwrotki, porównania, przenośnie. Wymień cechy znamienne tego wiersza, jako wzoru poezji l i r y c z n e j w przeciwstawieniu do poezji opowiadającej lub opisującej, przedmiotowej t. zw. e p i c k i e j. Zwróć uwagę na wyrazy gwarowe i ich rolę.

86. **Mazur.** Porównaj nastrój uczuciowy tego wiersza z poprzednim (§ 85). Co jest w nich wspólnego, a na czem polega różnica? Czy autor mówi o przyczynach nastroju duchowego Maćka? Jaki jest stosunek między temi przyczynami a samym nastrojem? Co możemy na tej podstawie powiedzieć o charakterze Maćka? A wogóle ludu naszego? Jaki jest nastrój uczuciowy obecnych w karczmie? Jakie to wywołuje wrażenie? Co powiesz o powtórzeniach (t. zw. p r z y ś p i e w a c h i inn.)? o wykrzyknieniach? porównaniach i przenośniach? Czy styl tego wiersza jest prosty, jak w piosenkach ludowych, czy wytworny? Rytm i zwrotka.

87. **Niepokój.** W czyje usta autor włożył opowiadanie? W której porze roku to się dzieje? Jak pora roku wpływa na opowiadającego? A jak autor przedstawia przyrodę? Co opowiadający spostrzega u ludzi z najbliższego otoczenia? A co widzi w naturze? A czego wynikiem jest to, co widzi dookoła siebie w przyrodzie i u ludzi? Jaki jest przeważający nastrój duchowy opowiadającego? Czy opowiadający zdaje sobie sprawę z przyczyn swego nastroju? A czy my wiemy, jakie są te przyczyny? Porównaj pod tym względem §§ 85, 86 i 87. Zauważ zewnętrzne oznaki uczucia.

88. **Strach.** Co autor mówi o przeszłości Majersona? W jakim związku pozostaje ta przeszłość z jego obecnym nastrojem duchowym? Jakie widzimy oznaki zewnętrzne jego cierpienia fizycznego? A jego nastroju duchowego? Jaki jest stosunek towarzyszy do Majersona? A porucznika Śnicy? A samego autora? Czy stosunek uczuciowy autora jest taki sam, jak Śnicy i żołnierzy? I dlaczego? Porównaj przejścia duchowe chłopów w § 87 i Majersona i ich oznaki zewnętrzne.

89. **Przerażenie.** O kim opowiada autor? Jakie niebezpieczeństwa groziły bohaterowi opowiadania? Które z nich było najgroźniejsze? Porównaj pod tym względem to opowiadanie z opowieścią starego górnika w § 81. Jaki nastrój duchowy przeważa w duszy bohatera? W jakim stosunku pozostaje krajobraz z jego przeżyciami duchowemi? Porównaj jego nastrój duchowy z przeżyciami Majersona. Czy są jakie różnice? Jeżeli są, to z czego wynikają? Który jest najwyższy moment nastroju duchowego? Porównaj go z najwyższem napięciem uczuciowem Majersona. Jak uzewnętrzniają się uczucia Skrzetuskiego? A Majersona? Co podtrzymuje ducha Skrzetuskiego? A Majersona?

90. **Gniew.** Jakie uczucie przeważa u Podkomorzego w pierwszej chwili? Jakie znaczenie ma pod tym względem wzrok: „rażony, jak gromem“? Jak się to uczucie uzewnętrznia w jego ruchach? A dlaczego Podkomorzy milczy? W której chwili widzimy przełom w jego stanie duchowym? Jak autor przedstawia dokonanie się tego przełomu? Zauważ jego oznaki zewnętrzne. Zwróć uwagę na styl przemówienia Podkomorzego: na długość i budowę zdań, wykrzyknienia, niedomówienia, wyrazy zdrobniałe, wyrazy i zwroty gminne i t. p. Jaki stan ducha wyrażają te wszystkie środki stylowe? Czy Podkomorzy często używał takiego stylu?

91. **Gniew.** Kto jest bohaterem niniejszego opowiadania? Jaki nastrój uczuciowy panuje w jego duszy? Co powoduje podobny nastrój? Porównaj pod tym względem §§ 90 i 91. W jakich czynach, ruchach i t. p. wyraża się ten nastrój? Porównaj i pod tym względem §§ 90 i 91. Porównaj przemówienie obu tych ludzi pod względem treści i stylu: co odnajdziesz wspólnego i jakie różnice? Jeśli są różnice, to co je powoduje? Czy często bohater Berenta używa takiego stylu? A co powoduje, że ludzie w podobnym stanie ducha używają innego, niż zwykle, stylu? I na czem odmienność ta polega?

92. **Rozpacz.** O kim tu opowiada autor? W jakiem położeniu znalazł się bohater opowiadania w danym momencie życia? Jaki nastrój duchowy panuje w nim na początku opowiadania? A jak on się uzewnętrznia? Zwróć uwagę na rysy jego twarzy. Czy i jak zmienia się ten nastrój w chwili, gdy chce utopić córkę? A potem, kiedy ją spycha do wody? A co przeżywa w tej chwili Marysia? Co ją ocaliło? Zwróć uwagę na moment przełomowy obrazu: co możesz wywnioskować na jego podstawie o Wawrzonie? Zbadaj nową zmianę w przeżyciach duchowych Wawrzona. W czem się ona ujawnia? Co jest treścią ostatniego obrazu? Jaki nastrój uczuciowy w nim panuje? Porównaj stan duchowy Wawrzona ze stanami bohaterów w §§ 90 i 91.

93. **Rozpacz.** O kim tu mówi autorka? W jakiem położeniu znaleźli się w danej chwili wychodźcy polscy w Brazylji? Porównaj ich pod tym względem z Wawrzonem. Jaki nastrój zapanował w ich duszach wskutek tego? W czem ujawnia się ten nastrój? Porównaj ich postanowienie z postanowieniem Wawrzona. Zaznacz moment przełomowy. Co jest treścią „śmiertelnego okrzyku“ pana Balcera? Jakie uczucia w nim się malują? Gdzie tu jest najwyższe napięcie uczucia? Co ocaliło wychodźców? Porównaj pod tym względem §§ 92 i 93. Jak czyn matki oddziałał na wychodźców? Na kogo najpierwej, a na kogo później? W czem się uwydatnił przełom duchowy? Porównaj pod tym względem §§ 92 i 93. Porównaj styl przemówienia matki ze stylem przemówień w §§ 90 i 91. A co powiesz o stylu przemówienia Dudka? Zauważ rolę wyrazów gwarowych w §§ 92 i 93.

94. **Tęsknota.** O kim tu mówi autor? W jakiem położeniu znajdują się ci ludzie? Jakie wrażenie sprawił na nich widok nakrytego stołu i dlaczego? W jakim nastroju ducha wypowiedział swą „orację“ Porankiewicz? Jak ona podziałała na obecnych? A przemówienie samego autora? Jaki jest zasadniczy nastrój uczuciowy zebranych? W czem on się wyraża na samym początku wieczerzy? A jak on się zmienia w następnych „chwilach“? Czy u wszystkich jednakowo? Zwróć uwagę na zachowanie się każdego z uczestników. Jaką rolę odgrywa tu użycie trunku? A śpiewanie pieśni świeckich? Jaka myśl zawiera się w ustępie o pieśniach religijnych? Jak śpiewanie tych pieśni oddziałało na wygnańców? Jaką rolę odgrywa w tym obrazie Eudoksja? Czy § niniejszy należy zaliczyć do poezji epickiej czy lirycznej i dlaczego?

95. **Tęsknota.** W czyjem imieniu przemawia tu autorka? Porównaj położenie bohatera tego wiersza z warunkami życia wygnańców w § 94. Jaki jest ton uczuciowy tego listu? Czy autorka mówi, jakie są przyczyny tego nastroju? A jeżeli są, to jakie? Która z nich budzi najwyższy wyraz uczucia? A jak on się uzewnętrznia? Porównaj pod tym względem Grudę z Wawrzonem (§ 92) i z wychodźcami brazylijskimi (§ 93). A czy są jakie różnice między temi osobami? Jakie obrazy powstają w duszy Grudy? Porównaj pod tym względem §§ 94 i 95. Którą z osób § 94 najbardziej Gruda przypomina? Zapomocą jakich środków stylowych uzewnętrznia się tu uczucie? Jaka treść uczuciowa zmienia się w powtórzeniach? Jaką rolę odgrywają wyrazy i formy gwarowe? Do którego działu poezji należy zaliczyć ten wiersz i dlaczego?

96. **Walka.** Jakie uczucia i myśli pozostały w duszy pana Anzelma zaraz po przeczytaniu listu Jasia? Jakie ma znaczenie w rozwoju jego uczuć i myśli rozmowa z ekonomem? Poco ją rozpoczyna? Jak zachowuje się ekonom? Kiedy

następuje przełom w tej rozmowie? Jakie uczucia i jakie myśli walczą teraz w duszy pana Anzelma? Jaki kształt artystyczny nadaje autor tej walce? Jakie ścierają się dowody za i przeciw? Jaką rolę w jego rozmyślaniach grają portrety? A fotel żelazny? Jak autor przedstawia rolę polityczną szlachty w dawnych czasach? A w późniejszych? Co zwycięża w duszy bohatera? W jakim nastroju ducha pan Anzelm powziął postanowienie? Dlaczego w takim, a nie innym? Jak możnaby scharakteryzować pana Anzelma? A ekonoma? A ich stosunek wzajemny?

97. **Walka.** O czem mowa we wstępie? Jaki moment rozwoju akcji zawiera ten wstęp? Jakie uczucia panują w duszach jeńców? Czy w obu jednakowe? Czy znamy przyczyny tych uczuć? Jakie uczucia przechodzą przez duszę Bartka od chwili, gdy usłyszał mowę polską? Czy zakres i rodzaj uczuć pozostaje nie zmieniony, czy też zmienia się? Co w nim walczy? Jak autor uzewnętrznia tę walkę? Porównaj pod tym względem §§ 96 i 97. Jak na rozwój uczuć jeńców oddziaływają zjawiska natury? A na Bartka? Jakich doznaje on wtedy uczuć? A jak się te uczucia ujawniają? A jak na niego działa odmawiany przez chłopca pacierz? Co w nim ostatecznie zwycięża i dlaczego? Porównaj wynik tej walki z wynikiem w § 96. Dlaczego Bartek pił nazajutrz i potem jeszcze? Porównaj pod tym względem §§ 97 i 94. Jakich środków stylowych używa tu autor dla odmalowania uczuć? Zwróć uwagę na porównania. Czy na wynik walki wpływa stan społeczny pana Anzelma i Bartka? Co możesz powiedzieć o charakterze Bartka?

98. **Sprzedaż krowy.** O czem mówi autor we wstępie? Do czego był mu ten ustęp potrzebny? Co skłoniło Bartka do powzięcia postanowienia? Dlaczego ta okoliczność, a nie inna? Jak się zachowują mieszkańcy chaty w chwili przybycia rzeźników? Co Ślimak mówi w tej scenie? Jak go to charakteryzuje? Jak zachowuje się krowa, gdy ją wyprowadzają z obórki? A kiedy ją zabierają? Co odczuwają Magda i Ślimak po zabraniu krowy? W jakim celu autor każe krowie niby mówić? Jaka myśl zawiera się w tej niemej rozmowie? A w ostatnim monologu Ślimaka? A jakie tu występuje uczucie? Jak autor kreśli w tej scenie stosunek wzajemny człowieka i zwierzęcia?

99. **Sprzedaż krowy.** Rozbierz szczegółowo tę scenę. Znajdź składniki wspólne w §§ 98 i 99. A czy są jakie różnice? A jeżeli są, to jakie?

100. **Oracz.** Jak autor kreśli krajobraz? Odgranicz w nim ściśle pierwiastek przedmiotowy i podmiotowy. Jak autor kreśli obraz wioski? Jakie znajduje w tych obrazach przeciwieństwo? Jak przedstawia wygląd zewnętrzny oracza? Co ten wygląd mówi o charakterze, przeszłości i życiu człowieka? Jak oracz pracuje? Co mówi starzec? Jakie myśli i jakie uczucia występują w tem przemówieniu? Jaką rolę w charakterystyce starca odgrywa wspomnienie konsultacji? Jak charakteryzują się starzec i lekarz w rozmowie? Jakie rysy charakterystyczne starca występują w jego rozmowie z autorem? Jak przedstawia się strona moralna starca? A jego stosunek do pracy i roli? Jak tu występuje pierwiastek podmiotowy?

101. **Na roli.** Jak poeta maluje cechy zewnętrzne oracza: rysy, odzież i t. p.? Co chce uwydatnić w tych rysach zewnętrznych? Jakie wspomnienia dziejowe wyszczególnia poeta i dlaczego? Jaka jest myśl zasadnicza utworu? Porównaj pod tym względem §§ 100 i 101. A jaka zachodzi różnica między obu oraczami? Z czem wiąże się zasadnicza myśl poety? Czy możnaby myśl tę zastosować do § 100? Jaką rolę odgrywa w obu tych obrazach pierwiastek podmiotowy? Który z tych obrazów jest wyrazistszy, bogatszy w szczegóły? A który ma charakter ogólniejszy?

Napisz wypracowanie p. t.: „Siewca“.

102. **Polonez.** Przypomnij sobie chwilę dziejową, przedstawioną w niniejszym obrazie (ostatni sejm Rzeczypospolitej w Grodnie w r. 1792). Jak autor charakteryzuje muzykę poloneza? Jakich środków stylowych używa autor, by odmalować korowód taneczny? Jak w dalszym ciągu autor przedstawia głosy poszczególnych instrumentów? Na jaki obraz uczuciowy składają się te głosy? A jaki nastrój uczuciowy wybija się na tle tych głosów? A jaki obraz zmysłowy kojarzy się z tym nastrojem? A jak znowu ten obraz wiąże się z akompanjamentem muzycznym? W jakim związku pozostaje ta wizja z obrazem balu? Jak ten związek uwydatnia się w ostatnim obrazie? Poco autor powtarza zdanie: „A w pierwszą parę“?... Jaka myśl i jakie uczucie zawiera się w tym refrenie? Czy ta myśl i to uczucie byłoby takie samo, gdyby tańczono nie poloneza, lecz np. menueta

lub kadryla? Jaki nastrój uczuciowy przeważa w tym obrazie? Jakby ten taniec opisał Sievers? A obecny na balu stary Polak?

103. **Polonez.** Jakich środków stylowych: wyrazów, oznaczających blaski, barwy, ruchy, uczucia, używa tu autor? W jaki sposób w szczególności przedstawia uczucia? I dlaczego tak, a nie inaczej? Porównaj oba obrazy poloneza: jakie w nich zaznaczają się cechy charakterystyczne tańca? Jaką rolę grają w obu urywkach kostjumy? Jakich środków używają obaj autorowie dla przedstawienia korowodu tanecznego? Jak malują uczucia tanecznika? A własne uczucia? Porównaj zasadniczy ton uczuciowy obu utworów. Przerób ten opis w opowiadanie Podkomorzego?

104. **Kulig.** Jak autor przedstawia korowód sań? Jaki rys podkreśla w obrazie sunących sań? A jak przedstawia nastrój duchowy uczestników zabawy? Podkreśl wyrazy, oznaczające ruchy. Jakie są te ruchy? Jaka zmiana następuje w obrazie ze zmianą muzyki tańca: krakowiaka a poloneza? Porównaj obraz poloneza w §§ 102, 103 i 104? A co nastąpiło z chwilą drugiej zmiany melodji? Jakich środków używa autor, by przedstawić tańczenie oberka? Porównaj obraz oberka i obraz poloneza w §§ 102, 103 i 104: zwróć głównie uwagę na skojarzenie obrazu zmysłowego (ruchy) i pierwiastka podmiotowego (uczucia). Jaki nastrój ogólny przeważa w tym obrazie?

105. **Kulig.** Porównaj obraz sunących sań w obu „Kuligach". Jakie znajdziesz cechy wspólne i różne? Jak autorowie przedstawiają uczucia uczestników zabawy? A jaką rolę odgrywa natura w obu obrazach? A jaką rolę gra w obrazie kuligu zjawienie się „torunia"? Jak wpływa na różnicę obrazu tańca w §§ 104 i 105 wybór miejsca tańca? A udział chłopów i Żydów? Porównaj różnicę w obrazach tańca w §§ 102 i 103 z jednej strony, a 104 i 105 z drugiej.

Napisz wypracowanie p. t.: „Taniec" (w kształcie opowiadania widza lub uczestnika zabawy).

106. **Procesja.** Jakich środków używa autor dla odmalowania pochodu procesyjnego? Podkreśl wyrazy, oznaczające blaski, barwy, głosy, ruchy; wonie. A jakie wrażenie ogólne wywołuje dobór tych wyrazów? A jak autor przedstawia stan duchowy ludu zebranego? A jaka jest rola przyrody w tym obrazie? W czem wyraża się jej stosunek do uroczystości? Czy rodzaj pogody wpływa na charakter obrazu? A co powiesz o „dobrodzieju"? Podkreśl wyrazy dźwiękonaśladowcze i oznacz ich rolę w obrazie. Zwróć szczególną uwagę na przedostatni ustęp o dzwonach. Kto opowiada to wszystko: autor sam czy może kto inny?

107. **Procesja.** Porównaj środki stylowe, użyte w obu opisach procesji: wyrazy, oznaczające blaski, barwy, głosy, ruchy, wonie. Zestaw je w tablicy porównawczej. Czy w obrazach pochodu obaj autorowie podkreślają te same szczegóły czy różne? Jeżeli różne, to jaka jest ta różnica i skąd wynika? Zestaw porównania i przenośnie. W związku z tem oznacz osobę opowiadającą. Czy możnaby przenośnie z pierwszego opisu przenieść do drugiego i odwrotnie? A dlaczego? Czy nastrój duchowy ludu w obu opisach jest jednakowy, czy różny? Jeżeli różny, to skąd wynika ta różnica? Określ rolę krajobrazu w obu obrazach.

Napisz wypracowanie p. t.: „Pochód narodowy (lub inna uroczystość w tym rodzaju) z własnych wrażeń".

108. **Śmierć Anielki.** W jakim nastroju jest Anielka w chwili przybycia proboszcza? A proboszcz? A jakie są nastroje duchowe ich obojga podczas spowiedzi? Co powiesz o grzechach Anielki? A o Anielce? A jak zmienia się nastrój proboszcza po spowiedzi i w czem się to wyraża? A co można powiedzieć o ojcu? W czem się wyraża stosunek uczuciowy autora do ojca? Jakie wrażenie sprawia na Anielce przybycie ojca? A co ją zabija? Czy w taki sam sposób autor przedstawia Anielkę, proboszcza, ciotkę, doktora, ojca? Jeżeli nie, to na czem polega różnica?

109. **Śmierć Litki.** Co jest ostatnią myślą Litki przed śmiercią? Porównaj ją pod tym względem z Anielką. Jakie uczucia kierują ich myślami i czynami? Jak zaznacza autor stosunek otoczenia (matki, panny Maryni, Połanieckiego) do Litki? Jak autor przedstawia nastroje duchowe Połanieckiego i Maryni w scenie zaręczyn? Jak obaj autorowie przedstawiają chwilę zgonu swych bohaterek? Jaki jest stosunek uczuciowy autorów do wszystkich osób, a w szczególności do bohaterek? Który z nich bardziej kocha dzieci? A który lepiej zna dzieci? Która z dziewczynek stoi wyżej pod względem moralnym? A która budzi żywsze współczucie?

110. **Dziedzic i chłop.** Kto z kim tu rozmawia? A o czem rozmawiają? Co można powiedzieć o stopniu inteligencji każdej z tych osób na podstawie ich rozmowy? A o kulturze towarzyskiej? A jaki jest ich wzajemny stosunek? A jak na bieg rozmowy wpływa udział pani? A szwagra? A używanie języka francuskiego? Dlaczego Ślimak nie kupił łąki? A w jakich warunkach mógłby ją kupić? Napisz charakterystykę obu tych osób w jednem zdaniu w taki np. sposób: „Dziedzic był...., a Ślimak był....". Co mogli myśleć i czuć obaj rozmówcy po rozstaniu się?

Napisz wypracowanie p. t.: „Moja rozmowa ze służącą (albo inną osobą z ludu, np. woźnym, straganiarką, rzemieślnikiem, chłopem lub chłopką, dzieckiem wiejskiem i t. p.) w kształcie dialogu".

111. **Konfederat.** W jakim nastroju ducha rozpoczyna Karski rozmowę? A jaki nastrój cechuje pierwsze przemówienie Sielawy? A jakie uczucia występują w dalszym ciągu rozmowy u obu bohaterów? Jak charakteryzuje się Karski w drugiem i trzeciem przemówieniu? A Sielawa w ostatniem przemówieniu? Jakiego stylu używa Sielawa? Zwróć uwagę na środki żywości stylu: zdania wykrzyknikowe, pytania, zdania z domyślnemi orzeczeniami, zwroty przysłowiowe, przestawnie i t. p. Napisz charakterystykę Karskiego i Sielawy, ilustrując ją cytatami z wiersza.

Napisz wypracowanie w kształcie rozmowy: „Lizus i łobuz".

112. **Wierzyciel i dłużnik.** W jakiem usposobieniu Połaniecki rozpoczyna rozmowę? W jaki sposób odzywa się do niego Pławicki? Jak sposób przemawiania Pławickiego oddziaływa na Połanieckiego? Jak działa na Pławickiego zachowanie się Połanieckiego? Jakich argumentów używa Pławicki, by skłonić Połanieckiego do ustępstw? Czy sposoby te i argumenty trafiają do celu, czy chybiają? A dlaczego? Jakim stylem mówi Połaniecki? W jakim stosunku pozostają względem siebie oba style? Jakie cechy charakteru obu rozmówców ujawniają się w ich stylach? Jak działa na Połanieckiego propozycja wzięcia marglu? Dlaczego ją odrzuca? A w jaki sposób? Jakiego ostatniego argumentu użył Pławicki? A jak go przyjął Połaniecki? Dlaczego ci ludzie nie mogli dojść do porozumienia? Kto tu więcej zawinił? Kto z nich wydaje ci się sympatyczniejszy i dlaczego?

Napisz dialog p. t.: „Nauczyciel i uczeń" (lub: „Nauczycielka i uczennica").

113. **Dwaj Benetowie.** Jak charakteryzuje się Zdzisław, nim się ukazał na scenie? W jakim stanie ducha zaczyna rozmowę ze stryjem? Jakie jest jego usposobienie? Jak się maluje jego stan ducha i usposobienie wrodzone w jego słowach? A w jego czynach? Jaką rolę w charakteryzowaniu Zdzisława odgrywa scenarjusz, t. j. objaśnienia autora? Jak zmienia się stan duchowy Zdzisława w czasie rozmowy? Jeżeli zmienia się, to co wpływa na tę zmianę? W jakim pozostają stosunku charaktery i usposobienia obu Benetów? Jakie rysy Beneta zaznaczają się w tym dialogu? Ułóż charakterystykę obu Benetów w następujący sposób: „Benet jest spokojny, a Zdzisław gwałtowny" i t. d. Zauważ powtórzenie i określ ich znaczenie. Znajdź w „Ogniem i mieczem" rozmowę lub rozmowy, w których zarysowywałyby się dwa przeciwstawne charaktery, usposobienia, nastroje duchowe. A w „Grażynie"?

114. **List do Jana Czeczota.** Jaka myśl zawiera się we wstępie tego listu? W jakim nastroju ducha Mickiewicz przebył drogę z Wilna do Nowogródka? A jakie uczucie owładnęło nim w Nowogródku? Jakie były przyczyny tego uczucia? A jak zmienia się jego nastrój w Rucie? A w Tuhanowiczach? Jakie wrażenie wywarło na nim spotkanie się z Marylą? Co jest główną treścią tego listu? Jaką rolę odgrywają w tem opowiadaniu wspomnienia?

Napisz list, przedstawiający twoje uczucia, spowodowane jakimś ważnym wypadkiem, radosnym lub smutnym.

115. **Odwiedziny domu rodzinnego.** Porównaj osnowę zdarzeń, opowiedzianych w §§ 114 i 115. Wykaż momenty wspólne i różne. Skąd się wzięły wypadki, opowiedziane w § 115, których nie było w § 114? Czy mógłby Mickiewicz opowiedzieć w liście te zdarzenia, które zamieścił w poemacie, i dlaczego? A która opowieść silniej działa na wyobraźnię czytelnika? I dlaczego? Czy p o e t a obowiązany jest, jak p r o z a i k, opowiadać to tylko, co było w rzeczywistości? A jaki jest jego cel? Czy Sienkiewicz jest prozaikiem, czy poetą? A dlaczego? Które z dwóch tych opowiadań silniej działa na twoje uczucie? I dlaczego? Wybierz z niniejszej książki urywki, któreby można zaliczyć do działu prozy. A do działu poezji? Określ różnicę między prozą a poezją. Sprawdź, do których władz

duchowych człowieka one przemawiają: rozumu, uczucia, wyobraźni. Czy może być poezja pisana mową niewiązaną? A do czego służy w poezji mowa wiązana?

116. **Grzeczność polska.** Co autor podkreśla, jako zasadniczy rys grzeczności polskiej? Jakie zaznacza przyczyny polityczne tego rodzaju grzeczności? Jakie dalsze cechy obyczaju polskiego wypływają z charakteru państwowości polskiej? Jak i dlaczego zmieniał się z biegiem czasu typ grzeczności polskiej? Jak zaznacza autor stosunek cudzoziemców do obyczaju polskiego? I odwrotnie: stosunek Polaków do obyczajów cudzoziemskich? Jak rozumiano w dawnej Polsce terminy: „uczciwość" i „ludzkość"? Jaki jest zasadniczy pierwiastek moralny w grzeczności polskiej? A pierwiastek polityczny? Dlaczego grzeczność polska była różna od cudzoziemskiej? Czy ten urywek należy do działu prozy czy poezji i dlaczego?

117. **Grzeczność polska.** Co podkreśla Sędzia, jako cechy zasadnicze grzeczności polskiej? Porównaj pod tym względem §§ 116 i 117. Podkreśl cechy wspólne obu wywodów o grzeczności. Zwróć uwagę na „ściśnięcie kolan" Podkomorzego przez Sędziego. Jaki jest podkład moralny grzeczności według Sędziego? Porównaj pod tym względem §§ 116 i 117. Porównaj rolę dworów i magnatów w urabianiu typu grzeczności w obu wywodach. Porównaj stosunek Polaków do obyczaju cudzoziemskiego w obu §§-ach. Porównaj stosunek dawnych obyczajów do późniejszych w obu wywodach. Czy i w czem można znaleźć przejawy „uczciwości" i „ludzkości" w przemówieniu Sędziego? Porównaj źródła obyczaju polskiego w obu §§-ach. Czy urywek niniejszy należy do działu prozy, czy poezji i dlaczego?

Napisz wypracowanie p. t.: „Grzeczność w stosunkach wzajemnych nauczyciela i ucznia (nauczycielki i uczennicy"), lub: „Grzeczność w stosunkach koleżeńskich".

118. **O miłości ojczyzny.** Jaką myśl zaznacza autor we wstępie? Jaka myśl zawiera się w zestawieniu Roscjusza i Krasickiego? Co jest główną treścią tego rozumowania? Jakie autor znajduje dowody szczególnej miłości Ojczyzny u Polaków? Jaka myśl zawiera się w ostatniej części? Jaki jest ogólny pogląd autora na miłość Ojczyzny? A jaki jest jego stosunek uczuciowy do miłości Ojczyzny? Do którego z działów: prozy, czy poezji, należy zaliczyć ten urywek i dlaczego?

119. **Tyrteusz.** Od jakiego wypadku zaczyna się opowiadanie? W jaki nastrój uczuciowy wprowadza czytelnika ten ustęp? W czem wyraża się stan duchowy Spartańczyków? A jaki on jest? Jakie uczucie wywołuje w Spartańczykach orzeczenie wyroczni i jak się to uczucie wyraża w stylu? Co skłoniło Spartańczyków do posłuszeństwa woli bogów? Zwróć uwagę na powtórzenia w w. 52—53. Jak poeta przedstawia nastrój duchowy ludu spartańskiego po wysłaniu okrętu do Aten? Jaką tu rolę gra przyroda? A jaki zachodzi związek między stanem duchowym Spartańczyków a przebiegiem wojny? Czy ten stan zmienia się w chwili ukazania się Tyrteusza? A jak charakteryzuje sie Tyrteusz w tej scenie? Jak poeta przedstawia chwilę, poprzedzającą rozpoczęcie pieśni (w. 139—149)? A jak poeta charakteryzuje tę pieśń przed jej rozpoczęciem? Czy charakterystyka ta sprawdza się w samej pieśni? Co jest jej treścą i tonem zasadniczym? Zwróć uwagę na jej formę wierszową. Co powiesz o stylu tej pieśni? Jakiego czynu dokonał Tyrteusz po odśpiewaniu pieśni? Jak ta pieśń i ten czyn oddziałały na Spartańczyków? Porównaj obecny ich nastrój duchowy z dawnym. Zwróć uwagę na znaczenie powtórzeń w tym obrazie. Jaki wyraz stylowy znajduje ta zmiana duchowa w okrzykach tłumu? Jakie ma znaczenie scena końcowa? Dlaczego jest krótka? Czemu Spartanie teraz zwyciężyli Messeńczyków? Czy można znaleźć coś wspólnego w §§-ach 118 i 119? A jeżeli jest, to co? A czem się te dwa utwory zasadniczo różnią: treścią czy formą? Zbadaj różnicę między prozą a poezją na podstawie tych dwu utworów. Jakiego znaczenia nabierze „Tyrteusz", jeśli go zastosujemy do Polski przed r. 1863?

Napisz wypracowanie p. t.: „Przemówienie wodza polskiego do żołnierzy".

120. **A to Polska właśnie!** W jakim nastroju rozpoczynają dialog oboje rozmówcy? A w jakim stosunku wzajemnym pozostają te nastroje? O czem mówi panna młoda w trzeciem przemówieniu? A co odpowiada jej na to Poeta? Co powiesz o śnie Panny młodej? Dlaczego ona nie wie, gdzie jest Polska? Co powiesz o odpowiedzi Poety? W którym okresie dziejów była ona możliwa? A jaka myśl zawiera się

w tej odpowiedzi? Jaki jest stosunek obojga rozmówców do sprawy narodowej? Porównaj §§ 118, 119 i 120 pod względem treści i formy. Znajdź punkty wspólne i różnice. Porównaj oddziaływanie wszystkich tych trzech urywków na rozum, wyobraźnię i uczucie.

Napisz wypracowanie p. t.: „Moje obowiązki względem Ojczyzny".

PYTANIA DO LEKTURY PODSTAWOWEJ.

I. ILJADA.

(Wydania pełne Jana Czubka z przedmową Kazimierza Morawskiego, wyd. Gebethner i Wolff, 1921; skrócone. 1) Arcydzieła literatury wszechświatowej Nr. 1 w układzie A. Września, wyd. Arcta, 2) Wybór pisarzy polskich dla domu i szkoły Nr. 4, w układzie J. Zakrzewskiego, wyd. Gebethnera i Wolffa, 3) Arcydzieła literatur obcych, w układzie A. Boleckiego i K. Drzewieckiego Nr. 1, wyd. Tow. Wydawniczego w Warszawie, 4) Bibljoteka Narodowa, serja II Nr. 17, z przedmową prof. T. Sinki.

Pieśń I. Kłótnia. Jakie znaczenie w układzie epopei ma wezwanie (inwokacja) i wstęp? Od którego momentu rozpoczyna się akcja? Jak charakteryzują się w tej pieśni stosunki polityczne i społeczne w starożytnej Grecji? A stosunek bogów i ludzi? A stosunek między bogami? Jak występują charaktery poszczególnych osób? Wybierz rysy obyczajowe życia greckiego z tej pieśni.

Pieśń II. Senułudny. Wykaz okrętów. Jak posuwa się akcja w tej pieśni? Jakie przybywają tu rysy charakteru Agamemnona? A innych bohaterów? A jakie występują rysy życia greckiego? A charakteru Greków? Zwróć uwagę na rodzaj i charakter porównań. Skąd poeta bierze motywy do porównań? Charakter i cel powtórnej inwokacji.

Pieśń III. Pojedynek Parysa z Menelajem. Charakterystyka porównawcza Greków i Trojan. Charakter Hektora i Aleksandra-Parysa. Obyczaj religijny Greków. Ich bogobojność. Uzbrojenie i sposób walki. Zachowanie się obu zapaśników podczas walki. Udział bogów w walce. Charakter Heleny w dialogu z Wenerą (Afrodytą). A w dialogu z Parysem? Charakterystyka porównawcza Menelaja i Parysa. Po czyjej stronie są sympatje autora?

Pieśń IV. Złamanie przysięgi. Jak dokonywa się nowe posunięcie akcji? Co jest jej sprężyną? Nowe rysy charakterystyczne bohaterów? Obraz walki. Zakres i charakter porównań. Czy byłyby one na miejscu w innym kraju?

Pieśń V. Czyny Diomeda. Charakter Diomeda. Technika odtwarzania walki (pojedynki). Stosunek Diomeda do Stenelosa. Rónorodność obrazów pojedynków. Rola bogów w walce (por. poprzednie pieśni). Pogląd Greka starożytnego na bóstwo.

Pieśń VI. Pożegnanie Hektora z Andromachą. Spotkanie Diomeda z Glaukosem. Rada Helenosa. Nowe rysy charakteru Hektora, zwłaszcza w scenie pożegnania z Andromachą. Charakter i nastrój duchowy Andromachy. Liryzm sceny pożegnania. Rola dziecka w tej scenie. Pojęcia religijno-moralne Greków na podstawie tej sceny. Co można na jej podstawie powiedzieć o stosunkach polityczno-społecznych u Greków? Porównaj środki charakteryzacji tej sceny z temi, które zauważyłeś w §§ 110—113 „Wypisów".

Pieśń VII. Pojedynek Hektora z Ajaksem. Rola Hektora w walce. Charakter Nestora, ujawniający się w jego przemówieniu. Nowe zawieszenie broni, jego cel i charakter. Stosunki międzyplemienne i ich charakter. Nastrój uczuciowy Greków i Trojańczyków podczas zawieszenia broni i jego źródła.

Pieśń VIII. Bitwa nie rozstrzygnięta. Wystąpienie Zeusa w walce i jego rola. Dlaczego Zeus własną wolą nie rozstrzygnął walki? Wróżby i ich znaczenie w kulcie religijnym starożytnych Greków i Rzymian (por. auspicje, podanie o Romulusie i Remusie). Stosunek Zeusa do innych bogów. Charakter zwycięstwa Trojańczyków.

Pieśń IX. Poselstwo do Achillesa. Narada wodzów greckich. Nowe rysy charakteru Agamemnona. Scena w namiocie Achillesa: charakter Achillesa, obyczajowość moralna starożytnych Greków. Rysy życia codziennego. Rola i charakter Odysseusza: jego argumenty i sposób przemawiania. Odpowiedź Achillesa. Ujawniający się w niej charakter i nastrój duchowy bohatera. Dlaczego Achilles

nie chce ustąpić prośbom, ni namowom? W czem się ujawnia liryzm w przemówieniach Odysseusza, Achillesa, Ajaksa?

Pieśń X. Wyprawa nocna. Nastroje nocne i narady Agamemnona i Menelaja. Pobudki i cele obustronnych wypraw nocnych. Rozmowa Odysseusza z Dolonem: charakter Dolona i Odysseusza. Rycerskość starożytnych Greków według tej pieśni.

Pieśń XI. Czyny Agamemnona. Porównaj czyny Agamemnona z czynami Diomeda w pieśni V i czynami Hektora w pieśni VII i VIII. Wmieszanie się Zeusa do walki i jego skutki. Trzecie wezwanie do Muzy i jego cel i charakter. Styl obrazów bitewnych: porównania, ich rodzaj i zakres. Ujawnianie się osobowości bohaterów podczas walki. Ostateczny wynik walki tego dnia.

Pieśń XII. Zdobycie murów. Przyczyna niepowodzenia Greków przy obronie murów. Rada Polidamanta i jej wykonanie. Ponowna wróżba i jej znaczenie.

Pieśń XIII. Bitwa przy okrętach. Pieśń ta, jako dalsze ogniwo akcji bojowej. Poszczególni bohaterowie i czyny ich. Bogowie i ludzie.

Pieśń XIV. Zeus uśpiony. Nastrój duchowy wodzów greckich i jego przyczyny. Wmieszanie się Posydona i jego obraz. Zwrot w akcji bojowej. Styl epicki obrazu walki: porównania. Nastrój duchowy walczących.

Pieśń XV. Gonitwa przy okrętach. Stosunki między bogami. Pieśń XII—XV, jako moment najwyższego napięcia akcji.

Pieśń XVI. Patrokles. Dialog Patrokla i Achillesa, jako obraz charakteru i stanu duchowego obu rozmówców. Nowy zwrot akcji i jego znaczenie. Walka Patrokla z Sarpedonem i jej następstwa. Rola Zeusa wobec tych wypadków (wiara w przeznaczenie). Dalsze czyny Patrokla. Dlaczego autor zwraca się do niego w drugiej osobie? Obraz walki nad ciałem Kebrjona. Śmierć Patrokla i jego monolog przedśmiertny. Liryzm tej sceny. Jak w tej scenie ujawnia się charakter Hektora?

Pieśń XVII. Bitwa nad zwłokami Patrokla. Zwyczaje bojowe u starożytnych Greków. Rola koni Achillesa w tej scenie: pogląd Greków na duszę zwierzęcą. Przyczyna zażartej walki o trup Patrokla (cześć umarłych). Rozmowa Menelaja z Euforbem: bluźnierstwa Menelaja, obraz epicki śmierci Euforba (porównania). Charakter przemówień bohaterów podczas walki, jako obrazu nastrojów duchowych. Ostateczny wynik walki i jego przyczyna.

Pieśń XVIII. Tarcza Achillesa. Przełom akcji. Nastrój uczuciowy Achillesa. Pierwsze zjawienie się Achillesa na polu walki i jego charakter. Charakterystyka Hefajstosa (Wulkana), zewnętrzna i wewnętrzna. Znaczenie kultu Hefajstosa w starożytnej Grecji: przemysł metalurgiczny u Greków. Plan tarczy Achillesa. Życie polityczne, społeczne, towarzyskie i rodzinne, zajęcia, zabawy i obyczaje greckie. według tarczy Achillesa. Pojęcia geograficzne i kosmograficzne Greków, według tarczy Achillesa. Znaczenie tego epizodu w układzie ogólnym epopei.

Pieśń XIX. Pojednanie. Nastrój duchowy bohaterów greckich podczas narady: Achilles i Agamemnon, jako dwa przeciwieństwa. Uzbrojenie Achillesa i sposób jego wprowadzenia. Rozmowa Achillesa z końmi i jej znaczenie.

Pieśń XX. Pojedynek Achillesa z Eneaszem. Narada bogów, jako nowe posunięcie akcji. Walka bogów i ludzi, i ich wzajemny stosunek. Rozmowa Eneasza z Achillesem i jej znaczenie. Porównanie walki Achillesa z Eneaszem z poprzedniemi walkami.

Pieśń XXI. Walka bogów. Męstwo i siła poszczególnych bohaterów, jako czynnik rozstrzygający w starciach wojsk. Porównanie z dzisiejszemi czasami. Nastrój duchowy Achillesa podczas walki. Walka Achillesa ze Skamandrem i jej znaczenie. Walka bogów i jej charakter. Porównanie czynów Achillesa z czynami innych bohaterów w poprzednich pieśniach (Diomeda, Agamemnona, Hektora i inn.).

Pieśń XXII. Śmierć Hektora. Rozmowa Hektora z rodzicami, jako obraz duszy bohatera i wierzeń greckich. Porównanie z rozmową z Andromachą (pieśń VI). Nastrój uczuciowy Hektora i Achillesa podczas walki. Jednoczesna akcja na Olimpie i jej znaczenie. Pojedynek słowny Achillesa i Hektora. Walka Achillesa z Hektorem i jej technika: porównanie z obrazami innych pojedynków. Odtworzenie walki w szeregu ilustracyj lub w planie. Szczegółowość epicka obrazu walki. Ostatnia wymiana zdań bohaterów. Słowa i czyny Achillesa po zabiciu Hektora. Liryzm i podmiotowość tej sceny. Grecy i Trojanie po śmierci Hektora.

Pieśń XXIII. Pogrzeb Patrokla. Uczta triumfalna w obozie greckim i jej znaczenie. Pogrzeb Patrokla, jako obraz obyczaju greckiego. Igrzyska pogrzebowe i ich charakter.

Pieśń XXIV. Pogrzeb Hektora. Nastrój duchowy Achillesa w nocy i nazajutrz. Sprawa ciała Hektora, jako przedmiot narad i sporów na Olimpie. Priam u Achillesa: przemówienia i czyny obu bohaterów, oraz ich ocena moralna. Nastrój duchowy ich obu podczas rozmowy. Wyrzekania trzech kobiet nad zwłokami Hektora: różnica charakterów i stosunku uczuciowego do Hektora. Obrzędy pogrzebowe. Rozwiązanie akcji.

Pytania uogólniające. Akcja ziemska. Przedmiot i rodzaj walki. Patrjotyzm czy jego brak? Charakter obu narodów walczących. Ich stosunek wzajemny. Wyższość czy niższość charakteru plemiennego Greków i Trojan. Główniejsi bohaterowie po obu stronach walczących. Ich charakterystyka: cechy fizyczne i duchowe, ich stosunek wzajemny, przeważający rys charakteru każdego z nich, namiętność i rozwaga, miłość i nienawiść. Stosunek do kobiet. Rola ich w przebiegu akcji. Niewolnice i kobiety wolne. Najważniejsze typy kobiece. „Iljada", jako obraz pewnego poziomu kultury obyczajowej i umysłowej: barbarzyństwo i rycerskość. „Iljada", jako obraz życia greckiego: życie obozowe (zbroje i technika walki, taktyka wojskowa i t. p.); inne strony życia narodowego (stosunki polityczne i społeczne, królowie i narody, wolni i niewolnicy, obyczaje, zajęcia i zabawy i t. p.). Bohaterowie „Iljady", jako półbogowie, i stosunek ich do tłumu. Pogląd na świat starożytnego Greka według „Iljady" (pogląd na życie i śmierć, pojęcia moralne, źródła bohaterstwa, zakres i rodzaj wiadomości o świecie i t. p.). Przyroda, jej udział w akcji i stosunek do człowieka i odwrotnie (ludzie i zwierzęta).

Akcja niebieska. Bogowie greccy. Ich podział na obozy i udział w akcji. Przyczyny podziału na obozy. Jednoczesność akcyj na ziemi i na niebie i stosunek wzajemny tych akcyj. Antropomorficzny pogląd na bóstwa i najjaskrawsze jego objawy. Stosunek człowieka do bóstwa i odwrotnie. Obrządki religijne, ofiary, wróżby i modlitwy. Gniew i łaska bogów, jako czynniki akcji ziemskiej. Wiara w przeznaczenie, jako czynnik akcji, bogowie i ludzie wobec przeznaczenia. Porównanie z wierzeniami chrześcijańskiemi. Pogląd na życie pośmiertne i jego rola w akcji. Cześć dla ciał zmarłych, jako jedna z pobudek czynów bohaterów. Obrzędy pogrzebowe.

Strona podmiotowa utworu. Czy i gdzie ujawnia się osobowość autora? Jeżeli tak, to jakich autor używa do tego środków? Przykłady, unaoczniające ten pogląd. Liryzm „Iljady".

Układ utworu. Chwila rozpoczęcia i zakończenia akcji w stosunku do całości 10-letniej wojny trojańskiej. Czas trwania akcji. Jedność czasu i miejsca. Główny wątek akcji. Wyłączyć z „Iljady" wypadki, odnoszące się do głównego wątku, i unaocznić je w postaci planu. Sprzężenie akcji ziemskiej i niebieskiej. Jedność czy wielokrotność akcji? Wątki drugorzędne (np. wątek Diomeda, Agamemnona, Patrokl i t. d.) i stosunek ich do akcji głównej. Epizody i ich znaczenie. Uszeregowanie wątków drugorzędnych i epizodów w stosunku do ich ważności. „Iljada", jako epopeja narodowa.

Styl utworu. Realizm i drobiazgowość stylu: sceny, opisy. Środki obrazowania: epitety, zwłaszcza złożone (przykłady), powtórzenia epickie, porównania epickie, jako środek techniczny stylu i jako materjał do obrazu życia greckiego. Styl przemówień, jako środek charakteryzacji osób. Obrazowanie natury.

II. „GRAŻYNA" A. MICKIEWICZA.

(Wydania: 1) „Arcydzieła polskich i obcych pisarzy" Nr. 5, w opracowaniu K. Wojciechowskiego; 2) „Wybór pisarzy polskich dla domu i szkoły" Nr. 2, w opracowaniu H. Gallego; 3) „Bibljoteczka Narodowa" Nr. 2, w opracowaniu A. Strzeleckiego; 4) „Bibljoteka Narodowa" Nr. 6, w opracowaniu J. Kallenbacha; 5) „Książki dla wszystkich" Nr. 229, w opracowaniu H. Gallego (streszczenie i wyjątki oraz rozbiór).

Rozbiór szczegółowy treści. Charakter krajobrazu wstępnego: wybór pory, doby i roku, oświetlenie, obraz zamku. Krajobraz, jako czynnik rozwoju akcji. Zawiązek akcji. Od którego momentu ona się rozpoczyna? Obraz krzyżaków i jego znaczenie. Przemówienie strażników i jego znaczenie polityczne i artystyczne, jako czynnika akcji, jego styl. Charakterystyka Rymwida. Koloryt sceny

Litawora z Rymwidem. Nastrój duchowy Litawora na początku tej sceny i jego oznaki zewnętrzne. Pierwiastek podmiotowy w tym obrazie. Pierwsze przemówienie Litawora: jego treść (wdrożenie akcji) i jego styl (ironja). Refleksje Rymwida i ich charakter. Przemówienie Rymwida, jako źródło charakterystyki. Rozmowa Litawora z Rymwidem, jako obraz ścierania się dwóch poglądów politycznych. Dalsze wyjaśnienia Litawora: ich rola w akcji. Ocena moralna czynu Litawora, wniknięcie w jego pobudki. Życie polityczne na Litwie według przemów Litawora i Rymwida: stosunki wewnętrzne i zewnętrzne: wielcy książęta i książęta dzielnicowi, Litwini i Niemcy. Zakończenie przemówienia Litawora i jego charakter. Zestawienie nastroju uczuciowego Litawora na początku i pod koniec rozmowy. Ważność rozmowy, jako czynnika akcji, oraz środka, charakteryzującego bohaterów. Z którym z bohaterów „Iljady" można zestawić Litawora pod względem charakteru i położenia? Sprawa przyjęcia posłów podczas tej rozmowy. Charakterystyka Grażyny zewnętrzna i wewnętrzna. Jaką rolę jej cechy cielesne i duchowe będą odgrywały w dalszym rozwoju akcji? Rozmowa Rymwida z Grażyną i jej charakter. Pobudki czynów obojga rozmówców. Jak poeta przedstawia następną scenę rozmowy Litawora z Grażyną? A co osiąga tą drogą? W jaki sposób dokonywa się odprawa posłów krzyżackich? Poco Grażyna wzywa do siebie Rymwida i o czem z nim mówi? Jaki jest nastrój jej w tym momencie? Jaką rolę odgrywa ta scena w rozwoju akcji? Zapowiedź nowego zwrotu akcji. Nastrój duchowy Grażyny po nadejściu wiadomości o zbliżaniu się krzyżaków i sposób jego uzewnętrzniania się. Przełom w jej duszy i przełom w akcji. Nastrój duchowy Rymwida w chwili przełomowej. Sposób wprowadzenia mniemanego Litawora. Jak autor uprzedza czytelnika, że to nie jest Litawor we własnej osobie? Chwila spotkania się obu wojsk, jej opis, oświetlenie. Czy czynniki krajobrazowe pozostają przez cały czas bitwy bez zmiany? Opis bitwy. Czy podobna jest do bitew homeryckich? Jeżeli tak, to z czego? A czy są jakie różnice? Porównania epickie w zestawieniu z analogicznemi porównaniami u Homera. Zwroty onomatopeiczne, czyli dźwiękonaśladowcze i ich rola. Jakie ma znaczenie apostrofa do rycerza, by „śpieszał ożywić duch męski"? Czy poeta uchylił w tej scenie rąbek tajemnicy, okrywającej mniemanego Litawora? Rozwiązanie akcji: kiedy i jak ono się dokonywa? Jaką rolę odgrywa scena ostatnia? Do czego była potrzebna? Obrzędy pogrzebowe u Litwinów pogańskich w zestawieniu z obyczajami greckiemi. Obraz pogrzebu, jako ilustracja zmiany dawnego obyczaju litewskiego. Ostatnie przemówienie Litawora i jego znaczenie w przebiegu akcji. Ostatni czyn Litawora i jego uzasadnienie psychiczne.

Epilog wydawcy. Dlaczego Mickiewicz nazywa tu siebie wydawcą? Jego stosunek do mniemanego autora. Dlaczego poeta uważał za konieczne dopisanie tego epilogu? Zwróć uwagę na chronologję samego wątka powieści, opowieści giermka, napisania powieści przez mniemanego autora i napisania epilogu przez samego poetę. Które sceny przedstawia epilog? W jakim pozostają one związku z akcją powieści? Ułóż plan akcji „Grażyny", włączając doń wypadki z „Epilogu" i ujmując je w nawiasy. Czy ton „Epilogu" jest taki sam, jak powieści? Jakie ma znaczenie związanie akcji „Grażyny" z podaniami ludowemi?

Pytania uogólniające. Treść. Zasadnicze zagadnienie powieści: porównanie z „Iljadą". Źródła różnic. Tragizm Litawora. Problemat winy i kary. Tragizm Grażyny. Powieść, jako obraz pewnego poziomu rozwoju moralnego: ścieranie się różnych prądów kultury moralnej. Zestawienie „Iljady" i „Grażyny" pod względem wątka głównego. Dwie trójki: Achilles-Agamemnon-Patrokl i Litawor-Witold-Grażyna, podobieństwa i różnice. Charakterystyka bohaterów: bohaterowie, jako pół-bogowie (porównanie z „Iljadą"). „Grażyna", jako obraz pewnego stanu obyczajowego: dawne obyczaje i nowe naleciałości, stosunek do jednych i drugich Rymwida, Litawora, Witolda. Urządzenia polityczne, społeczne, wierzenia i obrzędy religijne. Stosunek do Zakonu. Obraz bitwy: czy homerycki? Osobowość autora w powieści i w epilogu. Co można powiedzieć o poczuciu moralnem poety na podstawie „Grażyny"? (por. z Homerem). Krajobraz i jego rola. Koloryt powieści i jego rola. Nieobecność bogów i bogiń. Co ich zastępuje?

Układ. Budowa utworu. Stosunek powieści do epilogu. Różnica w układzie epopei klasycznej i powieści romantycznej. Jedność akcji, czasu i miejsca. Czy i na co były potrzebne? Dialog i opowieść, jako środki techniczne akcji. Porównanie dialogu homeryckiego i mickiewiczowskiego. Czas trwania akcji, szczupła liczba osób, jako środki artystyczne. Epizody w „Iljadzie" i w „Grażynie".

Styl. Przenośnie i porównania i ich rola. Archaizmy i ich rola. Zwroty dźwiękonaśladowcze. Środki żywości stylu: zwroty retoryczne, czas teraźniejszy i przyszły (dawny aoryst) zamiast przeszłego. Czy styl „Grażyny" można nazwać epickim? Porównanie ze stylem homeryckim. Czy styl „Grażyny" jest prosty, czy raczej wyszukany?

Budowa wierszowa. Rytm: długość i budowa wiersza. Rymy: przeplatane i nieprzeplatane. Czy można znaleźć w „Grażynie" pewne ślady budowy zwrotkowej?

III. „OGNIEM I MIECZEM" H. SIENKIEWICZA.

Rozbiór treści. I. Wdrożenie akcji historycznej i powieściowej (rozdz. I). Czas i miejsce ogólnej akcji i ich znaczenie. Miejsce i czas początku akcji szczegółowej i ich znaczenie. Charakter i znaczenie pierwszego wypadku w powieści. Dwaj bohaterowie: ich charakterystyka zewnętrzna i wewnętrzna. Znaczenie tej sceny dla dalszego rozwoju akcji historycznej i powieściowej. Przeczucia i zapowiedzi, jako środek techniki powieściowej w tym rozdziale. Czego możemy oczekiwać po pierwszym rozdziale powieści?

II. Pierwszy okres i zawiązek akcji powieściowej: poznanie (rozdz. II—VII). Miejsce i czas następnej sceny. Rozmowa z Zaćwilichowskim: jej znaczenie. Rozmowa Skrzetuskiego z Czaplińskim, jako środek charakteryzacji i jako ogniwo akcji. Nowe postacie powieściowe i sposób ich wprowadzenia. Sposób charakteryzacji Jeremiego ks. Wiśniowieckiego. Dalsza charakteryzacja Podbipięty. Pierwsza scena miłosna w powieści: sposób odmalowania urody Heleny, wróżba i jej znaczenie, charakterystyczne zachowanie się Skrzetuskiego w tej scenie, wprowadzenie stosunków rodzinnych Kurcewiczów, styl miłosny Skrzetuskiego i jego poziom wykształcenia, zachowanie się Bohuna, jako zapowiedź dalszych wypadków. Charakterystyka bezpośrednia Bohuna, jego kostjum i rysy. Charakterystyka Kurcewiczów. Rozłogi i ich mieszkańcy: artyzm tego opisu. Jaki pierwiastek artystyczny wnosi z sobą postać kniazia Wasila? Oświadczyny Skrzetuskiego: rozmowa z Heleną i Kurcewiczami, ton i charakter jednej i drugiej, styl odrębny każdego z rozmówców. Przybycie Skrzetuskiego do Łubniów: nowe postacie, nowe ogniwa akcji, nowe rysy ks. Jeremiego. List Heleny i jego styl. Wysłanie Skrzetuskiego przez księcia na Niż i znaczenie tego wypadku, jako środka rozwoju akcji. Druga scena miłosna i jej znaczenie. Nowe wróżby: ku czemu służą? Tło historyczne tych 6 rozdziałów. Stosunek tego tła do akcji powieściowej.

III. Pierwszy okres i zawiązek akcji historycznej: wybuch (rozdz. VIII—XVI). Scena w Czehryniu (rozdz. VIII) i jej znaczenie w rozwoju akcji historycznej: rola Zaćwilichowskiego, Barabasza, Zagłoby w tej scenie. Krajobraz i jego stosunek do akcji dziejowej (rozdz. IX). Kudak i Grodzicki, dalszy rozwój tej akcji. Pierwsza potyczka i jej rezultat: charakter dwóch światów — polsko-szlacheckiego i kozacko-chłopskiego — ujawniający się w tej scenie. Sicz i Kozacy, najwybitniejsze ich rysy znamienne (rozdz. XI). Chmielnicki w nowej roli (por. rozdz. I). Sposób obradowania na Siczy. Przemówienie Chmielnickiego, charakteryzujące jego osobę. Scena śmierci Tatarczuka i młodego Barabasza pod względem moralnym i artystycznym. Skrzetuski przed Chmielnickim i Tuhaj-bejem; stosunek wzajemny tych trzech osób i ich charakter na podstawie tej sceny. Znaczenie zakończenia tej sceny (rozdz. XI) w rozwoju akcji dziejowej. Rozmowa Chmielnickiego ze Skrzetuskim: jej tło, nastrój duchowy obu rozmówców, argumenty, wystawiane przez każdego z nich i ich wartość rozumowa i moralna, znaczenie tej rozmowy, jako starcia się dwu poglądów historycznych. Porównanie tego dialogu z rozmową Litawora z Rymwidem w „Grażynie". Po czyjej stronie są obaj autorowie? Czy można to poznać i po czem? Pochód wojsk kozacko-tatarskich: obraz malarski, muzyczny i liryczny. Nastroje duchowe bohaterów podczas przejazdu mimo Kudaku. Krzeczowski, jego nastrój duchowy w tym przełomowym momencie i jego charakter. Czy zdrada Krzeczowskiego spada na czytelnika niespodziewanie? Porozumiewanie się Chmielnickiego z Krzeczowskim: technika tej sceny, nastrój duchowy Krzeczowskiego po rozmowie. Śmierć Barabasza: artyzm tego obrazu. Śmierć oddziału niemieckiego: cechy znamienne charakteru narodowego w tej scenie. Porównanie bohaterstwa Skrzetuskiego, jego semenów, Barabasza, Flika i Wernera i ich żołnierzy: gdzie najwyższy poziom moralny? Bitwa nad Żółtemi Wodami i sposób jej przedstawienia: w kręgu postrzeżeń, wrażeń

i przeżyć duchowych Skrzetuskiego; złudzenie tragiczne, jako środek techniczny opowiadania. Bitwa pod Korsuniem: technika tej sceny w porównaniu z techniką bitwy nad Żółtemi Wodami, podobieństwa i różnice, uzewnętrznianie się zmiennych wrażeń Skrzetuskiego. Tragizm obu obrazów, porównanie ich pod tym względem. Obraz końcowy tego rozdziału i jego znaczenie. Pierwiastek podmiotowy w obu tych obrazach. Obraz przeżyć duchowych Chmielnickiego po bitwie korsuńskiej: czy można mówić o jego tragizmie? a o wzniosłości? Nowa rozmowa Chmielnickiego i Skrzetuskiego, jako obraz nastroju duchowego obu bohaterów. Podróż Skrzetuskiego z Korsunia do Rozłogów, jako obraz wyniku powstania Chmielnickiego: charakter tego obrazu i rola w nim pierwiastka podmiotowego. Nawiązanie do akcji powieściowej. Obraz spalonych Rozłogów i sposób jego wprowadzenia (tragiczna niespodzianka). Obraz przeżyć duchowych Skrzetuskiego: odrętwienie i wyrwanie się z tego stanu. Porównanie ze stanami duchowemi w „Wypisach" (§§ 87—97). Powiązanie akcji dziejowej z powieściową w rozdz. VIII—XVI.

IV. **Drugi okres i nowe zwikłanie akcji powieściowej: ucieczka Heleny** (rozdz. XVII—XXI). Odnalezienie punktu w rozdziałach poprzednich, do którego nawiązuje się w początkach rozdz. XVII akcja powieściowa. Rozmowa Rzędziana z Bohunem i Zagłobą, jako środek charakteryzacji i jako motyw powieściowy. Styl obu listów Skrzetuskiego: ich podobieństwo i różnice. Zagłoba na rozdrożu: nowe rysy jego charakteru, motywy jego czynów, jego przeszłość. Rozmowa Bohuna z Zagłobą: styl obu rozmówców, miłosny i żartobliwy, rutenizmy i latynizmy. Styl miłosny Skrzetuskiego i Bohuna. Przyjazd do Rozłogów: stan duchowy rozmówców, ton rozmowy. Złe wróżby i ich wartość estetyczna. Scena mordu i jej charakter epicki i dramatyczny. Zjawienie się Wasyla i jego znaczenie estetyczne (por. z pierwszem zjawieniem się w rozdz. IV). Rozmyślania i czyny Zagłoby, jako środek charakteryzacji i motyw akcji. Ucieczka Heleny z Zagłobą: osobliwe okoliczności, bliższe i dalsze, nastroje duchowe ich obojga podczas ucieczki, chytrość Zagłoby, jej dowody i jej znaczenie (porównanie do Ulissesa-Odysseusza). Przebranie, jako środek przeprowadzenia akcji (por. z jakimś znanym sobie utworem). Spotkania z ludźmi i ich znaczenie w rozwoju akcji. Pościg Bohuna: okoliczności sprzyjające i nieprzyjazne, walka na odległość Zagłoby z Bohunem i jej rozwój, wahanie się szal zwycięstwa, czynniki walki, najwyższe napięcie walki i jej rozwiązanie. Tło dziejowe i jego wpływ na wypadki w tej części powieści. Plan wędrówki Zagłoby z Heleną na mapie.

V. **Drugi okres i nowe zwikłanie akcji historycznej: pochód ks. Jeremiego i pierwsze walki** (rozdz. XXII—XXXIII). Ks. Jeremi, jako bohater tego okresu: porównanie z Chmielnickim, jako bohaterem poprzedniego okresu akcji dziejowej, stosunek wzajemny tych dwóch ludzi. Pierwsze zetknięcie się dwóch ludzi i dwóch światów: list Chmielnickiego i jego skutki, charakter obu bohaterów przy pierwszem zetknięciu. Ks. Jeremi, jako przedstawiciel pewnego kierunku politycznego: jakiego? Ks. Jeremi, jako typ możnowładcy polskiego: jego dodatnie i ujemne strony. Stan duchowy Skrzetuskiego po scenie w Rozłogach: źródło pociechy i równowagi ducha. Wyjazd z Łubniów: strona przedmiotowa i podmiotowa tej sceny. Wieść o śmierci króla i dlaczego tylko „wieść", a nie obraz? Znaczenie sceny nad Trubieżą w rozwoju akcji historycznej. Dalszy pochód i jego charakter. Plan pochodu na mapie. Akcja poboczna: Longinusa i Anusi i jej związek z akcjami głównemi. Zbliżanie się ku sobie dwóch wrogów i ich nastrój duchowy. Pierwsze ogniwo akcji pokojowej: czy scena poselstwa zawiera w sobie szczegóły, pozwalające przewidzieć jej wyniki? Stosunek uczuciowy i rozumowy autora do tej akcji. Charakter Chmielnickiego w tej scenie. Stan duchowy dowódców kozackich, wyruszających przeciw Wiśniowieckiemu i jego przyczyny. Ks. Jeremi i Krzywonos, ich pochód (odnaleźć na mapie). Bitwa pod Machnówką: technika opowiadania, porównanie z poprzedniemi obrazami bitew, rola poszczególnych bohaterów w porównaniu z herosami homeryckimi. Pojedynek Skrzetuskiego z Burdabutem: pierwiastki słuchowe, ruchowe, uczuciowe, porównanie z pojedynkami u Homera. Znaczenie potyczki pod Machnówką w akcji historycznej. Narada u księcia z powodu listu od wojewody Kisiela: dodatnie i ujemne strony charakteru możnowładczego i szlacheckiego w tej scenie, zagadnienie wojny czy pokoju, jak je przedstawia autor? Scena w lasach mszynieckich: nawiązanie do akcji, przerwanej w rozdziale XXI, nastrój uczuciowy sceny śpiewania dumy przez mniemanego „dida" i stosunek jej do następnej sceny. Radość Skrzetuskiego i sposób

jej uzewnętrzniania się (porównanie ze sceną osłupienia w rozdziale XVI). Zachowanie się Zagłoby w tej scenie. Charakterystyka pułkownika Osińskiego, bezpośrednia i pośrednia. Styl opowiadania Zagłoby, jako środek charakteryzacji, i jego stan duchowy przed bitwą pod Konstantynowem. Bitwa pod Konstantynowem: technika obrazu: tłumy czy poszczególni bohaterowie? Zestawienie bitew w „Ogniem i mieczem" z bitwami w „Iljadzie" i w „Grażynie". Pojedynek Puljana z Podbipiętą: wrażenia zmysłowe, stany uczuciowe zapaśników, rola dialogu, uczucia widzów. Następny moment walki. Zagłoba w bitwie: jego stan duchowy, jego wrażenia, zdobycie sztandaru, Zagłoba po tym czynie, sprzeczne jego uczucia i przeżycia. Rola nowego zwycięstwa w rozwoju akcji historycznej. Skrzetuski w Suchorzyńcach nad Chomorem: spotkanie z Rzędzianem i opowiadanie pachołka (por. spotkanie z Zagłobą i opowiadanie mniemanego „dida" w rozdz. XXVIII), jako środek charakteryzacji opowiadającego (nowe rysy Rzędziana) i środek rozwoju akcji (nowe, nieznane nam szczegóły akcji, zawarte w tem opowiadaniu). Styl opowiadania Zagłoby i Rzędziana. Nastrój umysłów w Zbarażu i jego przyczyny. Charakterystyka ks. Jeremiego na tle tego nastroju. Walka duchowa księcia: pokusy, ich źródło, jakich pokusy te używają argumentów: pozornych czy prawdziwych? głos sumienia i jego argumentacja? zestawienie argumentów obu stron pod względem rzeczowym i moralnym; co wzięło górę i dlaczego? okoliczności zewnętrzne, towarzyszące tej walce, i ich rola. Porównanie tej walki z §§ 96 i 97 w „Wypisach". Porównanie ks. Jeremiego z Litaworem. Obiad u księcia i panujący na nim nastrój uczuciowy i jego przyczyny. Przybycie Kuszla: jego powierzchowność, jego przemówienia, udzielona przezeń wiadomość i jej charakter estetyczny (zaskoczenie i przerażenie czytelnika). Dlaczego na słowach Kuszla kończy się rozdział? Rola tego zakończenia rozdziału XXXIII. w rozwoju akcji historycznej i powieściowej. Których ogniw akcji brak w powieści i dlaczego je autor wypuścił?

VI. Trzeci okres i najwyższe napięcie akcji powieściowej: w rozłące i rozpaczy (rozdz. XXXIV—XLI). Nowe nawiązanie akcji powieściowej: czas i miejsce, związek z poprzedniemi zdarzeniami. Zabobony ludu ukraińskiego według rozmowy mołojców. Otoczenie, wśród którego ma teraz pozostawać Helena, i jego charakter. Pierwsze myśli wracającej do przytomności Heleny i ich rola w rozwoju akcji. Pierwsze wrażenia Heleny. Rozmowa Heleny z Bohunem i ujawniający się w niej charakter obojga osób. Miłość Bohuna i jej charakter: porównanie z miłością Skrzetuskiego. Zmiana wzajemnego stosunku Heleny i Bohuna pod koniec rozmowy. Wróżby Horpyny: ich rola estetyczna, ich nastrój uczuciowy, ich styl. Porównanie z innemi wróżbami w powieści. Nastrój Heleny i Bohuna w chwili rozstania. Zwrot akcji w rozdziale XXXVII: nastrój uczuciowy Skrzetuskiego i jego przyjaciół i jego wyraz zewnętrzny. Zajście Skrzetuskiego z Łaszczem: charakter i znaczenie tego epizodu. Bohun u Krzywonosa: nowe rysy charakteru Bohuna, występujące w tej scenie. Zagłoba, jako komendant, i jego nastrój uczuciowy. Zagłoba na weselu chłopskiem: co myśli i czuje? jak się zachowuje przy spotkaniu z weselnikami? a potem? Obraz wesela chłopskiego na Ukrainie. Rozmowa Bohuna z Zagłobą: uczucia i myśli a słowa i czyny obu rozmówców, dodatnie i ujemne strony Zagłoby w tym dialogu. Zagłoba w chlewiku: charakterystyka człowieka na podstawie jego czynów, uczuć i myśli; tragizm i humor tej sceny. Niespodziewane ocalenie, jako środek techniczny rozwoju akcji (przykłady w poprzednich rozdziałach). Nowa zmiana nastroju uczuciowego Zagłoby. Rozmowa Zagłoby z Wołodyjowskim, jako nowy środek charakteryzacji obu rozmówców. Rozmowa Zagłoby z przyjaciółmi, jako nowe ogniwo akcji (wiadomości o Helenie). Opowieść Wierszułła o Piławcach: technika odtworzenia wypadku dziejowego (opowieść w opowieści) w porównaniu ze sposobem przedstawiania innych wypadków; przyczyny wyboru tej techniki; przyczyny klęski w opowieści Wierszułła; nastrój uczuciowy opowiadającego i słuchaczów, jako środek estetyczny. Nawiązanie akcji historycznej (por. nawiązanie akcji powieściowej w końcu rozdziału XXXIII). Nowe użycie środka zaskoczenia czytelnika.

VII. Trzeci okres i najwyższe napięcie akcji historycznej: wojna czy pokój? (rozdz. XLIII—LI). Obraz Lwowa i nastroju duchowego jego mieszkańców. Książę Wiśniowiecki, jego czyny i ich pobudki. Charakterystyka (pośrednia) Anusi Borzobohatej. Droga na elekcję: charakterystyka obyczajowości polskiej na tem tle. Zajście Wołodyjowskiego z Charłampem: zachowanie się obu przeciwników i ich rozmowa. Obraz Warszawy podczas elekcji: poco potrzebny? Zagłoba i Wołody

jowski na elekcji: ich zachowanie się, charakteryzujące ich osoby, a także wogóle szlachtę owoczesną. Stosunek Sienkiewicza do przeszłości szlacheckiej Polski. Spotkanie z Bohunem: charakter Zagłoby, Wołodyjowskiego i Bohuna, ujawniający się w tej scenie. Rola tej sceny w rozwoju akcji. Nastrój uczuciowy wszystkich ich trzech w chwili rozpoczęcia pojedynku. Pojedynek Bohuna z Wołodyjowskim: udział wrażeń wzrokowych, słuchowych i ruchowych w tym opisie, nastroje uczuciowe obu przeciwników i przejawy ich zewnętrzne, ich dialog i jego rola estetyczna, nastroje duchowe widzów (Zagłoby oraz pp. Sielckich i Charłampa) i ich znaczenie, zmienność tych nastrojów i sposób, w jaki się one uzewnętrzniają. Czy i w jaki sposób nastroje duchowe widzów przyczyniają się do mocy artystycznego oddziaływania tej sceny? Po czyjej stronie stoi autor? Czyjemi oczami patrzy na pojedynek? Czy stosunek Wołodyjowskiego i jego towarzyszów do Bohuna uległ zmianie po pojedynku? jeżeli tak, to jakiej i o czem to świadczy? Elekcja Jana Kazimierza i jej znaczenie w rozwoju akcji historycznej. Spotkanie z Podbipiętą: nowe rysy charakteru p. Longinusa. Epizod o Skrzetuskim i Rogowskim i jego znaczenie w akcji powieściowej, oraz dla charakterystyki szlachty owoczesnej. Poszukiwania Skrzetuskiego: jego list, jako sposób charakteryzacji autora. Poselstwo wojewody Kisiela: ton przeważający w obrazie tego poselstwa, nastrój duchowy komisarzy, a w szczególności Kisiela; tragizm Kisiela w zestawieniu z tragizmem Wiśniowieckiego; stosunek Chmielnickiego, oraz stosunek czerni ukraińskiej do komisarzów i ich misji; charakterystyka Kisiela, pośrednia i bezpośrednia; nowe szczegóły do charakterystyki Chmielnickiego w rozmowie z Kisielem, ze Skrzetuskim, w czasie wręczania darów królewskich; nawiązanie do akcji powieściowej; postępek Skrzetuskiego podczas wręczania darów królewskich i jego znaczenie; misja Kisiela wobec własnego narodu; pogląd na nią autora; rozmowa Skrzetuskiego z Kisielem i jej znaczenie; stosunek autora do Wiśniowieckiego i Kisiela; dlaczego misja Kisiela nie udała się? co przyniosła narodowi polskiemu? Nowe nawiązanie akcji powieściowej w końcu LI rozdziału.

VIII. Czwarty okres i przełom akcji powieściowej: odnalezienie Heleny (rozdz. LII—LVI). Nastrój uczuciowy przyjaciół Skrzetuskiego w Zbarażu. List od Skrzetuskiego, jako nowe ogniwo akcji. Charakterystyka Kozaka Zachara i znaczenie tego epizodu. Fałszywa wieść, jako środek estetyczny. Skrzetuski i jego przyjaciele po otrzymaniu tej wiadomości: różny sposób jej oddziaływania na nich i jego przyczyny. Stosunek przyrody do człowieka w scenie rozmowy przyjaciół Skrzetuskiego w kwaterze Zagłoby: odnaleźć podobne przykłady w poprzednich rozdziałach. Wieści, przyniesione przez Rzędziana, i ich charakter estetyczny (nowe zaskoczenie czytelnika). Zagłoba w tej scenie i jego przejścia duchowe. Opowiadanie Rzędziana i jego charakter i styl. Rola tego opowiadania w rozwoju akcji. Opowiadanie to, jako środek charakteryzacji opowiadającego. Szczegół o Rogowskim i jego znaczenie. Wyprawa po Helenę. Obraz natury i jego znaczenie. Nastrój duchowy uczestników wyprawy. Scena z Burłajem i jej rola w rozwoju akcji. Scena wyzwolenia Heleny i jej szczegóły pod względem etycznym i estetycznym. Nastrój Heleny i jej wybawców podczas powrotnej drogi. Zagłoba i Wołodyjowski. Niebezpieczeństwo w podróży, jako środek estetyczny: porównanie z pierwszą ucieczką Heleny. Napad czambułu tatarskiego, jako nowe zaskoczenie czytelnika. Zagłoba i Wołodyjowski w ucieczce. Niespodziewane ocalenie, jako środek rozwoju akcji; przykłady z poprzednich rozdziałów. Nieświadomość co do dalszych losów Heleny, jako motyw estetyczny. Jak długo trwa ta nieświadomość? Porównanie zakończenia rozdz. XXXIII i LVI pod względem estetycznym. Czy słusznie można nazwać rozdziały LII—LVI przełomem akcji powieściowej i dlaczego?

IX. Czwarty okres i przełom akcji historycznej: obrona Zbaraża (rozdz. LVII—LXI). Stan umysłów w Zbarażu po przybyciu do niego Zagłoby i Wołodyjowskiego. Stan duchowy Skrzetuskiego. Przybycie Wiśniowieckiego i jego wojsk. Zmiana w obozie polskim po jego przybyciu. Wiśniowiecki w nowej roli. Obraz nadciągających wojsk kozacko-tatarskich i środki techniczne, w nim użyte. Chan i hetman, ich stosunek wzajemny. Uczta w Zbarażu i znaczenie tej sceny. Procesja i nastrój psychiczny jej uczestników. Pierwsze zetknięcie się Wiśniowieckiego z Chmielnickim i jego wyniki. Obraz walczącego Podbipięty i środki stylowe, w nim użyte. Pojedynek Zagłoby z Burłajem: pierwiastek przedmiotowy i podmiotowy tego obrazu; porównanie z pojedynkami Skrzetuskiego z Burdabutem, Podbipięty z Pułjanem, Wołodyjowskiego z Bohunem. Porównanie ze sceną zdo-

bycia przez Zagłobę sztandaru pod Konstantynowem. Zagłoba po spełnieniu czynu. Chan i Chmielnicki po bitwie. Obraz pola bitwy w nocy i użyte w nim motywy. Rozmowa przyjaciół nazajutrz po bitwie, jako środek charakteryzacji. Przyjaciele Skrzetuskiego na wycieczce i podpalenie hulaj-grodów. Krótkie zawieszenie broni i rozmowy Polaków z kozakami na przedpolu, ich znaczenie w całości obrazu historycznego. Wiśniowiecki w pojęciach i podaniach kozackich; rola tego epizodu. Stosunki religijne w obozie zbaraskim i w całej powieści, jako rys obyczajowy epoki. Czyn Podbipięty: wrażenia słuchowe i ich zmiany, wrażenia wzrokowe i ich rodzaj, zachowanie się czterech przyjaciół, ich przeżycia duchowe i sposób ich uzewnętrzniania się. Obraz ścięcia trzech głów. Podbipięta po spełnieniu czynu w porównaniu z Zagłobą po usieczeniu Burłaja. Dlaczego autor każe Longinusowi ściąć tatarskie, a nie kozackie głowy? Postanowienie Podbipięty i trzech jego przyjaciół: charakter bohaterów, ujawniający się w tej scenie. Zagłoba podczas rozmowy z księciem. Rozstanie się Longinusa z przyjaciółmi i zachowanie się czterech przyjaciół w tej scenie. Stany duchowe Podbipięty podczas przeprawy: hamujące i podniecające czynniki. Walka Podbipięty z Tatarami i śmierć jego: zasadnicze motywy tej sceny, stosunek autora do bohatera, środki artystyczne tego obrazu. Dlaczego Longinus ginie z rąk tatarskich, a nie kozackich? Nastrój uczuciowy przyjaciół Podbipięty po jego odejściu. Zagłoba w chwili, gdy ujrzał ciało Podbipięty, i potem, podczas walki: nowe rysy jego charakteru. Pogrzeb Podbipięty: oświetlenie tej sceny i jego zmiany, wrażenia słuchowe, nastrój uczuciowy uczestników tej sceny, kazanie ks. Muchowieckiego, jego treść myślowa i uczuciowa, jego styl, pierwiastek uczuciowy w tej scenie. Wyprawa Skrzetuskiego: rozstanie się z przyjaciółmi w porównaniu z rozstaniem się z Podbipiętą, ostatnia rozmowa przed wyruszeniem; przeżycia duchowe Skrzetuskiego podczas przeprawy w porównaniu z przeżyciami Podbipięty; stany fizyczne, wrażenia zewnętrzne, myśli i stany uczuciowe; niebezpieczeństwa i przeszkody, ich rodzaje i stopniowanie; chwile najwyższego napięcia grozy i chwile odprężenia. Pierwszy czyn i pierwsza myśl Skrzetuskiego po przedostaniu się do lasu, jako środek charakteryzacji bohatera. Czy słusznie można tę część powieści nazwać przełomem akcji historycznej i dlaczego? Znaczenie oblężenia Zbaraża w rozwoju akcji i w historji. Pierwiastek heroiczny tego obrazu. Znaczenie tego obrazu w epoce współczesnej Sienkiewiczowi (ostatnia ćwierć XIX wieku). Oblężenie Troi i Zbaraża, motywy wspólne i różne. Prawda dziejowa i zmyślenie poetyckie w obrazie oblężenia Zbaraża u Sienkiewicza (por. szkic historyczny L. Kubali: „Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem“, Bibljoteczka Uniwersytetów ludowych i młodzieży szkolnej Nr. 122). Akcja powieściowa w tej części powieści: wątek główny i poboczne.

X. Rozwiązanie akcji powieściowej i dziejowej (rozdz. LXII—LXIII). Król Jan Kazimierz, charakterystyka bezpośrednia i pośrednia. Jerzy Ossoliński: jego charakterystyka, jego tragizm. Stosunek autora do obu tych postaci historycznych. Nastrój uczuciowy króla i kanclerza w obozie pod Toporowem. Zmiana tego nastroju z chwilą przybycia Skrzetuskiego. Obraz zewnętrzny Skrzetuskiego i charakter jego przemówień. Król, Ossoliński i obóz polski w stosunku do Skrzetuskiego. Ruszenie obozu królewskiego i znaczenie tej sceny. Rozwiązanie akcji historycznej i pokój zborowski. Odtworzenie tego zdarzenia dziejowego u Sienkiewicza i u Kubali. Rozmowa Skrzetuskiego z Rzędzianem i rola jej w rozwoju akcji powieściowej, przerwanej w rozdziale LVI. Spotkanie Skrzetuskiego z Heleną (które z rzędu?) i z przyjaciółmi i rozwiązanie akcji powieściowej. Ostatni krajobraz i jego rola.

XI. Epilog. Przerwa czasu między akcją powieści a epilogiem. Treść historyczna epilogu. Udział w nim postaci powieściowych. Rola epilogu w całokształcie budowy powieści. Porównanie epilogu ze szkicem historycznym L. Kubali: „Bitwa pod Beresteczkiem“ (Bibljoteczka Uniwersytetów ludowych i młodzieży szkolnej Nr. 121). Dwa „Epilogi“: w „Grażynie“ i w „Ogniem i mieczem“.

Pytania uogólniające. Treść: a) akcja historyczna. Chwila dziejowa, odtworzona w powieści i w epilogu. Jej znaczenie w życiu Rzeczypospolitej. Wypadki, odtworzone w powieści: ich wzajemne ustosunkowanie i sposób ich odtwarzania. Stosunek uczuciowy autora do odtwarzanych przez niego wypadków i jego pogląd na nie. Stosunek Sienkiewicza do przeszłości narodu, ujawniający się w wyborze momentów i ich oświetleniu. Dydaktyzm powieści: w jakiem znaczeniu można o nim mówić? Postacie dziejowe, główne i epizodyczne. Wymienienie scen,

w których występują. Charakterystyka osób historycznych i sposób jej wykonania. Pobudki czynów Chmielnickiego, Wiśniowieckiego, Kisiela, Ossolińskiego, króla Jana Kazimierza, regimentarzy. Tragizm postaci historycznych. Stosunek rozumowy i uczuciowy autora do tych postaci. „Ogniem i mieczem", jako obraz epoki, życia zewnętrznego i wewnętrznego narodu. Polacy i kozacy, ich charakterystyka, ich stosunek wzajemny, poziom umysłowy, obyczajowy i moralny obu światów; stosunek autora do obu stron walczących. Stosunki społeczne w Polsce na podstawie „Ogniem i mieczem". Stosunki religijne. Obyczajowość szlachecka w powieści i jej cechy dodatnie i ujemne. Możnowładcy i szlachta.

b) Akcja powieściowa. Główny wątek akcji powieściowej. Streszczenie jego w kilku zdaniach. Wpływ akcji historycznej na powieściową i odwrotnie: udział postaci powieściowych w akcji dziejowej. Główne i epizodyczne postacie powieściowe. Wyliczenie scen, w których występują. Ich charakterystyka. Ideały, typy, czy charaktery? Skrzetuski, jako postać naczelna, i jej znaczenie. Sposób wprowadzenia innych postaci: czy widzimy je odrazu, jako postacie skończone, czy też stopniowo dowiadujemy się o ich rysach znamiennych? Jaką rolę odgrywa w tem postawienie tych ludzi wobec wypadków dziejowych? Heroizm bohaterów „Iljady" i „Ogniem i mieczem". Jaką rolę odgrywają te postacie, jako przedstawiciele szlachty polskiej, w powieści, jako obrazie życia polskiego w przekroju pewnej epoki? Wzniosłość i humor, liryzm i przedmiotowość postaci powieściowych „Ogniem i mieczem". Jak Sienkiewicz obdziela sympatją lub niechęcią postacie powieściowe (nie wyłączając i Bohuna)? Czy i w jakiem znaczeniu można mówić o realizmie tych postaci? Akcje poboczne i stosunek ich do głównych. Postacie epizodyczne: ich rola w powieści, sposób ich wprowadzania i charakteryzacji (przykłady, przynajmniej ważniejsze). Sceny rodzajowe i ich artyzm (przykłady), ich stosunek do akcji. Opisy natury i jej rola artystyczna w powieści. Opisy siedzib ludzkich: dworów, chat, wsi, miasteczek i t. p. i ich artyzm. Na czem polega plastyka tych opisów? Wartości moralne, religijne i narodowe, powieści. Zakres i różnorodność wydarzeń, opowiedzianych w powieści, jako obrazie życia (porównanie z „Iljadą" i „Grażyną"). Czy można „Ogniem i mieczem" nazwać epopeją? Liczebność i różnorodność postaci w „Ogniem i mieczem" w porównaniu z „Iljadą" i „Grażyną". Ułożyć słowniczek imion własnych osób, wymienionych w powieści, z wyszczególnieniem ich godności i stanowiska, oraz rozdziałów, w których te osoby występują (praca ta powinna być podzielona między uczniów, a potem zestawiona w jednym wspólnym alfabecie).

Układ. Ustosunkowanie i powiązanie akcji historycznej i powieściowej. Przerywanie i nawiązywanie to jednej, to drugiej. Podział każdej z akcyj na części składowe (wdrożenie, zawiązek, zwikłanie, najwyższe napięcie, przełom i rozwiązanie). Epilog i jego rola w budowaniu utworu. Jedność czy wielokrotność akcji? Czas trwania akcji bez epilogu i wraz z epilogiem. Czy można mówić o jedności czasu? Czy można mówić o jedności miejsca wobec jej ruchliwości i ciągłych wędrówek bohaterów? Epizody i ich stosunek do wątków głównych (por. z „Iljadą" i „Grażyną"). Do czego są potrzebne? Środki techniczne akcji: opowiadanie autora i bohaterów; odtwarzanie wypadków z punktu widzenia autora i bohaterów; przerywanie akcji i jej nawiązywanie; opowieść w opowieści (relacje), jako środek techniczny rozwoju akcji; sposoby wypełniania luk, powstałych skutkiem przerywania akcji (por. z „Grażyną"); wieści prawdziwe i fałszywe; przeczucia, prognostyki i wróżby; niespodzianki i zaskoczenia czytelnika, radosne lub przerażające; cudowne ocalenia i wyjątkowe zbiegi okoliczności. Przewaga pierwiastka dramatycznego czy epickiego? Liryzm powieści. Opis, opowiadanie i dialog, jako środki odtwarzania ludzi, rzeczy i zdarzeń. Dialog homerycki, mickiewiczowski i sienkiewiczowski. Podział na rozdziały: podstawa podziału, sposoby zaczynania i kończenia rozdziałów.

Styl. Styl ozdobny czy prosty? Porównanie pod tym względem z „Grażyną". Przenośnie i porównania (przykłady). Przewaga wyrazów zmysłowych czy umysłowych (przykłady). Szyk zwykły i inwersyjny. Czy styl „Ogniem i mieczem" można nazwać epickim? Porównanie z „Iljadą". W szczególności porównać obrazy dwóch którychkolwiek pojedynków. Archaizmy i ich rola. Latynizmy i rutenizmy i ich wartość artystyczna. Zwroty dźwiękonaśladowcze. Styl opowieści i dialogów. Styl dialogów, jako środek charakteryzacji osób mówiących, np.: styl Zagłoby, Podbipięty, Bohuna, Rzędziana, Skrzetuskiego i inn.; styl postaci historycznych. Różnorodność stylów indywidualnych.

SPIS RZECZY.

DRUKARNIA M. ARCTA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.